

4768/102

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

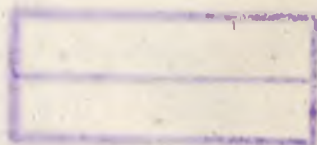
**BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.**

**PISMO POŚWIĘCONE**

**NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.**

**1867.**

**Tom trzeci.**



**WARSZAWA.**

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

**1867.**

4620. 1867. 3

II.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 26 czerwca (8 lipca) 1867 r.

Cenzor, J. Błeszczyński.



30.000 ✓

X-14206
4620/ II 3.

1867

O ISTOCIE I ZADANIU  
NAUK PRZYRODZONYCH.

PRZEZ

*Dra. fil. Edwarda Strasburgera.*

---

Ins Innere der Natur dringt kein erschaffener Geist;  
Glücklich, wem sie nur die aussere Schale weist.

*Haller.*

**P**rzedmiotem wykładów naszych ma być botanika, mianowicie zaś ta część botaniki, która się zajmuje wewnętrzną budową rośliny, która stara się zgłębić warunki jęj bytu, poznać zjawiska życia roślinnego.

Radbyim przedewszystkiem zwrócić uwagę czytelników na stosunek, w jakim nauka ta pozostaje do całego obszaru nauk przyrodzonych, wskazać miejsce, jakie zająć winna wśród pokrewnych sobie nauk.

Pogląd taki posłużyć może za wstęp do specjalnej części naszego wykładu a równocześnie wskazać drogę po której postępować, cel do którego w wykładach naszych dążyć będziemy.

Wewnętrzne życie natury przedstawi nam się jako jedna wielka, harmonijna całość, a w nieprzerwanym łańcuchu przyczyn i skutków, nauka nasza będzie drobném zaledwie ogniwem.

Nauki w niepohamowanym postępie łamią zapory, jakie szematyzujący duch ludzki po granicach wiedzy ponakreślał.

Kto dziś jest w stanie powiedzieć czém zwierzę, czém roślina? oba państwa tak nieznacznie ze sobą połączone, że tylko w ekstremach różnice pochwycić się dadzą.

Lwa nie trudno przeciwstawić lipie, lecz gdzie zaliczyć gąbki (*Spongiae*), gdzie myxomicety, monady amoeby (1).

Ustały powoli czeze spory o naturę roślinną czy zwierzęcą téj lub owéj wątpliwéj jeszcze istoty; ogół uczonego świata zgadza już się na to, że botanika i zoologia to części jednéj całości, że granic tu niéma, że granice tu istnieć nie mogą.

I świat organiczny jako jednę całość przeciwstawić możemy światu anorganicznemu; zrazu oba zdają się być przedzielone przepaścią, lecz po wielu latach pracy spostrzegamy się z zadziwieniem, że i tutaj przedział nie jest tak wielkim, jakieśmy to z razu mniemali. Dopatrujemy się podobieństw, analogii, wzrasta summa wspólnych obu światom własności i zapełnia powoli bezdeń między nimi; my zaś upojeni powodzeniem, łudzimy się już nadzieją, że przepaść tę z czasem całkiem wypełnić zdołamy.

Nie zbyt to dalekie czasy, kiedy rozróżniano jeszcze dwa rodzaje chemii: chemią anorganiczną i chemią organiczną. Pierwsza była chemią związków nieżywotnych, druga chemią produktów roślinnych i zwierzęcych.

Tylko żyjące organizmy były w stanie wydać związki organiczne, ztąd przypuszczano że do wydania tych związków niezbędną jest osobna jakaś siła, właściwa żyjącym tylko istotom, tak zwana siła żywotna.

To téż przepaść cała musiała dzielić obie chemie, produkty organiczne po jednéj, anorgany po drugiéj stronie.

Tymczasem 1828 roku wystąpił chemik getingski Wöhler i pierwszy ze związków czysto anorganicznych otrzymał sztuczne związki organiczne.

Ogrzewając ostrożnie cyanian amoniaku ( $\text{NH}^3\text{HO C}^2\text{NO}$ ) zamienił go na mocz ( $\text{C}^2\text{N}^2\text{H}^4\text{O}^2$ ).

Świat zdumiony nie chciał zrazu wierzyć takiemu odkryciu, lecz fakt był oczywisty, łatwy do stwierdzenia, musiał i niedowiarków przekonać. I otworzyło się tu szerokie po-

(1) Istoty nizkiej bardzo budowy, które jedni zaliczają do roślin, inni do zwierząt.

le nowej działalności, a za przykładem Wohlera inni chemicy wstępowali w raz przełamane szranki. Starano się otrzymać sztucznie i inne organiczne związki, wzrastała ilość podejmowanych w tym celu usiłowań, a z nią ilość coraz to nowych i świetnych wynalazków. Dzisiaj większą już część organicznych związków otrzymujemy wprost z związków anorganicznych, laboratorium nasze zastępuje pracownią natury, a chwila może niezbyt już daleka, gdzie wszystkie związki organiczne sztucznie otrzymać zdołamy.

I paść musiały w chemii dawne przesady i ustąpiły miejsca zdrowym na rzeczy poglądom, a przez wzgląd na ważną rolę, jaką odgrywa węgiel w związkach organicznych, chemią organiczną przezwano odtąd chemią związków węgla.

Padł przedział między anorganicznem a organicznem, pozostał między nieorganizowanem a organizowanem, siła żywotna ustąpić musiała z chemii, lecz znalazła przytułek w świecie ożywionym.

I jak przedtem w chemii, tak dalej w fizyologii powstała szkoła tak zwanych witalistów, którzy nieznanemi siły tłumaczyć chcieli zjawiska życia.

Nauki biologiczne zaledwie od ostatnich lat dziesiątek tak olbrzymim postępują krokiem, zaledwie lat 30 mija, jak nowem pobudzone życiem wstąpiły na widownię świata. Póki zasoby empiryczne zebrane w nauce były jeszcze bardzo szczupłe, póki ilość nie wyjaśnionych zjawisk, niezbadanego materiału, przeważnie przeciwstawić się dawała dobrze znanym faktom, zdawać się mogło, że życia w jego istocie nigdy nie zdołamy ująć; dziś większa już część tego, co tak długo niepojętem było, dało się podciągnąć pod ogólne prawa chemiczne i fizyczne, a my przez analogią radzibyśmy prawa te już do całości stosować.

Była chwila że do szkoły witalistów można było zaliczyć pierwszorzędne nawet umysły, dziś mechaniczno-przy czynowy kierunek stanowczo przeważa w nauce.

Objaw ten chętnie dziś łączą z tak zwanym nowszym materjalizmem i rzeczywiście zaprzeczyć trudno, że oba pozostają w pewnym do siebie stosunku. Naturaliści to ostatniemi czasy przyczyniali się głównie do szerzenia materjalistycznych poglądów, oni to występowali głównie do walki z idealizmem; ztąd zdawać się na chwilę mogło, że matery-

alizm nieodzownie towarzyszy naukom przyrodzonym, a ogół począł identyfikować oba te kierunki. A jednak pogląd taki nie jest uzasadnionym w samej naturze przedmiotu, a przyczynę jego szukać raczej należy w tak ogólnym braku filozoficznego wykształcenia.

Nauki przyrodzone, mówi Kant (1), nie odkrywają nam nigdy wewnętrznej istoty rzeczy, tego co by już nie było zjawiskiem, a raczej do najwyższego wyjaśnienia zjawiska posłużyć mogło.

Dzisiejszy materializm zwykł zapominać o tém, że to co pod zmysły nasze podpada jest tylko zjawiskiem nie rzeczą samą w sobie; popełnia on ten sam błąd, jaki zarzucił filozofii natury, błąd, w jaki popadli niegdyś Schelling i Hegel, to jest przyznaje dogmatycznie absolutne znaczenie temu, co w istocie relatywne tylko znaczenie mieć może.

Dogmatyczny materializm taki nie może się ostać w obec krytycyzmu Kanta.

Zamiast filozofować dogmatycznie i często bez celu jak wielu jego poprzedników, a niestety i tylu następców jego, Kant podjął przedewszystkiem pod rozbiór krytyczny naszą władzę poznania, a wnikając głębiej w istotę rzeczy, oznaczył ostatnie granice poznania naszego.

Dowiodł on i wykazał, że istnieją a priori czyste formy poznania, formy przestrzeni i czasu, i czyste syntetyczne sądy tak zwane kategorie.

Że one są warunkami a priori wszelkiego doświadczenia i że warunkują zarazem możliwość przedmiotów doświadczenia. I zrobił Kant odkrycie, które sam chętnie przyrównywał do czynu Kopernika (2).

Jak Kopernik niegdyś w astronomii przewrócił dawniejsze pojęcia i wykazał, że nie słońce do koła ziemi, lecz że my przeciwnie obracamy się na około słońca, tak Kant przewrócił wszystkie dawne pojęcia w metafizyce i wykazał, że nie my do przedmiotów, lecz przedmioty do pojęć naszych stosować się muszą.

(1) Lange: Geschichte des Materialismus und Kritik seiner Bedeutung in der Gegenwart Iserlohn. 1866. p. 239.

(2) Lange l. c. pag. 234.

Że zatem świat w przestrzeni i czasie jest tylko naszym światem, że nie jest absolutną obiektywnością, lecz tylko obiektywnością dla nas być może; że świat ten wreszcie nie jest rzeczą samą w sobie, lecz tylko zjawiskiem, po za którym rzecz sama w sobie w wiecznej utajonej nocy.

Dla dogmatycznego materializmu przestrzeń i czas, zresztą cały świat zmysłowy, był jedną absolutną obiektywnością, to też materializm taki z koniecznością ustąpić musiał przed krytycyzmem Kanta i zajmuje dzisiaj słabsze już tylko umysły.

Lecz wracając do stanowiska naszego zapytamy obecnie, czy nie tracą na tém nauki przyrodzone, gdy ograniczymy tak znacznie pole działalności naszej, gdy usuniem z nauki wszelkie absoluta? Ja tego nie myślę, przeciwnie przekonany jestem, że na téj drodze jedynie ścisłość naukową osiągnąć zdołamy.

Cóż nam po absolutach, kiedy w relacji tylko prawda być może? porzucimy rzecz samą w sobie, a tém większych przyłożymy starań by dobrze poznać zjawisko; ponieważ zaś formy umysłu naszego zawsze i wszędzie o formie doświadczenia stanowią, będą one w każdym razie obiektywniejsze dla nas, jak wiele innych na pozór absolutnych pojęć; ponieważ na formach umysłu naszego całe nasze poznanie spoczywa, będą więc one zawsze i wszędzie rzeczywistość dla nas miały.

Po co nam się troszczyć o rzecz samą w sobie, kiedy ta leży po za obrębem poznania naszego, a tak szerokie pole działalności empirycznej jeszcze przed nami otwarte?

To też Kant powiada (1), że nauki przyrodzone nie tylko że nie powinny się troszczyć o rzecz samą w sobie, nie tylko że jój nie potrzebują do swych fizycznych objaśnień, ale że w razie nawet, że ofiarowanoby im zkądinąd tego rodzaju pomocy, np. wpływu i materialnych sił, winny ją odrzucić i wyłączyć z szeregu swych objaśnień. Że wszelkie objaśnienia w naukach przyrodzonych powinny zawsze i wszędzie na tém tylko polegać, co jako przedmiot zmysłów stać się może przedmiotem doświadczenia, co podług praw doświadczenia tego daje się połączyć z rzeczywistymi spo-

(1) Lange l. c. p. 240.



strzeżeniami naszymi. Nie tracimy więc na tém, gdy ograniczymy nieco stanowisko nasze, a nikt nas myślę o materializm już posądzać nie będzie, gdy idąc za przykładem Kanta, wyłączać nadal będziemy siły niematerialne z szeregu wywodów naszych.

Porzucimy nadal pojęcie siły żywotnej i tylko na tém zyskać możemy; bo i cóż nam empirykom wreszcie powiedzieć o sile, o której nie wiemy czém jest, w jaki działa sposób, jakim podlega prawom? Mogłaby ona zawsze tylko być jakimś *X* nieznaném, jakąś nieoznaczoną wielkością, żadną zaś miarą przyczynić się do rozszerzenia widnokręgu wiedzy naszej.

To co nazywają siłą żywotną mogłoby zawsze tylko być summą jakichś sił pojedynczych, rezultatem sił znanych w jedném połączonych zjawisku, nie zaś osobną jakąś siłą mającą posłużyć do wyjaśnienia zjawiska.

To téż naturalista mówiący o sile żywotnej, zdaniem Schleidena (1), nie jest rozumniejszym od dzikiego, który lokomotywę mianuje żyjącém stworzeniem; gdyż obaj nazywają życiem summę czynności w jedném ogólném połączonych zjawisku, a nie zdają sobie jeszcze sprawy z pojedynczych działaczy tego zjawiska.

Nie pójdziemy więc za przykładem dzikich i nieuków w téj definicyi Schleidena, usuniemy siłę żywotną z szeregu objaśnień naszych i zobaczymy, o ile czynne a znane nam już siły starczą do skreślenia zjawisk życia.

I przeciwstawimy obecnie świat organiczny światu anorganicznemu, organizmy anorganom, a wyświecając analitycznie różnice, a syntetycznie wspólne obu światom własności, głębiej może wniknąć zdołamy w istotę całości (2).

Wszelka materya tak jak w zjawisku ując ją zdołamy, zarówno podlegać musi ogólnym fizycznym prawom, prawom ciężkości, nieprzenikliwości, bezwładności i t. p. Daremnie szukalibyśmy tu punktu wyjścia do rozróżnień naszych:

(1) Schleiden: Grundzüge der Wissenschaftlichen Botanik. IV. Aufl. pag. 41.

(2) Patrz podobne przeciwstawienie u Schwanna: Mikroskopische Untersuchungen. 1839 r. pag. 220—257 i u Haeckel'a Generelle Morphologie der Organismen. 1866 r. pag. 111—166.

nie ma ogólnych fizycznych własności, któreby dzielić mogły oba te światy.

Wszelka materya podług ogólnie dziś przyjętej fizycznej hipotezy złożoną jest z drobnych bardzo cząstek, nie dających się nadal podzielić, z tak zwanych atomów, a atomy te wszędzie zdają się jednym podlegać prawom.

Nawet elementa chemiczne składowe nie różnią anorganów od organizmów, a węgiel, ów pierwiastek organiczny *κατ' ἐξοχήν*, w kształcie dyamentu, grafitu, zwyczajnego węgla, wreszcie w różnych związkach, nie małą odgrywa rolę w świecie nieożywionym. A jednak mimo to, że elementa składowe też same są w obu światach, w ich wzajemnym ugrupowaniu pierwszą dopatrujemy różnicę. Napotykanie w świecie ożywionym związki odznaczają się komplikacją budowy, na jakiej zwykle anorganom zbywa. W anorganach przeważają tak zwane związki podwójne (binarne), do składu ciał organicznych zwykle węgiel, tlen, wodór i azot równocześnie wchodzi i wydają w niezliczonych kombinacjach owe bogactwo i rozmaitość organicznych związków. Na czele organicznych związków stoją związki białka, związki najwyższej komplikacji, a stanowiące zarazem pod mianem Sarkody lub Protoplasmy, główny motor życia.

Chemik przyrządza sztucznie już większą część związków organicznych, lecz nie otrzymał on jeszcze sztucznych związków białka; ztąd tajemnica jaka dotąd pokrywa życie. Lecz chemia olbrzymim postępuje krokiem, zdoła przełamać kiedyś może i te zapory, a jedno wielkie odkrycie obali szeregi dawniejszych zapatrywań. Odkrycie takie miałoby tém większą doniosłość w nauce, że witaliści straciliby ostatni punkt wyjścia dla wywodów swoich, podstawę, na której tak chętnie dziś jeszcze opierać się zwykli. Tak nauki przyrodzone mozolnie krok za krokiem muszą zdobywać sobie prawdy, które filozof tak chętnie antycypuje, wykazywać związek przyczynowy wszelkiego bytu; za to fakt empiryczny raz dla nauki zdobyty usuwa i obala wszelkie wątpliwości.

Nie otrzymaliśmy dotąd sztucznych związków białka, to też tyle tylko powiedzieć możemy, że jest ogólną własnością węgla, że tworzy wysoko skomplikowane związki, i że łączy się w nich chętnie z tlenem, wodorem, azotem, nieraz

jeszcze siarką i fosforem; że nie znamy elementu wyłącznie organicznego, i że najprostsze związki węgla należą do anorganicznego świata. Zresztą z obserwacji wynika jeszcze, że wzrastająca komplikacja w budowie chemicznej bezpośrednio za sobą pociągą i wzrastającą komplikacją funkcji, tak że związki chemiczne najwyższej komplikacji są zarazem te, które stanowią punkt wyjścia pierwszych zjawisk życia.

Różnice istniejące w komplikacji związków pociągają za sobą muszą różnice w budowie molekularnej anorganów i organizmów. Ciała, jakie napotykamy w świecie anorganicznym, występują w stanie twardym, płynnym albo lotnym; przeciwnie w związkach organicznych wyższej komplikacji, przemaga inny stan skupienia trzymający środek między stanem twardym i płynnym. Stan ten Niemcy miękko-twardym przezwali, jest on mianowicie charakterystycznym dla wszystkich związków białka.

Przyczyną stanu tego jest tak zwana imbibicya, jest własność, jaką posiadają wzmiankowane ciała pochłaniania znacznych ilości płynu w swe wnętrze. Ta ilość płynu jest przytém ściśle oznaczoną, i pewnych stałych granic przekroczyć nie może. Każda drobinka w skutek silnej atrakcyi, jaką na płyn wywiera, otacza się płynną otoczką, a płyn ostatecznie wypełniać musi wszystkie przestwory między drobinami ciała. Stosownie do stanu nasiąknięcia w jakim się ciało chwilowo znajduje, drobinki są mniej lub więcej od siebie oddalone, a trzymane w równowadze siłami molekularnymi, bujać muszą w otaczającym je płynie, tak jak anorganiczne atomy bujają w eterze. I tak jak światło i ciepło między anorganicznymi atomami, tak woda poruszać się musi między drobinami (molekulami) ciała organizmu. Z zawartości wodnej ziarn skrobi (czyli krochmalu) prof. Naegeli (1) w Monachium wnioskował o kształcie względnej wielkości i względnym oddaleniu drobinek tejże skrobi.

Było to jedno z najciekawszych zadań jakie dzisiejsza nauka stawić sobie mogła, a choć nie miejsce po temu głębiej nam wnikać w istotę zadania, rozbierać zasady fizyczne na jakich cała teoria molekularna Naegelego spoczywa, tyle nadmienię tylko, że z obliczeń wypadło, że w gęstszych czę-

(1) Naegeli: die Stärkekörner. 1858.

ściach ziarn skrobi, zawierających tylko 14 procent wody na 86 masy ciała, molekuly nie mogą być ani okrągłe ani owalne, lecz mieć muszą kształt mniej lub więcej wielokątny. Bo kształt kulisty przy bezpośredniem zetknięciu kulek, to jest przy najkorzystniejszych nawet warunkach położenia jeszczeby wymagał 26 procent wody na 74 części skrobi. Tymczasem obliczyć się dało, że w gęstej massie o 14 procentach wody, oddalenie między dwiema drobinkami mniej wynosić musi jak  $\frac{1}{30}$  średnicy takiej drobinki. Za to w miękkiej massie o 70% wody oddalenie wynosi nieco mniej tylko jak połowę średnicy drobinki, a w bardzo wodnej massie o 98 procentach wody prawie w potrójną ich średnicę.

Otóż podług obliczeń prof. Hofmeistera (1), zawartość protoplazmy myxomicetów wynosi 70 i więcej procent wody, muszą więc pojedyncze drobinki protoplazmy, podobnie jak w ziarnach skrobi o 70 procentach wody, być oddalone od siebie prawie o połowę swęj średnicy.

Drobinki swobodnie więc bujać muszą wśród otaczającej je wody; ztąd niezależność, ztąd ruchomość pojedynczych tych cząstek, ztąd owe własności, które uzdalniają całość do wysokiej roli jaką odgrywa w świecie organicznym. Tylko materya takimi obdarzona własnościami, mogła wystąpić w tak złożonych funkcyjach, jakimi są ostatecznie działania muskułów lub nerwów.

Przejęte wodą ciała znajdują się w stanie ciągłego napęcznienia, stan ten różni je musi od anorganów, gdyż nie dopuszcza form ścisłych i trwałych, nie dopuszcza krystalizacyi. Krystalizacya i imbibicya wyłączają się wzajemnie.

Ztąd kryształ żadnej już nie odgrywa roli w świecie ożywionym, a w miarę jak wzrasta komplikacya związków, w miarę jak imbibicya ich wzrasta, ściśle oznaczone kształty krystaliczne ustępować muszą.

Lecz i tutaj przejście jest tylko stopniowe i extrema tylko bardziej od siebie oddalone, a rzecz niewytłumaczona, choć godna uwagi, że właśnie ów węgiel i woda które tak ważną odgrywają rolę wśród tych nieoznaczonych kształtów organicznego świata, już w świecie organicznym wydają zaokrąglone kryształy, tak zwane krystaloidy diamentu i śniegu.

(1) Hofmeister: die Lehre von der Pflanzenzelle. 1867 r. p. 2.

Tak więc, mimo że extrema na pierwszy rzut oka mało zdają się mieć wspólnego, paralellę naszą między obu światami poprzeć przedewszystkiem nam wypadnie porównaniem kryształu z najniższego rodzaju komórką, z tak zwaną plastydą.

Przeciwstawimy najwyższy osobnik anorganiczny najniższemu osobnikowi organicznego świata, a przedział pomiędzy nimi przestanie być tak wielkim.

Będziemy się starali wykazać, że oba światy jeduym podlegają prawom, i że pierwsze objawy życia w organizmach koniecznym są wynikiem ich własności chemicznych i fizycznych, tak jak własności kryształu wynikają z jego budowy i składu; i wszędzie napotykać tu będziemy jedne i też same, lecz tylko równie spotęgowane czynniki.

Już Teodor Schwann (1) przed blisko 30 laty przyrównywał komórkę do kryształu. Przyrównanie to za czasów Schwanna większe niż dziś jeszcze przedstawiało trudności. Do pojęcia komórki wchodziła błonka, zawartość i jądro, a taka komplikacya w budowie, nie mało już dzieliła najniższego osobnika organicznego, od jednolitych osobników anorganicznego świata.

To też przyrównanie Schwanna mimo całej genialności, mimo całej bystrości umysłu autora, mało tylko zjednało sobie zwolenników.

A jednak już Schwann w swój teoryi komórek (2) wypowiedział zdanie, że powstawanie części składowych organizmu, prawdopodobnie niczém inném nie jest, jak tylko kryształizacyą materji która pęcznieć może, organizm zaś niczém inném jak zbiorem takich napęczniałych kryształów.

Dziś przyrównanie to wiele uprościć się dało, poznaliśmy cały szereg istot nizkiej bardzo budowy, których jedyną część składową stanowi białko. W istotach tych nie możemy dostrzedz różnorodnych części, ciało na wskrós złożone z jednolitej przezroczystej massy, a mimo to istoty te poruszają się, żywią i rozmnażają. Pod mikroskopem widzimy bezkształ-

(1) Dr. Th. Schwann: Mikroskopische Untersuchungen etc. 1839 r.

(2) Schwann, l. c. p. 254.

tną bryłkę, która w bezustannym będąc ruchu, tacza się, że tak powiem, z miejsca na miejsce, zmieniając co chwila kształt swój i powierzchnię. Ziarnka w cieple, pochodzące z resztek niedotrawionej żywności, to raz jego wnętrze, to znów jego powierzchnię zajmują, a silny i nieustanny ruch tych ziarenek wskazuje, jak silne processa chemiczne odbywać się tu muszą.

Istoty te nazwano Moneres, one to jako najniższe osobniki organiczne, myślimy przeciwstawić anorganom, a za spójnią między nimi posłużyć nam jeszcze mogą wzmiankowane ziarna skrobi.

Punktem wyjścia do porównania naszego, będzie sam proces krystalizacji i dlatego przedewszystkiem zapytać musimy, co się dzieje w danym płynie, gdy wyrasta z niego kryształ lub plastyda.

Mamy przed sobą roztwór soli jakiejś, w danej koncentracji, w roztworze tym atomy soli silniejsze mają powinowactwo do atomów wody, niż wzajemnie do siebie, lecz woda się ulatnia, ilość jej zmniejsza się powoli; pewna ilość atomów soli, traci swoją wodę, a tém samém następuje chwila, że atomy te większe mają powinowactwo do siebie, niż do reszty atomów wodnych i tak już przesyconych solą. I łączą się wzajemnie i tworzą pierwszy zaczątek kryształu.

Otóż podobnie dziać się musi i w świecie organicznym. Naegeli wykazał, że ziarna skrobi we wnętrzu komórek roślinnych na tych samych powstają warunkach, a zwolennicy generatio spontanea utrzymują, że i najniższe istoty na tej drodze pojawić się mogą.

Z tém wszystkiem przyznać należy, że obserwacje ostatnich lat dziesięciu nie bardzo przemawiają za takiem bezpośredniem powstawaniem istot; lecz jeżeli niema chwilowo faktu, któryby się stanowczo domagał przyjęcia generatio spontanea, niema téż dotąd faktu któryby stanowczo jej zaprzeczał: zadanie to ciągle jeszcze nie jest rozwiązaniem. Tyle głośne prace Pasteura nie wykazały dotąd bynajmniej niemożliwości generatio spontanea, a jeden fakt dodatni, obaliłby cały szereg podanych przez niego ujemnych dowodów. To téż coraz liczniejsze znów głosy występują w obronie samorodztwa i przyznać należy, że teoretyczne powody ciągle jeszcze

przemawiają za ni<sup>1</sup>m (1). Wykazał Pasteur wprawdzie istnienie zarodków w powietrzu, lecz nie zdołał usunąć ze swych doświadczeń wszystkich obcych wpływów, a t<sup>1</sup>em sam<sup>1</sup>em padają i wnioski jakie z doświadczeń tych mógł wyprowadzić. Że w silnie zagotowanym płynie organicznym, po szczeln<sup>1</sup>em zamknięciu, nie ukazują się żywe istoty, dziwić się nie można, gdyż wysoka temperatura zniszczyła nie tylko zarodki, lecz i wszelkie związki białka znajdujące się w płynie, zniszczyła t<sup>1</sup>em sam<sup>1</sup>em materyał, z którego generatio spontanea mogła by czerpać początek. Gdy zaś wystawimy płyn taki zagotowany poprzednio na działanie powietrza, do płynu tego wpadać wprawdzie będą zarodki, lecz wpadać będą równocześnie i szczątki organiczne, związki azotowe, jedn<sup>1</sup>em słowem materyał, z którego w pewnych warunkach mogłyby powstać samodzielnie żyjące istoty. Cóż więc z tego, że zarodki istnieją w powietrzu, kiedy nie wyłączają wpływu, jaki szczątki organiczne wywierać mogły na płynie? Przeglądając krytycznie szereg doświadczeń Pasteura, przekonałiśmy się, że przed tym zarzutem żadne z doświadczeń jego nie ostoi się w zupełności. Gdyby tu Pasteur w ka<sup>1</sup>żdym danym razie był w stanie powiedzieć: do płynu tego wpadł tylko jeden zarodek, ani jedno źdźbło organiczne, a płyn wydał jedn<sup>1</sup>ą tylko istotę; albo: do płynu tego wpadło jedno źdźbło organiczne ani jednego zarodka, a płyn odpowiednio żadnej nie wydał istoty, poglądy jego o wieleby już zyskały na prawdopodobieństwie. A jednak nawet i w tym razie kwestya nie byłaby dostatecznie rozstrzygnięta, nawet i tego rodzaju doświadczenia, gdyby były możliwe, miałyby charakter tylko ujemny. Doświadczenie zawsze tylko stosować się może do pewnej ograniczonej ilości przypadków; nigdy ich w całości objąć nie zdoła; że zaś to lub owo źdźbło organiczne w pewnych szczególnych warunkach nie wydało żywych istot, nie dowodzi to jeszcze żeby tak się miało dzieć zawsze i wszędzie, żeby wszystkie w ogóle źdźbła organiczne były pozbawione t<sup>1</sup>ej własności. A przypuściwszy nawet, że źdźbła organiczne nie są w stanie wydać żywych istot, zkąd pewność, że istoty te nie powstają na innej drodze, wprost ze sztucz-

(1) Patrz pracę moją o bezpośredni<sup>1</sup>m powstawaniu istot, z której tu podaję tylko niektóre ustępy.

nie przyrządzonych związków organicznych? Związków tych nie zdołaliśmy dotąd otrzymać w laboratorjach naszych, lecz to nie rozstrzyga jeszcze zadania na przyszłość.

Cóż z resztą z tego, że nie otrzymujemy sztucznych organizmów; czyż chemik potrafi zkąd inąd sztucznie zrobić kryształ? Zna on warunki w jakich kryształ powstaje i w jego mocy warunki te sztucznie sprowadzić; lecz siły działające przy krystalizacyi równie są mu nieznane co zjawiska życia. Czyż zdoła on powiedzieć dlaczego różne ciała różne przybierają kształty, dlaczego jedno ciało w tym, inne znów w owym krystalizuje systemie? czyż znane mu siły molekularne, własności atomów, na jakich ta zmienność kształtów polega.

Lavall zauważył, że gdy wzrastającego oktaedru pozbawił sztucznie jednego kanta, kant przeciwległy sam wkrótce odpowiednią wydał płaszczyznę; nie można więc zniszczyć części kryształu bez naruszenia równowagi całości, a czyż z tego nie wynika, że kryształ jest organiczną całością, tak jak komórka organiczną całość stanowi.

Gdyby nam się udało zgłębić warunki w jakich powstają istoty organiczne, gdyby w naszej było mocy sztucznie ovladnąć temi warunkami, sztucznie wywołać samorodztwo: sam proces bezpośredniego powstawania istot straciłby na cudowności, tak jak krystalizacya anorganów na cudowności straciła; spowszedniałby on w oczach naszych, a choć nie wytłumaczony przestałby w nas budzić dawne podziwienie.

To téż mimo tych wszystkich ujemnych dowodów jakie istnieniu samorodztwa zaprzeczać się zdają, wielu uczonych ciągle jeszcze stają w jego obronie, a Naegeli (1) dziś jeszcze rozbiera kwestyą, jakie téż mianowicie istoty przez generatio spontanea powstaćby mogły. Rozbiór taki na pozór przedwczesny, nie jest pozbawionym jednak naukowój wartości, gdy zważymy, że sprowadza spór cały na właściwe mu pole. Z rozbioru tego pokazało się bowiem, że takie tylko istoty przez generatio spontanea powstawać mogą, których istnienie jest wynikiem czynności jednéj albo wielu poprzedzających istot, których byt nie jest zależnym od bytu inéj jakiejś istoty.

(1) Carl. Naegeli: Entstehung und Begriff der Naturhistorischen Art. 1865 p. 14.



Rzecz prosta, że przez generatio spontanea nie powstają ani robaki, ani wymoczki, ani nawet grzyby, jak to dotąd mniemano, jak to po części mniemają jeszcze; lecz że powstają chyba tylko Monery lub podobne im istoty; te więc istoty przedewszystkiem stać się muszą punktem wyjścia do dalszej obserwacji nad samorodztwem, one to z czasem przyczynić się mogą do rozstrzygnięcia tego zadania.

Tymczasem opuścimy pole zbyt śmiałej może hipotezy, by dalsze porównania nasze czerpać już tylko z bezpośredniej obserwacji.

Pomijamy kwestyę pierwszego powstania kryształu i plastydy, a nie troszcząc się nadal o ich pochodzenie, odtąd już tylko w ich różnicach lub podobieństwach badać je będziemy.

Pierwszą najogólniejszą własnością wspólną i anorganom i organizmom jest wzrost, jest możność pomnażania masy ciała swego.

Wzrost zawsze i wszędzie na tém polega, że dany osobnik coraz to nowe cząsteczki materji ku sobie przyciąga i przyswaja swój massie.

Istniejące już ciało działa jako środek atrakcyjny na otaczające go cząsteczki rozpuszczone w płynie, przewyższa atrakcją, jaką mają do cząsteczek płynu i staje się powodem, że i one powoli ze stanu ciekłego przechodzą w stan twardy.

Tak prawo kierujące wzrostem indywiduów polega tak w świecie anorganicznym jak i w świecie organicznym na jednych i tychże samych ogólnych własnościach materji, na prawach jednorodnej atrakcyi i pokrewieństwa chemicznego, ze względu zaś na różnicę w budowie molekularnej, wzrost w różnych ciałach różnie odbywać się musi.

Anorgany przechodzą przy krystalizacyi ze stanu płynnego odrazu w stan twardy, a jeżeli i w stanie twardym zawierają wodę, to tylko wodę chemicznie związaną, taką, która na stan skupienia ciała już wpływać nie może; przeciwnie organizmy znajdują się ciągle w stanie przez wół ciekłym, ciągle przesycone są wodą, a woda ta nie chemicznie lecz mechanicznie z niemi połączona, otacza wszystkie molekuly ich ciała.

Ztąd twardy kryształ może tylko rosnać przez appozycję, molekuly w jego ciełe tak są silnie ze sobą połączone, że nie mogą zmieniać względnego położenia swego nie niszcząc równocześnie bytu całego kryształu, a dotykają się o tyle, że inne ważkie atomy między istniejące już wniknąć nie mogą. To też te nowe jednorodne cząsteczki, jakie wzrastający kryształ przyciąga z otaczającego go płynu, przykładają się tylko od zewnątrz do już istniejących, nie mogą one wniknąć we wnętrze kryształu, kryształ rośnie na powierzchni tylko, a raz powstałe części nie ulegają dalszej zmianie.

Inaczej rzecz się ma z ciałem ożywionych istot.

Drobinki ciała tak tu słabo ze sobą połączone, tak oddalone od siebie, że woda między niemi z łatwością poruszać się może. Woda ta prowadzi od zewnątrz różne obce części, a te przyswojone ciału wydawać muszą nowe molekuly, gdy równocześnie dawniej istniejące pod wpływem téjże samej wody po części znów się rozpuszczają i niszczą. Skład ciała ciągle się zmienia, nowe cząstki wnikają między już istniejące, zastępują dawne, organizm témsamém rośnie od wewnątrz przez intussuscepcją.

Tak woda przenikająca ciała organiczne ciągle w nich sprowadza zmiany i przewodniczy tym subtelnym ruchom molekularnym, które powodują życiem organizmu.

Ruchy te nie są możliwe w twardym anorganie pozbawionym wszelkich zmian wewnętrznych, a tak z budowy molekularnej i plastydy i kryształu wynika, że pierwsze żyć muszą, a drugie są martwe.

Wzrost organizmu stanowi zarazem jego odżywienie.

Wszystkie wysoko skomplikowane związki dzielą wspólnie własność łatwego rozkładu masy ciała swego, własność tę posiadają w najwyższym znów stopniu wszystkie związki białka, straty jakie ztąd organizm ponosi musi pokryć odżywienie. W miarę jak się ciało rozkłada, przybywają od zewnątrz coraz nowe cząstki, a przyswojone ciału zastępują powoli dawniej istniejące. Rozkład jest koniecznym do życia warunkiem, źródłem bezustannej siły, w której organizm może czerpać życie.

Znane nam jest prawo utrzymywania się siły, wiemy że światło, ciepło, elektryczność, jednem słowem wszystkie si-

ły chemiczne i fizyczne wzajemnie przejść w siebie mogą, i że ilość siły się nie zmienia, w jakikolwiek bądź ona objawi się sposób. Prawo to stosować musimy i do zjawisk życia. Siły chemiczne i fizyczne czynne przy rozkładzie rozwiązują siły nagromadzone w drobinkach, zamieniając je na siły żywo działające, a te żywe siły powodują cały szereg skomplikowanych ruchów molekularnych w rezultacie wydających życie.

Tak proces odżywienia gromadzi zasoby mające do dalszej być użyte pracy. Organizm póty tylko żyje, póki się rozkłada; żeby zaś mógł się rozkładać, ciągle odżywiać się musi. To też gdy zewnętrzne warunki nie sprzyjają odżywieniu, gdy ciało prędzej się rozkłada niż odżywiać może, następuje śmierć organizmu; przeciwnie w korzystnych warunkach, gdy ilość przyswojonych cząstek przewyższa potrzeby rozkładu, organizm rozmnażać się musi.

Tak wszystkie charakterystyczne własności organizmu są bezpośrednim wynikiem jego molekularnej budowy, a zatem i wynikiem jego składu chemicznego. Organizm dla tego że jest miękki, że ciągle przesycony wodą, musi rosnąć przez intussuscepcją, a że rośnie przez intussuscepcją, więc może się żywić, więc może rozmnażać. Kryształ przeciwnie jest twardy, więc tylko przez appozycją powiększać się może, a wskutek tego nie może się odżywiać, ani też rozmnażać, jednem słowem żyć nie może.

Proces rozmnażania w zasadzie niczem więcej nie jest jak odżywieniem, które przekroczyło indywidualną miarę organizmu.

Nawet kryształ w swym wzroście pewnych nie przekracza granic, organizm tém bardziej granic tych przekroczyć nie może. Następuje chwila, że jeden środek przyciągania nie jest już w stanie utrzymać w równowadze wszystko procesa molekularne w danym osobniku, a wtedy osobnik ten albo całkiem przestaje rosnąć, albo się też rozpada na większą ilość osobników; chwila taka nastąpić musi w organizmie o wiele prędzej niż w kryształach; związek pojedynczych drobin organizmu jest o wiele słabszym a środek atrakcyjny tém samém na mniejsze działa odległości. Organizm prędzej niż kryształ przestaje rosnąć, albo się rozmnażać musi, a rozmnożenie się to następuje tém prędzej, im korzystniejszemi były warunki odżywienia.

Gdy wzrost osobnika przekracza już pewne granice, w miejsce jednego środka przyciągania, powstają w nim co najmniej dwa nowe środki, procesa molekularne grupują się powoli dokoła tych centrów, organizm w rezultacie rozpada się na większą lub mniejszą ilość nowych organizmów.

Ten przebieg rozmnożenia ciska jasne światło na cały dalszy rozwój organicznego świata.

Ponieważ każde nowo powstałe indywiduum jest bezpośrednią materyalną częścią dawniej istniejącego, dziwić się więc nie można że jego własności dziedziczy; własności te związane są z istotą materji, tak że wspólność materji pociąga za sobą i wspólność własności.

Na tej to materyalnej wspólności polega to, co stanowi istotę dziedziczności, to ogólne zjawisko, że dzieci równają rodzicom.

Lecz nowo powstałe indywiduum dziedziczy jakąś tylko część ciała swego od macierzystego organizmu, dalej o własnych siłach uzupełniać się musi; dorosły organizm złożony zatem częścią z materji jaką odziedziczył, częścią z materji jaką sobie przyswoił w skutek odżywienia, a ztąd i owe indywidualne cechy, jakie różnią organizm nowy od organizmu macierzystego. Przystają dzieci być równe rodzicom a pozostają nadal im tylko podobne.

Młody organizm stosuje się do wewnętrznych wpływów w części podlegać im musi.

Podobnie dzieje się i z kryształem.

Znane są każdemu zjawiska tak zwanego polimorfizmu, które tak często obserwowane się dają. Wiadomo każdemu że roztopiona siarka stygnąc powoli krystalizuje w słupach rombów skośnych, z roztworu swego w siarku węgla przeciwnie w ośmiościanach rombów i że węgiel, bor, krzemionka w różnych warunkach różne przybierają kształty. Sól kuchenna z czystego roztworu krystalizuje w sześciątach, przy obecności kwasu bornego w kubo-octaedrach, przy obecności uryny wreszcie w octaedrach. Jod kalium występuje zwykle w sześciątach, na micy zaś przybiera kształty ośmiościanu (1).

(1) Bronn: Morphologische Studien.

Podobnych przykładów dałoby się przytoczyć dowoli, a pokazują one jasno i dostatecznie jak dalece nawet kryształ, osobnik anorganiczny musi się stosować do zewnętrznych wpływów.

Lecz z budowy molekularnej kryształu wynika, że się nie rozmnaża, nie może zatem przekazać na potomność swoją indywidualnie nabytych własności; własności te giną, gdy sam kryształ ginie; to też cechy gatunkowe kryształu zmieniać się nie mogą.

Inaczej w organizmie rzeczy się mają.

Tutaj istnieje prawo dziedziczności, materialny związek łączy organizmy i uwiecznia niejako indywidualnie nabyte własności. To też summa tych własności ciągle wzrastać musi, nowe pokolenia coraz to nowe gromadzą zasoby, a te przechowane w szeregu organicznym, wydają wreszcie nowe odmiany, gatunki, rodzaje i zmienia się coraz postać organicznego świata.

Dzicze się z organizmem jak z kapitałem, do którego rok rocznie dołącza się procenta, bo każde nowe pokolenie dziedziczy od poprzedzającego nie tylko możność zrealizowania kapitału, lecz i możność powiększania go jeszcze.

Tak porzestając na elementarnych własnościach materii białkowych, zdołaliśmy wniknąć w samo serce teorii Darwina.

Dziedziczność i możność zastosowania się do zewnętrznych warunków, to główne dwa czynniki bez których rozwój organicznego świata nie byłby możliwym; a pod wpływem walki o istnienie i naturalnego wyboru, świat ten harmonijnie rozwijać się musiał.

Tak porównanie nasze choć w ciasnych bardzo ramach, objąć zdołało zjawiska obu światów, porównywaliśmy anorgany i organizmy, budowę ich i własności i nabyliśmy przekonania tego, że świat organiczny z koniecznością z anorganicznego rozwinąć się musiał, że oba stanowią jedną wielką całość rządzoną jednemi wielkimi prawami

Sprawdziły się słowa wyrzeczone przez Schwanna przed 30 blisko laty, że powstawaniem komórek nie kierują inne, lecz bardziej tylko skomplikowane prawa co powstawaniem kryształu, że organizm nie jest niczem innym, jak zbiorem napęczniałych kryształów.

Dawniejsze pojęcia o sile żywotnej, sile wyłącznie organicznej, ustąpiły miejsca jaśniejszym na rzeczy poglądom, i nastąpić musiało w morfologii, to co przed 40 już laty nastąpiło w chemii: ze wzrostem empirycznego materiału, upadły szranki dzielące oba światy.

Jeżeli świat żywotny i nieżywotny tak ściśle ze sobą połączono, któż dopiero oznaczy granice które dzielić mają nauki biologiczne od siebie, któż odróżnić zdoła zwierzę od rośliny? Wypadnie nam tu powtórzyć to cośmy raz już wypowiedzieli na wstępie, że granic między zoologią i botaniką niema, że granice te istnieć nie mogą.

Już Aristoteles znał cały szereg istot, do których zarówno dały się stosować charakter a roślinne i zwierzęce. Umieścił on te istoty po środku na granicach państw obu, a z licznych obserwacyj wyprowadzał wnioski, że w naturze istoty bez duszy przechodzą nieznacznie w istoty obdarzone duszą, i że połączone są szeregiem takich istot, które wprawdzie żyją lecz nie są zwierzętami; utrzymywał on dalej: że pierwiastek życia wzrasta nieznacznie od rośliny aż do duszy zwierzęcej, tak że śledząc baczniej za rozwojem całego szeregu organizmów, zaledwie rozróżnić od siebie można to, co najbliżej ze sobą spokrewnione.

Aristoteles był niezaprzeczenie największym naturalistą starożytności, i jak w tylu innych rzeczach, tak i w naukach przyrodzonych wyprzedził resztę ludzkości o całe lat tysiące.

Uczeni średniowieczni czytali, nauczali, komentowali Aristotelesa na różne sposoby, nie potrafili jednak nigdy wznieść się na wysokość stanowiska jego, zadanie to przewyższało nawet siły Lineusza. Suchy i nie płodny kierunek systematyczny owładnął nauką, a umysły zajęte ciągłym rozróżnianiem pojedynczych istot, przestały się nadal troszczyć o ich podobieństwo, analiza na chwilę zupełnie przygłuszyła syntezę w nauce.

*Vegetabilia vivunt non sentiunt, animalia vivunt et sentiunt, sponteque se movent*, to definicya Lineuszowska przetrwała prawie aż do naszych czasów, i godnem zapewne uwagi, że jednym z pierwszych którzy znów się odezwali w dawnym duchu Aristotelesa, nie był naturalista z powołania, a raczej sławiony poeta, że nim był Wolfgang Goethe,

Onto w Jenie, już w 1807 roku (1), następujące kreślił słowa:

Rośliny i zwierzęta najniższej budowy zaledwie rozróżniać się dają, i tyle tylko powiedzieć możemy, że istoty te rozwijają się powoli ze wspólnego źródła pokrewieństwa, w dwóch przeciwnych kierunkach, tak że roślina przybiera wreszcie silne i trwałe kształty drzewa, zwierzę zaś w człowieku wzrasta do najwyższej ruchomości i wolności.

Goethe starał się obeznac jak najdokładniej z całą ówczesną literaturą botaniczną, a terminologia Lineusza, jego elementa i filozofia botaniki stały się jego codziennym zajęciem.

Po Shakespearze i Spinozie, powiada on (2), największy wpływ wywarł na mnie Lineusz, a to głównie przez opozycją jaką wywołał we mnie. Kiedy bowiem starałem się wniknąć w jego tak ostre a tak zmyślne rozróżnianie, przejąc się jego trafności, tak odpowiedniemi celowi, a jednak często tak dowolnie stanowionemi prawami, uczułem w sobie jakieś wewnętrzne rozdwojenie, a to co Lineusz przemocą prawie starał się rozdzielać, musiało wedle najskrytszych potrzeb méj istoty do wspólnego dążyć zjednoczenia.

Tak mówił i pisał Goethe przed 60 laty, lecz walka przeciwko zasadom Lineusza nie była tak łatwą, tak prędką do rozstrzygnięcia. Było to pierwsze starcie nowszych pojęć z dawnymi pojęciami, walka trwać miała aż w najnowsze czasy, a z bogaczną w nowe elementa, po części trwa jeszcze.

Definicja Lineusza tak dalece ośwładnęła była umysły, że Réaumur przedstawiając akademii francuskiej w 1727 roku pracę Peyssonela lekarza w Marsylii, w której tenże raz pierwszy starał się dowieść natury zwierzęcej koralu, zamilczał nazwisko autora, żeby go nie narażać na ogólne pośmiewisko.

Korale podobnie jak rośliny przymocowane są do gruntu, nie zmieniają miejsca pobytu, zaliczono je więc pod ogólnym mianem Lithophyta do państwa roślinnego i dopiero gdy po stronie Peyssonela stanął sam Réaumur, Treymbley,

(1) Zur Morphologie von Goethe 1817. Strona XIII wstęp pisany w 1807 roku.

(2) l. c. p. XXII.

Jussieu i inni, gdy ogólnie przyznano naturę zwierzęcą Anthozoom, niemożność zmiany miejsca przestała być wyłącznym kryterium dla świata roślinnego.

Wtedy to ówczesni badacze poczęli rozróżniać między ruchem koniecznym i ruchem dowolnym i w tym ostatnim znów dopatrzeć chcieli wyłącznego charakteru zwierząt. Lecz charakter ten z natury swój zbyt już był nieokreślony by mógł się przyczynić do rozstrzygnięcia zadania i wkrótce stosownie do osobistego upodobania, jedni zaczęli upatrywać dowolność ruchu tam, gdzie drudzy widzieli tylko mechaniczną konieczność.

Tymczasem rozpowszechniający się coraz bardziej użytek mikroskopu, sprowadzał kwestye na nowe całkiem pole; poznano całe szeregi nieznanych dotąd istot, i przekonano wkrótce, że tutaj granicy między obu państwami szukać należy.

Chciano do nowo odkrytych istot, stosować dawne kryteria, tymczasem trudności zadania coraz się tylko mnożyły.

Nitkom Oscillarii wykonywającym tak dziwne nieraz ruchy, wielu autorów jeszcze na początku tego stulecia przypisywało ogon i głowę i uważało je za zwierzęta. Tymczasem Ingenhouss (1) odkrył ruchome zarodniki wodorostów, widział on jak kuleczki wypełniające wnętrze Conferwy rivularis i Tremelli Nostoc wydobywały się na zewnątrz, samodzielnie poruszały się w wodzie, i jak po pewnym przeciągu czasu zamieniały się znowu w Nostoc lub Conferwę. Obserwację tę potwierdzili u innych wodorostów Mertens (2), Nees ab Essenbeck (3), Agardh (4) i inni, lecz dopiero pierwszy Unger (5) dostrzegł, że zarodniki te pokryte rzesami. Widział on jak część zawartości jednokomórkowego wodorostu zwanego Vaucheria clavata odgraniczając się od reszty, skupiła się w owalną bryłkę, jak bryłka ta opuszczała komór-

(1) Ingenhouss: Vermischte schriften. II. 1784 r. 3 Abth. Wy-  
nalazek ten przypisują mylnie Nees ab Essenbeck'owi, albowiem Nees ob-  
serwacje swe odnośnie do tego przedmiotu ogłosił dopiero w 1814 r.

(2) Weber und Mohr: Beiträge zur Naturkunde. 1. 1805.

(3) Nees ab Essenbeck: Die Algen des süßsen Wassers nach ihrer  
Entwicklung dargestellt 1814.

(4) Agardh: de Matamorphose Algarum. 1820.

(5) Unger: die Pflanze im Moment des Thierwerdens. 1843.



kę macierzystą i za pomocą rzęsów swobodnie bujała po wodzie, jak wreszcie po pewnym przeciągu czasu bryłka ta powracała do spoczynku i przedłużała się w nową jednokomórkową roślinę. Unger nie wątpił o tém, że pochwyił chwilę, w której roślina staje się zwierzęciem i głosił zdanie, że jedna i ta sama istota może być naprzemian to zwierzęciem, to rośliną. Po stronie Ungra stanął Kützing (1), gdy przeciwnie Schleiden (2) oskarża obu o fantastyczny mistycyzm utrzymując, że takiem samem prawem jedna i ta sama istota mogłaby raz być rybą, to znowu ptakiem, raz wodorostem, to znowu różą, a nauki przyrodzone byłyby wtedy jedną wielką niedorzecznością.

Nie małych odtąd przyłożono starań by dopatrzeć się różnicy między ruchem zarodników a ruchem najniższych wymoczków i wynaleźć kriteria, któreby jedno od drugich dzieliły; starania te dotąd były bezowocne, przeciwnie ci którzy najwięcej pracowali na tém polu, jednomyślnie się zgadzają, że różnice te ruchu wcale nie istnieją.

Ostatnie wątpliwości ustąpić tu musiały po odkryciu Myxomicetów Plasmodii i zarodków kurezliwych, po ostatnich pracach de Baresi i Cienkowskiego.

Zauważono, że zarodniki niektórych grzybów wysiane w korzystnych warunkach, tracą swą zawartość i że zawartość ta w kształcie ruchomego zarodnika żywo porusza się w wodzie. Po pewnym przeciągu czasu ruchy zarodnika słabną, a żywa ta istota zamienia się w gnuśną amoebę, która powoli czołga się po wodzie. Zarodnik ruchomy stał się zarodnikiem kurezliwym, ruchy jego w niczem już się nie różnią od ruchów amoeby, i jak amoeba, tak i on jest w stanie przejmować obce ciała w swe wnętrze. Gdzie dwa zarodniki spotkają się ze sobą, zlewają się w jedną całość, objętość ich powiększa się coraz bardziej, aż wreszcie ze wszystkich zarodników powstaje jedna olbrzymia, amoeba, tyle sławne Plasmodium i dalej wykonywa swe ruchy.

Jeżeli zabraknie wody Plasmodium rozpada się na wielką ilość pojedynczych komórek okrytych błonnikami, komórki

(1) Kützing: Ueber die Verwandlung der Infusorien in niedere Algenformen 1844 r. i Phycologia generalis.

(2) Schleiden: Grundzüge der wissenschaftlichen Botanik; vierte Auflage 1861 p. 228.

te zwilżone, na nowo zlewają się w Plasmodium. Wreszcie Plasmodium dojrzewa, następują w jego wnętrzu różnorodne zmiany, cała masa zmienia się i wydaje właściwe ciało grzyba, peridium Myxomicetów, zaopatrzone w liczne zarodniki.

I gdzież zaliczyć te Myxomicety dzielące tak uporczywie wszelkie charaktera i roślin i zwierząt? zarodniki ich są kurczliwe pochłaniają obce ciała, owocnik zaś najoczywistszym jest grzybem.

Lecz ta wspólność własności na granicach państw obu przestaje nas dziwić po ostatnich pracach Colna (1), Brückego (2), Max. Szultzego (3) i Kühnego (4). Znakomici ci badacze kolejno wykazali, że substancya która stanowi istotę życia w obu państwach, że sarcoda zoologów i protoplazma botaników jest jedną i tąże samą istotą.

Max. Schultze łączy ją w obu państwach pod jednym wspólnem mianem protoplazmy, a ta jedność w głównej istocie składowej musi i jedność funkcyi za sobą pociągać; zacierą ona z koniecznością sztuczne między obu państwami granice, gdyż jednakie przyczyny zwykły wywoływać i jednakie skutki.

To też wszelkie odróżnienia, jakie stawiono, kolejno paść musiały, różnice cechujące extrema, na granicach wartość swą traciły.

Uważano kolejno za kryteria jednokomórkowość roślin z jedną, wielokomórkowość najniższych nawet zwierząt po drugiej stronie; przypisywano komórkom roślinnym większą niezależność niż komórkom zwierzęcym, braku błonnika u zwierząt, przeciwstawiano obecność zieleni u roślin i t. p.; własności te niewątpliwie charakteryzują oba państwa, na granicach jednak nieznacznie w siebie przechodzą.

Zresztą i u wyższych nawet zwierząt znaleziono błonnik, Karol Schmidt (5) a dalej Schacht wykazali go w płaszczu

(1) Coln: Nachträge zur Naturgeschichte des Protococcus pluvialis Nor. acta. 1850.

(2) Brücke: die Elementarorganismen Sitzungsber. d. Akad. der Wiss zu Wien 1861.

(3) Max Schultze: das Protoplasma. 1864.

(4) Kühne: das Protoplasma. 1864.

(5) Carl Schmidt: Zur vergleichenden Physiologie der wirbellosen Thiere 1845.

Ascidii, Stein (1) w cystach wielu wymoczków, zieleń zaś wedle Max. Schultzego (2) trafia się u wymoczków, u Hydry, nawet u Turbellarii.

Tak padły po kolei wszystkie kryteria, nowsze prace zatarły dawne granice, a teoria Darwina nowe na całość rzuciła światło.

Jeżeli prawda, że istoty wyższe rozwijały się z niższych, jeżeli prawda że one wszystkie w wspólnym źródle zaczerpały życia, jakże tu szukać granic między niemi?

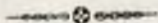
Podział Biologii na Zoologią i Botanikę przetrwa i nadal, lecz straci dawne swe znaczenie, i będzie już tylko podziałem pracy koniecznym przy olbrzymim wzroście materiału.

Będziemy i nadal wątpliwą istotę, to raz Zoologii, to znów Botanice zaliczać, lecz jedynie już tylko dla systematycznych względów, nie zapominając o tém, że przedział taki jest sztucznym, że w rzeczywistości istnieć nie może.

Zresztą przy dalszém rozróżnianiu zwierząt i roślin, nie będziemy już się opierać na pojedynczych jakichś najwyższych kryteriach, któreby na raz trudność rozstrzygały, lecz na całej summie wspólnych charakterów, na mniejszej lub większej analogii opartej na całej historyi rozwoju; a myśl harmonijna jedności wszelkiego bytu i nadal poszukiwaniom naszym przewodniczyć będzie.

(1) Stein: Die Infusionsthierc auf ihre Entwicklungsgeschichte untersucht. 1854.

(2) Max Schultze: Beiträge zur Naturgeschichte der Turbellarien. 1851.



# LARAICI.

PRZEZ

*Józefa Korczaka.*

---

## I.

Nie zdarzyło mi się nigdy znaleźć na żadnej mappie Szwajcaryi wioski Larsdorf, leżącej nad jeziorem Zürich, ani w żadnym przewodniku dla podróżujących po tym kraju wzmianki o wsi téj nie napotkałem; byłbym téż nie miał zapewne o nićj wiadomości, gdyby nie przypadkowo za-wędrowanie do téj ustroni, przy piechotnych moich po Szwajcaryi pielgrzymkach. I w istocie nie dziwię się, że miejscowość ta uniknęła baczości zwiedzających malowniczą krainę Wilhelma Tella, gdyż na zewnątrz żadną oddzielną szczególnością się nie wyróżnia. Położenie jój nad zachwycającem jeziorem, okoloném widokami dla poetów, malarzy i miłośników pięknej przyrody jakby umyślnie stworzonémi, jest dla widza nie wyczerpaném źródłem rozkoszy; lecz zalety takie są wspólne tylu cudownym miejscom górskich dolin i wyżyn alpejskich, że podróżnik nie pewny którym uboczom przyrody dać pierwszeństwo, znajduje się w ciągłym rozkołysaniu uczucia i piękności, napa-wa się z równym zachwytem ciągle przesuającémi się, choć zawsze nowemi krajobrazami. Obojętną jest rzeczą dla czytelnika, jakim zdarzeniom winienem skierowanie kroków moich do Larsdorfu, to tylko nadmienić muszę, że gdy w jed-nój z wiosek poblizkich oznajmiłem chęć udania się do miejsca które mnie już zdaleka ujęło przyjemnym sielskim

obrazem, objaśniono mnie że znajdę się w siedzibie Laraitów i że pewnie gościnnie od nich przyjęty będę. Z razu nie zwróciłem uwagi na nazwę Laraitów, ludności téj nadaną, tylko przyswajając sobie z ufnością wzmiankę o jéj gościnném usposobieniu, z tém większą ochotą puściłem się ścieżką idącą kręto, to nad samym brzegiem jeziora, to wśród wąwozów i zagajeń najbogatszą roślinnością urozmaiconych. Gdy już do pierwszych domostw Larsdorfu dochodził, uderzył mnie niepospolity ruch w wiosce panujący i świąteczne niejako jéj przybranie, którego, jako w dzień powszedni wytłumaczyć sobie nie mogłem. Największe zebranie ludności było przed domem fantastycznie na wzniesieniu stojącym, mającym wszystkie, a tak dobrze zuane cechy, szwajcarskiej budowli do zamożnego i rządowego gospodarza należącej, okolonéj porządnymi zabudowaniami użytkowemi i życiem objawiającém się w każdym szczególe. Poznany na samo wejście jako wędrowiec, ujrzałem wszystkie niemal oblicza na mnie zwrócone; lecz w nich prócz ciekawości tylko łagodną przychylność wyczytać mogłem, a za chwilę zbliżył się do mnie poważny i przyjemnego obejścia staruszek, zapraszając jako miejscowy gospodarz, abym w jego mieszkaniu spocząć zechciał i połączyć się z liczném towarzystwem które nas okalało. Chętnie zadosyć uczyniłem téj uprzejmój prośbie, lecz zarazem wyraziłem obawę, stania się natrętnym tak gospodarzowi jako i jego przyjaciołom, widząc iż mieszam się niespodziewanie do jakiejś uroczystości, która jest dla mnie obcą.

— I owszem — odpowiedział staruszek — wielką pan nam przyjemność sprawisz pozostając z nami, i przytem będziesz mógł być świadkiem obrzędu nie często powtarzającego się, lecz odwiecznym u nas zwyczajem uświęconego.

Ta ostatnia wzmianka więcéj jeszcze zachęciła mnie do zatrzymania się w Larsdorfie, a gdy, przy podanym mi obfitym, choć skromnym posiłku, bliżéj zacząłem się obznajamiać z otaczającemi mnie mieszkańcami, zajęcie moje wzrastało w miarę dowiadywania się o różnych szczegółach miejscowych, niezwyčajnością i jakąś starożytną prostotą technących. Gospodarz moj, Wilhelm Larsberg, zapoznał mnie zaraz z synem swoim Hansem, którego ślub z młodą narzeczoną był właśnie przedmiotem dzisiejszego obchodu. Przyznałem

że ta uroczystość rodzinna, wielce musi być dla niego przyjemną, lecz cały urok spodziewanego jakiegoś szczególnego widowiska znikł z mojej wyobraźni, sądząc iż ujrzę zwyczajny weselny obrzęd. Jednak z błędu tego wyprowadzony zaraz zostałem, gdy stary Wilhelm dodał:

— Nie wspominałbym nawet panu o tój okoliczności, gdyby syn mój tak jak inni, szedł na własne gospodarstwo pojmując młodą i zącą dziewczynę przez siebie wybraną; lecz, widzisz pan, mój syn jest Larem i dlatego wszystkich Laraitów ożenienie jego mocno obchodzi; to też uroczystość dzisiejsza wielkie ma znaczenie, nie tylko dla mnie, ale i dla całej naszej rzeszy.

— Wybaczysz mi szanowny gospodarzu — odrzekłem — że jako obcy w tych stronach, znaczenia twoich wyrazów nie pojmuję; a chociaż mi już w sąsiedniej wiosce o Laraitach wspomiano, więcej objaśniony o tym przedmiocie wcale nie jestem i racz mi bliżej rzecz wytłumaczyć.

— My wszyscy — rzekł Wilhelm — od wieków osiadli w tój wiosce, a jest nas z górą tysiąc głów, zaliczamy się do jednego rodu, lub przynajmniej, jeżeli pan chcesz do jednego plemienia, którego głową uznajemy ojca Lara, będącego przed niezliczonemi wiekami podstawą i założycielem naszego szczepu. Nie łączymy się z innemi plemionami, ale też rozszerzać się ani mnożyć nie pragniemy. Córki nasze mogą wychodzić za mąż do innych wsi, nawet do innych kantonów szwajcarskich, i to ciągle się zdarza; ale od tego czasu do Laraitów się nie liczą i ten tylko zachowują przywilój, że ich córki lub wnuczki, lecz nie dalej, mogą łączyć się z młodymi Laraitami, a wtedy już jako mężatki napowrót do naszego szczepu wchodzą. Przeciwnie chłopcy ze wsi naszój, mają tylko pozwolenie brać za żony prawdziwe Laraitki, lub takie dziewice, które jak powiedziałem w drugim lub trzecim stopniu, wprost od Laraitki pochodzą. Jak zapamiętają tutaj najstarsi ludzie, a i ja, siedmdziesiąty piąty już rok liczę, nie wydarzyło się między naszą młodzieżą uchybienie temu prawidłu. I ta oto przyszła moja synowa Liza, która musi się panu podobać, bo wysmukła jak kózka, a czerwieni się jak jabłuszko, jest wnuczką dawnego mojego sąsiada Friedricha Larsblana, którego rodzina tu wygasła, ale którego córka wyszedłszy za mąż aż w kanton Berneński, dała

życie tój oto miłej dziewczeczce. To też i syn mój i ona pewni są mego błogosławieństwa i spodziewam się że Pan Bóg dozwoli im żyć szczęśliwie i bogobojnie.

— Jednak — odezwałem się — w tój waszej osadzie musi być dużo oddzielnych rodów, gdyż jak sami powiadacie jednej nie tworzycie rodziny, a ztąd zapewne wynikają coraz nowe w ludności zmiany.

— Bynajmniej — odpowiedział Wilhelm — pokrewni wszyscy jesteśmy, lecz w stopniach tak dalekich, że się i pamięć tych związków zatarała; mamy jednak pewność pochodzenia z jednego szczepu, gdyż nie ma u nas żadnej rodziny, którójby nazwisko nie zaczynało się od zgłoski Lar. I w istocie odwieczne podania nas zapewniają, że wszyscy nasi przodkowie tak jak i my byli czystymi Larami pochodzącymi od ojca Lara i matki Lary, tylko różni różne otrzymywali przydomki, które z upływem czasu zamieniły się w rodowe nazwiska. I tak mój przodek mianował się Lar z góry, i dlatego moja rodzina zowie się Larsberg. Dziad mojej przyszłej synowej był z rodu Lara błękitnego, Larblau: mamy też inne rodziny Lara mocnego, Larfest; Lara od kamienia, Larstein, Lara od skały, Larfelt, i wiele innych. Jest nas teraz sto kilkadziesiąt rodzin, a wszystkich nas zowią Laraitami i my sami nazwanie to za chlubne uważamy.

Lecz dla czegoż, szanowny Wilhelmie, nazwałeś syna swego Larem, jakby się od reszty waszego plemienia odróżniał?

— To także z odwiecznych podań naszych pochodzi. U nas czas wspomnień plemiennych liczy się według pokoleń, a każdego pokolenia najstarszy członek zawsze pierwotne imię Lara nosi.

Po jego śmierci, pierwszy młodzian zachodzący w związku małżeńskie staje się Larem i zostaje nim do końca życia a tak ciągle następuje jedno pokolenie po drugiem, chociaż mogą one być bardzo nierówne co do długości czasu. Za mego życia trzeciego Lara obchodzimy wesele, a choć zdarzało się że od ślubu Lara upływało pięćdziesiąt lat i więcej nim nowy po nim następował, w innych znowu razach Lar żył bardzo krótko, można jednak liczyć, że w biegu wieków, więcej jak trzy pokolenia na lat sto nie odnawiają się.

— Czy Lar ma u was szczególne jakie przywileje i wykonywa jaką władzę?

— O! wcale nie; prawa nasze są ogólnemi prawami rzeczy-pospolitej Szwajcarskiej i kantonu Züriehskiego.

Tylko ze ślubem Lara łączy się nasz odwieczny plemienny obchód wydobycia najdroższego po ojcu Larze zabytku i zaznaczenia na nim początku, nowego pokolenia. Jakim jest ten zabytek, przekonasz się pan naocznie, gdyż dzisiaj zmienimy mu mieszkanie.

Objaśniam zawczasu, że to jest przedmiot jak się zdaje kamienny, w kształcie tablicy, wielkości blisko metra kwadratowego, zamknięty w drewnianej skrzyni, w której złożona jest także krzemienna siekierka. Zwyczaj przodków naszych nakazuje, ażeby każdy nowy Lar sprawił nową drewnianą skrzynkę dla tablicy i nowe toporzysko dla siekiery.

Stare zaś, sam Lar musi porąbać, a żona jego w dniu ślubu, drzewem tém upiec chleb, który przy wspólnej spożywa się uczie. Podanie niesie, że dawniej porąbanie skrzyni nastąpić było powinno kamienną siekierką. Lecz już oddawna tę część zwyczaju zarzucono i tylko dla jego przypomnienia, Lar kilkakrotnie siekierką kamienną uderza, a porąbanie zwyczajnemi narzędziami dokonywa.

— Czy nie macie, zapytałem, żadnej bliższej wiadomości o początku i znaczeniu tych waszych obrzędów?

— I owszem, rzekł jakby z obrazą Wilhelm. Przechowują się u nas wszystkie niemal szczegóły życia ojca Lara i jego żony. Właśnie w dzień rozpoczęcia nowego pokolenia, jak dzień dzisiejszy, na zebraniu całego naszego plemienia, najstarsi jego członkowie opowiadają wszystkim zgromadzonym przygody ojca Lara, jak je od swoich rodziców słyszeli, a tym sposobem pamięć tych wypadków nigdy nie ginie i z jednego do drugiego przechodzi pokolenia. Będziesz Pan i dzisiaj słyszał całą tę cudowną naszą opowieść, która jest skarbem dla nas nieoszacowanym, z największemu poświęceniem i miłością strzeżonym.

Ciekawość moja coraz więcej temi szczegółami podniecona, zwrócona jeszcze została w inną stronę, gdzie zgromadzenie coraz się powiększało.



## II.

W niejakiój odległości od domu Wilhelma, wznosiła się nowa murowana budowla, której wysoko wyprowadzony komin wskazywał odrazu, że to jest jakiś zakład fabryczny posługujący się siłą maszyny parowej. Zapytany przezemnie Wilhelm cobyto było za zabudowanie, odpowiedział, iż to jest nowo wzniesiony młyn mechaniczny wraz z udoskonaloną najnowszemi odkryciami piekarnią.

— Przez długi ciąg mojego gospodarstwa, mówił Wilhelm, dorobiłem się nie mało grosza, lecz przedewszystkiem myślałem o wykształceniu swego jedynaka, aby zarobek ciężkiej i wytrwałej mojej pracy nie poszedł w marne ręce i był użyty na chrześcijańskie, to jest korzystne dla całego naszego społeczeństwa cele. Mogę się też pochwalić, że Hans dotychczas moim staraniom odpowiada i wszyscy mu tę sprawiedliwą oddają zaletę. Po ukończeniu koniecznych pierwotnych nauk w naszej ojczyźnie, posłałem go do Instytutu politechnicznego w Paryżu, gdzie z zamiłowaniem oddał się badaniom tak potrzebnym w naszej epoce przemysłu i rozumnych przedsięwzięć. Hans pozostał prostaczkiem na pozór, lecz zdobył wielki zapas wiedzy, który, spodziewam się, poprowadzi go w dalszém życiu po drodze pracy i prawości. Pozostawiłem mu wybór szczególnej gałęzi wiadomości, jakiej chciałby się poświęcić, a gdy nauki politechniczne ukończył, i niejaki czas ich praktyce poświęcił, oświadczył mi zamiar zajęcia się wystawieniem wielkiego młyna mechanicznego, któryby całą naszą okolicę, w potrzebne zaopatrywał wyroby i na dalszy handel je przysposabiał. Zgodziłem się na ten zamiar i przeznaczyłem na jego urzeczywistnienie nie mały fundusz, w nadziei, że Hans z zapałem i wytrwałością które go cechują, zdoła umięjętnie i korzystnie zakład ten poprowadzić. Już parę lat nad tém znakomitým przedsięwzięciem pracujemy i dziś oto przy tak wielkiej dla nas uroczystości, następuje także pierwsze wprowadzenie w ruch młyna mechanicznego.

— Lecz wspominaleś mi, ojcze Wilhelmie, że i piekarnia wzorowa, ma być także przy tym zakładzie urządzona. To

jest już oddzielne przedsięwzięcie, cóż więc was mogło spowodować do połączenia obu?

— To, odrzekł Wilhelm, należy już do czysto osobistej historii Hansa. W przejażdżkach swoich, wywołanych urządzeniem młyna, zatrzymał się czas dłuższy w Bernie, i tam poznał dzisiejszą swoją oblubienicę Lizę, do której młode serce bystro się zapaliło i wkrótce wzajemność pozyskało. Liza jest córką zamożnego piekarza z Bernu i od dzieciństwa była wtajemniczona we wszystkie szczegóły tego najużyteczniejszego rzemiosła. Lecz ojciec Lizy nie jest to taki zwyczajny wyrobnik; umie on iść za postępami swjej sztuki i córkę wychował w zamiłowaniu nauki i pracy. Młoda piekareczka, jeżeli nie przy książce, to była przy gospodarstwie w piekarni, a jej rozważny umysł takiego wkrótce nabył doświadczenia i hartu, że się stała prawą ręką ojca, a jej bułeczki i rozliczne ciasta, nabrały wielkiego rozgłosu nie tylko w Bernie, ale i w całym Oberlandzie; dotąd też bułeczki Lizy trzymają tam między wszystkimi innymi pierwszeństwo. Żal było Lizie opuszczać piekarnię ojca, która stała się widownią jej ulubionego zatrudnienia, a nawet zasłużonej sławy. Postanowili więc z Hansem, iż przy zmianie swego położenia rodzinnego, nie zmieni ona zajęcia w którym już takiej nabyła biegłości, i ze wspólną uciechą i gorliwością zajęli się urządzeniem przy zakładającym się młynie, wzorowej i udoskonalonej piekarni, która pod wyłączeniem kierunku Lizy pozostanie.

Widzisz więc, szanowny gościu, że się dla dzieci moich obszerne pole działania rozwija; młode siły i odważny rozum będą niemi kierowały, a mnie staremu pozwolą nieco odpocząć po całym życiu trudów i pracy, tudzież z większą jeszcze jak dotąd pilnością, poświęcić resztę ziemskiej mojej wędrówki, ulubionemu przedmiotowi badań oddawna poszukiwanych, których już spore posiadam owoce.

— Cóż jest przedmiotem tych badań? — z zajęciem zapytałem.

— Przeszłość i to najodleglejsza przeszłość, odpowiedział Wilhelm, stawiała mi zawsze niezliczony szereg zapytań, na które szukałem odpowiedzi w zabytkach, jakie nam przeszłość ta przekazała, a które trzeba tylko nauczyć się pozna-

wać, rozróżniać i oceniać. Przy takim badaniu stają się one wkrótce zrozumiałemi głoskami wielkiej księgi dziejowej, a im więcej się w nie wczytujemy, im głębiej zapuszczamy się w tajemnice na pierwszy rzut oka zupełnie nieodgadnione, tém jaśniej odkrywa się przed nami obraz najdawniejszych losów ludzkości, zasłonięty oponą którą zwolna odchylając znajdujemy zadziwiające i wiele nauczające wypadki.

Pojmujesz pan, że nasza rzesza, tak chlubne posiadająca wspomnienia wiekuistych swoich od ojca Lara początków, ma ciągle myśli i dążenia ku téj przeszłości skierowane.

Tu właśnie, daleko w obszar wód jeziora Zürich, dopóki tylko niewielka głębokość dna dozwala, ciągną się szczątki pałów jeziornéj wioski, jaka przed niezrachowanemi wiekami była ojczyzną ojca Lara, a która dotąd i naszą ojczyzną zwać się może, bo tylko z upływem czasów, z wód cofnęliśmy się na ląd i wszechmocną siłą Opatrzności dotąd na tym świętym utrzymujemy się gruncie, ufni w nadzieję że i najpóźniejsi nasi potomkowie też samą od Boga im przeznaczoną dzielnicę zachowają. Otóż tę naszą tajemniczą ojczyznę badam z zamiłowaniem od lat wielu.

Przy małych wprawdzie środkach, lecz przy chętnéj bratniej pomocy całej miejscowej ludności, nasze zbiory i owoce badań coraz się powiększają.

Mamy już znaczne nagromadzenie zabytków epoki tak zwanéj kamiennéj i późniejszych bronzowéj i żelaznéj, które nas już mniej obchodzą, bo wkraczają w dziedzinę zwyczajnych pisanych dziejów, bardzo świeżych dla nas, szczytających się nieskończenie dawniejszą przeszłością. Z głębi jeziora i z okolicznych gruntów, zebrał się zapas rozlicznych narzędzi z kamienia i innych twardych kamieni wyrabianych, których użytek widocznie może być rozpoznany; są to większe lub mniejsze noże, kliny, siekierki, ostrza strzał i różnej broni, wszelakie gospodarskie lub wojenne narzędzia. Z wyrobów glinianych niewątpliwie do codziennego domowego służących użytku, najdawniejsze mniej kształtne i tylko z suszonej gliny lepione, wydoskonalają się w późniejszych wiekach na dokładnie wypalane, a wreszcie dochodzą do ozdoby i trwałości etruskich naczyń. Kościane wyroby są rzadsze, lecz nie mniej cenne i stanowią zwykle ozdoby i przybory ubrania. Takie téż z wieków późniejszych mamy szczegóły

bronzowe, odznaczające się nieraz bardzo zręcznym i pięknym wyrobieniem.

Lecz osobny i może najważniejszy dział zbiorów stanowią szczątki dawnych organicznych stworzeń, których nauka geologii tak umiejętnie używa do oznaczenia wieku warstw ziemnych i do tłumaczenia zmian, jakim lądy i wody ulegały, wreszcie do przekonania się od jak dawnych czasów ród ludzki na ziemi naszej panuje, jakie przebywał stopniowo koleje i jak panowanie swoje stopniowo rozpościerał. W tym oddziale zbiorów najbogatszym w muszle, jest także bardzo wiele kości zwierząt kręgowych, bądź tak zwanych przedpopowych, to jest które w krajach naszych zupełnie znikły, bądź podobnych zupełnie do dziś istniejących. Mamy także i kilka najrzadszych zabytków ludzkich kości, które nie tylko do naukowych badań są najszacowniejsze, ale które my w szczególności za rodzinne relikwie uważając, ze czcią i uszanowaniem przechowujemy.

— Czy będę mógł zwiedzić i zbadać, zapytałem, te tak drogie dla nauki zabytki?

— I owszem; zbiory te trzymamy otworem dla tych, którzy je ocenić i szanować umieją. I ten przedmiot z dzisiejszą naszą uroczystością jest połączony, gdyż w gmachu nowo wzniesionym, którego główne przeznaczenie jest zakład przemysłowy, oddzieliliśmy kilka izb obszernych i wygodnych, dla pomieszczenia naszego muzeum starożytności i dziś także ten przybytek naukowy, pierwszy raz, po zupełnym uporządkowaniu, zostaje otwarty. Hans podziela moje zamilowanie do przedwiekowych starożytności, i przy innych swoich zajęciach, znakomicie wydoskonalił się w całej tej archeologicznej nauce.

Dlatego chętnie i ja i cała nasza rzesza zgodziliśmy się na pomieszczenie zbiorów w jego zakładzie, pewni będąc że nie może być staranniejszej i umiejętniejszej powierzony opiece.

Miałem zamiar dalsze jeszcze czynić zapytanie mojemu gospodarzowi, gdy zostaliśmy zawiadomieni, że wszystko do obrzędu ślubnego Hanza i Lizy, tudzież do uroczystości Laraitów i otwarcia zakładu przemysłowego jest przygotowane. Całe więc zgromadzenie ruszyło się z miejsc bez porządku dotąd zajmowanych i udało się najprzód do miejsc

wój świątyni pod przewodnictwem starego Wilhelma, który ze szczególną dobrocią zajmował się ciągle zapewnieniem mi dogodnego miejsca, abym wszystko mógł dokładnie widzieć i słyszeć.

### III.

Państwo młodzi bardzo słusznie na to miano zasługiwali i odpowiadali w zupełności wyobrażeniu, jakie sobie czynimy o dobranej i hożej parze losy swe łączącej. Postawa i twarz Hanza, pełne zdrowia i życia, odznaczały się tą pierwotną jędrnością i szczerą otwartością jakie zwykle góralów cechują; lecz obok tego, wyraziste rysy jego, wysokie czoło, przenikliwe oczy, wskazywały wyższe pojęcie i rozum, myśleniem tudzież pracą wyrobiony. Liza bardzo dobrze przez teścia do czerwonego jabłuszka przyrównana, miała tę czerstwość i pogodę, które łączą się tylko z niewinną duszą i gorącym sercem.

Lecz we wzroku jój, obok nieudanej skromności, zawierała się zniewalająca powaga i zrozumienie całej ważności życia, obowiązkiem i chęcią postępu kierowanego. Kibić jój nie można powiedzieć żeby była powiewna i chwiejna; owszem pewna siła w niej przemagała, lecz zgrabność kształtów, brak delikatności wynagradzała. Przy obrzędzie ślubnym oboje narzeczeni wykonali wzajemne przysięgi bez zbytecznego roztkliwienia, wszakże z widocznym wzruszeniem i pojęciem wielkości słów wymawianych; a gdy po wyjściu z kościoła, cała rzesza skierowała się do miejsca przeznaczonego na uroczystość Laraitów, Hans z Lizą wzięwszy się pod rękę, wydawali się parą oddawna już połączoną, jedną myślą i jednemi chęciami ożywioną.

Wilhelm jako jeden z najstarszych we wsi, i jak się przekonałem, wielce przez swych plemienników szanowany, powiodł całą a liczną rzeszę ku środkowi wsi, gdzie pod starymi dębami w koło zasadzonymi znajdowało się murowane niskie sklepienie, żadnymi nie ukraszone ozdobami, tylko mocnymi zamknięte drzwiami. Tu dobył wielki klucz, drzwi otworzył, wszedł wewnątrz sklepienia z Hansem i kilku innymi mieszkańcami, a po chwili wynieśli oni drewnianą

skrzynię i umieścili ją na przyległym pagórku, obok innej nowój już tamże stojącój.

Gdy wszyscy obecni otoczyli wielkiem kołem pagórek, Wilhelm wyjął ze skrzyni, z pomocą Hansa przechowywany w niej zabytek i postawili go na skrzyni, trzymając w położeniu stojącym tak aby od obecnych mógł być dobrze widziany, a Wilhelm poważnym i donośnym głosem zawołał:

„Przed latami, przed wiekami, żył nasz ojciec Lar; on zostawił tę tablicę, dla swoich potomków. Na niej wyrył ostrém dłutem, dwa wielkie wypadki, które jego sławne imie synom przekazały. Niechaj wszyscy Laraici tu się zbiegną wkoło, niech z nich każdy bystrém okiem świętość swą ogląda. Bo wam mówię, bracia mili i wy zacne siostry, ciężkoby nam było tutaj, na tym pięknym świecie, gdyby prace ojca Lara, z naszą matką Larą, nie były nam sprowadziły dni jasnych i błogich.

Więc na lata i na wieki, niech ich szczęsna pamięć u każdego Laraitu w sercu nie zagaśnie!”

Po tój przemowie, która od niepamiętnych czasów w tym samym sposobie jest powtarzana, nastąpiło przystępowanie do tablicy przez wszystkich obecnych, którzy z największą ciekawością ją oglądali, gdyż ponieważ ostatni raz uroczystość Lara obchodzona była blisko przed trzydziestą laty, w r. 1832, większa część mieszkańców, mianowicie cała młodzież wcale jej nie widziała. To oglądanie trwało przeszło godzinę, w czasie której trzymający tablicę coraz się zmieniali, ażeby utrudzeniu zapobiedz, i żeby wszystkim zostawić dosyć czasu i sposobności do jej obejrzenia. Można miarkować że ja byłem jeden z pierwszych których ciekawość zaprowadziła blisko tablicy dla najdokładniejszego przyjrzenia się zabytkowi Laraitów i przez cały prawie czas wystawienia jego na widok publiczny, wcale go nie odstępowałem badając wszelkie szczegóły i zaciągając objaśnień bądź od Wilhelma, bądź od kilku stanów w zgromadzeniu znajdujących się. Mogę więc zabytek ten bardzo dobrze opisać.

Pierwotna wzmianka jaką mi Wilhelm o nim uczynił, jest zupełnie prawdziwa, gdyż w istocie stanowi on tablicę, z wapienia dość miękkiego, kształtu czworokątnego, cokolwiek podłużnego, mogącego mieć około metr jeden na długość, a około 9ciu decymetrów na szerokość. Grubość dochodzi

od 8miu do 15stu centymetrów, gdyż tylna jej powierzchnia nie jest wcale obrobiona i jakby prosto ze skały wycięta przedstawi różną wklęsłość i garby. Lecz krawędzie od strony prawej dość ostro obcięte, w niektórych tylko miejscach okazują się cokolwiek poszczerbione i jeden róg nieco obłamany. Dwie z tych krawędzi są wypełnione bardzo gęstymi i dość regularnie przy sobie stojącymi nacięciami. Trzecia krawędź od dołu, jest także prawie do połowy podobnemiż nacięciami opatrzona, a na zapytanie moje o znaczenie tych nacięć, objaśniono mnie, że wykonywa się jedno takie nacięcie, za każdym wyjęciem tablicy ze skrzyni, to jest przy obchodzie, tak jak dzisiejszy, otwarcia nowego pokolenia i ślubu nowego Lara.

Lecz najbardziej mnie uderzyła sama rzeźba na tablicy wykuta. Dzieło to jest bardzo grubej i nie wprawnej ręki, jednak dobrze wpatrzywszy się w te wypukłości ogólny kształt przedstawiające, nie mało zdziwiłem się rozpoznawszy wyobrażenie ogromnego zwierzęcia, które pomimo niekształtności we wszystkich swych częściach przedstawia budowę słonia, gdyż jest widoczna długa trąba i ogromne dwa kły w górę podniesione i w końcach na wewnątrz bardzo widocznie, prawie węzowato zagięte. Można także poznać ogromne wiszące uszy, kadłub lekko tylko u góry zaokrąglony i niezgrabne cztery nogi więcej do wielkich słupów jak do członków zwierzęcia podobne. O ogromie zwierzęcia, zapewne jeszcze przez twórcę rzeźby powiększonego, przekonywa rozmiar dwóch osób na karku zwierzęcia siedzących, które zaledwie trzecią część wielkości uszu jego dochodzą. Lubo wyobrażenie tych dwóch osób więcej jest zatarte jak reszty rzeźby, z powodu małych rozmiarów, jednak wyraźnie widzieć można, że jedna z nich jak się zdaje mężczyzna, ma rękę do góry podniesioną z jakąś włócznią lub bronią, druga, zapewne kobieta trzyma w obu rękach okrągły przedmiot, wyobrażać mający, podług podania Laraitów, wielki bochenek chleba.

W ogólności nie mogę zaprzeczyć że ta tablica Laraitów nosi na sobie wszystkie cechy najodleglejszej starożytności.

Gatunku kamienia, dla braku czasu nie mogłem z zupełną ścisłością oznaczyć, ani przekonać się czy pochodzi ze skał w okolicy znajdujących się. W wyobrażeniu

zaś zwierzęcia, musiałem uznać, kopalnego słonia czyli mamuta (*elephas primigenius*), o czém mnie w zupełności przekonał kształt kłów, a nawet jak się zdaje, chęć rzeźbiarza wyrażenia kędzierzawego runa na całym ciele, gdyż wiadomo że mamuty gestą siercią były pokryte. Długi czas uczeni wątpili czy mamut żył na ziemi łącznie z człowiekiem. Dawniejsze teorye geognostyczne, przypuszczające nagłe przewroty w ukształtowaniu globu ziemskiego, zbyt jednostronnie zapatrywały się na rozwijanie się na nim życia organicznego i zwykle wielkiemu powszechnemu potopowi przypisywały zatracenie rozlicznych zwierząt i roślin dziś wcale nie żyjących, o istnieniu rodu ludzkiego zakreślały bardzo szczupłe, zaledwie kilkadziesiąt wieków sięgające granice. Dzisiaj nauka geologii i archeologii znakomite pod tym względem uczyniła postępy i przekonała nie tylko o bardzo długich szeregach wieków, jakie w życiu kuli ziemskiej potrzebne były do utworzenia różnych pokładów ziemnych i kruszczowych, ale nadto dowiodła że istoty organiczne, w wielowiekowych zmianach, podlegały stopniowemu rozwijaniu się jednych, a niknięciu drugich, że mianowicie ród ludzki jest bez porównania dawniejszym mieszkańcem ziemi jak zwykle chronologiczne rachuby wskazywać zdają się; że wreszcie wszystkie prawie wielkie zwierzęta kopalne, dziś zatracone, żyły na ziemi długie wieki jednocześnie z człowiekiem i dopiero w następstwie czasów wygasają.

I tak, o jednoczesności istnienia ludzi i mamutów przekonały poszukiwania uczonych archeologów i geologów we Francyi pp. Boucher de Perth, Rigollot, Quatrefage Trogon; w Anglii pp. Mac Enery, Falconer, Prestwich, Lyell, Darwin i wielu innych; w Niemczech, krajach Skandynawskich i Ameryce. Lubo bardzo jeszcze mało znaleziono szczątków kościotrupu ludzkiego w pokładach geologicznych odpowiadających zaginionym dziś faunom i florom, lecz dowody przemysłu ludzkiego w warstwach tych obfitują. Są to po większej części wyroby kamienne już powyżej wzmiankowane, odnoszone do tak zwanój epoki kamiennój. Poszukiwania gorliwie się wszędzie prowadzą i zapewne do coraz wyraźniejszych i więcej szczegółowych wypadków doprowadzić będą. Lecz już dzisiaj można niejaki stanoweze wyprowadzić wnioski a mianowicie: że ród ludzki przez bardzo



długie wieki musiał walczyć z potęgami przyrody, nieporównanie silniejszymi od tych jakie dziś widzimy; że przeciwnie człowiek, lubo pojedynczo nieraz większą mocą fizyczną i muskularną obdarzony, uważany zbiorowo posiadał tak słabe siły do opierania się ogromnym i strasznym zwierzętom i innym działaczom przyrody, że całe jego istnienie i wszelkie zdolności umysłowe tudzież organiczne, wysilone być zawsze musiały, na tę jedynie nigdy nie ustającą walkę, i dlatego niezliczonych potrzeba było wieków usiłowań i trudów, zanim człowiek przyszedł do opanowania najstraszniejszej przemocy przyrody, i zanim w stopniowych i nadal powoli posuwających się odkryciach, potrzebie i przypadkom zawdzięczanych, zdobył możliwości istnienia łatwiejszego i zgodniejszego z jego ustrojem.

O tych wielkich, lecz licznymi wiekami od siebie oddalonych przemianach, przekonywają także podania i mitologiczne wyobrażenia wszystkich ludów. Poświęcenie się rolnictwu i pozyskanie zdrowego, niczem zastąpić się nie dającego pokarmu roślinnego w chlebie ze zboża otrzymywanym, jest właśnie owocem tych niezliczonych wieków prób i usiłowań, na które dzisiaj wcale nawet uwagi nie zwracamy, a które w dziejach rodu ludzkiego stanowią najważniejsze i podstawowe dla dzisiejszych pokoleń nabytki. I dzisiaj cała potęga geniuszu i umysłu ludzkiego walczy z przyrodą i ciągle nad nią odnosi zwycięstwa.

Lecz jakżeż broń ludzka do walki tej się wzmogła, a jak opór przyrody zmalał. Dość spojrzeć na potęgę maszyn i siłę wynalazków.

Te ogólne uwagi przysły mi na pamięć, przy pierwszym oglądaniu starożytnego zabytku Laraitów i wystawiłem sobie jednym rzutem wyobraźni, różnicę jaka istnieć musiała w myślach, zajęciach, usiłowaniach i dziełach ludzi żyjących za czasów Lara, od praw społecznych dzisiejszych pokoleń.

Nie mogłem więc wstrzymać niepohamowanej ciekawości usłyszenia tego co podanie o samym Larze zachowało, lecz dowiedziałem się że ta część uroczystości poprzedzona jeszcze będzie zniszczeniem dawniej skrzynki przez dzisiejszego Lara.

Jakoż przystępując do tego dzieła, Hans pochwyił siekierkę krzemioną ze skrzynki wyjętą, i podnosząc ją do góry a uderzając w skrzynkę wołał po trzykroć:

„Przed latami, przed wiekami, kamień Lara leżał tu, i na lata i na wieki, niech ten kamień leży tu.”

Po czém schwycił zgrabny i bardzo ostry własny topór i w krótkim czasie ułożył z porąbanej skrzyni wiązkę drewna, następnie wyjął rękojeść krzemienną siekierki, zasadził nowe przygotowane toporzysko, a stare dorzucił do drzewa ze skrzynki otrzymanego. Tablicę kamienną wraz z krzemienną siekierką położono na nową skrzyni i pozostawiono ją tam aż do czasu ukończenia uroczystości i zamknięcia starożytnego zabytku w nowo przysposobione schowanie, a tymczasem przystąpiono do opowiadania dziejów Lara, które rozpoczął stary Wilhelm odzywając się do wszystkich zgromadzonych w te słowa:

#### IV.

„Przed latami, przed wiekami, kraj nasz leżał pod lodem. Wieczna zima w nim panowała, tylko przez kilka tygodni letnich niektóre boki gór ze śniegu otajawszy, wydawały wątle trawy i blade porosty. Ludzi w tym kraju nie było, bo zimno ich odpychało. Ale wspaniałe zwierzęta między sobą bój wiodły; niedźwiedzie białe i sarny wzajemnie się uganiały, a grube ptastwo, bezpiecznie puchem okryte w jaskiniach skał gnieździło się. Potém nadeszły wieki w których lody znikły, tylko na wierzchołkach lodowce się utrzymały. I te lodowce coraz zsuwając się na dół topniały, odpływały w kształcie rzek wspaniałych i zbierały się w postaci jezior głębokich. Ludzie z południowych okolic ujrzeli że kraj nasz jest piękny; i łąki zielone im się podobaly i lasy gęste wabiły, i obfitość zwierzwa obiecywała bogactwo okryć ze skór swoich a dostatek pokarmu z pożywnego mięsa. Przyszli ludzie od południa i znalazłszy powabne jezioro, przy niém się zatrzymali.

Tu, rzekli, zbudujemy sobie mieszkanie, aby i inni i następcy nasi mogli się w niém rozpościerać. Ostrożniejsi z nich mówili: może znówu kraj zamarznie jak o tém wiedzieli dziadowie i pradziadowie nasi; niebezpieczno nam bracia w tém siedlisku zostawać.

Ale młodzież zawsze odważna, rad tych nie słuchała; i tą razą młodzież miała słusność, bo już nie wróciły wieki lodowate, a łąki i lasy coraz były piękniejsze.

Mieszkali więc tu ludzie przez lata i wieki, ale trudne mieli życie. Jeśli się który od osady oddalił, to stał się pastwą krwiożerczego potwornego wilka lub straszego tygrysa; szczęśliwszy co ich unikał, spotykał olbrzymie słonie, straszne nosorożce, obrzydliwe hyppopotamy, które najstarraniiej omijać był zniewolony, gdyż najniewinniej podrażnione gruchotały za jednym zamachem bezbronego człowieka.

Gdzie wody w bagniska osiadły, ogromne węże, jaszczury sążniste czaiły się na połów ludzkiego mięsa.

Znaleźli się i różni przychodni a złośliwi ludzie, którzy naszych mieszkańców z nad jeziora zniszczyć i wypędzić chcieli.

Więc następowały zabójcze walki i nieraz te tu brzegi krwawemi czerwienily się potokami. Zebrali się starzy i uradzili iż należy mieszkania pobudować na wodach jeziora, aby do nich złe zwierzęta i gorsi ludzie nie łatwo dostać się mogli. Mieli oni zawsze zapas ostrych narzędzi umiejętnie z krzemieni ciosanych; nie mało czasu i trudu potrzeba było do otłuczenia, obrobienia i zaostrenia każdej takiej siekiery lub każdej dzidy. Ale z czasem gdy ojcowie synom takie drogie sprzęty przekazywali, nagromadziło się ich wielkie bogactwo. Zajęli się zaraz ścinaniem mnóstwa drzew: jedni je na pale zakrzesywali, drudzy na deski podłużne darli: pale wbijali wielką siłą w płytkie dno jeziora, a deski na nich układali, ściany i dachy budowali. Znalazło się że mieli wygodne i bezpieczne mieszkania; żyli przez lata i wieki spokojniejsi; wielu mężów wstawilo się ogromnemi dziełami; wiele niewiast pomagając mężom, zwiększały domowe wygody. Żyli szczęśliwi broniąc się od złych zwierząt i gorszych ludzi, lecz największą sławę zjednał sobie między niemi potężny Lar, który przed latami, przed wiekami, wyrosł nad jeziorem najprzód w dzielnego chłopca a potem w dzielniejszego stokroć męża. Pochodził on z chaty na jeziorze okrągło zbudowanej, więc pięknie od innych różniąc się. Że był od dzieciństwa śmiały a przebiegły i siły nadludzkiej, więc mu starzy rodzice obronę siedziby powierzyli; kiedy on czuwał uzbrojony w broń straszną,

siostry jego z zupełną spokojnością wiązały sieci różnokształtne i łowiły smakowite ryby jeziora; nawet bracia jedni starsi, drudzy młodsi od niego, chętnie stawali pod jego dowództwem, gdy przyszła wyprawa na groźnego zwierza lub srogiego nieprzyjaciela, bo wiedzieli że nikt ich lepiej nie poprowadzi, pewniej od niebezpieczeństwa nie ocali.

Z latami i z wiekami straszne, ogromne zwierzęta coraz stawały się rzadsze; mieszkańcy jeziora coraz swobodniej mogli w rodzinach błogię używać spokojności. Już tylko najstarsi ludzie opowiadali to co od przodków swoich słyszeli, o hijenach i jaszczurach potwornych, które bez śladu znikły, nawet o tych słoniach z sążnistemi kłami i trąbą jak wąż wywijającą się, zdolną najgrubsze drzewa wrywać i człowieka jak małego zgnieść robaczka. Lecz nie brakło jeszcze potężnych w lasach nieprzyjaciół a okrutne niedźwiedzie i zapalczywe żubry, oblegały nie raz osadę jeziora ogólnem grożąc spustoszeniem.

Zdołali już wówczas osadnicy, przyswoić niektóre łagodniejsze zwierzęta i potulne owce dostarczały im skór, runa, mięsa i mleka; nawet z dzikich koni zdarzało się niektóre ujeździć, lecz byk potężny opierał się ludzkiej niewoli i nie zaznał jeszcze jarzma, bo też i ludzie bogactwa jakie z ziemi rolnik wydobyć może nie zuali i pomocy do uprawy gruntu nie potrzebowali. Mięso i owczy nabiał pożywienie ich stanowiło, a niektóre dzikie owoce zaledwie cierpkości i kwasu pozbywać się zaczynały.

Dnia jednego, młodszy brat Lara wpadł do chaty z wielką trwogą opowiadając iż widział niedaleko w górach całe stado olbrzymich żubrów, które lecąc lasem, z wielkim łomotem, drzewa gruchotało i pędziło ku jeziorze zapewne aby się dostać do zapasów siana przy mieszkaniach poskładanego, co groziło zniszczeniem wszystkich budowli nie mogących się oprzeć potężnemu natarciu zwierza. Trwoga powszechna w jednej chwili w osadzie się rozpostarła. Lar wybiegł pierwszy na brzeg dla rozpoznania niebezpieczeństwa i wrócił cokolwiek spokojniejszy, donosząc że najjeźdźcze stado zaskoczone nocą, zatrzymało się w odległości dziesięciu strzałów z łuku w gęstym borze, gdzie zapewne noc przeleży, lecz niewątpliwie nad rankiem wyprawę swą na osadę wykona. Z przytomnością więc i męstwem jakie

go odznaczały, zarządził natychmiast użycie nocy na wspólną obronę. Widział że stado składało się blisko z pięćdziesięciu sztuk najrośniejszych i najsilniejszych żubrów, a na zwalczenie jednego zaledwie kilkunastu ludzi byłoby dostatecznych. Zajął się więc najprzód zniesieniem na pokłady mieszkań przez najsilniejszych z gromady kilkudziesięciu ogromnych kamieni, prawie skał, co tylko owa potężna pierwotna ludność w tak krótkim czasie dokonać mogła. Tymczasem, wszystkie kobiety skręcały mocne sznury, w które każdy kamień został silnie obwiązany, a na drugim końcu każdego sznura zrobiono oko ściągające się. Zapasy siana, ile możliwości na brzeg pokładów pościągano, zasłaniając nimi zabudowania, i ułożono w sianie kamienie z petlicami, a przy każdym z nich czuwał najodważniejszy młodzian w stogu ukryty. Wszystkie przygotowania przed rozwidnieniem nieba były poczynione, a skoro słońce nad poziom się rozbiło usłyszano zrazu daleki w lesie szelest, który coraz się zbliżając zamienił się wkrótce w grom przeciągły, a tętent racie i chrapanie nozdry, łącząc się z druzgotem gałęzi, mógł być tylko porównany z hukiem lawiny z wysokości góry spadającej. W mgnieniu oka cała nawałnica znalazła się nad brzegiem jeziora i tłocząc się nawzajem żubry, przebiegłszy pomosty łączące brzeg z mieszkaniami, rzuciły się z wściekłością na stożyny siana zaspokajając niemi głód wściekły i rozrzucając je rogami na wszystkie strony.

Strażnicy będący przy kamieniach, skryci nieporuszenie pomimo grożącego im niebezpieczeństwa, czatowali na chwilę, w której potężny zwierz do nich się zbliżył: każdy z nich zarzucał pętlę na jeden z rogów żubra i natychmiast uciekając wskakiwał w wodę; a gdy wpław do brzegu dążył rozrzucał za sobą pozostające pomosty. Tym sposobem wszystkie prawie żubry stado składające, znalazły się przywiązane do ogromnych kamieni, a im bardziej się rzucały, i sznur targały, tém silniej do kamieni przyczepione się czuły.

W szale rozpacz i rozwścieczenia, zwierzęta chcąc się od pętów uwolnić, zaczęły się rzucać w wodę, na co właśnie osadnicy oczekiwali, i używając ostrych dzid i strasząc głośnym krzykiem wszystkie żubry do jeziora pospychali. Każde zwierze szamotało się jeszcze czas niejaki w wodzie, lecz ciągnięte na dno ciężarem kamienia uleść musiało

działaniu wody i wkrótce tylko niekształtne kadłuby lub długie rogi z wody wystające wskazywały, gdzie zatopiony zwierz się znajdował.

Tym sposobem trzydzieści kilka żubrów ze stada ułowiono; reszta na ląd się wydostawszy i ciężaru przypadkowo pozbywszy, w las uciekła. Szkody były mało znaczące; dwa tylko zabudowania zostały przez żubrów rozwalone, trzech strażników lekko ranionych, a najwięcej bohaterski Lar, który jednak wkrótce zdrowie odzyskał. Przez miesiąc cały piekły się w osadzie soczyste mięsiwa żubrów, a Lar powiększył sławę dotąd posiadaną.

Nie było prawie dnia, żeby Lar nie wracał z polowania ze szczęśliwą zdobyczą: nieprzyjacielskie ludziom zwierzęta znały już potężną Larę rękę i jakby przeczuciem wiedzione coraz od osady oddalały się. Lecz zdarzył się pewnego razu zajadły zwierz do lwa i tygrysa podobny (*felis speloris*) lecz wielkości prawie słonia, który straszne w gromadach owiec zrzędał spustoszenia i nie jednego już młodziana lub odważnego starca w swęj wściekłości pożarł. Wypatrzył Lar siedlisko jego i drogi któremi za zdobyczą ugaśniał się. Zwołał więc wszystkich najsilniejszych chłopców osady, choć sam siłę 30tu posiadał. Upatrzył na tygrysim szlaku dwa drzewa bardzo blisko siebie stojące, prawie z sobą stykające się, z których jedno od samego dołu zgiął w pałąk przy pomocy sąsiadów, tak iż się zdawało jakoby cienka witka ku ziemi pochylona. Umieściwszy między drzewami owcę dla przynęcenia potworu, czekał zdala przy szczycie zgiętego drzewa ukryty, aż tygrys na ofiarę swoją rzucił się. Wtedy uwalniając drzewo od przymuszonego nagięcia puścił je wolno, aby się podniosło a zwierze w mgnieniu oka znalazło się schwyte między dwoma drzewami jakby w kleszczach i łatwo dobite zostało. Wtedy Lar za zbawcę osady był ogłoszony, a skóra tygrysia przez długie czasy wyściełała całe obszerne mieszkanie jego rodziny.

Lar nie tylko odznaczył się wielu szczęśliwemi wyprawami na nieprzyjaciół osadników, ale nadto przysługiwał się swoim współmieszkańcom coraz nowemi dobrodziejstwami: nikt lepiej od niego nie umiał wynajdować i podbierać barci ze słodkim miodem; nikt nie umiał zręczniejszy przyrządzić dla kobiet krosien do tkania wełny lub konopi. On nauczył

wyłaczać doskonale z owczego mleka sery; on najlepiej znał się kiedy czas na połów tłustych ryb lub na łowienie dzików i jeleni, a sarny w biegu dościgając, żywcem chwycił.

Pomiędzy niewolnikami z jednej wyprawy przyprowadzonymi, zdarzył się jeden pochodzący z bardzo dalekich krajów na zachodzie słońca, którego opowiadania wprowadziły Lara w mocne zdziwienie. Mówił on, że w kraju jego są owe słonie o kłach olbrzymich, których tylko dawna pamięć w osadzie Lary przechowywała się; mówił rzecz jeszcze dziwniejszą, że mieszkańcy kraju jego, mało jadają mięsa, lecz zbierają ziarnka trawy, trą je na proch, z wodą zarabiają, w ogniu pieką i otrzymują doskonałe pożywienie w zdrowiu i czerstwości ich utrzymujące. Ciekawość Lara nieznaną granicę, do najwyższego stopnia pobudzona została. Nie zwierzając się nikomu, puścił się w zachodnie kraje, a wyprawę jego opowie wam mój sąsiad Johann, i niech wszyscy pilnie słuchają, aby na lata i na wieki synowie synów naszych pamiętali dobrze dzieje ojca Lara."

Tu przestał mówić Wilhelm, a ja byłem uderzony zgodnością jego opowieści z odkryciami geologów i wnioskami archeologów, z których się okazuje, że wielka część zachodnio-północnej Europy, przechodziła przez epokę lodową, zanim ostatecznie ukształtowanie wód i lądów w teraźniejszy stan się wyrobiło. Nie tylko Szwajcarya, ale i Francya, Anglija, część Niemiec i Skandynawia, nawet kraj nasz noszą na sobie cechy takiego pokrycia warstwą lodu, w jakim dzisiaj znajduje się Grenlandya.

Po tej epoce bezpośrednio następuje zjawienie się człowieka wraz z mnóstwem istot dziś zaginionych, albo w inne przeniesionych strefy. Widocznie więc odwieczne wspomnienia Laraitów tych odległych sięgają czasów i od nich dopiero stopniowo do nowych już przechodzą dziejów.

## V.

Johann Largrua, poważny o siwój brodzie starzec zajął miejsce Wilhelma, a gdy zgromadzenie uciszyło się, opowiedał rzecz swoją w te słowa:

„Przed latami, przed wiekami, ojciec Lar wybrał się w podróż na zachód słońca. Jako przezorny i roztropny zaopatrzył się we wszystko, co było potrzebne na wyprawę, której nie znał końca. Broń bogatą wziął z sobą; ostrą dźwigę, maczugę potężną kamykami nabijaną i łuk doskonały, który on sam tylko naciągnąć zdołał: zapas strzał ze spiczastymi z twardej ości końcami. Prócz tego topór krzemienisty najdoskonalej wyostrzony; kilka noży i siekierek także krzemienistych: był pewny, że zwierzyny po drodze mu nie zabraknie, więc szedł śmiało i z dobrą otuchą. Kilka pasm gór przebywał, zachwycając się wspaniałością widoków, lecz żaden z nich w jego oczach ojczystych nie przewyższył krajobrazów. Rzek wiele wpływ przepłynął, aż wreszcie przybył na otwarte równiny, gdzie go uderzyły obszary zarosłe równą a bujną trawą. Trawy te jedne jeszcze zielone, drugie już żółkłe, inne pocięte były i w wielkie stogi stawiane ułożone. Zaczął też wówczas spotykać wsie i osady, spokojną zamieszkałe ludnością. Ludzie ci lubo mu się dziwili jako obcemu, ale byli spokojni i gościnni.

Zdołał się wkrótce z nimi rozmówić, a wtedy przekonał się, że niektórzy z nich tylko polowaniu się oddawali, a większa część zajmowała się pracą w ziemi dla otrzymania tych traw najwyżej przez nich szacowanych. Już bowiem w tych krajach zboże zasiewano i zbierano; już woły, mniejsze wprawdzie od dzikich byków na które nieraz w kraju swoim Lar polował, ale silne i wytrzymałe, posłusznie chodziły w pługu. Na posiłek dano mu chleba, który z razu zdawał mu się mdły i lekki, lecz w którym wkrótce niesłychanie zasmakował. Poznał budowę żaren kamiennych, z których zboże białą wychodziło mąką. Przyglądał się jak kobiety z mąki ciasto zarabiały i albo cieńkie placki, albo grube bochenki z niego piekły. Podobały mu się te wszystkie nowości i pilnie je badał; a kędy się zatrzymał, wszędzie był pożądanym gościem, bo czy wielkie korzenie drzew wyważać przyszło, żeby grunt pod uprawę przysposobić, to on z olbrzymią swą siłą za dziesięciu w dniu jednym robotę wykonywał, czy dzikie wilki i rysie szkody w trzodach czyniły, on w krótkim czasie okolicę od tych niszczycieli oswobadzał. Nie spotkał jednak jeszcze nigdzie owych wielkich słoniów o których mu niewolnik opowiadał, a dopytując się ciągle o nie,



otrzymał odpowiedź, iż znajdują się, lubo rzadko dalej na zachód.

Szedł więc ciągle w tym kierunku, przebywał puszcze gdzie zboża śladów nie było; natrafiał na plemiona tylko łowami zajęte, i znowu spotkał osady rolnicze. Aż doszedł do wielkiego i okiem nie dościgniętego morza, które przecinając mu drogę na zachód, zniewoliło do zwrócenia się więcój na południe i oddalenia od oceanu. Aż dnia jednego zbliżając się do porządnj i ludnej osady, ujrzał z najwyższem swoim uradowaniem, trzy olbrzymie zwierzęta wyraźnie do opisywanych słońów podobne, spokojnie postępujące i noszące na karku po jednym lub kilku ludzi, zaledwie wyglądających z poza potężnych kłów i jeszcze potężniejszej trąby. Lubo najodważniejsze w nim biło serce, nie mógł w pierwszej chwili ochłonąć jeżeli nie z przestachu, to z nadzwyczajnego podziwienia. Przyzwyczajony był do widoku rozwścieczonych wielkich mieszkańców puszczy ojezystych, turów, byków, niedźwiedzi; lecz daleko ogromniejsze zwierze w łagodnej zgodzie z człowiekiem zostające, pierwszy raz zdarzyło mu się oglądać. Widząc więc osiągnięty szczęśliwie cel swojej wędrówki, zatrzymał się na czas długi we wsi i wszedł w przyjazne z mieszkańcami stosunki. Znalazł tam jedną rodzinę do której się mocno przywiązał, a pociąganiem do niej szczególnym była zapewne młoda, urodziwa i szczerego serca dziewica, od której oczu i myśli odwrócić nie mógł. Gościnnie przyjęła go ta rodzina osadników i wkrótce stał się współnikiem wszystkich jój prac, zajęć i rozrywek. Jeden ze słońów należał właśnie do tego gospodarza i był za niezmierny skarb poczytywany, gdyż więcój nad owe trzy słońie nie tylko w wiosce, ale i w całym okolicznym kraju wcale się nie znajdowało. Mówili mieszkańcy co od swych dziadów i pradziadów słyszeli, że niegdyś mnóstwo było tych zwierząt, lecz że zwolna znikają;—dzikich wcale już nie ma,—a tylko te trzy obłaskawione w wiosce się znajdują. Dawniej długa sierć tych słońów, służyła na tkanie odzieży i na posłanie, czego jeszcze liczne dawniejsze zabytki mieszkańcy posiadali. Z kości kłów mnóstwo było narzędzi i sprzętów zręcznie wyrabianych,—a same żyjące zwierzęta dawały nadzwyczajne dowody zmyślności i przywiązania do ludzi. Lar niedługo stał się najulubieńszym towarzyszem słońia; wzajemnie się

rozumieli głosami i znakami. Jeśli potrzeba było ciężkie usuwać kamienie z miejsca gdzie droga przechodziła, słoń przez Lara zachęcany i namówiony, chwycił trąbą potężne odłamy skał i z łatwością na bok je odrzucał. Jeśli leżące na ziemi grube drzewa, przez środek przełamać należało, — dość było aby słoń na nie stąpił olbrzymią swą nogą. Lecz największą było Lara uciechą wyprawianie się ze słońciem na polowanie jeleni, łosi, i sarn; — rzadko kiedy Lar uciekać się musiał do swój broni, która jednak w jego ręku nigdy nie chybiała. — Dość było wprowadzić słońcia w napaśniczy zapał; chwycił on wtedy w biegu uciekającą zwierzynę i zgruchotaną siłą swój trąby Larowi w dani składał.

Szczęśliwie i błogo upływały dni Lara w osadzie, bo i dziewica coraz mu się skłonnieszczą okazywała; lecz dręczyło go wspomnienie rodzinnego jeziora i wspaniałych gór je otaczających i wszystkich plemienników, których na jeziorze zostawił. — Aż oto dnia jednego ogromna rozpostarła się trwoga w wiosce, i goniec za goncem przybywał z innych bliższych i odleglejszych okolic donosząc, że od południa ciągnie chmara strasznych, krwiożerczych nieprzyjaciół, którzy wszystko niszczą i mordują po drodze, a pochodzą z owych plemion o czarnej skórze i kędzierzawych włosach, które ludzi jakby zwierzynę jaką pieką i zjadają, spokojnych zatrudnić nie znają i tylko ciągłym mordem żyją. Zbierały się orszaki zbrojne, wspólną bojaźnią i wspólném niebezpieczeństwem wiedzione, a gdy już wielkie ich zgromadziły się zastępy, dowództwo całej wyprawy oddano Larowi, którego nieustraszone męstwo i biegły rozum były już mieszkańcom dostatecznie znane. Podjął się Lar z ufnością tego trudnego dzieła, nie tyle przez zamiłowanie niebezpieczeństw i walki z przeciwnościami, ile przez wdzięczność dla mieszkańców przez których tak gościnnie i serdecznie był przyjęty, i przez obawę, aby droga mu dziewica mniej pewną miała obronę. Straszne było najście barbarzyńskiej hordy, i gdyby nie przytomność umysłu i nie odwaga Lara, cała ludność miejscowa byłaby niewątpliwie wymordowana. Lecz on mądrymi rozporządzeniami i bohaterkiem poświęceniem, odwrócił szalę zupełnego zwycięstwa na stronę osadników. Naczelnik najeźdźców padł z jego ramienia; — on także ubił dwóch nie-

przyjaciół, którzy już ukochaną przez niego dziewczę gwałtem uprowadzali; całe plemie czarne zostało wytępione tak szczęśliwie, że zaledwie kilka trwożliwych ucieczką się ratowało. Nie można opisać radości i szczęścia zwycięzców, jednozgodnie oddających hołd swemu dowódcy, szlachetnemu Larowi. Wszystko więc wdzięczna ludność osadnicza zbawcy swemu w ofierze nieś była gotowa. Wtedy Lar wspomniał znowu na swój kraj rodzinny i prosił, ażeby pozwolono mu się do niego oddalić z dziewczę, którą ukochał i obronił, a którą za żonę pojąć pragnął. Ojciec narzeczonej uprzedził także najgorętsze życzenie Lara, obdarzając go ulubionym słońcem i pozwalając na zaprowadzenie go do kraju swego. Nie zapomniał Lar o najszacowniejszym też nabytku, jaki w wędrówce swęj pozyskał. Był już wtajemniczony we wszystkie sposoby i potrzeby uprawy zboża i w sporządzanie z niego drogocennego chlebnego pożywienia. Żona jego która od męża Larą się przezwała, najdoskonalej chleb przygotowywać umiała i wszystko przewidziała, aby jęj mężowi i jęj samęj na tym posiłku w dalekiej podróży nie zbywało. Z niewymownym więc smutkiem i żalem żegnała się gościnna osada z odjeżdżającym na słońiu Larem z żoną swą Larą, a oni puścili się w drogę kierując się podług słońca i gwiazd ku pięknemu naszemu zmierzając jezioru. Nic nie wiemy o szczegółach powrotnęj drogi Lara z młodą małżonką. Zawsze Lar o tęj części swego życia opowiadać wzbraniał się i tylko mówił a nawet często powtarzał, że nigdy szczęśliwszy nie był. To tylko pewna, że więcj jak piętnaście lat upłynęło od opuszczenia jeziora przez Lara, kiedy dnia jednego chłopcy przybiegli do siostry jego już dawno zamężnęj i rodziną otoczonęj, donosząc że od strony zachodnięj góry zbliża się jakieś dziwowisko, które ich tak przestraszyło, że bez tchu do wioski przybiegli. Wieś ta piorunem między sąsiadami rozniesiona, wywiodła ich wszystkich i z kobietami na brzeg, lecz skoro dostrzegli zwolna z góry zstępujący nieznaný potwór, rozbiegli się na wszystkie strony w największym przestachu. Starsi wspomnieli dawno zniknięnego Lara, żałując że się między niemi nie znajdował, aby stać się dobrą radą lub obroną. Lecz Lar i Lara przybywszy na brzeg jeziora, zatrzymali słońia, zręcznie się z niego zsunęli. Lar padł na ziemię i gorąco ją całował, a Lara zbierała

sprzęty z sobą przywieszione, ułożyła je w kupkę i usiadła przy niej trzymając w ręku wielki chleba bochenek. Lar po ochłonięciu z pierwszego wzruszenia począł przeglądać dobrze znajome sobie puste chaty jeziorowej wioski i bez trudności domyślił się powodu zniknięcia mieszkańców; udał się więc na ich odszukanie, czego z łatwością dokonał. Wkrótce poznany z okrzykiem wielkiej radości przez wszystkich był przyjmowany. Ale pomimo swojego łagodnego objaśniania, nie zaraz zdołał uspokoić obawy mieszkańców na widok potwornego słonia, który im się niezbadaną a straszną wydawał istotą. Gdy jednak niektórzy, mianowicie starsi zaczęli się spokojniej słoniowi przyglądać, przyznali iż widok jego zupełnie się zgadza z opisami, jakie o tych stworzeniach od starych swych przodków posiadali. Młodszy — a szczególnie niewiasty skoro nabyli przekonania o spokojności i łagodności zwierzęcia, jeżeli drażnione nie jest, z zupełnym już poświęceniem niemu się zajęli. Uszczęśliwiony i swobodny Lar, przedstawił matce swojej, którą jeszcze przy życiu zastał, gdy ojciec zmarł już był dawno, — ulubioną Larę, która i przez jego rodzinę i przez całą osadę wielce została pokochana. Często w Lar i Larę rozciekawionych osadników smakowitym chlebem i rozpowiadali o cudach dalekich krain. Lar tłumaczył obszernie jak się zboże zasiewa i zbiera, a Lara jak się z niego doskonały chleb wypieka. Więc zaraz cała wieś, pod przewodnictwem Lara poczęła zajmować się przygotowywaniem gruntu do zasiewów ziarna. Lar nauczony jak ujarzmić byki, robił często wyprawy na łowienie żywcem dzikich tych zwierząt, i lubo z początku z trudnością, zdołał jednak w lat kilka przyswoić małe stadko krów i byków, z których potem nasze piękne rozrodziło się bydło. Obyczaje osadników znakomicie się zmieniły, więcej jeszcze przywiązali się do ziemi nad jeziorem rozciągającej się, która ich swemi żyznemi plonami żywić zaczęła. Lara stała się wzorem gospodyni, Lar wzorem pracowitych i użytecznych dla współrodaków ludzi. Wtedy to on wykuł własną ręką tablicę kamienną dotąd przechowywaną, a przekazać mającą pamięć ostatniego żyjącego mammuta i pierwszego w osadzie spożytego bochenka chleba. Słoń wszelkimi opatrywany wygodami, wszystkich niemal obecnych jego przybyciu przeżył i zakończył istnienie dopiero za pra-

prawnuka Lara, chociaż Lar żył blisko półtora wieku i Lara podobnie. A byli szczęśliwi i błogosławieni przez całe swoje plemię: odtąd się ono Laraitami mianuje, niech więc wszyscy Laraici dobrze słyszą i pamiętają te dzieje ojca ich Lara i matki Lary, aby je przez lata i przez wieki potomkom swoim dla niewygasłej przekazywali pamięci."

## VI.

W całym opowiadaniu Johanna nie znalazłem nic przeciwnego wypadkom nauki, gdyż jak już wyżej wspomniałem, jest teraz rzeczą dowiedzioną, że mammuty żyły na ziemi jednocześnie z człowiekiem, nie ma zaś nic niepodobnego do prawdy, iżby były zdolne do obłaskawienia, skoro dotychczas istniejący w krajach południowych gatunek słonia, stał się domowem zwierzęciem. Że przy wygasaniu rodu mammutów, mogły niektóre pojedyncze zwierzęta długo się utrzymywać w pewnych okolicach, jest także rzeczą bardzo możliwą, i zapewne mammut o którego istnieniu przechowało się podanie u Laraitów, był jednym z ostatnich okazów na ziemi, gdyż jak sami Laraici przyznają, dotąd żaden z nich o podobnym na ziemi stworzeniu nie słyszał; dlatego też przyprowadzenie mammuta przez Lara tak silne i dotąd niewygasłe uczyniło na ich plemienu wrażenie.

Co do użycia chleba na pokarm ludzki, jest to także niewątpliwie wypadek poprzedzony bardzo długimi wiekami prób i doświadczeń, tudzież równoczesny prawie z poświęceniem się ludności miejscowej rolniczym zatrudnieniom. Najdawniejsze podania ludów poczytują między bóstwa lub między najwyższych dobroczyńców ludzkości tych, co skierowali mieszkańców do rolniczej pracy i ludność chlebem karmić się nauczyli, a być bardzo może, że części południowe Gallii, dzisiejszej Francji, dawniej weszły na tę drogę ogłady społecznej, od zakątków Szwajcaryi trudno dostępnymi górami otoczonych.

Po Johannie Largaicie, dwóch jeszcze mówców głos zbierało, w którym malowali spokojne lecz czynne życie Lara po powrocie jego z wyprawy zachodniej. Nie powtarzam tych opowiadań, aby w zbytnią nie wpadać jednostajność,

choć wszyscy słuchacze do których mowy te były skierowane, z najwyższym napięciem ducha i ciągłym zajęciem ich słuchali.

Były to obrazy po części wojownicze, opisujące napady i obrony różnych plemion wzajemnie się napastujących, po części zaś i to większej, opowieści sielskie i domowe, wypełnione szczegółami chowu bydła, koni, drobiu gospodarskiego, uprawy różnych roślin i drzew użytecznych, wreszcie zabaw i świąt miejscowych. Z mów tych wiała jakaś prostota spokojna, bardzo zgodna z dotychczasowym usposobieniem szwajcarskiego ludu, chociaż pomiędzy nim znajdują się coraz częściej wysoko wykształceni ludzie, jak tego widziałem przykłady na samym starym Wilhelmie i młodym Hansie.

Po ukończeniu tych przemów, które wszystkie były rozpoczynane i zamykane odwoływaniem się do odwiecznych Laraitów wspomnień, przystąpiono do spełnienia dalszego obrzędu, to jest nacięcia tablicy na dolnej krawędzi, co wykonał Hans zwyczajnym ostrym pilnikiem. Wtedy bliżej się przyjrzałem tym karbom brzegów tablicy i przekonałem się, że lubo one dość nierówne co do długości i głębokości rysów, a widocznie nie jednakowemi i często niedoskonałemi narzędziami były dopełniane, jednak w przecięciu odległość jednej rysy od drugiej nie przenosiła półtora milimetra tak, że wierzchnia krawędź zupełnie niemi wypełniona, mogła ich liczyć około 700, boczna około 450, połowa krawędzi dolnej do 500, czyli razem blisko 1650 nacięć: przyjmując zaś podług rachunku Laraitów, trzy nacięcia na lat 100, dawność tablicy odnosiłaby się do 350 wieków, czyli 35,000 lat od epoki dzisiejszej. Nie chcę wchodzić w dalsze zagłębianie się badań w tym względzie; przytaczam tylko to sprawdzone przezemnie osobliwsze podanie, które stawiałoby co do starożytności, tablicę Laraitów wyżej od wszystkich dotąd znanych pomników.

Gdy nacięcie na tablicy zostało wykonane i przez starszych zgromadzenia sprawdzone, tablicę i siekierkę złożono w nową skrzyni bardzo prostą, lecz mocną roboty, zanieśiono ją do podziemia, a klucz od niego Hansowi oddano. Drzewo ze starą skrzyni panna młoda do użytku otrzymała

i pod swoim osobistym nadzorem kazała je odwieść do nowéj piekarni.

Następowała już teraz ostatnia część uroczystości i całe zebranie udało się do nowego gmachu; najprzód zwiedziono muzeum starożytności miejscowych, porządnie i umiejętnie, choć bez żadnego przepychu urządzone. Z niezmierném zajęciem, więcej jako widz ciekawy, niż jako szczególny znawca rozpatrywałem się w tych zabytkach przenoszących zwiedzającego w tak odległe wieki. Mało gdzie równe bogactwo wykopalisk tego rodzaju spotkałem; nie wątpię więc, że nauka może z nich wielką odnieść korzyść, zwłaszcza że z zadziwieniem dostrzegłem jak starannie przy każdym przedmiocie objaśnione były czas i miejsce odkrycia, z dokładném naukowém wskazaniem warstwy geologicznej. Stary Wilhelm i Hans z prawdziwą znajomością rzeczy i największem zamiłowaniem wszystkie objaśniali mi szczegóły.

Tymczasem przygotowania czyniono do wprowadzania w ruch nowo otwierającego się młyna mechanicznego, a Liza dawno już znikła, aby objąć gospodarstwo w piekarni i pośpieszyć z dokończeniem zapowiedzianego dziś pierwszego jéj pieczywa. Tutaj Hans znalazł się w swoim żywiole. Naprzód nas zaprowadził do wielkiej maszyny parowej o sile 40 koni i zaraz objaśnił, że ponieważ machina ta użytą jest nietylko do samego młyna, ale i do piekarni, pierwsze więc naręcza drzewa, z którego ogień kocioł rozgrzewa, pochodzi z porąbanéj skrzynki tablicę Lara zawierającej, i przez Lizę do pieca wrzucone i podpalone zostało.

Nie mogłem się oprzeć głębokiemu a dziwnemu wrażeniu przy tak nagłym przejściu od widoku prostych zabytków przemysłu ludzkiego z zamglonej przeszłości, do całej siły, potęgi i różnaitości tegoczesnych wynalazków, do tych boskich niemal cudów mechaniki i fizyki, dla użytku ludzkiego społeczeństwa przystosowanych. Zakład cały na wielką urządzony stopę, puszczonej został w ruch za danym przez Hansa znakiem i w mgnieniu oka wszystkie koła zaczęły się obracać, pasy rzemieńne i gutaperkowe łączące różne mechanizmy, zaczęły różno-tonnie warczyć, a stempel maszyny parowej takt wybijając, zdawał się nadawać niejako żywy kierunek téj potężnej a gwałtownej muzyce, która jeżeli nie

melodyą, to niewątpliwie jakąś straszną harmonią wprowadza umysł w zdumiewający szal wielkości i siły.

Gdyśmy przybyli do piekarni, zastaliśmy Lizę, dzisiejszą Larę, wydającą z powagą i spokojnością zarządzenia licznym pracownikom i pracownicom. Wytlumaczyła nam jasno i umiejętnie wszystkie części używanych przyrządów i stopniowe postępowanie roboty; lecz skryła przed nami wypadki tych działań, ażeby dopiero w właściwej chwili z nimi wystąpić.

Znużeni wszyscy całodzienną uroczystością, lubo ciągłym podniesieniem ducha ożywiani, z wielką radością zasiędlili do wspólnej, choć bynajmniej nie wykwitnej uczty, na którą i ja gościnnie zaproszony zostałem.

Tu znowu wrażenie na końcu doznane przy oglądaniu znakomitego zakładu przemysłowego, zatarte zostało wspomnieniami dawniej przeszłości. Zdawało się, że tak właściciel młyna mechanicznego jako i wszyscy goście, przekonawszy się naocznie o doskonałym jego urządzeniu, byli już zupełnie spokojni, że ten świat ruchu i działania przez ludzki przemysł stworzony, pójdzie dalej w swoim życiu również zgodnie i harmonijnie, jak wiekiesty świat niebieski niemyłą ręką Stwórcy kierowany. Lecz mgłą otoczona przeszłość, coraz nowe ogniwa ciekawości, domysłów i przypuszczeń odkrywała. Dzieje więc Lara, głównym i wyłącznym niemal były przedmiotem powszechnych rozmów; a jeżeli który ze starszych przypominał sobie jeszcze jaki szczegół dotąd nie wypowiedziany, lub posiadał wiadomość o dziejach którego z potomków Lara i Lary, chętnie był słuchany i chętnie rozповідаł to, co do wiadomości jego doszło. Uczta jeszcze nie była przepołowiona, kiedy Liza wstała od stołu i wróciła wkrótce fiiosąc na tacy ogromny bochen świeżego, jeszcze ciepłego chleba, który przed Hansem złożyła. On nie krając go rozdawał wszystkim obecnym, przy ogólnych z zapałem powtarzanych odgłosach: „Przed latami, przed wiekami, ojciec Lar i matka Lara, smacznym chlebem nas karmili. I dziś naszemu Larowi, i dziś naszej skrzętniej Larze, za chleb dobry dziękujemy.” Tu już główny obrzęd był dopełniony; lecz dla wszystkich niespodzianką stało się, gdy Liza weszła powtórnie prowadząc za sobą szereg posługaczek, które zaczęły roznosić najrozmaitsze ciasta świeżo



z pieca wyszłe. Główne tam zajmowały miejsce, sławne bułeczki imie Lizy noszące i rozliczne inne pieczywa, których doskonałości uczujący nie mogli się dość nachwalić. Lecz wszystkich zadziwienie było największe, gdy dwóch ludzi z trudnością ciężar dźwigając, wniosło ogromne ciasto w kształcie pamiątkowego mammuta wyrobione. Były tam i cztery grube nogi, i kły niezmiernie długie kolisto zakręcone i trąba węzowato wywinięta. Liza złożyła teściowi ten owoc swojego wymysłu, którego smak okazał się wyborny i wystarczył dla częstowania nim wszystkich zgromadzonych. Okrzyki na cześć ojca Lara i matki Lary, tudzież dzisiejszego młodego małżeństwa, nieraz się jeszcze ponawiały i dzień w najserdeczniejszej zakończył się wesołości.

Ze szczerym żalem opuszczałem nazajutrz ten gościnny a tak szczególny zakątek ziemi, gdzie niespodzianie znalazłem to, czego uczeni często napróżno z takim mozolem poszukują. Za otrzymaniem zezwolenia starego Wilhelma i Hansa, rozpisałem wkrótce listy do znajomych mi starożytników i geologów różnych krajów, donosząc im o znakomitym zbiorze wykopalisk z epoki kamiennej w Larsdorfie znajdującym się, a szczególnie o owój najciekawszej tablicy kamiennej ojca Lara, która na najtroskliwsze zbadanie zasługuje. Domieściłem jednak zarazem ostrzeżenie przez Wilhelma i Hansa wyraźnie odemnie wymagane, że żaden z uczonych któryby Larsdorf zwiedzić chcieli, nie będzie miał okazanej tablicy Lara, tylko w czasie odwiecznym zwyczajem uświęconej. Nic bowiem Laraitów skłonić nie zdoła do otworzenia sklepienia zawierającego skrzynię z tablicą, przed dniem ogłoszenia nowego Lara, to jest przed śmiercią Hansa Larsberga i obchodem ślubu jego następcy.

Czerwiec 1866 r.

## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Zjazd endzoiemców: Paryż. — Domy wyrobników na wystawie. — Biesiada X-tój grupy. — Książki na wystawie powszechnej. — Wydawnictwo Alfreda Maine; Album fotografowanych medali Dawida d'Angers; ilustrowany życiorys Goya. — Henryka Delaborde „Studia sztuk pięknych.” — Historia pracy na wystawie powszechnej. — Wystawa sztuk pięknych na Polach Elizejskich. — Wiadomości literackie.

**W** nieprzyjaznych okolicznościach poczęta i wyrosła Wystawa Powszechna, wydobyła się wreszcie na szczyt wszystkich europejskich interesów, stanęła po nad nimi i dziś wyłącznie świat zajmuje. Odkąd znikły obawy wojny, pole Marsa wynajęte na czas Merkuremu, stało się celem pielgrzymki mieszkańców najdalszych zakątków globu. Zjazd ludzi obcych przybrał olbrzymie rozmiary we francuskiej stolicy; nie mogło być inaczej, kiedy popis sił umysłowych i przemysłowych ludzkości, odbywa się w miejscu posiadającym siłę atrakcyi.

Paryż to góra magnesu, przyciągająca ku sobie nie tylko żelazo, ale i glinę. Najtrudniejsze tu życie, najcięższa praca, a napływ ludzi nieustanny z całego kraju. Krajowcy do stolicy ciągną jak słomki... a potem płaczą. Narzekającym, robotnicy paryzcy, ci filozofowie czynni, ta żelazna rasa włożona do pracy i trzeźwości jak Indyanie, odpowiadają: Czemużście wśród walczących, kiedy nie macie odwagi? Kto was zmusza do pracy nad siły? Czyż mniemacie, że ambicya wasza wyda inne owoce jak te, których gorycz was dziś truje?

Dziwny egoizm, pretendować do wszystkiego z niczem. Jeżeliś mocny, walcz z determinacją, milcz, jeżeliś słaby; jeżeli dusza twoja drzemie w sielance powąchawszy parę kwiatów, które jej przypadek rzucił na drogę: słabi, uciekajcie ztąd w strony szczęśliwe, gdzie można żyć nieznanym, bez promieni, jak Apollo u Admeta; ale spokojnie i bez trudu. Tu arena, nie oaza.

Tak, Paryż jest straszny: zabija słabych. I nie dziwnego. Matematyczny pewnik, że centrum będąc punktem ku któremu wszystko cięży i promienieje, ma osobne prawa swoje; im większy ścisk w oznaczonym miejscu, tém wysilenie osób w ruszaniu się większe: summa intelligencyi i energii jednostki, rośnie w miarę ruchu tłumu.

Puls Paryża bije prędziej niż innych stolic Europy, więc ruch i nacisk tu większy niż w miastach większych. Współzawodnictwo tu najzaciętsze, arena pragnień i ambicyi najkrwawsza, urok najpotężniejszy. Olsniony ze wszech stron człowiek, rzuca się w odmet, gotów do wszystkich ofiar, byle dosięgnął ideału za którym goni: Paryż wabi jak Syrena.

Skoro Venus wyszła z odmetu na fale, morze zwolna koło niej się uniosło, jakby chcąc ją całować i stroić w swe perły błyszczące:.. chcąc uczcić piękność, uczyniło pieszczośliwą harmonią z głosów ryczących w głębi swych nurtów...

Urojenie poetów dziś tu urzeczywistnione: gwary ziemi poddane zwyczajkiemu czarowi, do pięknego Paryża płyną w koncercie admiracyi.

Właściwość *wielkiego* taka, że szczegóły topnieją w całości: wszystko istnieje tylko przez perspektywę. Patrząc z góry w lazur niebios, w dolinę zieloną, w pole falujące kłosami, w kwiaty przy chacie słońcem pozłożonej, pośród natury obojętnie pogodnej: kto myśli o tém, co te wszystkie pogody i piękności kryją łez i krwi? Kto myśli o trupach kiedy mowa o zdobyczach Alexandra albo zwycięztwach Annibala?

Że do Paryża wzdycha świat, to rzecz naturalna: promień musi przyciągać, światło olsniewać.

Paryż okazuje się światu z mieczem przy boku, myślą na czole, a sztuką w ręku. W téj chwale cóż znaczy śmierć i jej orszak nędzny? Człowiek jest tylko narzędziem usta-

wiecznie poświęcanem i ustawicznie odnawianem w świecie; praca dla tajemniczego dzieła, którego nikt nie zna, pełni się po przez pokolenia i czasy, nigdy nie znając braku robotników.

Wśród téj uroczystej obojętności wszechrzeczy, kto ośmieli się oskarżyć, tego śmiało zapytać można: kimże jesteś ażeby cię słuchano? Poetą, czy artystą? Za kilka melodyi które wieczorem z ust twoich wyleciały jak stado ptasząt, za kilka pieśni poczętych w zachwycie, sądzisz że społeczność winna ci hołdy, ziemia bogactwa a firmament gwieździstą koronę?

Mowa taka zrani nie jednego; ale niemniej przeto prawdą jest potrzebną do wypowiedzenia, bo zbyt wiele umysłów chorych cierpi i umiera bezpłodnie w obec nieprzystępnego ideału.

Część rzeczywistości jest bardzo poważna na tym świecie: trzeba ją przyjąć odważnie i pełnić bez omdlenia. Ludzie nie są aniołami, a życie nie jest abstrakcją. Potrzeba twórczenia jest koniecznością każdego. Każdy powinien znaleźć formułę swojego ducha i dać ją. Trzeba na to cierpliwości, odwagi i mocy, ale zdobyć się nań trzeba, bo to dla człowieka kwestya życia lub śmierci. Najwięksi szukali siebie zawahani, zanim wystąpili w kształcie w którym się objawili. Bardzo mało jest ludzi, którzy wybuchają jak grom. Wszystko powolne i postępowe w ludzkości; wszystko przebywa pewną operacją: poczyna się w trudzie i boleści, zdobywa pracą wytrwałą. Iluż bogato obdarzonych ludzi zmarniało skutkiem zapomnienia tego prawa i téj karności rodu ludzkiego? Iluż dziś mrących ludzi o których przyjaciele piszą czem być mogli, a o których nieznajomi mówią, że nie byli niczem. Z tych niekarnych, nie poddanych najwyższemu prawu pracy i walki-wytrwałéj, nie wiadomo którzy godniejsi litości: żywi, czy umarli?

Myśleliśmy tak, mając po jednej stronie widok ogromny huczącego Paryża, a po drugiej niemniej zbiór utworów wyborowych i dzieł przednich ludzkości: wynik pracy, wynik pięcioletniej rozwagi i czynności niezmordowanego geniuszu postępu. Myśleliśmy tak idąc nad Sekwaną i wątek myśli zaprowadził nas prosto do najżywoźniejszego działu wystawy Powszechnéj.

Po maszynach które stanowią *rzeczywistą* wystawę, bo przedstawiają siłę XIX wieku, najważniejsze z wystawionych przedmiotów są niewątpliwie *domy wyrobników*, w których hodować się ma siła inteligentna, przeznaczona do kierowania siłą ślepą, przeobrażającą świat fizyczny.

We Francyi kwestya mieszkań wyrobników jest na porządku dziennym od lat dwudziestu. Pierwszą fazę tego ruchu stanowi krytyka i analiza. Pisarze sławni jak: Blanqui, Villermé, to z własnego natchnienia, to w charakterze urzędowym, który dodawał ich słowu powagi, pootwierali drzwi nędznych domów, gdzie zdala od światła i słońca, w cuchnącej wilgoci, w niezdrowych wyziewach, klasa robocza wielkich miast butwiała... Odkrycia tych adwokatów sprawy pokrzywdzonych, rozpętały gwałtowne burze: poczęto krzyczeć na przesadę, kłamstwo, potwarz.. Wielu wygodniejszym uznało zaprzeczać złemu, niż szukać sposobu zaradzenia jemu. Dusze mniej twarde, przelękły się... Społeczność zaniepokojona próbowała szyderstwo i wzgardę przeciwstawić pisarzom, którzy obnażyli jego najzjadliwszą ranę. Ale światło się stało, a prawda musiała wydać owoce.

Wkrótce poznano, że to położenie które jedni uporeczywie zakrywali, a drudzy odkrywali namiętnie, było fatalnym wynikiem nagłego rozwoju pracy rękodzielniczej. I ci to właśnie ludzie przeciwko którym socjaliści najostrzejsze mieli pociski, wiecy rękodzielnicy, produktorowie, wynaleźli lekarstwo na chorobę grożącą życiu społecznemu.

W roku 1849 Towarzystwo Kopalni Węgla Anzin'u, zbudowało robotnikom swoim przeszło tysiąc domów, po cztery izby każdy, z ogródkami, piwnicą, piecem do chleba i studnią.

*Dom górnika* na który wzór wydały kopalnie Anzin, stoi na wystawie powszechniej. Główną jego zaletą taniość. Kompanija podejmuje się budować takie chaty za 1800 franków. Liczna rodzina na długie lata jest pomieszczona za tę sumę, przedstawiającą w Paryżu czynsz roczny za cztery pokoiki.

W departamencie Saony i Loary, kompanija kopalni węgla zbudowała w czterech wioskach dla wyrobników domy, zawierające siedmset pomieszkań. W każdym domu są dwa mieszkania z piwnicą, lamusem, oborą i ogródkiem.

Później wyrobniicy sami wedle wydanego wzoru, zbudowali na tanio odstąpionych przez kompaniją gruntach *sto* domów, których stawianie ułatwiono każdemu pożyczką tysiąca franków, spłacaną częściowo, bez procentu. Jeden taki domek wystawiono także. *Konieczność*, matka niemal wszystkich arcydzieł świata tego, jest także niepospolitym budowniczym: rozwiązała problemat połączenia taniości z wygodą.

Właściciel ziemski Wendel z departamentu Mozeli, wystawił wzór całej wioski, złożonej z domów wyrobniczych. Jestto piękny okaz przynoszący zaszczyt francuzkiemu obywatelstwu wiejskiemu.

Rozmiar naszego sprawozdania nie dozwala nam opisywać szczegółowo wszystkich domów *dla ubogich*, które oglądać można na wystawie. Wskażemy jedynie typowe. Są trzy odrębne wzory: dom paryzki, gdzie grunt bajecznie drogi zmusza do ciasnoty; drugi dom dla miast przemysłowych, jak Mulhousa, gdzie grunta jeszcze tanie, pozwalają wdawać się w ogródki; nakoniec trzeci dom wiejski dla okolicy fabrycznego miasta, zaludnionej rękodzielnikami.

Wzór paryzkiego domu jest dwojaki: na jedną rodzinę lub na kilka. Sam cesarz wydał plan i kazał wystawić przy ulicy La Bourdonnaye, dom należący do téj ostatniej kategorii. Szkoda, że ta konstrukcyja stoi po za obrębem pól Marsa i nie jeden daremnie jój szuka. Jednak tłok zwiedzających ten dom co dzień wzrasta: Kommissya X grupy do której modele tanich domów należą, ułatwia komunikacye chciwých zwiedzania publiczności.

*Zgromadzenie wyrobników paryzkich* wystawiło także pod opieką i pomocą cesarza tanie domostwo dla kilku rodzin. Dom taki kosztuje w Paryżu 20,000 franków. Wystawili go paryzcy cieśle sami, bez pomocy architekta i przedsiębiorcy. Fundusz dał cesarz. Gdyby budowano takie domy (rodzaj polskich czworaków) na gruncie kosztującym 50 franków metr, wypadłyby po 25,000 franków.

Ten wzór jest arcydziełem. Dom składa się z czterech pomieszkań: dwa na pierwszym, dwa na drugiem piętrze; dwa sklepy są na dole. Każde mieszkanie najmuje się 200 fr rocznie, a każdy sklep 400, (taniaść w Paryżu wyjątkowa).

Dochód z domu 1,600 franków, kiedy procent od włożonego kapitału wynosi tylko 1,250 franków. Domek ze wszech względów bez *ale*, bywa najpierw zwiedzany przez wszystkie myślące a nawet ukoronowane głowy.

Podczas kiedyśmy oglądali rozkład tego wyrobniczego domu, dwóch wyrobników czyniło nad nim swoje uwagi; jeden zawołał: „*quand l'ouvrier aura un logement comme celui-ci, c'est bien le diable s'il ira encore au café ou chez le marchand de vins!*”

Zanotowaliśmy te słowa będące największą pochwałą architektury Napoleona IIIgo. Ten wykrzyknik streszcza stronę moralną domu wyrobniczego: skoro powab domowego ogniska zatrzyma robotnika, kwestya społeczna bliską będzie rozwiązania.

*La Societé coopérative immobilière de Paris* wystawiło wzór mieszkania taniego dla jednego stadła. Celem tego stowarzyszenia dawać mieszkania zaspakajające pod względem materyalnego i moralnego dobra w warunkach jak najkorzystniejszych. Takie zadanie zawiera dwie różne kwestye: kwestyą techniczną, czyli budowniczą i kwestyą ekonomiczną czyli finansową. Pierwsza tak się przedstawia: skreślić plan mieszkania ludowego taniego i oznaczyć kapitał potrzebny na zbudowanie takiego domostwa. Druga staje tak: wyłożyć kombinacye za pomocą których można pewnej liczbie osób dać pomieszkanie na własność, nie żądając natychmiastowego zwrotu włożonego kapitału, a wymagając tylko drobnej i powolnej wypłaty.

Dom wystawiony przez powyższe Towarzystwo na polu Marsa, zajmuje 22 metry kwadratowe przestrzeni, a kosztuje 3,000 franków. Towarzystwo ma nadzieję dostarczyć takich pomieszkań najdalej w przeciągu lat dziesięciu potrzebującym za opłatą dokonać się mającą w ciągu lat trzydziestu, po sto franków rocznie, albo dwa franki tygodniowo. Byłoby prawdziwe dobrodziejstwo dla wyrobników paryzkich. Rząd wszelkimi siłami dopomaga przedsięwzięciu.

Przemysłowiec Dollfus, prezes X-tój grupy, wystawił cztery domy takie jak te, z których złożona tak zwana *Cité de Mulhouse*. Kształt ich był poprawiany i ulepszany przez wszystkich ludzi fachowych dobrej woli; kombinacya finanso-

wa za pomocą której wyrobnik może zostać właścicielem, równie dobra jak plan domóstwa. Jestto uczynek wielkiej wagi i wielkiego miłosierdzia.

W Mulhuzie domki o piętrze wesołe i widne, stoją grupami w ogrodach opasanych żywopłotem. Wszedłszy tam latem, jesteś jakby w ogrodzie pełnym cienia i kwiatów. W jednym z wystawionych domów Dollfusa, jest wypukły plan osad (des Cités Mulhousiennes). Drobne zagrody wyrobnicze okalają rękodzielnie ogromne wyrobów bławatnych, które dają pracę tysiącom ludzi. Z badania tego planu wynosisz pojęcie rozwoju do jakiego doszły pod rozumnym i miłosiernym kierunkiem *osady* Mulhousy i ważność ich roli społecznej.

Administracya *osad* sprzedała wyrobnikom w sierpniu 1865 roku 614 domów, za które zaliczyli jęj 1,150.000 fr. Znaczna część tęg sumny wyobraża oszczędności, które robotnicy dokonali w ciągu lat dwunastu. Czy byłyby jakie, gdyby do nich nie skłonił potężny powab własności? Niewątpliwie, groszaby żaden nie oszczędził.

Dziś *osady* wyrobników Mulhousy dopełniają się ustawami *wzajemnej pomocy*. Kierunek tych *osad* wzorowy! Administracya rozdaje nagrody rodzinom, dającym przykład porządku, oszczędności, czystości i dobrego utrzymania domu z ogrodem, jako tęg tym, którzy się odznaczają dobrém wychowaniem dzieci. Przemysłowcy stojący na czele tych rękodzielni, używają wszelkich bodźców ku doprowadzeniu proletaryatu do własności.

Rząd francuzki z powodu wystawy powszechnęj, wyznaczył nagrodę *stu tysięcy franków* za dzieło powszechnego użytku, mające na celu dobry byt ludu. Rząd pruski przedstawił do tęg nagrody znanego ekonomistę Schultzego z Delitsch za napisane przez niego dzieło o *Organizacyi robotników*. Współubiega się o tęg nagrodę wyż wspomniany fabrykant Dolfus z Alzacyi, za wzorową i całej Francyi dającą przykład, a praktycznie, nie teoretycznie zaprowadzoną organizacyą klasy roboczęj. Nagroda słusznie jemu dostać się powinna. Dotąd atoli nie wiadomo kto takową otrzyma.

Trzeci wzór domu wystawionego jest na jedną rodzinę, żyjącą na wsi, gdzie mało kósztuje ziemia, a słońce nie. Ten wzór do nakreślenia nie trudny, wystawił nadreńczyk



Japy i kompania. Kombinacya pana Japy taka, że w ciągu lat pięciu, za drobną spłatą, mieszkaniec staje się właścicielem mieszkania złożonego z pięciu pokoi, dwóch łazienek, kuchni, piwnicy i ogródka. Cena takiego domu 2,000 frank.

Wszystkie okazy domów wyrobniczych na wystawie, są bardzo praktyczne: dobry rozkład każe zapominać o ich szczupłości koniecznej z powodu drogości gruntu i budulca. Zamiast krzewów są kwiaty, zamiast drzew, krzewy; oświetlenie wszystkich kątów zmusza mieszkańców do porządku. Rozmiar sypialni ściśle do wymogów higieny zastosowany, odpowiada warunkom dobrobytu. Taniłość, wygodę i zdrowie mieli na uwadze ludzie dobrej woli, budujący te przytulki dla ubogich na Polu Marsowem. Ważność ich dzieła powszechnie ma uznanie. W naszych częstych wycieczkach na wystawę, zauważaliśmy z przyjemnością, że domy wyrobników są studiowane pilnie przez ludzi wszelkiej kondycyi i narodowości. Widocznie istnieje prąd niosący w tę stronę baczących na prawa rzeczywistej oświaty i pochod prawdziwego postępu. Dyrekcya wystawy może się szczycić, iż tak dobrze pojęła najsilniejszą tendencyą tegoczesną. Rozpowszechniając wzory przyzwoitego mieszczenia ludzi pracujących dotąd bez dachu, Francya odniesie w tym roku szlachetne i płodne zwycięstwo.

---

W klubie między-narodowym, około pałacu wystawy, odbyła się świetna biesiada Xtej grupy, ofiarowana przez francuzkich sędziów przysięgłych, członkom zagranicznym. Wszystko tu było dla umysłu: ozdoby, toasta i mowy. Na tle chorągwi wszechnarodowych któremi ubrano salę, powiewały białe sztandary między-narodowego towarzystwa pomocy rannym, mury zapisano sentencjami odpowiadającemi zadaniu grupy, mającej badać wszystko co dotyczy ulepszenia moralnego i materialnego ludu. Były wyjątki z przemów Napoleona III-go i ministra oświecenia; jeden z tych ostatnich brzmiał: „Łączmy się, żeby wspierać monarchę w najszlachetniejszym jego przedsięwzięciu: odrodzeniu Francyi przez wykształcenie.“

Prezydował biesiadzie pan Dollfus. Obok niego siedział sławny chemik niemiecki, baron Liebig, prezes zagraniczny,

X-tęj grupy. Po drugiej stronie Anglik Kay Shuttlewerth wice prezes; dalej siedzieli: Devinck, prezes kommissyi zachęty prac wyrobników, doktor Faucher, deputowany pruski, doktor Kornhuber wiedeńczyk; Villari professor uniwersytetu z Florencyi; Carderera inspektor wychowania publicznego w Hiszpanii; Moestri dyrektor handlu włoskiego; Leines radca stanu ze Studgardu, Emil Olivier deputowany francuzki, i mnóstwo innych znakomości. Muzyka grała hymny i pieśni rozmaitych narodów.

Prezydujący Dolfus najpierwszy wystąpił z mową streszczającą zadanie tęg umysłowej części wystawy powszechnej. „W tym konkursie—rzekł—najpiękniejszych i najużyteczniejszych płodów ludzkich, *dziesiąta grupa* bierze udział godzin zazdrości. Mamy nagrodzić i uwidomić wszystko co może się przyczynić do fizycznego i moralnego dobrobytu ludności pracującej. Nie ma nad to szlachetniejszego zadania. Ażeby je należycie spełnić, winniśmy znaleźć i rozpowszechnić wszystko co się robi użytecznego w każdym kraju. Nasze zebrania i narady, ten cel mieć powinny.

„Każdy kraj ma część swoją w tęg zadaniu: wszyscy mamy się od siebie czegoś do nauczenia. Kraje niemieckie dały wychowaniu ludowemu rozwój daleko znaczniejszy niż Francya: wszyscy tam prawie umieją czytać i pisać. Myśmy jeszcze daleko od tego koniecznego postępu... Ale wierzymy w zamiary ministra oświecenia, który energicznie wychowanie ludu rozwija. To najpewniejszy sposób powiększenia dobrego bytu i swobody powszechnej.

„Anglia nas także wyprzedziła w tęg co może ulepszyć dolę robotników fabrycznych. Zmniejszyła godziny pracy—pokazała jak należy zastąpić zbyt ciężką pracę ręczną, pracą mechaniczną. Tym sposobem powiększyła swój przemysł, a fabrykując taniej, dała więcę roboty. Taniość wyrobów najpotrzebniejszych, jest wielkięm dobrodziejstwem: powinna zająć pierwsze miejsce w rzędzie naszych nagród.

„Mnogie fakta dowodzą, że znaczne ulepszenie wynikło w krajach gdzie praca przemysłowa ma wielki rozwój, ze stowarzyszeń wyrobników i przypuszczenia ich do zysku patronów—ze wszystkiego co uczyniono dla zrobienia wyrobnika właścicielem. Z tego co fabrykant czyni dla dobra robotni-

ków, wynika wspólność interesów coraz ściślejsza pomiędzy pracującym a kapitalistą, wiodąca do zapobieżenia gruntownego *zmowom*, szkodliwym dla stron obu.....

...„Zadanie nasze nie ogranicza się na rozdawaniu medali, ale się zasadza na zbieraniu faktów, oświecaniu opinii publicznej, ażeby uznanie powszechne dało rozwiązanie oczekiwane od przyszłości. Śledztwo wyszłe z naszej *dziesiątej grupy* rozpoczyna tę pracę. Nigdy większy i szybszy nie był postęp jak dzisiaj. Skrócenie odległości, łatwość komunikacyi, wolna wymiana płodów ludzkiej pracy; większy rozwój jaki dać chcemy wychowaniu: wszystko to postęp jeszcze szybszym uczyni. Zawisł jednak całkowicie od utrzymania pokoju. Nie powinniśmy już z sobą wojować, nie powinniśmy wystawiać armat, a chwałę naszą zasadzać nie na rozlewie krwi, ale na pełnieniu najświętszego z naszych obowiązków, miłowaniu bliźniego. Niechaj nasza wspianiała wystawa otworzy nową erę: erę braterstwa. Usiłujmy używać lepiej ogromnych zasobów wydanych na wojnę; nie miejmy innych fortec jak te, które ludom i rządowi stawia rozwój wszech-postępu i przyjaznych stosunków. Wnoszę toast na cześć *świętego przymierza ludów*.”

Baron Liebig wniósł następnie zdrowie Cesarza Napoleona, i jako organ Niemiec, przemówił w tymże duchu co Dolfus, organ Francyi. „Walczyliśmy zawsze z sobą, mierzyliśmy siły nasze, rzekł w końcu, ale na polu bitwy nie zecerwienioném krwią bratnią ... na polu bitwy gdzie przeciwnicy walczą bronią ukutą przez inteligencyą, gdzie *zwyciężony* sam wkłada wawrzyny na czoło *zwycięzcy*. Bez pokoju, nie ma wolności.”

Ładnie przemówił radca Algelt z Disseldorfu: „Panie! rzekł, Saint-Marc Girardin przybywszy raz do Berlina, stanął pod Lipami i patrzył na dwa sąsiednie budynki: arsenał gdzie błyszcza armaty, i uniwersytet, gdzie tłum studentów czerpie ustawicznie ze źródła wiedzy, „Oto jest, zawołał autor *„Zapisków politycznych i literackich o Niemczech”* godło Prus: uniwersytet i arsenał, studenci i żołnierze.”

„We dwadzieścia lat później, jeden student berliński siedmdziesiąt-dwu letni, wysłany przez ministra oświecenia publicznego w Prusiech, do wystawy 1867 r., przybywa do

gościnnego Paryża. Cóż tu uwagę jego zwraca? Czy Sorbona, czy *Francuzkę Kollegium*? Instytut? Czy Akademia? Wybaczcie staremu! Wzrok jego niedosięgający tych szczytów intelligencyi, zatrzymał się na zakładach mających uprawiać umysł i serce dzieci: na szkołach elementarnych, tych ogniskach zdolności i geniuszu narodowego, z kąd wychodzi rozkaz bycia zacnym i cnotliwym mężem.

„Co do arsenałów paryzkich, te nie są ani ukryte ani trudne do znalezienia. Na ich widok rozumiesz: *Noli me tangere*. Ale na Boga! niech armaty mileżą. Bogdajbyśmy, nie usłyszeli nigdy téj *ultima ratio*. Na węgielnym kamieniu oświaty, na gruncie szkoły elementarnej wiejskiej, spotyka się Cesarz Francuzów z królem Pruskim. Niech im Bóg błogosławi! i dobre natchnienia daje ministrom, którzy kierują wychowaniem dzieci w dwóch sąsiednich krajach. Pauowie! piję za zdrowie ojców i matek, czuwających nad wychowaniem swoich dziątek.”

Francuzki sędzia przysięgły pan Saint-Yves wniósł toast na cześć wynalazców i geniuszu wynalazczego; dopominał się równouprawnienia wynalazców i wykonawców tego, żeby postęp moralny i materyalny szedł w parze. Oto jak tę myśl sformułował. „Prezes nasz, Liebig, wygłosił równość bogatych, uczonych i robotników w obec wynalazku. Równość jest u wyjścia; braterstwo winno ich wspierać w ciągu drogi, a połączyć, skoro dobiegną do mety. Wynalazcy powinni być podzieleni na dwie kategorie: jedni, wynalazcy z urodzenia, działają w jasności którą Bóg w ich duszy zapalił: to są robotnicy; drudzy, widzą wrodzoną zdolność powiększoną przez pracę, rozwiniętą przez wpływ okolenia w którym żyją: to są uczeni. Do nich należy danie pomysłu; do pierwszych, wynalezienie narzędzia. Nie sąż oni braćmi, synami intelligencyi i pracy, którzy winni łączyć usiłowania dla powiększenia dobrobytu ludzkiej rodziny?”

„Dowodów na to nie brak. Prace Ampèra o elektryczności, przygotowały telegraf elektryczny. Ogromne postępy jakie przemysł w ciągu tego stulecia urzeczywistnia, mają korzenie w badaniach chemików, których szereg nieprzerwany ciągnie się od Lavoisiera do Liebig'a.

„Gdyby myśl braterstwa wynalazców, mogła, wyszedłszy z tego koła, wnikać w robotników; gdyby tam mogła wzbudzić zaufanie; gdyby narzędzie raz na zawsze powięzało się z myślą; gdyby robotnik radził się uczonego: znikłaby pewno plaga pracy, przyczyna nędzy nie jednej rodziny, pogrzebalibyśmy ostatecznie usiłowania bezpłodne: kwadraturę koła i *perpetuum mobile*.”

W końcu odczytano list ministra oświecenia, który zatrzymany służbą w departamentach północnych, nie mógł przybyć na biesiadę. Pan Duruy dziękuje przysięgłym zagranicznym za ich użyteczne prace. „Dowodzą one, że wychowanie publiczne weszło teraz na grunt neutralny, święty, znacznie górujący po nad wewnętrznymi walkami politycznymi; dowodzą, że kwestya oświaty nie zawisła od współzawodnictwa narodów.

Poczucie missyi narzucającej się dziś rządowi; węzły ścisłej solidarności łączące wychowanie publiczne z postępem społecznym, usprawiedliwiają wyjątkowe zajęcie, jakim Europa otacza szkoły i warsztaty. Zwiększać dozę światła i prawdy którą każdy posiada, to wykorzeniać wraz z ciemnotą, zgubne zarody wszelkiego rodzaju przesądów i ślepych nienawiści; to, w porządku moralnym, szerzyć na wolnej woli oparte cnoty prywatnego człowieka i obywatela, a w porządku materyalnym przyspieszać i ulepszać produkcję.

„Zwiedzając na Wystawie Powszechnej galeryą maszyn, myślałem, że nauka czysta jest jedynym źródłem tych cudów, i uwielbiałem przyrzady siły, będące na służbie myśli. Nauka nadając najprostszemu wyrobnikowi świadomość użyteczności jego zadania dla ogólnego dobra, ułatwi zagodzenie sporu przemysłowego, bo oświecając każdego co do jego prawa, oświeci co do obowiązków, pokaże wszystkim że nadużycie prawa jest częstokroć równie występne jak jego pogwałcenie...

„Nie naradzając się z sobą, wiele państw europejskich rozszerzyło u siebie ustawy mające wspierać słabych i prawa ich zabezpieczać. Wasze prace czynią współzawodnictwo na tej drodze; służycie interesom wszystkich ludów, idziecie w kierunku myśli która stanowić będzie wielkość XIX wieku w historii: rzucając na szalę wagę swojego światła i uznaniej

powagi, ulepszenie terażniejszość i pomagacie dzielnie do przysposobienia lepszej przyszłości."

Deputowany Ollivier mówił ostatni. W improwizacji swojej dotknął kwestyi, która nader żywo zajmowała umysły ostatnimi czasy: wniósł toast *za zgodę pomiędzy pracującymi a kierownikami pracy*, pomiędzy kapitałem a pracą, patronami i wyrobnikami. Huczne oklaski pokryły mowę deputowanego lewicy.

Wszystkie te manifestacye, chociaż nie pozostające w bezpośrednim związku z polityką bieżącą, ukrzepiły usposobienie pokojowe, dziś przeważające. Niepodobna sławić pracy nie potępiając wojny. Sama wystawa, jej świetność i nie zaprzeczone powodzenie, są najpotężniejszym argumentem za pokojem i do utrzymania go długo wystarczyć mogą.

---

Księgarze wydawcy zajmują szerokie miejsce na wystawie powszechniej. Najpierwszym pomiędzy nimi jest Mame z Tours. Drukarnia jego, to najpierwsze we Francyi laboratorium, w którym tysiące rąk, tysiące głów i tysiące rozmaitych procederów typograficznych, składają się na wydawnictwo jednego dzieła. Mam, nietylko jest wydawcą i drukarzem pierwszym we Francyi; zakład jego jest rodzajem ogromnej fabryki książek, która zajmuje do trzech tysięcy wyrobników i wyrobnic, około czterdziestu maszyn, pracowni drukarskich, pras ręcznych i parowych, gładzalni, sposzywalni, warsztatów introligatorskich, sztycharskich, litograficznych, fotograficznych, hromolitograficznych, heliograficznych, i t. d. Obok fabryki są składy zawierające *trzy miliony* tomów ustawicznie odnawianych.

Z zakładem Mama związana fabryka papieru i atramentu, lejarnia czcionek, wyprawialnia skór i fabryka tektury.

Mame wydaje skończonych i oprawionych książek około 20,000 tomów dziennie, czyli rachując trzysta dni roboczych, *sześć milionów tomów* rocznie. Te sześć milionów książek rozchodzą się po całej Francyi, idą za granicę, zapełniają pulpity studentów i biblioteki uczonych, są nagrodą grzecznych dzieci i pracującej młodzieży, pomocą profesora i matki rodziny, pokarmem dusz pobożnych; wnikają

do chaty wieśniaka i na poddaszu wyrobnika, zdobią salon bogacza i ubogie poddasze.

Pojąć łatwo, że tak olbrzymia produkcya, podwyższana ciągle wzrastającą konsumacyą, byłaby nie możebna gdyby ilość utrzymywała się kosztem jakości, gdyby ogromna różnitość, wartość rzeczywista i wartość kupiecka, nie szły w parze, nie odpowiadały smakowi i wymogom powszechności. Tylko fabryka sumienna, ciągle ulepszanie wyrobu, stosowanie wszelkiego postępu umysłowego i oddawanie jak najtaniej towaru, mogły zdobyć panu Mame tę ultra-europejską sławę jakiej używa, dać mu popularność i powodzenie, które razem jego krajowi i rzemiosłu zaszczyt przynoszą.

Księgarnia Mam'a jest encyklopedyczna, obejmuje wszystkie rodzaje piśmiennictwa wyjąwszy romansu. Działy jej główne: książki elementarne, wychowawcze, naukowe, rozpowszechniające naukę; książki biblioteczne i zbytkowne. Dział ostatni dochodzi najwyższego wykwintu; inne są wzorem książki ludowej, nie książki drukowanej grubo na bibule, ale pożądnęj, czystęj, ozdobnęj i tanięj.

Zbiór książek edukacyjnych i naukowych składa się z tomów wszelkiego rozmiaru, począwszy od ośmnastki o trzydziestu stronicach z dwoma obrazkami, sprzedawanęj po *susie*, aż do dużego in 8vo, o pięciuset stronicach, z dwustu obrazkami, sprzedawanego po franków ośm, cenie bardzo umiarkowanęj stosunkowo do piękności wydania.

W tym dziale każdy wiek znajdzie część swoją: pięcioletnie dziecię elementarz z obrazkami, wyrostki płci obojęd, książkę poważną, w której, opuściwszy szkolną ławę, znajdą zdrowy pokarm umysłowy.

Książki nabożne Mam'a zalecają się różnaitością i taniością: znajdziesz pięknie w skórę oprawne *oltarzyki* po 35 centimów (10 groszy polskich). Obok nich, są przepyszne *mszały* drukowane czarno i czerwono; każda karta we wzorzystych ramach a tekst poprzekładany stalorytami.

W książkach zbytkowych, Mame doszedł do doskonałości nie zrównanęj, na którą składały się sztuka, nauka i wytrwała praca. A nawet w tym dziale zacny drukarz pozostał wierny zasadzie literackiej, która jemu we wszystkich obrotach handlowych przewodniczy. Nie wydaje weale takich książek, które tylko przez szkło oglądać można, których nikt

nie tyka i nikt nie kupuje, gdyż dochodzą cen bajecznych, nie kwadrujących z przyjemnością jaką nawet zagorzały biblioman znalazłby w ich posiadaniu. Do takich wydań należało, naprzykład, sławne *Naśladowanie Chrystusa* wystawione 1855 roku przez drukarnią cesarską: książka była ogrodem, klejnotem, przedmiotem artystycznym, którego tysiączne szczegóły zachwycały oczy, a myśl zupełnie odwracały od szczytnego znaczenia wyrazów występujących w formie wszechułudy zmysłowej.

Mame pracując nad swoją sławą, prawie jednocześnie dla dobra, o to się troszczy przedewszystkiem, żeby jego najpiękniejsze książki mogły się rozpowszechnić. W tym celu nie cofa się przed nakładem: łoży, nie pewny czy odbierze, ale łoży, bo chce żeby u niego piękne książki najtaniej kupowano.

Zwykle wydawca jest spekulantem. Dla tego, obaczywszy książkę zacienioną sto lub dwieście franków, każdy wnosi że wydawca musi zyskiwać na niej ogromnie. Mało kto się domyśla, że rysunki, sztychy, papier, druk, oprawa, prawo autora, expedyca, remizy dawane księgarzom, i tym podobne rzeczy — kosztowały tyle, iż czasem wydanie odbite na 3000 egzemplarzy, po zupełnym rozejściu się, nie pokryje połowy nakładu, że takie zbytkowne wydania Mam'a, jak *Missale romanum*, *Biblia*, *Turenia* i *Ogrody*, na które najwyższy przemysł typograficzny się wysiła *con amore*, są dla publiczności podarunkami...

Koroną wystawy Mam'a jest *Biblia* w dwóch tomach ilustrowana przez Dorego, a wydana przez niego w końcu zeszłego roku. Pierwsza edycja tego dzieła zupełnie wyczerpana. Artyści i wydawcy mieli ogromne trudności do zwalczenia w dokonaniu tego pomnikowego dzieła. Format in folio był konieczny. Ale nawet dając mu największe rozmiary i dzieląc na dwa tomy, musiano wziąć czcionki zbyt małe i drukować zbyt ściśle. Widziano dobrze tę wadę, ale niemożna jej było uniknąć. Od świętego tekstu nie godzi się odjąć ani słowa: musiano go więc wziąć jakim jest, nie zgrubiając zbytecznie tomów.

Druk z tych powodów nie wspaniały, podnoszą ozdoby dzielące kolumny. Ozdoby te, rysowane przez pana Giacomelli, a sztychowane mistrzowsko, są najoryginalniejszą częścią



dzieła. Jest ich tak wiele, że powtarzania nie znać. Każda girlanda tworzy harmonijną całość, cudownie wykończoną, łączącą erudycją archeologa, wyobraźnią poety i poczucie prawdziwego piękna.

O *dwustu trzydziestu* rysunkach Dorego mówiliśmy na tém miejscu w swoim czasie i powiedzieliśmy co można było o téj zadziwiającej kreacyi, pojąć nie mogąc jak wyjść mogła z jednego człowieczego mózgu i jednego ołówka. Są zapewne tu i owdzie drobne usterki w téj ilustracyi, ale iluż zalekami okupione te błędy. Jakaż tu siła inwencji, jaka rozmaitość fizyognomii, jakie pojęcie ducha biblijnego w tych rysunkach nie będących tylko obrazami, ale dramatai, hymnami, sielankami—wierném oddaniem wielkiego poematu świętego.

Doré wiele zawdzięcza sztycharzom, którzy dzieło jego odtwarzali; nie mało téż winien drukarzom, którzy nie pozabawili dzieła świeżości. Czystość odbicia uderza mianowicie w egzemplarzach *Biblii* i *Turenii*, drukowanych na *welinowej skórze*. Są to dwa dyamenty wystawy Mama, nie mające sobie równych ani w angielskim ogromnym dziale książek, ani w inno-krajowych. Każdy z tych egzemplarzy kupionoby za parę tysięcy franków, gdyby były na sprzedaż. Ale Mam chowa je dla siebie, jako najmilszą nagrodę swych trudów i kosztów.

Pojawienie się *Turenii* na wystawie 1855 roku, było wypadkiem typograficznym. Pierwój nie miano wyobrażenia o takiej robocie. Przysięgli, dziennikarze, artyści, nawet współzawodnicy Mam'a, jednym zgodnym chórem śpiewali doskonałość tego wydania. „*Turenija* nie jest książką, ale pomnikiem“ wołał zachwycony Teofil Gautier, znawca pierwszego rzędu. Dziś to wydanie wyczerpane, i nie będzie drugiego, gdyż zbyt wiele kosztowało, i nakład się nie pokrył.

Prócz dawnych ksiąg przepysznych, Witryna Mam'a posiada tego roku dwie księgi umyślnie na wystawę przysposobione: „*Ogrody*“ zbytkowne *in folio*, w rodzaju *Turenii* której dalszy ciąg stanowi; i nowe wydanie „*Charakterów*“ La Bruyera. „*Ogrody*“ są księgą salonową, *La Bruyere* biblioteczną. Nie rozumiem przeto książki która się stawia w szereg i nigdy nie otwiera, ale przeciwnie, taką którą się pod ręką ma i często odczytuje.

Ażeby mieć ochotę czytać i odczytywać książkę, trzeba żeby używanie umysłowe, czytanie, nie było popsute zmęczeniem jakie sprawia druk zły, zbyt drobny lub zbyt gruby, format za wielki lub za ciężki. Trzeba żeby oczy razem z duchem wiewały, żeby książka była do trzymania wygodna, żeby wzrok bezwiednie podawał myśl autora umysłowi czytelnika.

Owoż, te warunki nie tak łatwo urzeczywistnić jak się zdaje: piękne wydania klasyków dość rzadkie, nawet we Francyi. Z wielką więc radością powitano tę nową edycyą La Bruyera: już cała rozkupiona, niebawem wyjdzie druga.

„Charaktery“ z dzieł klasyków francuzkich najlepiej nadają się do ilustracyi, ale wymagają wielkiej finezyi i taktu. Mame zrozumiał że niewłaściwością byłoby przeładować tekst nadmiarem ozdób, i powierzył ilustracyą Walentemu Foulquier, artyście znanemu z poprawności, którego maniera trzeźwa najlepiej przystaje do myśli francuzkiego Teofrasta.

Foulquier ozdobił tom ośmnastu aquafortami, pięknie wykonczonemi i zdarnemi. Portret La Bruyera na pierwszjej karcie, może nie należy do najpodobniejszych, ale odpowiada najlepiej wyobrażeniu jakie mamy o fizyognomii sławnego moralisty. Winiety poprzedzające każdy rozdział są scenami, gdzie żywe osoby ruszają się, myślą, rozmawiają, marzą, wśród dobrze narysowanych dekoracyj. Żaden szczegół nie pominięty w tych nadobnych kompozycyach stawiających pana Foulquer w rzędzie pierwszych ilustratorów paryzkich, którzy są zarazem pierwszymi na świecie.

Wśród illustrowanych i ozdobnych książek na Wystawie Powszechnej uderza *Album fotografowanych medali Dawida d'Angers*, wydane przez jego syna Roberta, a poprzedzone przedmową Edmunda About. About znał Dawida i studyum jego skreślił z natury. Z wielką przyjemnością czyta się ten życiorys tyleż każący wielbić człowieka co artystę. Wstęp z miłością napisany, godnym jest portykiem panteonu, który rzeźbiarz francuzki wzniosł społecznym sławom.

Wszystkie rodzaje ludzi przedstawione w téj książce: widzimy mężow stanu; poetów, uczonych, muzyków, znakomitości płci obojęd, wszystkie uderzająco podobne a mimo

to, nieco uidealizowane, bez czego wizerunek zawsze bywa powszedni. Fotografie nie są w tym zbiorze fotografiami, to jest płaskim, zawsze prawie szpetnym odbiciem oblicza; mają oczyszczone stylem podobieństwo, to jest ten wyraz boskiej cząsteczki twarzy, który tylko człowiek oddać może, nigdy słońce we współpracownictwie z maszyną.

Album składa się z pięciuset fotografowanych medali. Nie znając wszystkich, nie można znać talentu Dawida, wiedzieć jak wielkim był artystą. Na widok każdego popiersia doznajesz tu elektrycznego wstrząśnienia, jakie sprawia głęboko oryginalne dzieło sztuki: czujesz, że masz przed oczyma prawdziwą fizyognomią wzoru opromienioną duszą rzeźbiarza, uwieńczoną jego geniuszem. Trzeba aż do medalionów kolumny Trajana sięgnąć, żeby podobnego doznać wrażenia.

Rylec Dawida ma giętkość czarodziejskiej różeczki; przemiany pod oczyma patrzącego dokonywa: od natchnionych rysów młodego Adama, przechodzi do chłodnego oblicza Franciszka Arago, tu się zdumiewa potężny profil Barrera, a tu Juliana Niemcewicza poważna głowa zatrzymuje... Po starcu młodzian i odwrotnie, wdzięk znika ustępując miejsca wiekiem spustoszonej twarzy, a oba wizerunki piękne, bo dotknięte genialną ręką.

Rzecz dziwna, szpetność, we właściwym znaczeniu tego wyrazu, nie istnieje w tej książce. Rzeźbiarz jej powiedział: nie wejdiesz tu! a Bogu jednak wiadomo ile zwiedłych twarzy, ile odartych z włosów czaszek, ile nieregularnych rysów przed Davidem pozostało. Ale sztuka podniosła co poniżyła natura: rzeźbiarz rozświecając dopełnił szkic przyrody, wytłumaczył go genialną intuicją. W oddawaniu męskich twarzy David był nie zrównany; mniej umiał odtwarzać piękność niewieścią. Powabnej większości mu brak, wdzięk czarownicy, owo wiązanie ludzkiej z anielską pięknoscią, nie było przystępne Davidowi, ale za to jakież mistrz w znarszczkach! poematy całe umie pisać temi przez namiętności wydeptanymi hieroglifami. Rembrandt chętnieby podpisał każde męskie popiersie Dawida.

Syn jego, Robert David, sam zebrał i odfotografował całe dzieło ojcowskie: jemu Paryż zawdzięcza tę piękną książkę, która jest złotą księgą społecznego geniuszu.

— Nie mniej zajmującą artystów książką na wystawie, jest *Życiorys hiszpańskiego malarza Goya*, napisany przez Karola Yriarte, a wydany przepysznie przez Płow'a, z wignetami i stalorytami przedstawiającymi najświetniejsze utwory tego hiszpańskiego mistrza.

Dzieło wyszło pod tytułem: „*Goya: Sa vie, son oeuvre.*” Yriarte studjuje człowieka - artystę i dzieła jego; opisuje obrazy rozsiane po klasztorach, kościołach, pałacach i muzeach hiszpańskich; bierze Goya z kolebki i nie opuszcza aż do śmierci; opowiada jego długie, dziewięćdziesiąt letnie życie z pomocą pamiętników współczesnych i tradycyi, oraz dokumentów znajdujących się w archiwach pałaców madryckiego, Ossuna i Albes. Żywot to ciekawy! awanturniczy jak Benvenuto Celliniego a zabawny jak Casanovy. Goya był przyjacielem królów, powiernikiem królowych, bożyszczem ludu, towarzyszem Torerów; zabijał strażę, dachami wchodził do klasztorów. Pewnego ranka znaleziono go na ulicy przebitego trzema pchnięciami noża... Niebawem wyleczył się z ran, ale nie z zuchwalstwa.

Całe życie Goya spiskował przeciw głupstwu i przywarom, ostrzem sztyleta pisywał krwawe panflety... Był zawsze tak ożywiony, potężny i wesoły, że królowa Maria Luisa mimo krnąbrności ulubienca, ledwie otworzyła oczy, mówiła damie dworu: „Idź, przyprowadź Goya, żeby mnie rozweselił.”

Jakoż, pośród ówczesnej nocy społecznej, Goya jest księżycem: rozjaśnia zmrok, uwydatnia obrysy wszech rzeczy.

Dzieło Goya jest ogromne! Malował freski olbrzymie: cały jeden kościół *San Antonio de la Florida*, sam, od kopuły do posadzki pokrył malowidłem; malował niebotyczną kopułę kościoła *Notre Dame del Pilar* w Saragossie; obrazy religijne znajdujące się w Valencyi, Madrycie, Sewilli, Valladolid i Toledo; przeszło sto portretów konnych i pieszych, całych i częściowych; mnóstwo nieprzeliczone obrazów rodzajowych przedstawiających rozmaite ustępy z walki byków, festynów, spacerów, słowem, będących malowaną kroniką ówczesnego życia wykwińskiego. Nadto, zostawił przeszło dwieście wzorów na dywany szesnaście stóp wielkie. Aquaforty jego, same jedne, mogą stanowić sławę artysty. Główniej-

sze są: *Kaprysy*, ośmdziesiąt karykatur politycznych szyderczych, często okrutnych; *Kłeski wojny*, potężna protestacya przeciwko tój pladze ludzkości; ośmdziesiąt rysunków z legendą zjadliwą, któreby mogły się przydać Girardinowi jako ilustracye do jego co wieczornój rubryki „*Guerre á la guerre.*” „*Proverby*, ośmnaście snów szalonych; nakoniec *Więźnie*, gwałtowna protestacya przeciwko karze śmierci i ciężkim więzieniom, rodzaj Baccaria w aquaforcie.

Całe to ogromne dzieło Goya, malarza najmniej znanego a najczęściej przytaczanego, Yriarte bada, opisuje, komentuje; ocenia malarza fresków, malarza obrazów religijnych, portrecistę i aquaforcistę. W końcu daje katalog olejnych malatur Goyi, składający się z przeszło 300tu numerów. Księga o którój mowa, poprzekładana sztychami najcenniejszych utworów Goya, jest zarazem muzeum: człowieka i artystę poznasz w głównych jego dziełach.

— Jeszcze jedna artystyczna książka niepośledniej wartości. Znakomity francuzki krytyk sztuk pięknych p. Henryk Delaborde, konserwator gabinetu rycin, wydał swoje studia drukowane dawniej w *Revue des Deux Mondes* p. n. „*Etudes sur les beaux-arts*” i „*Mélanges sur l'art contemporain.*” Są to bardzo ciekawe dla artystów badania. Spadkobierca Gustawa Planche, Dalaborde wyższy od niego głębszą znajomością techniki malarskiej, sam malarz, lepiej może wyrokować o malarstwie. Włoskie zna gruntownie i zdrowe wydaje sądy o wielkich mistrzach półwyspu italskiego. Krytykę zbyt drobiazgową potępia: „sztuka, powiada, stworzona do *delektowania się*; używajmy piękna zamiast zatapiać się w dyssekcyań niepotrzebną, ulegajmy urokowi.” Studium sztuki na dworze Urbana, należy do najciekawszych rozdziałów tych IIch tomów, które artystom polskim polecamy.

---

*Historya pracy* zajmuje jedną osobną galeryą w pałacu wystawy powszechnój. Jest ona najmniej uczęszczaną a najciekawszą. Cóż może więczej zająć uczonego, artystę, rzemieślnika jak ten długi, metodycznie ułożony szereg wyśiłeków ludzkiego geniuszu? Jakież tu można czynić spostrzeżenia nad postępem ludzkości, mając przed oczyma tę żywą

transformacją społeczną! Poeta powinienby być dziejopisem tego muzeum. My upatrujemy w niem dowód skromności naszego wieku. W ogromnym gmachu wzniesionym powodzeniem i podbojem, ludzkość myśląca i pracująca, wystawia swoje początki, niepewności i niedołęztwa.... Potężna! wielka! a mimo to nie wstydi się tego że była mała, nie wstydi się przypomnieć że zanim stąpała dumnie podparta pod boki, czołgała się na czworakach.

Prawda że pomiędzy szczątkami odległej przeszłości zdarzają się utwory wspaniałe! Życie społeczeństw to ma wspólnego z życiem człowieka, że młodzieńczy wiek ludów czasami tworzy arcydzieła jakich wiek dojrzały nie stworzy. Niektóre cuda owych czasów nie tylko mogą stanąć obok dzisiejszych, ale je zaćmiewają, tak dalece, że przychodzi żałować téj minionéj młodości świata. Któryż malarz, któryż poeta przerzucając swoje teki, nie czuje w sercu coś nakształt żalu, skoro swoje 20stoletnie utwory przybliży do ostatnich? Wiele prób niedołącznych, ale czasem brylantowe arcydzieło!

Galerya *Historji pracy* jest teką, w której społeczność znajduje swoje szkice. Oczarowany pracami XIX wieku, wchodzisz do tego muzeum, i stajesz przed dawnych prac szeregim, który zdaje się wołać: „artysto, wynalazco, pamiętaj żeś miał przodków! Obrabiali oni kamień, drzewo i kość słoniową, silnemi rękoma pracowali jak dziś nasze maszyny; od ziemi żądali jój tajemnic, od niebios łaski, wzięli to wszystko, i pracując jak wy pracujecie, otworzyli te drogi któreście rozprzestrzenili, stworzyli świat który wyzyskujecie!”

Filozoficzną jest ta wystawa wsteczoględna! Mniejsza o to że nie ściągą tłumy: niechaj tylko wybrani z niej skorzystają, to pomysł nie będzie stracony. Muzeum nie jest ani smutne ani chłodne, trzeba tylko umieć w niem się kierować. Jeżeli czytelnik zechce wziąć nas za przewodnika, zaprowadzimy go odrazu do sali najciekawszej w tym zbiorze: sali szwedzkich i norweskich pamiątek.

Znakomicie pojęto w Sztokolmie tę część programu wystawy i nie cofnięto się przed żadną ofiarą: całe muzeum naukowych i historycznych starożytności, okrętem przyplęnęło do Francji. Cóż byłaby za strata żeby ten okręt był zatonał? A mało brakowało: wyladowawszy skarby, rozbił się ten statek *próżny*, o rodzinne skały.

Mianowicie w krajach gdzie mieszkańcy przekładają życie awanturnicze nad spokojne istnienie—wojnę, nad dobry byt domowego ogniska, *historia pracy* jest ciekawa: jedynym jej śladem naczynia kościelne, biesiadne i bronie. Tych mnóstwo! muzeum szwedzko-norweskcie zdradza najpierw wojenne instynkta ludów skandynawskich. Następnie pokazuje jak ten szczep dziki u siebie pozbawiony piękna, sąsiadom zabiera wszystko co służy do dobrego bytu ciała i umysłu. Takto najdzikszy człowiek, czułym jest na objawy sztuki, a nawet jego słabość dowodzi wrodzonego uszanowania tego co wielkie i piękne.

Wchodząc do skandynawskiego działu, zdaje ci się że wchodzisz do muzeum artyleryi; we środku stoi konny posąg w stal zakuty: to zbroja Gustawa Wazy.

Okolo tego pomnika historycznego, stoją inne relikwie równie dla Szwedów drogie. Układ ich dowodzi artyzmu i znajomości dziejów. Widzimy sztandar Karola XI, obok armatę i bęben, które z Karolem XII były na jego pierwszych wyprawach; na armacie leży szpada którą ów bohater miał przy boku w bitwie pod Narwą 1700 r.

Daliej, geniusz żeglarski Szwedów widać w trzech-masztowej fregacie wiosłowej, zbudowanej ku obronie brzegów, za panowania Gustawa III. Na lewo żelazna armata z tyłu nabijana, jak dzisiejsze, a oznaczona datą 1450 r. Ta armata służyła później za wzór sławnym działom skórzanym używanym przez Gustawa Adolfa w czasie trzydziestoletniej wojny.

Przed zbroją Gustawa Wazy stoi z połączanego drzewa zrobiona kolebka Karola XII, drogocenna relikwia, przechowywana jako klejnot korony skandynawskiej. W tę kolebkę kładą wszystkich synów panującej dynastii: na każdym chrzcie pierwszą gra rolę.

Piramidy ułożone z broni, dopełniają ten zbiór pamiątek i służą do studyowania postępu broni wojennej, począwszy od nabitęj gwoździami maczugi, siekiery, dzidy i łuku, aż do muszkietu i tegoczesnej strzelby.

W szafach oszklonych złożono bronie najstarsze, kamienne topory znalezione w grobach rycerzy. Tu geniusz

pierwotny, wicki żelazne i bronzowe, reprezentują kościane łyżwy, rogowe i drewniane puhary, zamki przedziwnej prostoty, jedne drewniane z drewnianym kluczem, a drugie całe żelazne. Wrzeczona używane przed wiekami, proste i grube, leżą obok tych wykwintnie toczonech, na których dziś przędą Szwedki.

Drugim rozdziałem téj historii, społeczność chrześcijańska. Zabójcze żelazo kryją przedmioty potrzebne do religijnych obrzędów, złote kielichy, ornaty bogate, subtelne monstrancye, wypowiadają zapal wiary. Tu pierwszy raz objawia się sztuka skandynawska: chrzcielnica z XIII wieku wyłobiona z kamienia, nadzwyczaj piękna; szafa kościelna z XV stulecia, okuta w żelazne koronki, niezmiernie oryginalna; portyk kościoła norweskiego z XII wieku, cały z drzewa rzeźbiony, jest arcydziełem całej téj wystawy.

W téj szafie wyż wspomnianej złożono królewskie autografy, od r. 1550, aż do 1818, druki z XVI wieku i stare porcelany z fabryki Marienberga, pod Sztokholmem.

Państwa skandynawskie najlepiej zrozumiały ważność téj części wystawy pod względem historycznym. Znać w niej natchnienie króla, artyści i literata. Wystawił on całe dzieje swojego szczepu, plastycznie od owych czasów w których człowiek Północy zmuszony walczyć z niewdzięcznym gruntem, musiał być wszechstronnie odważny, aż do czasu w którym nie przestawszy walczyć, zaczął tworzyć. Pośród tych zabytków, czujesz najlepiej potęgę wyrazu *praca*. Praca dała wszystko temu ludowi opierającemu się zabójczym żywiołom; praca utrzymała jego siłę; praca go z bogaciła, praca nakonec rozwijając jego geniusz, uczyniła go równym potężnych i przykładem słabych.

Na polach Elizejskich otwarto zwykłą doroczną wystawę sztuk pięknych. Wystawa malarska składa się z 2745 obrazów, rzeźbiarska z kilkuset posągów. Żadne arcydzieło nie przerywa monotonnej mierności talentu artystów francuzkich.

Ze wszystkich przeobrażeń społeczności francuzkiej dokonywających się w naszych oczach, najciekawsze jest może przeobrażenie artystów.



Przed stoma laty uważano tu sztukę jako chorobę i leczono z niej ludzi. Za sto lat policzą ją pomiędzy przemysły. Teraz Francuzi stoją pomiędzy temi dwiema ostatecznościami, są w epoce przejścia.

Nie można ani wyszydzać ani potępiać owych pocziwców, którzy przed laty drżeli żeby syn ich nie został malarzem albo rzeźbiarzem. Wówczas ciężką była nauka, a przyszłość niepewna: kochanek sztuki pięknej szedł zwykle prosto do szpitala. Na stu artystów jeden zaledwie dochodził do majątku; 10ciu zarabiało na życie, a reszta marła z głodu. Dlaczego? Bo więcej było producentów niż konsumentów: tylko monarchowie i bogacze kupowali obrazy i posągi, mieszczanie nigdy.

Młodzieniec musiał tedy być półwaryatem żeby tak niepewny obrać stan; ale było to szlachetne szaleństwo: monarchowie je nagradzali swoją łaską; wiedzieli że 10-ciu artystów więcej uczyni dla chwały panowania, niż 100 generałów. Ztąd owe pensye i adopcye ludzi utalentowanych przez bogatych: wynagradzano po przyjacielsku biednych szaleńców którzy pracowali dla chwały, zamiast wziąć korzystne rzemiosło.

Taki stan rzeczy spłodził wiele arcydzieł i mnóstwo ładnych rzeczy. Godność artystów na nim nie cierpiała: chleb który im dawano, płacili sownicę, w końcu stawali się dobroczyńcami swoich dobroczyńców. Taki obyczaj nie zgadza się zapewne z poczuciem *samo-własności* przekazanej rewolucją 1789 roku, ale w XIII wieku rezydentwo artystów nie raniło nikogo.

Dzisiaj cóż się dzieje? Zbogacona Francya posiada w walorach wszelakich więcej niż trzy razy tyle pieniędzy ile potrzeba na kupienie całej ziemi francuzkięj; dwie trzecie kapitału musi tedy włożyć w ruchomości. Przez ruchomości rozumiemy zbytkowne umeblowanie domu i jego zapasy. Takie umieszczanie kapitału zgadza się z gustem Francuzów: każdy bogaty otacza się tutaj tysiącem drobiazgów *zbytecznych* przed 200-stu laty, a dziś *niezbędnych*. Pierwszy lepszy szef biura ma więcej obrazów i dywanów na 5tém piętrze, niż ich miał św. Ludwik w swoich pałacach.

Ztąd rośnie u ludzi estyma. Cztery obrazy w salonie więcej znaczą niż 10 zwierciadeł i wyrobów czysto przemysłowych.

Wprowadzenie dzieł artystycznych do mieszczańskiego domu, dawniej wyszydzano, dziś uznano za dobre i pożyteczne. Praktyczny mieszczanin kupuje obrazy na spekulacyą. Nie ma dla niego *efektu* zimowego, letniego, porannego ani wieczornego: są jedynie *efekta* dające się spieniężyć w hotel Dronot. Dawniej można kupował obraz na to żeby nim się cieszyć przez całe życie, dziś kupuje na sprzedaż.

W położeniu tak nowém i świetném, artyści chcąc nie chcąc, muszą siebie uważać za przemysłowców, i to faworyzowanych. Żaden przemysł nie stwarza tak znacznych wartości z tak tanich materiałów. Meissonier naprzykład, kupiwszy za 40 franków farb i płótna, robi cudo wartujące 10,000 franków. Rzeźbiarz utalentowany, kupiwszy za dwa *sous* gliny, lepi przesliczną figurkę, którą mu płacą 16,000 franków.

Artysta ma więc fortunę w ręku. Wiedzą o tém teraz rodzice, i najsurowsi przestali sprzeciwiać się artystycznemu powołaniu syna. Dowiedzioną rzeczą, iż dobry malarz zarabia więcej niż notaryusz; na cóż kupować za pół miliona bióro synowi, kiedy on żąda tylko pędzli i palety? Więc bez trudności otrzymuje od ojca paczkę pędzli z tym morałem: „Maluj synu! i nie zapominaj nigdy że najchwalebniejsza praca jest ta, która przynosi najwięcej pieniędzy.”

Na wystawie malarskiej tegorocznej króluje obraz Dorégo: *Tapit Vert*. Jest to ogromne płótno, przedstawiające salę gry w Baden. Cały *półświat* paryżki figuruje tam przy zielonym stole. Rzecz płaska, bezmyślna, bezduszna, ale pod względem technicznym bez *ale*.

Z polskich malarzy tylko jeden Kapliński wystawił dwa obrazy olejne: *portret generała Z.* i *Włoszkę w narodowym stroju*. Portret bardzo znakomity, należy do najlepszych utworów Kaplińskiego, który jak wiadomo, w tym rodzaju celuje.

Medali jeszcze nie rozdano artystom. Mówią że Doré zabierze pierwszy za swój *zielony dywan*. Z rzeźbiarzy wysuwają na przód pana Carpeaux, który wystawił popiersie *Cesarzewicza*. Nie jest to zapewne arcydzieło, ale zapatrywanie się na przedmiot wiele warte.

Kunstmistrze dwojako przedstawiają monarszych synów: jedni wyobrażają ich jako przyszłych władców, przedwcześnie dumnych, w kolebce już rozkazujących. Tak artyści społecznie przedstawili potomności Henryka IV i Ludwika XIII.

Rzeźbiarze zgodniejsi z duchem tegoczesnym, uwydatniają tylko słabość i wdzięk młodziuchnych stworzeń przeznaczonych do trosk władzy i do dźwignania strasznej odpowiedzialności. Tacy przedstawiają powszechności królewiczów w kształcie który ich poleca i oddaje pod protekcją narodu. Takie posążki zdają się mówić do patrzącego wyrobnika: Ludzie wszechwładny! oto dziecko dobre i uśmiechnięte. Czuwaj nad niém, proteguj go!

W tym duchu Carpeaux wykonał posążek syna Napoleona IIIgo i za takie pojęcie wzoru, pierwszy medal otrzymał.

Nawał przedmiotów nie dozwolił nam tą razą mówić o operze Gounod'a *Romeo i Julietta* przedstawianej obecnie w teatrze Lirycznym. Czytelnik zapewne nie wiele na tém traci, bo utwór, zdaniem bezstronnych znawców, dość mierzny, dalekim jest od uznanej piękności *Fausta*. Jednak, sumienny sprawozdawca nie może całkowicie przemilczeć dzieła będącego, cóżkolwiekby, jedną z pierwszych produkcji artystycznych Paryża. Powrócimy więc do *Julietty* w przyszłej kronice, gdzie także musi być rozbiór „*Testamentu Elzbiety*” pięcioaktowego dramatu Eugeniusza Nus. Pan Jory jednocześnie z panem Gounad, wydał na świat swoją *Julietę i Romea*. Opera ta, przedstawiona w domu Berlioz, zyskała daleko większe uznanie w muzycznym świecie niż opera Gounod'a.

Pan Lanfrey wydał pierwszy tom *Historji Napoleona I*. Będzie ich cztery. Dzieło napisane w duchu czyisto republikanckim, autor bardzo surowo sądzi Cesarza.

— Wyszedł pierwszy tom *przewodnika* (Paris Guide) z przedmową Wiktora Hugo i artykułami pierworzędnych pisarzy francuzkich. Są wszystkie sławne nazwiska, ale talent nie wszystkim luminarzom dopisał. Całość przechwalona, to już z pierwszej połowy widzieć można. Przedmowa

Wiktora Hugo, która jest hymnem na cześć pokoju, dzieli się na pięć części: „*l'Avenir, le Passé, Suprematie de Paris, Fonction de Paris, Déclaration de Paix.*” *Luxemburg* i *Louvre* opisany przez Saint-Victora i Gautiego, zajmuje najświetniejsze karty, najgłębsze myśli znajdujemy w pana Renan *Instytucie* i *Historyi Paryża* Ludwika Blanc.

Zresztą książek żadnych, katalogi i opisy Wystawy Powszechnéj. Chociażby było co innego, niktby nie czytał. Wiedzą o tém wydawcy i publikacye odkładają do zimy. Na téj stagnacyi księgarskiego handlu ludzkość nic nie traci, gdyż nauki praktyczne jakie pobiera w pałacu Pól Marso-wych, więcej warte niż najwymowniejsze teorye.



## WIKTOR COUSIN (\*).

---

**D**ziwna to rzecz ta sława, a dziwniejsza jeszcze rozmaitość jój odmian; czasem płocha niby motyl i jak on ciesząca się bytem kilkodniowym, siada na skroni czyjéjś, aby rozlawszy po niéj kilka kropli blasku, odlecieć potém na długo, czasem na zawsze.... To znowu podobna do kochanki-niewolnicy, towarzyszącéj panu swemu od pierwszych lat młodości, nie rzuca go nawet po śmierci, lecz ukłęknąwszy na jego grobowcu samotnym płacze bezustannie, dopóki bogowie nie zamienią jój w posąg z marmuru, niby za karę, jak niegdyś Niobę, także nieutuloną w smutku swoim. A posąg ten sterczy po przez wieki: pomnik nieśmiertelnéj sławy dla przyszłych pokoleń... Ale sławy takiéj nie napotkasz często, nie częściej od prawdziwéj miłości; każde stulecie zdobędzie się zaledwo na kilka przykładów. Zwyczajni śmiertelnicy ani nie spodziewamy się, ani pragniemy takiéj sławy: jesteśmy zadowolnieni zupełnie, gdy nam towarzyszy aż do grobu, a nie gniewamy się wcale, gdy potém wróciwszy do domu, zawiera nowe śluby po krótkiéj żałobie; doskonaląc się w praktyczności, żądamy by każdy radził o sobie... Przecież nie tu koniec rodzajom sławy, ale na cóż zda się wyliczyć wszystkie? Miłość wciąż jedna, choć w głowach poetów uosabia się w formach coraz innych; tak i sława z istoty swojéj jedna, chociaż się wydaje na każdym inaczej: śliczna to toga, którą zarzuca każdy w inny sposób, a nawet ci, którzy nosić jój nie umieją, wleczą ją niemniej za sobą...

(\*) Umarł 14 stycznia b. r. w Cannes, gdzie przebywał dla poratowania zdrowia.

Nie wiemy nawet czasem, że ktoś sławnym, dopiero gdy umarł, odgadujemy czém był właściwie; inni znowu wmawiają we wszystkich wielkość swoją tak głośno i uporczywie, że nikt o niej nie wątpi... dopiero wtedy zdobywamy się na sąd bezstronny, gdy już przebrzmiał głos samowielbicieli.

Uwagi te wydadzą się nie jednemu zbyt czułym, ale mając zamiar mówić dzisiaj o człowieku „sławnym,” nasunęły nam się mimo woli pod pióro. Nie masz wątpliwości, że *Cousin* był człowiekiem *sławnym*: cała Francya wierzyła w jego sławę przez lat czterdzieści; również długo panują jego dzieła po szkołach i na katedrach, kilka generacyi wielkiego narodu wykarmiło się niemi, powtarzając imię autora z niewymowném uwielbieniem. Zobaczmy więc co zostanie z téj wielkiej sławy, której poświęcamy naszą wzmiankę: czytelnicy Biblioteki przypominają sobie jeszcze dowcipne nad *Cousin*'em uwagi, umieszczone w marcowej kronice paryzkiej, otóż niech uważają wzmiankę naszą za uzupełnienie takowych.

Wiktor Cousin urodził się w Paryżu r. 1791 z ubogich rodziców i nie zaglądał do książek aż do dwunastego roku życia swego. Zwróciwszy na się przypadkiem uwagę pewnej majątnéj rodziny, został umieszczonym na pensyi i odtąd przez pracę i wytrwałość wywalczył sobie świetną przyszłość, oraz utorował drogę do najwyższych dostojenstw. Szkoły przebył wśród nagród i pochwał, będąc co to zowią „un élève de concours général;” do każdego stawał popisu i zwyciężał zawsze. Zapisany w poczet uczniów ówczesnej „école normale“ słuchoł filozofii u professorów Laromiguière i Royer-Collard; już w r. 1815 został następcą Royer-Collard'a, a i przez pięć lat dzierżył katedrę swoją z nadzwyczajném powodzeniem. Wtedy zwrot reakcyjny w polityce wewnętrznej Burbonów zmusił kilku liberalnych professorów do bezczynności. Cousin'owa trwała długo, bo aż do roku 1828; wtedy równocześnie z Guizotem, także suspendowanym od lat kilku, na nowo rozpoczynawszy wykłady, dociągnął takowe aż do rewolucyi lipcowej. Odtąd aż do roku 1840 miewał jużto filozoficzne konferencye w „école normale” jużto pracował w ministerstwie oświecenia, jużto zasiadał w izbie poselskiej. W nowo utworzonym ministerstwie Thiers'a objął roku 1840 tekę publicznego oświecenia, którą

zachował aż do października tegoż roku; później został członkiem izby parów, a po rewolucyi r. 1848 odsunął się zupełnie od życia publicznego i stawał się coraz więcej konserwatystą. Tak mówiono, chociaż właściwe jego przekonanie pozostało na zawsze tajemnicą nawet dla przyjaciół; tyle pewna, że w polityce zmieniał się jak chameleon na gałęzi i że żeglował zawsze z opinią większości, z czem mu zwykle było bardzo wygodnie. Za młodu był konstytucjonalistą, suspendowany w professurze przeszedł do skrajnej opozycyi, za ministeryum Martignac'a przywrócony do urzędu, popierał royalistów; za Ludwika Filipa głosował w izbie z lewicą a należał skrycie do prawicy; po roku 1848 kokietował z reakcją, a w chwili śmierci nikt nie wiedział, czy umierał Orleanistą czy stronnikiem cesarza.

Polityczne te ewolucye nie przeszkodziły, że był zawsze dla dawnych współuczniów dobrym kolegą a dla uczniów niez mordowanym protektorem, byleby pozostali zawsze o krok jeden za nim i uznawali w nim głowę szkoły. Gdy zaś zbyt szybko robili postępy i przysuwali się zbyt blisko do niego stawał się nieznosnym, i wtedy zazdrosna jego ambicya nie znała granic żadnych. Tak np. uczniów swoich i razem dawnych współuczniów *Jouffroy* i *Damiron'a* wprowadził do „Akademii nauk,” wtedy gdy już sam był zasiadł na fotelu nieśmiertelnych w „Akademii francuzkiej.” Wtém dowiaduje się pewnego razu, że *Jouffroy* ma chęć niemałą zasiąść obok niego i także należeć do „nieśmiertelnych;” od dawna już go nie lubił, raz że zbyt szybko rósł w sławę, potem że przyjął mandat poselski do parlamentu, a przez to kolegował z nim bezpośrednio. Nie był więc wcale *Cousin* dla niego życzliwie usposobionym, gdy mu *Juliusz Simon* podsuwa podczas obiadu myśl niewinną, żeby „sławnego” *Jouffroy* przyjąć do grona „czterdziestu nieśmiertelnych.” Wakował bowiem właśnie jeden fotel, gdyż nieśmiertelny jego właściciel był się przeniósł nie dawno przedtém do wieczności, a cała akademia była w kłopotcie o wynalezienie mu godnego następcy. *Cousin* niezmiernie się oburzył na propozycyą *Simon'a* i zawołał z ironicznym uśmiechem: biędny *Jouffroy!* on do akademii francuzkiej? za co? za trochę psychologii?... Otóż *Jouffroy* należał już wtedy do głębszych francuzkich myślicieli i używał sławy za-

służonój; dla Cousin'a było to mało, w żadnym zaś razie nie chciał mieć ucznia kolegą w nieśmiertelności i zamiast niego przeprowadził kandydaturę Pasquier'a. Zasługi Pasquier'a musiały być prawdopodobnie bardzo wielkie w oczach Cousin'a, skoro się nim zajmował gorliwie: był księciem, piastował wysokie dostojenstwa za Napoleona I, za restauracyi i nawet za Ludwika Filipa; mówił w parlamencie gładko i przyjemnie, a odznaczał się podobno wielkim taktem w kwestyach konstytucyjnych... zaprawdę dosyć zasług, żeby zostać „nieśmiertelnym.” Mała to, ale wymowna próbka stronniczój ambicyi, jaką powodował się Cousin, ile razy uczniowie pragnęli zbyt blisko przysuwać się do niego. Sam zaś Juliusz Simon, z którym miał rozmowę przez nas wspomnioną o biednym Jouffroy w r. 1842, doznał téj samój stronnój zazdrości. Z razu Cousin mu sprzyjał, zrobił go nawet następcą swoim na katedrze w Sorbonie, ale im więcej rósł w sławę, tem Cousin stawał się chłodniejszym, a gdy także ubiegał się o mandat poselski, otwarcie intrygował przeciw niemu.

Człowiek więc ambitny nie mógł mieć wiele przyjaciół: jednych odstraszała olbrzymia próżność, innych polityczna niestałość; ale mniejsza o jego polityczne przekonania, wspomnieliśmy o nich dlatego, że im towarzyszy również wielka niestałość w filozofii: z razu był sensualistą, potem był zwolennikiem „zdrowego rozsądku” szkockiej filozofii, później przysięgał na panteizm; później im więcej stawał się figurą rządową, tém więcej filozofia jego stawała się spirytualną, a na schyłku życia doczekał się były panteista niesłychanej rzeczy, że biskupi zalecali w okólnikach jego dzieło „*du vrai, du beau et du bien,*” chociaż przyjaciele potrzęsali niedowierzająco głową, nie wiedząc czy Cousin mimo dźwięcznych frazesów jest ateuszem, czy dobrym katolikiem. Zmienność taka w filozofii jest dosyć ciekawą, opowiemy więc cały jój przebieg, choć to długie dzieje.

Że Cousin najprzód się spotkał z sensualizmem, nie w tém dziwnego, był to jedyny prawie owoc, jaki Francya XVIII wieku przekazała pokoleniom porepublikańskim. Sensualizm Condillac'a był najwierniejszym obrazem czasów w których powstał. W XVIII wieku przepełniona była Francya ludźmi *rozsądnymi*, którzy zgrabnie i dowcipnie



tłumaczyli wszystko nie cofając się przed żadną tajemnicą, przed żadną powagą dawnych wieków... bawiono się bezustannie, dosyć nawet wykwintnie, ale nie było już ani wystawności, ani wspaniałego gustu Ludwika XIV: wszystko zmałało jakoś, rząd i jednostki zmałały, a wszystkim było z tém dobrze. Wiara skostniała, nadzieja wygasła: religią zastępowano rodzajem kościelnej etykiety a wszelki samorodny twórczy zapał ujęto w drobiazgowce prawidła techniki, która siostrą przyrodnią etykiety. Wierzono w jedno tylko, w zmysły, dbano o jedno tylko, o własne jestestwo, ztąd dziwnie gustowano w *Helwecyuszu* i jego teorii szczęśliwości, będącej idealną egoizmu apoteozą; zachwycano się *Condillak'iem* i jego teorią poznawania, sprowadzającą najszczytniejsze prawdy wiedzy do zwyczajnych wrażeń zmysłowych. O *Helwecyuszu* powiedziała wówczas jedna pani dowcipna, że popularny, bo wygłosił tajemnicę wszystkich; o *Condillak'u* powiemy to samo, w nim także odkrywał każdy własne swoje przekonanie, ztąd nie dziw, że jego filozofia, tłumacząc się wszędzie jasno, zgrabnie, niby to logicznie, rozprawiając o każdej rzeczy w swoim czasie i na miejscu właściwem, zapanowała szeroko, choć zimna i martwa, jak człowiek-posąg, który w niej figurując pod wpływem systematycznie po sobie następujących wrażeń, przemienia się w istotę czującą, w ducha nawet przeświadczonego o własnem jestestwie. Filozofia ta była wiernym obrazem i zarazem ostatnim wyrazem, na jakie się zdobyło społeczeństwo sztywne, przeżyte zupełnie, które sztywnie nawet umierało; wiemy jak ono skonało, jak uragan r. 1789 po niem przeszedłszy ani śladu nie zostawił stosunków dawnych: jedna tylko z nich rzecz ocalała, dzieła *Condillak'a*. Nastąpiły czasy Rzeczypospolitój, kipiące życiem, nastąpiło cesarstwo, brzemienne w czyny, ale w dziedzinie ducha nie stworzono prawie nic wtedy, gdyż uwaga narodu była zwróconą gdzie indziej; tak wytłumaczmy sobie łatwo, że zmysłowa filozofia *Condillak'a* przetrwała społeczeństwo, którego była wyrazem, że krzewiła się dalej, choć dokoła niej ludzie i stosunki odmieniły się zupełnie. W r. 1810 kwitnął sensualizm w Paryżu jeszcze w najlepsze, słynny podówczas *Laromiguière* wabiący młodzież urokiem słowa był jego najwymowniejszym a zarazem i ostatnim wielkim tłumaczem. Było to w r. 1810, jak *Cousin* udał się po raz

pierwszy na wykład sławnego profesora; wrócił zeń zmienionym, jak niegdyś Malebranche, który także po przeczytaniu jednej Dekarta rozprawy, odrodził się niejako w duchu i zerwawszy z dawniejszym trybem myślenia, zaciągnął się na zawsze do szeregów filozofii. A przecież sama treść Laromiguièr'owych wykładów nie była zbyt ponętą, był to sensualizm XVIII wieku, prawda, że ubrany w jasną, przyjemną formę i ubarwiony trafnym, delikatnym dowcipem.

Jednakże już w roku następnym wystąpił rywal, który rozpoczął walkę z sensualizmem. Był nim *Royer-Collard*, który wyrzucił panujący system Condillak'a choć nie własną bronią, gdyż przeciw materyalizmowi zawezwał na pomoc tak zwaną *szkocką* filozofią i na jej zasadach oparł rodzaj spirytualizmu, który choć w sobie nie wiele wart i choć nie może ostać się w obec wymagań surowej, umiejętnej spekulacji, przecież wyświadczył ówczesnemu społeczeństwu nie małą przysługę, przygotowując je do idealniejszego poglądu na świat i rzeczy jego. Sprawca tego zwrotu, jak wspomniano, *Royer-Collard*, który równocześnie wykładając z *Laromiguièr'em* nie mniej przyciągał młodzież niepospolitą swoją wymową, oraz potężnym gromieniem sensualizmu w imię zdrowego rozsądku. Wystawmy sobie nieprzyjemne położenie niedoświadczonego młodzieńca, ciągniętego przez dwóch również wymownych przewodników w dwie przeciwne strony; bolesne to wrażenie, którego pamięć nie zaciera się nigdy zupełnie, a pewna chwiejność nieodzownym jego wynikiem. Młody Cousin był w tém położeniu i zdaje się, że jemu zawdzięcza zaród późniejszej skłonności do eklektyzmu. Ale nie na tém koniec: nietylko dwóch profesorów wrywało sobie młodego człowieka, lecz trzeci jeszcze wpływał na niego myśliciel, używający podówczas już wielkiej sławy, *Maine de Biran*, który był o sobie przekonany, że jest głębokim metafizykiem. O ile dwaj pierwsi Cousin'a mistrzowie odznaczają się stylem jasnym i pewnym, o tyle trzeciego mowa ciemna, zagadkowa: są nawet w dziełach jego tu i owdzie ustępy, nad któremiby Hegel suszył sobie głowę nadaremnie. Mimo to duch ten mętny i dziwny, o którym jeszcze w roku 1833 twierdził Cousin, że nie miał równego sobie w delikatnych, metafizycznych odcieniach i głębokich psychologicznych badaniach, wywarł na zapalonego młodzieńca wpływ

bardzo zbawienny; pierwszy bowiem Maine de Biran wywołał z zapomnienia wielkie imię Dekarta, o którym mało co wiedziano podówczas we Francji; odtąd imię to nie opuszcza nigdy Cousin'a zupełnie: z wszystkich gwiazd filozoficznych, których światłem miarkował swoją drogę, gwiazda Dekarta przyświecała mu najjaśniej i najdłużej, może dlatego, że najwięcej czuł pokrewieństwa w sobie z własnym rodakiem XVII wieku i lepiej go rozumiał niż innych.

Tacy to mistrzowie przewodniczyli pierwszym studjom Cousin'a, przecież to, czego od nich się nauczył, nie starczyło na długo. Gdy w r. 1815 z ucznia miał zostać professorem, z ławki słuchacza wystąpić na katedrę, przejrzał zapewne raz jeszcze zasoby, jakie mu dali na drogę trzej mistrzowie; były one dość szczupłe: dokładna znajomość sensualizmu XVIII wieku, również obszerna znajomość tak zwanąj szkockiej filozofii i bardzo niejasne wiadomości psychologiczne, oto wszystko, z czém miał rozpocząć pielgrzymkę filozofa. To też zasoby te wyczerpnęły się wkrótce, i wtedy młody, żywy, za nowościami uganiający się professor począł szukać świeżych: nauczył się po niemiecku i z słownikiem w ręku czytał mozolnie Kanta. Praca ta olbrzymia i nużąca, odsłoniła mu widnokrąg nowy, szeroki, o jakim nie śniło się nawet jego rodakom dawniej i na którym zmalowały niezmiernie i teoria Locke'go i kłótnie sensualizmu i Bossuet'a dźwięczne peryody i sarkazmy Woltera, w ogóle wszystko co zajmowało dawniej uwagę francuzkich myślicieli. Cousin tymczasem przyswoiwszy sobie jako tako myśl i mowę Kanta, pośpieszył do jego ojczyzny po chrzest filozoficzny. Było to ku końcowi roku 1817, gdy po raz pierwszy zawitał do niemieckiej krainy: celem jego podróży był Heidelberg, gdzie szukał Szellinga; Szelling przecież wtedy był wyjechał i zamiast niego spotkał się z Heglem. Nie był on wtedy jeszcze późniejszą berlińską wyrocznią, mówiono o nim jako o wiele obiecującym uczniu Szellinga, chwalono nawet jego dzieła, chociaż mało kto je czytał, dla niezrozumiałego, ciężko uczonego języka. I tak zeszedli się, młody nieznany jeszcze Francuz, o gorącej wyobraźni i płynnej poetycznej wymowie, z mało-mównym, flegmatycznym, nieśobliwie wystawiającym się Niemcem; każdy z nich władał bardzo niedostatecznie językiem drugiego, mimo to jednogodzinna wizyta zbliżyła dwóch

tych ludzi tak mało do siebie podobnych, i Cousin opuścił Heidelberg z przekonaniem, że poznał znakomitego myśliciela. Wróciwszy do Francyi rozpowiadał dziwy o wielkim geniuszu, którego niby odkrył za Renem, a współziomkowie słuchali go z zadziwieniem, bo mało wtedy wiedzieli o Niemcach.

Następnego roku zdobył się na wycieczkę dłuższą, wśród której odnowił swoją znajomość z Heglem, a zaprzyjaźnił się z Szellingiem i Jacobi'm. Znane są powszechnie ówczesne stosunki niemieckie, dzisiaj wydają się dziwnym snem złotym, który rozkołysawszy się przez lat kilka nad głowami jasnowłosych synów Giermanii, odleciał potem nagle na zawsze. Wiadomo, jaki zapal wzniciła walka o „niepodległość“ z jaką energią porwano za broń, aby uwolnić się od francuzkiej inwazyi. Cała prawie młoda intelligencya kraju wzięła udział w tej wojnie, a gdy wróciła do domu i zawiesiła oręż na ścianie, wzięła się z niemniejszym zapalem do dalszej pracy duchowej. Wiadomo powszechnie, jak rozkwitły poezya, nauki i sztuki piękne wszelkiego rodzaju, jak wszędzie zjawiali się mistrzowie, a naokoło nich grupowały się szkoły, które wspólnemi siłami dokazały wiele pięknych rzeczy. Wśród tego kipiącego życia duchowego zajęła filozofia miejsce najpierwsze, bo jakże mogło być inaczej? Niemiecka intelligencya, wykarmiona wzorami heleńskimi przeszłości, wiedziała, jakiej czei doznawała niegdyś królowa nauk za pięknych dni Hellady, a filozofia ze swjej strony zasłużyła sobie na tę cześć i nieograniczone zaufanie. W dniach smutnej niedoli, jakie nastały dla Niemców po abdykacyi ostatniego rzymskiego cesarza i po bitwie pod Jeną, pracowała gorliwie nad pokrzepieniem ducha narodowego; wymowny Fichte piórem i słowem zagrzewał naród do walki przeciw obcej inwazyi....Ale znany także ogólny charakter tej filozofii: był to jawny panteizm, którego zgubne następstwa zasłaniał urok poezyi. A niemiecki panteizm nie od Fichtego datuje, ojcem jego prawdziwym Spinoza, o którym przez całe jedno stulecie zapomniano zupełnie. Dopiero stary Lessing odnowił pamięć samotnego żyda banity, i odtąd całe Niemcy przysięgają na Spinozę. Zapoznany tak długo myśliciel, wsiąka do wszystkich umysłów, ogarnia potęgą logiki swojej wszystkie gałęzie duchowego życia. Po-

eci i myśliciele wszelkich odcieni, teolodzy nawet ubiegają się zarówno w oddawaniu czci zmarłemu, chcąc mu niejako wynagrodzić długie zapomnienie....Lessing w nim zakochany, Novallis rozkoszuje się w jego Bogu, który miota się w falach i w burzy, który drzemie w roślinie, przebudza się w zwierzęciu, myśli w człowieku, którego czynność wypełnia wszystko, a przecież nie wyczerpuje się nigdy.... Gete ucieka się wciąż do dzieł Spinozy, które „dawnym jego azylem“ a bogobojny Herder ubolewa nad nim, że wciąż zatopiony w „Etyce“ Spinozy....Tak poeci. Teolog zaś Schleiermacher woła w świętym uniesieniu: poświęćcie razem ze mną pukiel włosów pamięci świętego wygnańca Spinozy. Wspaniały duch świata przeniknął go, nieskończoność była mu początkiem i końcem, wszechświat jego jedyną wieczną miłością; żyjąc w świętej niewinności i głębokiej pokorze, przeglądał się w świecie odwiecznym i widział, że nawzajem sam był dla świata zwierciadłem godnym miłości; pełen był religii i ducha ś. dlatego też stoi on samotnie, niezrównany mistrz swojej sztuki. wywyższony nad tłum robotników, bez uczniów i obywatelstwa.... Cóż dopiero filozofowie? Jacobi wręcz mu przeciwny, uważa go za wyraz ostatni i najwyższy wszelkiej filozofii, a gdzieś nawet mówi: Witaj mi, wielki, święty mezu: w jakikolwiek sposób rozumowałeś nad istotą Najwyższego i jakikolwiek błądziłeś w słowach, zawsze przebywała prawda Jego w twojej duszy, a miłość Jego była życiem twojem. Drugi filozof Szelling przejęty również wielkim dla niego podziwem; ale lękamy się żeśmy znużyli czytelnika na dobre; dość że duch Spinozy unosił się nad ówczesną filozofią niemiecką, a panteizm był jęj treścią istotną; od r. 1818 wygłaszany publicznie w Berlinie przez usta Hegla, o mało nie stał się religią państwową, dzięki protekcji ministrów pruskich....Cóż zatem dziwnego, że i młody Cousin wrócił do ojczyzny zagozłym panteistą, że z uniesieniem roztaczał przed osłupiałym wzrokiem rodaków lśniące skarby nieznanym im dogmatów, przywiezionych z zarenckiego filozoficznego Eldorado? Urok panteizmu do tego stopnia owładnął wyobraźnią Cousin'a, że jeszcze w roku 1833, a zatem w czasie, gdy już przebył nie jedno polityczne i biurokratyczne doświadczenie, nie waha się oświadczyć: ce système est le vrai - mowa zaś o systemie Szellinga. Krótkie to, straszliwe zdanie czytamy w przedmowie do 2giego wydania „filozoficznych fragmentów“;

w następnych wydaniach zgrabnie je wymazano, a w późniejszych latach byłby autor bez wątpienia okupił niewypowiedzenie jego nawet krwią własną.

Ale na cóż zdało się wymazać te biedne słowa, i kilku ustępów do nich podobnych! Panteizm ówczesny odzywa się wszędzie w jego dziełach, gdziekolwiek je otworzymy. N. p. w przedmowie 1go wydania „fragmentów filozoficznych“ sławnéj owéj przedmowie, która zwróciła na się całych Niemiec uwagę, dowiadujemy się, że Bóg jest „jednością i wielością, wiecznością i czasem, przestrzenią i liczbą, istnością i życiem“..... dalej że jest „początkiem, końcem i środkiem wszego istnienia, że jest zarówno na szczycie wszelkiego bytu jako i najniższego jego szczeblu..... że Bóg jeżeli nie jest w każdej rzeczy, nigdzie nie jest... gdyby zaś był dla nas zgoła niedostępnym, byłby i niepojętym, a jego niepojętość równałaby się jego nicości (czyli innemi słowy: tylko taki Bóg dla nas istnieje, którego objąć możemy rozumem)... Bóg widoczny w świecie, który jego objawieniem:.... wszędzie obecny wraca niejako do siebie, podniósłszy się aż do świadomości człowieka, który jest najdoskonalszym wyrazem jego przymiotów“.... Czyż zdania te nie przypominają panteizmu niemieckiego nie tylko z treści, lecz nawet z formy? że autor weń uwierzył, chętnie wybaczmy: tylu innych lepszych uległo zgubnemu czarowi. Zapisujemy tylko, jakie było niegdyś przekonanie Cousin'a i jaka jego wiara. Ale nie tylko teologia jego przybrała barwę panteistyczną, którą zawdzięcza widocznie Niemcom: cała jego metoda stała się niemiecką. Ten sam pisarz, który później wynosi bezustannie doświadczalną psychologią jako pierwszą i najpewniejszą wszelkiéj filozofii podstawę, który zarówno swoją sławę jak i sławę Dekarta na tem opiera, że nie opuścili nigdy pola doświadczeń, że więc *a posteriori*, jak mówiono za czasów Kanta, dochodzili do wszystkich swoich pewników, ten sam pisarz szedł niegdyś ślepo drogą „przyjaciół swoich i mistrzów, naczelników filozofii tego wieku“ i jak oni *a priori*, t. j. wprost przez intuicyą, niepopartą żadném doświadczeniem, odgadywał losy ludów i filozofii. Tak samo jak Hegel, i on rozróżnia trzy epoki w dziejach ludzkości, ochrzcivszy je tylko nieco odmienném nazwiskiem: epokę 1) nieskończoności 2), skończoności, a 3) epokę wzajemnego stosunku dwóch pierwszych, w téj trzeciéj epoce niby my żyjemy obecnie. Wiele zape-

wne nie myślał, podczas gdy słowa te pisał, bo też dziwne czasem przychodzą a priori myśli, które tem miłsze, gdy sfinxową zagadkowością odurzają czytelnika. Hegel, mistrz sfinxowych zagadek, przeczytawszy te elukubracye „przyjaciela,” wyrzekł podobno „pan Cousin zabrał mi parę rybek, ale utopił je w swoim sosie.” Słowa te malują trafnie Cousina w pierwszym lat dziesiątku jego sławy, t. j. mniej więcej od r. 1820—1833, takim był rzeczywiście wtedy, ale potem dziwnie się odmienił.

Później nie miała filozofia niemiecka gorszego odeń nieprzyjaciela, a rozwinął tem większą przeciw niej zawziętość, im więcej posądzano go niegdyś o jawne dla niej sympaty. Czytelnicy przecież, słysząc, że rozprawiamy ciągle o Cousin'ie jako o filozofie, zapytają się o system jego... dotąd przytoczyliśmy same ułamki, rozproszone tu i tam po jego kursach historyi filozofii. Z kursów tych wydobył za pomocą eklektyzmu rodzaj essencyi którą podawał uczniom za własny system; stanowi on szereg odczytów, które ułożyły się później w sławną książkę *du Vrai, du Beau et du Bien*. Cousin zaręczał, że ona datuje aż z r. 1817, ale niech czytelnicy temu nie wierzą, widzieliśmy jakimi były podówczas jego mniemania; z nich zapewne nie wiele się ostało w ostatecznej redakcyi, skoro światli biskupi zalecali ją usilnie wiernym. Przerobił ją istotnie kilka razy, zostawiwszy tylko formę odczytów, a w nią włożył wszystko, cokolwiek kiedy myślał.... jeżeli więc gdzie powiniem się filozof odsłonić, to właśnie w tej książce. Z pochwał biskupich widać, że pozostawał z kościołem w dobrej zgodzie, stało się to zaś w r. 1853, gdy go posądzano o sprzyjanie ultrareakcyjnym tendencyom. To też rzecz ciekawa, jak pojmuje stosunek filozofii do religii, bo największe między nimi braterstwo nie powinno nigdy dochodzić do zupełnego komunizmu: potrzeba, by każda strona zachowała niezależność swoją i wiedziała, co do niej należy. Cousin więc oświadcza w przedmowie 3-go wydania „pierwszych prób filozoficznych“ pisanéj w r. 1855, że między filozofią spiritualistyczną a chrześcijaństwem sojusz bardzo łatwy, że ojcowie kościoła a po nich Malebranche, Bossuet, Fenelon, zostawili sojuszowi takiego przykład wymowny. W słowach tych skreślił autor jasno swoje stanowisko, odtąd wypisał na chorągwi swojej hasło spirytualizmu, a dogmata kościoła obrał sobie pewnikami badań. Jesteśmy głęboko

przekonani, że religia i filozofia zawierają treść jedną i tę samą. że ściśle braterstwo ułatwi im wywiązanie się z wspólniejszą świętej misji, jaka im się dostała z woli Najwyższego, ale żądamy stanowczo, aby to braterstwo i sojusz na niem oparty nastąpił na końcu, a nie od początku drogi, żeby były wynikiem mozolnej pracy, a nie daniną niezasłużoną, udzielaną zadarmo z góry, żądamy w ogóle żeby dwa te wielkie ducha ludzkiego kierunki zeszyły się u końca drogi, niby przypadkiem, niby od niechcenia, a wtedy pokochały się na zawsze, nie zaś zaczynały wspólnie tę samą drogę, gdyż słusznie wtedy należy się lękać, aby jeden nie chciał przewodniczyć drugiemu, a przez to nie odwoził go od celu. Prawda, że Cousin starał się usunąć powody takiej słusznej bojaźni, oświadczywszy tamże, że filozofia nie jest religią, i że pomieszać dwa te pojęcia znaczy to samo, co je nadwerężyć; twierdzi nawet, że filozofia powinna zamknąć się w dziedzinie prawd przyrodzonych i posługiwać się wyłącznie światłem przyrodzonego rozumu.... Cudowne zdanie, wiele ojców kościoła postąpiło sobie tak samo, zapomniawszy nieraz umyślnie o prawdach objawienia i o świetle nadprzyrodzonym, ażeby tylko rozumem ludzkim, doczesnym, osiągnąć prawdy. Czyż Cousin poszedł za ich przykładem? na to odpowie nam przedmowa książki wspomnianej już „du Vrai, du Beau et du Bien“, która o tyle zabawną, o ile sama książka jest cczą i nudną. Prawda i to, że stała się tylko zabawną wbrew woli piszącego.

Otóż odpiera w niej autor najprzód zarzut eklektyzmu, twierdząc, że kocha takowy, ale tylko jako środek, nie zaś jako cel ostateczny. Prawdziwym zaś eklektyzmu celem, zatem i autora teorią istotną jest spirytualizm; o nim to mówi, że również trwały i szlachetny zaczął się z Sokratesem i Platonem, później rozszedłszy się po świecie pod egidą ewangelii, nareszcie ujętym został przez Dekarta w poważne formy nowożytnego ducha; Royer-Collard wskrzesił go na nowo w szkole, a Chateaubriand, pani Staël i Quatremère de Quincy przenieśli go do piśmiennictwa i do sztuk pięknych.... Takie przekonanie autora o powstaniu i przebiegu spirytualizmu, co zaś do treści jego, uważa, iż to jedyna filozofia, która broni zaszczytnych prawd chrześcijaństwa: nieśmiertelność duszy i istnienie Boga, wolność człowieka i odpowiedzialność osobista za czyny, moralność obowiązków



i bezinteresowność cnoty, wszystko to jedynie spirytualizmu udziałem... Otóż przekonanie ostateczne, do jakiego doszedł autor przy schyłku życia, otóż essencya cała, jaką wy dobył z rozlicznych systemów po wieloletniem duchowem ich przeżuwaniu; otóż dusza książki, która stać się miała filozoficznym katechizmem dla uczącej się młodzieży... Gdy się przypatrzymy jój treści, okaże się, że zarazem i wiele i mało warta: wiele, ponieważ błyszcząca Cousin'a retoryka ukrywa w sobie prawdy ogromne, mało zaś warta, że autor niczem nie uzasadnił prawd tak ogromnych, a przecież zadaniem filozofii niezbędnem uzasadnić każdą prawdę jasno i dobitnie, poprzeć twierdzenie każde szeregiem niezłomnych dowodów. Gdy więc przypomnimy sobie, co uczynił kościół i ojcowie jego oraz średniowieczni myśliciele, ażeby prawdy te wyjaśnić i ustalić, jak głębokie przebyli ci mężowie rozmyślania i jak trawiącej podjęli się pracy duchowej, aby cel ten osiągnąć choć w części: zaiste ubolewamy niewymownie, że wielkie, święte tajemnice, nad zgłębieniem których strawili geniusze całe życie swoje, stały się igraszką dźwięcznych a pustych frazesów zgrzybiałego retora.

Nie przesadzamy, nie unosimy się wcale, gdyż nie mamy do tego dzisiaj żadnego powodu. Otwórzmy książkę, spytajmy się autora o które z licznych a wielkich zagadnień, których rozwiązanie szumnie zapowiada. Zapytajmy go się np. czy Bóg istnieje? Odpowie gładko i zgrabnie: „Prawda wymaga koniecznie, aby istniała w jakiej rzeczy; każdy bowiem fenomen tkwi w jakim podmiocie, wszelkie władze nasze, myśli, objawy woli i zmysłów wrażenia istnieją tylko w naszym jestestwie; tak samo więc prawda mieścić się powinna w istocie jakiej, a prawdy bezwzględne wymagają istoty bezwzględnej jak one, któraby im była niejako podmiotem i zasadą. Tym sposobem dojdziemy do podmiotu bezwzględnego, absolutnego, który nie będzie zawieszony w jakimś oderwaniu niewyraźnym, lecz będzie istotą rzeczywistością istniejącą. Tę istotę bezwzględną i konieczną, ponieważ jest prawd koniecznych i bezwzględnych podmiotem, tę istotę stanowiącą zasadę a więc i treść prawdy, nazywamy Bogiem... Nawet nie bardzo do filozoficznych argumentów przyzwyczajony czytelnik osądzi, zdrowym tylko kierując się rozsądkiem, że dowód taki jest czezym i pozornym: z kilku

takich frazesów nie odniesie religia korzyści najmniejszej, a poparcia żadnego, filozof zaś stawiający dzisiaj takie dowody okrywa się śmiesznością. Wielcy bowiem myśliciele łamali się z tym samym przedmiotem: od ś. Augustyna aż do Leibniza silili się na coraz lepsze za istnieniem Boga dowody, na coraz głębsze w prawdziwą Jego istotę wnikanie; potem Kant przyszedł i wykazał niedostateczność wszystkich dotychczasowych usiłowań, przez co, choć w innej zupełnie formie i z innych powodów wyraził myśl, przez niejednego ojca kościoła nie raz wypowiedzianą, że dowody za istnieniem Boga, czerpane wyłącznie z porządku doczesnego, zawsze będą ułomnymi, bo jakże z doczesności odgadnąć Odwiecznego, ze świata stworzeń niczem do nich niepodobnego Stwórcę. Dowód zaś ułomny dla filozofii żadnym nie jest, ona jasne tylko stawia, niezłomne, gdy zaś słabymi siłami nie zdoła ani osiągnąć, ani objąć prawdy jakiej, wtedy przejęta skromnością, która cechą geniuszu, schyliwszy czoło w pokorze, przekazuje badanie tej prawdy siostrze swojej teologii, szafarce objawienia i prawd odwiecznych niemi objętych. Uważamy za czyn największy Kanta, o którym sam może nie był przeświadczony zupełnie, że oddzielił prawdy nadprzyrodzone od prawd rozumowi dostępnych. Prawdy nadprzyrodzone stały się odtąd wyłączną teologii dzielnicą. Jej tylko godzi się podnosić tajemniczą zastonę, filozofia zaś stawia przed nią ze spuszczonym wzrokiem i w świętym zdumieniu, jak niegdyś młodzień chciwa prawdy przed posągami Izydy, ale śmiertelna i doczesna, ujęta w granice doczesnego rozumu, nie dotknie się przybytku nadprzyrodzonych, rozumem nie pojętych tajemnic. Cousin jednak, w kilkadziesiąt lat po Kancie, jak gdyby nic nie było zaszło w świecie, stawia z zadziwiającą naiwnością wyżej zacytowany frazes, pięknie zaokrąglony, za ostatni wynik rozumu: Podobnych zresztą miejsc pełno w książce „du vrai, du beau et du bien,” wszędzie zastąpiono ścisłość dowodów blaskiem retorycznym obrazów; żeby je rozbierać po kolei, na to nie mamy ani czasu, ani chęci, wskażemy tylko przyczynę duchowego upadku, jakiemu uległ autor na końcu życia swego.

Cousin rzecz tych nie uczy dlatego, że prawdziwe, lecz że dobre i korzystne; nie mając nadziei trafić do przeko-

niania treścią filozofii swojej; zawezwał na pomoc doczesne korzyści, towarzyszące jój podobno. Spirytualizm, tak zaręcza autor, jest sprzymierzeńcem każdej dobrej sprawy, podporą religii, opiekunem sztuk pięknych i poezyi, przestrzegaczem prawa; spirytualizm odpiera dalej zarówno i demagogią i pretensy samowładztwa, obudza w każdym szacunek i miłość bliźniego, doprowadza nareszcie społeczeństwo do prawdziwej rzeczypospolitej, do ideału dusz szlachetnych, który to ideał urzeczywistniony w monarchii konstytucyjnej.... Takie głosi obietnice spirytualizm przez usta p. Cousin'a, czyż nie piękne? jakże nie pokochać tego, który tyle rozdziela darów, jakże nie iść z nim na przebój przez życie całe? Ale te obietnice powinny zastanowić nas nieco, powinny wstrzymać nieco zapal naszych kroków: wielcy myśliciele nigdy nie obiecywali nic prócz prawdy, a prawda obojętną na doczesne korzyści. Otóż ustęp ten pełen obietnic dowodzi snadnie, że Cousin nie jest filozofem, tak samo jak dawniejsze o Bogu wykazały, że nie jest myślicielem. I tak z wszystkich przymiotów jego młodości nie ostał się żaden, tylko styl dźwięczny i piękny pozostał mu wiernym do końca, ztąd nazwiemy go retorem, gdyż własność ta przeważa w nim ciągle.

Gdyby Cousin nie napisał nic więcej jak książkę „du vrai, du beau et du bien” i kilka do niej podobnych, nie mówionoby już dzisiaj o nim tak, jak nie mówią o innych spirytualistach, których tak wielu jeszcze wegetuje we Francyi. Ale Cousin zrobił kilka rzeczy dobrych, powiedziawszy więc o nim wiele złego, słuszna, byśmy wspomnieli także o zasługach jego. Zajmował się bowiem gorliwie historią filozofii i na jej polu dokonał nie jednej wielkiej pracy. Trzeba jednak z razu odpowiedzieć na pytanie: czy Cousin był w istocie historykiem filozofii? jak wielu mniemało; czy rodakom swoim zostawił dobrą jaką historią filozofii? Odpowiedzą na to jego odczyty o historii filozofii, których ogłosił szereg nie mały. Lepsza i druga ich serya pochodząca z r. 1828 rozpoczyna się tomem wiele obiecującym; zawiera bowiem wstęp do dziejów filozofii, a choć w nim wiele pomysłów apriorystycznych, których nie potwierdziło żadne doświadczenie historyczne, np. sławna systemów filozoficznych, czworakość, powtarzająca się podobno w każdej dziejów

ludzkich epoce czyli innemi słowy, że każde stulecie musi zarówno mieć reprezentantów idealizmu i materyalizmu, skeptycyzmu i mistycyzmu.... pominąwszy więc wszystko to, nie można odmówić „wstępowi” wiele pięknych, prawdziwie filozoficznych myśli i słusznie spodziewano się po nim historii filozofii, opartej na dokładnej znajomości stosunków politycznych i społecznych. Prawda że autor dał nam później krótki zarys całej historii filozofii, który następnie licznych doczekał się wydań, ale pozostanie on zawsze nie tylko szczupłym, lecz nader ułomnym, gdyż filozofia np. Ojców kościoła oraz średnie wieki ledwo niczem nie zbyte. Kilka tylko historii filozofii ustępów rozwinął w kursach swoich obszerniej; t. j. filozofią Loke’go i szkocką, materyalizm XVIII wieku i teorią Kanta, a nawet do tych prac niby specjalniejszych, cierpiących z powodu formy odczytów na pewną luźność i niegruntowność: nie przyłożymy nigdy miary doskonałych monografij. Przyrównyując więc ich autora do wielkich, prawdziwych historyków filozofii, np. Brucker’a, Tiedemann’a, Tennemann’a, Ritter’a i innych, którzy starali się wydobyć ze źródeł całe duchowe jestestwo minionych myślicieli i takowe roztoczyć w mniej lub więcej wiernym obrazie.... powiemy chyba na pochwałę Cousin’a, że niektóre z historii filozofii ustępy popularną opowiadania formą rozpowszechnił między większą publicznością. Pochwała to bardzo ujemna, ale inną dać mu nie możemy, póki mowa o historyku; widząc zaś w nim zbieracza materyałów, przyznamy mu zasługi wielkie i dodatnie. W istocie wszystkie jego wielkie prace, które mu zajęły lepszą część żywota, są zbiorami materyałów. On bowiem pierwszy przełożył całego *Platona* i wydał z uczonemi objaśnieniami i wstępami w 13 tomach (r. 1822-1840); nieznanie przed tém pisma nowoplatonczyka *Proklosa* ogłosił w 6 tomach (1819-1827 r. a po raz drugi w r. 1864); całego *Dekarta* wydał w 11 tomach; dodajmy nieznanie dawniej rękopisma *Abelarda* ogłoszone w jednym wielkim tomie, dzieła *O. Andrzeja* (P. André) i dzieła *Majne de Biran’a* w kilku tomach, a każdy przyzna, że trzydzieści kilka tomów zebranych materyałów świadczy chlubnie o pilności niezmordowanego zbieracza. Przecież ten zapał zdradza brak oryginalnej twórczości, bo któryż myśliciel samodzielny byłby chciał

strawić cały czas życia swego na pracy trzydziestotomowej, wymagającej tak specjalnych filologicznych, historycznych, antykwaryuszowskich wiadomości i wiadomości, iż piszący, przywalony bezustannie olbrzymim ciężarem komentarzów, excerptów, wariantów i t. d. prawie nigdy zdobyć się nie może na jaką myśl samodzielną. Cousin przecież garnął się do prac takich z niewymowną ochotą a zapał jego trwał zawsze do ostatniej stronicy; wśród rękopismów starych i foliantów obraca się lekko i wesoło, niby wśród dawnych znajomych i poufałych przyjaciół. Gdyby był chciał zostać przy nich zawsze, gdyby był chciał uwierzyć, co powiedział o nim Taine, że on stworzony na mularza a nie na architekta, byłby bez wątpienia używał mniejszej popularności, ale w zamian uzyskałby sławę gruntowniejszą.

Dręczony jednak manią nieszczęśliwą zostania historykiem, przekonany, że dosyć na to licznych wiadomości i dzielnej retoryki, pisał historią, nie tylko filozofów lecz nawet sławnych kobiet. Cóżbyśmy powiedzieli o Tacycie, gdyby roztoczywszy obraz wspaniałej bitwy pod Kremoną, kontynuował opowiadanie swoje w ten sposób: „dokumenta bardzo ciekawe, dotyczące się bitwy, przechowują się w palatyńskiej bibliotece; tamże spoczywają pamiętniki dowódcy legionu N. N. i list naczelnego wodza wojsk Wespazyanowych, pisany do przyjaciela nazajutrz po bitwie; dwa te arcyważne źródła mieszczą się w osobnych rękopismach.. pierwszy wygląda tak... a drugi tak... stronnic mają tyle... okładkę purpurową... i t. d! Najzagorzalszy nawet antykwaryusz uważałby podobne postępowanie za zupełnie barbarzyńskie; Cousin jednak nigdy zwyczaju tego nie zaniechał. Miał np. sposobność utworzenia wielkiej historycznej monografii, kreśląc wstęp do niewydanych dzieł Abelarda, ale na każdej prawie stronicy, wśród ślicznych, pełnych nieraz ognia ustępów o rozwoju duchowym średniowiecznych myślicieli, czytamy paleograficzne i antykwaryuszowskie elukubracye, które całości nie dozwoliły ani powstać ani ułożyć się w obraz jednolity. Jeżeli zaś niegustowne takie popisywanie się erudycją mniéj razi póki mowa o średniowiecznych dyalektykach lub o pisarzach starożytnych, których imiona przypruszone od dawna pyłem ciężko uczonych komentarzy, to predylekeya podobna staje się po prostu niecznością, ile

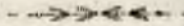
razy zbliżamy się do świata, nie zaszypanego jeszcze uczonym materiałem. Wszystkie też niedostatki Cousin'a, przed innemi zaś brak zupełny twórczego umysłu, wystąpiły w świetle jaskrawém, gdy zapragnął stać się kronikarzem sławnych francuzkich kobiet z XVII stulecia, mianowicie gdy rozgorzał mistyczną miłością do pięknej księżnej Longueville, siostry Wielkiego Kondeusza. Otóż skreślił jej postać idealną w dwóch sporych tomach, ale arcydziwném się wydaje jak pogrobowy kochanek pani Longueville, którego zdobyła sobie dwieście lat po śmierci, dowodzi że ubóstwiana przezeń istota była w istocie piękną i celem tego porównywa nieczytelne rękopisma, stare sztychy i wyblakłe portrety, najchętniej zaś odczytuje jej listy, donosząc zawsze sumiennie w której rubryce, pod którym numerem, w której bibliotece znajduje się przedmiot przezeń przytoczony. Nie mamy zamiaru żadnego wdawać się w szczegóły, ludzie niesłychanie od nas dowcipniejsi, przed innymi zaś p. Taine, rozebrali kwestyą tę gruntownie i osądzili całą Cousin'a czynność dziejopisarską. Zgodzono się powszechnie na jedno, że autor nie jest historykiem, lecz archeologiem, powlekającym mozolnie zebrane szczegóły pokostem błyszczącej retoryki.

Przecież mowa o umarłym, zapomnijmy więc w końcu o jego błędach, *de mortuis nil nisi bene*, jego biografia „pani Longueville” i jego księga „du vrai, du beau et du bien” pójdą w zapomnienie, za lat dziesiątek nikt do nich nie zajrzy więcéj; jego „fragmenta filozoficzne” i „prelekye” zastąpione będą lepszymi; jego materiały do historyi filozofii potrważą nieco dłużej, ktokolwiek pracować będzie na tém polu, nie ominie się z nimi, jednakże jakkolwiekbądź, i ich sława przebrzmi, zamieni się z żywój w biblioteczną, pewnego dnia staną tomy Cousin'a obok kwartantów Fabrycyusza, Bruker'a, Thomasiusza i tylu innych, niegdyś sławnych i wielkich, których chodzimy podziwiać po bibliotekach, ile razy nam potrzebni do załatwienia uczonego sporu. Smutna to sława, przecież Cousin'a obok niéj oczekuje lepsza: Francya będzie długo, prawie zawsze wspominała jego imię, ponieważ jemu właśnie zawdzięcza swój entuzjazm do filozofii, który wzrastając w siły bezustannie, rywalizuje już dzisiaj z Niemcami w najlepsze. Pismo Cousin'a pył pokryje, ale

żywe, natchnione nieraz słowa, które wywołały liczny zastęp myślicieli, żyć będą w czynach i wydadzą owoce po przez wiele generacyi. Przedewszystkiem był on profesorem i wykładami swemi wywarł wpływ ogromny na młodzież: kilka już generacyi wyszło lub bezpośrednio z pod niego lub z pod jego uczniów, a mężowie, jak Damiron, Jonffroy, Juliusz Simon, Vacherot, Renan, nawet złośliwy niewdzięcznik Taine a oprócz nich tylu innych zawdzięcza mu ocknienie ducha swego. Zaiste nie mała to sława i rozkosz nie lada, żyć w wdzięcznej pamięci prawie wszystkich gwiazd terażniejszej Francyi.

Warszawa, w maju.

*Stefan Pawlicki.*



# ŻYCIE MOZARTA,

PODŁUG NAJLEPSZYCH ŹRÓDEŁ.

SKREŚLIŁ

*Maurycy Karasowski.*

---

Jednym z największych kompozytorów zeszłego wieku, słusznie przewanym Rafaelem muzyki, był bez zaprzeczenia Mozart. Życie tego człowieka, które tutaj skreślić postanowiłem przedstawia dziwny fenomen, to jest walkę natury z losem. Natura obdarzyła go niewyczerpanym zasobem inteligencji, którą z równym powodzeniem tak w muzyce, jako i na innem działaności umysłowej polu mógłby szczęśliwie zastosować, gdyby okoliczności pozwoliły mu na obranie innego dla siebie zawodu; zawistny zaś los, mszcząc się niejako za te zbytne dobrodziejstwa natury, zostawiwszy kilka tylko zaledwie dni pogodnych w jego doczesnej pielgrzymce, resztę życia nappełnił goryczą, wszelkiego rodzaju zawodami, strapiciem i niedostatkiem nawet. Dopiero na śmiertelnym łożu boleści, jakby zdjęty głęboką litością nad skutkami prześladowania swego, upamiętał się, pofolgował ostrym kleszczom, któremi całe życie Mozarta ścisnął, a natura jako zboleła matka tym widokiem długiego męczeństwa dziecka, w chwili właśnie przyjaźnie zaczynającego się uśmiechać losu, rzuciła mu pod nogi martwe tylko zwłoki swego ukochanego i pośród milionów ludzi wybranego syna!

Mozart, potęgą genialnego natchnienia, sztukę muzyczną wznosił do sfer idealnych, a wyprzedzając czas w jakim tworzyć mu przysłało, niepojętą siłą twórczości i wiedzy, po-



pechnął ją na drogę ciągłego postępu, na jakim ją dzisiaj widzimy. Za tyle arcydzieł jakie zdumionemu światu zostawił, za tyle smutnych piękności natchnienia, które przez długie czasy będą dla nich niewyczerpaném źródłem moralnej rozkoszy, ziomkowie jego za życia nie tylko chleba ale ziemi nawet na pokrycie jego zwłok poskąpili. Mozart gwiazda, pochodnia, słońce sztuki muzycznej: chluba i zaszczyt wieku, w którym się narodził, wrzuconym został po śmierci do rowu wspólnego najuboższym nędzarzom.

## I.

Około 1756 roku mieszkał w Salzburgu stołeczném mieście arcybiskupstwa tegoż imienia, artysta muzyczny wielce ceniony, nazwiskiem Leopold Mozart. Jako muzyk zyskał sobie rozgłos kościelnemi kompozycjami, w których skrzypce, ulubiony jego instrument, ważny zawsze udział miały, to nawet było powodem, iż arcybiskup salzburgski powierzył mu miejsce poddyrektora w swojej nadwornój orkiestrze. Wsparty doświadczeniem wieloletniej nauczycielskiej praktyki, wydał on dla użytku uczącej się młodzieży szkołę na skrzypce, podług której kształcili się wszyscy prawie niemieccy wirtuozi w końcu zeszłego wieku. Jako człowiek, Leopold Mozart ze względu na niepospolite swoje umysłowe wykształcenie, posiadał bowiem kilka języków a pomiędzy nimi i łaciński, tudzież z powodu rzadkiej prawości i zacności charakteru, używanym był w znaczniejszych domach za nauczyciela muzyki i szanowanym powszechnie.

Od lat piętnastu mieszkał on ciągle w Salzburgu i miał już sześcioro dzieci, z których tylko jedna córeczka przy życiu pozostała, gdy dnia 27 stycznia 1756 roku urodził się mu syn ostatni, imieniem Jan-Chryzostom-Wolfgang-Amadeusz. Łatwo się domyślić, iż po stracie tylu dzieci, nowonarodzonego rodzice otoczyli nadzwyczajną pieczołowitością; całą rodzicielską miłość tak boleśnie pięciokrotnemi ciosami śmierci nawiedzoną, na niego przeleli. Było to dziecko niesłychanie żywe, wesołe i szczebiotliwe. Skoro tylko Wolfgang mógł już wymawiać, razwraz to matkę, ojca albo znajomych dom ich odwiedzających, zapytywał czy go kochają; a jeżeli ktoś chcąc mu się sprzeciwić przecząco odpowiedział, natych-

miast zanosił się od płaczu i z trudnością można go było utulić. Tak nadzwyczajną tkliwość uczucia to dziecko się odznaczało. Lecz bywając zawsze przytomnym lekeyom muzyki jakie ojciec dawał starszej od niego o lat pięć siostrze, poważniał i zmieniał się do niepoznania. Anna-Marya, czyli jak ją zwykle w domu nazywano Nannerl, okazywała dziwną zdolność i pojęcie do tej sztuki; ojciec chcąc ją wcześniej na fortepianistkę sposobić, w siódmym roku życia począł już jej wykładać zasady gry na tym instrumencie. Wolfgang musiał być zawsze przytomnym naucz; zamyślony, z oczyma wlepionemi w ojca, nie tracąc z uwagi jednego słowa dotyczącego się muzyki, stał zwykle nieporuszony i czekał cierpliwie aż się lekcy skończy; a kiedy fortepian był już wolnym, podchodził do niego, uderzał palcami po klawiszach, całemi godzinami wyszukiwał tercji a znalazłszy przypadkiem zgodny akord, cieszył się i radował niewymownie. Ojciec spostrzegłszy to szczególne dziecka do muzyki zamiłowanie, nie wiedział co o tém myśleć; postanowił jednakże stanowczo się przekonać o jego wrodzonych zdolnościach. W tym celu wybrał jakiegoś menueta i pokazał dziecku jak go grać powinien; w niespełną półgodziny, menuet był już umiany i z wszelką dokładnością w takcie i intonacyi wykonany. Na wyuczenie się sztuki dłuższej nieco, godzina była aż nadto wystarczającą, a rok jeszcze nie upłynął, gdy czteroletni Wolfgang nie umiejąc pisać nut, dyktował ojcu sztuczki własnego pomysłu.

W dwa lata później, dziecko to można było policzyć do rzędu najlepszych fortepianistów.

Zdumiony i przestraszony ojciec takimi syna postępami, rozmyślał jak sobie w tym względzie ma radzić. Nie chciał go jeszcze uczyć kompozycyi, ażeby zbyt wcześnie nie obarczać młodziutkiego umysłu tak trudną i mozolną nauką; ale na nie się to nie przydało, bo mały w swęj główce układał już koncert własnego pomysłu i zabrał się niebawem do napisania go własną ręką. Ale maczając pióro aż na samém dnie kałamarza, wiele razy je wyciągnął i do papieru przyłożył, za każdym razem kleks ogromny zamiast nuty pozostawał; męczył się i niecierpliwił biedny chłopiec; płakał z gniewu wycierając paluszkami plamy, mażąc jeszcze więcej papier; lecz to wszystko zrazić go nie było w stanie.

Ojciec nieprzypuszczony do sekretu, a zatem niewiedzący o niczem, wszedł właśnie w tój chwili z jednym ze swoich przyjaciół. Widząc chłopca pochylonego nad stolikiem i skrobiącego piórem po papierze. „Co ty tam robisz,” pyta. „Piszę koncert na fortepian; część pierwsza będzie zaraz gotową.” „Doprawdy! a to musi być piękna kompozycja; pokażno mi.” „Nie, nie, aż skończę.” Ale ojciec wyrwał mu papier a widząc jak jest zamazany, głośno śmiać się począł. Skoro jednakże w tój mazaninie był w stanie rozpoznać kilka passaży, rysy jego twarzy stopniowo poważniejszy wyraz przybrały; łzy rozrzewnienia i radości w oczach ojca zablęśły: „Patrz,” rzekł do przyjaciela, „jak wszelkie prawidła kompozycyi są wiernie zachowane; zdaje mi się tylko, że niepodobna będzie tego wykonać, zbyt wiele bowiem jest trudności.”

— Bo teżto koncert, odrzeknie z żywością autor; popracowawszy nad nim dobrze, będzie go można wykonać. O! to tak powinno być grane.” To mówiąc pobiegł do fortepianu, chociaż usiłowania jego niezbyt pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały, przecież słuchacze mogli powziąć wyobrażenie o tém, co chciał czynić! Koncert ten istotnie był zatrudnym, ale zresztą dosyć poprawnie w partyturkę ułożony z towarzyszeniem całej orkiestry, niewyłączając nawet trąb i kotłów.

Zdolności atoli Mozarta nietylko w muzyce były zadziwiające; owszem objawiały się one we wszystkich, co jakkolwiek związek z nią mieć mogło; naprzykład posiadał on nadzwyczajną łatwość rozwiązywania najzawilszych zadań arytmetycznych, pamięć zaś jego zdumiewającą była.

## II.

Skoro dziecko to już doszło do szóstego roku życia, ojciec postanowił go wyprowadzić wraz z starszą jego siostrą na widownięę świata obszerniejszego, Salzburg bowiem był dla nich już za małą i ciasną miejsciną.

W roku 1762, Leopold Mozart wywiózł dzieci swoje do Monachium, gdzie na dworze Elektora popisując się kolejno, doznały jak najświetniejszego powodzenia. Zabawiwszy tam ze trzy tygodnie, w miesiącu wrześniu tego samego roku,

udali się do Wiednia, a znalazłszy w tém mieście znaczną liczbę potężnych i możnych protektorów, niebawem na dwór wprowadzonymi zostali. Wielbiciel i opiekun sztuk pięknych Franciszek Iszy, zdziwiony i zachwycony muzycznymi zdolnościami małego wirtuoza, rozmawiał z nim nieraz obsypując wszelkiego rodzaju łaskami; pomiędzy innymi, podarował mu ubiór ówczesnej francuzkiej mody, zrobiony umyślnie dla młodziutkiego arcyksięcia Maksymiliana. Nic pocieszniejszego niemożna sobie wyobrazić nad portret naszego bohatera w tym stroju (1). Frak z wielkimi połami suto galonowanymi, takąż kamizelka spadająca do kolan, krótkie spodniki, włosy upudrowane i ujęte w woreczek wiszący na plecach, ogromne rękawy większej od głowy objętości, kapelusze pod pachą i szpada u boku; w takimto kostiumie, malenki Mozart zwykle na dworze się pokazywał. Pewnego dnia cesarz rzekł do chłopca: „Nie sztuka grać na fortepianie wszystkimi palcami, ale jednym palcem naprzykład, to byłoby dopiero ciekawém.“ Chłopiec nie odpowiedział, ale zbliżył się do instrumentu i począł grać jednym palcem najtrudniejsze passaże; przykrywszy następnie sukniem klawiaturę, wykonał kilka ustępów tak gładko i z taką pewnością, jak gdyby do tego rodzaju muzyki z dawnych lat się przykładał. Innego znów dnia, cesarz siedział obok Mozarta grającego na fortepianie; w około nich stał dwór cały śledzący na obliczu monarchy wrażenia wywoływane cudowną grą dziecka. Dziecko to miało szczególny dar odgadywania ludzi udających melomanów lub znawców w muzyce; od jednego nieraz rzutu oka, malenki Wolfgang umiał się na nich poznać, a wtedy największe uniesienia i pochwały talentowi jego oddawane, jeżeli nie pochodziły z przekonania lub istotnego poczucia, były mu najobojętniejsze, nie zwracał na nie uwagi. Jeżeli widział się zmuszonym do grania przed ludźmi nie znającymi się na muzyce, wówczas wybierał zawsze kontradanse, menuety lub inne tego rodzaju kawałeczki; była to niejako gorzka ironia, którą obdzielał swoich słuchaczy. W owęj także chwili, grono dworaków ten sam skutek na Mozarcie wywierać musiało, bo odwróciwszy się do

(1) Portret ten znajduje się w zbiorze rycin, należącym niegdyś do pana Nisen.

cesarza rzekł: — „Każ zawołać N. Panie Wagenseila (1) ten się zna dobrze na muzyce.“ Monarcha dał rozkaz ażeby go przywołano. Skoro Wagenseil ukazał się na progu: „A cieszysz się to żeś przyszedł, zawoła chłopiec, zagram ci koncert twojej własnej kompozycyi, ale będziesz mi przewracał karty.“

Z powodu talentu i wesołego humoru, podobał się Mozart niezmiernie arcyksiężniczkom, córkom Maryi Teresy. Dwie z nich razu pewnego, oprowadzały go po pokojach zamkowych. Chłopiec nieprzyzwyczajony do chodzenia po tak ślisko wyfroterowanych posadzkach, pośliznął się i upadł. Starsza wiekiem, nie raczyła na to spojrzeć nawet, druga zaś będąca w tym samym wieku co nasz wirtuoz, dopomogła mu się podnieść, głaszcząc i pieszcząc chłopczyka. „Ty jesteś dobrą dziewczynką, rzekł do niej, ożenię się z tobą.“ Po tak niespodzianém oświadczeniu, księżniczka pobiegła natychmiast do matki i rzecz całą opowiedziała. Cesarzowa przywoławszy Mozarta pyta, co go spowodowało do wyboru tak dla jój córki zaszczytnego: „wdzięczność, odpowiada chłopiec; bo kiedy siostra jój odeszła nie spojrzawszy na mnie, ona przeciwnie, okazała się dla mnie pełną dobroci.“ Ta malenka arcyksiężniczka, która tak dobrą wydała się Mozartowi, że ją chciał nawet pojąć za żonę, była Maryą Antoniną nieszczęśliwą królową Francyi.

### III.

Powróciwszy z tój pierwszej wycieczki do Salzburga, młody wirtuoz nie porzucając wcale fortepianu, zapragnął nauczyć się grać na skrzypcach. Dostał on podczas pobytu swego w Wiedniu małe skrzypceczki w podarunku; nie mówiąc nic nikomu, grywał sobie na nich jak mógł. Z początku oczywiście szło mu trudniej, następnie oswoiwszy się z niemi sam, bez nauczyciela doszedł do pewnej w graniu na nich swobody. Młody Wolfgang miał to w swoim charakterze, iż postanowiwszy sobie coś ważniejszego, nigdy nikomu się nie zwierzał, aż dopiero w chwili wykonania. Ojciec dawał natenczas lekcye kompozycyi pewnemu skrzypkowi nazwiskiem Wenzel, który napisawszy pod nieobecność nauczy-

(1) Stary mistrz kapeli cesarzowej Maryi Teresy.

ciela sześć tryjów na dwoje skrzypców i altówkę, przyniósł takowe do ocenięcia, gdy tenże wrócił z podróży. Leopold Mozart zaprosiwszy Schachtnera w zamiarze wykonania tych tryjów (1), pierwsze skrzypce powierzył Wenslowi, drugie Schachtnerowi, a sam miał grać na altówce; kiedy się już zabierali do wykonania, jakże się zdziwili, ujrawszy wchodzącego ze skrzypcami w rękę małego Wolfganga i proszącego o zaszczyt należenia do koncertu. „Cóż ty myślisz robić? zapyta ojciec. „Chcę grać drugie skrzypce, chcę wyręczyć p. Schachtnera.” Ojciec nie widząc w tém nic innego jak tylko niestosowny do chwili poważnego zajęcia kaprys dziecka, przekłada mu, że nedorzecznoscą jest myśleć o graniu na skrzypcach nie ucząc się wprzód tego. Ale Wolfgang ukrywając się do końca odpowiada: „iż ażeby grać drugie skrzypce, niekoniecznie trzeba nauki;“ na to ojciec zniecierpliwiony dał mu znak do wyjścia za drzwi. Chłopiec rozplakał się wychodząc, lecz na prośby obecnych, dozwolono mu zostać. „No, to graj z Schachtnerem, powiada ojciec, ale po cichuteńku, żeby cię nie było słyhać, inaczey zaraz pójdiesz za drzwi!” Kiedy się zaczęto stroić, Wolfgang z całą powagą instrument swój wystroiwszy, staje obok wskazanego sobie towarzysza przy pulpicie; trio się rozpoczyna. Po kilkunastu taktach, Schachtner zdziwiony i zachwycony zarazem, widzi że jego pomoc zupełnie jest zbyteczną. Kładzie na boku swoje skrzypce, patrzy na ojca, a temu łzy po twarzy płyną. Nastąpiła chwila ogólnego wzruszenia; po wypytaniu się kiedy i gdzie nauczył się chłopiec grać na skrzypcach, po tysięcznych uściskach, wzięto się napowrot do muzyki. Sześć owych triów odegrano od początku do końca, a improwizowany sekundaryusz ani razu się nie potknął, ani jednéj nutki nie uronił. Pochwały jakie ztąd spadły na naszego wirtuoza, ośmieliły go do tego stopnia, że podjął się zaraz grać pierwszy głos skrzypcowy, chociaż niezwykle był trudny. Pokładano się ze śmiechu widząc malca mordującego się z passażami do których wykonania używał najpocieszniejszego palcowania, w niewłaściwych i niestosownych pozycyach; jednakże trzymał się ostro, nie przerwał muzyki i doszedł pomyslnie do końca.

(1) Wszystkie szczegóły tego zdarzenia, pochodzą właśnie od Schachtnera.

Aż do dziewiątego roku życia, Mozart miał niesłychany wstręt do jednego tylko instrumentu to jest, do trąbki. Sam jój widok budził w nim szczególną odrazę. Ażeby go wyleczyć, ojciec wbrew zwykłemu swemu rozsądkowi, sprowadził razu jednego trębacza i kazał mu trąbić z całą siłą w ucho synowi. Na pierwszy odgłos, chłopiec zbladł jak trup i padł na ziemię bez znaku życia. Szczęściem wstrzymano natychmiast to doświadczenie mogące pociągnąć za sobą niebezpieczne skutki. W następstwie czasu umiał Mozart pokonać w sobie to drażliwe i delikatne na odgłos tego instrumentu nerwów usposobienie; nikt też lepiej i szczęśliwiej od niego, nie rozporządzał nim później w rozmaitego rodzaju kompozycjach muzycznych.

W miarę jak Mozart wzrastał w lata, talent jego stawał się świetniejszym, niepojętym, wyjątkowym. Wszystkie cechy i usposobienia właściwe wiekowi dziecinnemu, zacięrały się i ginęły w obec rozwijającej się z dniem każdym sile i namiętności muzycznój, która z czasem miała go zupełnie pochłonąć. Nieraz musiano go gwałtem odrywać od fortepianu, ażeby zbytnią pracą nie nadwerżył delikatnego zdrowia; we śnie nawet, marzył i kombinował przyszłych utworów szerokie zarysy. Dla tak fenomenalnego talentu, Niemcy stały się za ciasne; czas już był pokazać go na obszerniejszej widowni świata. Leopold Mozart pomny na przysłowie: „że nikt nie jest prorokiem w własnym kraju,” postanowił z dziećmi udać się do Paryża, tam bowiem w owym olbrzymim zbiorowisku inteligencji łatwiej ocenionym i zrozumianym być można; tam obok moralnego, materialne powodzenie stawało się niewątpliwem; kiedy w Niemczech przeciwnie, kończyło się wszystko zwykle na większem lub mniejszem słownem uwielbieniu. Piękne słówka nie zastąpią nigdy braku gotówki; do dziś dnia, Niemcy w tym względzie nie zmienili się wcale; rozprawiają oni o każdej rzeczy szeroko, umiejętnie, wymownie, ale kiedy idzie o pieniądze, tak silnie worek ściskają, że nawet ich własni wielcy ludzie, najczęściej w ubóstwie i niedostatku żywot swój kończą. Tak było z Mozartem, tak było z innymi; ale nie wyprzedzając faktów, zwróćmy się do miejsca na którym zostawiliśmy przyszłego twórcę *Don Juana*.

## IV.

Postanowiwszy więc udać się do Paryża, Mozartowie obrócili drogę na Monachium, Augsburg, Stugard, Moguncję, Frankfurt, Akwisgran i Bruksellę. O powodzeniu jakiego we wszystkich tych miastach występując publicznie albo prywatnie doznali, znaleźć można wiele szczegółów w listach pisywanych przez ojca Mozarta do swego przyjaciela Hagenauera kupca w Salzburgu i właściciela domu w którym mieszkali. Nie będziem się nad nimi zastanawiać, gdyż mniej więcej sprawy finansowe podróży, stanowią ich treść główną; lecz zatrzymamy się nieco w Paryżu, gdzie Leopold Mozart wraz z dziećmi przybył szczęśliwie dnia 18 listopada 1763 roku.

Zaopatrzeni w mnóstwo listów polecających, niebawem podróży nasi zdołali sobie zjednać protektorów, którzy w początkach przynajmniej pobytu ich w stolicy Francji, nadzwyczaj wielką im byli pomocą. Pomiedzy innymi Grimm, sekretarz księcia Orleańskiego, znakomity filozof, przyjaciel Jana Jakuba Rousseau i Diderota, wielki zwolennik muzyki, gdyż nawet był jednym z przywódców partyi walczących piórem o pierwszeństwo muzyki włoskiej nad francuzką, przyjął współziomków swoich z otwartymi ramionami, stawszy się ich protektorem i przewodnikiem zarazem. Oto co pisał on o rodzinie Mozartów do jednego ze swoich przyjaciół:

„Zdolności nadzwyczajne, cudowne, są w ludziach rzeczą niezmiernie rzadką, i kiedy się ma szczęście spotkać takowe, warto zaiste nad nimi się zastanowić. Przyjechał tu z dwojga dziećmi niejaki Leopold Mozart, mistrz kapeli z Salzburga. Starsza dziewczynka, mająca lat jedenaście wieku, wykonywa na fortepianie najtrudniejsze sztuki przeslicznie i z niesłychaną dokładnością. Chłopiec zaś niemający jeszcze lat siedmiu skończonych, jest fenomenem tak dziwnym, że patrząc się na niego i słysząc go, oczom i uszom wierzyć niepodobna. Nie tylko iż wykonywa on na fortepianie z wszelką łatwością najnieprzystępniejsze kompozycje, chociaż zaledwie sekstę objąć może swemi drobnymi rączkami, lecz co większa (to nie do uwierzenia) słyzałem go improwizującego całemi godzinami! Puściwszy wodze natch-



nieniu, mnóstwo cudownych pomysłów, powiązanych zręcznie, wytwornie, jasno i logicznie, jak z kłębka, wysnuwał z swęj główki. Najwytrawniejszy i najwięcej ukształcony mistrz kapeli, nie może gruntowniej posiadać znajomości harmonii i wypływających z niej modulacyi jak ten oto chłopiec. Tak dalece jest panem mechanizmu, że kiedy mu przykryją serwetą klawiaturę, z tą samą biegłością i dokładnością gra na niej jak gdyby miał ją zupełnie odkrytą. Pisze i komponuje z niepojętą swobodą i to nie uciekając się weale do pomocy fortepianu. Takimto sposobem na moją prośbę, w jednej chwili dopisał bass do menueta, którego mu przedstawiłem. Transponować jaką aryę, albo grać ją od pierwszego widzenia w jakimkolwiek tonie, nic go nie kosztuje. Byłem właśnie dopiero świadkiem innego jeszcze faktu, nie mniej zadziwiającego. Pewna dama pyta się chłopca czy może jej akompaniować ze słuchu jakąś aryę włoską, którą ona umie na pamięć ale nut nie posiada. Malec ów spróbował najprzód podłożyć bass idąc w ślad za nieznaną sobie melodyą; następnie prosi damę ażeby raczyła ją na nowo powtórzyć, i wtedy grając prawą ręką aryę, lewą wybijał bass z harmonią śmiało i wybornie do melodji przypadający. Sztukę tę z dziesięć razy w ten sposób wykonano, a za każdym razem dziwny ten chłopczyk zmieniał charakter akompaniamentu. I byłoby tak bez końca, gdyby go nie uproszono ażeby grać przestał. Doprawdy, obawiam się zawrotu głowy, bo w miarę jak go słucham, pojmuję dopiero jak niezmiernie trudno jest zachować zdrowe zmysły, patrząc wciąż na takie cuda.”

Powyższe zdania pochodzące od człowieka tak znakomitego jakim był Grimm, zasługują na wiarę. Stosunki i wpływy osobiste które posiadał w Paryżu, dozwalały mu stać się potężnym Mozartów opiekunem i protektorem; to też dawszy kilka koncertów, byli następnie prezentowani królowi i całej jego rodzinie, a nawet pani Pompadour. Ta wszechwładna bogini wdzięków, łask wszelkich i serca monarchy, raczyła ich przyjmować u siebie. Oczywiście, obfity grad laudorów posypał się na naszych wirtuozów. Nannerl zarzuconą była mnóstwem podarunków, Wolfgang zaś dostąpił zaszczytu obiadowania z rodziną królewską, co dla wielu dworaków francuzkich, wydało się rzeczą nadzwyczajnie osobliwą.

Do tak nazwanego *grand couvert* który miał miejsce w wigilią Nowego Roku, dopuszczane były oprócz książąt krwi królewskiej, najznakomitsze tylko osoby, ale królowa zażądała, ażeby obok niej zasiadł mały Mozart. Więc téż bawił ją swoją konwersacją, całował często jej rączki i sprzątał z apetytem potrawę, jakie sama podawać mu raczyła. Królowa wybornie mówiąc po niemiecku, tłumaczyła Ludwikowi XV co do niej Wolfgang mówił, i nieraz uśmiech pokazujący się na ustach tego apatycznego monarchy dowodził, o ile paplanina młodziutkiego wirtuoza miłą i zabawną dlań była. Te dworskie pieszczoty do takiego stopnia chłopca uzuchwałyły, że kiedy pani Pompadur gdy żądał, pocałować go nie chciała, z pewnym rodzajem oburzenia rzekł: „Cóż ona jest takiego iż nie chce mnie pocałować, mnie co dostałem pocałunek od samej Cesarzowej!”

Zachęcony przyjęciem jakiego w Paryżu doznawali, Leopold Mozart postanowił wydać na widok publiczny, pierwsze prace swego syna. Cztery sonaty na klawikord z towarzyszeniem skrzypców *ad libitum*, z których dwie ofiarowane księżniczce Wiktorii starszej córce Ludwika XVgo, a drugie dwie hrabinie de Tesse, z piękną oczywiście i szumną w pochlebstwa dedykacją, jak to naówczas zwyczajem było, ukazały się w Paryżu 1764 roku.

## V.

Po pięć miesięcy pobycie we Francyi, cała rodzina Mozartów udała się do Londynu, gdzie już sława wczesniej ich poprzedziła. Zaledwie przybyli do stolicy klasycznej muzyki i sterlingów, wnet przedstawiono ich u dworu. Przyjęcie jakiego tamże doznali, według słów ojca, przeszło wszelkie ich oczekiwanie. Jerzy III był niepospolitym znawcą i wielbicielem muzyki; jego żona Karolina Meklemburska posiadała także niepospolitą znajomość téj sztuki; więc w całej Europie, Wolfgang nie mógł dla siebie znaleźć słuchaczy i sędziów stosowniejszych. Zresztą wielkie utwory Haendla w Londynie nadzwyczaj wysoko cenione były i oprócz nich nic więcéj prawie publicznie niewykonywano. Małeńki Mozart zdawał się to dobrze pojnować, że w owym kraju lada sztuczka mu się niegodzi, że więcéj

na intelligencye słuchaczy działać mu wypadnie. Zadanie takie nie trudnym było dla niego, gdyż co do nauki, według własnych słów ojca: „posiadał on wszystko co tylko można wymagać w tym względzie od czterdziestoletniego profesora muzyki.” Wielkie imiona kompozytorów wywierały już dziwny i pobudzający do wyrównania im urok na umyśle Mozarta; przeczuwał on instyktownie że droga do wejścia na wyżyny zajmowane przez nich, jest dla niego przystępną, że stanie z czasem obok nich. W umyśle ośmioletniego chłopca, dniała już jutrzienka przyszłej wielkości; patrzył w nią śmiało, a pomimo liczby lat, był niby dojrzałym człowiekiem.

Popis swój u dworu, zaczął od grania od pierwszego razu (*à livre ouvert*) i bez zmyłki fug Bacha i Haendla! Kto zna tego rodzaju muzykę, pojmie jakie wrażenie bohater nasz sprawić musiał na słuchaczach. Następnie spostrzegłszy głosy instrumentalne jakiejś aryi Haendla rozrzucone w nieładzie na fortepianie, wyciągnął z nich jeden: był to właśnie głos bassowy. Wystarczyło mu to na odtworzenie dzieła i osnucie prześlicznej melodyi na jego podstawie, bez dodania lub zmiany jednej w bassie nutki. Wiadomo jak trudno jest ułożyć dobrą harmonię do podanej melodyi, ale nierównie trudniej do prostego bassu zastosować harmonię a nad nią uwydatnić jeszcze melodję szczególnieję tak, jak to bez przygotowania, improwizując tylko Mozart uczynił. Zaledwie długa i mozolna praca wytrawnego w nauce mistrza podołać temu jest w stanie. To też zdumienie słuchaczy, w liczbie których znajdowało się kilku znakomitych artystów, nie miało granic. Pomiędzy innymi był temu obecnym współziomek Mozarta i ceniony wielce w Londynie kompozytor a syn sławnego Sebestyana Bacha; zachwycony i oczarowany do głębi duszy, niemogąc dłużej się powstrzymać, pobiegł do chłopca a godnego już Haendla współzawodnika, ścisnął, całował i tysięcznymi pieszczotami okrywał. Posadziwszy go następnie na kolanach, zaczął grać pierwszy takt sonaty leżącej właśnie na pulpicie, Mozart natychmiast zagrał takt drugi, i tak zmieniając się wzajemnie, wykonali ją z wszelką dokładnością i płynnością, że osoby stojące dalej nieco od instrumentu, nie chciały wierzyć ażeby sonata w ten sposób przez dwóch odegrana była, myślano że to tylko Bach sam ją wykonał. W kilka dni później w obecno-

ści monarchy, grał Mozart na organach królewskich, a tak w Londynie jako i w Paryżu przedtém, jednomyślnie przyznano, że talent jego na tym instrumencie, więćej jest jeszcze zdumiewającym, jak na fortepianie.

Nadzwyczajne zdolności do muzyki w tak małym dziecku, wzbudzały podejrzenia wielu ludzi co do istotnego wieku Mozarta. Wprawdzie wzrost jego był mniejszym aniżeli na dziecko ośmioletnie przypuszczać można było, lecz niektórzy uczeni, obserwujący talent ów fenomenalny a pomiędzy nimi sławny Barrington, mieli zrazu przekonanie, iż ojciec ukrywa istotny wiek syna w chęci eksploataowania go na swoją korzyść. Ale niech przypadkiem ukazał się w pokoju kot, w czasie najpoważniejszego wykonywania fugi Bacha, Mozart rzucał fortepian i niezważając na tych co go słuchali, biegał za kotem aż go złapał, a niezmiernie kotów lubił. Innym znów razem, wyrwawszy ojcu laskę, siadał na nią jak na konia, objeżdżał w około pokój, paraliżując tym sposobem wszelkie co do dojrzałości wieku, obecnych fizyologów przypuszczenia. Ciekawy i nauczający jest w tym względzie raport wyżej wspomnianego Barringtona w 60 tomie *Tranżakcyj filozoficznych* z roku 1770; pomiędzy innemi rzeczami tenże uczony wspomina: iż Mozart śpiewał także gdy go proszono, maleńkim i delikatnym wprawdzie głosem, lecz z wielkim czuciem i smakiem wybranego i wyrobionego na dobrej metodzie śpiewaka. W końcu znajduje się porównanie Haendla z Mozartem. Pierwszy w siódmym roku życia grał już na fortepianie a w dziewiątym komponował; otóż autor przypuszczając że kiedy talent Mozarta jeszcze wcześniej się objawił, spodziewać się można iż jeżeli pożyje tak długo jak Haendel (Haendel zmarł w sześćdziesiątym ósmym roku życia), daleko za sobą pozostawi swego poprzednika. W Londynie wydał Mozart sonatę na cztery ręce. Ojciec naszego wirtuoza w jednym z listów swoich utrzymuje, że to był pierwszy w tym rodzaju utwór jaki ukazał się dotąd publicznie.

## VI.

Z Londynu cała rodzina Mozartów udała się do Hagi, gdzie Wolfgang wraz z siostrą, niebezpiecznie zachorował.

Przybywszy do Hollandyi głównie z powodu zaprosin księżnej Nassau-Weilburg, w czasie choroby blisko cztery miesiące trwającej, pani ta nie szczędziła dla nich troskliwej opieki i pomocy na jaką się tylko zdobyć mogła. To też Wolfgang przyszedłszy do zdrowia, w dowód wdzięczności ofiarował jej sześć sonat przez ten czas skomponowanych, tudzież kilka arii i wielki koncert na orkiestrę, napisany z powodu wstąpienia na tron księcia Oranii brata swęj opiekunki.

W koncercie tym, wszystkie instrumenta *solo* wychodziły wykonywając kolejno waryacje.

Z Hagi następnie udali się do Amsterdamu, a chociaż podczas wielkiego postu wszelkie tego rodzaju zabawy wzbronione były, dla Mozartów zrobiono wyjątek utrzymując: „że tak nadzwyczajne tych dzieci talenta produkeyą swoją przyczyniają się tylko do większej chwały Pana Boga.”

Na wiosnę 1766 roku, rodzina ta powróciła znowu do Paryża; oto co w tym względzie Grimm pisał do swych przyjaciół:

„Powitaliśmy znowu miłe dzieciны Mozarta kapelmistrza arcybiskupiego dworu w Salzburgu, które z takim w roku 1764 powodzeniem tutaj przyjmowano. Ojciec ich przepędziwszy ośmnaście miesięcy w Anglii, a sześć w Holandyi, przywiózł je powtórnie do Paryża udając się do Salzburga.

Wszędzie gdzie tylko się zatrzymywali, zadziwiali i zachwycali wszystkich. Mozartówna, dzisiaj piętnastoletnia już panna, wyładniała znacznie a w grze swojej na fortepianie doszła do nadzwyczajnej doskonałości; tylko jej brat przewyższać ją może. Cudowny ten chłopiec, ma teraz już dziewięć lat wieku; nie prawie nie podrośł ale w muzyce uczynił postępy niepojęte. Przed dwoma laty był on już autorem sonat; od tego czasu wydał ich sześć w Londynie ofiarowanych królowej angielskiej, drugich sześć ogłosił na widok publiczny w Holandyi. Oprócz tego skomponował symfonię na wielką orkiestrę przyjmowaną z nadzwyczajnym powodzeniem nielicząc w to mnóstwa arii włoskich, z czego wnoszę, iż nim dojdzie do lat dwunastu, gotów jest napisać *operę dla którego z włoskich teatrów*. Słyszając często podczas swego pobytu w Londynie śpiewaka Mauzeli, tyle chłopiec skorzystał, że chociaż ma głos niezmiernie słaby, śpiewa wybornie i z wielkim czuciem. Lecz co w nim jest rzeczą nie-

pojętą, to głęboka znajomość harmonii; z tego powodu następcą tronu brunświckiego, najkompetentniejszy sędzia w tej sprawie utrzymuje, iż wielu najwytrawniejszych w swój sztuce kapelmistrzów, zamrze wprzód aniżeli dojdzie do tej nauki, jaką to dziecko w dziewiątym już roku życia posiada. Widzieliśmy go nieraz przez półtorej godziny dysputującego z najpierwszemi artystami; kiedy pot kroplisty spływał im z czoła z powodu łaźni jaką im chłopiec swemi kwestyami sprawiał, on sam jak gdyby go ta walka nie kosztowała, zdawał się być nie zmęczonym wcale. Byłem świadkiem gdy niepojętymi kombinacyami gry i efektów na organie zawstydział i upokarzał najwprawniejszych a mających się za najdoskonalszych w swoim przekonaniu organistów. W Londynie, Bach wzięwszy go na kolana improwizował z nim kolejno na jednym fortepianie całemi godzinami w przytomności króla i królowej. Tutaj także na podobną był wystawiony próbę z Raupache'm niepospolitym muzykiem i znakomitym improwizatorem. Ale niełatwo skończyć gdy się zacznie mówić o tym cudownym chłopcu. Zresztą, jest najmilsza w świecie dziecina, a we wszystkim co czyni, przebija się swoboda umysłu i pewność siebie ale w połączeniu z wdziękiem właściwym wielkości. Wesołością swoją rozpędza nawet myśli mimowolnie się nasuwające, ażeby ten owoc zbyt wczesnie dojrzał, nie zwiądł i nie opadł przed czasem."

Wracając do domu, podróżni nasi w przejeździe przez Szwajcaryą, zapoznali się z Salomonem Gessnerem, który im ofiarował egzemplarz dzieł swoich ze stosownym napisem, gdzie przepowiedział Mozartowi „iż stanie się zaszczytem Niemiec a przedmiotem uwielbienia dla świata całego."

Nareszcie po przeszło trzechletniej nieobecności, w roku 1766 szczęśliwie wrócili do domu.

## VII.

Natychmiast ogromny rozruch się zrobił w tym cichym i spokojnym zawsze Salzburgu; wszystko co żyło pragnęło widzieć ludzi, którzy wyjechawszy ubodzy i nieznani, powrócili sławni, obsypani zaszczytami i podarunkami. W podobnym zdarzeniu, jak wiadomo, ludzie są zawsze jedni i ci sami, to jest gorętszymi przyjaciółmi, lepszymi i troskliwsi-

mi krewnymi, sąsiadami raz wraz o wasze zdrowie niby się dowiadującymi, chociaż to nie przeszkadza wcale, ażeby was mniej istotnie jeszcze lubiono jak przedtém. Rodzina Mozartów odbierała wśród innych, takie wizyty miejscowych znakomitości, jakoto panów należących do uprzywilejowanej szlachty niemieckiej. Dziwne te istoty: zimne, sztywne, patrzące zawsze z góry na ludzi do niższych warstw społeczeństwa należących, pyszniące się zawsze ze swego pochodzenia, widzące tylko w herbowych pargaminach prawdziwą godność człowieka, nie wiedziały teraz jak postępować z Leopoldem Mozartem. Mówić do niego: *panie*, zdawało im się że ubliżą sobie; mówić: *ty*, to znowu sądzili, że człowiek który z dziećmi swemi przypuszczanym był do towarzystwa najznamienitszych osób a nawet głów koronowanych, obalamucony zresztą gazeciarskimi pochlebstwami, mógłby się teraz obrazić; więc uciekali się w takiem zdarzeniu do trzeciej osoby liczby pojedynczej, albo pierwszej liczby mnogiej. Jeden tedy z takich panów, chcąc niejako pogodzić stanowisko swoje arystokratyczne z chęcią okazania się uprzejmym względem téj muzykalnej rodziny, przyszedłszy do nich razu pewnego rzeknie: „A co, podróżowaliśmy więc; dostąpiliśmy wielu zaszczytów?” na co Wolfgang przerywając odpowiada: „Przepraszam pana, ale nie przypominam sobie ażebym go kiedy widział lub spotkał gdzieindziej jak w Salzburgu.” Anegdota powyższa opowiadana przez siostrę naszego bohatera, dowodzi, że genialne to dziecko posiadało także nie mało przytomności umysłu i dowcipu.

Większą część roku 1767, przepędził Mozart na cichéj i sumiennéj pracy. Obrawszy sobie za cel naukowych studyów dzieła mistrzów takich jak: Sebestyana i Emmanuela Bachów, Haendla, łatwo można pojąć jak ogromne moralne korzyści musiał osiągnąć. Eberlin zaś, znakomity organista katedry salzburgejskiej a więc i kolega Leopolda Mozarta, wtajemniczał dalej chłopca w znaną mu już po części obszerną krainę kontrapunktu. Oprócz tego, utwory najślawniejszych włoskich kompozytorów, jako studia do muzyki dramatyczno-lirycznej i wokalnej zarazem, nie uszły bacznój jego uwagi a niema wątpliwości, że prace pełne melodyjnego natchnienia Stradelli, Scarlalliego, Leo i Duranta, wielką mu później były pomocą do władania dramatyczną dążno-

ścią swych muzykalnych pomysłów, jakoteż do umiejętnego prowadzenia głosów ludzkich.

W jesieni jednakże, artyści nasi rozpoczęli znów tułaczę życie; przybyli do Wiednia ażeby z powodu straszliwego grasowania ospy zaraz z niego wyjechać; lecz nie uniknęli choroby: w Ołomuńcu złapała ich i na dwa miesiące do łóża dzieci przykuła. Skoro niebezpieczeństwo minęło, powrócili do stolicy państwa austriackiego. Najświetniejsze i najzaszczytniejsze przyjęcie czekało ich na dworze Józefa IIgo. Opieka możnych panów: Kaunitza, księcia braganckiego, panny Guttemberg faworytki cesarzowej matki, wreszcie Metastaziego, otoczyła ich w tém mieście. Zdawało się więc, że wszystko powinno im pójść jak najlepiej; a jednak ten pobyt w Wiedniu był dla nich prawdziwym kielichem goryczy, tyle przykrości i zawodów na każdym kroku napotykali.

## VIII.

Mozart zaczynał już wychodzić z wieku dzieciennego; dziecko jakiby nie był jego talent, nie wzbudza jeszcze tyle zazdrości, ażeby ludzie zawistni walkę z nim rozpoczynali pocieszając się tém zdaniem: „że dzieci cudowne, stają się zwykle ludźmi zwyczajnemi, albo téż wczesnie umierać muszą.” Lecz kiedy dorastając, dziecko takie zamiast niknąć, zdolnościami swemi owszem coraz silniejszy i trwalszy poklask świata zdobywa, wówczas współzawodnicy i rywale, niemogąc znieść wszelkiej nad sobą wyższości, wydają mu nieraz bój śmiertelny, mnożąc na każdym kroku nieprzyjaciół, stawiając nieprzebytą zaporę wszelkim jego w przyszłości zamiarom.

Wyobraźmy sobie, że Mozart poprzedzony znacznym rozgłosem, wpada niespodzianie do miasta przepełnionego fortepianistami i kompozytorami. O młodzieńcu tym mówiono, jako już o największym w owym czasie wirtuozie i improwizatorze. Z pewnych pozorów można było nawet mniemać, że w przyszłości stanie się on jeszcze czémś więcej nawet. Otóż zamieszanie pomiędzy professorami sztuki muzycznej, zagrożonymi w spokojnie dotąd uprawianym zarobku; więc gniew, nienawiść przybyszowi mogącemu pozbawić ich chleba a przynajmniej uszczuplić go znacznie. Nic



łatwiejszego natenczas, jak zawiązać ligę obronną przeciwko groźnemu współzawodnikowi. Zaczyna się tedy walka cicha, pokątna, od obmawiania nieprzyjaciela; w miarę zwiększającego się publiczności zajęcia, przybiera ona straszniejsze rozmiary, zupełnie tak samo, jakto don Bazyli w *Cyruliku Sewińskim* Rossyniego opiewa. Tym więc sposobem, całe miasto zostało wciągnięte w spisek uknuty przeciwko dobrej sławie Mozartów. Jeżeli pytano się którego z wziętszych artystów co mówi o wirtuozie z Salzburga, odpowiadał wzruszając ramionami, że go nie słyszał jeszcze wcale, lecz uśmiechając się złośliwie dodawał niby w sekrecie największym, że chłopiec ten jest narzędziem niegodziwego szarlatanizmu ojca, eksploatującego w celach materialnego zysku łatwo-wierność poczciwych mieszkańców Wiednia. Ale ojciec Mozarta zrozumiałwszy ową taktykę, przyjął walkę, używszy odpowiednich do pokonania potwarzy podstępów. Pewnego dnia, dowiaduje się, że jeden z takich przeciwników miał wykonać w obec licznego grona amatorów muzyki, koncert własnej kompozycji będący jeszcze w rękopiśmie, a o którym rozповідаł najprzód wszędzie, jako o dziele niesłychanych dotąd technicznych trudności. Leopold Mozart biegnie do gospodarza domu u którego miano się zebrać wieczorem i pyta, czyliby mu wraz z synem, nie pozwolił przyjąć w nim udziału i dopomódz do zabawienia wysokich jego gości. Gospodarz ów chętnie się zgadza uradowany z tak miłej propozycji; tylko jeden warunek Mozart nakłada, ażeby o tém nikomu nie wspominał, by tym sposobem większą wszystkim sprawić niespodziankę. O naznaczonej godzinie, przybywa kompozytor z nutami pod pachą i w chwili gdy rozłożył nuty na fortepianie i zabierał się do grania, drzwi się otwierają, a ku wielkiemu jego i obecnych gości zdziwieniu, wchodzą Mozartowie. Następuje przedstawienie; kiedy wszystko wróciło do pewnego w salonie porządku, kiedy Leopold Mozart zawiązuje ściślejszą i pełną komplementów z owym professorem i kompozytorem wiedeńskim rozmowę, Wolfgang nie umiejący w życiu swoim nikomu pochlebiać, porzuca ojca, idzie do fortepianu, a widząc rozłożony koncert bez namysłu bierze się do jego wykonania. Jakież było wszystkich zdziwienie, gdy dzieło to bez najmniejszej zmyłki, jakby sztukę zdawna wyuczoną na pamięć, wybornie odegrał.

Twórca koncertu zachwycony cudownym wykonaniem swego dzieła, zapomniawszy o powziętej niechęci dla młodego wirtuoza, uwielbienie dla niepojętego talentu stłumiło w nim resztę zawiści; odwróciwszy się więc do gości rzekł: „Daję słowo uczciwego człowieka, że chłopiec ten jest największym dzisiaj w świecie artystą. Nie uwierzyłbym, gdybym go nie słyszał na własne uszy.”

Lecz to nie jeszcze iż Mozartowi udało się w tak szlachetny sposób rozbić kilku tu i owdzie pojedynczo działających nieprzyjaciół; należało koniecznie zwalić całą ligę, stawiając publiczność wiedeńską w konieczności wyrzeczenia zdania swego na jego korzyść, albo na korzyść wrogów szkodzących mu na każdym kroku. Najprzyjaźniejsza pora ku temu wkrótce się nadarzyła.

Cesarz Józef IIgi wyjawiał życzenie posłyszenia jakiej opery buffo utworu młodego kompozytora. Życzenie to było rozkazem, który z największą ochotą postanowiono spełnić. Wolfgang żywo wziął się do dzieła i w kilka tygodni opera *La Finta semplice* była skończoną. Teraz dopiero zaczęły się intrygi przyprowadzające do rozpacz naszych artystów; Hass i Metastasio dali o niej najlepsze i najpochlebniejsze zdanie, ale pomimo tego, nie można jej było na scenie przedstawić. Teatr opery włoskiej znajdował się wówczas pod zarządem niejakiego Affligio, do którego należało opłacać artystów aż dotąd przez rząd z wielkim kosztem utrzymywanych z warunkiem jeszcze dosyć przykrym, ażeby osoby należące do dworu, miały zawsze wejście bezpłatne. Ponosząc więc takie ciężary, przedsiębiorca zachował sobie wyłączne prawo układania repertoaru podług swej woli; od niego tedy zależało przyjąć lub odrzucić dzieło i nikt mu w tym względzie nie mógł narzucać swój woli. Interesa atoli administracyjne teatru w złym dosyć były stanie, a kiedy przestraszono go skutkami jakie mogły nastąpić z lekceważenia publiczności która mogłaby się niechybnie obrazić gdyby ją zmuszano do słuchania dziecinnego utworu, kiedy tyle dzieł znakomitych kompozytorów czeka na wystawienie, Affligio zląkł się naprawdę. Istotnie, zasadać do dyrygowania opery przy fortepianie dwunastoletniego chłopca, w miejscu dniem może wprzód zajmowa-

ném przez wielkiego Glucka, zdawało się to zuchwałością, niebezpieczną dla antreprzyzy mogącą skutki sprowadzić.

Przedsiębiorca więc postanowił zrzucić się z kontraktu i raczej zapłacić Mozartowi sto dukatów jako umówione honorarium, aniżeli operę jego na scenie wystawiać. Należało tylko znaleźć dostateczne w oczach dworu, życzącego sobie koniecznie przedstawienia tego dzieła usprawiedliwienie, aby zręcznie wywinąć się z tak przykrego położenia. Najprzód, ociągano się z maszyneryami, oczekując niby na ich wykończenie; następnie zwłokę złożono na karb poety przerabiającego wciąż i poprawiającego libretto; potem śpiewacy zaczęli mówić, że muzyka z powodu niewłaściwego na głosy prowadzenia, niepodobną jest do wykonania, chociaż w czasie prób odbywających się w pierwszych dniach po napisaniu opery w mieszkaniu samego autora, wcale inaczej im się wydawała. Nareszcie i orkiestrę także zbuntowano, wmawiając w starych, posiwiałych w tym zawodzie artystów, że to dla nich będzie ujmą i wstydem, dozwalać się prowadzić jednemu młodokosowi! Kiedy w taki sposób poruszono wszystkie żywioły niechęci przeciwko Mozartom, znaleźli się jeszcze ludzie, co niemogąc nic złego mówić przeciwko muzyce, gdyż w wielu domach kompozytor dając ją poznać, wszędzie ogólne pochwały zyskiwał, oświadczyli w końcu z największą niby pewnością, że prawdziwym jej autorem nie jest syn tylko ojciec, gdyż pierwszy nie rozumie wcale włoskiego języka, o kompozycyi zaś, zaledwie elementarne posiada wyobrażenie. Leopold Mozart korzystając zaraz z tego niecnego kłamstwa, umiał go obrócić na większą chwałę syna; w obec licznych świadków zebranych w pewnym miejscu, wzięto jeden tom z dzieł Metastasia, otworzono go na przypadek a natrafiwszy na jakąś aryę, podano ją młodemu kompozytorowi do improwizacji. Wolfgang bez żadnego wahania ułożył wnet do wierszy muzykę, a w godzinę rozpisawszy ją dla śpiewaków i na orkiestrę, w tej samej chwili można już było całą aryę wykonać. Tego rodzaju doświadczenia ku wielkiemu wszystkiemu podziwieniu, powtarzano w kilku innych jeszcze domach, jako to: u hrabiego Kaunitza, u księcia Braganckiego, u Hassa, u kapelmistrza Bono i u samego Metastasia. Stłumiono tedy oszczerstwa spiskowych, ale pokątnemu ich działaniu zapobiedz nie zdołano.

Upływały miesiące, a *La Finta semplice* pod rozmaitemi pozorami na scenie ukazać się nie mogła. Zmęczeni tyłu przeciwnościami, zasmuceni ciągłemi przykrościami, skoro wyzuli się z grosza oszczędzonego dawnymi swymi podróżami, a nie prawie w Wiedniu nie mogąc zarobić, Leopold Mozart stracił resztę cierpliwości, postanowił ostatecznie rozmówić się z przedsiębiorcą włoskiego teatru. Przypomniał on mu w słowach dobitnych kontrakt zawarty z synem, oświadczając, że zapozwie go jako człowieka nadużywającego dobrej wiary innych, jeżeli natychmiast opery nie wystawi. Affligo do najwyższego stopnia rozgniewany, odrzeknie na to: „Dobrze kiedy pan chcesz koniecznie syna swego przed publicznością pokazywać, to ja mu przysięgam, że opera będzie wygwizdana!” Wiedząc aż nadto dobrze, że człowiek ten gotów jest to co mówi dotrzymać, biedni Mozartowie rzekli się chęci wystawienia téj nieszczęśliwej opery.

Lecz jeżeli zawistni tryumfowali pokątnie z upokorzenia młodego, dwunastoletniego artysty, zaraz wkrótce nadarzyła się sposobność odwetu i bardzo nawet świetnego dla Mozarta.

Dyrektor dobroczynnego dla sierot zakładu wezwał naszego artystę, ażeby napisał solenną mszę na uroczystość otwarcia nowo w gmachu tym wybudowanego kościoła, i ażeby sam osobiście zajął się jęj wykonaniem. Cały dwór znajdował się obecnym na téj świetnej uroczystości, niesłychane tłumy ludu kościół zapełniały, a cesarz Józef IIgi miał nareszcie przyjemność widzieć młodego kompozytora na czele wielkiej orkiestry i przewodniczącego jęj jak stary doświadczony dyrektor. Cesarzowa, wspaniałym upominkiem wyraziła mu wdzięczność za trud podjęty w tak pięknym i szlachetnym celu.

Po czternasto-miesięcznym pobycie w Wiedniu, doświadczywszy wszelkiego rodzaju przykrości i zawodów, Mozartowie pełni smutku i goryczy, opuścili to miasto udając się z powrotem do domu.

## IX.

Już dotąd młody nasz artysta zwiedził Monachium, Paryż, Londyn, Hollandyą, Szwajcaryą i Wiedeń, ale Włoch jeszcze nie widział. A podówczas Włochy dla muzyka były

ziemią obiecaną. Podróż do téj kolebki i krainy sztuk pięknych była koniecznością dla tych, co o zupełném wykształceniu artystyczném marzyli. Bo téż muzyka, pod bezpośrednim wpływem chrystyanizmu, rozkwitła tam nadobnie w melodyjnej i harmonijnej formie. Palestrina od którego datować należy epokę wzrostu nowożytnéj sztuki, w połowie XVIgo wieku założył pierwszy fundamenta muzyki uczuciowéj i wyrwał ją z formuł zimnej rachuby matematycznej. Wkrótce potem, dramat liryczny również przez mistrzów włoskich stopniowo kształcony, potęgę sztuki muzycznej stanowczo w ręce tego narodu oddał. Nie było innéj w Europie opery jak tylko włoska; wpływ jéj sięgał wszędzie, gdzie tylko cywilizacya władzę swoją rozpościerała; a wszelkie innych w tym celu usiłowania narodów, były mniej więcéj słabém jedynie odbiciem muzycznego włoskiego pierwiastku. Półwysep włoski, jak słusznie powiada jeden ze znakomitych pisarzy, od jednego do drugiego krańca swego, jakby olbrzymi salon koncertowy, brzmiał dźwiękami cudownych i rozkosznych melodyi. Zakłady naukowe i konserwatorya, wychowywały w łonie swoim liczne falangi rozmaitego rodzaju wirtuozów, którzy następnie rozbiegając się po świecie, zarody wykształconego smaku wszędzie z sobą roznosili. We Włoszech także, wokalne doktryny kościoła rzymskiego pod kopułą Śgo Piotra, przechodziły tradycyjnie z jednego na drugie pokolenie śpiewaków kształconych w kaplicy papieżkiej, i przechowywały się w całej swojej majestatycznej czystości wykonania. Tam także spoczywały skarby zostawione w rękopismach dawnych mistrzów; rękopisma te ukrywane zazdrośnie, długo gromami kościoła przed wzrokiem profanów strzeżone, raz tylko do roku podczas Wielkiego Tygodnia publicznie wykonywane były. Więc też co się znalazło w Europie ludzi wyższych talentem a pragnących nauką czerpaną u samego źródła wiedzy muzycznej, wznieść się do sfer idealnych, dążyło do Włoch, do prawdziwej i jedynéj ojczyzny sztuk pięknych, po ostateczną ogładę, po uznanie, po wziętość, po sławę. W epoce którą opisujemy, mistrze niemieccy, co później tak przeważnie mieli zawładnąć sztuką muzyczną, nie byli jeszcze doszli do tego rozgłosu, jaki następnie zdobyli. Sebastyan Bach, tworzący w ukryciu i cichości rzeczy nie mające naówczas za-

dnego wpływu na wyobrażenia i dążności muzykalne ogółu, był mu prawie nieznanym. Hayden rozpoczął już wprawdzie pisać swoje pierwsze kwartety i symfonie, ale nie posiadał jeszcze popularności jaką sobie później zdobył *stworzeniem świata*. Zresztą, kilku znakomitszych kompozytorów niemieckich, żyjących w odosobnieniu, w ubóstwie, niewiedzący wiele o sobie, pozbawieni protekcji możnych, nie mogli na współczesnych ani nawet na samą sztukę wywierać stanowczego lub widocznego wpływu. We Włoszech zaś przeciwnie; tam legie wytrawnych i doświadczonych współpracowników muzycznych, oczekiwały, witały i wieńcem głośniejszej sławy dobijających się o te oznaki kapłaństwa w sztuce nawet obcych pochodzeniem mistrzów, ozdabiały. Dlatego też około roku 1769, czyli w epoce powrotu Mozartów z Wiednia do rodzinnego ogniska, ze wszystkich stron Europy artyści dążyli do ojczyzny Palestriny; tam bowiem tylko otrzymać można było moralny patent mistrzostwa w sztuce. Haendel i Gluck we Włoszech także szukali tajemniczego klucza wielkiego stylu, do przyszłych swych potężnych utworów.

Oddawna już Leopold Mozart marzył o możliwości wysłania syna do Włoch dla ostatecznego naukowego wykształcenia, dla ostatecznego uświęcenia rozgłosu, jaki już sobie w świecie zjednał. Wróciwszy do Salzburga, zasiedli do sumienniej jeszcze pracy nad kontrapunktem i do nauki języka włoskiego. W rok później przygotowani należycie, poczęli się na tę ważną i ciekawą podróż wybierać.

Szczęściem dla wszystkich przyszłych biografów twórcy *Don Juana*, matka i siostra jego tym razem zostały w domu, co było powodem do pisania ze strony ojca i syna mnóstwa listów, w których najdrobniejsze szczegóły pobytu ich we Włoszech z wszelką dokładnością opisane, i dla nas w niniejszej pracy są jedynym źródłem, z którego czerpać będziemy.

Przed samym wyjazdem, Wolfgang został mianowanym szefem katedralnej orkiestry (concert-meister) arcybiskupa salzburskiego, co dowodzi, że na skrzypcach musiał już grać wcale dobrze.

(Dalszy ciąg nastąpi).



## KRONIKA LITERACKA.

---

*O estetycznym wychowaniu kobiety*, przez prof. Dra Henryka Struve. Warszawa 1867.

*O istnieniu duszy i jej udziale w chorobach umysłowych*; dwie rozprawki czytane na posiedzeniach Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego p. Henryka Dra Struve, Prof. Nadzw. w Szkole Głównej Warszawskiej. Warszawa. 1867.

**D**wie rozprawy pracowitego wielce autora, zawdzięczające swe istnienie przypadkowym okolicznościom, pierwsza bowiem stanowiła treść wykładu publicznego, mianego w tym roku na korzyść biednych uczni Szkoły Głównej; druga zaś, składająca się sama również z dwóch osobnych o istnieniu duszy, była wynikiem polemiki, którą szan. professor w łonie Towarzystwa Lekarskiego z materialistycznym poglądem na duszę, stoczyć uznał za stosowne. Co do stanowiska jakie autor w tej pierwszej swój rozprawie zajął, świadczą następujące jego słowa w przedmowie (str. VI). Dawszy odprawę sprawozdawcom i krytykom niepowołanym, żądającym, aby prelegent w jednej godzinie wyłożył treść trzechtomową, był zarazem i głęboki i kwiecisty i rozwiązał te wszystkie kwestye, które każdy z nich za najważniejsze uważa, mówi dalej: „Ja wiem tylko, że i nad tym wykładem sumiennie pracowałem, że pilnie zebrałem potrzebne do tego materiały i starannie (?) obrobiłem jego formę zewnętrzną i wiem bez wszelkiej *zarozumiałości*, że wykład ten jest nie tylko zbiorem słodyczy i komplementów, ale zawiera w sobie *nader ważne* dla wychowania kobiet myśli, które chociaż tylko w ogólnych rysach dotknięte, jak to z natury wykładu publicznego wynikało, podają jednak każdemu głębiej myślącemu podstawę do rozwinięcia całego systemu wychowania kobiety.” Zobaczmy więc na czem te myśli

polegają. Przytoczywszy w kwieciście obrobionym wstępie, iż wśród tej mnogości istniejących rozpraw o kobietach, trudno coś nowego powiedzieć, dodaje, że jednak „można z całego obszaru kwestyj, odnoszących się do kobiety, wybrać jedną mniej opracowaną, a jednak również ważną, może ważniejszą od innych wielu.” (str. 2). Otóż tą kwestyą jest *estetyczne wychowanie kobiety*, które dotąd bardzo mało było uwzględnione. Poglądy na wychowanie kobiety rozdzielają się na dwa „wprost przeciwne i wzajem wyłączające się kierunki,” (str. 3). Jednym z nich jest: iż „kobieta ma być wychowaną na dobrą *gospodynię i kucharkę*, na *dobrą matkę*, mogącą zaspokoić codzienne potrzeby swych dzieci. a co **najwięcej** (widocznie autor następny przedmiot stawia wyżej nad *dobrą matkę*) na *nauczycielkę elementarną*, któraby potrafiła nauczyć swe dzieci abecadła i trochę katechizmu.” Otóż taki *prozaiczny pogląd* na zadanie i wychowanie kobiety, podziela według autora wiele znakomitych ludzi, między innymi i Napoleon I. Drugim poglądem jest ten, który przypuszcza, iż kobieta jest tak jak mężczyzna zdolną do usilnej pracy umysłowej, do zawodu naukowego, do udziału w życiu publicznym, tylko ją trzeba odpowiednio do tego na równi z mężczyzną wykształcić, a dowodem tego są mnogie kobiety, celujące w sztukach, literaturze, a nawet naukach ścisłych jak np. Miss *Marya Sommerville*, która sobie nawet uznanie Humboldta, Herszla przez swoją *Mechanikę nieba i fizyczną geografiją* zjednała.

Autor nie podziela ani jednego, ani drugiego poglądu, dla tego, że oba „wychodzą z mylnych podstaw, nie mogących doprowadzić do rozwiązania kwestyi o przeznaczeniu i wychowaniu kobiety.” „Czy dla tego,” woła on (str. 7) „że społeczeństwo potrzebuje dobrych *żon i matek*, dobrych *gospodyń i kucharek*, wychowanie kobiety ma mieć wyłącznie na celu zaspokojenie tej potrzeby? Czyż w ogóle zdolność do przyszłego zawodu jest jedynym ideałem pedagoga, najwyższym prawem w kierownictwie młodego pokolenia? Czy człowiek *sam w sobie niezależnie* od swego zawodu niema żadnego znaczenia, żadnej wartości?” A stanowiąc dalej, że i mężczyzna powinien nie tylko być specjalistą, ale przytém i *człowiekiem*, dodaje (str. 8) „kobieta *nie jest i nigdy nie będzie wyłącznie żoną, matką i gospodynią* domu, zawsze obok tego jest i *pozostaniem człowiekiem i kobietą*.” Ale też i nie powinna małpować mężczyzny (str. 7). Wychowanie powinno zatem rozwinąć i jej ogólne ludzkiedążności „aby była zawsze prawdziwą kobietą, choćby *nie była ani żoną ani matką*.” Powinna wiedzieć „co się po *za szczupłym okresie jej domu dzieje*, mieć serce dla wszystkich



spraw ludzkich, dla wszelkiego postępu życia społecznego, nauk i sztuk pięknych i stosownie do swego uzdolnienia, *swój fizycznej i duchowej natury*, brać czynny udział w *udoskonaleniu i postępie rodu ludzkiego*," a sposób do tego? Oto musi porzucić przesąd, jakoby „kobieta tylko wyłącznie w zawodzie żony i matki mogła być korzystną dla społeczeństwa," ona się powinna zająć „sumienną pracą" chcąc polepszyć swe stanowisko w społeczeństwie; pracą „odpowiednią do swjej siły i uzdolnienia" powinna się stać (str. 10) „coraz więcej samą sobą, rozwijać *prawidłowo* i harmonijnie swoją naturę, to znaczy: wszystko, co w nią zarodkowo włożyła Opatrzność, „ ,ma się coraz więcej stawać tém, czém jest, to znaczy kobietą," czyli też (str. 11) „krótko mówiąc: kobieta według całego swego fizycznego i umysłowego układu, nie jest stworzoną ani do energicznego działania wśród stosunków ludzkich, wśród niespokojnego ruchu życia społecznego i politycznego, ani do wniknięcia w najgłębsze tajniki wiedzy ludzkiej, do pracy nad postępem i rozwojem ścisłych badań naukowych, (a pani de Sommerville? P. Sp). Właściwym dla niej zakresem **pracy i działania** jest przedewszystkiem *upiększenie i uprzyjemnienie życia, idealizowanie wszelkich praktycznych dążeń i rzeczywistych potrzeb człowieka*;... kobieta każda jest poetką z natury swojej; jej zadanie polega na wcieleniu idei i poezji w życie, ona pragnęłaby niebo sprowadzić na ziemię, być *aniołem* zwiastującym obecność Boga, idei na ziemi wśród bytu rzeczywistego i to idealizowanie rzeczywistości... jest (str. 12) jej najwyższe zadanie, *bez względu* na stanowisko, jakie w towarzystwie zajmuje, czy będzie żoną i matką, czy też wyrobi sobie oddzielne stanowisko po za obrębem rodziny.“ To zadanie spełnia przez swój „potężny wpływ na sztuki piękne, literaturę nadobną i rozwój smaku estetycznego“ (str. 15). A chociaż według świadectwa najznakomitszych znawców sztuki, „możnaby zupełnie wykreślić artystki z historii sztuki, a jej wspaniała świątynia pozostałaby niewzruszoną“ (str. 16), jednak historia sztuki obróciłaby się w nicoość, gdyby kobiety z niej usunięto, „nie te, co wiersze pisały i malowały, ale te co podawały temata do tylu precudnych poezji, co były wcielonym ideałem dla tylu genialnych artystów.“ Otóż ten wpływ bierny kobiety, „jest najpotężniejszy i przewyższa stokroć wszelki ideał czynny.“ Dlatego też i po dziś dzień kobiety wszędzie wywierają najpotężniejszy wpływ na cały estetyczny stan społeczeństwa (str. 18). „Literatura nadobna, poezya, powieści i romanse stały się dzisiaj codziennym chlebem du-

chowym dla każdej kobiety czytającej. Roboty ręczne, ubranie, *upiększenie osoby* i domu, zmuszają każdą kobietę do ciągłego wydawania sąłów estetycznych, sądów o piękności i harmonii różnych rzeczy. Nie ma się tedy czemu dziwić, że kobiety prawie wszędzie i zawsze były głównymi przedstawicielkami smaku estetycznego, „*„każda świetna epoka literatury lub sztuk pięknych, wyradza się tylko pod wpływem szlachetnych i estetycznie wykształconych kobiet“* (str. 19). Otóż to pole na którym *samodzielną pracą* nieskończenie wiele dokonać może kobieta. Niech każda wie, że od jej sądu estetycznego, od jej miłości dla literatury i sztuki, od jej uszlachetniającego wpływu na płeć męską, zależy prawdziwa cywilizacya rodu ludzkiego, zależą wszelkie wzniosłe i genialne pomysły mężczyzn. Niech każda w takim idealizującym wpływie na życie i rzeczywistość, widzi swoje prawdziwe przeznaczenie, a żadna nie będzie potrzebowała narzekać, iż nie może niczego wielkiego dokonać, bo będzie wiedziała, że ona tworzy *atmosferę, w której się wszystko wielkie i wzniosłe wyradza.*” Autor nie ogranicza się jednak na samem podawaniu takich rad ogólnikowych. On stara się wskazać drogę do zastosowania tego „idealnego wymagania do codziennego życia kobiety, do jej koniecznych potrzeb i warunków praktycznego bytu” (str. 20). Jako środek zaś podaje *estetyczne wychowanie kobiety* i przez wskazanie dla niej praktycznej działalności około tego wszystkiego, co należy do upiększenia i idealizowania życia ludzkiego, od najprostszej robotki ręcznej i galanteryjnej, aż do czynnego udziału w poezyi, malarstwie i muzyce,” (str. 20), a dla lepszego wyjaśnienia swęj myśli dodaje, przeciwko Micheletowi i innym autorom, że „nie sądzi, aby takie (t. j. jak ci autorowie żądają, jako przeciwwagę dla wrodzonej jej skłonności do uczuciowości) *przeważne kształcenie rozsądku i rozumu płci żeńskiej* miało się przyczynić do rozwiązania jej właściwego zadania w ludzkości,”... bo (str. 23) „*prawdziwe wychowanie... nie zwraca przeważnej uwagi na to, co natura przeznaczyła dla starszego rozwoju... Jeżeli tedy, według powszechnego uznania (a zatem nie z filozoficznego wywodu i pojęcia kobiety Dop. spr.), w kobiecie przeważają uczucie i fantazyja nad rozumem i rozsądkiem, to... prawdziwe wychowanie kobiety zwróci przedewszystkiem swoją uwagę na odpowiednie prawidłowe wykształcenie uczucia i fantazyji i będzie miało zawsze charakter przeważnie estetyczny*”... Ale jakież to jest estetyczne wychowanie kobiety? Otóż autor, potępiwszy zwykłe powierzchowne pojmowanie piękna u kobiet i jej zamięrowanie w modach, od-

powiada na owe sobie postawione pytanie, że niém jest uzdolnienie do „udziału nietylko w literaturze, ale i sztukach pięknych,” a jako wzór kładzie te kobiety, które się kształcą u nas w Instytucie muzycznym, co się oddają fotografii i rytownictwu, co się kształcą w szkole dramatycznej na artystki; dalej wskazuje, jako obszerne pole *praktycznej działalności* (str. 28) w robotach ręcznych i galanteryjnych, kształcących smak dobry, umiętne pielęgnowanie kwiatów, nauczycielską działalność w sztukach pięknych, (więc być dobrą matką i nauczycielką swych dzieci to niskie, a działalność nauczycielska dla innych to wysokość! Dop. spr.).

Autor przechodzi potem po krótko pokolei, jakie ma być wykształcenie kobiet w *poezyi*, w *muzyce*, od której właściwego użytku w wychowaniu, zależy głównie rozwój serca i uczucia dziewczynek, albowiem ona rozwija nawet religijność w sercu; (czem się to więc dzieje, że Niemki w ogóle tak mało są religijne?) w *rysunku*, który wdraża przedewszystkiem do czystości w pracy, do rozsądku w układzie rzeczy, do akurtności i wierności w działaniu; (jakiż to świat niesprawiedliwy, że nieład, nierozsądek i brak wszelkiej akurtności, uczynił przymiotem każdego artysty a przedewszystkiem malarza!) nareszcie w robotach ręcznych i przy końcu dodaje, iż tego wszystkiego tylko usilną pracą nabyć można, zachęca przeto do *pracy*.

Wreszcie autor kończy rzecz swoją następnie: „Kobieta ma wielką przyszłość przed sobą, większą zapewne, niż jej dotychczasowa przeszłość. Ród ludzki zawsze jeszcze tęskni za idealną doskonałością, zawsze jeszcze walczyć musi z nieprzełamanymi trudnościami o swój byt materialny, a jeszcze więcej o swoją czystość moralną. Walka ta z sobą i ze światem pokrywa go często krwawymi łzami i doprowadza nieraz do rozpaczy. Niechże kobieta będzie *aniołem*, pracującym ochoczo około jego *podniesienia*, niech zetrze z jego czoła pot, niech pokrzepi i pocieszy jego ducha, a doda mu siły do urzeczywistnienia najwyższej doskonałości.” Na pozór przesłiczna rola dla kobiety, być *aniołem* pocieszycielem i stróżem, — przypatrzwszy się jednak bliżej rzeczy, to się okazuje, iż tylko mężczyzna może stać się doskonałym; lecz kobieta nigdy, bo jej brakuje *rozsądku* i *rozsądku*, a wykształcenie estetyczne może wyrobić *aniołów* ziemskich, ale nigdy *doskonalej ludzi*, chyba że autor przypuszcza, iż kobieta już się rodzi doskonała, lub aniołem się staje sama przez siebie, wtedy byłaby *bez rozsądku* rzeczywiście wyższa od mężczyzny, który, ro-

zumem obdarzony, potrzebuje do swęj doskonałości pomocy kobiety.

Dając obszerniejszy nieco wyciąg z tęj rozprawki, mieliśmy na uwadze zrobić czytelnika samego sędzią wygłoszonych tamże zdań, które nie są bez pewnej doniosłości dla naszego społeczeństwa, mającego wrodzoną sobie pohopność do idealności i przenośni. Sądziimy jednak iż zdrowy zmysł najlepszym będzie tutaj sędzią. Nie możemy jednak pominąć jednej uwagi która nam się tutaj mimowolnie nastęrcza, t. j. czy tęg autorowi nie wpadło w oko, że jego ideał kobiety jest bardzo podobny do owego, który wiek XVIII mianowicie we Francyi wyrobił za czasów Ludwika XIV, regencyi i Ludwika XV, który w wieku obecnym doszedł tamże do najwyższego swego rozwoju w tęg co nazywają *demimonde*, wyższym i niższym, bronionym przez wiele talentów wyższego rzędu, o których sam autor w uiniejszjęj rozprawie wspomina; z tym *demimonde*, przeciw któremu obecnie nawet na Zachodzie rozwija się silne oddziaływanie a którego dewizą jest: być pocieszycielem mężczyzny i za pomocą całego estetycznego przyboru, ogarniającego wszystkie objawy życia, *ściągnąć niebo na ziemię* i zrobić ono tak rozkoszném, tak zmysłowém i błotném jak on sam! I takąto rolę naznacza autor kobiecie, jako wyższą nad tą, jaką odgrywa jako dobra żona i matka, a choćby tylko jako dobra gospodyni i kucharka, a nawet uzdalniająca się do przyszłego samodzielnego zawodu!

Druga z powyższych rozpraw jest wcale innego już zakroju. Stoi ona na gruncie już ściślej naukowym i naukową tęg ma formę. Przedmiotem jęj jest kwestya, najważniejsza dla człowieka, bo kwestya istnienia duszy, pierwiastku nicśmiertelnego, poręczyciela jego nad wszech zmysłowy świat wyższości. Autor stara się w nięj dowiesć na mocy *naukowych* niby dowodów, że dusza rzeczywiście istnieje, i że *umysłowe choroby* nie pochodzą z przyczyn materyalnych, lecz moralnych i duchownych. Otóż wykazawszy na wstępie, że psychologia i fizjologia starając się zbadać istotę duszę, różnią się tylko odmiennością drogi, jaką do tego celu zdążają, pierwsza wychodząc od *wewnętrznych* objawów życia, druga od *zewnątrznych*, że się nawet nawzajem kontrolują, określa następnie swoje zdanie (str. 6): „Zadaniem bezstronnego badacza w potraconych kwestiach powinno tedy być rozróżnienie w każdej z tych nauk istotnych *niewątpliwych* rezultatów od hipotez i teoryj, połączonych z temi rezultatami lub na nich opartych. Różność bowiem pomiędzy fizjologią a psychologią

odnosi się tylko do hipotez i teoryj opartych na niewątpliwiej treści tych nauk, ta ostatnia zaś sama w sobie wzięta, w każdej z tych nauk nawzajem się dopełnia i stwierdza.”

Otóż autor przytacza najprzód zdania tak zwanych krańcowych materyalistów, jak np. Büchner, Max Stierner, Ruge, Vogt, Moleschott i inni, nieprzyjmujących istnienia duszy, i stawia na przeciw tego zdania niektórych skromniejszych materyalistów jak Virchow, Helmholtz, Fechner, Carus, J. Müller i inni, potem psychologów i antropologów i przystępuje wreszcie do rozwiązania zadania w swój właściwy sposób, t. j. stawiając z góry jako przymioty duszy *świadomość* zawierającą w sobie trzy objawy: *jedność, refleksyę, trwałość i tożsamość*, dalej: *uwagę, czucie, wyobrażenie, możność odróżnienia halucynacyj od rzeczywistych wyobrażeń, wpływ uczucia i fantazyi na ciało i wolę* cechującą się swemi trzema zjawiskami t. j. (str. 57) *idealną prawidłowością, samodzielną inicjatywą i energią* a nakoniec jako dowód istnienia i nadzmysłowego pochodzenia duszy stawia jeszcze i tę okoliczność (str. 65), „że działanie psychiczne może się niekiedy objawić w sposób zupełnie prawidłowy pomimo znacznych zmian patologicznych mózgu.” Starając się wskazać na mocy przykładów i twierdzeń wyjętych z różnych dzieł psychologicznej, antropologicznej, fizyologicznej i psychiatrycznej treści, że ciało a mianowicie substancya nerwowa nie posiada ani *świadomości*, ani *uwagi*, ani *wyobrażenia*, ani nawet *czucia*, ani też *woli*, a przynajmniej, że te własności jeszcze dotąd w materyi ani w substancyi mózgowej, ani nawet jako objawy li funkcyi organizmu, przez fizyologów nie zostały wykazane, wnosi, że muszą być wyłącznemi przymiotami, własnościami, nadzmysłowego duchowego pierwiastku, t. j. duszy. Mówi on w tej mierze (str. 68): „Z całego tego powyższego wywodu sędzę, że zdanie o samodzielnem istnieniu duszy w ciele ma za sobą daleko więcej empirycznych faktów fizyologicznych, aniżeli materyalistyczna hipoteza o czysto fizycznej naturze objawów psychicznych. *Niezaprzeczone* empiryczno-psychologiczne zjawiska, nie dające się wytłumaczyć z zasad materyalistycznych, dowodzą w sposób *niewątpliwy*, że człowiek nie jest samym fizycznym objawem, lecz że w nim działa jeszcze *inna istota, niezależna w sobie od cielesnego organizmu.*”

Po tem zakończeniu przechodzi autor do drugiego rozdziału t. j. „*O udziale duszy w chorobach umysłowych.*” Pytanie jakie sobie stawia jest następane: (str. 69), „co właśnie jest *chorobem* w objawach patologicznych, nazwanych chorobami umysłowemi,

czy ciało, czy dusza, czy też jedno i drugie, i gdzie leżą ostateczne przyczyny tych objawów?" i rozwiązuje tę kwestyą w następny sposób, t. j. najprzód (str. 95) „Sądzę tedy że na podstawie powyższych wywodów *każdy kto w ogóle przyznaje istnienie duszy*, (a ten co nie przyznaje? a przecież tu głównie o tego chodzi), *zagniony* jest siłą logicznej i psychologicznej konsekwencji uznać *możliwość* patologicznych objawów duszy i przyjąć ją za *właściwy* *subjekt* patologiczny, za *właściwą* *podstawę* chorób umysłowych," czyli inaczej, że to co jest możliwem, jest rzeczywiscie, bo jest koniecznem! A dowód na to stawia autor taki: że jeżeliby przyczyny duchowe, psychiczne, mogły wywołać choroby umysłowe tylko wtedy, gdyby w mózgu lub organizmie istniało już usposobienie do tego, toby one nie były *przyczynami* *lecz* *powodami*, bo (str. 76) „*właściwą* *przyczyną*, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, nazwać można tylko taki *czynnik*, który w *danych* okolicznościach (a zatem nie absolutnie, Dop. spr.) pociąga za sobą pewne *konieczne* następstwa, leżące w samym czynniku," a dalej: „konieczna przyczyna jest wewnętrznem źródłem samego zjawiska; bez niej zjawisko, skutek, nie mogłyby istnieć, gdyż tylko o ile sama przyczyna przechodzi w zjawisko, o tyle tylko zjawisko istnieje. Przypadkowy zaś powód jest zewnętrznym dla samego zjawiska *obojętnym* bodźcem, wywiązującym działanie przyczyny. Powód taki może być sam wynikiem pewnej przyczyny, ale nie ma *żadnego* *bezpośredniego* wpływu na dane zjawiska... jedna i ta sama przyczyna *pociąga* *zawsze* *za* *sobą* *jedne* *i* *te* *same* skutki, ale jeden i ten sam *czynnik*, może być powodem do najrozlicniejszych objawów." Ponieważ zaś istnieją czynniki chorób umysłowych, które autor za *psychiczne* i *przyczyny* uważa, up. pycha, próżność, *pragnienie* *slawy* *i* *honoru*, przestach, gniew, smutek, miłość, radość i t. p.; więc choroby umysłowe są *psychicznego* początku, a nie cielesnego czyli *somatycznego*.

Otóż „choroby umysłowe, jako mające przyczynę umysłową, a zatem choroby duszy mogą się jednak łączyć z *patologicznemi* *objawami* ciała, głównie z dwóch względów: 1<sup>o</sup> choroby umysłowe mogą być przyczynami patologicznych zmian w ciele, wywołując jako swoje naturalne następstwo chorobę cielesną. 2<sup>o</sup> Mogą być same *skutkami* chorób cielesnych, które *nieraz* *pociągają* za sobą objawy *patologiczne* w duszy, stanowiąc tak zwane *somatyczne* *przyczyny* chorób umysłowych, również niewątpliwe jak rozebrane powyżej przyczyny psychiczne" (str. 96). Tu niech nam wolno będzie, uawiasowo tylko zrobić jedną uwagę, jakim

sposobem zmiany patologiczne mózgu mogą być *przyczynami* chorób umysłowych, skoro autor sam przytacza (str. 103), że są „patologiczne zmiany mózgu bez choroby umysłowej,” a *przynajmniej* jest tylko to, co się *koniecznie* w swój skutek zmienia?

Streszczając w końcu wszystko, stawia jako ostateczny rezultat swego badania, że „*właściwym* *subiektem* patologicznym *tak zwanych* chorób umysłowych, istoty do której te choroby odnieść należy, jest *dusza* a nie ciało, choroby umysłowe są w istocie *chorobami duszy*.”

Oto jest osnowa, treść i metoda użyta w tej rozprawie. Niepodobna zapuszczać się w jej głębszy i wyczerpujący rozbiór. Chcąc wszystkie punkta, mogące dać powód do sporu, należyście rozebrać i wyjaśnić, wypadłoby napisać tom, dwa albo trzy razy grubszy, aniżeli rozprawka cała. Niech nam wolno będzie jednak przytoczyć kilka krótkich uwag. Najprzód nie pojmujemy dobrze celu tej rozprawy. Nie pojmujemy bowiem, co na tém zyskać może idea duszy jako istoty nadzmysłowej, niematerialnej, nieśmiertelnej, jeżeli się dowiedzie, że ona podlega zbočeniom, wadliwościom, chorobom. Wszakże te są atrybutami skończoności, śmiertelności, wszelkiej niedoskonałości. Co jest wadliwem i dopuszcza zboczenia, to zdolne do zupełnego zepsucia, zniszczenia, a to co jest chorem, do śmierci. Przyjęcie chorób duszy pociągałoby więc za sobą i możliwość jej śmierci, a zatem doczesność. Wreszcie i odpowiedzialność człowieka a przeto i jego strona moralna musiałaby na tém ucierpieć, bo przecież nie można człowieka uczynić odpowiedzialnym za złe i dobre uczynki, jeżeli one są wynikiem duszy, której większa lub mniejsza doskonałość, stan prawidłowy lub wadliwy, choroba i zdrowie nie od prowadzenia i zachowania się samego człowieka są zawisłe. Nam się zdaje, że chcąc w *drodze ściśle naukowej* dowodzić istnienia duszy, wypadłoby najprzód na *tę samą drogę* wykazać, jakim sposobem istota nadzmysłowa, niematerialna, może się łączyć z materją, z nią spływać, na nią działać i za narzędzie ją używać. Dopokąd to nie nastąpi, żaden dowód nie będzie miał *ściślej* podstawy. Dlatego lepiej zostawić na teraz istnienie duszy dziedzinie wiary, która w tej mierze lepszym jest pewnikiem dlatego co ją ma, jak wszelkie należyście nieuzasadnione rozumowania, które znów dla skeptyka nie są potrzebne, bo go o jej istnieniu nie przekonają. Co zaś do odparcia zasad tak zwanych krańcowych materialistów, to sądzimy, że najlepszym sposobem do tego byłoby wykazanie jasne i ściśle tych zasad, które się z postawionych i niezaprzeczo-

nych faktów materialnych, jako bezpośrednio i niezaprzeczone ich wyniki wysnuć dadzą, a potem owych, które przez materialistów dopiero z tych wyników jako dalszy mniej lub więcej rozumowy wywód, wysnute zostały i tym sposobem niekiedy rzeczywiście to przedstawiają, co jest możliwem, co jednak dlatego nie jest jeszcze koniecznem, bo w świecie możliwość nie pociąga zawsze za sobą konieczności. Gdyby autor był rzeczywiście tą poszedł drogą, byłby niezaprzeczenie wielką przysługą swą pracą uczynił i nieskończenie wiele się przyczynił do wyjaśnienia całego stanu i donośności tej kwestyi. Na jakim zaś gruncie rozumowania autor buduje swe wnioski, niech nam wolno będzie wykazać na jednym tylko ustępie, np. na tym gdzie mówi o *uwadze* (str. 37—40). Powiada on, że uwaga jest przymiotem duszy; że zaś uwagi objawu nie można wytłumaczać funkcją nerwów, więc musi być coś co w człowieku do uwagi jest zdolnem, a to coś musi być nie materialnem, a zatem duszą. Albowiem faktem jest, iż człowiek może tylko na jeden przedmiot zwrócić naraz swą uwagę, jak to dowodzą spostrzeżenia astronoma Bessla, Struvego, oftalmologa Ruete i innych (str. 37—38), a to „tylko dlatego (str. 46). że świadomość ludzka jest sama w sobie *jedną*, że jako taka *jedność* towarzyszy wszystkim objawom czucia i tylko dlatego zdola w każdej chwili czasu w sposób świadomy przejmować również *wyłącznie* tylko *jedno* wrażenie.” Otóż nam się zdaje, że gdyby autor chciał być samodzielnie rzucić okiem w około siebie i nie tak mocno spuszczać się na obce spostrzeżenia, toby jego uwagi ujęć nie mogło jako psychologa, że ta okoliczność, czyli przy *natężeniu uwagi*, jeden, dwa lub więcej zmysłów są nieraz czynnymi, kieruje się naturą przedmiotu, na której ona jest zwróconą, a nie czem innem. W zwyczajnem życiu, zmysły są zwykle kontrolują jeden drugiego i każdej chwili czynne, mianowicie między okiem a uchem ten związek jest nader wyrobionym. Człowiekby nie mógł np. głośno czytać zrozumiale, lub grać na instrumencie, gdyby oko i ucho nie były równocześnie czynnymi. Dyrektor muzyki nie mógłby kierować naraz orkiestrą i śpiewem, gdyby oko wlepione w partyturę, nie kierowało uchem, a ucho jego okiem; aktor grający na scenie, ma ciągle oko i ucho natężone, a dziki człowiek, śledzący nieprzyjaciela lub uciekający przed nim, ciągle ma jednocześnie oko, ucho i węch w natężeniu. Moglibyśmy tysiące takich przykładów w najrozmaitszych kierunkach z życia zwyczajnego przytoczyć, ale i te wystarczą. Wprawdzie potrzeba do tego często pewnej wprawy i wyćwiczenia, jak np. u każdego grającego na jakimkolwiek bądź instrumencie, ale



gdyby nie należała do tego zdolność wrodzona w człowieku, toby jej wprawa z pewnością nie wytworzyła, bo wprawiać można tylko to co jest, a nie to, czego nie ma.

Nie możemy się również pogodzić i z metodą, jakiej się autor w swój pracy trzyma. Ponieważ fizylogia, rozumuje on, nie jest w stanie dowieść, że np. świadomość, uwaga, czucie i t. d., które stawia za przymiot duszy mogą być wynikami funkcyi nerwów i mózgu, więc dusza istnieje jako istota niematerialna, nadzmysłowo-nieśmiertelna. Nie sądzimy, aby taki dowód rozumowania odpowiadał ściśle zasadom logiki. Dlatego iż do ostatnich aż czasów niewiedziano, że np. światło jest ruchem, nie wynika ztąd wcale, iż światło aż do ostatnich czasów było materją właściwą, nieważką, albo może czemś niematerialném. To czego świat teraz nie wie a z nim i fizylogowie, to później się może dowiedzieć, jak się dowiedział o wielu rzeczach, które mu dawniej nie były znane. Wreszcie i w różnych wyjątkach z poszukiwań fizylogów, na których autor opiera swe twierdzenia, widoczném jest, iż nie posiada dokładnej znajomości tych przedmiotów, które przytacza np. w owym emfaticznym frazesie (str. 44): „bo czémże ma być ów *dobatek* osobliwy, niezależny od *nerwów*, który dla swojego istnienia nie *potrzebuje* koniecznie pośrednictwa nerwów, lecz przez działanie tych ostatnich, tylko pobudzonym zostaje do uczucia? Przecież po za *systemem nerwowym* nie ma żadnych fizyologicznych podstaw dla wyjaśnienia owego dodatku, dla wykazania jego fizyologicznej treści! Więc...” Otóż musimy nawiasem nadmienić, że to co nazywają systemem nerwowym, i to, co zowią nerwami, to są dwie odrębne rzeczy. Nerwy wchodzą wprawdzie w skład systemu nerwowego anatomicznie, ale prócz nich znajdują się w tym systemie inne utwory, zupełnie od nerwów swą budową i życiem odmienne, które właśnie są uważane za główne, samodzielne, twórcze, przez nerwy właściwe pobudliwe narzędzia wszelkich funkcyj mózgu i innych organów ośrodkowych systematu nerwowego, a tymi są komórkowe utwory, których dokładne zbadanie dotąd było jeszcze z wielu przyczyn niemożliwe!

Na tém kończymy nasze uwagi, wyrażając swój żal, że autor dał się nakłonić oboczniemi okolicznościami do napisania tej rozprawki, która nie tylko postawionej kwestyi ostatecznie nie rozwiązuje, ale nawet i do jej wyświecenia i wyjaśnienia w niczem się nie przyczynia, nie dając ani samodzielnych poglądów, ani samodzielnych spostrzeżeń i faktów, ani nakoniec *ściśłości* w wywodzie.

W.

*Księgarnia M. Leitgebra, Poznań Hôtel du Nord. Przegląd bibliograficzny piśmiennictwa polskiego. Miesiąc styczni 1867, w 8-ce str. 4.*

Pod tą nazwą wyszedł pierwszy numer pisma bibliograficznego wydawanego w Poznaniu przez *Mieczysława Leitgebera*. Prenumerata roczna wynosi 10 srebrnych groszy. Wyszło już więcej numerów, ale trzy doszły nas dotąd. Starczyby się winien wydawca, o szybsze stosunki. Dwukartkowy numer obejmuje abecadłowe wymienienie, lub treściwe ocenie około trzydziestu dzieł z roku bieżącego, między któremi: *Czajkowskiego Anna*, wyd. 3cie, *Dupanloup* Mowa o nauce, *Gumplowicza Ludwika* Ośm listów z Wiednia, *Kraszewskiego* Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta, *Mickiewicza* Konrad Wallenrod wydanie 5te, *Roczniki* towarz. histor. literackiego obejmujące listy Mnischówniej, Młodość i wychowanie Stan. Augusta. Spis zinarłych od roku 1861 i inne ciekawe artykuły. *Szczepeńskiego* *Alfreda* Cechy i Stowarzyszenia, *Wartenberga* O teorii Darwina, czasopisma: *Piast*, *Gazeta Toruńska* i t. d.

Zeszyt ten bibliograficzny bardzo jest ubogi w porównaniu z tém, co obejmowała wydawana do końca 1865 roku, miesięcznie *Bibliografia Polska* nakładem *Brockhauza*; ubogim jest dlatego, że wydawca nie dołożył starania, aby zebrać materiały w różnych źródłach napotykanie, a mianowicie co do dzieł w obcych językach dotyczących rzeczy polskich lub przez Polaków pisanych, czego pomijać nie należy. Byłoby dobrze, aby wydawca odrzucając wszelkie uwagi ogólnikowe i bezpożyteczne nad dziełami, podawał tytuły dzieł w całej obszerności. Również co do pism czasowych polskich aby podawał w treści ważniejsze rozprawy w nich zawarto, mianowicie: osnowy historyczno-naukowej, a to w sposób, jak u nas w kraju bywa podawaną treść czasopismów miejscowych warszawskich. (*Gazety Toruńskiej*, *Piasta*, *Dziennika Literackiego* i t. p).

Tym sposobem będzie mógł bibliografią swoją zażywniejszą uczynić i bardziej zainteresować tych, którzy materiału bibliograficznego poszukują.

Jakkolwiek szczupły i niedostateczny jest numer pierwszy, należałoby, aby księgarnie i antykwarnie szły w pomoc temu przedsięwzięciu, że wstydem bowiem wyznać się godzi, że nie mamy dotąd stale wychodzącego bibliograficznego skazownika, a każda próba w tym kierunku, urywa się dla braku przedpłat-

ców. Inaczej widzimy, rzecz się ma w Czechach: tam wychodzi stale wydawany przez *Franciszka Augusta Urbanka* rocznik bibliograficzny pod tytułem: *Seznam vszech roku...* w Rakousku wydanych, kneh a czasopisuw w jazicich: czesko-słoweńskem, polskem, rusińskem a srbském.

Wiele ztąd ciekawego a starannie podanego zaczerpuć możemy. Bibliografią dzieł polskich w Galicyi i rusińskich, podaje *Władysław Gubrenowicz* ze Lwowa dość starannie, któremu również czynię zarzut, nie podania treści z czasopismów, to jest: ważniejszych naukowych i historycznych rozpraw rozsiaanych po piśmiech politycznych i literackich.

Notujemy tutaj przy tej sposobności, iż obliczając na ogół liczbę ksiąg słowiańskich wydanych w Austrii, 1864 r. znaleźliśmy po czesku i morawsku dzieł około 660, po polsku 70, po kroatsku, serbsku i słoweńsku około 100, po rusińsku dzieł 16. W r. 1865 wyszło dzieł po czesku blisko 900, z tych ośm czasopismów w Ameryce północnej, po polsku 170 dzieł w Galicyi, po kroatsku, serbsku i słoweńsku dzieł przeszło 170, a po rusińsku 32. Razem Austria w r. 1865, dostarczyła słowiańskich dzieł około 1300. Rocznik za rok 1866, jeszcze ręk naszych nie doszedł. *K. E.*

---

*Wydanie zbiorowe wszystkich pism Leopolda Ranke'go. Historia niemiecka w epoce reformacyi przez Leopolda Ranke'go. Wyd. 4te. Ogólnego zbioru dzieł Ranke'go. T. I. Lipsk. 1867. Nakładem Duncker'a i Humblot'a. str. X, 350. (Deutsche Geschichte im Zeitalter der Reformation).*

W miesiącu lutym r. b. obchodził Leopold Ranke, professor przy uniwersytecie berlińskim i historyograf pruski 50-letnią rocznicę swojej doktoryzacyi. Król pruski udzielił zasłużonemu profesorowi dyplom szlachectwa; liczni jego uczniowie, rozproszeni po całej Europie, ofiarowali mu przy tej sposobności treściwy adres; studenci uniwersytetu wiedeńskiego złożyli mu hołd bardzo charakterystyczny, bo w liście swoim położyli nacisk na naukę historyi, jako na jedną z tych dyscyplin, które nosząc piętno uniwersalności nie pozwalają się zaprzędz w pęta żadnej fakcyi, żadnej intrygi; ale pracują wytrwale na drodze postępu i cywilizacyi wszystkich narodów, urzeczywistniając ideę coraz energiczniejszego postępu ludzkości. Obok tych manifestacyj świata uczonego podjęli nakładzcy dzieł Ranke'go, pp. *Duncker*

i *Humblot* myśl bardzo szczęśliwą i dla miłośników dziejów bardzo pożądaną; myśl zbiorowego wydania wszystkich dotychczasowych prac Ranke'go, z pomiędzy których bardzo wiele ważnych krytycznych rozpraw skryło się przed oczami większej publiczności w nader kosztownych publikacjach akademii i po różnych czasopiśmiech, jak np. o *Annalith* z epoki frankońskiej, o Don Karlosie, o Wallenszteinie i t. p. Zbiór ten tak pożądaną czyni jeszcze kosztowniejszą tą okoliczność, że prof. Ranke dostarcza do tego zbioru jeszcze kilka nowych, drukiem dotąd nieogłoszonych prac bardzo ciekawych i dla nauk historycznych nadzwyczaj ważnych, tak że rozpoczęta już publikacja zajmować będzie następujące utwory Ranke'go:

1) *Historiją niemiecką w wieku reformacyi* (wydanie pomnożone, wraz z ostatnim tomem dokumentów, który przy innych edycjach zwykle opuszczano). Tomów 6. Dzieło to znane jest publiczności polskiej w głównych ustępach; ale mało kto wie o tém, ponieważ Michał Wiszniewski, znany autor *Historji literatury polskiej*, tłumacząc żywcem całe ustępy z Ranke'go, czarował czytelnika obszernym poglądem na epokę reformacyi, ale nie powiedział wyraźnie, że przemawia słowy Ranke'go. Wszystkie przygody Lutra Marcina i jego rodziny, matki noszącej na plecach drzewo wiązkami, są żywcem wzięte od Ranke'go, niby dla efektu, boć do *historji literatury* należeć to w żaden sposób nie może, jeśli z naukowego stanowiska na przedmiot zapatrywać się zechcemy. Literacka wartość tego dzieła polega na tém, że Ranke daleki od zwykłej ociężałości erudycyi niemieckiej, bada gruntownie swój przedmiot; ale nie popisuje się z wszystkimi pracami przygotowawczymi, tylko podaje rezultaty swoich poszukiwań w udatnej, wdzięcznej, gładkiej formie; w języku jasnym, potoczystym, w obrazach wyraźnych, które nietylko fantazyą zabawią, jak większa część dzieł francuzkich, ale i do myślenia pobudzą. Pod względem naukowym zaś różni się L. Ranke przez to od swoich poprzedników, że nie uważa spraw religijnych w oderwaniu od reszty interesów; ale łączy je organicznie z wszystkimi sprawami narodowemi, ucząc, że dzieło reformacyi nie jest dziełem li tylko opozycyi religijnej, kościelnej, ale w wysokim stopniu dziełem narodowem, pragnącym oswobodzić naród niemiecki od zwierzchnictwa obcego interesom niemieckim Rzymu.

Ze względu na *historiją polską* najważniejsze są okoliczności towarzyszące szerzeniu się reformacyi w Prusiech.

W obszernym wstępie rozbiera Ranke koleje organicznego formowania się narodowości niemieckiej, i objaśnia najważniejsze instytucje polityczne Niemiec; w dodatku zaś znajdujemy poszukiwania krytyczne nad ważniejszymi spornymi kwestyami. Najnowsze wydanie odznacza się wielką starannością, żałować tylko trzeba, że nakładcy nie uprosili sobie którego z młodszych uczonych, którego z uczniów Rankego, aby sprowadził cytacje źródeł, przez Ranke'go w r. 1839 ze starych publikacyj powoływane, do wydań nowszych, daleko przystępniejszych i krytyczniejszych. Nie warto dzisiaj szukać kroniki Lamberta w zbiorze Pistorjusza, skoro ją mamy daleko krytyczniej wydaną u *Pertza*, *Monumenta historica germanica*. S. S. T. V. Tyle o historii reformacyi. Dalsze tomy ogólnego zbioru zawierać będą:

2) *Rozprawy krytyczne, odnoszące się do historii niemieckiej*. T. I. Powiększłej części będą to rzeczy dotąd jeszcze nie drukowane.

3) *Historja angielska*. Tomów 7.

4) *Historja pruska* w 9-iu księgach. Tomów 3. Jestto obok rewolucyi serbskiej najślabsze dzieło L. Ranke'go, dlatego z zadowoleniem nadmieniamy, że dzieło niniejsze wyjdzie w tym zbiorze poprawione i znacznie pomnożone.

5) *Rozprawy odnoszące się do historii pruskiej*. T. I. Nie-drukowane jeszcze dotychczas.

6) *Rewolucja serbska*. T. I.

7) *Narody romańskie i germańskie*.

8) *Nowsi historycy i krytycy* (między innymi: o Macchiavellim, Sarpim, Fuggerze, Steidame, Guicciardini'm, Zurycie, Comines, Bellay i w. i.).

przejrane i poprawione przez autora, który od r. 1824 znalazł wiele nowego materiału do uzupełnienia swoich pierwotnych poszukiwań. T. I.

9) *Spisek przeciwko Wenecyi* i wiele innych rozpraw, odnoszących się do dziejów weneckich, po większej części dotąd nigdzie jeszcze nie drukowanych. T. I.

10) *Poezja włoska*. T. I.

11) *Historja Francyi*, mianowicie w wieku XVI i XVII. T. 5. Dzieło to, używające wielkiej powagi we Francyi, jest tłumaczone na język francuzki. Zagorzalcy niemieccy gniewają się bardzo na Ranke'go, że ten przyznał narodowi francuzkiemu wszystko to, na co sobie Francuzi zasłużyli w dziejach ludzkości: epoka Ludwika XIV wystawiona z całą świetnością.

12) *Książęta i narody Europy południowej*. Oddział I. Osmanowie. Monarchia hiszpańska. T. I. Dzieło to zwróciło po

pierwszy raz uwagę uczonych na ogromną wartość historyczną takich dokumentów jak instrukcye i relacye nuncyuszów i legatów papieżkich, tudzież posłów rzeczypospolitej weneckiej. Wsparty na tych obfitych źródłowych materiałach, noszących do pewnego stopnia charakter dokumentów urzędowych, odsłonił nam Ranke zupełnie nowy widok dziejów nowszych. Dawniej powoływano się także na pojedyncze tego rodzaju źródła; ale w tém wszystkiém nie było systemu, nie było metodologicznej zgody pomiędzy temi officyalnemi sprawozdaniami a świadectwami historyków współczesnych.

13) *Pisma historyczno-polityczne*, po większej części jeszcze nigdzie nie drukowane. T. I. Tom ten może być bardzo ciekawy, ponieważ Ranke'go zdania zasięgali różni monarchowie w ważniejszych chwilach komplikacyj europejskich, jak tego dowodzi: „Memoryał Ranke'go przedstawiony Wilhelnowi IV królowi pruskiemu, w lipcu r. 1854” z powodu kwestyi wschodniej (Zur orientalischen Frage. Gutachten im Juli 1854. Sr. Majestaet Koenig Friedrich Wilhelm IV. vorgetragen) oddrukowany w czasopiśmie historyczném Sybla (Historische Zeitschrift von H. v. Sybel. München. 1865. T. 13. pg. 426—433).

14) *Książęta i narody Europy południowej*. Oddział II. Papieże rzymscy. T. 3. Chociaż dzieło to figuruje na *indexie* dla swojego protestanckiego stanowiska, to Ranke'mu należy się ta pochwała, że pióro jego należy do nadzwyczaj małej liczby tych piór protestanckich, które nie zieją jadem nienawiści przeciwko papieżtwu, które tendencyjnie nie obrzucają błotem kalumnii osób, zasiadających na Stolicy Apostolskiej.

Pod względem naukowym ma to dzieło największą wartość dla gruntownych studyi na polu organizacyi władz administracyjnych i finansowych Państwa Kościelnego w wieku XVI i XVII.

Dzieło to tłumaczone na język angielski i francuzki używa w całej Europie wielkiej powagi. B. Macaulay poświęcił mu jeden ze swoich genialnych *Essays*.

Historya papieżów zamyka to zbiorowe wydanie dzieł Ranke'go. Rocznie wyjdzie 4 do 6 tomów, 20—25 arkuszy druku, po cenie subskrypcyjnej 1 talar 15 srebrnych groszy za 1 tom.

Treść, jak się z powyższego sprawozdania pokazuje, bardzo obfita i wielostronna; łatwy, chociaż bardzo gruntowny sposób przedstawiania rzeczy, pogląd uniwersalno-historyczny, to są główne zalety, które najwięcej zniewalają czytelników dzieł Ranke'go. Delikatny, powiedziałbym prawie ceremonialny sposób

przedstawiania choćby najjaskrawszego wypadku podnieca furją jego zawistnych nieprzyjaciół, którzy nie słysząc z ust jego drastycznych, śmiałych, wolno-myślnych, opozycyjnych deklamacyi Schlosserów i Rottecków nie tykają wprawdzie naukowej strony dzieła, ale pomawiają autora o brak odwagi, o schlebianie przezmożnym potencyom. Podejrzliwość taka, tchnąca duchem fakcyjnej tendencyi jest bezzasadną: żaden historyk, oceniający sprawiedliwie godność swojej nauki, nie będzie się piął na stanowisko sędziego, potępiającego bezwzględnie przeciwne opinie: jego zadaniem jest wyjaśnić ich historyczne znaczenie, odsłonić ich naturę. Odpowiednie słowa jednego ze starożytnych pisarzy (Pliniusza) dobitniej myśl naszą podadzą: „Res ardua, vetustis novitatem dare, novis auctoritatem, obsoletis nitorem, obscuris lucem, fastiditis gratiam, dubiis fidem, omnibus vero naturam, et naturae suae omnia.”

*Plebański.*



## ROZMAIŃCIE.

---

### *Kilka słów o podaniach z okolic Tykocina.*

Każda strona kraju, każda okolica i wioska ma swoje podania: jedne z nich krążą po całym kraju, są więc powszechne, mówią często o postaciach mytycznych lub historycznych, brzmi w nich (czasem) głęboka wiara w gusa, a czasy pogańskie w których dużo tych podań ma swój początek, przebijają się niekiedy widocznie i dla badacza wielce ciekawy stanowią materiał. Bo gdzieś odgrzebywać iskry wyłałego ogniska, jeżeli nie w jego popiołach; gdzieś szukać tajników zamierzonego życia praocjów, o którym tak nie wiele mówią źródła piśmienne, jeżeli nie w obrzędach, nie w ustach zgrzybiałego, wspartego na kiju starca, co przy ognisku domowym gwarzy różne powieści z dawnych czasów: bo starcy opowiadali zawsze młodemu, ci znowu zestarzawszy się w serca i pamięć wnuków przedziergali złotą, często tysiącletnią nić tradycji.

Wiele podań przywiązanych jest do szczególnych miejsc; podania takie krążą najczęściej tylko po okolicy, w której te miejsca się znajdują: niekiedy nawet w jednej zaledwie wiosce są podania znane, bo różne wydarzenia tylko jej mieszkańców dotyczyć mogły. Mieszkańcy ci więc przechowują je w pamięci a przechowują dopóty, dopóki zgou wielu pokoleń, oddalenie epoki i inne zmiany, nie zatrą tego, co było przedmiotem tylu wieczornych gawęd, a ze śmiercią kilku starców zdawało się potowarzyszyć im do cichłej mogiły.

Nie będziemy tu wcale mówić o koniecznej potrzebie spisania ważniejszych podań, by je tym sposobem uchronić od wiecznego zapomnienia; przytoczymy tu tylko kilka podań, które pomiędzy wielą innymi, słyszeliśmy w stronach północnego Podlasia i Mazowsza nad Narwią, w okolicy gdzie leżą miasta Wizna, Tykocin, Białystok i Suraz. Podania które obecnie przytoczymy, odnoszą się powiększej części do pewnych stałych miejsc, są więc niejako własnością tamtej okolicy (1).

(1) W tomie 2 Bibl. Warsz. r. b. umieszczony był nasz opis niektórych obrzędów rolniczych z tamtych okolic.



Wśród lasu należącego do dóbr Szelańcówki, zwanych kluczem Zakątkowskim, w powiecie Białostockim, o pięć wiorst od Szelańcówki i m. Tykocina, o trzy zaś od rz. Narwi, przy drodze do wsi Słomianki, stoi parowiekowy dąb zowiący się w całej okolicy *Cyganem*; do dębu tego, takie jest przywiązane podanie:

Dawno temu, bo nikt ze starców pamięcią tego nie sięga a tylko jako opowieść od dziadów swych słyszano, w lasach tutejszych i przyległych im nieprzebranych bagnach, między rzekami Narwią i Biebrzą szeroko się ciągnących, miała swoje gniazdo liczna banda Cyganów. Rozległe błota, lasy i nieprzystępne położenie miejscowości, dawało bezpieczny przytułek ludziom, którzy tam uzuchwaleni, zapominając o gościnności znalezionej na tej ziemi, zbrojnie napadali w okolicy na przejeżdżających, a kradzieżami i rabunkami stali się postrachem i klóską sąsiednich i dalszych mieszkańców. Wtedy niejaki pan Włoddek, zamieszkały w pobliskiej wsi Łazy nad Narwią, na czele zbrojnych swych sług i może sąsiadów, celem położenia kresu wielkim nadużyciom, a zapewne i powetowania własnych krzywd, ruszył w miejsce gdzie Cyganie obozowali: byłoby właśnie przy wzmiankowanym dębie.

Z Cyganami trzeba było mieć potyczkę, zbrojni bowiem i zapewne nie mniejsi w liczbie, stawili opór. W natarciu i bitwie Cyganie zostali przez Włodkaka pokonani, który zaraz na miejscu miał kazać trzech głównych rabusiów i hersztów powiesić na konarach dębu, przezwanego od tego czasu Cyganem. Cyganem zowią dzisiaj i całą miejscowość, w której dąb się znajduje, a postawione w r. 1862. w pobliżu domy dla służby leśnej, zowią *u Cygana*. Podanie powyższe o ile mamy pewne świadectwa, odnosi się do pierwszej połowy zeszłego stulecia.

Dawne Województwo Podlaskie, w którego skład wchodziła niegdyś okolica niniejsza, było przez kilka wieków (1) niejako przytułkiem licznych Cyganów koczujących i zajmujących się częściowo rzemiosłami, dopóki większa ich połowa w ostatnich latach zeszłego stulecia, skutkiem niesprzyjających im przepisów miejscowych, nie wywędrowała z kraju w granice Turcji i Austrii (2).

Gdy jeszcze w XVI wieku zapadały różne ustawy krajowe przeciwko Cyganom, z kradzieży popolicie się utrzymującym i nienawidzącym pracy, Województwo Podlaskie zapewne mając wielu z nich niezłych rzemieślników, wyjednało sobie w r. 1607, łagodniejszą konstytucję (3) względem tych azyatyckich przybyszów.

(1) Przybycie licznych band Cyganów z Azji do Polski, miało mieć miejsce w pierwszej połowie XV wieku, ojczyzną ich pierwotną były Indie Wschodnie.

(2) Na trakcie z Białegostoku do Bielska (gub. Grodzieńska), znajduje się wicé zamieszkała przez osiadłych Cyganów.

(3) Cygani K. Wl. W. Encykl. Powsz. t. 6. str. 35.

Rzeczą jednak jest naturalną, iż koczującym dziś jeszcze, wołącym w lasach niż w wioskach mieszkać Cyganom, podobały się nieprzebyte (dawniej) błota, bagna i rozległe lasy w widłach rzek Narwi i Biebrzy położone; wśród nich więc bezpieczne założywszy siedlisko, grabieżą zarabiali na utrzymanie swych rodzin, dopóki śmiały Włodek energicznie kresu temu nie położył.

Drugie podanie które poniżej umieszczamy, odnosi się do dawniejszych nieco czasów, sięga ono bowiem połowy XVI wieku.

Nad Narwią o wiorst jedenaście od m. Tykocina ku południo-wschodowi leży wieś Babin, zamieszkała przez zagonową czyli cząstkową szlachtę; otóż jak niesie podanie, przyjeżdżała tędy i *popasała* razu pewnego w Babinie królowa Bona, (w ustach opowiadającego *królowa Boniowa*). Królowa chcąc hojnie obdarzyć jednego ze swoich dworzan oznajmiła, iż da mu tutaj taki obszar ziemi, jaki konno zdoła on objechać (zapewne w oznaczonym czasie). Dworzanin kreśląc granicę darowanej mu przez królową posiadłości, przekroczył między sąsiedniej wsi Rzędzian, zamieszkałej do dziś przez liczną częściową szlachtę Rzędzianów i innych. Szlachta rzędziańska ujrawszy przywłaszczającego ich posiadłość stawiała natychmiast opór dworzanie, który w tym zatargu granicznym, w bóje miał życie utracić. Pochowano go w polu przy granicy, w miejscu gdzie poległ, o czem dowiedziawszy się królowa kazała na grobie umieścić kamień z wykutym krzyżem i jakimiś *literami* które wyzłocono, a kamień miał stać na granicy wsi Rzędzian i Babina. Inny kamień z wykutem krzyżem miał się znajdować na granicy tegoż Babina ze Złotoryą, lecz wrzuconym ma on być od lat wielu w *brodek* czyli błotnisty strumyk na granicy tych wsi się znajdujący, gdzie w wodzie daje się widzieć. Poszukiwania nasze robione na miejscu, okazały iż żaden podobny pierwszemu kamień, na granicy Rzędzian i Babina się nie znajduje; pokazano nam tylko niedaleko granicy z wsią Radule, pionowo osadzony niewielki głaz z niezręcznie wykutymi dwoma znakami w kształcie krzyżów. Lud upatruje jeszcze trzeci znak podobny i zowie ten kamień *z trzema krzyżami*; nie jesteśmy jednak przekonani, czy znaki te różnej wielkości i nie symetrycznego położenia mają oznaczać dzisiejsze nasze krzyże. Kamień ten nie bez pewnych także podań (których nie przytaczamy), był może znakiem granicznym między dwoma wsiami które pod jednym mianem Rzędzian istniały: że zaś dziś jedna została tylko i grunta do jednej należą, więc i granicy tej niema, głaz tylko gdzie była sterczy. Co do kamieni z wykutymi znakami krzyża znajdujących niekiedy, powiemy, iż w czasach gdzie nieznano map i pomiarów gruntowych, zapobiegając naruszaniu granic (1) umieszczano na nich głazy z wykutym znakiem świę-

(1) Jakkolwiek zdarzały się u nas czasami zabory i naruszanie granic, głębokie jednak przeświadczenie prawa własności było w narodzie, i z tego powodu naruszanie granic więcój u nas, niż gdzieindziej robiło hałas.

tego krzyża, uświęcano je niejako tym sposobem. Nie należy przecież wszystkie kamienie podobne jako tylko graniczne uważać, znaki bowiem krzyża nietylko na granicznych znaleźć się mogą, bo i u naszych pogan znak ten nie był obcym, rozumie się nie w znaczeniu chrześcijańskiego godła. Kamień wcale może nie graniczny z wykutym regularnie krzyżem (w kształcie orderowego) i półksiężycem, pod spodem w podobieństwie do jednego z herbów, jest osadzony pionowo pod wsią Płonka, przy drodze około mostu.

W podaniu powyżej wymienionem, oprócz fantastycznego sposobu darowania ziemi, której ilość przez objechanie miała być naznaczoną, w czem lud chciał hojność królowej wystawić, (a co na pozór jest niby podobnem do założenia starożytnej Kartaginy), przechowała się pamięć królowej Bony, która mając na Mazowszu, Podlasiu i Litwie ogromne posiadłości, nawiedzała powyższą okolicę, jużto jadąc z Mazowsza do dalszych dóbr jak Grodna, Mostów, Narwi, i t. d., już do dóbr w tejsze okolicy, jak Tykocin, Dobrzyń, Bielsk, Brańsk i Suraz.

Pod względem kolonizacyi, Bona znakomite przyniosła Polsce usługi (1), posiadając wielkie, niezaludnione przestrzenie pod lasami i zaroślami, osadzała rolników aby je zaludnili.

Bez wątpienia więc, podanie o tém darowaniu dworzaniinowi przez królowę pewnej przestrzeni ziemi, jest oparte na rzeczywistym jakimś fakcie; kierunek granic (2), i inne świadectwa jakie mamy dowodzą także, iż grunta dzisiejszej wsi Babin, musiały niegdyś do dobr Tykocina należeć, które były własnością królowej a tylko zapewne darowizną (jak podanie niesie) dworzaniinowi oddzielone zostały (3).

Podanie które obecnie przytoczymy, odnosi się do źródeł w majątności Mężeninie znajdujących się. Przez Mężenin szedł dawniej trakt zwany Tykocińskim lub *Tykockim* (4), będący główną komunikacją przez wiele lat między Koroną i Litwą; król Zygmunt August jeździł tedy często do ulubionego Knyszyna dziesięć wiorst za Tykocinem położonego, gdzie nawet umarł. Król ten przejeżdżając przez Mężenin, miał zawsze ze źródeł tutejszych pić wodę (dziś odznaczającą się również rzadką dobrocią) a nawet gdy bawił w Knyszynie, miano mu z Mężenina jakkolwiek mil cztery i pół oddalonego, wodę dostarczać do picia.

(1) Bona Jul. Bart. Enoykl. Pow. t. 3, str. 206.

(2) Kierunek granic często przez wieki nie zmieniających się, może nieraz rzucić światło na pewne kwestye i tutaj podobny zaszedł przypadek.

(3) Babin należy dziś do kilku rodzin Babińskich i Stypułkowskich: pierwsi jak się zdaje pochodzą od pierwotnie obdarowanych właścicieli przez królowę, którzy od miejscowości noszącej starą nazwę *Babin*, nazwali się Babińskimi.

(4) Okolica na północ od m. Tykocina, zwała się nawet urzędownie *Traktem Zatykocim*.

Podanie to (prawdopodobne), że śmiercią paru sędziwych osób od których je słyszeliśmy, zagięło już zupełnie w ustach dzisiejszych mieszkańców Męzenina, codziennie pijących cenioną tyle niegdyś przez króla wodę. Jeżeli podanie to, tak niewiele mające znaczenia z zapomnienia uratowaliśmy, to jakże należy ubolewać że tyle szacowniejszych starożytnych podań, w różnych stronach idzie w niepamięć z dniem każdym ze śmiercią starców.

Podanie które teraz wymienimy, jest cząstką owej tak trwałej pamięci w całym kraju o czarnoksiężniku Twardowskim co *duszę djabłu zaprzedał*. Podanie to o ile odnosi się do samego Twardowskiego, o tyle należy do podań ogólnych, powszechnych, o ile zaś tyczy się pewnego miejsca, o tyle jest miejscowem, własnością okolicy. Otóż podanie mówi, iż Twardowski aby zyskać sobie we wszystkim pomoc djabła, duszę swoją mu za to zaprzedał i wydał djabłu na nią *cerograf*.

O pół mili od m. Knyszyna, znajduje się staw olbrzymi, bo czterdzieści osiem włók obszaru mający, zwany *Czechowskim stawem* lub *Czechowizną*; staw ten nie zdaje się być cały kopanym, ale nazwać go można raczej zalewem rzeczki Neresli, której odpływ wody potrafiono utrudnić tak, że utworzył się rodzaj olbrzymiego stawu, bo też i każdy prawie staw czemże jest jeżeli nie *zastawieniem*, powstrzymaniem zwykłego odpływu wody źródła lub strumienia. Jency wojenni w wielkiej liczbie za Zygmunta Augusta, mieli podobno być użyeci przy urządzeniu tego stawu, który zapewne na stół królewski, w Knyszynie (1) przeznaczonym był ryb dostarczać a dzisiaj jeszcze wielkością i ilością ryb słynie. Lud jednak zapewne uderzony niegdyś nadzwyczajną szybkością z jaką ogromny staw musiał powstać przy zatrzymaniu wód rzeki Neresli, przypisał w tem udział djabła i do dziś jako podanie z wielką wiarą powtarza, iż Twardowski założywszy się z kimś, że w przeciągu jednej nocy ogromny staw wykopie, żądał tego od djabła któremu duszę zaprzedał, i rzeczywiście djabli ku podziwieniu całej okolicy, w przeciągu nocy wśród lasów, niezmierny staw wykopali i wodą napelnili. Rozgłos pomiędzy ludem o Twardowskim, nie jako o czarnoksiężniku lecz jako o człowieku który duszę djabłu zaprzedał, różne rzeczy djabłem uskutecznił, był tak wielkim, iż nie było w całej dawniej Polsce strzechy, pod którąby wiele o Twardowskim nie mowiono, a lubo trzy blisko wieki już mija, komuż jeszcze nie są znane te jego

(1) Zygmunt August często tu przebywał, już to z Barbarą Radziwiłówną, już z Katarzyną córką Ferdynanda I, już wreszcie sam; mieszkanie królewskie stanowił zamek, po którym jako też i po wielkich parkach i sadach, tylko podania w ustach siwowłosych starców pozostały. Wielki Jan Zamojski będąc za Stefana Batorego starostą knyszynskim, mieszkał tu w roku 1580.

zajścia z djablem, wykrety w których biesa okpiwał, komuż wrzeszcze nie jest znana *pani Twardowska*.

Do podań ogólnych w pomienionej okolicy, należy po części i podanie o djable Borucie; dziś już może się ono wydawać nie jednemu mieszkańcowi nawet stron tamtych niezrozumiałem, od lat bowiem kilkudziesięciu, mianowicie od czasu wojen francuzkich pan Boruta jak go nazywano, wiele stracił na swym rozgłosie, przestano prawie zupełnie powtarzać o psotach, które w Tykocinie, Hodyszewie, Brańsku i w całej okolicy i na całym Podlasiu przed laty płatał.

Na sejmikach w „grodzie Brańskim” Boruta waśnił sejmikującą częstkową szlachtę, od przeprawy wszakże jaką miał z p. Benedyktem Kapicą urzędnikiem grodowym, unikał już podobnych zebrań, zniknąwszy w najgorętszej chwili w tój aferze na Brzeźnickich piaskach za miastem, usłyszano tylko w powietrzu *Borruta* (1).

Jeden z sądziwych obywateli tej okolicy, spisaniem wielu podań i szczegółów o Borucie podlaskim, zrobił przysługę ocalając tych kilka starych gawęd.

Zastępuje tu na uwagę starożytny przesąd a dziś niejako podanie, jakoby dawniej pod niektórymi miastami w tej okolicy istniały *tyse góry*, na których co tydzień w nocy z czwartku na piątek, czarownice miały sprosne sehadzki i *biesiady* z djablami; jedna z takich gór pod nazwiskiem *góry końskiej*, ma się znajdować w lasach za m. Siemiatyczami na Podlasiu. Wiara w czary dziś jeszcze tak silna u pospólstwa była niegdyś powszechną: podanie jedno mówi, iż przed wielu laty w którymś mieście ukarano młodą niewiastę, która usiadłszy pod drzewem miała zrywać i skręcać liście, a rzucony każdy taki listek natychmiast w *mysz* się zamieniał, z czego taka ich ilość miała powstać, że zboża na polu i w *gumnach* czyli stodołach zjedzone zostały (2), co było przyczyną wielkiego głodu.

Wojny szwedzkie straszne mi swemi klęskami przez wiele lat kraj pustoszące, którego mieszkańcy nieraz w lasach tylko z częścią swego mienia życie ratowali, na wieki utrwaliły się

(1) Niech kto nie sądzi, że baśnie o Borucie na Podlasiu są odgłosem lub powtórzeniem szerokiej sławy Boruty Ięzycznego, lud bowiem djabłu nadaje jedne w całym kraju nazwiska. Boruta np. znanym jest powszechnie, przybiera niekiedy na Podlasiu jak i w innych stronach nazwę Rokickiego, Wierzbickiego, Łozińskiego i t. p. od wierzb i zarośli, w których ma przesiadywać, by straszyc i błąkać po drogach ludzi.

(2) Przed kilką laty jeszcze, mówiono nam o żyjącej we wsi Kowalewsczyźnie kobiecie, *naprowadzającej* na każdego coby jęj czegoś odmówił, *myszy*, które odzienie, żywność lub zboże mu zjadły; mówili nam i ręczyli tacy co mieli tego doświadczać.

w pamięci ludu, w jego podaniach, o nich jako o najcięższych czasach lud wspomina, wszelkie mogiły, wały, usypy i t. p. z nierównie dawniejszych epok pochodzące. jak np. okopy a raczej grody pod Tykocinem, wsią Gródzkiemi i inne szwedzkiemi nazywa, a chcąc starożytność czego wyrazić, mówi że to było *jeszcze za Szwedów*.

W okolicy naszej jest podanie, jakoby ciernie czyli jak lud nazywa *tarki*, *ciarki*, Szwedzi z sobą zaplenili, że ich przedtem nikt nie znał, dopiero gdzie Szwedzi przeszli, wszystko z ziemią zrównali, tam porastały tylko ciernie. Poezya i żywość wyobraźni jaka mimowoli stała się może podstawą tego podania, czyż nie jest godną uwagi? Na gruntach Kurowa i Kowalewskiej pokazują jeszcze dotąd stanowiska rycerzy polskich i Szwedów, a mogiła tamże znajdująca się nazywana *mogilą szweda*, ma w sobie kryć zwłoki jakiegoś wyższego stopnia oficera, podobno pułkownika, który miał zginąć od armaty polskiej na wzgórzu, gdzie dziś młyn wietrzny czyli *wiatrak* na Kurowie stojący. W mogile tej leżącej (jak mówią, w miejscu gdzie Szwed poległ), na środku szerokiego gościńca, robiliśmy poszukiwania: znalezione były skielec mężczyzny średniego wieku i wzrostu, tudzież w nogach kilka grubych czerwonych skorup z glinianego naczynia (miski) nie pasujących do siebie, zwłoki na południe głową były obrócone.

Wiele jeszcze podań o Szwedach dochowywa się w okolicach Tykocina, nie będziemy tu wszakże ich wyliczać, ani zastanawiać się nad obrotami i potyczkami Szwedów z rycerstwem polskim w tej okolicy, nad obroną i poddaniem przez Szwedów zamku tykocińskiego, lubo i o tem są pewne podania. Lud przechowuje tu jeszcze (szczególniej zagonowa szlachta) żywą pamięć o Stefanie Czarnieckim, przyczynia się do tego nie wątpliwie posąg tego męża na rynku w Tykocinie stojący, a w niejasnych podaniach powikłały się wielkie zwycięstwa Czarnieckiego nad Szwedami w innych stronach odniesione, z mniej znacznemi potyczkami w Tykocińskiem, w których Czarniecki weale udziału nie miał. Opowiadają np. między wielą innemi, iż podczas straszego najazdu Szwedów, gdy ci cały kraj prawie zburzyli, gdy okrucieństwa czyli jak lud nazywa *pomsta* (1) doszła do tego, że kobiety zarówno z mężczyznami męczono, znalazł się wtedy *wielki wojownik Czarniecki*, co wszystkich od Szwedów oswobodził, pokonawszy ich moc i potęgę, pokonał zaś męztwem a więcej jeszcze sztucznemi sposobami których miał używać. Dwie np. wielkie kule armatnie połączone z sobą długim łańcuchem, jednocześnie z dwóch oddalonych od siebie armat wystrzeliwać kazał na nie-

(1) Łagodnym i nie barbarzyńskim musiał być ten lud, co okrucieństwo tylko jedynie w razie zemsty pojmował i ząd wyrazem *pomsta* je nazwał.

przyjaciela, którego całe kolumny łańcuch zmiatał z kretesem. Gdy Czarniecki z garstką ludzi był przez wielką moc Szwedów obleżonym w Tykocinie, postanowił z wroźby dowiedzieć się, w którą stronę ma z miasta uderzyć na nieprzyjaciela, aby wojsko swe ocalić i wyjść zwycięzko.

Z samego wiec środka rynku miejskiego puszczono *czarną swinię*, a w stronę w którą ta wyrwawszy się pobiegła, uderzył ze swymi Czarniecki i Szwedów pokonał.

Pomeważ Czarniecki nie był nigdy obleganym w Tykocinie, a tylko Szwedzi w liczbie pięciuset w zamku warownym nad Narwią uparciu bronili się Pawłowi Sapiesze h. w. lit. i Winc. Gąsiewskiemu p. h. być więc może, że podanie o tej wroźbie mogło być pierwotnie jaką bajką o Szwedach, którzy i z Karolem XII powtórnie Tykocin nawiedzali. Lud utrzymuje, iż w bliskości okopów pod Tykocinem zwanych zameczyskami, (które bynajmniej nie są szwedzkimi jak lud mniema, bo starożytnych jeszcze sięgają czasów), Czarniecki ukazywał się niegdyś przejeżdżającym w nocy starą do Tykocina drogą, miał on chodzić po gościńcu z księgą rozwartą w rękę, w ubiorze w jakim na pomniku jest wystawionym.

Pomnik ten Czarnieckiego, tyle tu o mężu tym i jego bitwach podań, nasuwa błędną ludowi myśl, jakoby i ciało jego zapewne tu gdzieś spoczywało. co dało może początek powyższej bajce.

We wsi Zawady niedaleko dworu, jest jeszcze kępa czyli wyspa utworzona dwiema odnogami rzeczki Sliny, nazywana *altaną Czarnieckiego*; inne podanie prawdziwsze dziś już prawie zaginione, mówiło o mającym się niegdyś znajdować na tej wyspie, zamku książąt Mazowieckich.

Kilka tych podań któreśmy tu przywiedli, stanowią małą zaledwie cząstkę wielkiej ich liczby, jaką w okolicy naszej znaleźliśmy w ustach jej mieszkańców, do bardzo wielu bowiem miejscowości, jak się przy mozolném śledzeniu pokazało, przywiązane są różne podania, niekiedy już nawet w sprzeczności z sobą zostające. W jednej wsi Złotoryi nad Narwią, jest może kilkadziesiąt podań przywiązanych do różnych miejsc tamże; pomiędzy innemi takie np. krąży podanie o głębokiej toni zwanéj *Snycerzową jamą*, leżącey w Narwi naprzeciwko części wsi Złotoryi, zowiącej się *Zachami*. Przed wielą laty jeden z miejscowych włościan był *snycerzem*, miał on biegle wyrabiać różne figury z drzewa i kamienia; *hetman Braniccki* do którego Złotorya należała zajął się tym *snycerzem*, (wedle papierów jakie mamy, Braniccki zwolnił zupełnie od pańszczyzny należnej dworowi złotoryjskiemu „ojca dwóch *snycerzów*,” około r. 1740, z czego widzimy że dwóch było braci włościan *snycerzami*). *Snycerz* wedle podania miał utonąć na głębini, którą do dziś lud nazywa *snycerzową jamą*, w lat wiele po tym wypalku miano tylko znaleźć na dnie w tém miejscu, jakieś narzędzia *snycerskie*.

Wieleż to znówu jest różnych podań, baśni i przesądów o topielcach, duchach i różnych dziwach podwodnych u ludu nad samą Narwią zamieszkałego. Z podań podobnych i przesądów możnaby osobną księgę utworzyć, nie miejsce więc tu je wyliczać; wiele zresztą z nich mało się różni od siebie, bo jedna głęboka wiara w świat duchów, w świat zjawisk i sił tajemniczych, mająca jeszcze w pogaństwie swój początek, stała się podstawą niejako wszystkich tych podań i przesądów.

Wspominamy tylko tu jeszcze jedno podanie, nie należące już zupełnie do podań czerpanych w okolicy naszej, ale jako dość dla badaczy ciekawe, zasługuje ono może więcej od tamtych na uwagę i umieszczenie w niniejszym artykule.

O kilka wiorst od m. Wyszkowa (nad rz. Bugiem, pow. Pułtuski), wśród szerokiego pola, stoi ogromna starożytna sosna (dziś nie wiemy czy sosna ta istnieje, lat bowiem kilka, jak przejeżdżaliśmy przez tamte strony); o parowiekowym tém drzewie takie słyszeliśmy podanie. Przed bardzo wielą laty, polem na którem sosna dziś się znajduje, miało dzielić się dwóch ludzi; rozgraniczenia między nich tego pola czyli podział, (zwyczajem może ówczesnym lub zwyczajem przodków) w ten sposób miał być załatwionym. Z rodziny każdego z tych rolników, wybrano najdzielniejszą żniwiarkę czyli *żencę*; gdy nadszedł czas żniwa, dwie dziewoje stanęły jednocześnie na dwóch końcach łanu przeznaczanego do podziału a zasianego zbożem, miały one zaś jeden długi zagon z dwóch końców, zbliżając się tym sposobem ku sobie, w miejscu zaś gdzie się obie spotkają, miano ustanowić wieczystą granicę. Tak więc podział całego pola, miał nastąpić w stosunku do szybkości pracy dwóch dziewoi, tej prawdziwej i tyle cenionej przez lud rolniczy zalety dobrych żniwiarek.

Otóż jedna z tych dwóch, cheiwa jak największego działu pola, choćby z krzywdą strony przeciwniej, do pośpiechu w swęj pracy postanowiła zawezwać pomocy *złego* czyli djabła.

Gdy więc o wschodzie słońca stanęły obiedwie zapaśnice do pracy, zaczęły ściągać zboże ku sobie z dwóch końców łanu: zaletwie dzieweczyna bogobojna, kilka snopków a więc i małą przesterzeń zagonu ściągnąć mogła, gdy druga mająca z djablem do czynienia, ogromną już na długość przebiegła przesterzeń.

Niesprawiedliwość więc w podziale polem stała się widoczną i wielką, lecz nieodwołalną, bo rezultat podziału nie mógł być cofniętym. Krzywdą jednej strony była ogromną, występkiem też będący jej przyczyną, musiał odnieść zasłużoną karę. Żniwiarka która na krzywdę strony przeciwniej użyła pomocy *złego*, w chwili gdy spotkaniem się ze swą współzawodniczką, niesprawiedliwą granicę zakresliła, padła nieżywa na ziemię, gdzie ją następnie jako w miejscu jej zbrodni pogrzebiono. Na grobie grzeszniczki wyrosła znana nam sosna, by przez długie lata świadczyła wielu nowym pokoleniom o strasznej natychmiast odniesionej na miejscu zbrodni karze, za wyrządzoną krzywdę.



Podanie to na dłuższe zasługuje zastanowienie; ten podział pola w stosunku do szybkości pracy, tak prosty a tyle szlachetny i piękny, który może raz ostatni wtedy miał miejsce przed paruset laty, czyż nie jest zabytkiem czasów nierównie dawniejszych, może pogańskich, gdzie więcej ceniono zasługę pracy, niż miarę dotykającą, że tak powiemy pieniężną, gdzie ten więcej dostawał pola, kto pracą więcej go zdobył (1).

Zygmunt Gloger.

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

### WARSZAWA.

— Czerwiec 1867 r. — Wśród ciągłej stagnacyi handlu księgarskiego, o wydawnictwie dzieł nie nie słychać. Wychodzą tylko broszurki małe, po większej części odbitki z rozmaitych pism peryodycznych. Trudno spodziewać się polepszenia dla wydawców i autorów, gdy ciągle zmniejsza się liczba tak kupujących jak i prenumeratorów. Pisma ilustrowane mają tylko lepsze nieco powodzenie, lubo świetnie nie stoją.

— Encyklopedyi powszechnej tom XXV już ukończony w druku i dochodzi do końca prawie sylłaby *Wi*.

— Jedno z najlepszych pism naszych wychodzące we Lwowie pod redakcją Augusta Bielowskiego: *Biblioteka Ossolińskich*, z tomem IX zakończyło życie, dla braku prenumeratorów, jakkolwiek dobozem artykułów stało na czele wszystkich. Smutny to objaw obojętności ogółu dla krajowego piśmiennictwa. Przy ostatnim tomie zaledwie liczyła Biblioteka kilkunastu prenumeratorów.

— Przed dziewięciu blisko laty, paryzki korespondent Gazyety Warszawskiej doniósł o powziętym zamiarze przetłumaczenia dzieł *Kalderona* na język polski. Pracę tę mieli wykonać doświadczeni pisarze znanego talentu, jak Seweryn Goszczyński, Leonard Rettel, Ludwik Nabelak, i Karol Baliński. Ostatni spełniwszy w części swe zadanie przekładem dramatu: „*Kochankowie nieba*,” zakończył życie w Galicyi. Jak się dowiadujemy, zamiar ten

(1) Ile od najdawniejszych czasów był u nas cenionym pośpiech i wyprzedzanie w pracy gospodarskiej, mamy najlepszy dowód przy żniwie, gdzie najlepiej znąca *żnica*, zowie się *postatnicą*, ona może tylko zajmować pierwszy zagon, jej wolno tylko nieść wianek dożynkowy, do niej śpiewają pieśń, w której zowią się jej *czeladką* i t. d. a i *postacianka*, czyli druga znąca najspieszniej po *postatnicy*, ma także pewne względy, (patrz *Bibl. Warsz.* r. 1867. t. 2. *Obrzędy rolnicze*).

piękny na nowo odżył, ale w rozleglejszych rozmiarach, ażeby i innych znakomitych poetów hiszpańskich najpiękniejsze utwory przetłumaczyć. Karól Pieńkowski, *Augustyna Moreta* († 1669 r.) przełożył dramat: *Król, sędzia i rycerz*, (*El valiente justiciero*) i komedję p. n. *Klin klinem* (*El desden con el desden*). Oba te tłumaczenia mają wkrótce ukazać się w pismach naszych peryodycznych.

— Z drukarni Alexandra Ginsa wyszła rozprawa K. Lilpopa p. n. *Mały poradnik dla leczących się wodami mineralnemi*, w których autor rozjaśnia następujące zadania: 1). Czem są wody mineralne? 2). Sposób obejścia się z przesłanemi wodami. 3). Czas picia wód. 4). Przygotowanie do picia wód. 5). Kuracya właściwa. 6). Pokarmy.

— Wyszły w Warszawie następujące nowości: „Prawo Salickie podług tekstu rękopisu Biblioteki Głównej Warszawskiej wydał Romuald Hube.” „O stosunku człowieka do przyrody i nauki, z notat pseudo-literackich, skreślił Roman Bieczyński b. uczeń Wszechnicy Krakowskiej.” „Rybak z Palermo opera w trzech aktach, słowa Jana Chęcińskiego, muzyka Ludwika Grosmana.” „O początku i różnaitości mowy, prelekye profesora J. Papłóńskiego.” „Kobiety, studyum dziejowe, Jana Scherr. I. Aspazyja.” „Rachela Fray powieść osnuta na rzeczywistości przez Julię Kavanach przetłumaczył z angielskiego Józef Grajner.” „Opis fabryki szkła i kryształów na osadzie Czechy, skreślił Adam Wiślicki. (nakład Redakcyi Przeglądu Tygodniowego.” „Dla rolników zbiór ośmdziesiąt kilku różnorodnych rotacyi z uwagami o podniesieniu rolnictwa w 40 ustępach napisanych, wraz z nadmienieniem o nieoszacowanym skarbie wody jako nawóz dla łąk. Wiadomość o pielęgnowaniu jałowic na dobre dojki, i krów do podwyższenia ilości nabiału, przytem pogląd kuchenny o wyżywieniu czeladzi, wszystko z 35 letniego doświadczenia czerpane i ułożone, przez rządę gospodarstwa rolniczego, trudniącego się także irrygacją łąk, Paulina Kochanowskiego.”

— Jeden z najpierwszych i najdawniejszych zakładów fotograficznych w tych czasach zamknięty został. Założył go, rozwinął i postawił na najwyższym stopniu udoskonalenia Julian Beyer, znany archeolog i numizmatyk. Jego staraniem niebacząc że nakład niemały zwróconym nie został, wyszły dwa przepyszne fotograficzne albumy wystawy starożytności w Warszawie i Krakowskiej, jako też zeszyty dopełniające *Gabinet medali polskich* Edwarda Raczyńskiego. Zbiór monet jaki posiada, jest największym i najzupełniejszym ze wszystkich znanych krajowych.

— Rozprawa Józefa Kromera: „*Najcelniejsze filozoficzne nauki o duszy przed sądem krytycznym obecnej nam filozofii*,” któryśmy w naszym piśmie ogłosili, wyszła w oddzielnej odbite.

— Jks. Rektor Jakubowski przeznaczył za dwie najlepsze rozprawy w każdym wydziale Szkoły Głównej dwie nagrody

(500 i 300 złp). Wydział filologiczno-historyczny pierwszą nagrodę przyznał Bronisławowi Ohlebowskiemu studentowi kursu 2go za rozprawę: „O życiu i pismach Samuela ze Skrzypnej Twardowskiego.” drugą zaś Henrykowi Goldberg za rozprawę: „Pierwsze 20 lat panowania Zygmunta Igo.”

— Dnia 5 kwietnia r. b. Rada wydziału filologiczno historycznego Szkoły Głównej Warszawskiej przyznała stopień magistra nauk filologicznych lub nauk filologiczno-historycznych następującym kandydatom. 1). Gilusowi Jerzemu, autorowi rozprawy: „O litewskiej deklinacji.” 2). Lucyjanowi Malinowskiemu za rozprawę: „O nawróceniu Pomorzian w r. 1124 przez Śgo Ottona.” 3). Szymonowi Dankowiczowi autorowi rozprawy: „O wpływie Awesty na kulturę ludów Semnckich.” 4). Roguskiemu Bolesławowi za rozprawę; „O stosunku Rusi Czerwonéj do Polski za czasów Kazimierza Wielkiego.” Wydział matematyczno-fizyczny przyznał studentowi kursu IV tegoż wydziału Gosiewskiemu medal złoty za rozprawę konkursową: „Wykład praw ściągających się do liczby odmiennych wartości, jakie funkcya w ogóle a w szczególności jakie funkcya wymierna i całkowita może przybierać w skutku przedstawień zmiennych do niej wchodzących.”

— Na wystawie sztuk pięknych w Krakowie zwraca uwagę przepyszny gotycki klęcznik z drzewa dębowego, orzechowego, hebanu i kości, wykonany przez rzeźbiarza krakowskiego Józefa Brzostowskiego, ze smakiem artystycznym; pracował nad nim lat kilka: przeznaczonym był na wystawę paryżką, ale dla nieprzyjaznych okoliczności dopiero teraz wykończony, na krajowej wystawie pokazany został.

— Nakładem redakcyi Gazety Rolniczej wyszło dziełko p. u. Prawdziwa historia lat młodych *Antoniego Kostura* z papierów pozostałych po nim, przez *Grzesia z Mogiły* (Juliusza Starkla) wypisana, z XIII drzeworytami. Obejmuje popularny wykład nauk przyrodzonych, gospodarczych i matematycznych w formie opowiadania, przystępnej dla każdego umiającego czytać.

— „*Historya rzymska Momiena*,” w przekładzie T. Dziekońskiego, zeszytami według prospektu wychodzi regularnie nakładem i drukiem J. Ungra.

— *Kraków*. Kwiecień 1867. Wystawa obrazów otwarta, ściągająca coraz więcej i coraz liczniejszą publiczność. Dotąd mały więcej obrazów z zagranicy jak z kraju nadesłanych. Z Düsseldorfu jest 51, z Dreżna 8, z Berlina 5, z Wiednia 3, z Monachium 2, z Amszterdamu 1, z Bruxelli 6 i w. i. Franciszka Kostrzewskiego obraz: „Odpust” ściągają najwięcej publiczności do siebie. Professor Karliński dnia 5 kwietnia w sali Towarzystwa Naukowego Krak. w nadzwyczaj zajmującym odczytciu, jasno przedstawił osiągnięte dopiero w ostatnich czasach zdobycze naukowe co do teoryi „gwiazd spadających.” P. Stanisław Zaranski wydaje tu dalsze tomy: „Dziejów powszechnych” dzieła niemaléj wartości. Dwa tomy ogłoszone obejmują 54 arkuszy ścisłego druku i 15 dziejobrazów

służących do geografii i chronologii: w nich dzieje doprowadzone są do końca XV wieku. Dzieło to zasługuje na krytykę sumienną. Ministerjum stanu przeznaczało 300 złr. na założenie gabinetu przy katedrze archeologii i sztuki średniowiecznej, która niedawno powstała z docentury od lat 5 przy uniwersytecie Jagiellońskim istniejącej. Rzeczona zapomoga oddana do rozporządzenia profesora wspomnianej katedry J. Łepkowskiego, ma być użytą na zakupno odlewów, odcisków, fotografii, rysunków i zabytków starożytności, a lubo dar na założenie bardzo jest skromnym, wszelako spodziewać się należy, że inne muzea tego rodzaju użyczą tutejszemu nowemu gabinetowi przynajmniej podobizn niektórych przedmiotów przez siebie posiadanych, jak niemniej, że osoby prywatne zechcą toż samo uczynić, jeśli nawet nie obdarzą nowego zbioru oryginałami bądź z zwykopalisk, bądź zabytków sztuki. Nowe wyszły dzieła treści naukowej: „Chemia rozbiorowa i jakościowa, przewodnik dla początkujących i zawodowych chemików, aptekarzy, lekarzy, techników i przemysłowców, przez Bogdana Hoffa Magistra Farmacyi i asystenta przy katedrze Chemii C. K. Uniwersytetu Jagiellońskiego, z wieloma drzeworytami i jedną litografią ubarwioną.” „Przyczynek do historyi naturalnej wymoczków. Rozprawa napisana przez Augusta Wrzesniowskiego w celu uzyskania stopnia doktora nauk przyrodzonych. (Jest to odbitka z XXXV tomu rocznika Towarzystwa Naukowego Krakowskiego).” Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych ogłosiło: „Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody przez Dra Karola Müllera, spolszczył Hipolit Witowski Członek Towarzystwa Naukowego Krakow. Tom I, Przygotowanie do podróży. Dwieście drzeworytów w tekście a 4 osobne według H. Lentmana i L. Hofmana.” Nakładem księgarni i wydawnictwa dzieł katolickich W. Wielogłowskiego (zmarłego) i W. Jaworskiego wyszły: 1). Kazania dogmatyczno-moralne na wszystkie uroczystości Najświętszej Maryi Panny przez X. Walentego Szyjewskiego. 2). *Fabjola* powieść z czasów prześladowania Chrześcijan w roku 302, napisana w języku angielskim przez Kardynała Wisemana. (Jest to już trzecie wydanie w polskim przekładzie). Ze wstępu dowiadujemy się że wydawca Wł. Jaworski, oddał już do druku dzieło p. n. *Vivia perpetua* czyli *Zastęp bohaterek Chrześcijańskich III wieku*, pióra znakomitej autorki: „Głosu duszy,” „Pokój, wam,” i w. i.

— We Lwowie utworzyło się towarzystwo Sztuk pięknych. Na ostatniem posiedzeniu 14 b. m. i r. wybrano prezesem hr. Leszka Borkowskiego, wice-prezesem adwokata Rajskiego, dyrektorami p. Kulczyckiego, Starkla, Ujejskiego, Widmana, Teppe i Rejsingera. Projekt nowych statutów, który przyjęto bez rozpraw zawiera polecenie, aby dyrekcya weszła w porozumienie z towarzystwem krakowskiem, celem połączenia obu towarzystw, przez co stanie się zadość powszechnie objawiającemu się życzeniu. Od Towarzystwa więc krakowskiego zależeć teraz głównie będzie,

ażeby połączenie przyszło do skutku, jeżeli zechce uwzględnić warunki, pod jakimi Towarzystwo tutejsze życzy sobie połączenia. Warunek główny, o ile wiadomo, jest obok urządzania wystawy obrazów we Lwowie, aby Towarzystwo tutejsze miało sobie zapewniony wpływ porówny na wybór obrazów przeznaczonych do losowania. Towarzystwo wytknęło sobie za główne zadanie popieranie artystów krajowych tak przez zakupno jak najwięcej swojskich dzieł sztuki, jakoteż przez udzielanie nagród i stypendyi młodzieży kształcącej się w malarstwie, co nawet w nowo ułożonym projekcie stanowczo i wyraźnie jest zastrzeżone. Nakładem Karola Wilda wyszła książka w ozdobnej edycyi z pięciu miedziorytami p. n. *Obłężenie Troi*, opowiadanie z dziejów starożytnych dla młodzieży. Wolny przekład z niemieckiego K. F. Beckera.

— W Pradze Czeskiej, znakomitego dzieła Palackiego: „Dzieje narodu Czeskiego,” wyszedł tom drugi, piątej części.

— Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych w Krakowie donosi, że już są pod prassą dzieła następujące: *Rys dziejów literatury narodów pogańskich* przez Józefa Szujskiego, oraz tom III *Dziejów Polskich* przez Henryka Schmitta.

— Jan Zacharyasiewicz ukończył powieść historyczną p. n. *Marek Poraj*: druk jój wkrótce się rozpocznie w Krakowie.

— W Wrocławiu nakładem Ernesta Günthera, zaczęła wychodzić: *Biblioteka arcydzieł historycznych z obcych języków na polski przelożonych*, wychodzi zeszytami. Otrzymaliśmy poszyt I tomu I: „Dzieje dziesiętnastego stolecia od traktatów Wiedeńskich przez G. G. Gerwinusza, (Tom VIII Rewolucya Lipcowa i jój skutki bezpośrednie). Oraz poszyt I tomu II: „Dzieje narodu czeskiego” przez Franciszka Palackiego. Dział V. Wiek Jagielloński.

— W Chełmnie w Prusach Zachodnich wydany został zbiór poezyi Czesława Lubińskiego p. n. *Wianek z Górnego Śląska*. Oprócz drobniejszych wierszy, są tu legendy ludowe.

— Nakładem księgarni polskiej Adama Dzwonkowskiego wyszedł Noworocznik (kalendarz) *Ilustrowany na rok 1866 i 1867* (Rok szósty i siódmy) ozdobiony na czele wizerunkiem Maryi Ilnickiej, znanj poetki. Na treść tej publikaeyi złożyły się pióra M. Ilnickiej, A. Borkowskiej, Ziemięckiej, J. J. Kraszewskiego, Zmorskiego, Grajnera, Mirona, Gillera, W. Gersona, Józefa Korczaka (Wacława Łuszczewskiego) i w. i.

— Dwa zeszyty wyszły nakładem księgarni Braci Szeifstein dzieła p. n. *Kurs publiczny literatury polskiej w XIX wieku* przez Fryderyka Henryka Lewostama Dr. filoz. profesora zwyczajnego Szkoły Głównej Warszawskiej. Obejmują one pięć prelekeyi. Wydanie okazałe i staranne. Prolekeye te złożą tom spory, albowiem oprócz XX odczytów, autor dopełni go, ażeby obejmował całość obrazu literatury polskiej XIX stolecia. A nie mały zastęp pozostał jeszcze pisarzy, o których niemiał sposobności mówić ze swj katedry.

† Dnia 6 czerwca r. b. umarł w Warszawie Wacław Łuszczewski po długiej i ciężkiej chorobie, współredaktor naszego pisma. Był on synem Jana Pawła ministra spraw wewnętrznych i religijnych za czasów Księztwa Warszawskiego, który się liczył do pierwszych mężów stanu tego okresu. Kiedy objął rządy Księztwa król Saski, Łuszczewski najważniejszą usługę oddał krajowi przez podzielenie go szybkie stosownie do ustawy na departamenta, powiaty i obwody gminne, zaprowadzając porządkny od razu w nich zarząd.

Wacław Józef Łuszczewski urodził się dnia 10 marca 1800 r. w Warszawie, po ukończeniu szkół pijarskich, wyższe nauki pobierał w b. uniwersytecie warszawskim. Od r. 1827 rozpoczął zawód służby publicznej w ministerjum spraw wewnętrznych. W roku 1840 przeszedł do Dyrekcji Ubezpieczeń; w r. 1857 został wydelegowany do Petersburga jako członek komitetu do przejrzenia taryfy celnej dla handlu europejskiego. W roku 1859 mianowany radcą stanu i dyrektorem wydziału przemysłu i handlu, na której to posadzie pozostał do końca 1863 r.

Ś. p. Łuszczewski po utworzeniu Biblioteki Warszawskiej, zaraz przeszedł w grono jej współredaktorów i w pierwszym roku istnienia tego pisma, ogłosił obszerną rozprawę:

„O początkach, naturze i przyszłości Towarzystw Zabezpieczenia od losowych przypadków.” (T. IV. 1841 r. str. 37).

Odtąd drukował w Bibl. Warsz. sprawozdania roczne o *Dzienniku ekonomistów francuzkich*, oraz rozbiory i sprawozdanie o dziełach tak z nauk przyrodzonych jak i ekonomii politycznej.

Oprócz wielu projektów użytecznych dla kraju, które opracował, tak w Dyrekcji Ubezpieczeń, jak Komitecie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, w którym od r. 1832 bez przerwy zasiadał, ogłaszał rozprawy swoje w Rocznikach b. Gospodarstwa Krajowego odznaczające się wysoką wartością. W roku 1866 w wolniejszych chwilach napisał dwie powiastki, z tych pierwsza *Ulyka-Laud* drukowaną jest w Roczniku Ad. Dzwonkowskiego na rok bieżący, drugą *Larai* ogłaszamy w niniejszém piśmie pod imieniem Korezaka.

Nietylko zgasył mąż odznaczał się jako pisarz gruntowny, jako urzędnik sumienny kraju, który pojmował jego potrzeby, jako obywatel prawy, ale przeważnie wpływał na podtrzymywanie życia literackiego, otworzywszy gościnny salon, w którym przez lat dwadzieścia z górną w dniu poniedziałkowe zbierało się zawsze liczne grono całej inntelligencji krajowej.

Gościnność tak zmarłego jak i dostojnej jego małżonki, wabiła wszystkich w te progi, gdzie panowała swoboda bez różnicy stanu i wieku. Tu znajdowali zarówno uprzejme przyjęcie tak z najwyższych warstw społeczności naszej, jak dygnitarze z hierarchii urzędowej, z koła ziemianskiego, jak ludzie pracy i przemysłowcy. Przeważnym jednak w tym salonie gronem byli literaci i artyści. Tu odczytywano najnowsze płody literackie, tu wykonywano znakomite utwory muzyczne i kompozycje nieznanne naszych artystów, połączone ze śpiewem lub deklamacją; tu córka gospodarzy dawała się słyszeć z improwizacyami na podane temata, obudzające podziw ogólny, lub odczytywała wzniosłe twory swego pióra.

Salon ten pozostanie w dziejach literackiego życia i rozwoju, miłą pamiątką a nigdy nie zapomnianą.

† Dnia 16 czerwca r. b. umarł w Warszawie Jan Jakób Szwejniec Dr. filozofii b. professor kursów pedagogicznych w 72 roku życia, który w gronie niemalém uczniów swoich, liczył wielu tak pisarzy dziś głośnego imienia, jak i zasłużonych mężów w obywatelskiem kole. Jako autor zgasy professor oprócz prac w języku łacińskim, w ojczystym wydał: *Historję narodu i państwa rzymskiego w trzech tomach*, (Warszawa 1845—1847 r.), w rękopiśmie pozostawił opracowaną w obszernych rozmiarach *Historję Powszechną*, z których *Dzieje Starożytne* sam zamierzał drukiem ogłosić, K. Wł. W.

## **Korrespondencya.**

Panu Felicyanowi S. w Botwinówce. Artykuł p. n. *O piśmie Wacława Rzewuskiego*, jako nieodpowiedni zadaniu naszego pisma drukowany być nie może.

*Redakcya Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**  
**w Obserwatoryum Astronomiczném**  
**WARSZAWSKIEM.**  
***Maj. 1867.***



Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich  
długość w czasie 1<sup>h</sup>14<sup>m</sup>45<sup>s</sup>,7 czyli w łuku 18°41'25",5

Dnia	Odmiany księżycyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustópniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1	Równ.	745.21	746.13	746.85	748.41	746.650	+10° 2	+12° 8	+15° 5	+11° 6	+12° 53
2		749.14	749.21	747.37	746.88	748.150	10.8	15.9	16.7	13.1	14.13
3		746.33	748.08	750.17	751.41	748.998	12.3	14.6	10.4	8.1	11.35
4	☉.	752.13	753.44	751.02	755.28	753.718	6.8	9.0	9.0	6.5	7.83
5	Perig.	757.40	758.62	758.09	758.41	758.130	3.1	5.4	10.6	7.9	6.75
6		758.95	758.99	758.22	758.56	758.680	6.0	10.6	14.4	10.2	10.30
7		759.19	759.13	757.08	754.84	757.860	8.5	14.4	18.9	13.5	13.83
8		750.23	748.70	748.10	750.08	749.278	11.9	19.4	21.5	13.3	16.53
9		751.53	751.57	750.31	750.92	751.083	5.7	10.5	14.9	7.5	9.65
10	☾.	752.18	752.34	750.51	749.88	751.235	2.7	5.6	10.6	6.7	6.40
11		749.49	748.39	743.45	740.04	745.343	4.1	9.0	13.8	8.1	8.75
12		739.47	741.50	741.26	740.51	740.681	8.7	11.8	18.4	11.9	12.70
13		736.95	735.36	737.14	737.92	736.843	11.8	18.5	21.0	14.8	16.53
14	Równ.	740.95	743.63	745.85	747.17	744.400	11.6	12.9	11.8	5.8	10.53
15		749.12	750.46	750.98	752.71	750.818	2.5	4.4	8.7	3.6	4.80
16		752.76	752.12	749.99	748.52	750.848	4.6	9.8	9.0	7.3	7.68
17		745.62	745.41	745.35	747.37	745.988	6.0	6.9	6.6	4.0	5.88
18	☉.	749.57	750.23	750.33	751.23	750.353	3.3	6.8	9.4	5.8	6.08
19		751.79	752.24	751.53	751.11	751.668	3.1	7.3	10.8	5.6	6.70
20		751.48	750.84	748.21	746.48	749.253	4.1	9.8	13.6	8.3	8.95
21	Apog.	743.53	745.43	740.79	741.08	742.708	8.9	16.3	15.0	10.7	12.73
22		740.04	740.21	742.65	744.69	741.898	11.2	17.7	18.5	11.8	14.80
23		746.77	746.55	743.08	749.35	746.438	7.1	11.0	12.1	12.2	10.60
24		743.75	745.27	746.01	745.29	745.080	6.5	8.2	8.9	5.4	7.25
25		747.05	748.58	751.00	752.04	749.668	3.3	5.3	6.3	4.4	4.83
26	☾.	752.57	752.87	752.74	752.76	752.735	4.6	8.5	9.6	7.3	7.50
27		752.52	752.20	750.84	750.41	751.493	7.6	11.8	17.0	10.4	11.70
28	Równ.	749.25	748.41	749.35	752.86	749.968	12.6	16.9	15.4	12.7	14.40
29		756.50	757.25	757.55	758.19	757.373	11.6	16.3	21.0	14.5	15.85
30		758.65	758.41	756.66	755.58	757.325	13.4	17.7	22.7	15.4	17.30
31		753.90	753.25	750.67	749.68	751.850	16.4	21.9	26.6	21.2	21.53
Śr.		749.484	749.833	749.233	749.663	749.552	+7° 77	+11° 80	+14° 15	+9° 67	+10.85

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",  
na wschód względem południka paryzkiego.

Wilgotność średnia dzienna	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiśle
	6	10	4	10	6	10	4	10	dész.	śniegu	
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.	czu	gu	
77.7	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	Z1.	2.2		7 9
76.3	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	W1.	W.	PnW1.	PdW1.	2.4		8 2
78.9	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Z1.	Z1.	Z1.			9 1
81.8	poch. desz.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	PgZ1.	Z1.	Pn2.	0.9		8 6
73.3	pochm.	pochm.	pogodny	pogodny	Pn1.	Pn1.	Pn1.	Pn1.			8 0
61.6	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW1.	Pn1.	Pn1.	Pn1.			7 10
60.3	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	PdW1.	PdZ1.	PdZ1.	Pd2.			7 7
59.4	pogodny	napół pog.	pogodny	pogodny	Pd1.	Z2.	PnZ1.	Pn1.	0.1		7 4
63.5	pogodny	pogodny	napół poh.	pogodny	Pn1.	PnW1.	Pn1.	PnW1.			7 2
55.6	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	W1.			6 6
78.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdZ1.	PdW1.	W1.	0.2		6 0
86.7	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	Z1.	Pn1.	W1.	0.2		5 8
78.2	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	W1.	Pd1.	PdZ1.	Z1.	0.1		5 4
77.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	Pn2.			5 1
67.1	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	Pn1.	PnW1.	PnW1.			5 1
75.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	PdW1.	W1.	PnW1.	0.1		5 2
88.3	poch. desz.	pochm.	poch. desz.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	PnZ2.			5 5
79.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	Pn2.	PnZ1.	PnZ2.			5 5
68.9	pochm.	napół pog.	napół pog.	pogodny	PnZ1.	Pn1.	Pn1.	PnZ2.			5 8
66.4	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	Z1.	Pd1.	W1.	PdW1.			6 3
75.5	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PdW1.	PdW1.	Pd1.	PdZ1.	7.1		6 6
73.2	pochm.	pochm.	pochm.	pog. z chm.	PdW1.	PdZ2.	PdZ2.	Z1.	1.3		7 4
89.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	PnW1.	PdW1.	W1.	10.5		6 11
80.7	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	PnZ1.	PnZ2.	0.1		6 4
80.7	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.	5.2		5 10
75.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	Pn1.			5 8
63.3	pogodny	pog. z chm.	pogodny	pogodny	Pd1.	PdW1.	Pd1.	PdW1.			5 7
74.8	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Pd1.	Pd2.	Z1.	PnZ1.	1.7		5 8
68.8	pogodny	napół pog.	pochm.	pogodny	PnZ1.	PnZ1.	PuZ1.	PnW1.			6 0
69.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.			6 4
63.5	pogodny	pog. z chm.	pogodny	pochm.	Pd2.	Pd1.	Z1.	Z2.			6 1
73.5									32.1		6 5.9

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.553	27	8.274
Najwyżej barometr dochodził d. 7 o g. 6 rano	759.19	28	0.546
Najniżej — — d. 13 o g. 10 rano.	735.36	27	1.983
Średnia dzienna zmiana barometru	3.819		1.693
Największa dzienna zmiana barometru d. 11—12 o godz. 6 rano	10.02		4.442
Średnia wysokość barometru jest większa o od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	0.376	27	0.167
Średnia temperatura maja wynosi	+ 10°.85 C.	+	8°.68 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.27	"	2.62 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 13—14 o godz. 4 po poł.	9.2	"	7.4 "
Średnia temperatura maja jest mniejsza o od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	2.54	"	2.03 "
	+ 13.39	"	10.71 "
Termometrograf wskazał: Maximum: +27°.2 C. = +21°.8 R. d. 31 po połnd.			
Minimum: + 0.8 " = + 0.6 " d. 20 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 73.5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 7.54 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest większa o 4.6 setnych od normalnej (68.9).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 32.1 mil. czyli 14.23 lin. par.; mniejsza o 20.9 mil. czyli 9.28 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w maju spada (53.0 mil. czyli 23.55 lin. par.).

Dni pogodnych było 6, napółpogodnych 6, pochmurnych 19.

— deszczu 14: (d. 1, 2, 4, 8, 11, 12, 13, 16, 21, 22, 23, 24, 25 i 28).

— śniegu 1: (d. 25).

— mgły 1: (d. 28).

— gradu i krup 1: (d. 25).

— błyskawic i grzmotów 3: (d. 21, 22, i 23).

— błyskawic bez grzmotów 2: (d. 8 i 11).

Wiatr panujący zachodni i północno-zachodni.

Maj b. r. był napół pogodny, dosyć wilgotny i chłodny. Średnia jego temperatura wynosi 8.7 stop. R. o 2.0 stop. R. mniejsza od normalnej (10.7 stop. R.), a o 0.2 stop. R. jak w r. z. Najchłodniejsze były dni między 15 a 27, podczas których księżyc znajdował się pod równikiem niebieskim, średnia bowiem temperatura tych dni wynosi 6.5 stop. R. o 4.0 stop. R. mniejsza jak w stanie normalnym. W ostatnich dniach miesiąca temperatura znacznie się podniosła. Największe ciepło 21.8 stop. R. było dnia 31 po południu, najmniejsze 0.6 stop. R. d. 20 rano; największa zmianna dzienna temperatury 7.5 stop. R. przypadła z d. 13 na 14 gdy księżyc przechodził przez równik niebieski. Barometr przez cały miesiąc utrzymywał się dosyć wysoko i mało stan swój zmieniał; największa jego zmiana dzienna 4.44 lin. par. przypadła z d. 11 na 12 o godz. 6 rano. Deszcze padały dosyć często ale nieobficie. W d. 25 padał drobny śnieg w połączeniu z gradem i krupami. Dni deszczu było 14, o 1 więcej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był napół pogodny, stosunek bowiem dni pogodnych, do napół pogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak 5,8 : 11,8 gdy tenże stosunek w b. m. jest jak 6 : 6 : 19. Wiatr panujący dosyć zmienny; najczęściej wiał zachodni i północno-zachodni.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 6 cali 5.9 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 3..... stóp 9 " 1 " "

" " najmniejsza " d. 14 i 15..... stóp 5 " 1 " "

Maj b. r. odznaczał się wszędzie niską temperaturą, w Berlinie padał śnieg d. 23 i 25, w Wrocławiu d. 25.

W końcu miesiąca padał także śnieg w wielu okolicach Francji, przytem w Prowancyi termometr opadał kilka stopni niżej zera.

W maju b. r. w wielu okolicach silne były burze, połączone często z niezwyklej wielkości gradem. Podobne burze miały miejsce: w nocy z d. 11 na 12 w okolicach Sandomierza, d. 12 na Szlązku w okolicach m. Kamienicy i Wołowa, d. 13 w Łomży, d. 14 w Poznanskiem w pobliżu m. Keyni, podczas której powstała trąba powietrzna i zrzuciła liczne szkody w okolicznych budowlach; prócz tego niezwykle huragan nawiedził okolicę Łucka wołyńskiego d. 18 między godziną 3 i 4 po południu.

Ad sanctissimum ac beatissimum. dñm Dium scđm pontificem maximum editio in librum psalmoz qualy soliloquiū dicunt incipit felicit a Iohanne de turze cremata. Sabinensi epō ac sãcte romane ecclie Cardinali sãcti Sixti vulgariter nūcupato edita

Beatissimo patri ac clemētissimo domino pio scđo pōtifici maximo Iohannes de turze cremata Sabinēsis epus sãcte romane ecclesie cardinalis sãcti Sixti vulgariter nūcupat⁹. post humilē recōmendatioē; ad pedū oscula beatorū Detscrutāti michi studiose. psalmoz librū. quē alij soliloquū dicūt qđ ē collocatō hois cū deo singulariter. vel secū tā-

laudes. Laudate eum i cimbali bene sonātib⁹ i cimbal iubilacōis. eo qđ corruptōe carnis sãguisq; depulsa oformati ad imaginē creatoris oi plenitudie spei completa fulgetis sicut sol i regno dei. et qđ ista instrumēta vult ppheta spūaliter intelligi qđ talis instrumēta i celesti patria nō habebūt locū h̄ ad designādū magnitudiez diuie iocūditatis hic interponuntur cludens ait. omnis spūs angelicus siue hūanus laudet dñm.

Iohānis de turze cremata. Cardinalis scđi Sixti vulgarit nūcupati explanacio i psalteriū finit. Cracis imp̄ssa



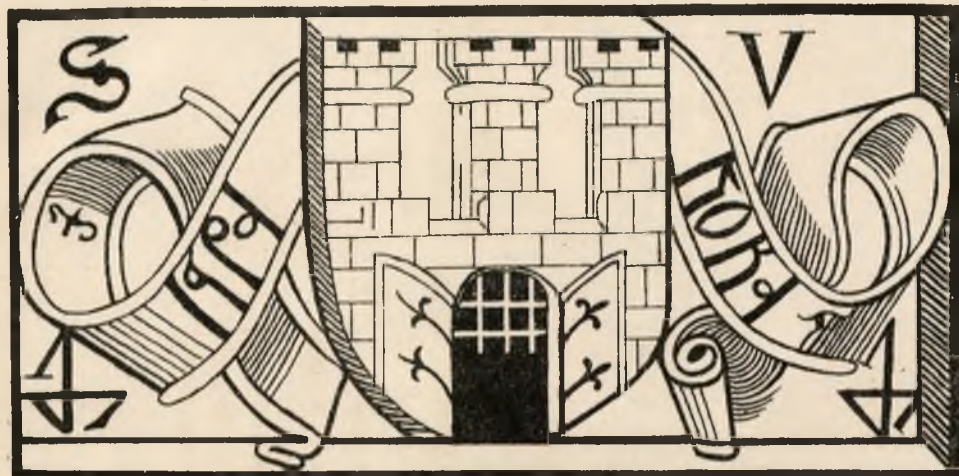
**ГЪБЪЮЛЪПОУННАВЪЮЮЮ**

ГЛАННKH. ТКОБЕНІЕРПБНАГОБЦАНШЕГОІСВАНЛА  
 ДАСКЫНА. КЪСЖВЕ. НАСНКЪЗКАПОВН. С. Н. НПОЕ  
 СТРЫ. ВЪСКРНЫ З. ПОВТОРНЕДННУ НАЩЕНДВЪ  
 МНН. СТРЫПОЕНА Л. СТРЫКЪСКРНЫ НА С. НВАНН  
 Л. АЩЕАНБВЕЛНКННСТЫИ. ПОЕКЪСКРЕСНЫ. Л.  
 НСТОЦОУ, НА С. СТРЫ. ГЛАСЪ. А:~



ВЪЧЕРНМАНШАДЛТКЫ. ПРИДНСТЫИ  
 ГН. НПОДАНЖЕНАОСТАКЛЕНІЕРРХО. Г  
 ТЫЕДИНЬЕСНІАКЛЕНКЪДИРЪВЪСКРНІЕ:~  
 ВЪКЫИДЪТЕЛЮЕСНОНЬ. НОБВИДЪТЕ  
 Н. ИЛАДИТЕСЛАКОВЪНЪКЪСКРШОМД  
 НЗМРТКЫ. ГАКОТЪБЪВЪНАШЬ. ИЗВА  
 ВЛЕННАВЪЗАКОНИННАШЬ. ПРТЕЛЮЕ. ПОВНПОКЛО  
 НИСАХОУ. САКАЩЕГОЕЖЕНЗМРТКЫВЪСКРЕНІЕ

А



Докончана бы снмкнига великоу градоу  
 краковъ при державѣ великаго короля польскаго  
 казимира . и докончана бы цѣщанно краковъ  
 скихъ шванполтоу , фѣоль , и з нѣмецъ не  
 мецкогородоу , франкъ . и скончаша по коже и  
 на роженнеу . дѣ сѣть . девятедесѣ и ѿ лѣто .



# ТѢЛѢСНЕНЕЩНАДЕЖЮ

ицѣшодоуначинаѣ . нѣлжѣжеѡцытарѣи фари  
сен . въсѣж . кѣ . набдѣни . пообычнѡстихосло  
кин . нагнвъзкѣ стирѣи въсврѣни кѣѡтай  
цѣ ꙗ нкъсточны нѣжеѡцытарѣи фари сен .



ѡ і ѡ ка чѣтенне :—

№ 7.



лѣнигѣ послѣднѣа і ѡ коу . неже  
ли прѣкый . въхѣже сѣѡтнѣго,  
ѡвца тѣца и . д . тысѣща . съпрѣси  
коловѣтысѣща . велѣдн . ѣ . тысѣ  
щѣ . ѡслетаженскынпольпаса  
ца , тысѣща . рѣдншжжесѣдоу  
снѡке . ѣ . и дѣщера , ꙗ . и на  
рече прѣвѣднѣ . ктѣроуѣже , и сѣиà . тре  
тнаже , ацальѣннѣ рѣгѣ .

# GÜNTER ZAINER I ŚWIĘTOPEŁK FJOL.

PRZEZ E. K.

(Z 5-ma tablicami podobizn).

---

Piętnaste stulecie upamiętniło się trzema wypadkami wielkiej wagi dla oświaty europejskiej, a przez to i świata całego. Są one: zawojowanie Grecyi przez Turków, zdobyciem Konstantynopola ukończone, odkrycie Ameryki przez Kolumba, i wynalazek drukarstwa przez Hollendrów, upowszechniony przez *Guttenberga*.

Z pomiędzy tych, ostatni rysuje się w dziejach oświaty tak jasno, że wszystkie inne odkrycia lub wydarzenia gasną obok sztuki drukarskiej. Nie zatém dziwnego, że żaden wypadek dziejowy nie poruszył tylu piór, nie wywołał tyle sporów zajadłych, ile wywołała sztuka, której ojcowstwo przypisują uczeni niemieccy mieszczaninowi z Moguncyi, a hollenderscy burmistrzowi z Harlemu.

Z historyi drukarni i sporów o drukarstwo, możnaby zgromadzić potężną bibliotekę. Zebrałoby się dzieł tysiące, choć napróżno kusiłby się kto o ogarnięcie całości tego, co powiedziano w tym przedmiocie.

To zajęcie, jakie obudzało drukarstwo od chwili pojawienia się swego i jakie obudza do dziś dnia, świadczy o potężnym wpływie, który wywarło z chwilą ukazania się pierwszego wielkiego dzieła, tak zwaną biblią Guttenbergowską.



„Druk stał się językiem mowy świata,” wyraża się *Troxler* (1). Język ten przemówił jednocześnie we wszystkich stronach cywilizowanego społeczeństwa; z samotnej celi kopyisty wybieżał na wolność przed kościelne bramy, między ławy akademickie, a głos jego zarówno słyszeć mogli prostaczowie jako i bogacze świata.

Dlatego francuzki bibliograf przezwiał druk artyleryą myśli. Druk bowiem rozwałił mury bibliotek klasztornych, roztrącił przykute na łańcuchach, złotem, czerwienią i aksamitem zdobne rękopisina. Skarby użytkowane przez kilkunastu zamożniejszych, oddał na użytek milionów, na użytek wszystkich, którzy tylko umieli i chcieli czytać i rozumieć.

Nie miejsce tutaj wskazywać owoce tego nieoszacowanego wynalazku. Inni wielokrotnie rozpisywali się o tém. Dość jest przytoczyć dzieło *Chr. Fr. Harlesa*, który wyraziściej może niżeli drudzy, nakreśla różnicę między epoką przepisywacza, a epoką drukarza (2).

W którymkolwiek kraju pojawił się ten nieobliczonej siły motor, nacechował do razu zjawienie się swoje podniesieniem potęgi umysłowej narodu. Zrozumieli to uczeni mężowie badający dzieje oświaty. Odwdzięczając się wynalazkowi, zaznaczyli od jego pojawienia się erę literatury nowożytnej. Nie pewni zaś daty tego osobliwego zjawiska, zwracają uwagę na zawiązek drukarstwa w ogóle, jako i w pojedynczych krajach.

W badaniach tych wiele kwestyj pozostało nierozwiązanych. Jeszcze do dziś dnia wszczynają się spory o datę druku w *Alost*, o sfałszowanie daty roku 1472 w druku w Antwerpii, o druki w *Barcellona*, o miejsce druku w *Burgdorf* leżącym w *Szwajcaryi* i w *Lunenburgskiem* około *Hannoweru*, o miejsce druku *Cashel*, *Casale*, *Kassel*, *Casola*; mieszcząc je w *Irlandyi*, *Hessyi*, *Toskanii* i t. p.

Niepewność zachodzi co do *Kolonii*, *Konstantynopola*, *Leiry*, *Lizbony*, *Louvain*, *Lukki*, *Medyolanu*, *Messyny*, *Stockholmu*, *Tolozy*, *Tours*, *Walencyi*, *Werony*, *Westminstern*, *Wiednia* i t. p.

(1) Ueber die Freiheit der Presse (w *Schweiz Museum* 1815 r.).

(2) Die Literatur der ersten hundert Jahre nach der Erfindung der Typographie in den meisten Hauptflächern der Wissenschaften. Lipsk 1840 r. w 8-ce.

Ogółem na 260 miejsc w których widzimy zawiązki drukarstwa w XV stuleciu, połowa niemal utraciła była świadomość niewątpliwą daty pojawienia się w niem tego cudownego wynalazku.

Najważniejszy nawet fakt, jakim jest pierwotne obmyślenie czcionek, do dziś dnia nie rozwiązany, wywołuje zajadłe szermierki. A chociaż niektórzy badacze niemieccy nawet dowieść usiłowali, że *Coster* nigdy nie istniał, wznosi się nazwisko jego pod piórem najnowszej krytyki i staje po nad *Guttenbergiem* (1).

Skoro taka niepewność panuje u postronnych, nie dziwnego, że i u nas nie wyjaśnił się zamglony widok drukarstwa w XV stuleciu; nie dziwnego, że do początku bieżącego stulecia, wierzyliśmy słowom *Panzera*, iż najpierwszym drukiem w Krakowie było: *Korwina Structura* 1496, (druk prawdopodobnie w Lipsku) lub co gorsza, (jak jeszcze dziś idąc za *Prosperem Marchandem* mniemają *Giuseppe Mira* r. 1863 i *Werdet* 1864), iż *Ciceronis* rhetor lib. IV 1500 roku; a powątpiewaliśmy o wiarygodności *Szymona Starowolskiego*, który coś o drukach słowiańskich przebąkiwał.

Bibliografowie dopiero tego stulecia wywiedli na jaw zatracone nazwiska dwóch drukarzy, o których zamyślam mówić. Zamierzyłem nie tyle rozstrzygnąć wątpliwości, ile raczej ustalić daty pochodzenia drukarstwa u nas; od czasu bowiem jak *Zapf* i *Bandtkie* wypowiedzieli swoje mniemania, pojawiło się tyle wątpliwych podań, że z ubiegim czasem, kwestya zamiast być jako tako rozjaśnioną, jeszcze się bardziej zaciemniła.

Nie nie rozstrzygam stanowczo, bo zasoby tego co dotąd dało się zebrać o drukarstwie XV w. nie wystarczają na to. Postawię tylko wnioski me i dowody, naprzeciw dowodom mych poprzedników w sposób, aby zostawić czytelnikowi możność ocenienia, za czém przemawia prawdopodobieństwo.

---

Jerzy *Wilh. Zapf* wydał rozprawę pod tytułem: *Ueber eine alte Ausgabe von Turrecremata. Augsburg 1803 r. w 4ce.* W dziełku tém opisał druk zaczynający się od wyrazów:

(1) *Paeille*: Essai sur l'invention de l'imprimerie. Paris 1859 w 8ce.

*Ad Sanctissimum ac beatissimum dominum Pium secundum pontificem maximum, editio in librum psalmorum, quod alii soliloquium dicunt, incipit jeliciter a Johanne de turre cremata Sabinensi episcopo ac sancte romane ecclesie Cardinali sancti Sixti vulgariter nuncupato edita. Beatissimo patri ac clementissimo domino.*

List wystosowany do Piusa II, ciągnie się do trzeciej stronnicy. Na końcu dzieła wydrukowano:

*Joannis de turre cremata Cardinalis sancti Sixti vulgariter nuncupati explanatio in psalterium finit Cracis impressa.*

Egzemplarz zachowany w bibliotece Im. Ossolińskich z którego podaję podobiznę zaczącia i końca, (obacz tabl. I) ma kart folio nieliczbowanych 150. Z tych ostatnia karta jest próżna, wierszy na stronnicy 37, niema kustoszów, czyli reklam, sygnatur, druk w całej długości wiersza, grubemi typami gockimi. Papier wodny wyobraża głowę wołu z krzyżem między rogami.

Zgadniają się bibliografowie na ten opis, różnią się tylko co do liczby kart dzieła. *Panzer* bowiem według *Denisa* liczy 147 kart, zaś *Hain* 149.

Książka ta do końca XVIII wieku nikomu, z wyjątkiem *Michała Denisa*, znaną nie była, i nikt jej nie roztrząsał. Uczony ten bibliograf wiedeński zanotował w drugiej edycji sławnego dzieła *Einleitung in die Bücherkunde* 1796 r. 4. w T. II str. 123, iż *Cracis* oznacza Kraków. Zdaje się, iż bliżej badał znaleziony egzemplarz, bo na nim zanotował datę druku domniemaną 1474 r. Notatka to ważna, bo pochodzi od najbieglejszego i najsumienniejszego z bibliografów.

Niezależnie od tego *G. W. Zapf* rozwinął domysły swoje, które ostatecznie doprowadziły go do wniosku, iż dzieło to wyszło prawdopodobnie około r. 1465, z officyny *Güntera Zainera* drukarza Augsburgskiego.

Jakkolwiek znamienity bibliograf *Panzer* (1) zdanie to podzielając, poszedł za niem, jednakowoż nie przyjęło się takowe od razu.

Owszem, urosła zacięta utarczka między *Zapfem* a *J. Chr. Bernhardem*. Ostatni ogłosił: *Gruendliches Bedenken über das von Hr. Geheimen Rath Zapf angegebene hohe Alter*

(1) *Annal.* typog. 1803, T. XI str. 319.

*und den Nahmen des Buchdruckers von des Joannis de Turrecremata: explanatio in Psalterium Cracis impressa* (1).

Zarzuty główne odnosiły się do tego, że podobnemi czcionkami drukowało siedmiu innych drukarzy owoczesnych, z pomiędzy tych najprawdopodobniej wydał Turrecrematę *Jan Schauer* drukarz z roku 1482, ten bowiem wydał wielce niedbale dzieło *Mirabilia Urbis Romae*, a właśnie druk o który spór, był z podobną niedbałością drukowany.

Ostatni zarzut sam przez się nie wytrzyma krytyki, bo niedbałych drukarzy ówczesnie był poczet nie mały. Co zaś o dacie r. 1482 trzymać, to okaże się z dalszego wyprowadzenia wniosków.

O tej utarczce rozeszła się wieść z czasopisma *Allgemeine Literatur Zeitung*. Halla 1809. T. II str. 559, gdzie kilku słowami wzmiankowano o niej. Podzieliły się zdania, które do wątpliwości co do daty, podnosiły także wątpliwość co do miejsca, bo *Cracis* mogło również oznaczać *Crecy* w Pikardyi lub *Croy* w Niderlandach, *Gratz* w Austryi lub *Graitz* w Saxonii (2).

U nas przyjęto wiadomość tę z niedowierzaniem. Nawyknięto polegać na zdaniu *I. D. Hoffmana*, *Szymona Starowolskiego*, *Janockiego*, a przedewszystkiem bibliografa nad bibliografami *J. J. Załuskiego*, że *Jan Haller* mieszczanin uszlachecony w r. 1508, ów *Calcographus dives* (jak się wyraża *Bartosz Paprocki* w *Herbach* rycerstwa) był pierwszym drukarzem w Polsce.

Jedna okoliczność nie zgadzała się z datą pierwodruku w r. 1500 lub nawet 1503. (*Epistola Caij Plinii-chalchographatum hac primitiiali pressura Cracovie per Casparum Hofjeder*). *Załuski* mówiąc o *Jana Daniela Hoffmana* dziele: *De typographiae initiis in regno Poloniae*. *Dantisci*, r. 1740 w 4-ce wyraża się:

„Ten najpierwszą być z polskich, tę drukarnią kładzie, którą *Jan Haller* radzca założył w Krakowie. Na schyłku piętnastego wieku” (3). Na boku zaś dopisał zapewne *J. E.*

(1) Ob. *Aretin* Beiträge zur gesch. u. Liter. aus den Schoetzen der Muenchner National u. Hof bibliothek 1805.

(2) *Bandtkie* H. Dr. I 3.

(3) *Bibl. Histor.* 1832 str. 173.

*Minasowicz* datę: około 1485 roku. Ta data, posuwała o lat piętnaście zaprowadzenie druku do Polski, lecz nie zgadzała się z rezultatami poszukiwań.

Odkrycie *Zapfa* zawikłało tę kwestyą jeszcze bardziej. Zdumiewającym istotnie było odkrycie, iż Kraków co do rozpowszechnienia druku, stawał się drugim po Moguncyi miastem. Pomijając bowiem spór o *Bamberg*, *Harlem* i *Strasbourg*, otrzymujemy daty w których druk w Europie ukazuje się: Moguncya r. 1457, Subiaco 1465, Kolonia 1466, Rzym i Eltwill 1467, Augsburg 1468, Medyolan i Wenecya 1469. Zaś w r. 1470 pojawia się druk w sześciu, r. 1471 w ośmiu, w r. 1472 w siedmiu, w r. 1473 w dwunastu, w r. 1474 w dziewięciu nowych miejscach. Z tych danych słuszny był wniosek, że trudno przypuścić, by drukarstwo wprost z Moguncyi do nas się przeczuciwszy, nie zostawiło śladów dłuższego pobytu.

Data zanotowana przez *Michała Denisa* okazywała się podobniejszą do prawdy, bo ówczas Kraków byłby 53-ciem znanem miejscem w którym drukowano w XV stuleciu.

Najpierw natomiast *J. S. Bandtkie* professor bibliografii wydał swój odczyt publiczny (1): o zawiązku druku w Krakowie, gdzie nawiasowo przytacza zdanie *Michała Denisa* z datą 1474 r., lecz druk domysłowo przypisuje *Hallerowi*.

*Felix Bentkowski* tegoż roku (2) pisząc o pierwszych u nas drukach, acz przytacza *Michała Denisa*, nie wierzy podaniu.

Szczególna rzecz, iż obadwaj nie wiedzieli o sprzeczce *Zapfa* z *Bernhardem*, pomimo, iż sprzeczka ta wytoczona w r. 1805, ciągnęła się lat parę i wiadomą być mogła z czasopisma naukowego niemieckiego *Literatur Zeitung*, najbardziej u nas w kraju rozpowszechnionego.

Podobnież ani wie o tém *F. Bentkowski* wydając swoje *Historię literatury* r. 1814 (T. I str. 108), dlatego dzieło *Tur-recrematy* zbywa wcale obojętnie, pomimo że data pierwszego

(1) De primis in arte typographica incunabulis dissert. brevis. Cracoviae 1822 w 4ce kart 5.

(2) O najdawniejszych książkach drukowanych w Polsce (tak), Warszawa 1812, str. 35. Także nie wierzy *Czacki*. O litewsk. polskich prawach 1800 I 30,

wprowadzenia druku do kraju, nawet ówczas, gdy druk ten jest w obcym języku, ma znaczenie niezmierne w historii oświaty narodu.

Dopiero w r. 1814 *Bandtkie Jerzy Sam*: dowiadyuje się ubocznie z *Panzera* tomu IX, iż niejaki *Zapf* dowiódł, że druk ten wyszedł z oficyny *Güntera Zainera* w Krakowie a to r. 1465, że zaś miał i datę r. 1474 wziętą z *Denisa*, pobałamucił przeto, stwarzając z jednej dwie edycye (1). Nie postarawszy się o rozprawę *Zapfa*, zbywa obojętnie tę wiadomość jako i o drukarzu, którego pobyt był krótkotrwały.

Pomyłkę swoją co do dwoistości edycji odwołuje później (2) po zwiedzeniu biblioteki cesarskiej w Wiedniu. Zgadza się on na datę druku w r. 1465 i pierwszy opisuje go dokładniej w rozprawie, którą *Lelewel* przez niewiadomość przypisuje *Sebastyanowi Girtlerowi* (3).

Po *Bandtkiem Lelewel* w swych *Księgach bibliogr.* zabiera głos, ale nic nie dorzuca nowego, zdania bowiem swojego nie objawia.

Ostatecznie przedmiotu tego dotknął *Bandtkie* w roku 1826 (4); zgadza się on z *Zapsem* na datę wyjścia dzieła w r. 1465, na drukarza *Gintera Zainera*, lecz tutaj ogranicza się na podaniu wniosków za i przeciw, nie uzupełniwszy ich własnem badaniem.

Tutaj urywa się wątek dochodzeń. Następcy powtarzają datę roku 1465 jako rzecz utartą, tém bardziej uwieczniają nazwisko *Gintera Zainera*. Za tém szedł *Józef Muczowski* w swoich wykładach bibliografii; *Wiszniewski Michał* (5) sięgnął dalej, bo bałamutnie przełożywszy opis wynalazku druku, wikła gdy przyszło mówić o drukarstwie u nas. To co poprzednicy podali za domysł, on za rzecz udowodnioną poczytuje, a nawet cytując datę druku *Turrecrematy*, naznacza ją między 1462 a 1468 rokiem. *Bielowski*

(1) *Miscellanea Cracoviensia* 1814 tit. de septem Missalibus, i Historia drukarń Krakowskich 1815 str. 90. 92.

(2) *Dzieje Król. Pols.* 1820 T. II str. 94.

(3) *Index lectionum in universitate studiorum Jagellonica. Cracoviae* (1821) w 4cc. *Lelewel* Bibl. ks. 1823 I 37.

(4) *Historia drukarń w Król. Pol.* T. I str. 1 i 140—146.

(5) *Hist. Lit. Pol.* 1841 T. III str. 80. Tu od stronnicy 72 podana historia wynalazku druku, jest skróconą z lichego dzieła *Schmidta Bibliothekwissenschaft* 1840 r.

*August* cofa datę na rok 1464 bez upowodowania téj zmiany (1), zaś *Maciejowski Wacł. Alex.* (2) wtórzy datę r. 1465; zresztą odsyła czytelnika do Wiszniewskiego. Powtarza téż Wiszniewskiego *J. Bartoszewicz* (3). Inni jak *Łukasiewicz Lesław, Nehring* i t. d. nie troszczą się o chwilę pojawienia się drukarstwa u nas, nie uznając tego za wypadek godzien uwagi w dziejach literatury.

Tak się przedstawia po dziś dzień kwestya co do *Güntera Zainera*. Aby ją wszechstronnie o ile dozwala szczupłość materiału wyczerpać, uważam za potrzebne rozstrzygnąć bez względu na moich poprzedników te pytania:

1) Czy rzeczzone dzieło drukowano istotnie w Polsce?

2) Czy *Cracis* oznacza miejsce druku Kraków?

3) Czy data r. 1465 a tem bardziej r. 1462 do 1468, przez ostatniego badacza téj kwestyi *Michała Wiszniewskiego* oznaczona, jest prawdopodobną? lub czy raczej wrócić się wypada do daty r. 1474 przez *Michała Denisa* zapisanej.

(4) Czy nakoniec istotnie *Günter Zainer* jest domniemanym drukarzem.

Co do 1<sup>o</sup>, nie ulega wątpliwości, że druk wyszedł w Polsce. Słusznie to poparł *Bandtkie* przytoczeniem, iż prawie wszystkie egzemplarze znajdują się w Polsce, lub z niej wyszły.

Są zaś te: dwa egzemplarze w bibliotece Akademii Krakowskiej, jeden niegdyś na Tyńcu, dwa inne w prywatnym ręku w Krakowie, jeden w Cesarskiej bibliotece w Wiedniu wzięty ze Lwowa, jeden w Paryżu pochodzący z Puław, dwa w Warszawie zapewne w ręku prywatnych, gdy cztery były w bibliotece głównej w Warszawie, a obecnie są w cesarskiej bibliotece w Petersburgu, jeden w bibliotece Działyńskich w Kurniku, jeden w bibliotece Raczyńskiego w Poznaniu, cztery widział *Ks. Łopacki* w bibliotekach galicyjskich (4), jeden jest obecnie w prywatnym ręku w Warszawie u miłośnika ksiąg W., jeden w bibliotece Imienia Ossolińskich we Lwowie, jeden w bibliotece królewskiej w Dreźnie podarowany przez Działyńskiego, jeden w bibliotece Morsztyna w Krakowie, je-

(1) Dziennik literacki 1852 Nr. 10 tyt. Biblioteki lwowskie.

(2) Pismniectwo I 378. II 858.

(3) Hist. lit. pols. str. 70.

(4) Rozmait. Lwows. 1822 N. 80.

den w bibliotece hr. Potockiego w Krakowie zbyty przez JM. Ks. Ad. Jakubowskiego, jeden zgorzał r. 1850 w bibliotece XX. Dominikanów w Krakowie.

Tym sposobem 25 egzemplarzy są w kraju lub wyszły z niego. Dwa zaś tylko, niewiadomego pochodzenia znaleziono za granicą, to jest: egzemplarz który opisał *Zapf* w Augsburgu, i egzemplarz kupiony za 880 zł. pols. dla biblioteki Monachijskiéj.

Najznakomitsi bibliografowie téj epoki, *Grässe*, *Brunet*, i *Dibdin* (1) opisują tylko egzemplarz monachijski lub wiedeński. Niemcy, Francya i Anglia innych nie mają, gdy w kraju naszym, gdyby umiano dobrze szukać, znalazłby się jeszcze może nie jeden po zbiorach prywatnych.

To już niewątpliwym czyni wniosek, że dzieła tego druk albo w Polsce, albo dla potrzeby duchowieństwa polskiego był dokonany.

Co do pytania drugiego: Że *Craci* oznacza Kraków zgadzają się na to *Denis*, *Zapf*, *Baudtkie* i *Bentkowski* i słusznie. Kraków bowiem ówczesnie rozmaicie nazywano: *Cracovia*, *Croca*, *Cracaw*, *Grachovia*, *Crocaw*, *Craci*, (w kalendarzach, w rękopismach i w drukach.)

Nazwa ta łacińska nie nadaje się nigdzie lepiej jak do miasta będącego ówczas ogniskiem oświaty na Północy, około którego skupiały się chętnie wszystkie żywioły, harmonizując w dążeniu do pospolitego dobra, czemu i dwór królewski sprzyjał i do czego wskazywała drogę nowo przeobrażona i świetniejąca mądrością akademia Krakowska.

Mógłby atoli zarzucić kto, iż podpis *impressum Cracis* jestto tylko tak sobie zwyczajna fantazyja drukarska, jest może i chęć ukrycia przedruku, jeżeli przyjmujemy, iż dzieło to jest plagiatem innéj datowanéj edycyi. Odpowiem na to, iż takie wypadki wcale nie zdarzały się w XV stuleciu, zdarzały się od r. 1508 i 1510 i gdy zawrzały prześladowania religijne, był więc wtedy powód, że np. zbiór pism Aryanów ukazał się z fałszywém miejscem druku (2): obecnie powodu tego

(1) *Tour in France and Germany*, edycya 3cia T. III. 294.

(2) *Bibliotheca fratrum polonorum*. Irenopoli. 1656, folio tomów 9. *Weller E.* Die falschen Druckorte. Lipsk 1864. *Grässe* Orbis latinus. Dresden 1861 w 800.



nie było. Żaden bowiem drukarz nie miał przywileju na druk dzieł *Turrekrematy*, więc przedruki były dozwolone, i nie ubliżały nikomu.

Pytanie trzecie aby rozwiązać, wypada bliżej zastanowić się nad autorem i nad edycjami pracy *Turrekrematy*. W tym kierunku nie zadawano sobie trudu, postawiono datę dowolną, a czas zamienił domysły w apodyktyczną pewność.

Biorąc na uwagę, że *Turrekremata* w przypisaniu Piusowi II dzieła swego, tytułuje się biskupem sabińskim, wypadało wynaleźć pewną datę otrzymania tego biskupstwa.

Szczegółów biograficznych dostarczyły mi oprócz *Joche-ra* (1) *Cavego Wilhelma* (2), najwięcej olbrzymie dzieło *Jakóba Quetif* i *Jakóba Echarda* (3). Ostatni, drobiazgowo rozwodzą się o życiu sławnego na owe czasy Hiszpana kardynała *Jana Torquemady* dominikanina, który od r. 1431 wysługując się papieżom na różnych koncyliach (na Bazylejskiem gromił Hussytów), otrzymywał obok kardynańskiego kapelusza i intratne beneficya. Z pomiędzy tych, najważniejsze było w r. 1450, biskupstwo Albańskie we Włoszech, które w roku 1464 Pius II pozwolił mu zamienić na biskupstwo Sabineńskie.

Nie ma śladu, którego stało się to miesiąca. Że jednak Pius II (Eneas Sylvius Piccolomini) umarł 15 sierpnia 1464 r., zatem niewątpliwy ztąd wniosek, że skoro autor dzieła swe przypisuje żyjącemu jeszcze papieżowi, zwracając doń mowę, przeto ukończyć je musiał około połowy roku 1464. *Torquemada* umarł d. 26 września 1468, mając lat 80. Jeździł za młodszych lat jako delegat papieżki po Niemczech, ale nie puszczał się Polski.

*Torquemada* jakkolwiek miał w Rzymie drukarnią, nie ogłaszał prac drukiem za życia (4). Dopiero w r. 1467, (za-

(1) Gelehrten Lexicon, 1751 w 4-ce T. 4-ty.

(2) *Scriptores Eccles. Hist. Litt.* London 1688 fol. appendix str. 116 i edycya w Genewie 1705. Appendix folio str. 96.

(3) *Scriptores Ordinis praedicatorum recensiti.* Lutetiae parisiiorum 1719. fol. T. 14 str. 837—849. także Dupin: *Nov. bibliot. Ecclesias.* 1700. tom 12-ty str. 100.

(4) *Tractatus contra errores Machumelanorum.* Paryż 1465 w 8-ce przytaczają *Cave* i *Quetif* ale mylnie, pierwszy druk paryzki jest z r. 1470.

tem na rok przed śmiercią), sprowadził do Rzymu *Ulrycha Hahna* i jemu powierzył dzieło swe *Meditationes in figuras* 1467.

Jestto książka niezmiernie rzadka, znane są tylko trzy jej egzemplarze w Wiedniu, Norymberdze i Paryżu, zarazem pierwszy to druk z drzeworytami, który się pojawił we Włoszech. Obejmuje rozmyślenia o posągach, które *Turrecremata* wystawił w kościele N. P. Maryi.

Wszystkie inne dzieła wyszły po zgonie autora, a przede wszystkim dzieło *Expositio in Psalterium*, drukowane r. 1470, u tegoż drukarza *Ulrycha Hahna*.

W owęj epoce, druk dzieł szedł nader leniwo; wydanie kilkudziesięciu arkuszy folio, wymagało nie raz pracy kilkoletniej. Dowodów na to nie brak.

*Falkenstein* w klasyczném dziele: *Buchdruckerkunst*, obrachowuje: że druk Biblii w samym zawiązku drukarstwa, mającej tomów dwa, a do 325 arkuszy, mógł wraz z rubrykowaniem trwać lat pięć.

Przykłady mamy nawet u nas. I tak: *Jan z Sądcza* księgarz krakowski drukując za granicą w r. 1526 tak zwane *iudicium* złożone zaledwie z kilku kartek, zamawiał je w 3000 egzemplarzach, ale niemal rokiem naprzód, to jest w kwietniu.

Podobnie pierwszy drukarz w Moskwie, a następnie pierwszy słowiański drukarz we Lwowie *Iwan Fedorowicz*, księgę: *Apostół*, mającą folio 264 kart, drukować miał od r. 1570 do 1574 roku (1).

Tem częściej zdarzało się to w XV stuleciu w zawiązku drukarstwa, ówczas bowiem brak dostatecznych zapasów materiału piśmiennego i onego drogość, brak uzdatnionych robotników, były powodem, że druk większego dzieła rozciągał się na lata.

Mając to na uwadze, zgodzimy się łatwo na domysł, iż *Turrecremata* sprowadził z Paryża *Ulrycha Hahna* w celu, aby jemu powierzyć druk swoich prac naukowych, i by sam

(1) *Zubrzycki Dyonizy*: Histor. badania o drukarniach rusko-słowiańsk. w Galicyi. Lwów 1836 w 8-ce str. 8. Według *Sacharowa* atoli druk trwał rok tylko, jak to drukarz w podpisie oświadcza.

mógł korektę ich prowadzić (1) co się nie przeciwowało bynajmniej kardynalskiej powadze, jak skoro u tegoż *Hahna* był do r. 1471 korektorem uczony biskup *Józef Antoni Campanus*. Druk ten rozpoczął od wydania medytacyi, a następnie rękopis dzieła *expositio* powierzył zapewne *Ulrychowi Hahnowi*, i bardzo być może, iż jeszcze świadkiem był złożenia pierwszych arkuszy. Nie doczekał jednak wyjścia tej pracy z druku, bo ta pojawiła się znacznie później po zgonie jego.

Trudno, niepodobna nawet przypuścić, aby za życia *Torquemady* pokryjomu bez jego wiedzy, zdala na Północy, wychodziło dzieło, a do tego jeszcze w najniedbalszej edycyi.

Póki dzieło to było w rękopiśmie, nie znał go świat naukowy, przynajmniej nigdzie nie ma tego śladu, a gdyby *Torquemada* jeszcze przed sprowadzeniem *Ulrycha Hahna*, chciał dzieło swoje ogłosić drukiem, mógł uczynić to, bądź drukując na miejscu u *Pannartza*, bądź w jedyném słynném naówczas mieście Moguncyi.

Ci co datę roku 1465 chcieliby utrzymać, nie widzą widocznej niemożebności już przez to samo, iż kiedy autor napisał dzieło w połowie roku 1464, niepodobnóm wydaje się stanowczo, iżby rękopis natychmiast autor posyłał do Polski i aby takowy w tak niezwycajnie (na owe czasy) krótkim terminie, mógł być wydrukowanym. To sprzeciwia się wszelkim wiadomościom, jakie mamy o drukarniach podrzędniejszych z XV stulecia.

Jeden tylko powód (2), który mógłby przemawiać za wczesnością druku, jest, że *Explanatio* wydano bez daty, za-

(1) Pierwszy korektor druków wymieniony na tychże, jest r. 1477 w Norymberdze u Jana Sensenschmidta *Andrzej Frisner* uczony norymberski, później Rektor Uniw. Lipskiego i professor teologii. Drugim korektorem tamże był sławny prawnik *Andrzej Rumel*; obadwaj poprawiali błędy druku, a nadto porównywali krytycznie teksta. U Jana Winterburgera w Wiedniu (1492—1519) był korektorem sławny matematyk *Jan Michał Wrocławczyk*.

(2) Drugi, ale zbyt odległy, wywiąże się z toku tej rozprawy. Jestto druk dzieła *S. Augustyna* który poprzedził *Turrekrematę* a mógł być drukowany po roku 1466, bo tłoczony był nie tak zbitemi czcionkami jak *Turrekremata*.

sadą zaś jest w bibliografii przyjętą, że gdy się zejda dwa jednokowe dzieła, jedno z datą, drugie bez, przypuszcza się, że dzieło bez daty ukazało się wcześniej, aniżeli datowane.

Ale od zasady téj są zbyt częste wyjątki, iżby ją można i w tym razie ściśle zastosowywać. W licznym poczcie wydań mamy kilka bez daty, jak np. paryzki druk *Piotra Olivier*, augsburgski druk *Jana Schuesslera*, które choć nie datowane, pojawiły się po datowanych.

Dzieło to było tak poczytne, że we wszystkich krajach wychodziło w różnych stronach niemal jednocześnie, ale dopiero ta mnogość wydań pojawia się po edycyi Hahna, dlatego wnoszę, że edycyom tym niezawodnie służył druk rzymski za pierwowzór.

Znamy te edycye *Turrekrematy* w XV stuleciu (wychodziły i w XVI).

Augsburg 1472. druk J. Schuesslera, kart. 134. i r. 1473 tamże (nadto i bez daty.) Rzym 1474 i 1476 u Hahnów. Moguncya 1474, u Schoeffera. tamże 1476 i 1478. Poitiers 1480. Saragossa 1482. Wenecya 1485. (Langres) Lingoniae 1482, Strazburg 1482, 1485 i 1487. Turyn 1482. Kolonia 1487, dwie bez daty w Lubece i Paryżu a pięć bez daty i miejsca. Wszystkie te jednak (przynajmniej datowane) ukazują się po edycyi rzymskiej. Były pokupne, bo naliczyliśmy ich prócz Krakowskiej, wydań 25 w przeciągu lat ósmnastu, co jak na owe czasy dowodzi niezwyčajnego zainteresowania. Między nimi, krakowska edycya, jak skoro nosi znamię edycyi jednego z drukarzy Augsburgskich, wyszła zapewne nie według rzymskiej, ale według której z dwóch Augsburgskich, z r. 1472 i 1473, lub niedatowanej a wzmiankowanej przez *Zapfa*.

Szybka rozsprzedaż tych dwóch wydań staranniej tłoczonych, mogła zachęcić kogo do zrobienia nowej edycyi u nas, a zatem dopiero po roku 1472-3. To przypuszczenie zdaje mi się najwięcej podobnym do prawdy. Snadnoby je można było sprawdzić, gdyby który z bibliografów naszych miał sposobność i zadał sobie pracę, porównać egzemplarze edycyi rzymskiej, augsburgskiej, mogunckiej i krakowskiej. Niebawem doszedłby po powtórzonych pewnych właściwościach (1)

(1) Tak np w samym tytule, edycya *Cracis* i edycya augsburgska z r. 1472, używają wyrazu: *explanatio*, gdy rzymska i inne, wyrazu *glossa* lub częściej: *expositio in psalterium*.

w jednej lub drugiej edycji, tudzież po omyłkach druku, która jest edycja najpóźniejszą?

Co bowiem dzisiaj się zdarza, wydarzało się i wtedy, (ale na większy rozmiar), iż im późniejsze było wydanie, tém było więcej błędów. Nowa edycja wtorzyła wiernie dawne pomyłki druku, a popełniała nowe. Że zaś edycja krakowska, czemu *Zapf* nie zaprzeczył, jest przepełniona niedbałością, i jest gorszą od innych, była zatem prawdopodobnie później drukowaną od tych, które mają staranniejszy text opracowany. Inaczej bowiem, gdyby lepsza edycja robioną była na podstawie gorszej, nie omieszkałby drukarz według ówczesnego zwyczaju pochwalić się, iż błędy sprostowano.

Wprawdzie, mógł każdemu z tych trzech wydań, inny rękopism służyć za tekst pierwotny; to się jednak nie przypuszcza, bo gdy już raz było drukowane jakie dzieło, przedrukowywano je bez starania się o rękopis, bo to była rzecz kosztowna i zmusna. Jedni klassycy stanowili wyjątek, lecz i to później dopiero (1). Przypuszczając nawet ten wypadek, możnaby po odrębnych cechach, po małych zmianach tekstu, poznać, który druk z którego wypłynął. Nam niedostaje materiału do téj pracy, więc na ten raz musimy poprzestać na wyrozumowanym wniosku, iż druk krakowski pojawił się po rzymskim, a jeszcze prawdopodobniej po augsburgskim, to jest po roku 1472.

Popiera wniosek mój, położony podpis współczesny na egzemplarzu znajdującym się niegdyś w bibliotece warszawskiej. *Bandtkie* (2) i *Lelewel* (3) wzmiankują o nim. Pierwszy powiada, iż to jest zapis kupna téj księgi. *Bandtkie* nie widział egzemplarza tego, więc pisał na wiarę mylnéj wieści, zaś ze słów *Lelewela* który miał egzemplarz ten pod ręką, godzi się wnioskować co innego.

(1) Drukarnie rzymskie *Hahna, Lawera, Rotha*, (który wprowadził dyftongi r. 1475 w drukarstwie) wyjątkowo służyły starannością a to dlatego, że sławni uczeni jak kardynał *Piccolomini*, biskup *Bessrion*, *Rodriguez* biskup *Zamory*, *Jan* biskup *Aleryi* i inni, porównywali rękopisma i prowadzili korektę. Ostatecznie utoli wydoskonalenie poprawności druku zawdzięczamy staremu *Manuoyuszowi* (1494—1516 r.).

(2) *Histor. druk. w kr. Pol.* T. I, 4. Index lectionum 1821 (22).

(3) *Bibl. ks. I.* 38.

Powiada on: Na końcu dzieła u dołu, czytamy czerwonym kolorem taki przypis: *A. 1476 (1) per Fratrem Andream Cruciferum Monasterii Myechoviensis Ord. sancti sepulchri dominici Jerosolimitani degentis tunc temporis in Przeworsko sub regula S. Augustini condam Cantoris chori ej. Monasterii Myechoviensis.*

*Lelewel* nic więcej nie podaje. Nawet nie wypowiada czy to pismo jest równe, kształtne, tąż farbą pisane, co inicjały w księdze, czy w ogóle są tam domalowywane inicjały.

Brak ten uzupełnić winienem wnioskowaniem, mając niepłonną nadzieję, że jeżeli zdarzy się sposobność ujrzenia tego egzemplarza znajdującego się teraz w bibliotece Petersburskiej, wnioski me okażą się słusznemi.

Podpis rzeczony malowany czerwono, nie jest notatą kupna. Kupno dzieła, zapisałby zwykłym atramentem czarnym nie omieszkawszy dodać „kupiony“ i nie opuściłby tak ważnej na owe czasy wzmianki o ilości wyłożonego grosza.

Barwa farby, osnowa podpisu i miejsce podpisu w zakończeniu dzieła, (2) oznaczają prawdopodobnie datę ostatniego ukończenia tej książki; to jest: że po wydrukowaniu go, mnich Jędrzej Crucifer (krzyżak) miniator i rubrikator, w dziele tem domalowywał inicjały czerwoną farbą, domalowywał rubryki czerwone.

Była to forma przyjęta w owym czasie. Od czasu jak kopiowanie rękopismów przestało być przywilejem i dochodem klasztorów, zakonnicy trudnili się uzupełnianiem druków, domalowując inicjały i tytuły. Była to praca zaszczytna, wymagająca długiego czasu, zwłaszcza jeżeli litery były różnobarwne i sztuczne. By uwiecznić pamięć swoją, kładł mnich u spodu datę ukończenia pracy. Takich przykładów można z historii inkunabułów przytoczyć sporą liczbę; przywiode jeden znany, iż na biblji łacińskiej wyszlęj bez wyrażenia roku i miejsca, przypisywanęj to *Guttenbergowi*, to *Pjisterowi*, jest w egzemplarzu paryzkim na końcu dopisana czerwono data

(1) U *Bandtkiego* jest podany rok 1475. (Hist. drukaró.)

(2) Wiadomości o cenach zapisywano albo na okładkach, albo na kartkach oprawionych przed tekstem. Obacz *Bandtkie*: Hist. Bibl. Uniw. Jag. 1821, str. 17.

roku 1461, a to taką farbą, jaką dzieło rubrykowano. Wszyscy krytycy jednomyślnie tę datę uznali za datę ukończenia przez rubrykatora, a nie za datę kupna. W podobny sposób na biblii strazburskiej łacińskiej bez daty, wyszłej u *Henryka Eggesteina*, jeden rubrykator położył datę ukończenia rubryk r. 1466, a inny na innym egzemplarzu rok 1468. Sam zaczątek podpisu *per* (zwykle podpisywano *per me fratrem clericum* i t. p.) znamionuje czynność współudziału w pracy, a nie kupno książki, tak albowiem pospolicie podpisywali się rubrykatorowie: była to zwyczajem przyjęta forma ich wyrażania się o dokończeniu roboty.

W poparciu tego godzi się wspomnieć, że w owym czasie zakon Miechowitów odznaczał się przepisywaniem kodesów. Niektórych księży-kopistów dochowały się nazwiska, jak np. r. 1456, Jan Kanty miechowita, r. 1459 Julian miechowita w Przeworsku, 1465 Petrus de Skarzeszów (1).

Zresztą, choćby i inicjały w egzemplarzu rzeczonym dokończone nie były, wnosić należy, iż podpis ten oznacza udział Crucifera przy rubrykowaniu innych egzemplarzy tej edycji, nigdy zaś domyślać się nie można, że tak długo wyrażony podpis, dany był tylko celem zaznaczenia kupna dzieła. W najgorszym jednak razie, nawet gdyby dzieło to istotnie było w r. 1476 kupione, przypuszczałbym jest, że i około tego czasu wyjść musiało. Trudno bowiem twierdzić, iż kupiono wyszłe przed laty-jedenastu dzieło, skoro od czasu tego, pojawiło się kilka innych i lepszych edycji i skoro wiadomo, że pierwotnie odbijano bardzo małą liczbę egzemplarzy, a nieraz nawet tylko tyle, ile ich zażądała władza duchowna, łożąca zazwyczaj na podobne publikacje, dlatego wyczerpywały się od razu.

Zestawiając to, co wyrozumowałem co do pytania trzeciego, nabieram przeświadczenia, iż druk rzeczony *Turrecrematy* wyszedł w Krakowie po roku 1472, a przed rokiem 1476; że zatem wnioski *Zapfa* i *Bandtkiego* są mylne, że ustalenie tradycji co do daty tej w historyach naszych literatur, nie ma gruntownej podstawy, że zanotowanie ołówkiem przez *Michała Denisa* daty roku 1474, jako wyjścia tej książki, zdaje się być najzupełniej zgodne z prawdą.

(1) Lelwel Ks. bibl. II 89.

W poparciu rozumowań moich, mógłbym przytoczyć, iż niektórzy nowsi bibliografowie powątpiewają również stanowczo o zasadniczości twierdzeń *Zapfa* i jego następców. *Budik P. A.* trzyma się *Denisa* mieszcząc datę pomiędzy rokiem 1470 a 1474 (1). *Brunet* przypuszcza rok edycji 1475 (2), a *August Bernard* stanowczo oświadcza, iż *Zapf* myli się, a nawet powątpiewa, iżby druk *Turrekrematy* wyszedł z officyny *Güntera Zainera* (3). Również *Jocher* (4) streszczając to, co w tym przedmiocie poprzednicy jego powiedzieli, powtarza wprawdzie datę r. 1465, lecz tak co do osoby *Zainera* jako i roku druku, wyraża ogólnikowo swoje powątpiewanie.

Idzie nakoniec o rozwiązanie pytania, czyli *Ginter Zainer* istotnie drukował w Krakowie? lub kto mógł dzieło *Turrekrematy* drukować.

Aby je rozstrzygnąć, należy zastanowić się nad życiem i działalnością *Güntera Zainera*. Co do tego, nie zbywa bynajmniej na materyałach.

*Ginter Zainer* czyli *Zainer*, *Zweyner*, którego nie należy brać za jedno z *Janem Zainerem* drukarzem w Ulmie, (ten pisał się *Czeyner* lub *Zayner*); urodził się w Reutlingeu w Szwabii: słuszny ztąd wniosek *Bernarda*, iż w sąsiednim mieście w Strazburgu, gdzie kwitła sztuka drukarska, wyuczył się tójże.

Drukował w Augsburgu roku 1468, podpisuje się na drukach do roku 1473. Pomimo tego, pojawiają się druki augsburgskie czcionkami *Zainera* tłoczone, datowane do roku 1478, z czego wypadłby wniosek, że *Zainer* w roku 1473 zarzucił drukarstwo, lecz drukarnią swoją bądź odprzedał, bądź sukcesyjnie odstąpił.

Pierwszy druk jego jest: *S. Bonaventurae Meditationes vite domini nostri Jesu Christi 1468, kart 71 folio*. Zażywał niemałej sławy w świecie drukarskim; on pierwszy wydał *Tomasza a Kempis de imitatione J. Chr.* między r. 1470

(1) Vorschule für bibliothekarischen Geschäftleben. München 1848 r. w 8-ce str. 86.

(2) Manuel du libraire 1864, edycya 5ta T. 5, Cz. II str. 983—4.

(3) De l'origine de l'imprimerie en Europe. Paris 1853, w 8-ce T. II str. 125.

(4) Obraz literatury 1842, T. II str. 158.



a 1472, a najważniejszym co do piękności drukiem jego jest: *Joannis de Balbis de Janua: summa quae vocatur Catholicon*. On też pierwszy w Niemczech w druku *Isidorus* 1472 użył typów łacińskich zwanych antykwą, a to na miejsce pisma gockiego, mniszego czyli mszałowego, (o tém *Meermann*) (1).

W drukach jego pojawia się pięć odmian pisma. Za herb drukarski obrał sobie lwa stojącego prosto na tylnych łapach z wywalonym językiem i niebieską koroną; lew zwraca się ciałem to w lewo, to w prawo, stoi w polu czerwonym.

Charaktery druków jego pierwszy rozpatrzył *Franciszek Krissmer* na podstawie ksiąg przechowanych w bibliotece Buksheimskiej. Podobiznę pięciorakiego alfabetu podaje według rękopismu *Krissmera*, *G. W. Zapf* (2).

Początkowe druki *Zainera*, obudziły obawę augsburskich wykrawaczów form, briefmalerów i kartowników, iż im zarobek odbierze. Zapewne nie był mieszczaninem tak jako i *Jan Schuessler* jego towarzysz, który od 1470 do 1472 drukował. Obadwaj byli skarżeni, nie należeli więc do cechu.

*Zajner* udał się pod opiekę *Melchiora Stambama* opata w St. Ulrych i Afry. Ten wyjednał, iż odstąpiono od skarżi pod warunkiem, aby obadwaj nie wdrukowywali w książki głosek inicjałowych i winiet, lecz by te od ręki miniatorowie i rubrykatorowie domalowywali.

W roku 1469 *Zajner* tytułuje się na drukach: *magister doctissimus*, z czegooby wypadało, że już długi czas przedtém wykonywał sztukę drukarską bądź w Augsburgu, bądź gdzieindziej, że więc położył zasługi na tem nowem nieznaném polu.

Co do zgonu *Gintera Zainera* niema pewności. W dziele *Rosweidus redivivus* (3) zanotowano, iż umarł 14 kwietnia 1475 roku. Ta data zapisana jest w pergaminowej księdze zmarłych, utrzymywanej w zakonie ś. Augustyna u ś. krzyża w Augsburgu. Zaś w księdze dobroczyńców klasztoru Buks-

(1) *Origines typographicae* p. II ind. 3. pag. 286 n. 9.

(2) *Augsburgs Buchdrucker Geschichte*, 1786 I str. VIII.

(3) *Colon. Agrip.* 1649 w 8-cy str. 310.

heimskiego zanotowano, iż r. 1474 *Ginter Zainer* mieszczanin i drukarz augsburgski podarował książki zakonowi (między wymienionymi jest jedna: *tituli psalmorum cum explanatione*) i że umarł roku 1478.

Tę zatem ostatnią datę przyjmują krytycy, o co się trudno spierać, nie mając materyalnego przeciwdowodu, zwłaszcza, że *Placidus Braun* (1) wynalazł książki podatkowe, w których wspomniony jest *Zainer* od roku 1472, jako *Ginter* pisarz, a od roku 1473 do 1478 jako *Ginter Zainer* pisarz.

O współtowarzyszu processowym *Zajnera Janie Schüsslerze*, nic nie wiadomo bliższego. Druki jego są czyste i piękne. W r. 1470 podpisuje się obywatelem Augsburgskim. Figuruje on od r. 1466 w rejestrach podatkowych jako obywatel w rubryce *Bruderkloster*. Od roku 1468 do 1472 jako *pisarz*, a od tego czasu milczą o nim rejestra. Według rękopismu *Krissmera*, nabył *Schüssler* od *Zainera* te typy, któremi ostatni drukował dzieła do roku 1470.

Po zgonie *Schüsslera*, czcionki te napowrót miała rodzina *Zainera* odzyskać. Ostatnie twierdzenie zbija *Zapf* dokumentem z r. 1472, z którego okazuje się, że klasztor *St. Ulrich* i *Afra* w Augsburgu, zakupił w dniu 5 sierpnia 1472 r. od *Schüsslera* czcionki i inne potrzeby drukarskie. Ostatnie zaś dzieło drukował d. 2 lipca.

Dałoby się może te sprzeczności pogodzić przyjąwszy, iż *Zainer* był zarazem drukarzem tego klasztoru, co z wszelkiem prawdopodobieństwem da się przypuścić. Akta bowiem klasztoru z owego czasu, wielokrotnie piszą o udziale klasztoru w popieraniu drukarstwa i sobie przypisują zawiązek i rozkwit drukarstwa w Augsburgu. Pomimo tego nie wynaleziono dotąd druku, któryby nosił godła lub znamię drukarni tego klasztoru. O założycielu drukarni klasztornej pisze *Karol Stengel* słowy: *Melchior Udalric Steinbach (Stamham), artem impressoriam, a Joanne Gutembergio inventam in conventum suum introduxit*. Widocznie to ściągą się do *G. Zainera*, którego uwolnił od zaskarżeń rubrykatorów i dał mu opiekę. *Steinbach* umarł dnia 30 stycznia 1474 r., zatem nieznane druki klasztorne, wcześniejszj sięgają daty.

(1) Notitia historico literaria.

Cokolwiekbądź, czy *Zainer* drukował dla klasztoru, lub niezależnie, działalność jego w Augsburgu ukazuje się od r. 1468. Druków jego jest jak na owe czasy poczet bardzo mnogi: widno, był to mąż przedsiębiorczy i zamożny.

Druki te spisują: *Zapf*, *Panzer*, *Hain* i inni (1). Wymieniam wszystkie w porządku jak wyszły, biorąc za podstawę spisy *Zapfa*, a uzupełniając je późniejszymi dodatkami:

*Roku 1468* Meditationes vite domini nostri Jesu Christi per me G. Zayner de Reutlingen, folio. Jestto dzieło ś. *Bonawentury*.

*Roku 1469*. I. de Aurbach summa de confessione, fol. Joannis de Janua: Catholicon, fol. Tutaj się tytułuje: *praesentis artis magister doctissimus*. Dzieło wielce rzadkie.

*Roku 1470*. Hamartigeniae finis Prudentii. Guil. Durandi: Rationale divinorum officiorum, fol. Tutaj zwyczajem owoczesnym dodał ostrzeżenie, iż nie pisał tego dzieła, ale je drukował „*cunctis legendum exaravit feliciter non scriptorum arte, quam majores nostri et quidem sapientissimi pie coluere, verum longe alia impressoria, scilicet qua nostra ultima dotata est aetas, quamque divinam, quia erratorum obviatrix omnium doctissimorum judicio juste appellaverim*.”  
Diss ist der Cisianus (kalendarz po niemiecku).

*W roku 1471*. Ad Paulum II liber: Speculum Vitae humanae.

Epistel Franc. Petrarcha von Grisaldis, fol.

Die Leben der Heiligen.

Ovidii de arte amandi.

Historie des Königs Apollonius.

*W roku 1472*. Isid. Hispalensis liber Etymologiarum, (literis impressi aheneis); *tegoż* De responsione mundi.

Albert Eyb. Ob einem Maune sey zu nennen ein eeliches Weib?

Hie hebt sich das buch (dwie edycye w ciągu roku).

Hie hebt sich das summerteil.

*W roku 1473*. Roderici Zamorensis: Speculum vitae humanae, fol.

Te 17 dzieł mają datę, miejsce i drukarza wyrażone.

(1) *Zapf*, Augsb. Buchdr., 1786 i 1791. *Panzer Annal. typogr. Hain Repert. bibliogra.*

Jest nadto dzieło na którem wymieniono rok druku i nazwisko *Zainera*, lecz nie wymieniono miejsca:

*Petri Comestoris historia scholastica* 1473, folio, (litteris aeneis impressa).

Znał je *Maittaire* i *Gesner*. (1780 roku).

Są téż z podpisem miejsca *Augsburg*, i drukarza, lecz bez wyrażenia roku, jako to: *J, Gritsch Sermones*.

*Thome Kempensis: de imitatione Christi* (litteris impressi ahenis) folio. Znał je *Michał Denis* i *Schelhorn*.

*Bernardi de modo regendi*.

Jest téż druk z podpisem *Zainera* bez wyrażenia miejsca i roku: *Th. a Kempis de imitatione Christi*, folio 77 kart; inny znów na którym wyrażono tylko godła drukarni jego: *Bartholomaei Pisani* 1475, folio bez wyrażenia miejsca druku; (inną edycyą *Zapf* przytacza bez wyrażenia miejsca druku i roku typami *Pantologii* z roku 1474).

Inne znowu są datowane, ale *Zainer* na nich nie podpisany, tylko z formy typów wnoszą, iż to jego są druki, jako to:

*Guido de monte Rotherii Curatorum Manipulus* 1471 *Augsburg*. Toż samo dzieło, tegoż roku, także w *Augsburgu*, drukował *Christmann Heyny*.

*Soliloquium Augustini de arra animea*, 1473 bez wyrażenia miejsca druku fol.

*Meltinger Regiment. Augsburg* 1473, fol. kart 7.

*Aegidii Romani de regimine principum libri tres* 1473, bez wyrażenia miejsca druku i drukarza. Czcionkami temi co dzieło *Comestoris* z roku 1473.

*Panthologia: Rayneri de Pisis* 1474, bez wyrażenia miejsca. Czcionkami których używał do roku 1478.

*Joannis Lectoris summa confessorum* 1476.

*Roderici Zamorensis: Spiegel des menschlichen Lebens*, folio, przekład z łacińskiego.

*Guilerini epistole de tempore*, 1476, fol. bez wyrażenia miejsca druku.

*Stephani Flisci: Synonyma*, bez wyr. m. druku (1477).

*Liber moralitatum* 1477, bez wyraż. miej. druku 1477.

*Expositio super canonem missae*, fol. typami *Zainera* z roku 1468, a *Schüsslera* z roku 1470 bez wyraż. miejsca.

*Speculum sancte Marie Virginis*, po łacinie i po niemiecku, niema daty ni roku, domniemalnie z roku 1472,

Opróch tych, wynaleziono znaczny poczet druków nie mających daty, miejsca, drukarza, a które tylko z podobizny czcionek uznano za Zeinerowskie. Te są według Zapfa:

Joannis de Fonte Sententiarum, fol.

Th. Aquino: Catena.

History Barlaam, fol.

Guilerini postilla, fol. (około 1471 r.).

Spiegel des Sünders, w 4-ce.

Thomas, de Periculis.

Peregrinus de tempore.

Arvernus de fide.

Hyeronymi de Viris illustribus.

T. Aquino Summa, fol.

Anonymus contra judeos.

Donatus (dwojaki).

Evangelium Nicodemi.

Liber moralitatum (podobno typy *Zaincra*).

Andreae Lectura, fol.

Alb. magni de Deo, fol.

Th. Kempis: de imitatione.

Processus judiciarius, fol.

De arte moriendi.

Speculum humanae salvat: et B. M. Virginis.

Vocabularium lat. german.

*Prologus beati Jeronimi in psalterium*, fol. 54 kart.

Margarita Davidica.

Summa Sapientia.

Hieronimi de Valtibus Jesuida, fol.

Chrysostomi de dignitate, w 4-ce.

Ambrosius de officiis.

Gregorii Magni epistolae, folio, innemi czcionkami aniżeli ich używał *Zainer*, lecz rubryki są także same.

Dzieło: *Expositio super Canonem misae*, fol. drukowane jest według Praunera, typami jakich używał Jan Schüssler w Turrekremacie z roku 1472, gdy *Placidus Braun* dowodzi, iż *G. Zainer* drukował to dzieło.

Schwabenspiegel, folio.

Boccacio decameron (po niemiecku), druk przypisywany i Bämlerowi.

Gebethbuch w 12-ce.

Hugonis Sententiae.

Jacobi Zophilogium, fol.

Joannis: Compendium librorum, fol.

R. Mauri de rerum proprietatibus, fol.

Hyeronimi Psalterium quod ex hebraico transtulit.

Guilerini Expositiones, folio, dwa wydania odmienne.

Augustinus de spiritu et littera, w 4-ce.

Tenże: De animae quantitate, soliloquia, Speculum peccatoris, (są to trzy odmienne rozprawy).

Tenże: de resurrectione mortuorum w 4-ce.

Tenże: Speculum peccatoris, folio kart 2.

Wydał też *Zainer* bez wyrażenia roku zbiór dwunastu dzieł, które sprzedawano i osobno. W zbiorze tym są: Jeronimus de Viris illustribus; tenże: de essentia divinitatis. Th. Aquino de articulis fidei, Augustinus de quantitate animae; tenże de Soliloquio, Speculum peccatoris. De imitatione Christi, (na tém podpisany *Zainer*). Errores Judeorum, Veritates, processus judiciarius, Donatus, de arte moriendi (1).

W ten sposób spisałem do ośmiudziesiąt dzieł, których druk przypisywany jest *Zainerowi*, a to wyszłych od roku 1468 do 1478, w ciągu lat dziesięciu. Znamionuje to działalność jego, jak na owe czasy nadzwyczajną.

Nienależy jednak bezwarunkowo wierzyć, iżby bez wyjątku wszystko drukował sam *Zainer*. Ledwo część czwarta nosi jego podpis, gdy reszta jest tylko na domysł jemu przyznawaną, w tym razie o pomyłkę nie trudno. Mylił się najlepszy znawca *Zapf* niejednokrotnie i odwoływał w końcu dzieła to, co na początku podawał za stanowcze. Inaczej być nie może tam, gdzie nie ma dowodu prócz formy czcionek, które częstokroć u różnych drukarzy były podobne. Z uwagi na to, że więcej niż połowa druków nie mają daty ani podpisu, że w gruppowaniu inkunabułów zawsze prawie nie datowane idą przed datowanymi, możemy na pewno twierdzić, że wiele z tych druków ukazywały się przed rokiem 1469, a prawdopodobnie w Augsburgu; że *Zainer* od chwili rozjeżdżenia się cudownego wynalazku po świecie, był czynnym w Augsburgu a nie gdzieindziej.

W tym wielkim poczcie druków *Zainera*, nie napotykamy ani jednego dzieła, najpopularniejszego owęj epoki pi-

(1) *Meusel* Histor. litter. bibliogr. Magazin I Stück s. 57 - 62,

sarza duchownego *Torquemady*. Gdy przeciwnie *Jan Schüssler* jego współcechowy, drukował: *Explanatio in psalterium* roku 1472 i 1473, tudzież jedną czy dwie odmienne edycje bez wyrażenia roku. Edycją bez daty chwalał *Zapf i August Reiser*, o czém *Jakob Quetif* pisze (1), a nawet tenże, jako i *Willh. Cave* i kilku innych twierdzą, że *Jan Schüssler* wydał dzieła *Turrecrematy* w Augsburgu 1472 roku w VIII tomach, tych atoli ani *Zapf*, ni żaden z bibliografów nie wysłędzili. Staranny *Zapf* przytacza tylko wydanie innego dzieła *Turrecrematy*: *Flores sententiarum*. Augsburg 1496 w 4-ce, powołując się na *Fabrycyusza* (2), którego nigdy nie widział, tudzież tegoż pracy: *Incipit tractatus de efficacia aque benedictae* fol. ark. 4 bez wyrażenia drukarza i roku, a które przypisuje *Antoniemu Sorgowi*, jednemu z najobfitszych drukarzy augsburskich, który drukował od 1475 do 1493.

Dostrzegłszy *W. Zapf*, iż dzieło *Turrecrematy Explanatio in psalterium* wydane bez wyrażenia roku, ma typy podobne do druków *Gintera Zainera*, mianowicie: do dzieła *Th. a Kempis de imitatione Christi*, folio (literis expressa ahenis), w którém na druku wymieniony jest *Zainer*, lecz druku miejsce nie jest wymienione, wniósł nie bez zasady, iż *Zainer* drukował dzieło *Turrecrematy* w Krakowie. Że zaś od roku 1468 stale osiadł w Augsburgu, zawniósł, iż pobyt jego w Krakowie przypadł na lata 1465 do 1467.

Silniejszych dowodów na poparcie twierdzenia swego nie ma. W ogóle argumentowanie *Zapfa* jak się z jego dzieł przekonać można, jest zawsze niepewne, częstokroć nie wiąże się należycie, zbyt polegające na uprzedzeniu się z góry powziętém. Zarzut podobny czyniono mu już współcześnie (3). Zdarza się, że co jednego roku przytacza, to w drugim tonie lub w dodatku odwołuje i wykreślać każe. Toż samo jest i z jego dowodzeniami o dacie druku *Turrecrematy* i o *Ginterze Zainerze*.

(1) *Scrip. Ord. praedic.* 1719. I. 837—849.

(2) *Bibl. lati. med. et infim. aetat.* 1754 w 4ce, IV, 162.

(3) „Der Schreibart des H. Zapf fehlt sogar sehr an Zusammenhang, Richtigkeit und Reinigkeit“ (*Supplem. zur Allgem. Literatur-Zeitung vom J. 1786. N. 2, str. 14*).

Że *Ginter Zainer* nie mógł drukować dzieła tego między rokiem 1465 a 1468, wypływa z moich wniosków, mianowicie: iż *explanatio in psalterium* za życia *Turrecrematy* nigdzie nie było tłoczone, że było dopiero w połowie 1464 r. napisane, trudno przypuścić więc, by je autor *natychmiast* przysłał do Krakowa (odbicie bowiem 75 arkuszy druku, wymagałoby jak na owe czasy, w początkowej drukarni więcej niżeli rok zajęcia) celem wydrukowania dzieła, a to najniedbalój.

Gdyby nawet uczynił to, nie byłbyż autor, (który żył do r. 1468) zaraz postarał się, aby u drukarza przezeń sprowadzonego *natychmiast* lepsza edycja poprawna pod okiem autora wyszła?

Gdyby druk istotnie 1465 r. wyszedł, nastąpiłyby bez wątpienia od razu nowe wydania, bo książka tak poczytna na owe czasy, miała od chwili ukazania się swego w Rzymie 1470 roku, co rok niemal edycye, czasem dwa razy do roku, jak to okazałem powyżej: poczytność tego dzieła trwała do końca XV stulecia, a nawet i później.

Z uwagi na to powodzenie księgi od r. 1470 wypada pewnik, że gdyby istotnie krakowska edycja była z. r. 1465, ówczas byłaby do r. 1470 kilkakrotnie odbita. Jednakże do r. 1470 żadnej edycji nie napotykamy, a pierwsza pewną mająca datę, wydana jest przez drukarza, którego sprowadził *Turrekremata* do Rzymu, i któremu pierwszą swą pracę *Meditationes* powierzył. To dowodzi, iż *Torquemada*, druk pierwszej edycji dzieła *Explanatio*, zarządził pod swoim nadzorem w Rzymie; że zatem, do r. 1470, *Zainer* w Krakowie nie drukował.

Czy zaś w ogóle drukował? i o tém powątpiewam. W spisie wszystkich druków *Zainera*, nie napotykam *Turrekrematy*. Tegoż nie napotykam w spisie dzieł, które podarował w r. 1474 klasztorowi Bukshoimskiemu. Wprawdzie wzmiankowano tam, że darował *titulos psalmorum cum expositione*, ale to nie jest tytuł dzieła *Turrekrematy*, ściąga się to raczej do dzieł, które pod bezimiennymi wymieniłem.

*August Bernard* (1) miał w ręku podobiznę katalogu dokładnego dzieł, który wydrukował *Guenter Zeiner* ofiarując

(1) L'orig. de l'impr. 1853. II. 123—125.



druki swoje na sprzedaż. Jest ona w rzadkim zbiorze podobizn wydanym przez Dr. *Klossa* z Frankfurtu nad Menem. W spisie tym, nie ma również wzmianki o *Turrekremacie*. Przynajmniej *Aug. Bernard* byłby zwrócił na to uwagę, gdy przeciwnie, mówiąc o tym katalogu ksiąg, jednocześnie zaprzecza, by *Zainer* drukował r. 1465, lub kiedykolwiek *Turrekrematę*.

*Jan Chrzyciel Bernhard* Sekret. bibliot. w Monachium, wystąpiwszy przeciw *Zapfowi*, zarzuty swoje oparł na tém:  
„iż *Zajner* od r. 1468 do 1470 drukował w Augsburgu czeionkami odmiennymi od użytych w *Turrekremacie*.

„iż druki temi typami (według twierdzeń *Zapfa*), pojawiają się pierwszy raz w dziele *Tomasza a Kempisa* w edycyi z r. 1472. Jest to właściwie edycja bez wyrażenia miejsca i roku, ale z podpisem *Zajnera* (1).

„że zatem trudno przypuścić, iżby *Zajner* nie używając typów tych do roku 1472, ale inne już mając, powracał znowu do nich, tem bardziej, że w r. 1470, typy swoje dawne sprzedał *Janowi Schueslerowi*, i te dopiero po *Schüslera* zgonie miały przejść do *Jana Zainera* w Ulmie.

„że takimi samemi typami jakimi dzieło *Turrekrematy* drukowali i inni augsburezcy, jako to:

Chrystyan Heyny: Curatorum Manipulus 1471 w Augsburgu (2).

Ambroży Keller. 1476 do 1479.

Jan Baemler 1477 drukował do 1495.

Hermann Kaestlin 1481 do 1484.

Jan Schauer 1482, który i r. 1494 miał być w Augsburgu.

Jan Blaubirer 1483 drukował od 1478 r.

*Günter Zainer* słynący z pięknych druków, nie byłby nigdy wydawał dzieła tak niedbale; uczynił to niewątpliwie drukarz podrzędny, a najpewniej *Jan Schauer*, który z podobnym niedbalstwem tłoczył: *Mirabilia urbis Romae*.

(1) Zapf: Ueber eine alte und höchst seltene Ausgabe von der Joannis de Turrecremata Expanatio in psalterium und einige andere typographische Seltenheiten eine literarisch bibliogr. Abhandlung von... mit 6 Kupfertafeln. Nürnberg 1803 w 4ce, str. 22.

(2) Panzer. Annal. I, 101, N. 10. „Charact. goth, simil. Günth. Zaineri sine. sign, cust et pag. num. lit. initiat. ligno incis.”

Do tych zarzutów dodać można, iż brak kustoszów, sygnatur i liczbowań w książce, dowodzi wprawdzie jej starożytności, ale nie znamionuje wyłącznie zarania drukarstwa. Sygnatur używano od 1472 r. (*Kolhof* w Kolonii), kustoszy głóskami około r. 1470. numerowań kart od r. 1470. (*Terhorner* w Kolonii), kart tytułowych od r. 1487 (1), Registrum chartarum od r. 1469. (*Sweynheim* i *Pannartz* w Rzymie), ale te ulepszenia nie wszędzie przyjęły się; upłynął nie jeden dziesiątek lat, zanim uznano powszechnie ich użyteczność (2). Również podobieństwo czcionek, w braku innego poparcia, nie stanowi dowodu, zwłaszcza, że *Zainer* zmieniał czcionki pięć razy. Mógł on dawne zużyte odprzedać komu innemu, jak to sam *Zapf* pisze, iż sprzedał czcionki Janowi *Schuesslerowi*. Samo podobieństwo, brane za dowód, powiodłoby nas na bezdroża. Wiemy np. że *Mikołaj Bechtermünze* używał r. 1467 w Eltwil tych samych czcionek, któremi drukować miał *Guttenberg* dzieło *Catholicon*, a przecież druków *Bechtermünza* nie przypiszemy *Guttenbergowi*.

Co więc, sam *Zapf* nie jest pewny swego. Bierze za podstawę *Tomasza a Kempisa*, nie udowodniwszy pierwój, że to istotnie jest druk Augsburski, i z daty r. 1472. Z zakończenia dzieła dowiadujemy się, że je tłoczył czcionkami spiżowemi Ginter Zajner, lecz nie więc. *Zapf* w opisie druków Augsburga szedł za *Denisem*, *Schelhornem* i *Meuselem*. Sam dzieła tego nie znał, umieścił je atoli pod r. 1472, zaś w pracy swój o *Turrecremacie* pisze, iż *Tomasz a Kempis* wyszedł r. 1471 lub 1472 (str. 25).

Podobne wahanie się widne co do samych czcionek. Pisze, iż *Turrecrematy* druk podobien jest do druków *Zainera* tych: *liber de Arte moriendi*, *Augustini liber de anime quantitate* tegoż *Soliloquium liber primus*. *Speculum peccatoris*, *Hieronimi de essentia divinitatis*, *Thomas de Aquino de articulis Fidei* i *Tomasz a Kempis*. Ostatniego jednak tylko bierze pod rozwagę.

(1) Seitzinger I. G. Biblioth. Wissenssch. 1863. s. 18.

(2) *Jan ze Spiry* w r. 1470, pierwszy użył reklam czyli kustoszy w *Tacycie* (wyd. Wenecya), a te dopiero r. 1520 przyjęły się we Francji. *Peignot* Dict. Bibliog. 1804.

Podaje podobiznę czcionek i istotnie jest ona uderzająca. Ale rozumowanie *Zapfa*, psuje złudzenie. Porównywając obadwa dzieła znajdujemy (mówi *Zapf*) małą różnicę. Typy *Turrekrematy* są nieco nierówne, znamionują starożytność swą, gdy typy *Tomasza a Kempis* są równiejsze, gustowniejsze, znamionują wiek młodszy. Wielkie głoski zupełnie się zgadzają. „To rozumowanie *Zapfa* pobija go stanowczo. Uznaje tożsamość typów, a razem ich niejednostajność i ztąd dawniejszość druku *Turrekrematy* wywodzi. Gruba to pomyłka. *Turrekrematy* typy są nierówne dlatego, że już są starte, zużyte... *Tomasza a Kempis* są świeże, dlatego, że nie zniszczały zużyciem. Wielkie głoski nie zużyły się, bo są wytrzymalsze i rzadziej używane, dlatego pozostały jednakowe. Ztąd dowód przeciwny, niż go wyprowadza *Zapf*, dowód za starożytnością *Tomasza a Kempis*, a nie *Turrekrematy*.

Inne dowody *Zapfa* jeszcze mniej są trafne. Powiada, iż znaki wodne w *Turrekremacie* są: głowy wołu mające między rogami to krzyż, a nad tym gwiazda o pięciu promieniach, to krzyż bez tego, ale wół trzyma w pysku rodzaj korony, to z różą siedmiolistną na długim pręciku. Powołuje się na *Chr. Gottl. Schwartza*, że te filigrany pojawiają się na początku r. 1460. Atoli dwa z tych filigranów znajduję w rękopismach polskich od roku 1412 (róża) do 1474, (krzyż i gwiazdę), a głowa wołu z różnymi zmianami jest już w XIV stuleciu; filigran zatem, to wątpliwy dowód.

Również niczego nie dowodzi okoliczność, iż domalowywane są duże głoski zupełnie tak samo jak w edycji dzieła *Turrekrematy* przez *Schüsslera* r. 1472. To podobieństwo uderzające formą malowideł liter, znamionowałoby tylko, że druk *Schüsslera* służył illuminatorowi za wzór; szkoda, że *Zapf* nie zadał sobie pracy porównać text obudwóch edycji, a z tego porównania pewnieby wypadło, że druk *Cracis* jako więcej myłek zawierający, jest przedrukiem z edycji *Schüsslera*.

*Zapf* opisując dalej inicjały mówi, iż na karcie pierwszej, stronie drugiej od góry, przypada duże *B*, na które zostawiono miejsce przez zwięzienie pięciu wierszy, w innych miejscach wysokość litery dużej, sięga dwu wierszy i na tyle drukarz zostawia miejsca. Zaś tam, gdzie duże *I* przypada,

to tylko w tej linii następująca głoska posuniętą jest dalej o dwie lub trzy głoski (psalm 10, 25, 34, 43), lub też wcale nie są posunięte (psalm 13 i 30), dlatego że rubrykator literę *I* malować mógł na odrzeczku. W innych zaś dużych głoskach, wiersze są cofnięte o 4 lub 5 głosek. W egzemplarzu *Zapfa* rubrykowanie czerwone dochodzi do psalmu 43. Ten układ drukarski wierszy, jest taki sam i w edycji *Schüsslera* z r. 1472, ostatnią zatem, drukarz krakowski musiał mieć przed oczyma..

Z rozumowań *Zapfa* (str. 23) wypływa, iż on nie sądził, iż *Turrekrematę* drukował *Zainer* temi samemi czcionkami co *Tomasza a Kempis*, lecz całkiem podobnemi. Aby bowiem dawniejszość *Turrekrematy* utrzymać, powiada: „Porównanie typów których używał *Zainer* do wydania *Tomasza a Kempis* i innych swych dzieł z r. 1470, z drukiem *Turrekrematy*, okaże od razu różnicę i przekona znawcę, że w *Tomaszu a Kempis* użył nierównie gustowniejszych, odpowiedniejszych wzrostowi i postępom drukarni, pod względem piękności i czystości.” Gdybyśmy to przypuścili, jeszcze byłoby trudniej o dowody na korzyść *Zainera*, bo ówczas, przemawiałoby podobieństwo a nie tożsamość czcionek. Z prób atoli przez *Zainera* podanych, niema wątpliwości co do takożsamości druku.

Szczegół, iż druk jest nierówny, że po kilka liter wychodzą ponad linią, dowodzi tylko małej wprawy lub niedbałości. Więcej dowodów *Zapf* nie ma. Moje przeciwdowody postawiłem i sądzę, że są silniejsze. Na nich oparty, obalam datę roku 1465, wykreślam nazwisko *Zainera* i twierdzę, iż *Turrekrematę* drukował niewiadomy drukarz w Krakowie.

Obaliwszy ustaloną powagę błędu, nie jestem już związany żadną datą zagadkową. Mógł druk wyjść kiedykolwiek bez względu, czy równocześnie *Zainer* pracował w Augsburgu lub nie? Mając przyjąć datę najbliższą prawdy, biorę rok 1474 lub 1475, to jest rokiem wprzód przed podpisaniem się *Crucifera* roku 1475 (według *Bandtkiego*) lub 1476 (według *Lelewela*).

Tak bowiem, jak klasztor w Augsburgu brał udział w drukach *Schüsslera* i *Zainera*, tak najoświeceniwszy u nas zakon Miechowitów, wydający kopistów aż do czasu wy-

nalezienia druku, mógł przyczynić się do sprowadzenia drukarza, któryby im oszczędził mozola w przepisywaniu dzieł *Turrekrematy*, *s. Augustyna* i innych dla nauki i pracy duchowieństwa potrzebnych. Mógł *Crucifer* zarówno rubrykować dzieło, jako i uczestniczyć w wydaniu onego.

Uczestniczenie osoby duchownej, wcale nie byłoby rzącem. Mamy inkunabuły, na których księża podpisują się jako drukarze, tak jak dawniej podpisywali się jako przepisywacze. Coś podobnego mamy w druku obchodzącym nas bliżej. Na dziele: *Statuta synodalia Domini Rudolphi Episc. Vratislaviensis* (1), wydrukowano: *Quae in alma urbe Vratis: per C. Elyan Collegiate c. s. Crucis ibidem succentorem. Impressa et feliciter consumata sunt a. d. 1475.* Z podpisu tego widno, że to dzieło, jeżeli go wymieniony ksiądz nie drukował, to w wydawnictwie jego brał udział.

Temi samemi typami co druk *Turrekrematy*, wyszło i bez wyrażenia miejsca dzieło, które słusznie uznał *Bandtkie* (2) za pochodzące z tejże officyny w Krakowie.

Drukowane jest na tym samym papierze, z temiż samemi wodnemi znakami z głową wołu, z krzyżem między rogami; ma 40 wierszy na stronnicy, bez kustoszy, bez liczbowań, gotyką, folio kart 173.

Na czele stoi napis: *Omnes libri Beati Augustini Aurelii de doctrina christiana tres. Preter quartum, qui tractat de modo pronuntiandi sermones catholicos* (3). Tytuły dalsze w dziele tém idą:

Incipit liber Aur. Aug. de natura summi boni (karta 34 a wiersz 36).

Incipit liber de laude et utili (karta 44 a wiersz 40).

(1) Hanusz: *Zusätze und Verbes. zu Hanslik's Geschichte und Beschreibung der Prager Universität.* Praga 1863, w 8cc.

(2) *Index lectionum 1821—1822.* Z poniżej wymienionych dzieł *Hain* zna inne edycje jakoto: *De disciplina* (w 4cc. Kolonia u Ul. Zella b. r. i bez w. m. i r. w 4cc); *Soliloquia* b. w. m. i r. f.; także *Winderperg* 1484 r. De contemptu b. w. m. i r.

(3) Wyraz *Katholicos* pisany zamiast *catholicos*, możeby komu nasuwał myśl, iż użyty jest z polska, że zatem druk książki, polski zecer składał. Pisze jednak *Knapski* (*Thesaurus lat. pol.* 1754. s. 516) iż łacinnicy nadużywają w greckich nazwach litery *K* i częstokroć używają jej zamiast *c* i w łacińskich wyrazach np. kaput, kalamitas, kalumnia.

Incipit liber de vera ac falsa penitentia (k. 46 w. 26).

„ speculum sive manuale S. Augustini (k. 57 w. 20).

Liber de contemplatione Jesu Christi (k. 71).

Explicit liber beati Aug. (k. 71 w. 31).

Daléj idą białe stronnice do karty 77.

Liber Aug. de fide ad Petrum et de Trinitate (k. 77).

Incipit regestrum Soliloquii (k. 91 w. 10).

Incipit liber Soliloquiorum (k. 92).

Explicit (tak) Soliloquium beati Aug. (k. 113).

Incipit liber de honestate mulierum ad clericos (k. 114).

Incipit liber Aug. de contemptu mundi (k. 115).

„ „ „ de correctione et gratie (k. 118).

„ „ „ de simbolo (k. 113).

„ Augustinus de disciplina cristiana (k. 137 w. 19)

„ de cura mortuorum (k. 142).

Incipit liber beati Aug. de conflictu vitiorum et vir  
(k. 151).

Sequitur Aug. de predestinatione Sanctorum (k. 159).

Explicit „ „ „ „ (k. 173 w. 34).

Zbioru tych 16 dzieł *Hain, Grasse, Brunet* i inni bibliografowie nie znają. Dłaczego wydawca pism ś. Augustyna zapowiada z góry, iż wydaje zbiór prac z wyjątkiem dzieła *de modo pronuntiandi sermones* trudno się domyślić. Być może, iż jednocześnie wyszło to dziełko gdzieindziej (1) osobno, dlatego uznał za zbyt cenne drukiem je odnawiać. W takim razie druk ten możnaby odnieść do epoki po roku 1466, lecz domysłu tego niezem więcej poprzec nie zdołam. Byłby to wszelako druk poprzedzający znacznie *Turrekrematę*. Odbicie pism ś. Augustyna ma być czystsze i nie tak starte jak *Turrekrematy*, lecz tego nie mogłem sprawdzić. Inny jest zbiór innemi typami równie bezimienny, który wcale nie należy do powyższego, chociaż mógłby być niejako jego uzupełnieniem co do osnowy, bo obejmuje:

*Incipit liber sancti Augustini de anima et spiritu, de ebrietate de vanitatibus saeculi, de vita christiana, ad virgines de sobrietates et ebrietate, de quatuor virtutibus caritatis, de*

(1) De doctrina christiana seu de arte praedicandi (Explicit liber quartus de doctr. christiana) bez wyraź. i miej. i roku (Strazburg 1465—1466 u Mentelina) edycye dwie jednego roku; także Moguncya druk Fusta (1466?), jest i edycya b. w. r. i m. niewiadomego drukarza, kart 98 w 4ce,

*contritione cordis, anno 1472 w 4-ce, kart 47 po 24 wierszy. Druk typami rzymskimi, dlatego Panzer zalicza go w poczet włoskich, gdy Laire przypisuje Zainerowi.*

Jest jeszcze druk ś. *Augustyna* Incipit Soliloquiorum liber, fol. po 23 do 35 wierszy na stronnicy. Typy mają być podobne do Zainerowskich, ale tych któremi drukował *Speculum vitae humanae*, druk ten nie jest ten sam co w krakowskiej edycji dzieł ś. *Augustyna*, lubo pismo w tym samym kształcie i zarysach. *Bandtkie* zapytuje, ale nie utrzymuje, czyli to nie jest oddruk ze zbioru, który drukowany jest typami *Turrekrematy* i *Tomasza a Kempis* (1472)? Domysł byłby naciągany, a w ogóle dla nas zbyt czyny, bo *Speculum* drukowane jest innemi typami niż *Tomasz a Kempis*. Oświadcza bowiem *Zapf*, iż typów tych w *Tomaszu a Kempis* użył *Zainer* po pierwszy raz, gdy więc *Speculum* rokiem pierwój (1471) drukowało się, zatem były to typy odmienne (1).

Nie mogę pominąć szczegółu, iż według *Bandtkiego* (2) bibliograf *Jan Chyliczkowski* miał inny druk, na innym papierze z podpisem *Cracis*. Taki miłośnik jak *Chyliczkowski*, nie mógł się chwalić bez zasady, wierzę więc podaniu temu, lubo nie bliższego nas o tém nie doszło. Bibliotekę *Chyliczkowskiego* nabyto do Biblioteki Głównej Warszawskiej, jeżeli w zbiorze tym był i ów druk, szukać go trzeba w petersburskiej bibliotece, dokąd inkunabuły przeszły na własność.

Przy téj sposobności *Bandtkie* pyta: czy nie było więcej edycji *Turrekrematy* w Krakowie? on atoli rozpatrując pięć egzemplarzy, żadnej między niemi nie znalazł różnicy.

Nie było może drugiej edycji, ale zdarzało się zapewne, iż przedrukowywano niektóre arkusze brakujące. Przynajmniej upewniał mnie *IMX. Adam Jakubowski* miłośnik i znawca ksiąg, iż egzemplarz swój wypełniony inicjałami domalowywanemi, porównywał z egzemplarzami krakowskiej biblioteki i *Morsztyna* i przekonał się, iż jego egzemplarz był nieco odmienny; niektóre arkusze środkowe co do liczby wierszy i co do błędów drukarskich, były inne, zatem widocznie były przedrukowywane (3).

(1) Brunet ed. Sta. I 563.

(2) Hist. druk I, 145.

(3) Egzemplarz augsburski ma po 37 wierszy, lecz na pierwszój stronie karty 73 i na drugiej stronie karty 74 ma po 36 wierszy, na drugiej

Tenże IMX. rektor *Jakubowski* miał dzieła zwyż opisane ś. *Augustyna*, które do biblioteki hr. Potockiego odstąpił. Również porównywał typy druku tego, papier i znaki wodne z typami i papierem *Turrekrematy* i przekonał się, iż z jednej wyszły officyny.

Na tém czynię rozbrat z datą r. 1465 i z nazwiskiem *Zainera*; na miejsce czego, pozostawiam datę roku 1474—6.

Ta nowa data bardziej nas wiąże z nieprzerwanym prawie ciągiem drukarstwa polskiego w Krakowie, Wrocławiu, Mecu i t. p. Jakoż napotykamy *Statuta Synodalia Rudolphi Episc. Vladislav.* z datą roku 1475, o których mniemał czas pewien *J. Maks. Ossoliński*, że je drukowano w Krakowie (1), a które *Friederich* (2) zarówno *G. Zainerowi* jako i *G. Eggensteinowi* (w Strasburgu) przypisywał. Statuta te ważne są dlatego, że zamieściły najpierwszy druk polski: Modlitwa Pańska, Ojeze nasz, Skład Apostolski.

Data więc r. 1475, jest datą ukazania się pierwszego polskiego druku, od niej stosowniej byłoby zaczynać nowy peryod piśmiennictwa u nas, a nie od późniejszego, jak to czyni *Wójcicki K. Wł.*, który zaczyna okres 3-ci literatury polskiej, od Bogarodzicy zamieszczonej przy statucie Łaskiego w roku 1506, lub jak *Lesław Łukaszewicz* od roku 1522, jako daty osobno wyszłej książki polskiej.

Podobiznę druku tego podaje *Keppen* *Sobranie* 1837, tom IX i Bibliogr. listy 1825, str. 79, *Stronczyński* *Wzory pism.* *Hanka Wacław* w czasopiśmie Czes. Muzeum 1840. *Maciejowski Wacław* (Piśmien. T. III) i *Heltman W.* (Tabl. synopt). Dwaj ostatni, uznają go za druk norymberski, *Maciejowski* podaje za druk ksylograficzny, lecz nie upowodował swego twierdzenia (3).

Nie wątpię, że skoro raz w r. 1475 spróbowano druku polskiego, drukowano już ciągle. Druki były drobne, świstki, ćwiartki, pieśni i modlitwy, abecadła, poczem szła litera-

stronie karty 73 a 1 stronie karty 74 ma po 30 wierszy. Karta ostatnia 149, strona odwrotna ma 31 wierszy.

(1) Lelewel: Śpiewy histor. pod względem historyi uważane str. 20.

(2) Literar. Beiträge (z. Provinzialblätter) 1822 Sept. s. 257—259.

(3) *Bartoszewicz J.* (Hist. lit. 1861 s. 72) mówi o jakimś druku polskim w księdze z r. 1490 w Wenecyi wydanej, ale o jakim, nie wiem.



tura broszurowa także zatracona, a dochowała się literatura książkowa.

Taka była kolej drukarstwa we wszystkich miastach Europy. Wszędzie bez wyjątku czas pozatracił mnogie płody drukarstwa z XV stulecia. Między okładkami opraw, w kodeksach pergaminów, wynajdują się corocznie nowe skarby ćwiartkowej literatury. Ileżto szczątków niemieckich i hollenderskich donatów wynaleziono dopiero w tém stuleciu, pomimo, że szukano ich napróżno od dwóch stuleci i w końcu stracono wiarę w ich istnienie.

W Genewie np. dochowała się supplika kopistów wystosowana do rządu w roku 1471 przeciw drukarzom, którzy odbijali donaty, modlitewniki, psalterze i brewiarze. W r. 1474 drukowali tam *Maciej Morawczyk* i *Michał Monaco*, a dzisiaj ani śladu tych wszystkich druków, gdyż najdawniejszy dosięga r. 1478. Tak więc całe dziesięciolecie drukarstwa genewskiego pogrążone jest w niepamięci.

Tak samo *Eggenstein Henryk* w Strasburgu, w edycji *Constitutiones Clementis IV* około 1466 r. chwali się, że już wydrukował niezliczoną moc tomów praw boskich i ludzkich, a jednak dotąd nic z tych druków nie wysledzono. My również ani wiemy dzisiaj co się drukowało u nas w XV wieku, a jeżeli znajdziemy jaką wskazówkę, to nie dowierzamy jej a nawet zaprzeczamy.

Wszak r. 1478 *Jan Adam* z Polski drukował w Neapolu, a *Lanzalao Stanisław, Władysław* czy *Stefan Polak* w Sewilli r. 1491. Snadniej przypuścić, że znajomość sztuki tej wywieźli z kraju swego, niż że nie słysząc o niej u siebie, znaleźli ją gdzieś po drodze u obcych.

W odpowiedzi na to, przytoczy kto cały szereg dzieł naszych drukowanych za granicą. Wyręcę go w tém. Są one: *Mateusza z Krakowa Tractatus rationis* (po 1468), *Expositio orationis Dominicae* (Kolonia) 1470.

Utrum expediat sacerdotes missas continuare. Memmingen 1491.

*Marcina Strzębskiego Chronicon*. Rzym 1474. 1477. Turyn.

Tegoż *Sermones*. Strasburg 1484, 1486, 1488.

Tegoż *Margarita decreti* 1486, Strasburg, edycyi 20 do 1500 r.

*Mikołaja z Blonia*: Tractatus Sacerdotalis, Strasburg 1487 edycyi 10 do r. 1499, tegoż:

Sermones. Strasburg 1491 — 1498 r.

*Joannes de Cracovia*. Prognosticon 1494 (Lipsk?).

*Ladislaus de Cracovia*. Judicium, Rzym. 1498.

*Jana z Głogowy*: Liber analeticorum, Lipsk 1499 nakład J. Hallera.

Te druki dowodzą tylko, że naszych uczonych dzieła miały powodzenie za granicą, drukowano je dla niej, a nie przez nas i nie dla nas wyłącznie.

Inny był powód druku mszałów i diurnałów za granicą. Drukować je na miejscu wypadłoby drogo, bo musiano by wykrawać i odlewać czcionki odpowiednie, co wszystko było kosztowne i długiego czasu potrzebowało. Dlatego taniej i szybciej wypadało, druki zamawiać tam, gdzie już miano odpowiednie zapasy. Z tego powodu widzimy drukowane za granicą dzieła liturgiczne jakoto:

Mszał krakowski r. 1484 w Moguncyi, tamże 1487 u Schöffera.

Mszał dwojaki z lat 1494 czy 1495 w Norymberdze nakładem J. Hallera a drukiem J. Stuchsa, folio i w 4-ce.

Diurnale 1494, druk tamże (1).

Missale, folio bez wyrażenia miejsca i roku kart 330, liczbow. (może z r. 1502).

Mszał poznański w Strazburgu około 1491 roku.

Oprócz druków tych mamy jeszcze urzędowe, sięgające tej epoki. Są to statuta podwójne: królewskie i synodalne jako to: *Constitutiones et statuta vel sintagmata provincialia incliti regni polonie per sereniss: principem et D. D. Kazimirum primum (zamiast III-um) polonie regem etc. edita* w 8-ce dużej ark. 7 bez wyrażenia miejsca druku i drukarza. Druk gocki kart 56 inicjały domalowane (2).

Dzieło to wyszło w dwóch edycjach, znanych jest około 12 egzemplarzy a może i więcej. Mniemano zrazu że to

(1) Zdaniem *Janockiego* (Nachricht 1733) *Jan Stuchs* zjechał może do Krakowa, i tu kosztem Hallera drukował mszały.

(2) *Oelrichs Libri Constitutionum* 1768 w 4ce. *Bandtkie* H. Dr: Krak. s. 173—178. *Ossoliński*: Wiad. hist. kryt. II s. 349. *Czacki*. O lit. prawach I, 30 i 245. *Beutkowski*: Hist. lit. pol. II, 127—129. *Lelewel*: Bibl. ks. I, 56. *Wiszniewski*: M. Hist. lit. II. 450. *Bandtkie* I. W. Jus Polon. 1831 s. XI.

druk krakowski Fiola z r. 1491. *Lelewel* dopiero doszedł, że drukowano przed r. 1490, to jest: przed drukiem statutów węgierskich *Macieja Korwina* podobnemi czcionkami tłoczonych. Na dowód tożsamości typów podał podobiznę obudwu.

Tych samych czcionek zdaniem *Lelewela* używać miał *Melchior Lotter* w Lipsku od 1489 do 1491 r., ale że nasze druki są bez daty, to przypuszczając, iż istotnie *Lotter* drukował, wnosićby można, iż *Statuta* wyszły przed rokiem 1489, to jest: przed czasem kiedy zaczął drukować w Lipsku. Jest to powiedziane na zasadzie prawidła ogólnego, że inkunabuły bez daty pojawiają się przed datowaniami.

Przyjęto dowodzenie *Lelewela* za pewność. Uznaje przypuszczalność dowodu, lecz nie stanowczość. Wszyscy bibliografowie niemieccy piszą, że *Melchior Lotter* drukował w Lipsku od r. 1491 czy 1497 do 1518 (1). *Lelewel* wyszedł druki lipskie z lat 1489 do 1494, bez podpisu drukarza. Podobieństwem czcionek wiedziony, uznał je za druki *Lottera*. Niemcy nie uczynili tego. Druk taki z r. 1489 uznany przez *Lelewela* za *Lotterowski*, ma być podobny do edycji statutów *Kazimierza*. Trzeba pierwsze udowodnić, aby następnie wnioskować o drugim. Nie uczynił tego *Lelewel*. Możliwyby zatem i co innego przypuszczać, zwłaszcza że jest jakiś druk niby wrocławski z r. 1489, który coś napomyka o *Macieju Korwinie* królu. Mógł *Lotter* przed ukazaniem się swoim w Lipsku r. 1491, drukować we Wrocławiu i gdzieindziej, zwłaszcza że drukował także dzieła w Misnii i Wittemberdze, a około 1495 r. we Freiburgu.

Do tegoż pocztu należą drukowane w XV stuleciu: *Statuta provincialia toti provinciae Gnesnensis*, edycje dwie opisane przez *Bandtkiego* i *Lelewela*, a o których jest mniemanie, że je również *Lotter* w Lipsku drukował, domysł chyba dlatego, że je oprawiano razem ze statutami *Kazmierzowskimi*. *Lelewel* nie śmie twierdzić, poprzestaje na domyśle, iż to jest jakiś druk nadreński.

(1) Falkenstein: Buchdruckerkunst 1840 podaje, iż od r. 1497; zaś w *Panzerze* (Annales 1793) znajduje dwa druki *Lottera* z r. 1491 i 1494, lecz pierwszego, tenże, jak również *Denis* (Suppl. 89 str. 310) i *Hain* nie znają bliżej, i nie jest on opisany, zatem nie pewna to data. Druku zaś *Disputatio de immaculata conceptione* 1489, który *Lelewel* wziął do porównania ze statutami, *Hain* (Repertorium 1826 str. 520) nie uznał za *Lottera*; jedynie data r. 1497, druków w Lipsku jest pewną.

Jedna edycja statutu ma kart 75 w 4-ce a po 36 wierszy, druga zaś ma 64 kart a po 32 wierszy w 4-ce (1).

Przedrukowano je też w edycji wrocławskich statutów staraniem Turzona w r. 1512, w edycji Hallera w Krakowie z r. 1518; także jest edycja r. 1528 i inna opisana przez M. Wiszniewskiego.

Dopóki dowiedzioném nie jest, że statuta wrocławskie istotnie w Wrocławiu tłoczono (2), iż Kazimierzowskie w Lipsku się ukazały, dotąd można tylko prawdopodobieństwo uznać, iż w tych miejscach drukowano, ale nie bezwarunkowo poprzestawać na tém, jako na rzeczy niewątpliwěj. Owszem, zawsze jest otwarte pole dla krytyki. Może się z takiego dociekania nie jedno wyświecić. Należałoby też dójść, czy i statuta króla *Korwina* († 1490 r.) napisane roku 1486, które zatém prawdopodobnie drukowały się w latach 1486 do 1490, nie mogły się drukować we Wrocławiu lub gdzieindziej?

Dzisiaj nie mając żadnych dowodów, nie możemy się opierać na gołosłownych przypuszczeniach. Dlatego zostawmy kwestyę mniej więcej na tym punkcie, do jakiej ją dziś doprowadził *Joachim Lelewel*.

Jako zabytek druków XV stulecia figurują także prognostyki krakowskie, mylnie u nas za efemerydy czyli kalendarze brane, tak zwane *Judicia*. Trzy są: *Michała Wrocławczyka* z lat 1493 do 1495. Opisał dwa *Bandtkie J. S.* (3), a o jednym mówi *Sołtykowicz* (4). Że wychodziły wcze-

(1) U Jochera Nr. 7483. Wiszniewski T. V s. 76—78.

(2) Pierwszy drukarz wrocławski jest *Konrad Baumgarten* drukujący od r. 1503—1504. Temi dopiero laty wynurzają się druki wcześniejsze jakoto: *J. Gerson tractaculus bonus de modo vivendi omnium fidelium* (z dopisaną datą miniatora 1490) b. w. m. i r. w 4cc, kart 8, i *Tractatus de Censibus sub titulo redemptionis Joh. Langer de Bolkinhayn* w 4cc kart 25. Przedmowa datowana 1489 r. z Wrocławia, lecz miejsca druku, daty i drukarza niema. W *Chronodistichu* jest: *Celsa tenens regni Ungarie Rex Sceptra Mathius Tunc codex presens spargitur arte foras*. O tém obacz: *Budik: Vorschule* 1848—i *Schles. Provinz. Blätter* 1822, liter. Beil. str. 257.

(3) *Hist. druk, krak.* s. 160—161. Szczególna rzecz, iż pominął *judicium* z r. 1493 przytoczone przez *Sołtykowicza*.

(4) O stanie akad. *krak.* (s. 240). *Bentkowski* o najdawniejszych drukach s. 36.

śniej, ani wątpić. Uznano je za druk zagraniczny, to tylko domysł, który należy ostrożnie przyjmować. Domysł ten dlatego jest postawiony, iż niema wskazówek co do ciągłej działalności drukarstwa krakowskiego od roku pojawienia się u nas *Turrekrematy*.

Do druków polskich XV wieku niedatowanych zaliczamy *Jana z Głogowy* prof. akademii krakowskiej: *Questiones librorum de anima magistri Joh. Versoris* około r. 1497, wydane, gdy inna edycja r. 1501 w Metz u nakładem Jana Hallera z Krakowa.

Tegoż *Exercitium nove logice*, 1499, bez wyrażenia drukarza, nakład Hallera (1).

*Jana Ursyna* (Niedźwiedzkiego) *Modus epistolandi*, które miało wyjść r. 1495 czy 1496, nakładem Jana Hallera, nie ma miejsca druku, ale uznano druk za zagraniczny, bo jest tu tekst grecki wdrukowany, gdy jeszcze r. 1522 w drukach *Jana Hallera* cytaty greckie są opuszczane i później wpisywane, choć to niezupełny dowód, bo można było mieć w r. 1495 dobrego składacza liter greckich, a w r. 1522 nie mieć go wcale. Co do powstania druku greckiego za granicą, mamy daty pewne. Dzieło *Cycerona* de officiis i *Laktancyusz* z r. 1465, mają pismo greckie drzeworytniczo wybijane. Zaś drukowano je najpierw w Rzymie r. 1470 u Hahna w wydaniu Kwintyliana. Całkowitych druków greckich poczet wydał Aldus Manucyusz. W Niemczech nastąpiło to znacznie później, bo pierwsza grecka książka jest grammatyka *Teodora z Gazy* z r. 1516.

Mając ten bardzo szczupły poczet druków z XV wieku, odnoszących się do rzeczy polskiej, a domniemalnie drukowanych po za granicami kraju, pytanie rodzi się, czyli nie ma przynajmniej wskazówek, iż próbowano u nas od czasu do czasu sztuki drukarskiej?

Jeden druk z datą *Cracis*, goła notatka u *Zaluskiego*, to jeszcze nie wystarcza. Do liczby takich wskazówek należy i opowiadanie *Starowolskiego* (2).

(1) *Wiszniewski M.* w Hist. lit. dzieło *Waw. Korwina*. Carminum structura, datowane z Krakowa r. 1496, bez wyr. m. i r. przypisuje drukom krakowskim; krytyka atoli uznaje takowe za druk Marcina Herbipolensis w Lipsku.

(2) Scriptor. Polon. *Hecatontas* seu centum illust. pol. scrip. elogia. Frankfurt 1652 w 400, str. 59 i Wenecya 1627 w 400 str. 107.

*Starowski Szymon* kanonik krakowski, (ur. 1588 † 1656 r.) autor więcej niż 60 dzieł, człowiek wszechstronny i encyklopedysta, opowiada w wydaniu frankfurtskiém jednéj ze swych prac z r. 1625, o *Janie z Głogowy* sławnym profesorze akademii krakowskiej († 1507 r.), który od 1490 do 1492 roku trudnił się wychowaniem księcia litewskiego *Jana Gastolda*.

„*Anno 1430 Multos quoque in Moschovia sacrae scripturae libros in slavonicam ab illo linguam translatos vidimus impressos vero Cracoviae sumptibus Joh. Haller civis crac. qui omnes suas facultates in hoc ipsum contulerat ut literae meliores diversis excusae linguis et chara teribus spargerentur in usum septentrionalium. Similiter lustravimus libros Doctore Francisco Scorina polocense interprete Pragrae excussos.*“

Notatka ta nie jest w tekście dzieła, ale na marginesie wydrukowana; widać z tego, że *Starowski* w pośpiechu pisania, już po ukończeniu dzieła, przypomniał sobie o tym szczególe, dopisał go na marginesie, a składacz niezręczny, nie wmieścił w tekst ale na odrzeżu pozostawił.

Z dzieła tego nie był sam autor zadowolniony, bo go przerobił, wiele błędów poprawił i co rychlej na nowo w druk r. 1627 podał.—Zmienił też i powyższą wiadomość bardzo znacząco, widać że był jej pewny, tylko dostrzegł iż nie jasno się wyraził.

Najprzód opuszcza datę r. 1430, wciela całą wiadomość w sam tekst biografii, i zaczyna tak:

*Libros in Sclavonicam linguam ab illo translatos vidimus* i t. d. jak wyżej:

A kończy: *Similiter vidimus plurimos libros in Moscovia et in Russia passim doctore Fran. Scorina polocense interprete in sclavonicam linguam translatos et Pragrae excussos.*

Poprawka ta o tyle jest ważna, iż nie wiąże nas do daty r. 1430; powtóre, iż opuścił wyrażenie „*in Moschovia translatos*“ widocznie więc wyraz *Moschovia* albo drukarz wtrącił omyłką do pierwotnego tekstu, albo autor w pośpiechu pisania pomylił się. Opuszczenie wyrażenia powyższego znamionuje, iż odwoływa twierdzenie tylko co do tego

punktu. Opuścił także wyraz *multos*, a poprzestał na *libros*, ale zawsze w liczbie mnogiej.

Z tego oświadczenia wypływa:

że *Głogowczyk* tłumaczył kilka ksiąg słowiańskich, ale nie w Moskwie, tylko w kraju własnym:

że na nie *Jan Haller* koszta łożył (*sumptibus*), a ktoś inny drukował, więc nie *Haller* jest drukarzem:

że to były słowiańskie książki takiego samego rodzaju, jakie *Skoryna* drukował w Pradze.

Oświadczenie *Starowolskiego* jest jasne, dobitne, szczegółowe nawet; był on swego pewnym, bo patrzył na książki o których mówił (*vidimus*), powtórzył on to dwa razy, bo w dwóch edycjach przerabiając opowiadanie, a jako człowiek naukowy, encyklopedysta i jako najdawniejszy prawdziwy polski bibliograf, przedmiot ten rozumiał doskonale.

Obaczmy co się stało z tém oświadczeniem *Starowolskiego*?

*Janocki* (1) powątpiewa słowy „*Scripturae sacrae libros etc... Comes Zaluski ubique terrarum, locorum et gentium, frustra quaesivit.*”

*Bandtkie* nie zwraca nawet uwagi na *Starowolskiego*, zbywa go domysłem, iż może nie umiał po słowiańsku, więc druku nie rozumiał. *Chromiński Kazimierz* pisze, iż *Głogowczyk* jeździł do Moskwy dla tłumaczenia ksiąg. W podobny sposób w *Encykl. powszechnéj* przekręcono słowa *Starowolskiego* idąc na ślepo za *Wiszniewskim* (2); *Maciejowski W.* nie roztrząsnąwszy wyrazów *Starowolskiego* zwie je bajdą i wmawia, iż *Starowolski* omylił się, bo *Głogowczyk* tylko wydał u Hallera objaśnienie Pisma Śgo, które nazwał dla tego słowiańskiem, że przez Słowianina i w kraju słowiańskim (w Polsce) wykonane zostało (3). Sam atoli *Maciejowski* nie przytacza tytułu téj książki. Widocznie nie zna jój, ani téż nie podają nic podobnego biografie *Głogowczyka*. Podać zaś nie mogą, bo *Głogowczyk* nic podobnego nie pisał, a *Haller* nic podobnego do r. 1507 nie drukował,

(1) *Janociana* 1819. T. 3, n. XXXIII. Nachricht 1753, str. 103.

(2) *Hist. lit.* T. III, 54. *Sobieszczański* w *Encykl. Pow.* tom X tyt. *Głogowczyk*, *Chromiński*: *Rozpr. o literat. polsk.* str. 6.

(3) *Hist. lit.* II, 878.

o czém z *Bentkowskiego* rzeczy o Hallerze przekonać się można. Powołał się wprawdzie *Maciejowski* na *Stenzla* (scrip. siles III 379), ale tam *Klose* idzie za *Starowolskim*.

Przypomijmy sobie, że od r. 1385 osiadała Ruś i Litwa w stolicy Jagiellonów. Stulecie związków wystarczało, aby między uczonymi jedynéj akademii w kraju, obudzić myśl wpływu oświatą na pokrewne plemię. W r. 1485 przypada pobyt w Krakowie *Michała Borysowicza* Xcia twerskiego, panującego, który państwo swe oddał pod opiekę króla *Kazimierza*; że z upadkiem księstwa twerskiego roku 1488, wielu panów przeniosło się do Litwy i Polski. W roku 1492 przypada przedłożenie stanom w Wilnie redakcyi statutu litewskiego. Mając te dane, cała ta rzecz o *Starowolskim* przedstawia się dość zrozumiale. *Głogowczyk* będąc przewodnikiem jednego z najmożniejszych panów na Litwie, mając sposobność zwiedzania z nim Rusi i Litwy, ocierając się o całe możnowładztwo ruskie koncentrujące się w stolicy (1) około osoby monarszej; widząc wreszcie, że gdy duchowieństwo łacińskie ma dla służby kościoła, zagraniczne diurnaly, mszały i śpiewniki, ówczas cerkwiom ich niedostaje: uznał potrzebę zaopatrzenia cerkwi ruskich w podobne księgi.

Wymagały tego potrzeby wyznania greckiego nie mającego druków kirylicy, podówczas, gdy księgi liturgiczne drukowały się głagolicą w Wenecyi r. 1483.

Uznawali tego potrzebę niewątpliwie i panowie ruscy, mianowicie książę *Gasztolt*, na którego mógł wpłynąć *Głogowczyk*, iż przyczynił się do łożenia kosztów.

*Starowolski* mówi: *widzimy* podobne księgi jakie drukował *Skoryna* w Pradze. *Skoryna* drukował tam *Biblią* r. 1517—19, więc mógł *Starowolski* widzieć księgi podobne i formą i wielkością czcionek.

Inna jednak rzecz widzieć książkę, wiedzieć, że ktoś chodził około druku; że zwyczajem owoczesnych uczonych prowadził korektę, a inna rzecz wiedzieć (bo widzieć nie mógł) że ktoś tłumaczył. Co do tego ostatniego, *Starowolski* widząc księgę i wiedząc, że *Głogowczyk* przyłożył się do niej,

(1) Narbutt: Dzieje nar. litews. 1840, VIII, 248.



mógł wysnuć domysł, iż przyłożyć się mógł tylko przekładaniem jęj, i dlatego domysł ten podał za pewność.

Ztąd obałamucenie. Dzisiaj rozumiem słowa *Starowolskiego* tylko tak dalece, jak dalece mam materyalne poparcie. Jeżeli się kiedy wynajdą istotnie jego przekłady ruskie, wówczas będzie to rzecz inna.

Sądzę zatem, że *Starowolski* wyrażając się *vidimus libros*, miał na myśli druki *Swajbolda Fiola*, które za jego czasów, niezawodnie jeszcze po cerkwiach dochowały się i uchodziły tradycyjnie za pracę *Głogowczyka*. *Fiol Swajbold* był do niedawnych czasów jeszcze nieznan; *Zatuski* szukał daremnie po światach i ludach pierwszej księgi drukowanej słowiańskiej (1).

Kto był ten *Fiol*? wyjaśnili to *Bandtkie* i *Grabowski*, za nimi drudzy powtarzają szczegóły. (Piszą go *Feyl*, *Fejel*, *Vejl*, *Sweybold*) (2).

Miano go za Niemca w Lublinie osiadłego. Sądzę iż jest Krakowianinem, bo tak sam o sobie pisze, jak to wyjaśnię niżej. Że z Niemiec rodzina jego wywodzi się, wskazuje samo nazwisko. Rodzina *Vejelów* znaną jest w Niemczech jeszcze w XVII stuleciu (3). U nas wygaśli *Vejelowie* wcześniej.

(1) Kopitar: *Glagolita Clozianus* 1836 s. XV.

(2) Źródła tego przedmiotu dotyczące są: *Bandtkie G. G.*: De primis incunabulis 1812 w 4cc. *Bentkowski*: O najd. książkach 1812 s. 13—24. *Czacki*: Czy prawo rzymskie było zasadą. 1809, s. 79. *Linde*: Pamiętn. Warsz. 1815, III, 145, 147. *Marcinkowski*: Posiedz. publ. Tow. bibl. w Wilnie 1819 s. 17 i 18. *Maciejowski Wacł.*: Miscel. Cracoviens. 1814, I, s. 76. *Bandtkie J. S.*: Index lectionum 1821—1822. Tenże: Hist. druk. krak. i druk. w Król. Pols. 1815 i 1826. Tenże: Miscellanea Crac. 1829, I, s. 127. *Lelewel*: Ks. Bibl. I, 46. *Wiszniewski*: Hist. lit. III, 80, 483, IV, 135, VIII, 406. *Maciejowski W.*: Piśmiennictwo II, 159, 656, 879. *Grabowski Ambroży*: Starożyt. histor. 1840, I, 449—456. Tenże: Starożyt. Windomości 1852 r. *Strojew Paw.*: Opisanie staropieczatnych knig Tołstowa. Moskwa 1828 w 8cc. *Kułajdowicz K.*: Swiedenia o trudach Swajpolta Ficola. Moskwa 1820. w 8cc, str. 13 (oddruk z Wiestnika Ewropy 1819 N. 106). *Keppen*, Bibliograficzeskije listy. Petersburg 1825. *W. Sopikow*: Opyt' rossyjs: Bibliografii. Petersb. 1813 w 8cc Cz. I, str. XLVII i N. 1592—1593. *Durichius*: Biblioth. Slavica 1779, str. 126. *Jocher*: Obr. liter N. 2349. i 7102; tutaj nie wiem dlaczego rozdzielił ośmiogłośnik na dwa dzieła, za to nie zna *Czarnostawca* i *Triodów*.

(3) *Fabricius J. W.*: Bibl. Antiquaria Hamb. 1716 str. 389.

Był zaś to ród mocno rozgałęziony. Byli w Krakowie r. 1370 *Piotr Fiole*; r. 1434, *Fyol Mikołaj* r. 1443, *Grzegorz Fyol* opiekun Urszuli Hermanni wdowy po med. Drze, tenże zapewne w r. 1452 zeznaje akt, lecz mianuje się mieszczaninem lubelskim. Ten ma krewnych Łukasza i Bernharda w Brzegu (1458). W roku 1483, 1485, 1490 figuruje *Sweybold Feyel* to jako haftarz, to jako *zeydenhafter*, zdaje się wypożyczał pieniądze, lub handlowe czynności miewał, bo mu Hans Jakel dłużen był sporo za sprzęty i inne rzeczy, a Kizewetter dłużny był aż 60 złotych węgierskich.

Gdzie nie ma pewności, tam domyślać się wolno. Sądzę iż było kilku *Swajboldów Fiołów* jednocześnie, bo w roku 1489, król udziela jakiemuś *Sweypoltowi Feyelowi* mieszczaninowi przywilój na sprowadzenie maszyn górniczych i dokonywania robót w Olkuszu.

Skoro więc haftarz figuruje w latach 1485 do 1490 r., a nadanie jest z r. 1489, i nie o jego haftarskiem rzemiośle nie wspomniano, łatwiej przypuścić, iż było dwóch Swejboldów, niż, że jedenże jednocześnie w r. 1489 i 1490 zarabiał na chleb w Olkuszu i Krakowie.

Mogło imię iść z ojca na syna, tak jak np, *Melchior Lotter* ojciec i syn byli drukarzami w Lipsku (1497—1529) a tymczasem dotąd historyografowie niemieccy, druki dwóch osób, podają za druki ojca, pomijając syna.

Ostróżnym być nie zawadzi, gdy nie ma pewności. Czyli zaś ów mechanik-górnik był i drukarzem, nie można tego na pewno twierdzić, jak to piszą: wolno tylko przypuszczać możliwość.

*Veyl Sweybold* występuje jako drukarz w ugodzie, którą zawarł w Krakowie z *Rudolfem Borsdorfem* z Brunświku, w piątek przed świętą Dorotą (przed 6 lutego 1491).

Osnowę aktu tego stanowi oświadczenie z góry, iż *Borsdorf* dostarczył dogodnych czcionek. (*Buchstaben geschnitten habe*) *Veyel* zadowolniony był z nich i dlatego zamyśla (*meynt*) powierzyć mu robotę dalszą. *Borsdorf* wzajem przyrzeka, że pisma ruskiego nie będzie bez wiedzy *Sweybolda* dla nikogo wyrzynać, ani też nikogo nauczać téj sztuki.

Dnia 21 listopada 1491 r. stawał *Fioł* przed sądem biskupim; o co? nie powiedziano. Zaręczyli zań *Jan Tur* i *Jan Tesznar* rajcy krakowscy, więc puszczone go wolno.

Tymczasem kończył się druk pięciu ogromnych dzieł, wymagających znamienitego kapitału. Uwięziono ponownie Fiola w marcu 1492 r., pomimo poręczeń. W czerwcu 1492 r. znowu stawał przed inkwizytorem heretyków *Wojciechem Syczyńskim* i innymi sędziami duchownymi. Dopiero gdy wyprzysiągł się wszelkich mów heretyckich, oczyścił się z podejrzeń o niesprzyjanie katolicyzmowi.

Powód processu nie jest wiadomy szczegółowo; druki słowiańskie nie były powodem, bo o nich w processie ani wzmianki; przeciwnie, toczy się rzecz wyłącznie o niewstrzeżność języka.

Później znika ślad jego osoby. Ożenił się prawdopodobnie r. 1492 z *Małgorzatą Lubszyceówną* córką rzeźnika i mieszczanina, który za niego był ręczył w processie.

W roku 1511 był opiekunem zniechęconego *Lubszycera* i tegoż roku już jako mieszczanin Lewoczy upomina się o podział majątku po teściu. W r. 1512 windykował należność w Krakowie od *Bartolda Bamgarta*. W maju 1525 ułożył testament, a w r. 1526 Katarzyna córka (Coka) jego, pokwitowała z odbioru 16 złotych i pół kopy groszy i rzeczy, legowanych przez ojca. Opiekunem jej był notaryusz *Franciszek Haller* syn Jana Hallera drukarza.

Ostatni szczegół wskazuje, iż Hallerowie pozostawali w niejakiach związkach z Fiolami.

Takie są dzieje życia Fiola, o ile je staranny badacz *Ambroży Grabowski* odsłonić zdołał: dzieje niepewne, bo nie ma dowodu, by to wszystko do jednej ściągało się osoby.

Jeszcze bowiem za życia i po śmierci drukarza, figuruje znaczna liczba innych *Fiółów* jak: Zofia i Anna córki Piotra konwisarza (1506—1522), Piotr Fiol piwowar (1517—40), Brygita córka Mikołaja (1517), Daniel (1518), Jan (1524), Stanisław († 1535), Jorge Feyel z Augsburga służyący (1528), Jan szklarz (1544), Waleryan malarz (1566—1597), Mathis (1575), a nawet Phiolowski Stanisław łaziebnik (1556).

Odtąd ginie ślad tej rodziny mieszczkańskiej. Inna gałąź obdarzona szlachectwem istniała jednocześnie. Z tej znany jest: Szwantosław Phiol Dzdziecieński (1467) w mie-

ście Żerniki. Szlachta Dzieczeńskich herbu Doliwa rozsia-  
dła się w Kaliskiem (1).

*Świętopelk Fioł* wydrukował pięć dzieł obszernych,  
które zajęły mu pewnie kilka lat pracy. Podaję ich podob-  
izny w Tablicach III, IV i V, z tem nadmienieniem, że  
intytulacye są rubrykowane czerwono, litera B w ośmiogło-  
śniku jest trójbarwna, to jest czerwona w polu niebieskiem  
i ciemnobronzowém, nadto z boku prążki żółte. Druki te są:

1) *Oktoich* czyli *ośmiokłasnik*, a według nazwania *Sa-  
charowa: Szestodniew* ułożony przez ś. Jana Damascenę.  
Jestto zbiór śpiewów na ośm nut, napisany po grecku r. 780,  
a nie wiadomo kiedy przełożony na słowiański język (2).

O dziele tém wspomina *Zacharyasz Kopystyński* archi-  
mandryta kijowski zmarły r. 1626, w dziele swém *Palino-  
dia* 1621 (Księga 3, rozdz. 1, art. 2), iż druk ten krakowski  
jest w Smiedynie pod Turskiem na Wołyniu i w Kamieńcu  
litewskim przy cerkwi św. Symeona. Pierwszy opisał je  
*Bandtkie* r. 1812, a po nim *Sopikow* pod Nr. 13007 i inni.  
Ma folio kart 84. Na czele umieszczona jest rycina ukrzy-  
żowanego Chrystusa Pana, mającego według zwyczaju greck-  
kiego, nogi osobno przybite, nadto, Chrystus i otoczenie, mają  
po sześć palcy u rąk.

Podobiznę (tabl. 2 i 3), podaję według egzemplarza za-  
chowanego w bibliotece niegdy Redigera, później księgozbiornie  
Elżbietąńskim we Wrocławiu, a następnie w Bibliotece Bur-  
gowskiej. Książka ta bardzo rzadka, jest w zbiorach: *Car-  
skiego, Pogodina* i *Undolskiego*, zatem, znane są cztery  
egzemplarze (2).

Pierwszej stronnicy brzmi początek: (ob. tablica III) (3).  
*S Bohom poczynajem osmohłasnik tworenie prepodobnaho  
otca naszeho Joana Damaskyna w sobotu weczor na hos-*

(1) Paprocki: Her. ryc. now. edyc. str. 639. Niesiccki: Herbarz  
III, 464.

(2) Wiszniewski III, 54.

(3) Prócz podanych w ogóle źródeł, obacz nadto: *Szafarzyk* w Mu-  
zeum czeskiém, 1842, str. 98 i *Wicner Zeitung* 1829, N. 48. *Keppen:*  
Bibl. Listy N. 16. *Strojew:* Dopolnienia k'staropecz. knigam str. 241.  
*Sacharow Iwan:* Obozrenie sławiano-russkoj bibliografii. T. I, Cz. II.  
Petersburg, 1849, w 4ce, str. 1. *Linde* w *Pamięt. Warsz.* 1815, T. III,  
str. 140—143.

podły w ozwach postawym stychow 8 i pojem stychyryy woskreseny 7, powtorym jedynu y aszcze imat w Menei. Stychiryy pojem na 10, stychiryy woskreseny na 6, i w Menei 4, aszczely jest wetykij swiatij pojem woskreseny 4 i swiatomu na 6 stychiryy hlus 1.

Odczytanie tego nagłówka jest trudne dla wielu skrótceń. *Bandtkiemu* professor *Flor. Kudrewicz* bazylianin, wyłożył osnowę odmienniej znacznie aniżeli tekst, który obecnie podaję, a który odczytał kanonik przemyski *O. G. Lwrowski*; czerpię to z wielkiej księgi podobizu, uskutecznonionych staraniem ś. p. *A. Rościszewskiego* we Lwowie. Bieglejszym w odgadywaniu skrótceń starosłowiańskich pozostawiam porównanie, czyje odczytanie jest trafniejszém.

Osnowa zresztą nagłówka dotyczy instrukcyi, jak i kiedy odśpiewywać pieśni z Ośmiogłośnika, a nie odnosi się do historii książki, więc jest dla nas obojętną.

Ważniejszą jest ostatnia karta Ośmiogłośnika, którą w podobiznie (tabl. IV) podaję. Wyobraża ona wieże Krakowa, a pod niemi ruski podpis.

W samój rycinie dostrzegam szczegół, na który *Bandtkie* żadnej, a jego następcy, należytój nie zwrócili uwagi. Powyżej wież są wyraźne cyfry *S. V.* z boku na lewo rodzaj wykretasa, który niezawodnie ma znaczenie, bowiem po drugiej stronie odpowiedniej, nie ma takiego samego, lubo jest nieco podobny.

Wykręt ten oznacza słowiańskie *Z.* Na wstęgach widać z obu stron niejednakowe znaki, które rozpatrując bliżej, można poznać, iż niewątpliwie są rodzajem słowiańskich liter i oznaczają wyraz: Krakowa.

Jeden *Strojew* dostrzegł te znaki, ale dziwna rzecz, iż tak biegły biblio-i paleograf pojął je błędnie. Czyta je bowiem: *Sigillum urbis Krakowa.* Gdyby się był rozważniej przypatrzył, odgadłby może znaczenie nadpisu (1). Tak jak on odczytał, pół po łacinie pół po rusku, napis niema znaczenia. Rycina nie przedstawia pieczęci, ani nawet rzeczywistego herbu Krakowa. Według mnie, należy go czytać: *Sweybold Veyl z Krakowa.*

(1) Paleograficzne snimki poczerkow z XV wieku po XVIII. Moskwa, 1829, w 4ce, str. 2.

Zarzucić może mi kto, iż rycina ta nie jest pracą drukarza, ale drzeworytnika, zwłaszcza że po obu stronach ryciny od dołu, są znaki jak gdyby monogramma rytownika, że więc S. V. jest cyfrą rytownika; że zaś w owym czasie mieszkał w Krakowie *Wit Stwosz* mógłby kto naciągać domysł, iż tę rycinę jako i Chrystusa ukrzyżowanego rytował *Stwosz*. Co do tego, uprzedzając zarzut możliwy zwracam uwagę, iż rycina Chrystusa nie ma cech wyrobu zachodniego, znamieniem tego układ nóg osobno przybitych (1).

Co do monogramu na rycinie bram Krakowa, wprawdzie *W. Stwosz* używał różnych monogramów, jak je podają *Grabowski*, *Łepkowski*, *Lesser* i *Nagler* (t. IV Nr. 1457) i nieco podobnych, jednakże jest między nimi stanowcza różnica, widoma na sam rzut oka. Znaki te na rycinie są zwykłym godłem mieszczańskim. Cyfry S. V. najstosowniej tak tłumaczyć, jak ich podałem wykład.

Poniżej wież Krakowa. Czytam podpis w słowach:

*Dokonczana byst syja kniha u Welikom hradie u Krakowie pri derżawie welikaho Korolia polskaho Kazimira. I dokończana bysty mieszczaninom krakowskym Szwaipoltom Fieol, i z Niemiec niemieckoho rodu Frank. I skończaszasia po boziem narożeniem 14 set dewiat desiat i l. lieto.*

Odczytanie to również jest wcale odmienne, niż wszystkie dotychczasowe. Trafniejszym jest już dla tego samego, że rozwiązuje zagadkę, która była dla bibliografów łamigłówką.

Odczytywano dotąd podpis ten w sposób, iż: księgę tę dokończono w wielkim grodzie w Krakowie za panowania wielkiego króla polskiego Kazimierza, i dokończoną została przez mieszczanina krakowskiego Świętopełka Fioła z Niemiec, (iz niemiec) niemieckiego rodu Franka i skończona została po Bożem Narodzeniu 1491 r.

Daremnie odgadywano, co by to znaczyło: mieszczanin krakowski z Niemiec, rodu niemieckiego, a do tego *Frank*. Orzeczone wreszcie, iż musiał pochodzić z Frankonii, z rodziny niemieckiej.

(1) Tak samo narysowana rycina jest w brewiarzu tynieckim, obecnie w zbiorze Zamojskich. Od XIII-go wieku na Zachodzie i w środkowej Europie, miniatury przedstawiają Chrystusa zawsze ze złożonemi nogami; głód *Cimabuego* (1240—1300) lubo już *Walter Vogelweide* (1165—1230) mówi o trzech gwoździach Chrystusa.

Atoli wydrukowanie dzieła tak zawiłem pismem jakim jest pismo słowiańskie ze skróceniami, dowodzi, że podejmował czynność tę człowiek biegły w języku, a nie cudzoziemiec. Akta krakowskie wskazują, że rodzina Fiolów całym wiekiem (1) wprzódy rozrosła się gęsto w Krakowie, że nazwisko Świętopelka Fiola pojawia się oddawna, że więc przybyszem nie jest, lecz jest na krakowskiej ziemi zrodzonym mieszczańcem i dlatego słusznie pisze się w rycinie z *Krakowa*.

Jakże więc z tém pogodzić odczytanie *Bandtkiego*, *Sopikowa*, *Strojewa* i wszystkich ruskich bibliografów, którzy każą mu podpisywać się *iz Niemiec*, nie dając znaku twardego po *iz* wymaganego?

Pogodzić się nie da, więc potrzeba powagę tak silnego zastępu bibliografów wyrzucić. Powaga wszelka dobrą jest dla tych, którzy pragną wygodnie opierać się na cudzem orzeczeniu, a sami lenią się sprawdzać doniosłość niby pewników, lub choć sprawdzają pomyłkę, nie mają siły, by wystąpić przeciw ustalonym tradycją błędom.

Zdaniem mojem poprzednicy moi czytali podpis *Fioła* niestósownie. Nie zastanawiali się, że podpis jest w narzeczu inném, aniżeli osnowa dzieła. Tekst jest starosłowiański, podpis zaś biało lub małoruski. *Kudrewicz* czytał go dla *Bandtkiego* po starosłowiańsku, a ruscy bibliografowie po wielkorusku, gdy należało czytać po małorusku.

W drukach biało i tak zwanych litewsko-ruskich używano zawsze i wyłącznie przyimka *z* z przypadkiem drugim bez znaku twardego, a w wielko-ruskich przyimka *iz* wyłącznie, a to zawsze ze znakiem twardym. Tu tego znaku nie ma; gdyby więc było *iz*, to po niem wypadłoby dać znak twardy, którego nie położył drukarz. Równiej wagi jest podobizna podpisu tego podana przez *Strojewa*. Daje on ją z *Czasostawca*, różni się od mojej, że zawarta jest w siedmiu wierszach, a nie w sześciu. Na piątym z brzegu wypada wyraz *Fioł*, na szóstym wyraz *Frank* pod nim. W tej podobiznie *i* od *z* w wyrazach: *iz niemiec* odsadzone jest na odległość pół litery, zupełnie tak samo jak w wyrazach *i skonczasza*. Widocznie drukarz uważał ją za głoskę osobną.

(1) Petrus Fiole caupo. w Krakowie r. 1370. Obacz: Grabowski Ambr. Starożyt wiadom. 1852 r. str. 267.

Już to jedno przemawiałoby za tém, iż należy czytać osobno *i z niemiec*.

Przemawia za tém ta okoliczność, że do dziś dnia (przynajmniej o ile znam Ruś halicką) na Małorusi mówią i piszą *z* a nie *iz*. Dość otworzyć pieśni ludu małoruskiego zebrane przez *Ż. Paulego* i *Wacława Zaleskiego*, by się przekonać o tém.

Współczesne *Fiolowi* przywileje ruskie i Statut Litewski, czy to w edycyi Działyńskiego, czy w edycyi z r. 1588 w Wilnie, nie używa *iz* lecz *z*, np. w przywileju Kazimierza z r. 1457, (*schođit s pamiaty, nekotorye z nich, pisano czerez Martina z Łuski, Kierzchaitowicz z Diawintowa*) w Statucie z r. 1492, (*zapłatiti z domu, wydadut s prawa, slych sutiażajew*), z tegoż zapewne roku ustawa o posoczinu Smoleńsku (*z otczin, stoho, s kupli*), w przywileju Aleksandra 1492, (*z dobroju woleju, z naszoju*); w przywileju Zygmunta I 1509 (*z łaski, z miřczyzny, z horoda*). Takich przykładów jest bez liczby.

Zadałem sobie pracę przejrzeć edycye dzieł wyszłych na Rusi halickiej i Litwie i znalazłem stwierdzenie mego domysłu. Wszędzie jest *z* a nigdzie *iz*. Raz tylko *Skoryna* pisze się na psalterzu r. 1525 *iz grada Połocka*, gdy na *Czasosłowcu* 1525 podpisuje *s Połocka*. W tytułach innych dzieł czytamy wszędzie *z*, jakoto: *Sbornik*. Wilno 1585 (s knigi Joana.) *Wasilij o postniczestwie* 1594 Ostróg (z drukarnie ostrozskeje). *Ewangelie*. Wilno 1595 (z domu Mamoniczów) *Margarita* 1596, (z drukarnie ostrozskeje). *Molitwy* Wilno 1596 (z mnogich św. otec). *Sbornik* 1598 (z drukarnie ostrozskeje). *Ewangelie* 1606 (z drukarnie kryłoskeje). *Le-karstwo* 1607 (z drukarnie ostrozskeje). *Płacz po Żeliborskomu* Lwów 1615 (z święta): innych przykładów mnóstwo.

Zresztą łatwo to sprawdzić wzięwszy do ręki pierwszą lepszą litewsko i halicko-ruską książkę z XVI w. lub zajrzawszy do wyjątków z nich, których spory poczet podaje *Wiszniewski Michał* (1).

Jeżeli jednak idzie o większą powagę mojego odczytania, nadmienić winienem, że zajrzawszy do zbioru podobizn *Ad. Rościszewskiego*, znalazłem podpis *Fiola* odczy-

(1) Hist. literat. T. VIII. s. 248—503.



tany przez kanonika *Ławrowskiego* tłumacza Nestora, wielkiego znawcę języków słowiańskich. Odczytanie zgadza się z mojem, co słuszna, bo nie przypuszcza się, by *Fiol* na jednymże miejscu pisał się u góry: *z*, a poniżej *iz*, a to w jednymże znaczeniu.

U góry bowiem, jak już rzekłem, *Fiol* pisze się *z Krakowa*. To spostrzeżenie moje, rozjaśnia podpis poniżej ryciny. Skoro bowiem w rycinie stoi *z Krakowa*, byłoby nie logicznem, gdyby u spodu podpisywał się *iz niemiec*.

Przeciwnie, pisze się raz *z Krakowa*, a powtóre mieszczanin krakowski, a to celem stwierdzenia, iż jest krakowianinem i z rodu i z obywatelstwa.

Tym sposobem i *z niemiec* odnosi się do dalszego oddzielnego przecinkiem peryodu, który wraz z poprzednim wyraża, iż dzieło to drukował *Fiol* krakowianin i *Frank* niemiec z niemieckiego rodu. Mógłbym domysł mój poprzeć i tém, że w obudwu wyrazach użytém jest duże *F*, jestto jednak poparcie uboczne, ale nie dowód.

Stwarzając osobę *Franka*, udowodnić mogę istnienie jego w Krakowie. Sędziwy starożytnik *Ambroży Grabowski* w wydanym przez siebie spisie księgarzy i drukarzy, wymienia księgarza *Melchiora Franka* czynnego w Krakowie między r. 1509 a 1521 (1).

W podpisie opuszczono imię jego, gdy przeciwnie *Swaipolt Fiol* jest imiennie wymieniony. Być może iż *Frank* był tylko nakładcą, tak, jak później *Haller* nakładał na druki *Hochfedera* i innych; dlatego nie uważał za potrzebne podpisywać się imieniem i nazwiskiem. Zresztą to opuszczenie imienia, praktywało się dowolnie w inkunabułach i bardzo często. Nieraz drukarz kładł samo imię swoje, lub samo nazwisko, lub imię z miejscem pochodzenia swego, lub samo miejsce pochodzenia, zamiast nazwiska. Nie przywiązywano wcale wagi do wypisywania dokładnego imienia i nazwiska, dlatego to *Haller* opuszczał często swoje imię w swych nakładach.

Współpraca dwóch kierowników w tak ogromnem przedsięwzięciu, jest przypuszczalną tém bardziej, jeżeli *Fiol* był i haftarzem i później mechanikiem w Olkuszu. W tym razie bowiem trudno przypuścić, by sprostał trzem obo-

(1) Grabowski Ambr.: Skarbniczka Archeologii 1854, str. 152.

wiązkom, by w trzech kierunkach zarówno był biegłym. Moje wyłożenie, jak należy rozumieć podpis *Fiola* i jego współnika *Franka*, wyda się znaczniej części czytelników bardzo wątpliwem, a może i całkiem nietrafnem. Choćby jednak wydało się tak niedostatecznem, jak niem było domniemanie *F. Bentkowskiego*, który *Fiola* chciał przedzierzgnąć w szaty *Eucharystusa Silbera*, rodem *Franka*, drukującego r. 1480 w Rzymie, sędzę pomimo tego, iż jestem bliższym prawdy, niż moi poprzednicy.

2. Drugi druk takiż sam, z tąż datą roku 1491 i z takimże podpisem pod herbem Krakowa jest: *Czysostawiec* (księga godzin kanonicznych). Opisali go: *Sopikow* w t. I. r. 1813 pod N, 1592. *Kaładowicz* r. 1819 i *Strojew* 1829 r. (1). Według *Sacharowa* całość obejmuje 96 zeszytów a 384 kart.

Dochowały się około dziesięciu exemplarzy, jakoto: jeden w Munkaczu nie opisany lecz wspomniany przez *Durycza*. Drugi był w bibliotece *Tolstowa*, a w roku 1830 stał się własnością Cesarskiej biblioteki publicznej petersburskiej. Ma on w 4ce kart według *Strojewa* nieliczb. 382, z tych brakuje w egzemplarzu *Tolstowa* kart 11 na początku i w środku, zeszytów czyli lag jest 48; zeszyty są sygnowane. Trzeci egzemplarz nie jest kompletny, bez ostatniej karty z herbem Krakowa, obejmujący autograf podpisu patriarchy Wszech Rusi Nikona z r. 1658. Był także w bibliotece *Tolstowa*.

Tych trzech egzemplarzy *Sacharow* nie wspomina, lecz wymienia zapewne inne w bibliotekach: *Pogodina*, *Łobkowa*, *Moskiewskiego typograficznego dworu*, *Karatajewa*, a osobno w rubrykach numerów bibliotecznych, *Carskiego*, *Kasterina*, *Jakowlewa* i w publicznej bibliotece petersburskiej (2).

(1) Bibl. Slavica T. I, str. 125. Inne źródła do tego przedmiotu są: *Dobrowski* w sławiań. gram. (przekł. rossyj. str. XLI). *Szafarzyk*: Muz. Czesk. str. 98 i Wiener Zeit. 1829, N. 48. *Jeremi Neofil*: Obliczenie nieprawdy raskolniczeskija (odd. 2 rozd. 9). *Metrop. Eugeniusz* w czas. Druh proswieszczenia 1806. Cz. IV, s. 149. Słownik duch. pisat. Cz. I, str. 265 i Opisanii Kiewo-Pieczerskoj Lawry wyd. 2gie, Kijów, 1831, str. 66. *Keppen*: Spisok russkim pamiatnikom. Moskwa 1822, str. 87 i *Sacharow*, *Kaładowicz* i *Keppen* jak wyżej.

(2) Nie rozróżnił wyraźnie co jest w bibliotecznym zbiorze, a co w dziełach opisujących biblioteki. O ile wiem, do nazwisk tych odnoszą się

3). *Psaltir sledowannaja.*

*Sacharow* mówi r. 1849, iż dotąd nie wiadomo, czyli gdzie znajduje się jaki egzemplarz. *Dobrowski Jozef* uznaje go za jedno co *Czasosławice*, zaś *Bandtkie J. S.* według listu tegoż *Dobrowskiego* powiada, iż obadwa dlatego stanowią jedno dzieło, iż zazwyczaj w Cerkwi obrządku greckiego słowiańskiej razem się drukują. (*H. Dr. Kr.* s. 127). *Bandtkie* nawet roku 1821 twierdzi, że oddzielny egzemplarz ma się znajdować w *Cesars. Biblio.* w Petersburgu, co się nie sprawdziło. *Sopikow* pod N. 986, podając jego format w 4<sup>co</sup> pisze iż jest niezwyczajnie rzadki. Wspomina o nim *Backmajster*. Według ostatniego, egzemplarz znajdował się w bibliotece w akademii petersburskiej r. 1776. Nie wiadomo mi, czy kto sprawdzał to podanie, może okazałoby się, iż mylnie nazwał księgę. Że jednak istniał psalterz w Krakowie wydany, świadczy *Arcybis. Niżogorodski Pitirim* w dziele *Praszca* roku 1721, tam go bowiem przytacza.

Źródła bibliograficzne są też same co poprzednich dzieł: *Jocher* w T. II N. 2348 i 2349 powołuje się na *Backmejstra (Esai) Lelewela* i *Sopikowa*, lecz bałamuci stwarzając edycją z r. 1517 oparłszy się na widocznej omyłce drukarskiej w dziele *Lelewela*. Myłkę tę wtórzy *Kucharski A.* w *Pamięt. Relig.* 1853 II. Nadmieniam, że znanym jest psalterz wydany w *Cetynii* roku 1495 w 4<sup>ce</sup> mający 348 kart a 43 zeszytów.

dzieła: *Istoryczeskij wzgľad na razwicie knigopeczatania w Rassii z. Carskawo* (jest w *Moskows. Guberns. Wiedomostinach* 1846, N. 3) przedrukowano je w *Wiedom. Peters. Gorods. Policii* 1846, N. 23; w *Guberns. Wiedom. Pskowskich* 1846, N. 50—52; *Wiatskich* 1846, N. 8—9 i *Poltawskich* 1847, N. 16—17. Katalog sław, russkich knig cerkownoj peczati biblioteki A. N. Kasterina zostawlemyi W. Undolskim (jest w piśmie: *Cztenia Obszczestwa ist. i drewn. w Moskwie. Rok III, Nr. 3*). Kasterin umarł r. 1847. Katalog jego biblioteki wyszedł także osobno w Moskwie 1848 r. Są jeszcze katalogi biblioteki *Iwana Nikitiecza Carskiego* wydane przez *Strojewa*, dwa w r. 1836, a jeden r. 1848. Ten *Carski* był kupcem i umarł r. 1853. O dawniejszych egzemplarzach wspomina wymieniony wyżej *Kopystyński (Palinodia 1621 r.)* że się znajdują w monasterze pieczerskim (w *Kijowic*), w cerkwi lubelskiej we *Lwowic*, i „wo dworie u czestnawo kresta na *Lyczakowie, przed miestom Halickom*” (nie rozumiem czy osobno na *Lyczakowie* a osobno na *Halickim*), wreszcie w *Brześciu Litewskim*. Przytaczam słowa *Kopystyńskiego* według *Sacharowa*, właściwie zaś książka wyszła w narzeczu białoruskiem.

O egzemplarzu w Munkaczu pisze w rękopiśmie *Roszczewski* jakoby o ośmiogłaśniku i dodaje: „ma być w Munkaczu, we Węgrzech, ale o tym mówią drudzy, że nie jest odbity w Krakowie.”

4. *Triod cwietaja*, to jest: triodon od kwietniej niedzieli do oktawy Zielonych Świątek. Ma folio 372 kart a 191 lag, według *Sacharowa*. Zaś według *Strojewa* był w bibliotece *Tołstowa*, miał folio lag przeszło (*tak*) trzydzieści a około (*tak*) 368 kart, z których na początku i przy końcu brakowało kart 26. Z tej biblioteki przeszedł do publicznej w Petersburgu. Podobiznę podaję na tab. V N. 7. *Bandtkie* r. 1821 zapewne wspomina egzemplarz w bibliotece kanclerza *Rumiancowa* w Petersburgu, *Sacharow* mówi tylko o egzemplarzach *Pogodina* i *Mosk. Istoriez. Obszczes*. Zaś w rubrykach katalogowych wymienia *Carckiego*, *Kasterina*, *Jakowlewa*, *Bibliot. Cesarską publiczną i Rumiancowa*. We wszystkich egzemplarzach brak pierwszej karty, a liczbowanie zaczyna się od karty drugiej, z kąd wnoszę, iż pierwszą kartę stanowił tytuł, wydzierany zapewne dla ryciny. Dla tego to nie ma daty i podpisu *Fioła* na końcu.

W tekście znajdujemy 1). 54 czytań biblijnych. 2). Żywoty Świętych na każdy dzień W. tygodnia i inne dni uroczyste. 3). Słowo Jana Złotoustego w dzień Wielkiejnocy.

5. *Triod postnaja*. Obacz podobiznę tabl. V N. 6.

Ma folio 158 lag, a 314 kart według *Sacharowa*. Jest w bibliotece *Pogodina*, *Karatajewa* i wymienia go także *Sacharow* w Bibliotekach *Carckiego*, *Kasterina*, *Jakowlewa*, *publicznej cesarskiej*.

Do ostatniej, przeszedł od *Tołstowa*, opisał ten egzemplarz *Strojew*. Ma kart około 316 (*tak*) a 36 zeszytów. Wszystkie oznaczone sygnaturami. Obadwa triody *Tołstowski* dobrze zachowane. Niedostaje ostatniemu kart 4.

Ma biblioteka *Krakowska* jedną kartkę, znalezioną w oprawie księgi lekarza *Piotra de Apono: Conciliator*. *Wenecya* 1483. Gdyby dowieść można, że oprawa jest współczesną z drukiem tym, mielibyśmy datę wyjścia tryodu wcześniejszą znacznie niż *Czasosławca*.

*Zach. Kopystyński* w r. 1621 w *Palinodyi*, wspomina iż ten triod wyszedł w *Krakowie*. We wszystkich egzemplarzach niedostaje karty pierwszej, a druga zaczyna się od

wyrazów: *Tripiesniec nadzieidiu inieszczomu naczynajem, niediela jaze o Mytlarie i Farysei.*

Tekst obejmuje: 1). Czytań z biblii 89. 2). Życie Maryi Egipcyaniki przez patryarchę aleksandryjskiego Sofroniego. 3). Słowo o życiu Maryi Egipcyaniki. 4). Żywoty Świętych. 5). Akafist (czytanie nabożne na cześć N. M. Panny, Zbawiciela i kilku świętych), i opowiadania pożyteczne o władcy Chozreaszu.

Jeden egzemplarz z tych pięciu druków jest w bibliotece akademii duchownej w Kijowie, miał go niegdyś w rękę *Swidziński*, lecz go zwrócił napowrót.

Tyle o drukach słowiańskich *Fiola*. Wymieniwszy je wracam jeszcze raz do *Staropolskiego* i *Głogowczyka*. Ostatniemu przypisuje *Sopików* wydanie *Czasosławca* i *Psalterza*, możnaby tém bardziej przypisać jemu ułożenie *Triodów* na podstawie dawniejszych rękopismów. Dowodu na to nie ma, ale trzeba pamiętać, że od X do XIV wieku, cyrylika była podobno pismem używaném powszechnie najprzód w Wielkiej Morawie, potem w polskiem piśmie i że ustąpiła stanowczo, przed łacińskiem pismem i od nas przekazana, stała się jedyną spuścizną dla pisma ruskiego (1). Ztąd to łatwo zrozumieć, że za czasów *Głogowczyka*, tak dla niego jak i *Fiola* i innych, cyrylika była niejako domowém, pospolitém pismem.

Druk dzieł tych, dochodzących razem sześciuset arkuszy druku, trwał bezwątpienia lat kilka, jeszcze przed robotą w r. 1491 nowych typów przez *Borsdorfa*. Nie przypuszczalném jest, by *Fiol* dopiero po dacie umowy z *Borsdorffem* druk rozpoczynał, byłaby to szybkość druku dwukolorowego nawet i w dzisiejszych czasach do niewierzenia. Ani przypuścić, aby w dziesięć miesięcy wydrukowano pięć ogromnych dzieł, gdy w pół wieku potem potrzebowano rok cały na wydrukowanie jednej tylko księgi słowiańskiej we Lwowie. Zresztą dosyć mamy przykładów z historii druków słowiańskich do czasu ich wytłaczania. I tak: *Apostol* wydany r. 1564 w Moskwie arkuszy 134 folio, drukowano 10 i pół miesiąca. *Psalterz* tamże r. 1568 arkuszy 61, mie-

(1) Bielowski Aug.: Pierwsze pomniki języka polskiego (Bibl. Warsz. 1853, III, 20—30).

sięcy dziesięć; *Ewangelię* w Zabłudowie 1569 ark. 200, miesięcy dziesięć, także *psalterz* 1570 r. miesięcy siedm. *Apostół* we Lwowie 1574 rok czy lat pięć. *Ewangelię* we Wilnie 1575 r. ark. 200 lat trzy, *psalterz* w Słobodzie roku 1577 ark. 70 miesięcy ośm. *Triod postnaja* w Moskwie 1589 r. ark. 235 rok i dziesięć miesięcy. *Triod świetnaja* w Moskwie 1591 r. ark. 250 lat dwa i miesięcy trzy i t. p.

Podpisów, iż druk ukończono po Bożem Narodzeniu 1491 r. nie bierzmy dosłownie. Podpis ten dano na dwóch czy trzech drukach, a przecież nie ukończono ich jednego dnia. Przypuśćmy raczej, że drukowano lat kilka, być może iż od roku 1485, którą to datę wyszperał *Zaluski* czy *Minasowicz*, lecz dopiero po ukończeniu wszystkiego, puszczono księgi r. 1491 w obieg.

*Maciejowski W.* powołując się na *Czackiego* (dzieła III 508) mówi, iż arcybiskup gnieźnieński Fryderyk kardynał Jagiellończyk, wydał roku 1494 wyrok przeciw *Sewaldowi* (*Pioliowi*) o druk książek heretyckich. *Czacki T.* mylił się często w datach, widocznym jest, że tu się omylił. Myślał on o wyroku z r. 1492, z wyż przezemnie przytoczonym. Wyrok zaś ten odnosił się nie do druków, ale do ustnych bluźnierstw.

Mniejszej wagi jest pytanie: z kąd się wzięły w Krakowie druki słowiańskie, gdy nie mamy śladu polskich?

Kraków był ogniskiem oświaty. Ruskie druki więc tutaj a nie gdzieindziej mogły wychodzić. Nie były to książki do czytania, ale księgi nieodzownej potrzeby, do użytku cerkwi. Łaciński kościół miał ksiąg liturgicznych łacińskich zagranicznych do zbytku, słowiański potrzebował ich więcej, a musiał obywać się rękopismami (1). Druk zatem ksiąg przez *Piola* wywołany był koniecznością, był spekulacją nakładcy, wróżącą zysk najintratniejszy.

(1) Jedna cerkiew potrzebuje 20 Mincey, 12 oktoichów, 2 Tryody 2 psalterzy, apostoła, ewangelii, ustawy, czasownika, sobotnika, służebnika, trebnika, i t. d. zgoła do 50 ksiąg liturgicznych (*Sakowicz K. Epanorthosis* Kraków, 1642 w 4cc, str. 108). Jakoż egzemplarze krakowskie widać że nie wystarczyły na potrzeby cerkwi, bo wnet wyszedł *Czasosłow* r. 1493 edycy i magistra *Andrzeja Torresańskiego*. Mylnie *Kopitar* zalicza go do wydań gługolicznych. W r. 1494 ukazał się *Ośmiogłaśnik*, folio druk w Zecie, druk Makariemna Jereimiego staraniem wojewody czarnogórskiego Jerzego

Przeszedłem zatem krytycznie rzecz o *Zainerze* i *Fiolu*, przy której sposobności dotknąłem ogólnikowo wszystkiego, co obchodzi drukarstwo polskie w XV stuleciu.

Czytając to, nie jednemu przyjdzie na myśl pytanie: czemu przez całe 50 lat od daty wynalazku druku, nie mieliśmy prócz jednej modlitwy wcielonej w tekst łaciński, żadnej polskiej książki?

Że nie mieliśmy liturgicznej za wzorem słowian greckiego obrządku, to prosta rzecz, bo kościół uznawał łaciński za autentyczny i obowiązujący, ale nie pojętem jest, że nie mieliśmy polskich ksiąg do modlitwy i nauki.

Istotnie wydaje się to niepodobnym do wiary, wolę zatem przypuszczać iż były druki polskie, ale te zaginęły. Chwali się *Wietor* w *Żywocie Opecia* 1522, że on pierwszy w zaginionym *Zwierciadle umęczenia Pańskiego* i w doszłych nas: *Ecclesiastesie* i *Marcholcie* pokazał krajowi czcionki polskie. Ale to jest próżna chwamba dla tego, że nowemi odbijał czcionkami, i kształtniejsze miał pismo. Podobnie chwalił się *Ungler* r. 1534 w *Zielniku Falimierza*. *Wierzyć Wietorowi* nie można, skoro są dowody, że *Haller* drukował oprócz modlitw w agendzie łacińskiej z roku 1503 agendy z r. 1505 i 1514 niemiecko-polskie, *Bogarodzie* w statucie Łaskiego z r. 1506, jakiś druk z r. 1508, który miał *K. Swidziński*, tenże widział powieść o papieżu *Urbanie* odtłoczoną osobno z agendy (1514 r.?). *Początek św. Ewangelii* jest w *Septem horae canonicae* (przed r. 1510). *Osiński Aloizy* miał *arytmetykę* wcześniej wydaną niżli druki *Wietora*. Był to zapewne *Algorythm polski*, który *Bernard Wojewodka* w roku 1553 przerobił, a który mógł r. 1513 wyjść jednocześnie z łacińskim (1).

Ślady te druków u nas są nieomylną wskazówką, że od r. 1505 mieliśmy nieprzerwany szereg druków polskich, że mogliśmy mieć próby podobnych druków i w XV wieku. Były to donaty dla szkół, rycinowe ćwiartki z podpisami

Czarnego i psalterz druk tegoż r. 1495 w Cetynie. Odtąd urywają się druki cyrylicą cerkiewną, dopiero r. 1520 w Wenecyi wyszedł psalterz i czasosłowtoż i szestodniw r. 1525 w Wilnie, zaś *Triod* postnaja r. 1561 w Wenecyi, a *Cwietnaja* r. 1563 w Skabarze. Tak więc druki krakowskie całe pół wieku, były wyłącznie niemal zasilkiem cerkwi słowiańskich.

(1) *Maciejowski*: *Piśmien*, II, 911, III, dodatki, 121, 313. *Wiszniewski*: *Liter*, III, 89. *Jocher*: III, 82. *Lelewel*: *Bibl.* ks. II, 209.

modlitw, pieśni nabożne, modlitewniki dla niewiast, officia Matki Boskiej i t. p. pisemka codziennego użytku, które zatem zniszczył tłum czytających nie znających wartości dzieła, nie szanujący go, a zresztą były to broszury małe rozmiarem, więc poprzepadały (1).

Ocalały księgi łacińskie, bo tych nie czytał tłum, ale uczeni, zakonnicy, prawnicy którzy pracując umysłowo, umieli szanować pracę umysłu, więc chowali księgi po zbiorach. Tak bywało i w Niemczech, dlatego dotąd wyrastają coraz nowe, pojedyncze karty z nieznanym broszur z XV stulecia.

U nas aż do połowy XVI wieku, literatura dzieł polskich niemal w połowie jest zatraconą, doszła nas większa część w jednym lub kilku egzemplarzach, a ciągle jakaś pojawia się niespodzianka.

Nie znając osobnych druków polskich *Hallera*, wiemy o *Wietorowskich* około 19-tu, a i z tych nie wszystkie nas doszły. U *Unglera Flor.* wyszłych polskich znam około 30.

*Macieja Szarfenbergera* polskich druków nie doliczymy się 30-tu, i oto poczet drukarstwa polskiego do połowy XVI stulecia, że pominię drukarzy, którzy po za tę połowę stulecia wybiegli.

Jakie sto druków polskich na całe sto lat od wynalezienia drukarstwa, to trochę za mało w porównaniu z liczbą wyszłych druków łacińskich. Było atoli inaczej, bo są ślady druków z połowy XVI stulecia, o jakich dzisiaj ani się domyślamy, tak je zatraciły wieki.

Jeżeli zatem wytepieno druki z XVI wieku, tém łatwiej przypuścić że zaginęły i dawniejsze (2).

(1) To, co *Glaber Andrzej* pisze r. 1539 w liście do teologów *Psalterz Dawidów* iż są mniemania że nie należy rzeczy świętych w ojezycznym języku pisać, i że on pierwszy dzieło podobne wydaje, odnosi się tylko do przekładów Pisma świętego.

(2) W przypisku podaję ciekawy dla bibliografów szczegół, z którego ujrzymy, ile z nakładów jednej tylko drukarni, dzieł nas nie doszło. Biorę z bogatej skarbnicy notat sędziwego archeologa krakowskiego *Ambrożego Grabowskiego* następujący akt:

Feria 6 post Festum S. Margaretae 1551 (w Lipcu). Inwentarz po Helenie Floryanowej spisany na żądanie egzekutorów testamentowych *Sebast. Wieliczki* i *Mikołaja Alantasse* obywateli krakowskich." Skracam



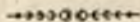
Nie traćmy jednak nadziei, praca, pilność i staranie około pamiątek przeszłości, zdoła wskrzesić nie jedno z tego, co przeszłość pochłonęła, zdoła utrzymać w pamięci pokoleń to, co zaszczytem jest przodków, i co wiązać winno bez przerwy ubiegłość z dzisiejszością.

ten inwentarz wypisując to, co domniemalnio naszej literatury dotyczy. Libri in folio ligati (tu 25 tytułów), libri in 4to ligati (tytuł. 103, między temi: Petrus de Crescentiis Missale Cracov. Breviar. Gnesnensium egzemp. 6 farrago in juris egz. 6; Passio per Leopolitam). Italice ligati (tytuł. 22), item in 16to (tytuł. 16, między temi: Medytacye po polsku egz. 6; siedm psalmów po polsku egz. 11; postylla Vicelii egz. 5). Residuum italice ligatorum (dzieł 5). Item in sexternis folio non ligatis (tytuł. 192, z tych wymieniam niektóre): Judicia Paradis egz. 6; Tragediae judith egz. 6; Sintaxis Tucholiensis; Comoedia Joseph; Comoedia Judith; Comoedia Acolastus; Tragedia Christus Xilomeus. Pro exequiis seren: Reg. Poloniae egz. 16. Farrago juris egz. 16. Processus juris. Tobias polonicus. Diatriba Orzechowii. De accentibus Novica. niani. Judicii paradis egz. 178. Janicii Carmina egz. 500. Fons vitae egz. 126. Orationes Basilii Magni egz. 150. Cura equorum egz. 60. De reservatione a peste egz. 36. Cajetanus egz. 66. Diatriba Orzechowii egz. 30. Exhortatio ad veram sapientiam egz. 80. Arbor consanguineitatis egz. 200. Tucholiensis grammatica egz. 22. Sermo Episcopi Cracov. egz. 92. Methodus Confessionis egz. 50. Amilius Maer egz. 390. Homulus Comoedia egz. 86. Historia Josephi egz. 36. Sortilogia egz. 48. Phisionomia Cromeri egz. 36. Fructifera seu de Confessione egz. 62. Canones poenitentiales egz. 230. Rhetorica Spangenbergii egz. 24. Epithome juris egz. 31. Preces majores egz. 220. Centiloquia egz. 76. Colloquia puerilia egz. 740. Demosthenes: Oratio de pace egz. 150. Rudimenta Lupuli egz. 456. Murelii Dictionarii egz. 300. Carmina de resurrectione egz. 40. Admonitio sedis apostolicae egz. 60. Enchiridion medicinae egz. 120. Grammatica Campensis egz. 60. Elenchus de Conceptione egz. 60. Rubrica heremitarum egz. 78. Billicani grammatica egz. 360. Passionis per Leopolitam egz. 300. Prosa egz. 100. Dialectica Spangenbergii egz. 80. Oratio pro Quintio egz. 50. Breviaria Gnesnensia egz. 18. Petrus de Crescentiis egz. 3. Diaria inutilia circiter egz. 300. Regulae juris egz. 260. Modus legendi abbreviaturas egz. 90. Psalterium Campensis egz. 37. Processus juris egz. 390. Cobilini grammatica egz. 280. Missa armenorum egz. 108. Epistola rabbi Samuelis egz. 500. Josephi tragoediae egz. 160. Esop Carmine (sic) egz. 240. Carmina Sibillae egz. 50. De accentibus egz. 40. Sintaxis Tucholiensis egz. 20. Soliloquia egz. 60. Ferdinandow egz. 100. Diurnalium Cracoviensia egz. 11. Libri polonici: Kupiec polski. Ezop polski egz. 7. Historie rzymskie egz. 44. Regestr. Józef polski wierszami. Sposób żywota chrześciańskiego egz. 9. Tobiasz polski. Hortulus polski. Woythów 98. Chroniki polskie egz. 404. Tobiasz polski egz. 34. Turcza duchowna egz. 42. Rzymskie dzieje egz. 100. Kuchmistrzowstwo egz. 100. Passyi pols. egz. 1. Katechizm pols. egz. 15.

Zołtarze dwa polsk. Stary obyczaj wiary egz. 8. Raj duszy. Dwa rejestra długie. Pieśń de passione domini egz. 200. Karta polski egz. 30. Pieśni: Krzyczym k'tobie egz. 150. Hortulus Borków egz. 246. Passyi polskich egz. 178. Pacierz polski egz. 28. Stary obyczaj egz. 135. Historje Częstochofskie egz. 200. Ezop carmine egz. 330. Rozmowa z Turkiem egz. 50. Herbarzów polskich egz. 36. (Oprócz tego spisu stoi w końcu, zapisano:) Petri de Crescentiis Polonica egz. 380. Historia de Alexandro polonica egz. 290. Postilla *Viceli* egz. 450. Sposób żywota chrześcijańskiego egz. 460. Tragedii zebranych egz. 200. Dialectica per questiones Caesarii egz. 350. Rudimenta grammatices egz. 500. Praeces majores egz. 250. Herbarium egz. 20. Judicia latina in 16to anni 1551 egz. 200.

Z pomiędzy tylu nakładów lub składowych dzieł officyny Unglerowskiej ilez nie doszło naszych czasów. Dotąd wiedzieliśmy o następujących drukach polskich *Unglera*: Farrago Tucholczyka 1531 mieści słownik polski. Dawida psalm 50ty. Pozdrawianie członków jeżusowych (1533). Tarcza duchowna. Roterodamczyka: Modlitwa Pańska (1533). Falimierz: Zielnik (1534). Glaber: Problemata Aristoteles (1538) Glaber o krwi (1535). Bielski. Żywoty filozofów (1535). List Rabi Samuela (1539). Algoritmus nauka liczby (1538). Miechowita: Wypisanie Sarmatskiej krainy (1535). Dawid: Zołtarz (1539). Historia o Józefie (1540). Powieść o założ. klasztoru (1540). Spiczynski o ziołach (1542). Kobyliński: o morowém powietrzu (1542); teologiczne dzieło przeciw katolikom (bez tytułu) (1545). Orzechowski przeciw Turkowi (1543). Księgi probowane przez doktory (1545). Rozmyślanie o bożem umęczeniu. Rej. żywot Józefa (1545). Georgewicz rozmowa z Turczyнем (1548). Krescentyn o gospodarstwie (1549). O żywocie Aleksandra W. (1550). Tomasz a Kempis o naśladowaniu (1545).

Porównawszy spis ten z powyższym przekonamy się, ile niedostaje nam druków polskich z owęj epoki, a to z jednéj tylko drukarni.



## ZAŁOŻENIA.

1. Miniatury w rękopismach są wskazówką nie tylko wieku, ale i pochodzenia rękopismów.

2. Mylném jest twierdzenie tych, którzy utrzymują, że filigrany w rękopismach i drukach nie mogą być wskazówką wieku i pochodzenia rękopismów i druków.

3. Twierdzenie uczonych niemieckich i wielu francuzkich, że pierwsze druki Harlemskie są wykonane drzeworytniczo, należy uważać za bezgruntowne.

4. Guttenberg nie jest wynalazcą druku.

5. Błędną jest zasada tych, którzy w katalogowaniu bibliotek, katalogi cedułkowe uznając tylko za tymczasowe, przywiązują wartość wyłączną do katalogów książkowych.

## D o p i s e k.

Po wydrukowaniu rozprawy tej i w czasie obrony jej publicznej celem uzyskania stopnia Dra filozofii, zwrócił moją uwagę prof. Szkoły Głównej *J. Papłoński*, na okoliczność stanowczo rozstrzygającą sposób mój odczytania i zrozumienia podpisu *S. Fiola*, to jest że stoi wyraz *i skonczasza* który jako w liczbie podwójnej użyty znaczy: iż skończyli (t. j. dzieło to obadwaj drukarze). Zarazem objawił powątpiewanie co do wierności podobizny, dlatego, że niektóre głoski niewłaściwie użyte. Co do tego, zapewniam, iż podobizna jest oddana ściśle według kalki. Kalkę zaś zdejmowano z egzemplarza *Osmiogłaśnika* staraniem profesora Purkyniego we Wrocławiu i pod jego okiem, co już samo przez się jest rękojmią wierności kopii. O lat 30 przed tem kalkował tenże podpis prof. *Bandtkie* i tak samo, mianowicie co do wyrazu *skonczasza*, który atoli wyraz, *Bandtkie* czyta *skonczasia*.

W podobiznie mojej są rażące błędy drukarskie powtórzone z oryginału jakoto: *Kazpmira* za *Kazimira*, *koziem* zamiast *boziem* *l* zamiast *a* i t. d., nie wytykałem usterek tych dlatego, że nie miały wpływu na mój sposób odczytania podpisu.

Co się tyczy wyrazu *skonczasza*, nie użyłem go za argument na mą korzyść dlatego, że nad wyrazem tym mianowicie *nad sza* jest *tytla* w kształcie daszka z punktem, oznaczająca jak śmieć wnosić, skrót opuszczonego wyrazu *sia*. Tak samo bowiem jest daszek z punktem nad wyrazem *by*, czytającym się dlatego: *bysty*: W razie tym, nabiera to innego znaczenia. Za mojem spostrzeżeniem przemawia ta okoliczność, iż podpis ten sam wydrukowano w *Czasosławcu* inaczej nieco. Widać, że Fioł spostrzegł te rażące błędy drukarskie, więc podpis złożył w później po *Osmiogłaśniku* drukującej się księdze, poprawiwszy błędy druku, a nadto opuściwszy niektóre skróty i zamiast *skonczasza* z rzezonym daszkiem i punktem, wydrukował *skonczasza sia*, lecz opuścił daszek i punkt.

Zresztą co do znaków skrótów słowiańskich powołując się na *Hulakowskiego Abbreviaturae vocabulorum*. Praga 1852 w 4ce.

## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

„Romeo i Julietta” opera pana Gounod w pięciu aktach. — „Testament Elżbiety” dramat w pięciu aktach pana Nus. — Z powodu wystawy, pogadanka o stanie obecnym sztuki pięknej we Francji — Francuzka flota pancerna na wystawie powszechniej. — Wiadomości literackie.

*Julietta* Gounoda pozyskała w Paryżu jeżeli nie tak powszechne uznanie jak *Faust*, to przynajmniej stałe względy znawców. Jakoż, chociaż płomienia i oryginalności dziełu brak, chociaż operę ustawicznie zaćmiewają wulkaniczne wybuchy angielskiej tragedyi, melodia nie jest powszednia. Przejrzyjmy paryzką wystawę téj opery, zatrzymując się krytycznie w każdej ważniejszej scenie.

Podnosząca się korytna odsłania wszystkie osoby sztuki, ustawione w nieruchomych grupach. Żywa ta płaskorzeźba, recytuje wolno i poważnie, prolog dramatu: „*W Weronie żyły niegdyś dwie rodziny rywalki.*” Zdaniem naszym jestto najpiękniejszy rozdział opery. Chłodny, a zarazem porywający chór ten fatalny i nie osobisty, zdaje się wychodzić z głębi wieków i śpiewać przez usta grobów.

Po tym prologu zasłona spada. Wnet podjęta, odkrywa ucztę w pałacu Kapuletów. Wchodzi *Julietta*, a młodzieź śpiewa jęj wdzięki wykrzyknikami zachwytu. Szmer pochwał powstający na balowym przebiegu piękności, podobny do szumu wody rozcinanej białą piersią łabędzia, muzyka oddaje wdzięcznie. *Julietta* upojona słodkim tryumfem, radość swoją okazuje naiwnie: piosnka jęj podobna do okrzyków ptaszka bijącym skrzydłem witającego jutrenkę, ra-

dośna jej dusza w ruladach ulata, jako skowronek w kręgach swojego lotu.

Stary Kapulet zachęca tymczasem młodzież do tańca, a Mercutio wprowadza na bal Romea, śpiewając mu balladę o królowej Mabie. Tu szydercza muza Szekspira na zawołanie Gouoda nie przybyła. Ballada nie ma ani oryginalności ani subtelności żłobienia, jakiego wymagało obrobienie muzyczne tego dyamentu poezji. Powietrzny wóz Maby nie wchodzi w gwieździstą noc marzenia, ale ginie w orkies-trze jako spadająca gwiazda we mgle.

Romeo spostrzega Juliettę i na pierwszy rzut oka miłość w jego łonie zapala się jak od błyskawicy... „Cóż to za dama co tam rękę młodzieńca bogaci? Piękność jej błyszczy przy licu nocy, jako klejnot w uchu Etiopki. O! wdziękini! zbyt droga do posiadania, zbyt przedziwna dla ziemi, czuję że nie kochałem dotychczas, gdyż do tej chwili nie widziałem prawdziwej piękności.”

W dramacie Szekspira Julietta w drugim końcu sali odpowiada z szybkością echa zbudzonego głosem: „Mamko! kto jest ten pan co tam stoi? Jeżeli on żonaty, trumna będzie moim mążżeńskim łóżem.”

Ten ustęp pominął Gounod, co jest wielką wadą, gdyż nie się tak nie nadaje do muzyki, jak ta jedno-brzemiennosc namiętności.

Romeo zachwycony oddał się; Julietta uczucia swoje wylewa w skrzydlatym walcu wirującym od niechcenia... wiosenna melodia zdaje się biegać po kwiatach.

Pierwsze spotkanie dwojga kochanków zbyt chłodne, zbyt francuzkie: subtelne szczebiotanie nie oddaje wcale płomiennego prądu, który nadaje mu Szekspir. Tam w oka mgnieniu dwie istoty przeznaczone sobie, poznają się, ofiarują się sobie i przyjmują... Pchane nieprzepartym pociąganiem, wybiegają na przeciw siebie... jednym skokiem przebywają płynącą pomiędzy ich rodzinami rzekę krwi co niesie trupy... To nie spotykający się znajomi, ale łączący narzeczeni. W pierwszém ich powitaniu brzmi uroczyste, nieodwołalne *zobowiązanie*, zamieniony pocałunek pieczętuje ich pośpieszne małżeństwo.

Wszystkie te genialne subtelności tragedyi, niktą w operze.

W drugim akcie Romeo stoi pod balkonem Julietty. Przeczucie rychłej śmierci, sztylety Kapuletów zawieszono nad nocną schadzką, pachnące tchnienie nocy letniej, wszystko spiskuje ku przyśpieszeniu tragicznej miłości: rozwija się tak nagle jak owe cudowne drzewo, które godzinę kwitnie z wulkanicznym wybuchem woni... Żadnych omówień, żadnej kokieteryi. Julietta odrzuca wszystkie osłony, któremi się otacza pierwsze wyznanie, ukazuje się kochankowi w przeczystej nagości niewinnego uczucia... „Chciałabym zachować konwenanse; chciałabym zaprzeczyć temu, com powiedziała, ale z ceremonii kwita! Kochasz mnie? Wiem, że odpowiesz *tak*, i wierzę ci na słowo. Zaprawdę piękny Monteku, zbyt jestem tobą zachwycona, możesz mnie o lekkomyślność posądzić. Ale zaufaj mi! Okażę się wierniejszą niż te co umieją trzymać się na wodzy.”

Czarowny ten dyalog, na którego myśl samą serce bije, nie przeszedł w muzykę z całą pieszczotą swoją, wylaniem, zachwytem, pauzami i zadumami... Na to potrzeba nie francuzkiego uczucia. Wedle skali paryżkich miłostek, scena ładna; ale nie wedle Belliniego. Sycylijszyk w tej scenie, falujący rytm melodyi rozwiązuje i wiąże, jak namiętne, długie uściski porzucone i znów rozpoczęte... Śpiew tam wybucha jak krzyk szczęścia, to znów topnieje w słodkim pocałunku, w westchnieniu upragnienia... Półcień co te uczucia osłania, dodaje im poezyi: noc jest w tym duecie miłości, jak w otaczającym go ogrodzie... *solì... e sen za alcun sospetto*, kochankowie są w niebie...

Ale porzućmy sycylijskie kratery i wróćmy do paryżkich cieplarni.

W następnej scenie jesteśmy w celi Ojca Wawrzyńca, który błogosławi potajemne małżeństwo dwojga kochanków. Tego księdza także nie pojął Gounod.

Wawrzyniec Szekspira łączy powagę kapłana z dobroduszością włoskiego braciszka; jest w nim coś księdza i czarodzieja: zna zioła co leczą ciało i słowa co pocieszają duszę. Szuka Boga w Jego stworzeniu, czyta Jego nazwę w kwiatach i gwiazdach, jaśniej niż w świętych księgach. Słuchając go przypominasz ojców pustelników w odzieży z liści, których fresk *Campo Santo* pokazuje zbierających zioła na oazie.

Niepodobna poznać tego pustelnika w Dominikanie przeklinającym na psalmową nutę. Wawrzyniec przecież nie był inkwizytorem: Szekspir uosobił w nim łagodny typ pierwotnych Franciszkanów. Wawrzyniec, to uczeń Franciszka z Asyżu, który w kantyczkach woła: „Dzięki Ci Panie za naszego pana-brata słońce, które nam daje dzień; za naszego brata księżyc, brata wiatr, siostrę wodę bardzo potrzebną, drogą i czystą; za naszego brata ogień, który rozjaśnia noc; za naszą matkę ziemię, która rodzi przezroczyście kwiaty i zioła...

(„Laudato sia Dio, mio Signore!  
Specialmente, messer lo frate Sole” etc).

Brat Wawrzyniec jest wyznawcą tej religii rajskiej, żyje w ciągłej styczności z przyrodą. Nie rozumiem czemu Gounod zrobił z niego basem śpiewającego mnicha podobnego tym, którzy podpalali stopy. Anielski organ, flet pasterski powinien brzmieć w tej grocie usłanej kwiatami... A tu słychać tylko szwargot mechanicznie wyuczonego pacierza.

Zmiana dekoracyi przenosi nas w ulice Werony. Paź Rómea szukający pana, staje przed domem Kapuletów i pod ich oknami śpiewa uszczypliwą serenadę. Jestto lśniący dyament dowcipu!.. jako dyament, przecina szyby pałacu Kapuletów: wypada służba i wyzywa do bitki pazia. Nadbiegły Rómeo napotyka wcieloną Wendetę, straszego Tybalt'a. Mercutio pada śmiertelnie ranny... Krzyk jego budzi Rómea z miłośnego rozmarzenia: dobywa szpady i zaczyna bój z kapuletami. Tybald zabity, a zabójca Rómeo wygnany z Werony. Wygnanie otwiera przepaść przez miłość zapełnioną.

Cała ta scena oddana dramatycznie; głosy i szpady brzmiały do rytmu, szczęk broni popiera obelgi, rozpetana orkiestra, nawałnicy ludzkich namiętności przygrywa grzmotem.

Wielka scena pożegnania z czwartego aktu, szczyt tragedyi, nie zdaje nam się być szczytem opery. Przyszła i przeszła ta noc pożądana, nadzwyczajna, jedyna; noc która w poezyi jest tém, czém w naturze wieczory zjawisk. Dzień wypędza szczęście... jego podzwonne skowronek głosi...

...„To nie słowik, to skowronek, uchodź, uchodź śpiesznie drogi!”.. Uścisk się rozwiązuje, czar pryska... rozłącze-

nie łamie kochanków... „bladłość przyszlęj śmierci na ich lica wybija. Bomeo ukazuje się Julicie pod balkonem, niby trup w dole... Roleś jałowa krew naszą pije... Bywaj zdrowa!”

Nie wszystkie te boleści i rozkosze, uściski i dreszcze, czuć w duccie oddającym tę scenę cudowną.. musi je słuchacz w swęj duszy dośpiewać.

Następny akt chłodny. Arya starego Kapuleta zwiastująca Julicie zamęćcie z Parysem; *recitativo* mnicha opisującego pozorną śmierć, w której ją pogrąży, nie czynią wrażenia. Następny obraz przedstawia galerią pałacową a w nięj weselne gody. W świetnym orszaku, Julietta idzie drżąca i przed kaplicą pada w objęcia towarzyszek.. Powstaje zgiełk, jęki orkiestry wyrażają boleść rodziców: Julietta umarła!!

Piąty akt w podziemiach grobowych. U Szekspira odbywa się tam pojedynek Romea z Parysem. W operze to spotkanie słusznie pominięto. Romeo wchodzi do krypty, gdzie Julietta w ślubnym stroju, spoczywa na katafalku. Pieśń jego bezbarwna. Dopiero duet konania odśpiewany w ostatnim uścisku podnosi scenę. Jestto piękna grupa posągowa na pomniku. Miłosne akordy poprzednich aktów, powracają w tym poważnym dyalogu, jak lube uśmiechy na umierające usta. Skowronek i słowik, towarzysze zachwytu małżonków, smutnie unoszą się nad ich grobem.

Przymioty Gounoda uwydatnione w tęg partycyi: podniosłość stylu, poczyna myśli, rzewne wyrażenie najśłodszych uczuć, uczoność orkiestracyi, wszystko to jest; brak tylko ognia, brak nuty najwyższego zachwytu i krzyku rozpaczy, dwóch ostatnich tonów gamy wzruszeń ludzkich. Opera ładna. Ale Julietta czeka barda: dotąd w ogrodzie Kapuletów, *jeden* tylko słowik śpiewa a niebiosa same jedne godnie płaczą nad niedolą kochanków... Poeta ręczy, że płaczą, prozaik temu przeczy:

„Nad Kapuletych i Montekich domem  
 Spłukane deszczem, poruszone gromem  
 Łagodne oko błękitu  
 Patrzy na gruzy rozwalonych grodów  
 I na otwarte bramy do ogrodów.  
 I gwiazdę spuszcza ze szczytu.



„Cyprysy mówią, że to dla Julietty  
 I dla Romea ta łąza z nad planety  
     Spada i w groby przecieka;  
 A ludzie mówią, i mówią uczenie,  
 Że to nie łązy są, ale że kamienie  
     I że nikt na nie nie czeka.”

Pięcio-aktowy dramat obecnie przedstawiany w Gaité, pod tytułem: „*Testament Elżbiety*” szerokie pole otwiera krytyce, chociaż pod względem budowy i dramatyczności, jest znakomity. Gruba nieznajomość dziejów angielskich rzecz psuje. Dramaturg czerpiący z historii, powinien ją obejrzyć wszech-stronnie: nie dość połapać błyszczące fakta, trzeba stwierdzić czy są prawdziwe.

Śmierć Elżbiety, wstąpienie na tron Jakóba I króla szkockiego na tron angielski; tragiczna miłość Arabelli Stuart dla Seymoura; nakoniec *sprzysiężenie prochów*, taki jest spis rzeczy znajdujących się w dramacie pana Nus. Sama Elżbieta nie mogłaby zapełnić sztuki: bez Maryi Stuart, Elżbieta nie jest wcale dramatyczna. Potrzeba jęj tęg królowęj do męczenia i zabijania; dopiero w zetknięciu z nią otrzymuje i wydziela namiętność. Przeciwwstawione sobie te dwie niewiasty przedstawiają walkę najnieawistniejszych instynktów kobiecego serca. Odosobniona od rywalki Elżbieta stygnie: cóż robić z katem kiedy nie ma ofiary?

Elżbieta pysznie wygląda w historii: Anglia jęj winna swoje wejście w poczet narodów. Ale wielkość jęj jest czysto polityczna: uwielbiać można królowę, ale trzeba nie-nawidzić kobietę. Jęj oblicze, charakter, obyczaje, miłostki, wszystko w niej antypatyczne. Jest w londyńskiej wieży lalka woskowa, wierne wyobrażenie Elżbiety. Twarz kwaśna, twarda, z haczykowatym nosem, zapadłemi usty, z małemi oczkami, po nad któremi sterczy góra czerwonych włosów, przykre czyni wrażenie... Pod tą głową długa szyja, kibić płaska utopiona w rogówce: nie brzydszego wyobrazić nie można.

Indyanie wystawiają sobie kompanią indyjską jako starą ejmość, bardzo bogatą i skąpą, która nimi rządzi z Londynu przez swoich żołnierzy i urzędników. Postać królowęj

w londyńskiej wieży przywodzi na myśl ową starą jejmość Indyan.

Wszystkie społeczne portrety Elżbiety mają cechę bajecznej karykatury: głowa uwięziona w olbrzymiej kryzie, pierś zapakowana w sztywny stanik, zła a dumna, zupełnie przypomina potworne bożyszcza indyjskie. Malarze których za satyryków brać można, byli jednak urzędownie wierni. W 1563 roku, Elżbieta zabroniła artystom *miernym* malować jej portrety: „Takie zatrudnienie, mówi dekret, winno zajmować jedynie malarzy najgenialniejszych.” W innéj odezwie Elżbieta zawiadamia poddanych „iż, ponieważ żaden z istniejących jej portretów nie oddaje sprawiedliwości oryginałowi, postanowiła, na żądanie swéj rady, otrzymać dokładne swoje podobieństwo od pędzla artysty pierwszorzędnego; że, toż, niebawem będzie wystawione na widok publiczny na pociechę wiernym poddanym.”

Jeżeli sztuka nie mogła uszlachetnić rysów Elżbiety, ani teatr ani poezya nie mogły także uidealizować jej osoby. Ma tragiczną wielkość na wielkiej scenie dziejowej pomiędzy rozbiciem Armady i rusztowaniem Maryi Stuart. Skoro wchodzi za kulisy Windsoru i Westminsteru, staje się starą panną kłótnicą, prześladowającą i bijącą swe damy, szturchającą i policzkującą dworzan.

Obejście sekutnicy łączyło się w niéj z pychą sułtanki: dworowi swojemu kazała się czołgać przed sobą; na kogo spojrzała, ten musiał zaraz paść na kolana. Szlachta usługująca jej do stołu, podając półmiski, trzy razy przyklekała. Kokieterya jej graniczyła z obłąkaniem: po śmierci znaleziono w jej garderobie *trzy tysiące* ubiorów. Podła zazdrość kobieca zaogniła jej nienawiść przeciwko Maryi Stuart. Melvil, poseł królowéj szkockiej w Londynie, opowiada w pamiętnikach, że raz Elżbieta pytała go która królowa ma najpiękniejsze włosy? „Odpowiedziałem, że jej włosy i włosy mojej królowéj zarówno są piękne. Skoro ją ta odpowiedź nie zadowolniła, dodałem, że ona jest najpiękniejszą w Anglii, a moja monarchini najpiękniejszą w Szkocyi, a ponieważ jeszcze nie była kontenta, powiedziałem że ma płeć bielszą niż Marya.”

Z wiekiem próżność się powiększyła. W siedmdziesięciu léciech tańcowała jeszcze tak zwaną *la Courante*, i prze-

bierała się za pasterkę. Aż do śmierci, dworzanie chcący się jej przypodobać, udawali iż są olśnieni promiennością jej wdzięków... Wonie któremi jej kadzili, byłyby udusiły azyatykę królowę. W życiu prywatném Elżbiety najszpetniejsze są jej miłostki. Bóg wie co się tam działo pod pokrywką niepokalanęj cnoty. Pocii spółcześnie zowią ją *westalką Zachodu*; na Wschodzie byłiby sto razy zakopali żywcem taką westalkę.

W dramacie pana Nus najważniejszą sceną jest konanie Elżbiety, a całe to konanie jest zmyśleniem. Lord Glenmore, który w ostatniej godzinie każe Elżbiecie gwałtem podpisywać testament na korzyść Jakóba króla szkockiego, nie istnieje w historii. Rzeczywiście Elżbieta nie zrobiła żadnego testamentu i nigdy nie wahała się co do wyboru swojego spadkobiercy.

Testament więc całkiem zmyślony, a *spisek prochowy* przyśpieszony o trzy lata; nadto, jedynym motorem jego naczelnika, chęć pomszczenia siostry shańbionęj przez magnata. Wielka to zbrodnia historyczna zropanzonego stronnictwa religijnego, schodzi w dramacie do rozmiarów rodzinnej wendety.

Krwawe odwety anglikańskiego protestantyzmu wymierzane za Elżbiety przeciw katolicyzmowi ciemńczącemu za Maryi Tudor, same jedne mogą wytłumaczyć ów szalony zamach. Stosy, więzienia, konfiskaty, tortury, do wściekłości przywiodły rozjątrzonych papistów. Jakób I syn męczennicy katolickiej, prześladowający ich jako zabójców matki, dopełnił miary. Z tych nienawiści tłumionych, z tego fermentu złości, wyszedł piekielny zamiar, który wydaje się powzięty w Pandoemonium przez złe duchy Miliona, które znały użytek prochu. Postanowiono wysadzić w powietrze króla, książąt, parów, gminy, cały naród. Prochy nagromadzone pod salę Westminsteru, byłyby wysadziły część Londynu wraz z gmachem parlamentu. Spiskowi rok blisko minę podkładali z ostrożnościami nadzwyczajnemi. Straszliwy krater który wykopali pod parlamentem, zawierał dwa oxefty i 32 beczek prochu armatniego.

Na scenie to arcydzieło podstępnej zbrodni, improwizują w parę godzin dwaj ludzie. Mimo tych nieprawdopodobieństw, rola naczelnika spisku wielkie czyni wrażenie. Był

téż to człowiek nie lada ów Fawke. Po odkryciu sprzysiężenia wzięty na tortury, największe męczarnie zniósł w milczeniu. Badany w obecności króla, nie zachwiał się ani na chwilę i odpowiadał szydyczko na wszystkie pytania. Skoro jeden lord szkocki zapytał go na co zgromadził tak ogromną ilość prochu? „Na to, żeby szkockie żebraki którzy rabują Anglię, odlecieli na swoje góry” odpowiedział Fawke. Jakób chcący uchodzić za łacinnika, przezwiał Fawkiego *Scewolą Wielkiej Brytanii*, co nie przeszkodziło że mu kazał żywcem wnętrzności wyrwać w płomieniach.

Śmierć Elżbiety ułożono wedle obrazu Delarocha. Sędziwa monarchini przepysznie ubrana leży na poduszkach rozrzuconych na podłodze: w galowym stroju czeka śmierci. Rzeczywiście, położono ją prawie gwałtem do łóżka na trzy dni przed skonem. Skoro zaniemogła, kazała się położyć na ziemi, bo jój się przywidziało, że jeżeli w łożu zostanie, już zeń nie wstanie. Czując śmierć bliską, walczyła z nią uparcie; zrywała się z posłania, biegała po izbie, a chwyciwszy szpadę wściekle kłóła makaty. W teatrze majestatycznie, choć ciężko umiera: grająca rolę Elżbiety artystka, konania uczyła się z natury, co sprawia, iż ją naśladować umie w sposób przerażający.

---

Malarstwo historyczne w zadziwiająco szczupłej liczbie przedstawiło się na ostatniej wystawie sztuk pięknych. Mniej to bije w oczy na wystawie powszechniej, gdzie w dziale francuzkim znajdują się obrazy z upłynionych lat dziesięciu; ale w pałacu pól Elizejskich gdzie zgromadzono płody artystyczne ubiegłego roku, brak dziejowych obrazów uderzał. Było ich zaledwie kilka, a i przed tymi stanawszy, mieszczanin mówił: „Bardzo to piękne, ale gdzie to zawiesić.”

Powyższe pytanie praktyczne, objaśniło nam rzecz całą: przyczyną upadku wielkiego malarstwa we Francyi jest brak wielkich domów. Kto nie widział, nie wyobrazi sobie szczupłości tegoczesnych pomieszczeń paryzkich. Starych domów obszernych, już bardzo mało; za lat kilkanaście, nie będzie ich weale; a wtedy, gdzie zawiesić obrazy cztery metry wy-

sokie? Muzea, kościoły, pełne, a mieszkanie mieszczanina coraz się staje ciasniejsze, jak życie. Rzeźby wejdą jeszcze do nowych domów dzięki *pomniejszeniu* Collas'a, ale obrazu historycznego pomniejszyć nie można, pod karą zatraty stylu.

Wielka sztuka zasadza się więc na pokrywaniu wielkich płócien? Nie inaczej, ale należy się w tym względzie porozumieć. Jeżeli odmaluję... dajmy na to pięknego rzeźnika w stu-łokciowej ramie, nikt jednak ztąd nie wniesie że to malatura historyczna. Powiem więc, nawet *Kermess* Rubensa powiększony do nieskończoności, nie stanie się obrazem historycznym. Dlaczego? Czy potoczność przedmiotu ruguje pojęcie wielkości? Nie, ruguje ją brak nagości. Cechą główną wielkiej sztuki jest malowanie nagości w jej naturalnych rozmiarach.

Nagość jest konwencją w sztuce jak wiersz w literaturze. Nikt nie rozmawia wierszem, nikt, nawet na południu, nie spaceruje bez koszuli. Skoro artysta maluje lub rzeźbi postać naga, ma postanowienie odosobnić kształt ludzki, odsunąć od niego wszystkie dodatki któreby uwagę widza zniżyły do prozaicznych potrzeb życia. Zrzuciwszy odzienie, nie ma ani bogatych ani ubogich, ani monarchów ani niewolników, są tylko ciała młode lub stare, subtelne lub potężne. Piękność sama się wyłania i wydobywa na wierzch jako esencja w czaszy.

Dlatego społeczność starożytna widziana po przez muzea wydaje nam się niby zgromadzeniem bogów. Nagość jest ubiorem nieśmiertelnych, jak poezja jest ich językiem. Jest coś nadludzkiego w tej mowie harmonijnej, skrzydlatej, która po nad realnością ziemi się unosi, wybiera najpiękniejsze uczucia, najświetniejsze myśli, najśodsze lub najroźgłośniejsze słowa.

Rozmiar dzieł poetycznych jest obojętny: *Parys* Mickiewicza mieści więcej piękności niż nie jedna epopea o dwunastu pieśniach; udatny sonet, wart poematu. Ale to prawo nie stosuje się do malarstwa: na jednej stopie kwadratowej płótna, niema obrazu historycznego. Dlaczego? Bo największa piękność i trudność rysunku polega na zmierzeniu się od stóp do głowy z kształtem ludzkim, tém najwyższem arcydziełem natury, walka tém trudniejsza, że nie znosi ani

podstępu ani oszustwa. A jest mnóstwo sposobów oszukania oka w małym obrazku. Na stu malarzy, dziewięćdziesięciu dziewięciu igra z trudnościami oddając sylwetkę kształtu ludzkiego na małych obrazkach.

Owóż malarstwo historyczne możebnym jest jedynie na wielkich płótnach; a ponieważ coraz trudniej je pomieścić, coraz mniej ich przybywa. Ile łatwo jest pozbyć mały obrazek, choć mierny, tyle trudno sprzedać duży, chociaż piękny. Przyszło do tego, iż rząd wyznaczył 100,000 nagrody za najlepszy obraz historyczny, a krytycy wysilają się na zachęty słowne dla artystów oddających się *niekorzystnej* sztuce. W rządzie tych ostatnich, pierwszym jest dziś Amaury Duval. Maluje on z mistrzowską prostotą; rysunek jego szeroki, trafnie oddaje wszystkie ułudy natury. Uczeń Flandrin'a, Amaury odziedziczył jego powagę i wdzięki. Perłą tegorocznego salonu jest *Danae*, Duwala, czekająca złotego deszczu na białym aksamitnym łożu. Prześliczna, rozkoszna istota! Nam ten obraz wytworny, przypomniał subtelną poezję Teofila Gautier, pod tytułem: *la Symphonie en blanc majeur*.

Artysta uwziął się żeby wszystko przedstawić w jaśni, utopić naturę w pachnącym mleku. Ale to *uwzięcie*, to postanowienie przeniesienia widza na eter lżejszy, w niczem prawdziwości kształtów nie ubliża: wzór pozostaje rzeczywisty. Jestto kobieta idealna, absolutna, oderwana, nietylko od rzeczywistości, nietylko od odzienia, ale i od jada. To wdzięczne ciało nigdy nie spożyło, nawet zakazanego owocu; nie krew krąży w tej perłowej skórze; a jednak, kształt niewieści tu jest w swój pełni, taki, jakiego daremnie przez całe życie szukał Don Juan, taki, jaki we śnie widują uprzywilejowane śpiochy...

Czytaliście Platona? owego wzniosłego marzyciela, który metafizyce chrześcijańskiej dostarczył najczystszych materiałów. Mniema on, że wszystkie stworzenia rzeczywistego świata mają w świecie niewidomym, swoją formę *niestworzoną*, swój kształt oderwany, *myśl* swoją. Oto co chciał odmalować Amaury Duval. Wzór jego precudny dostarczy mu tylko *objaśnień*. Artysta mogący się zdobyć na taką sztukę, jest mistrzem.

Po Duvalu, pan Puvis de Chavannes pierwsze zajmuje miejsce w rzędzie francuzkich malarzy żyjących. Utwory tego malarza dowodzą ciągle górnych dążności. Wszystkie obrazy pana Puvis są szlachetne i rozległe. Postaciom brak jedynie mocniejszego określenia. Utwory jego blade, widz dośpiewywać musi w duszy jak słuchacz pieśni o Aldony losach. W poczui nieokreśloność jest zaletą, w malarstwie wadą.

W tegorocznym salonie pan Puvis przedstawił ogromny obraz *Sen*. Dzieło równie wielkie pojęciem jak rozmiarem. Technienie Wirgiliusza przeleciało przez tę grupę szlachetnie malowniczą. Obraz cały ma cechę starożytnego fresku. Niech malarz nieco więcej wejdzie w szczegóły ludzkiego kształtu, a będzie godnym przedstawicielem wielkiego malarstwa.

Gustawa Doré, *Tapis-Vert*, bardzo surowe wywołał krytyki. Znawcy nie chcą wierzyć że to dzieło Dorego; przekonani podpisem, całą winę składają na recenzentów, ponieważ słusznie. Paryzey krytycy popsuli Dorego. Spozrzegli młodzieńca bogato od natury uposażonego, z żywą wyobraźnią i talentem ogromnym. Zachwyciły ich jego szkice, jego rysunki, jego winiетки do tego stopnia, że zapomnieli o tém co mu jeszcze brakuje, zapomnieli, że mu potrzeba z dziesięć lat pracy do uzupełnienia. Studenta okrzyknęli mistrzem, a z mistrza zrobili Boga. Jakże on miał wątpić o sobie, kiedy mu powtarzano na wszystkie tony że jest doskonały. Nie pozostawało mu jak tylko płodzić, płodzić jak Bóg, bez pracy

Tak też czynił. Artysta któryby nie otrzymał dyplomu na wszechmocnego, któryby nazwiska swojego nie uważał za talizman, zmierzyłby siły swoje w obec kilkunastu-łokciowego płótna. Ale ulubieniec mody, gagatek powszechności, myśli sobie: obraz nie może być zły, gdyż będzie mój, wszyscy przyznają że jestem nieomylny.

Historya Dorego jest historyą wszystkich słusznie czy niesłusznie zarozumiałych: kończą na pomieszczeniu zmysłów. Wystawa 1867 roku nie będzie stracona, jeżeli Gustawa Doré i jemu podobnych, uczyni tak skromnymi jak był Rafael i Michał Anioł.

*Zingara* Heberta, terażniejszego dyrektora szkoły rzymskiej, wydaje nam się *zachwycającym* obrazkiem. Jest arcydziełem, ta dziewczyna urobiona ze słońca i miłości przez najognistszego z młodych mistrzów francuzkich. Krytykom którzy dawniej wyrzucali Hebertowi że samych chorych maluje, on teraz odpowiada pokazując wybujałe życie, rozkiełznaną młodość w ciele wążem, ale silniejszém niż stalowa klinga. W téj idealnej inkarnacyi złego, poznajemy *Camargo* Alfreda de Musset.

Wcale nie źle tego roku wyglądała rzeźba, ta najuczniejsza, najzupełniejsza, najtrwalsza ze wszystkich sztuk, ale niewdzięczna! tyle prawie co architektura i muzyka.

Czy zastanowiliście się kiedy nad tém, ile potrzebuje milionów budowniczy, żeby po sobie pomnik zostawił? Karol Garnier, pierwszy dziś architekt francuzki, wydaje 25 milionów na gmach opery, a dość jest źle położonej zapalki ażeby zniszczyć jego arcydzieło. Architekt potrzebuje nie tylko tysięcy dukatów, ale tysięcy współpracowników, mularzy, marmurników, ornamencistów, cieśli, malarzy i rzeźbiarzy, którzy nie mając zupełnej mocy życia lub śmierci nad jego dziełem, mogą go jednak popsuć złém wykonaniem, a nie są odpowiedzialni.

Kompozytor muzyki to jeszcze człowiek godniejszy pożałowania niż zazdrości. Płody jego tylko teatr pokazuje światu, a tam muzyk od wszystkich zależy: od librecisty, od śpiewaków, od orkiestry, od publiczności, należy do swego złego lub dobrego humoru.

Rzeźbiarz nie dość że stworzy arcydzieło z kawałka gliny. Posąg skończony przedstawia rzecz kruchą, zimną, zawadzającą, wnet brudną, bo gips kurzawą przesiąka. Żeby gips w bronz przekształcić, trzeba parę tysięcy franków, a te nie zawsze w kieszeni rzeźbiarza się znajdują. Marmur dwa razy tyle kosztuje, bo nie dość nabyć bryłę, trzeba człowieka co ją z grubsza ociosze, potem trzeba skrobać, pilnować, gładzić, wykończyć ociosanie najemnika. Wtedy, gdzie to dzieło podziać? Jedynym nabywcą posągów państwo; niekiedy bogate gminy albo kompanie dróg żelaznych na posąg się zdobywają. Prywatni nabywcy we Francyi, są książęta królewskiej krwi, Rotszyldy i kilku milionerów *dubeltowców*.



Milioner *pojedynczy*, ulokowawszy milionik, będzie miał pięćdziesiąt tysięcy dochodu. Wyda pięć na mieszkanie. Więc jakież ono będzie? Jakieś trzecie piętro w starej ulicy, a na nowych bulwarach, piąte. Jakżeż tę nieborak wniesie tam bronzowe lub marmurowe posągi? Właściciel wymówiłby mu natychmiast komorne, bo nie tak nie psuje nowych podłóg jak statuy...

Może acaństwa gorszą, mówiąc językiem powszednim o sztuce Fidyasza i Michała Anioła, ale jestem człowiekiem mojego czasu, którego dalibóg nie stworzyłem. Jeżeli grunt sprzedaje się po 2000 franków w Paryżu, jeżeli życie coraz trudniejsze, coraz ciasniejsze i godniejsze politowania, jam temu nie winien. Ale wróćmy do przedmiotu.

Ze zbyt pozytywnego istnienia jakie mamy, wynikło, iż roku Pańskiego 1867 więcej jest rzeźbiarzy niż nabywców. Skoro utalentowany artysta wyda 10,000 na zrobienie posągu, czasami sprzeda go za dwanaście, przy wielkich protekcyach. Praca jego roczna, płaci się w takim razie sto ludwików... Za tę cenę nikt nie zechce w Paryżu szyć spodni ani sprzedawać łójówek. To też wydziwić się nie mogę że nie było tu dotąd *zmowy* rzeźbiarzy. Ich praca jedyną jest, za którą jeszcze płacą jak płacono przed stoma laty, chociaż cena pieniędzy zmniejszyła się o 75 za sto.

Fortuna dziwném kołem się toczy! Nie jeden malarz społeczny, nie wart zawiązać trzewika Poussenowi, zarabia dwadzieścia razy tyle ile zarabiał Poussin. Dramaturgi w Paryżu co rok dzielą pomiędzy siebie dwa miliony, czyli milion razy tyle ile prawo autorskie roczne wielkiego Corneilla. A Bogu wiadomo, że miliona Corneillów obecnie Francya nie posiada. Co do paryzkich rzeźbiarzy, może najutalentowańszych ze wszystkich artystów, ci mieliby zysk oczywisty zostać czapnikami albo fotografami.

Mająż przynajmniej to najwyższe dobro, które Alexander Wielki do Azji z sobą przyniósł? mająż nadzieję?—Żadnej. Widnokrąg ich ambicyi ścieśnia się co dzień. Luwr skończony. Opera skończy się niedługo; dworce dróg żelaznych już wszystkie nysze wypełniły. Francya ma już tyle kościołów ile ich udźwignąć może w tym wieku filozofii pozytywnej, a w kościołach tyle prawie posągów co pobożnych. Wszystkie place publiczne już ozdobione wszelkimi znakomito-

ściami z brązu i z kamienia. Umarłym wedle zasługi usłużono.

Więc cóż? Nie można przecież zabijać ludzi sławnych, żeby dać rzeźbiarzom robotę. Czas blizki w którym rzeźbiarz francuzki będzie tylko żył z wywozu, co rzecz smutna, bo Italia silnym jest współzawodnikiem, ta też ma talent, a prócz tego marmur.

Zważywszy to wszystko, z wielkiem uszanowaniem wstępuję zawsze do wilgotnej piwnicy gdzie teraz wystawiają rzeźby. Dawniej stały w ładnym ogrodzie; ale tego roku Leplay, pierwszy komissarz wystawy powszechniej, potrzebuje ogrodu do rozdawania nagród. Dopiero w 1869 roku wnętrze pałacu przemysłowego będzie zwrócone rzeźbie.

Co rok sześćdziesiąt dziewięć medali rozdają artystom: 40 biorą malarze, 15 rzeźbiarze, 6 architektki, 8 sztycharze i litografy. Dwa medale honorowe, po czterytysiące fran. każdy, przysięgli *mogą* dać twórcom arcydzieł, *jeżeli takowe znajdują na wystawie*. Taki jest przepis.

Tego roku przysięgli dali medal 4,000 rzeźbiarzowi Carrier-Belleuse. Rzecz nie właściwa nagradzać jednakimi medalami różnorodne talenta, a jeszcze nie stosowniejsza order dawać nie geniuszowi, ale *dawności*. Gdyby Rafael dziś zmartwychwstał w całej szczytności geniuszu, przepis francuzki dozwoliłby mu wystawić tylko dwa obrazy w roku 1868, dwa w 1869, dwa w 1870, i jeżeliby przysięgli dali mu trzy razy medal, pan Rafael Sanzio, rodem z Urbino, uczeń Perugina, mógłby być dekorowanym w 1871 roku, nie pierwój.

Medale honorowe, które jak napisano w katalogu, *mogą być rozdane*, stawiają artystów przysięgłych w ogromnym kłopotcie. Na tym świecie, jak wiadomo, każdy dla siebie. Człek utalentowany który zna swoją wartość i nieco ją przesadza, który przekłada siebie instynktowo nad innych, niechętnie daje koledze brewet wyższości. Trzeba też cudu prawie, żeby wydrzeć przysięgłym owe dwa medale honorowe. Dość bohaterstwa jeżeli dadzą jeden... drugi zawsze rzucają w wodę, albo dyskretnie składają na grobie. Czyż ich ganić za to? przeciwnie, chwalić trzeba: w dzisiejszych czasach to już bardzo ładnie, jeżeli kto zrobi połowę tego co zrobić powinien.

Pan Carrie-Belleuse, rzeźbiarz zaszczycony honorowym medalem, jest uczniem Dawida. Jak mistrz jego Belleuse zarabiał początkowo na chleb w służbie przemysłu. Teraz dość bogaty żeby się mógł poświęcić sztuce, należy do pierwszych paryzkich rzeźbiarzy. Nie mając siły Dawida, ma jego gust. Dwie jego wystawione grupy porywają wzrok i serce. Pierwsza przedstawia *kobietę pomiędzy dwoma Amorami*; druga *Dziąciątko Jezus na łonie Matki*. Marmur ten mówi rzeczy wzniosłe! Gest dziecięcia prawdziwie Boski; sam promienisty, Matkę zaćmiewa, jak w Ewangelii. Jezuici zmienili to później, wmówili w bigotów włoskich i hiszpańskich, że Madona jest wszystkim. Warto żeby zbyt uprzejma *kompania* z grupy Carriera uczyła się na nowo poznawać chrześcijańskiego ducha.

*Roland szalony* nieboszczyka Daseignur, nie ma nic wspólnego z bohaterem Ariosta, ale nie źle przedstawia ostatnie podrygi chorego romantyzmu powalonego przez zdrowy rozsądek.

Pomiędzy młodymi rzeźbiarzami francuzkimi, jeden tylko Maniglier tworzy jeszcze posągi romantyczne, to jest niepoprawne, niemożliwe, niesłychane... Ale artysta ten uspokoi się niezawodnie skoro zyska powodzenie, a będzie je miał skoro się uspokoi. Jestto *circulum viciosum*, ale nie ma tak zakłętą koła, z któregooby nie można uciec energicznym skokiem.

Każdy prawie malarz francuzki maluje portrety, a portret jest kamieniem probierczym malarza. Nie chcemy przez to powiedzieć żeby *Tors* starożytny, albo *Transfiguracja*, nie stawały od razu na szczycie swojego twórcy. Zaraz się wytłumaczy.

Ilekróć stajesz przed dziełem sztuki, patrzysz na walkę człowieka z naturą. Chodzi o to, żeby zobaczyć czy artysta bez innej broni, jak pędzel lub dłuto, potrafił wydrzeć naturze potęgę i subtelności wszelakie jakie ona wszędzie rozsiewa szczerze. Pojedynek ten jest zawsze bardzo zajmujący, na jakim bądź gruncie się odbywa, czy kiedy pejzażysta przedsięwzięcie ustalić na płótnie ciemny majestat lasu, czy kiedy kolorysta chce porwać promienie światła rozpierzchnąć na bukietcie; czy nakoniec, kiedy rzeźbiarz usiłuje pochwycić kapryśną postać niewieścią albo portrecista oddać rysy męż-

czynny. Przyroda równie jest obojętną na naszą wzdargę jak cześć, równie starannie modeluje nogę żebraka i twarz monarchy, oświeca je słońcem jednakiem, czyni z nich dwa przedmioty równie trudne do odmalowania.

Ale powszechność nie jest zarówno zdolną do sądzenia wysiłków sztuki. Kompetencya jój bardzo nie równa. Jakież kształty znamy gruntownie? W przybliżeniu znamy fizyognomię pól, drzew, kwiatów i zwierząt naszych krajów, poznajemy na obrazie dąb, osła lub konia, także kształt ludzki, ale mniej dobrze. Gdzieżeśmy go studyowali? Nieco w kąpielach, a głównie w muzeach. Nasze znanstwo kształtu człowieka, jest tylko odbiciem kopii. Życie społeczne dzisiejsze, dozwala studyować głowy i ręce.

Prawda, że człowiek jest cały w głowie, od pewnego czasu; mózgi czynne, wiecznie podżegane, a mięśniów brak. Nedorzeczne i zgubne wychowanie, bierze dziecię prawie z kolebki, sadza na ławie szkolnej i mówi mu: pracuj głową! kto ruszy ręką albo nogą, będzie karany. Praca umysłowa czyni człowieka bogatym, potężnym, sławnym; praca ręczna wiedzie do nędzy.

Człowiek tedy, siłą mózgu wypłynąwszy na wierzch, spieszy do uciech mózgowych i tym sposobem pali i niszczy w sobie ostatek mięśniów.

Gdyby jaka czarodziejka psotna, uderzeniem różeczki rozebrała na raz wszystkich Francuzów, obie połowy ludności spojrzawszy na się, parsknęłyby śmiechem...

Ach jakżeśmy daleko odbiegli od owego starożytnego typu, gdzie siła ciała dokładnie się równoważyła z inteligentną pogodą twarzy! Ale mniejsza o to; twarze ludzi żyjących głową, są ciekawymi wzorami dla malarza: mówią wiele rzeczy! dziwne opowiadają historye! każda zmarszczka jest bliźną otrzymaną w walce z życiem. Zaprawdę, piękny portret wart wiele, a wszyscy możemy go sądzić.

Najwyższy artysta nie może w portrecie oddać wszystkiego co pokazuje twarz ludzka. Talent zależy na wyborze, na uwydatnieniu głównych obrysów wyrażających górujące zdolności osoby. Paryżki karykaturzysta Daumier celuje w tym wyborze: rysuje wizerunki śmieszne, które obrane z przesady, od razuby się stały wybornymi portretami, bo wybitne strony człowieka uchwycone. Zwykli karykaturzy-

ści powiększają jedynie okulary albo brodawki wzoru: takie karykatury są głupie.

Najliczniejsza kategoria portrecików paryzkich, złożona z pochlebców prywatnej głupoty, ubiega się za *ładnem*, hołduje jekiemuś różanno-pulchnemu ideałowi i poświęca jemu wszelką oryginalność cery, humoru i temperamentu.

Obok tych stoją kochankowie *charakteru*, malarze uparcie dramatyczni, którzy umyślnie chmurzą oblicze poczciwego episiera, a piętno Brutusowej furji wyciskają na miękkich policzkach byłego golibrody.

Przenieść na płótno człowieka jakim jest, to dokonać dzieła historyka, to trzymać się równie daleko od nienawiści, która spotwarza jak od słabości, która schlebia; to unikać drobiazgow nic nie znaczących, a trzymać się głównych rysów.

Porównaliśmy wyżej malarstwo historyczne do poezji. Portret jest piękną prozą. Natura w szczodrocie swojej, pozwoliła żeby najwięksi poeci i malarze byli także doskonałymi prozaikami. Rafael, Tycian, Veronez, Rubens, Rembrandt, Velasques, Leonard de Vinci malowali doskonałe portrety.

Na paryzkich wystawach dobre portrety są rzadsze niż dobre obrazy rodzajowe, ale wiele jest miłych, oszukujących. Jeżeli chcesz mieć dokładne pojęcie, nie sądź na miejscu. Obejrzawszy wszystko wróć za tydzień. W ciągu dni ośmiu wizerunki ukłasyfikują się w twój głowie: przypomnisz sobie jedynie pierworzędne, reszta się w pamięci roztopi.

Słowa te piszę w miesiąc po zamknięciu wystawy sztuk pięknych, a skoro zamknę oczy, widzę wszystkie najlepsze portrety wystawy tegorocznój.

A najpierw i przedewszystkiem, widzę portret arcybiskupa paryzkiego, pędzla Lehmann'a. Człowiek subtelny, szczupły, zmęczony i cierpiący. Usta jego wyrażają przesyt i rezygnacyą... Rzekłbyś, że nie marzył o fioletach, że one jemu ciążyą, ale że je przyjął, więc nosi. Ramiona jego zgięte przed czasem pod krzyżem trudnych położeń, zawiłych obowiązków, zobowiązań sprzecznych... O! ciekawy to wizerunek kapłana! Jakże daleki od machiawelicznych prałatów *Odrodzenia*, i owych pysznych gallikanów, którzy na czole nosili odbicie promieni *króla-słońca*, jakże daleki od owych Rohanów napiżmowanych, którzy kwitli w mierzwie upadku

religijnego. Ten wizerunek przedstawia człowieka uczciwego, uczonego, przesiąkniętego nauką nowoczesną, ogarniętego przez nowe pojęcia, trafem przykutego do przeszłości, a zbyt jasnowidzącego żeby nie widział przygotowującej się przyszłości.

Generałów jest kilku... Niewierzycie jak trudno odmalować generała w mundurze: możnaby o tém cały tom napisać. Przez portret rozumiemy obraz przedstawiający jednostkę nie podobną do innéj; owoż wszyscy generałowie jednéj armii mający jednakie mundury, o sto kroków zupełnie do siebie podobni. Widziani z bliska nie przestają być podobnymi. Jeżeli natura ułała ich nie wedle jednego wzoru, życie ich w jednaką wgniotło formę. Historia ich prawie jednaka: przeszli jednaką naukę, studyowali też same książki, wykonywali jednakie obroty, narażali się na jednakie niebezpieczeństwa, ziewali jednaką nudą, badali jednakie roczniki. Karność której ulegali zanim sami zaczęli rozkazywać, urobiła ich jednak, albo prawie jednak. Przywyknienia ciała i ducha mało się różnią.

W salonie albo w klubie, w cywilnej sukni dopiero widzisz różnice; spostrzegasz że Canrobert nie jest Bugeaud'em. Ale opięty w mundur, każdy człowiek bierze kształt oznaczony: złoto czy miedź, srebro czy ołów, staje się po *formie* skoro w mundur wpadnie.

Z tego nieuchronnego prawa wynika dla malarzy konieczność twarde. Amaury Duval zniósł ją odważnie: w obec generała Brayer w mundurze, zapomniał o człowieku światowym i odmalował twór żelazny, który można postawić w arsenałach pod rubryką: „generał francuzki, okaz z roku 1867.”

Taki sposób przedstawiania wojskowych, wydaje nam się jedynie logiczny. Błądzi malarz skoro przedstawia generała uśmiechniętego, szarmanckiego, jakby się zalecał kobietom. W takim portrecie mundur z pozą się nie zgadza, kłóci się z duchem i stylem wizerunku. Mundur należy do obozu, nie do salonu, nie zwraca się do dam, ale do nieprzyjaciela. Generał zarcikujący w pełnym mundurze, będzie dla potomności równie trudną do rozwiązania zagadką jak tańczący ksiądz. Ludzie nie bardzo różnią się od siebie, ale przyjętą rzeczą żeby wdziewali odrębną strój kiedy rozdają

kule, inny, kiedy odprawiają mszę, a inny kiedy prawią damom grzeczności.

Ubiór mieszczański nie jest malowniczy, ale ma tę zaletę, że go można pogodzić ze wszystkimi czynnościami życia.

Najlepszy z portretów *cywilnych* na tegorocznej wystawie był przez Dubufa malowany wizerunek Gounod'a. Wygląda jak żywy! można go wrzucić w skrzynkę listową pod adresem potomności. Nie można było lepiej oddać tego artysty nerwowego, gorączkowego, nie zupełnego, a tak miłego, że go Paryżanki namiętnie bronią przed napaścią krytyków. Nie śpiewał on nigdy boskich melodyi Mozarta; nie ma w dłoni rogu obfitości który Rossini wysypał na półwiek cały; nie jest dramatyczny jak wielki brutal Verdi, ani kwitnący młodością wieczną, jak Auber; ale umie poruszać najsubtelniejsze struny niewieściego ducha, umie rozpętywać burze nie widzialne w takich zakątkach kobiecego serca, gdzie ani mąż ani kochanek nie wchodzi.

Ot i wszystkie godne wzmianki portrety w tegorocznym salonie, niegodnych było mnóstwo! Skoro portret wyobraża jegomością zaszczytnie znanego na wyścigowym polu, poważanego w twoim klubie, bez innych zasług dla publiczności, krytyk widzący dzieło, a mający tylko nazwisko lub fortunę oryginału, umie oceniać jedynie rysunek i karnacją. Trzeba by czarownikiem być, żeby powiedzieć czy artysta dobrze lub źle przedmiot rozumiał. Takich portretów bywa najwięcej, ale cóż o nich powiedzieć?

Zajrzyjmy do wystawy powszechnej.

---

Na wystawie powszechniej znajdują się pomniejszone okazy celnych statków francuskiej floty pancerniej. Zdrobniałe przedstawienie daje dokładne pojęcie potężnej armady stojącej w porcie Cherbourskim; dlatego monarchowie zagraniczni zwykle najdłużej i najuważniej ten dział wystawy zwiedzają.

Główną zaletą wystawy powszechniej, że jest niby kursem praktycznym nauki powszechniej. Wszystkie wiadomości ludzkie, wszystkie gałęzie czynności i wiedzy, tu wyobrażone przez charakterystyczne okazy. Dość otworzyć oczy w tym

bazarze umysłowym, żeby się uczyć bez wysiłku i straty czasu.

Wystawiona marynarka wojenna daje zupełne wyobrażenie o stanie, w jakim obecnie ta siła Francyi pozostaje. W dwóch ogromnych szklanych szafach z napisem *Marine Impériale*, dwadzieścia modeli, w zmniejszeniu metra na centymetr, przedstawiają tyleż odrębnych typów marynarki wojennój: okręty liniowe i fregaty pancerne, pływające baterye, szalupy pancerne, takżeż brzego-chrony i wierzchopływy. Najpierw uderza w tym zbiorze, okazały okręt *la Gloire*. Jestto arcydzieło uczonego Dupuy de Lôme, stanowiące epokę w historyi konstrukcyj morskich, wydany Europie wzór okrętów pancernych.

Potém idzie *Solferino* o sile dziewięciuset konj, z dwoma mostami, trzema masztami i podwójną baterią dział gwintowych. Daléj, *Marengo* fregata wojenna obecnie budowana na warsztatach Indret. Budowniczo wie tego okrętu skorzystali z wielu smutnych doświadczeń: *Marengo* będzie najdoskonalszym z istniejących pancerników. Pochód jego parowy, ma siłę 950 koni. Prócz dział gwintowych okalających boki, ma na moście cztery wieże obracające się i dźwigające armaty najgrubszego kalibru, przeznaczone do obmiatania kolisto widnokręgu. *Marengo* będzie miał taką jak *Solferino* ostrogę do rozpruwania boków nieprzyjacielskiego okrętu. Jest szrubowy i trzech masztowy: ogromna żeglatura dodaje mu potęgi przychodząc w pomoc parze.

*L' Heroine* i *La Flandre*, dwie fregaty pancerne z maszynami o sile 900 koni, opatrzone ostrogami, są równie niebezpieczne jak wyż wspomniane morskie kolosy.

*Pływające baterye*, które w Europie inaugurowały marynarkę pancerną, zbudowane wedle rysunku Napoleona IIIgo przedstawia na wystawie pięć statków: *la Devastation*, *le Congrève*, *la Foudroyante*, *la Lave* i *Tonnante*.

W roku 1855, dnia 18 października, *Dewastacya*, *Lawa* i *Tonent* pierwsze wstrzymały ogień nieprzyjaciela i wykazały użyteczność pływających bateryj.

Nowsze tego rodzaju konstrukcyje, znacznie ulepszone, są: *Arragente*, z maszyną parową o sile 120 koni i *l' Embuscade*.



Obok baterij pływających stoją lekkie pancerniki (Canonières cuirassées) mające działać około portów i na rzekach. Kanonierka *Aspic*, o sile 40 koni, inne o dwunastu, działały w wyprawie Kochinchińskiej. Zalety tych statków: szybki chód, łatwy kierunek, bezpieczeństwo dla załogi, i płytkie dno.

Straż brzegów reprezentuje *Bélier*, olbrzymi pancernik, o sile 530 koni z wieżą ruchomą na pokładzie opatrzoną działami nieomal wałowemi.

Nad Sekwaną, około mostu Jena, jest dalszy ciąg *Cesarskiej marynarki*. Wystawiono tu część materyału wchodzącego w konstrukcyę wyż wspomnianej fregaty pancerniej *Marengo*. Widzieć tam można kotły parowe tego okrętu, mające jemu dostarczyć siły *dziewięciuset pięćdziesięciu* koni. Jest także śruba tego pancernika: rozmiary téj metalowej sztuki, rozwój jéj skrzydeł, dają pojęcie o ogromie całości.

*Chwałę* zbudowano w Tulonie 1859 roku, jest ona chwałą francuzkiej marynarki pancerniej. Żelazna blacha jéj pancerzá ma 12 centymetrów grubości, a maszyna parowa jest o sile 800 koni. Zapas węgla starczy na dni ośm palenia potrzebnego do największej chyżości. Artylerya tego okrętu składa się z trzydziestu dział gwintowych, zaopatrzonych każde na 155 wystrzałów. Może zabrać *pięciuset* ludzi z żywnością na półtrzecia miesiąca. Na moście stoi mała forteczka z której mogą strzelać żołnierze. Na piersiach statku sterczy olbrzymi topór, do rąbania boków nieprzyjacielskiego okrętu.

Taką jest budowa tego pancernika, na który Anglicy nie mogą patrzeć bez zazdrości. Naganiwszy do syta, wedle tego wzoru zbudowali swój okręt *Warior*.

*Solferino* o *pięćdziesięciu* działach, zbudowany w 1863 roku, ma grubszy pancierz niż *Chwała*: blacha pokrywa wszystkie jego części, zdaniem marynarzy, jest *nienaruszalny*. Mimo ogromnego ciężaru, chodzi jak zwykły trzechmasztowy okręt. Jego maszyna parowa ma siłę 900 koni; długi 86, a szeroki 16 metrów, zabiera *ośmiuset* ludzi.

Pytanie, jakimi te statki teoretycznie uznane za *nienaruszalne*, okażą się w praktyce? Bitwa morska pod Lissą i smutny los *Affundatore*, zachwiały nieco wiarę, jaką morskie

mocarstwa Europy pokładały w pancernój flocie; poczęto nieufać tym żelaznym olbrzymom od czasu jak jeden z nich zatopiły zwykłe okręty drewniane. Specjaliści twierdzą że *Affundatore* był źle zbudowany; że jego pancierz w spojeniach popękał pod kulami; że gatunek żelaza był zły; że był ciężki w kierowaniu: słowem, ich zdaniem, zatopienie włoskiego pancernika nie wróży źle o przyszłości pancernój marynarki.

Francuzkie okręty bez porównania staranniej i z lepszego materiału zbudowane. Zważywszy blachy grube na 12, 15 i 22 centymetry, które pokrywają boki tych statków, nie można przypuścić żeby im mogła wiele szkodzić artylerya nieprzyjacielska, nawet ta potężna, której próbki znajdują się na wystawie powszechnój. Zapewne, takie działo jak berlińskie, nadzwyczajnych rozmiarów, przestrzeli blachę na 22 centymetry grubą; ale takie olbrzymy nigdy nie wejdą na pokład okrętowy; dziurawią one mury żelazne stojące spokojnie na ziemi, ale na morzu inne warunki.

Warunkiem potęgi strzału wielkiego działa jest proste uderzenie kuli: kołysanie statku temu przeszkodzi, bo i cel, i działo stają się ruchome. Zwykła armata okrętowa, pancierza *Solferino* ani *Magenta* nie przestrzeli. Zuchwalstwem jest twierdzić że pancerniki są *nienaruszalne*, ale to pewna, że posiadając nienaruszalność względną i zwyciężone być mogą tylko sposobem wyjątkowym.

Szturm (*l'abordage*), ów bohaterski środek dawnój marynarki wojennój, stał się niemożliwym przy nowém uzbrojeniu okrętów. Jak wysadzić majtków na pancernik? Bez żadnej ochrony i obrony, ludzie tam będą wystawieni na pękające bomby i potop ukropu którym ich z zewnątrz statku zaleją za pomocą maszyn parowych. Dwa pancerniki nie mogą ani strzelać do siebie skutecznie ani do siebie przystąpić: dawny porządek i dawne warunki morskiej bitwy z gruntu przemienione. Działaniu ostrogi nie sprzeciwi się żadna artylerya. Pozostaje jedynie straszne *uderzenie* morskich olbrzymów *o siebie*. Skoro pancernik puszcza się w największym pędzie, i uderza w stronę najbliższą nieprzyjacielskiego statku, to jest w bok jego, staje się sam najpotężniejszą kulą, druzgoczącą koniecznie okręt nieprzyjacielski, jeżeli sam ma mocne piersi.

Ten sposób walki będzie podobno z czasem jedynie skuteczny. To też, tak Anglicy jak Francuzi wysilają się na moc piersi pancernika, zbrojąc go w ostrogi i topory. Ostroga będzie osadzona w głębi wody, żeby trafiła w część podwodną, drewnianą, nieprzyjacielskiego statku.

Równe udoskonalenie europejskiej marynarki pancernej, sprawia, że teraz dwa pancerniki walczyć z sobą mogą dzień cały bez uszkodzenia się wzajem, jeżeli równie zręcznych znajdą dowódców. Jedyny sposób pokonania, *tluc się całą masą*, dopóki słabszy się nie rozleci. Trzeba więc poszukiwać zwinności ruchów statku; starać się o to, żeby mimo ciężkości swojej, dał się łatwo kierować wedle woli marynarza.

W strzeżeniu brzegów i fortec, marynarka pancerna największą spowodowała zmianę. Fortece uznane za *niezwycięzone*, jak Gibraltar i Malta, już nie są niedostępne: działa któremi najeżone przystępy tych warowni, dla wojennych pancerników mało znaczą: w parę godzin wszystkie zmuszą do milczenia a mury obrócą w perzynę. Artyleya lądowa nie zdoła już zatrzymać działania floty pancernej. Baterye stałe broniące dziś wniścia do portu, postradały znaczenie jakie miały w obronie brzegów: raz, że nie wytrzymują pocisków pancernych, powtóre, że same, ogniem swoim ich nie dosięgają.

Tak więc, cała taktyka marynarska, dzieło tylu wieków, unieważniona. Nowa jeszcze nie określona. Ze sprawienia się floty włoskiej pod Lissa, powtarzamy, nic wnosić nie można: rzemieślnicy i wodze tam zwyciężeni, nie pomysł. Ażeby orzec stanowczo w tej sprawie, trzeba czekać bitwy morskiej pomiędzy dwoma pancernikami dwóch wielkich państw morskich; wtedy dopiero świat pozna co wart nowy sposób zbrojenia marynarki, owoc pracy nauki nowoczesnej.

---

— Hrabina Guiccioli, *secundo voto* Margrabina Boissy, ma ogłosić niebawem *Wspomnienia Bajrona*; wiadomo iż ta dama była najbliższą przyjaciółką Lorda Bajrona.

— Pan Ludwik Blanc wydał dwa ostatnie tomy swoich *Lettres sur l'Angleterre*. Nie ma w tém dziele wcale mowy o wystawie, ale jakkolwiek pozbawione tego uroczego dziś

powabu, czyta się bardzo przyjemnie i z wielką korzyścią. Lat siedmnaście które autor przepędził w Anglii, nie stracone ani dla niego ani dla jego ziomeków: zna dobrze kraj o którym mówi, i poznać go daje innym. Mówi o wolności druku, ministrach odpowiedzialnych, większości parlamentarniej pobłażliwej, chociaż jest większością, słowem o rzeczach nadzwyczajnych. Od czasu do czasu, bardzo potrzebne *wierne* zwierciadło angielskiej społeczności. Jakkolwiek nie bez wyjątkowy wielbiciel Anglików, Blanc widzi w nich wiele dobrego. Anglicy mówią że to jedyny Francuz który ich zna.

— Guizot wydał ostatni tom swojego dzieła pod tytułem: „*Memoires pour servir à l'histoire de mon temps.*” Czy dziejopisy przyszłości wiele z tych pamiątek skorzystają? wątpić się godzi. Autor siebie na każdej karcie maluje i żłobi, ale o innych mówi mało, nie opowiada, lecz dyskutuje; nie chce, czy nie umie wprowadzić swoich społecznych na scenę. Względem ludzi sławniejszych od siebie, autor jest nieubłagany... Gada o nich z widocznym uprzedzeniem, zawsze z partesu nazywając nawet nieboszczyków *panami*. *Monsieur Chateaubriand, Monsieur Carrel, Monsieur Béranger*, i tak dalej.

Sposób pisania Guizota jest strasznie bładny i rozwlekły, najnudniejszy ze wszystkich znanych. On jednak wmówił w ludzi że jest wielkim pisarzem: za wielkiego mówcę, którym jest w istocie, siebie nie uważa.

Nie jest to pierwszy taki człowiek we Francyi; wszędzie ludzie chcą błyszczyć tym właśnie talentem, który najmniej posiadają. Sławny chemik Orfila miał siebie za wielkiego tenora. Człek który podpisał tysiąc tomów powieści pomiędzy którymi znajdują się arcydzieła, Alexander Dumas, uważa siebie za pierwszego w Europie *kucharza*, wcale nie za pierwszego romansopisarza. Wiktor Hugo szczyli się ze swych rysunków piórkim. Nie raz mówi, że nie pojmuje czemu chwałę jego wiersze a nigdy nie wspomną o jego rysunkach.. Ś. p. Ingres miał siebie za wirtuoza na skrzypcach, a przyjaciele ledwie go przez grzeczność słuchali.

Jest w tym stanie duszy ludzkiej jakaś wielka zagadka, może na ich przyszłe dobro wychodząca: chęć doławiania się zdolności, których nie posiadają w terażniejszości. Cóżkol-

wiekbądź, zdaniem naszym Guizot jest wielkim mówcą a małym pisarzem. Trzydzieści lat cierpliwości i zamięłowanie szpargałów, zrobiło z niego najpierw kompilatora, a powoli dziejopisa, najjałowszego i najdrobiazgowszego z wszystkich. Tych co nam zechcą przeczytać, odsyłamy do arcy-nudnej i nic nienauczającej ostatniej pracy sławnego ministra.

—Ludwik Wołowski napisał *Rozprawę o Bankach Szkockich*.

Akademik Feuillet wydał nową powieść pod tytułem „*Monsieur de Camort*:” rzecz słaba i wymuszona.



# ŻYCIE MOZARTA,

PODŁUG NAJLEPSZYCH ŹRÓDEŁ.

SKRĘŚLIŁ

*Maurycy Karasowski.*

---

(Ciąg dalszy).

## X.

Zbyteczną może byłoby rzeczą opisywać drobiazgowo tę pierwszą po Włoszech podróż Mozartów trwającą ośmnaście miesięcy. Na każdym kroku doznawali wszędzie jednakowego powodzenia; wszystkim ich wystąpieniom, wszędzie szczerzy zapak i uwielbienie towarzyszyło. Wizyty, zapraszania, wieczory muzykalne, koncerty, podarunki i t. p.: oto główniejsze fakta mnożące się na każdym ich kroku. Jednym słowem, nigdzie jeszcze Mozart nie doznał tyle czci, uwielbienia i zaszczytów, co we Włoszech; zapak mieszkańców tego kraju dla tego cudownego dziecka, dochodził do nadzwyczajnego stopnia; miasta w których dłużej lub krócej przebywał, zdawały się nie mieć innego zajęcia, jak tylko fetować i uwielbiać wirtuoza, który niepojętym talentem olśniewał zmysły współczesnych.

W Medyolanie, zaraz dyrektor tamtejszego teatru, zamówił u Mozarta operę, mającą się wykonać w karnawale 1771 roku: był to zaszczyt, o który napróżno się dobijał w Wiedniu. Ponieważ miał jeszcze na to z ośm miesięcy czasu, postanowił użyć go na zwiedzenie znaczniejszych miast półwyspu, a najprzód udał się do Bolonii, gdzie mieszkał naj-

uczeńszy włoski kontrąpunkcista, muzykalna wyrocznia owego czasu, sławny Ojciec Martini. W przejeździe przez Parmę, podróżni nasi poznali pannę Agujari Bastardellę; o śpiewaczkę tę i o jej głosie niestworzone rzeczy wtedy rozpowiadano. Mozartowie słyszeli już wiele o niej, ale z niedowierzaniem przyjmowali wszelkie tyczące się jej wieści. Chcąc ich przekonać, Bastardella zaprosiła ojca i syna na obiad, a z całą uprzejmością znakomitej artystki, zaśpiewała kilka aryj w których skarby swego nieporównanego głosu, w całym blasku okazała. Bezwątpienia, nikt jeszcze na świecie podobnie obszernym głosem poszczycić się nie mógł; w górnej skali był on o oktawę wyższym od tego, jaki zwykle sopran posiadają. Te zaś tony niesłychanej wysokości powiada L. Mozart: wydawały wprawdzie dźwięk słabszy jak inne średnie, lecz brzmienie ich było łagodne i fletowe, podobne do brzmienia jednostopowej organowej piszczałki.

W Bolonii, Ojciec Martini na czele licznych miłośników muzyki, oczekiwał już na trzynastoletniego artystę; jakież było ich zdziwienie i jaki zapach, kiedy usłyszeli chłopczyka fizycznie zaledwie na dziesięć lat wieku wyglądającego, jak z niepojętą swobodą rozwijał temata zadawane przez Martinięgo na fugi, improwizując takowe podług najściślejszych reguł na fortepianie.

We Florencyi, również wielkie zdziwienie się objawiło przy wykonaniu fug i innych najtrudniejszych ustępów na tym instrumencie, przedstawionych do grania poraz pierwszy czyli *à prima vista*, przez sławnego amatora muzyki markiza de Ligneville.

Zbliżający się koniec wielkiego postu, sprowadził naszych podróżnych do Rzymu, gdzie dnia 11 kwietnia 1770 roku szczęśliwie stanęli. Wiadomo, jak wielką wagę przywiązywała stolica apostolska do wyłącznego posiadania dzieł muzykalnych w ostatnim tygodniu przed Wielkanocą w kaplicy Sykstyńskiej wykonywanych. Długo bardzo pod klątwą, niewolno było żadnemu śpiewakowi kopiować, ani też wynosić lub pokazywać komukolwiek muzyki, w te dnie rokrocznie śpiewanej. Mozart jednakże, przyszedł do posiadania najślawniejszego z tych utworów: *miserere* Allegrego, a to sposobem następującym. Przybywszy do Rzymu w środę, pobiegł natychmiast do kościoła, by dzieło to usłyszeć;

a wróciwszy do domu przepisał całe z pamięci. Gdy w Wielki Piątek powtórnie je wykonywano, Mozart schował rękopism do kapelusza i słuchając z uwagą, poprawiał gdzie było potrzeba. Pomimo chęci zachowania owęj kradzieży w jak największej tajemnicy, rozeszła się o niej wieść po całym mieście, a skoro winowajca się przyznał, zażądano sprawdzenia. W obecności więc Christoforego artysty umyślnie w tym celu delegowanego, Mozart odegrał *miserere*, i ani jednej nuty nie brakowało. Christofori o mało zmysłów nie stracił, niemogąc pojąć jakim sposobem dzieło tak znaczne, w starym kościelnym stylu na 4 albo 5 głosów pisane, można było raz usłyszawszy, z pamięci skopiować!

W Neapolu, jeden tylko szczególny fakt jest do zanotowania z podróży Mozarta: oto zwiedzając konserwatorium della Pietà, proszonym był ażeby raczył dla zgromadzonych na jego przyjęcie uczniów zagrać coś na fortepianie. Wolfgang, którego już uważano wszędzie za najbogiejszego na tym instrumencie wirtuoza, począł grać jakąś kompozycję niezmiernie na lewą rękę trudną; słuchacze śledząc z podziwieniem jej ruchy, ujrzeli na palcu grającego pierścień złoty: otóż cała tajemnica wyjaśniona; bo w ich przekonaniu, pierścień ów miał zapewne własność nadania ręce takiej sprężystości i biegłości. Kiedy młodzi uczniowie konserwatorium myśl swoją wyjawili przed Mozartem, ten zdjął z palca ów niby talizman, a zagrawszy to samo, z większą może jeszcze dokładnością i szybkością, uwielbienie słuchaczy nie miało granic.

Przez cały ciąg tej podróży, Wolfgang pisywał regularnie listy do swęj siostry: styl tych listów w zadumienie wprawia. Gdyby z nich imienny podpis jego usunąć, z trudnością przyszłoby wierzyć, iż je pisało 14-toletnie dziecko, którego wychowanie nie było na wysokości jego wrodzonej inteligencji. Obok ciągtęj mieszaniny wyrażen niemieckich, włoskich i francuzkich, niby mozaiki poprzecinanęj gdzie-niegdzie gminnymi frazesami salzburgskimi, są tam błyski rozumu i dowcipu nad wiek wyższego; lecz zarazem tak śmiesznie niekiedy obok siebie zestawione, że w tęg powodzi słów charakteryzujących żywość i niecierpliwość chłopca, sens czasami wymyka się zupełnie. Oto próbka jedne-



go z takich listów datowanego z Neapolu: „*Schreibe mir und sey nicht so faul. Altrimente aviete qualche bastonate di me. Quel plaisir! je te casserai la tête... Müde las da saga wo bist dan gewesa he?*” (Reszta co następuje, napisane jest po niemiecku). „Operę którą tu przedstawiają, skomponował Jonselli; piękne to dzieło, lecz jak na teatr za nadto chłodne i zbyt gotyckie (eltväferisch). De Amicis jest śpiewakiem nieporównanym, również jako i Aprile, którego już słyszałem w Medyolanie. Budynek samego teatru wspaniały, ale balet pomimo pretensyi do wystawności, nędzny. Król wychowany na sposób neapolitański, kiedy jest w łoży, staje zawsze na stołeczku ażeby się wydać wyższym od królowej. Królowa piękna i bardzo grzeczna. Ukłoniła mi się nadzwyczaj uprzejmie ze sześć razy przynajmniej.“

Wybraliśmy tu umyślnie jeden z porządniej pisanych listów, bo inne zachowane z tej epoki tak szczególną odznaczają się barwą, tyle młodzieńczego umysłu wyskoków napozór najniedorzeczniejszych, iż tłumaczyć takowe byłoby niepodobieństwem. Jak tu się dziwić Mozartowi? pisząc do swojej Naunerl, ani chciał, ani mógł być poważnym; to też w jego stylu tak dobrze odwzorowującym niesłychaną żywotę temperamentu, widać jak ten roztrzepany a zawsze genialny chłopak, biega to tu, to owdzie, nie mogąc na chwilę uwagi swojej zatrzymać. Później atoli, skoro zmuszonym został pisywać do ojca o rzeczach mogących ich wspólnie zajmować, dowiódł, że nawet niechcący, myśli swoje potrafi wyrazić jeżeli nie dosyć wytwornie, to ze ścisłą jasnością, energią, a zawsze z pewnym rodzajem właściwej sobie tylko oryginalności. Szczególniej, jeżeli rzecz tyczyła się sztuki muzycznej, o! natenczas było już inny zupełnie pisarz. Jak dojdziemy do owej epoki, w listach Mozarta pomimo niedbałości stylu, czytelnik pozna w nim człowieka głęboko myślącego i wielkiego krytyka.

## XI.

W powrocie przez Rzym, Wolfgang otrzymał od Papieża order Złotej ostrogi na kilka lat przedtem dany także Gluckowi. Mozart nie nosił go nigdy, ani też tytułował się ka-

walerem jak to czynił jego poprzednik a twórca *Orfeusza* i innych znakomitęj wartości oper.

Miasta włoskie zdawały się rywalizować między sobą w okazywaniu czci i honorów młodemu artyście. Akademia filharmoniczna Bolońska, jednogłośnie przyjęła go do liczby swych członków, skoro uczynił zadosyć prośbie w tym względzie wymaganęj a bez której nikt do tego poważnego grona przyjętym być nie mógł. Oto są szczegóły owęj próby. Prezes akademii w towarzystwie dwóch cenzorów, i kilku zasłużonych mistrzów sztuki, dał mu motyw wyjęty z jakiejś antyfony rzymskiej, którego należało ułożyć na 4 głosy. Zaprowadzono tedy naszego kandydata do osobnego pokoju i na 2 spusty drzwi za nim zamknięto. Względem ojca jego również podobną ceremonię zachowano, umieściwszy go także w odosobnionęj stancyi. Sprawa nie była tak łatwą jak się zdaje, zważywszy iż zadany temat pisany był w starym kościelnym stylu, a w przeprowadzeniu go, należało koniecznie zachować pewną formę właściwą tylko w tego rodzaju kompozytykach. Zazwyczaj dawano kandydatowi 3 albo i więcej godzin czasu na uskutecznienie dzieła, Mozart jednakże w pół godziny skończył swą pracę, a głosy wszystkich zniewoliwszy dla nięj, otrzymał natychmiast dyplom akademiczny. Wkrótce potem, akademia filharmoniczna Werońska, przyjęła go także do swego grona z tytułem dyrektora muzyki.

Ku końcowi października, podróżni nasi powrócili do Medyolanu. W tém tedy mieście, Mozart miał rozpocząć zawód pełen sławy kompozytora dramatycznego operą *Mitridate Re di Ponto*.

Dopóki powodzenia i tryumfy jego ograniczały się w murach akademii i na estradach koncertowych, dopóty wirtuoz, kompozytor, improwizator, uczony kontrapunkcista, nie wywoływał pomiędzy Włochami innych uczuć, jak tylko najszczerze współczucie i najgorętszy zapal. Zazdrość i zawzięć drzemała, albo przynajmniej nigdzie się jawnie pokazywać nie śmiała; lecz skoro 14-toletni obcego pochodzenia muzyk, zapragnął tryumfów scenicznych, najpopularniejszych ze wszystkich i najwięcej na półwyspie upragnionych, zazdrość z całą czeredą ohydnych współtowarzyszek rozbudziła się natychmiast, pokazując na wszystkie strony swe

gniewliwe i ostre szpony. Najprzód poczęto wyrzekać na skandal i śmieszność w powierzaniu *scrittura* (libretta) opery włoskiej młodzikowi a nadewszystko niemcowi (tedesco). Śmiesznością jest mówiono, wymagać od chłopca tak młodego, wiadomości wielu rzeczy w komponowaniu dramatu muzycznego najkonieczniejszych. Jeden z przyjaciół panny Bernasconi prima-donny ówczesnego teatru, wyraził swe przed nią obawy względem smutnego losu jaki ją może spotkać niechybnie podczas przedstawienia, i narazić na szwank jej chwałę śpiewaczki z takim trudem nabytą. Wiadomo iż we Włoszech, prima-donna to istny tyran dla kompozytorów, ta wszechwładna istota jest panią ich artystycznego zawodu; od niej poczęści zależy powodzenie lub upadek ich pracy. Więc też w podobnych wypadkach intryga od niej najprzód zaczyna zastawiać swe sieci. Ów przyjaciel panny Bernasconi gorliwy o jej pomyślność, przyniósł przez siebie sfabrykowaną aryę, którą dla miłości Boga, bliźnich i siebie, powinna była koniecznie odśpiewać w miejsce tej, jaką *Cambino* dla niej napisał. Ale kobiety nie tak łatwo podejść, skoro jej miłość własna w czém udział weźmie. Prima-donna poznawszy już rolę przeznaczoną dla niej przez Mozarta, przekonała się, że nigdy jeszcze życzenia jej nie były lepiej i z większą inteligencyą przez kompozytora spełnione. Owszem z powodu szerokiego i nadzwyczajnie świetnego udziału w szczegółach melodyjnych jej partyi, przebaczyła mu nawet zbytęcną według swego przekonania troskliwość w instrumentowaniu tej opery. Mozart jak się sam później o tém wyrażał, niby krawiec szyjący suknie do miary, pasował aryę do wartości śpiewających. Umiejąc w nich wzbudzić osobiste zadowolenie, tym sposobem zniweczył kabałę na niego ukartowaną. Za przykładem śpiewaczki, signor Santorini (*primo-nomo*) kontent z roli w zupełności, nie chciał się także dać odwieść od powziętego postanowienia. Inne znów oznaki dobrej wróżby, przyłożyły się również do uspokojenia trwożliwego a mniej w swą gwiazdę ufne go ojca. Kopiści czyli przepisowacze rękopisowi na głosy i orkiestrę, większe nieraz od samych kompozytorów zyski odnosili; bo posiadając wyłączne prawo kopiowania, ustępy któreby się publiczności podobały, oni tylko mogli żądającym takowych odstępować; kopista opery

Mozarta, wprawny, doświadczony i jak wyżej umiejący tropić zwierzyne, w najlepszym wciąż był humorze, bo pełen wiary w pomyślny skutek przedstawienia. Po pierwszej orkiestrowej próbie, zauważano iż wielu niby przyjaciół młodego *maestra*, dziwnie pospuszczało nosy; śnać zwycięstwo miało go niechybnie spotkać. Śpiewacy i artyści orkiestry jednogłośnie przyznali, iż muzyka jest jasną, zrozumiałą, a nadewszystko łatwą do grania; ten ostatni zaś przymiot dla członków ówczesnych orkiestr włoskich, był najważniejszym. Nic więc dziwnego, że przedstawienie *Mitridata* najzupełniej się powiodło. Każdy ustęp tój opery, oklaskami przyjmowano, a wiele z nich na powszechnie żądanie powtarzano i to nawet wbrew zwyczajowi teatru Medyolańskiego, gdyż publiczność słuchająca poraz pierwszy nowój opery, zwykle powagą głębokiego milczenia jak doktorską togą się okrywała. Okrzyki *evviva il maestro! evviva il maestrino!* rozlegały się w sali bez końca. Następne przedstawienia nie różniły się w niczem od pierwszego. W Gazecie Medyolańskiej z dnia 2 stycznia 1771 roku, jest krótkie sprawozdanie świadczące o powodzeniu sztuki Mozarta; sądzę że przytoczenie go w całości, nie będzie dla czytelników obojętném: „Zeszłego wtorku, na otwarciu książecego teatru, przedstawiono dramat p. t. *Mitridate Re di Ponto*, który publiczność przyjęła z wielkiém zadowoleniem tak z powodu gustownych dekoracyj, pięknej muzyki, jako tóż wybornój gry artystów. Kilka arii śpiewanych przez pannę Antoninę Bernasconi, prawdą zawartego w nich uczucia, żywo do serca przemawiają. Młody kompozytor zaledwie 15 lat wieku sobie liczący, studyując piękno w samej naturze, umiał go wyrazić wdziękiem niepospolitym.”

Jakkolwiekby, ówczesny system pisania oper poważnych włoskich, wydać nam się może dzisiaj niezgodnym z warunkami jakie przywiązujemy do budowy dramatu muzycznego, a to z powodu iż bohater śpiewał zawsze na scenie w kluczu sopranowym, i oprócz arii główniejszych osób muzyka wiele interesu dla publiczności nie miała, jednakowo, musiało być nie mało rzeczywistych piękności w *Mitridacie*, skoro takiego doznał powodzenia. Zresztą, jak zapewnia wielu sumiennych niemieckich pisarzy, dzieło to ma być wyższe pod każdym względem, od mnóstwa tragicznych

oper w owéj epoce we Włoszech fabrykowanych. Azatém Mozart w 15-tym roku życia, więc w początkach swego zawodu, postawił się już na równi, obok najzdolniejszych kompozytorów w kraju najmuzykalniejszym na świecie. Dyrekcyja teatru medyolańskiego, chcąc dowiedzieć Mozartowi jak ceni jego utwory, zaproponowała mu napisanie drugiey opery mającej się wykonać w karnawale r. 1773. Z wielu także miast półwyspu, sypnęły się żądania podobnego rodzaju, ale młody maestro nie przyjął ich, a pracę swoją postanowił poświęcić téj właśnie publiczności, którą już znał a która tak życzliwą dla niego się okazała. Przed samym wyjazdem z Medyolanu, zdarzyło się Mozartom usłyszeć na ulicy osobliwość, sięgającą jeszcze czasów XI wieku; oto dwóch żebraków śpiewało duet kwintami. Zrazu słysząc ich z daleka, myśleli że każdy z nich oddzielną sobie pieśń wykonywa, ale podszedłszy bliżej, z niezmierném podziwieniem przekonali się, iż to na jeden motyw dwuśpiew, tylko powyższemi odległościami śpiewany. W nowożytnym systemie muzyki, postęp równoległych z melodyą kwint, najsurowiej jest wzbroniony. Co większa, ucho nasze znieść ich nie może, a najbiegłszy nawet muzyk, nie jest w stanie kwintami wtorować melodyi. Dziwna zmiana czasu i wyobrażeń; to co przed kilką wiekami uchodziło w sztuce za dobre, piękne nawet, teraz zupełnie przeciwnie jest sądzone. Mozart, ów największy geniusz muzyczny jakiego natura wydała, miał sobie przeznaczoném zetknąć się osobiście i posłyszec jeszcze ów jedyny i ostatni już zabytek średnio-wiecznej sztuki!

## XII.

Po piętnasto miesięcznym we Włoszech pobycie, Wolfgang wzbogaciwszy swój umysł wzorowemi utworami najznakomitszych tego kraju mistrzów, z rozgłośném już imieniem w końcu miesiąca marca 1771 r. powrócił do gniazda rodzinnego. W domu oczekiwał już na niego list hr. Firmian'a, który zawierał w sobie rozkaz cesarzowej Maryi-Teressy, ażeby młody Mozart napisał serenadę teatralną na cześć mającego wkrótce nastąpić małżeństwa arcyksięcia Ferdynanda z dziedziczką księstwa Modeńskiego. Jedno-

częśnie sławny Hasse miał sobie także poruczone skomponowanie opery na tę uroczystość. Rozkaz ten o ile niespodziewany, o tyle zaszczytny, postanowił Mozart spełnić niezwłocznie; jakoż w miesiącu sierpniu, wraz z ojcem pośpieszył do Medyolanu, gdzie powyższa uroczystość odbyć się miała. Mieszkanie jakie im w tém mieście przygotowano, nie mogło być lepiej i stosowniej dla zamierzonej pracy wybrane. Nad nimi mieszkał jakiś skrzypek, drugi pod nimi; z boku stał nauczyciel śpiewu wykładający uczniom naukę u siebie, z drugiej znów strony oboista; wszyscy nie zmiernie zamiłowani w swęj sztuce i bardzo pracowici sąsiedzi. „Miłe to nadzwyczajnie dla kompozytora” pisał w liście Mozart: „wśród téj kakofonii muzycznej, myśli z większą łatwością przychodzą!” *Ascano in Alba* taki bowiem tytuł miała serenada, dzieliła się na dwie części; muzyka tyle w nięj zabierała miejsca co w operze Hassego bo téż różnica obu tych dzieł, zaledwie w tytule istniała. W samęj zaś rzeczy, *Ascano* jest właściwie operą mitologiczną złożoną z aryi, recitatiwów, ósmiu chórów i w dodatku z tańców. Pomimo sąsiedztwa o którym była mowa całe dzieło Mozart ukończył w trzy tygodnie. Powodzenie serenady miało być świetne, a nawet szkodliwe w części dla opery starego Hassa.

W początkach grudnia, ojciec i syn byli już z powrotem w domu.

Tymczasem w rodzinném ich mieście spełnił się fakt, w skutek którego Mozartowie nie jednokrotnie na przykrość narażeni byli.

Hieronim Colloredo książę na Wallsee i Möls, 14 marca 1772 r. obranym został arcybiskupem Salzburga. Z tego powodu Mozart odebrał rozkaz napisania serenady do słów Metastasego pod tytułem *Il sogno di Scipione* wykonanej w dniu uroczystej installacji. W jesieni tegoż samego roku, Mozart udał się znów do Medyolanu, w celu przyprowadzenia do skutku zobowiązania jakie uczynił z dyrekcją teatru względem wystawienia drugiej opery. Bawiła natenczas w tém mieście sławna śpiewaczka Amicis, która swym niepospolitym talentem najwięcej się przyczyniła do pomyślnego jęj powodzenia. Dwadzieścia sześć reprezentacji bez przerwy po sobie następujących, są najwymowniejszym do-

wodem wewnętrznej wartości dzieła; ale posłuchajmy co w tym względzie później Nissen pisał: „Tak samo jak *Mitridat*, tak równie *Lucio Scylla*, ani planem ogólnym dzieła, ani jego instrumentacją, lecz jedynie ogniem i wdziękiem melodyi wyróżnia się z tłumu współczesnych tego rodzaju włoskich utworów. Układ trzygłosowy głównie w niej przebija, jak we wszystkich zresztą ówczesnych operach; ale w prowadzeniu harmonii nie widać zgoła tych uczonych i głębokich kombinacyj, jakimi zachwycamy się w późniejszych dziełach Mozarta. Przypatrując się uważnie chórom w obu tych operech, uderzonym się jest pewną sztywnością stylu, pochodzącą ze zbytniego trzymania się reguł; jest to przymiot właściwszy może starszemu i zimnemu kompozytorowi, aniżeli młodemu i wchodzącemu na widownię dramatycznego świata geniuszowi.”

### XIII.

W połowie 1773 roku udali się Mozartowie do Wiednia; co przez dwa miesiące swego tam pobytu robili, niewiadomo z pewnością, bo w listach ich nie stanowczego niema w tym względzie. Zdaje się atoli, iż niezadowoleni z losu swego w Salzburgu, szukali w stolicy Austrii jakiegoś miejsca, z któregooby się mogli utrzymać, lecz nie znalazłszy go, smutni powrócili do domu. Przez cały rok następny, Wolfgang nie ruszył się nigdzie, tylko wciąż pracował; w zimie dopiero 1774 r. zabrawszy z sobą nowe swoje kompozycje jako to: dwie msze, jedno ofertorium, nieszpory i jedną operę komiczną, udał się do Monachium, na dwór Maksymiliana Józefa Elektora Bawarskiego. Wszystkie te dzieła, dobrego tamże doznały przyjęcia, szczególniej opera pod tytułem: *La bella finta Giardiniera*, przedstawiona po raz pierwszy 14 stycznia 1775 roku, przyjętą została z prawdziwym zapałem. Mozart w liście do siostry pisany, takie mniej więcej o tém daje szczegóły: „Przyzwyczajony do oznak głośnego zadowolenia jakie mnie we Włoszech spotykały, zdziwiłem się niepomału zapałowi tutejszej publiczności. Po każdym ustępie grznoty oklasków i okrzyki *viva il maestro*, raz wraz się wznawiały i trwało tak po spuszczeniu nawet zasłony czyli aż do rozpoczęcia baletu.” Późniejsi krytycy niemieccy znaj-

dują, iż opera ta stanowi niejako przejście pomiędzy tém co Mozart dotychczas napisał, a peryodem klassycznym, w jaki styl jego miał odtąd wejść stanowczo. *La bella finta Giardiniera*, wyższą jest bez porównania pod względem oryginalności pomysłów od *Mitridata* i *Scyli*. Talent kompozytora więcej już jest samodzielny, więcej w nim prawdziwego i pociągającego uczucia i t. p.”

Mozart rozpoczął już dwudziesty rok swego życia. Świat muzyczny całej Europy, zdumiony zrazu jego wielkim i przedwczesnym talentem we wszystkich prawie rodzajach muzyki, sądził że doszedł swego zenitu, że mu nie wiele a może i nic więcej nie pozostaje do zrobienia. Tymczasem to co dotąd Mozart uczynił, było tylko naśladowaniem ducha epoki, było powtarzaniem formuł konwencyonalnie w sztuce przyjętych. To co teraz miał uczynić, wyprzedzało już ówczesne o muzyce pojęcia, stawało się nowém, potężnym i samodzielnym; stwarzało świat nieznanym dotychczas ludziom, a sztukę popchnęło z niesłychaną szybkością na drogę idealnej doskonałości. Z drugiej znów strony, Mozart jako człowiek, doszedł także do pewnego i stanowczego o ludziach i rzeczach sądu; jeżeli dla prawdziwej zasługi pełen był względów i uszanowania, jeżeli rad był wypróbowaniem światłem drugich kierować swe kroki w trudnym a niewdzięcznym na owe czasy zawodzie artysty, to z każdą ujemną stroną społeczeństwa w jakim żył, wyrabiała w nim pewien rodzaj sarkazmu albo ironii, jakiej liczne ślady znajdujemy w własnych jego z tej epoki korespondencyach. Na dowód niech mi będzie wolno przytoczyć jedną, pisaną do siedemdziesięcio letniego nestora muzyki włoskiej, do znakomitego ojca Martiniego.

Salzburg, 7 września 1776 roku.

„Głęboki szacunek jakim jestem przejętym dla twojej osoby, panie, ośmiela mię do załączenia przy niniejszym liście małej próbki mojej nowej pracy. W roku zeszłym wystawiłem podczas karnawału w Monachium operę buffo pod tytułem *La finta Giardiniera*; na kilka dni przed moim tamże wyjazdem, otrzymałem od Elektora zawiadomienie, iż życzy on sobie ażebym skomponował coś dla niego umyślnie w sty-



lu kontrapunktowym; musiałem więc wziąć się do napisania motetu, który panu posyłam. Proszę cię zatem usilnie mój kochany i drogi ojciec, o wyrażenie względem niego, szczerego i otwartego zdania. Na to żyjemy na świecie, abyśmy tak w sztuce jako i w innych rzeczach naprzód ciągle dążyli; za najlepszy ku temu środek uważam, wspólne udzielanie sobie i wywzajemnianie swych myśli. Jakże często radbym być przy tobie, panie, ażeby ci mógł moich udzielać. Mieszkam w kraju, gdzie muzyka nie popłaca; jednakże chociaż wielu artystów od nas wyjechało, przecie mamy tu jeszcze kilku dobrych i świątłych kompozytorów. Co się tyczy teatru, braknie nam zupełnie śpiewaków. Kastratów nie mamy wcale i zapewne nie prędko mieć będziemy zważywszy na to, iż ci panowie każą sobie drogo płacić, a rozrzutność nie jest naszą wadą. Obecnie pracuję dla muzyki salonowej i kościelnej. Jest tu jeszcze dwóch innych kontrapunktistów: Michał Hayden i Kajetan Aldgasser. Z powodu że ojciec mój jest dyrektorem orkiestry katedralnej, więc mam sposobność słyszeć często moje kompozycje. Już trzydzieści sześć lat piastuje ten obowiązek, a ponieważ wie on bardzo dobrze, iż arcybiskup nie lubi starych, zasłużonych ludzi, więc też zaniedbuje swego urzędowania, ażeby się oddać całej sztuce i literaturze bezpośredni z nią związek mającej. Nasza muzyka kościelna różni się wielce od włoskiej a to do tego stopnia, że cała msza zawierając w sobie *Kyrie, Gloria, Credo, Ofertorium* albo *motet, Sanctus* i *Agnus Dei*, nawet podczas największych uroczystości, zwłaszcza kiedy książę w własnej osobie celebryje, nie może trwać dłużej nad trzy kwadranse. A zatem potrzeba nie mało doświadczenia ażeby sobie dać radę w tego rodzaju kompozycyi, zwłaszcza, iż chcą mieć czynną całą orkiestrę, a nawet trąby wojenne! Co na to powiesz mój ojciec? O! miałbym wiele w tym przedmiocie do mówienia. Polecając się łaskawej pamięci wszystkich członków akademii Bolońskiej, racz przyjąć wyrazy szczerego żalu, iż od człowieka którego najwięcej w świecie cenię i kocham, zmuszony jestem żyć w takim oddaleniu."

Niechęć jaka się przebija w tym liście dla przewielebnego Colloredo, łatwo daje się usprawiedliwić postępowa-

niem jego względem Mozartów, a o którym w właściwem miejscu obszerniej się rozpiszemy.

Zostawiliśmy naszych artystów w Monachium; dobrze im tam było, więc niebardzo się śpieszyli do Salzburga. Jednakże arcybiskup kazał im niezwłocznie wracać, a ponieważ arcyksiąże Maksymilian Elektor Koloński miał go w przejeździe odwiedzić, a zatem dał polecenie Mozartowi napisania serenady pod tytułem *Il Re Pastore*, którą chciał uczcić przybycie tak dostojnego gościa. Piękną tę serenadę, krytycy naszych czasów stawiają nad wszystko, co aż dotąd kompozytor ten utworzył.

#### XIV.

Zycie Mozarta, pod baczną a troskliwą opieką ojca, aż dotąd upływało pomyślnie; oprócz małych nieprzyjemności doświadczanych na drodze swego artystycznego zawodu, nieznał jeszcze co to gorycz, co to jest rozczarowanie, co straszna bo połączona z materyalnym niedostatkiem rzeczywistość. Dopóki był dzieckiem powodującym wymaganiom i wszelkiej woli ojca, los zdawał im się wspólnie uśmiechać; życzenia ich, pragnienia wszelkiego rodzaju spełniły się w sposób pożądanym, niekiedy niespodziewany nawet. Teraz gdy Wolfgang doszedł już prawie do wieku męskiego, kiedy już samodzielniej w świecie i pomiędzy ludźmi żyć mu wypadało, jakiś fatalizm zaciężył nad nim, burzył jego zamiary, pragnienia. W miarę jak talent jego błyskawicami geniuszu płonąć się zdawał, jak w słońce opromieniające niezmierną krainą sztuki się zamieniał, rozmaite niepowodzenia, gorycz zawiedzionych nadziei, materyalny nawet niedostatek którego aż dotąd nie znał, wydały mu walkę śmiertelną. Odtąd krótkie i niezmiernie szybko przemijające chwile szczęśliwej doli, tonęły w śród ciągłej powodzi cierpień moralnego życia.

Myśląc o wynalezieniu dla syna jakiegokolwiek niezależnego stanowiska, Leopold Mozart starał się w Wiedniu, w Monachium, gdzie utwory muzyczne Wolfganga dotąd największe miały powodzenie, ale nic takiego znaleźć nie mógł. Miał on wprawdzie małą posadę w Salzburgu, lecz ta na życie wystarczyć nie była w stanie; zresztą zdolności jego zdawały się wymagać widowni szerszej, odpowiedniejszej do

działania, a tamby jój nigdy nie miał. Pozostawał jeszcze Paryż, miasto ogromne, stolica wspaniałego dworu, intelligencji, artystów zlatujących się do niej z kończyn całego świata. Leopold Mozart pomny świetnych i łatwych powodzeń jakich doznał będąc już raz tamże, zapragnął koniecznie syna wysłać do Paryża, lecz z powodu niechętnego sobie usposobienia arcybiskupa, który wszelkiego rodzaju przykrościami dał im się już dobrze we znaki, nieśmiało go prosić o pozwolenie towarzyszenia synowi; więc matce opiekę nad nim powierzywszy, w końcu miesiąca września 1777 roku wyprawił ich w drogę. Ponieważ podróż ta, przedsięwzięta w celu poprawienia losu albo wyszukania jakiejś odpowiedniej zdolności posady, miała trwać długo, zatem ojciec polecił synowi jak najdokładniejsze pisywanie listów, ażeby każdy jego krok w świecie postawiony, był mu natychmiast wiadomym. Dzięki takowemu rozporządzeniu, zebrał się znakomity zbiór materyałów, niezmiernie ważnych dla wszystkich przyszłych biografów Mozarta, a publiczne ich ogłoszenie, z prawdziwą wdzięcznością przez cały muzyczny świat zostało przyjęte.

## XV.

Jadąc do Paryża, Mozart wraz z matką swoją postanowił najprzód zatrzymać się w Monachium; jakoż stanąwszy w tej stolicy Elektora bawarskiego, pobiegł zaraz Wolfgang przedstawić się hrabiemu Sean ówczesnemu ministrowi dworu z oświadczeniem, iż ponieważ w obecnej chwili wakuje posada kompozytora przy nadwornej orkiestrze, przybywa usługi swoje ofiarować Elektorowi. Pan minister radził Mozartowi ażeby się wprost udał do Jego Książęcej Mości, a w przypadku gdyby mu się nie udało otrzymać osobistego posłuchania, niech prośbę swą poda na piśmie. Kilka innych osób przyrzekło wstawić się za nim u dworu. Niejaki hrabia Schönborn i jego żona, siostra arcybiskupa salzburgskiego, przejeżdżając właśnie przez Monachium, dowiedzieli się o tém i niezmiernie się zdziwili, że Mozart porzucał służbę u księcia prałata, w której jako dyrektor orkiestry pobierał rocznie 12 zlr. 30 kreitzarów! Jednakże starania dworaków szczerze lub udane na korzyść naszego artysty, nie na wiele

się przydały. Jeden z nich najprzychylniejszy może ze wszystkich, książę Zeil rzekł w końcu do Mozarta; „Zdaje się, że my tu nic wielkiego nie zrobimy. Mówilem osobiście z Elektorem; „to za wcześnie jeszcze, odpowiedział. Niech jedzie wprzód do Włoch, niech nabędzie sławy. Nie odmawiam mu niczego, ale znajduję że to za wcześnie.” Napróżno Mozart oświadczał, że gotów jest mierzyć się ze wszystkimi kompozytorami włoskimi, francuzkimi, niemieckimi, angielskimi i hiszpańskimi; napróżno zasłaniał się swoim patentem członka akademii Bolońskiej, napróżno pokazywał gazety medyolańskie opisujące świetne powodzenia jego oper: nic to nie pomagało. Upředzenie do swoich było tak wielkie, że patrząc na fakta nie ulegające żadnej wątpliwości, niewierzono czy nie chciano wierzyć, ażeby chłopiec urodzony w małej niemieckiej mieścinie, był istotnie wielkim muzycznym artystą. Więc też w kilka dni później, stanowczo mu powiedziano, iż niema żadnej tego rodzaju posady o jaką prosi. Nie pozostało Mozartowi nic innego do czynienia, jak z Monachium wyjechać, gdzie wprawdzie wielu istotnych przyjaciół i wielbicieli jego talentu i osoby się znajdowało, ale gdzie najskromniejszego nawet kawałka chleba mu odmawiano.

Zmniejszywszy szczupły swój zapas gotówki wydatkami koniecznymi w tém mieście, przymuszonym był w Augsburgu dać koncert. „Nigdzie jeszcze, pisał do ojca, tyle honorów mnie nie spotkało.” Te nie kosztujące honory i 90 zfr. dochodu z koncertu, były całym owocem pobytu jego w Augsburgu. Ztamtąd udał się Mozart do Manheimu, gdzie na dworze Elektora czekało go pełne gościnności przyjęcie, lecz również mizerne w skutkach. Wspomnienie które po sobie zostawił pomiędzy amatorami muzyki, gdy w czternastym roku życia przejeżdżał przez to miasto, było powodem że dyrektor nadwornej orkiestry Cannabich, przedstawił go uroczyście artystom. „Ci którzy mię znali z rozgłosu, pisał Mozart, okazywali wiele grzeczności i szacunku dla mnie w obejściu; inni zaś, nieznający mię nawet z imienia, patrząc wielkimi oczyma na niepokojną moją figurę, nie mogli przypuszczać ażeby coś godnego uwagi mogło się w niej zawierać. Odwiedziwszy hrabiego Saviolę intendenta nadwornego, wezwany został później do dworu, a Elektor wieloma piękni

słówkami grę jego pochwaliwszy, pozwolił mu bywać u dzieci swoich, które się już poczynają uczyć muzyki. Mozart odtąd codziennie prawie bywał w pałacu, z tego powodu wizyty te, raczej za lekcye uważać należało. Elektor będąc im często obecnym, rozmawiał zawsze uprzejmie z artystą, podziwiał sztuczki jakie tenże dla dzieci jego umyślnie komponował.

Wszystko zdawało się wróżyć, iż nareszcie Mozart otrzyma miejsce pokojowego kompozytora na dworze księżęcym, gdyż inne posady były zapełnione; nawet guwernantka dzieci Elektora uczyniła mu w poufném zeznaniu zwierzenie, lecz intrygi zawistnych mu ludzi przemogły, a za dwumiesięczny pobyt na tym dworze, za codzienne udzielanie lekcyi muzyki synowi i trzem córkom Elektora, otrzymał za to wszystko w końcu, zegarek!

Przyjaciele Mozarta odradzając mu podróż w zimowój porze do Paryża, chcieli go zatrzymać pomiędzy sobą. Cannabich podjął się wystarać dla niego tyle lekcyi wiele tylko zechce; inny ofiarował mu mieszkanie, inny stół bezpłatny; jakiś zaś Hollender, wielki amator muzyki, zamówił u niego trzy koncerty na fortepian i dwa kawałki na fletowers, za które ofiarował się zapłacić 200 florenów. Inni znów zachęcali go do napisania kilku duetów na skrzypce i fortepian, mogących być wydanemi za pośrednictwem prenumeraty. Mozart nieśmiały tylu zaszczytnych i korzystnych propozycyi odrzucić, postanowił więc zostać jeszcze czas jakiś. Ale pomimo tego wszystkiego, pragnął koniecznie udać się jak najprędzej do Paryża; „Jestem kompozytorem, pisał do ojca, zrodziłem się na dyrektora orkiestry; nie mogę przenieść się talentowi jakim mię Bog obdarzył, (mówię to bez zarozumiałości, bo w téj chwili więcéj go czuję w sobie jak kiedykolwiek). A przenieść to przecie musi nastąpić, jeżeli się obarczę lekcyami. Nadewszystko jedna rzecz najwięcéj mię zajmuje, to jest pragnienie napisania opery francuzkiej raczej, jak niemieckiej. U Weudlinga (dyrektora orkiestry Manheimskiej) wszyscy mię zapewniają, że muzyka moja musi się podobać w Paryżu, bo wiesz dobrze mój ojcz, iż z łatwością mogę przejąć i naśladować styl każdego kraju, każdego kompozytora.”

## XVI

Nareszcie udał się do upragnionego Paryża. Jakoż wszystko z początku zdawało mu się sprzyjać: dawny dobry znajomy Grimm, z tą samą uprzejmością co niegdyś, przyjął go w swoje objęcia; tylko dzisiaj stał się on jeszcze możniejszym. Zaszczycony tytułem barona i innemi dostojenstwami, wpływem swoim na towarzystwo paryzkie, mógł więc jeszcze dobrego naszemu artyście wyświadczyć; jakoż usługi swoje w tym względzie najszczerzej mu ofiarował. Mozart odnowiwszy znajomości z wielu dawniej na niego łaskawymi osobami, poznał się zaraz także z panem Le Gros, dyrektorem koncertów tak nazwanych *spirituel*. Właśnie Holzbauer dyrektor nadwornéj orkiestry w Manheimie, przysłał na ręce tego towarzystwa *Miserere* swojego utworu, dla wykonania w ciągu Wielkiego tygodnia. Dzieło to w rozmiarach swoich zastosowane do środków jakimi w Manheimie rozporządzać można było, grzeszyło głównie tem, iż chorów prawie wcale nie miało; w Paryżu przeciwnie, dobrych chórzystów nie brakło, więc Gros zapytał Mozarta, czy nie chciałby napisać do pracy swego ziomka, odpowiedniejszych rozmiarem i stylem chorów, tylko należało się spieszyć, gdyż za kilka dni dzieło miało być wykonane. Mozart chętnie się na to zgodził, uważając sobie za zaszczyt takową ze strony dyrektora koncertów propozycję, lecz niewiedziąc dla czego, zmuszono go do pracowania w gabinecie Grosa. Nie wiele on o to dbał gdzie mu wypadnie komponować, bo nadto był wielkim panem techniki ażeby swoboda jego myśli cokolwiek krępowaną być mogła: „jednak to przekłęcie, pisał do ojca”, nie móż pisać u siebie a nadewszystko być nagłonym.” Kiedy następnie pokazywano te chóry sławnemu Gosseckowi, zachwyconym był ich pięknoscią. Wkrótce téż towarzystwo koncertowe zamówiło u Mozarta symfonię; Noverre zaś wziął na siebie wystaranie się libretta do opery: już nawet pierwszy akt był skończony, tylko wahano się jeszcze w wyborze tytułu. W liście do ojca pisanym, tak się w tym względzie Mozart wyraża: „Baron Grimm wraz ze mną, często bardzo ubolewa nad tutejszą muzyką, ale to w cichości, bo publicznie potrzeba krzyczeć *bravo, bravissimo*

i klaskać do upadłego. Co mię najwięcej martwi, to że panowie Francuzi tak mało mają pojęcia o prawdziwie dobrej muzyce. Niech Bóg broni tego coby się poważył utrzymywać że muzyka ich jest złą! A śpiew, to *horrendum!* Nie mam za złe śpiewakom że utwory własnych kompozytorów beczą przeraźliwie, ale psuć istotnie dobrą muzykę, to niedowytężenia!" Na to ojciec mu odpisał: „Przykra to rzecz, iż Francuzi dotąd nie nabrali jeszcze dobrego smaku, ale to pomalutku nastąpić musi: nie łatwo jest cały naród przerobić! I tak wiele że słuchają co dobrego jest, bo tym sposobem poznają, jaka jest różnica pomiędzy dobrem a złem." Istotnie, Francuzi znacznie się później w pojęciach swoich o muzyce zmienili, ale tój cudownej przemiany, ani ojcu ani synowi nie daném było doczekać. Grimm chcąc Mozarta przypomnieć pamięci księżnie do Bourbon, dał mu polecający list do jednej z dam pałacowych, do księżnej de Chabot. Pani ta wyznaczyła mu dzień na który stawić się nieomieszkał. „Byłem zmuszony czekać z półgodziny w salonie, gdzie nie było ani kominka ani ognia, więc zimnym jakby lodownia. Nakoniec księżna Chabot weszła i przyjęła mię z wielką grzecznością, prosząc ażebym zagrał na fortepianie jaki jest w salonie, gdyż inne są w złym stanie. Odpowiedziałem iż uczyniłbym to najchętniej, ale w tój chwili jestem przeziębniętym i palce mam skostniałe. Prosiłem ją więc, ażeby mię raczyła zaprowadzić do pokojów ogrzanych. *Owi, Monsieur, vous avez raison.* Taką była cała jój odpowiedź. Potém usiadła i w towarzystwie kilku panów otaczających ją przy okrągłym stole, z godzinę rysowała. Miałem tedy honor czekać godzinę, trzęsąc się cały z zimna; głowa okrutnie mię rozboleła. Na około mię, głucho panowało milczenie, nie wiedziałem co począć z nudów, migreny i chłodu. Gdyby nie wzgląd na Grimma, byłbym wyszedł natychmiast. Nakoniec dla uwolnienia się od tój wizyty, siadłem do niedźnego fortepianu i zagrałem. Ale co gorsza, ani księżna, ani ci panowie, nie zdawali się na to uważać: widocznie grałem dla czterech ścian, stołu i krzeseł. Cierpliwość mię opuściła, w połowie niedokończonych waryacyi Fischera, wstałem. Wtedy wszyscy zaczęli mi mówić niezliczoną liczbę komplementów. Odpowiedziałem co mogłem a mianowicie, że na takim instrumencie niepodobna mi zagrać coś większego i że

wolę to uczynić innym razem, skoro mieć będę lepszy fortepian. Jednakże księżna zatrzymała mię jeszcze z pół godziny, aż wreszcie mąż jój nadszedł; prosił ażebym coś zagrał, siadł obok mię i słuchał z uwagą. Zapomniałem o migrenie, o zimnie, i grałem tak, jak kiedy bywam w dobrym humorze.”

Mozart, którego natura wtrząsała się z oburzeniem na samą myśl dworactwa, on, co tak wysoko stawiał siebie w obliczu ukochanej sztuki, dziwna rzecz jak mógł znieść podobnie ubliżające dlań postępowanie. Dlaczego nie wstał i odchodząc nie rzucił jakich ostrych słów które miał zawsze w pogotowiu nawet dla głów koronowanych, gdy w jego przekonaniu zasłużyli na takowe? Jeżeli zniósł to wszystko cierpliwie, to zdaje się jedynie przez przyjaźń dla Grimma, niechcąc go zmartwić ani skompromitować. Zakończenie zaś téj wizyty jest również zasługujące na uwagę. Wiadomo każdemu co to jest miłość własna wirtuozów. Są to ludzie niesłychanie czuli i drażliwi na wszelkie pochwały i łaknący ich bez miary. Szczególniej kiedy się popisują a ktoś poważy się ich słuchać z roztargnieniem, tego mu nigdy nie przebaczą. Otóż Mozart przez dwie przeszło godziny, wytrzymywany w chłodnym salonie, więc na wskrós przeziębiony a do tego grając na nędznym instrumencie, znajdował się właśnie w podobnym położeniu. Tymczasem nadchodzi ktoś, co z zajęciem przysłuchuje się grze jego; wirtuoz zapomina odrazu moralnych i fizycznych cierpień, gra jakby był w najlepszym w świecie usposobieniu. I oto jest właśnie jedna z głównych cech charakteru Mozarta, że przyjemność jakiej doznawał w opanowaniu uwagi swoich słuchaczy, wyższą w nim była nad podszepty obrażonej miłości własnej. W tym samym liście pisze dalej: „Gdyby mi dano najlepszy fortepian na świecie, ale obok tego słuchaczy coby mię nie byli w stanie lub nie chcieli pojąć, którzyby nie czuli tego zemną co wykonywam, straciłbym całą przyjemność.”

Te i tym podobne zdarzenia, nieuniknione natenczas w społeczeństwie paryżkiem, brak muzycznego w ogólności wykształcenia, tudzież nawyknięcie do smakowania jedynie w muzyce która w sposób przykry oddziaływała ma moralne usposobienie muzycznej duszy Mozarta; nareszcie zawiść



i nieodstępna od niej intryga zaczynająca już wychylać przeciwko niemu swe ochydne oblicze, zrażały i zniechęcały do dalszego w Paryżu pobytu. „Gdybym się znajdował w kraju gdzie mają uszy i serce, do tego jaką taką znajomość muzyki i cokolwiek smaku, śmiałybym się z tego wszystkiego; ale niestety znajduję się w świecie zamieszkałym tylko (mówiąc muzykalnie) przez bydłota. I jakże może być inaczej? Co się tu dzieje w Paryżu, tego nigdzie na całej kuli ziemskiej nikt nie zobaczy. Nie myśl mój ojcze że przesadzam, kiedy w ten sposób mówię o tutejszej muzyce; i ja tu' żyć muszę! Lecz przez miłość dla ciebie, znoszę to wszystko. Daj Boże, ażeby moje pojęcia o sztuce nie zmieniły się tutaj; jest to modlitwa którą codzień zanoszę do Stwórcy prosząc Go zarazem aby mi dał siły do wytrwania w Paryżu, aby mi dopomógł do zebrania tyle pieniędzy, ile mi ich potrzeba dla ulżenia ci w trudnych obecnie okolicznościach.“ Mozart dosyć płynnie mówił po francuzku, ale oburzał się na niemuzykalność tego języka. „Jeżeli mi wypadnie napisać operę, będę miał siła nieprzyjemności; lecz mało mię to obchodzi: przyzwyczaiłem się tu trochę. Prawdziwie, że to psi język (hundsöttisch) dla muzyki, ten przeklęty język francuzki! Aż litość bierze. Nasz niemiecki, tysiąc razy lepszy w porównaniu. A śpiewacy, o mój Boże, co to za śpiewacy! Nie powinni ich nazywać śpiewakami, bo nie śpiewają wcale, tylko ryczą z całej siły.“ Nicierpliwiły także Mozarta komplementa, jakimi wszędzie i zawsze go obsypywano. „Osoby u których bywam, wyznaczają mi dni: przychodzę punktualnie, gram, i słyszę wciąż obok siebie: *O! c'est un prodige, c'est inconcevable, c'est étonnant! et apres cela adieu!*“

Wszędzie to podobno tak samo; świat się w tym względzie nie zmienia. Pochwał, komplementów wszelkiego rodzaju, nigdzie nie skąpią, owszem psują nawet nimi młodych szczególnież artystów, w zarozumiałość ich tylko wbijają. Ale dopomóż im skutecznie do urzeczywistnienia wyższych, szlachetnych celów, o tém nikomu na myśl nie przyjdzie wcale, nikt dla szczerzej pomocy ręki nie wyciągnie.

Pomimo wstrętu jaki miał Mozart do dawania lekcji muzyki, zmuszonym był jednakże podjąć się dawania ich w Paryżu; pomiędzy trzema uczennicami które posiadał, była córka księcia de Guines. Sam książę grał niezłe na fletro-

wersie, córka zaś na harfie. Ojciec życzył sobie żeby się uczyła kompozycji. „Nie pragnę“ mówił do Mozarta „aby była wielką kompozytorką; nie potrzebuje ona pisać oper, ary, koncertów na symfonie, ale dobrzeby było, gdyby mogła komponować sonaty tak jak to pan czynisz na fortepianie.“ Co za skromność! jak ci wielcy panowie mało mają pretensyi!... Po czterech lekcyach uczennica tyle już postąpiła, że na podany przez nauczyciela motyw jakiegoś menuetu, sama bass dopisała. Przecie, pomimo zdolności w pojmovaniu pierwszych zasad harmonii, Mozart przekonał się że niedaleko z panną de Guines zajedzie; zdesperowany, bo niecierpliwy z natury pisał do ojca: „Braknie jój pomysłów, nie może nie skomponować. Wypróbowałem ją na wszystkie strony, ułożyłem jój pomiędzy innemi menueta bardzo łatwego i prosiłem ażeby z niego zrobiła waryacje; nie była w stanie trzech nut napisać. Pomyślałem sobie, może nie wie jak w podobnym razie postąpić: więc zacząłem jój pokazywać, a zaczawszy takt pierwszy, powiedziałem ażeby w ten sposób następne układała. Poszło to jakoś; azatém ją proszę, gdyby teraz cokolwiekbądź sama zaczęła, chociażby jaką taką melodyę, albo motyw bez akompaniamentu. Z półtóry godziny się namyślała i na nic zdobyć się nie mogąc rzekła: „Widzisz pan jakie ze mnie cielątko.“

Z tego powodu, ojciec Mozarta człowiek pełen wyrozumiałości i pojmujący dobrze czem jest cierpliwość dla nauczyciela muzyki, pisał mu co następuje: „Daleś tylko cztery lekcy pannie de Guines i żądasz ażeby zdobyła się na pomysły i takowe gładko pisała!!! Więc ty myślisz że wszyscy posiadają twój geniusz?“ Przy téj okazji, wyłajał porządnie syna, że nie umie korzystać z tego rodzaju znajomości; że z ludźmi mającymi stosunki z dworem, bogatymi i możnymi w świecie, żyć nie umie; że nie wielką byłoby rzeczą dopomódz téj samej pannie do skomponowania jakiej sonaty, ale w taki sposób, ażeby to wyglądało że istotnie sama ją napisała, a niema wątpliwości że i ona i jój ojciec, zachwyceni takowemi niby w nauce postępami, mogliby mu być w wielu jego zamiarach bardzo użytecznymi i t. p.

W innym znów liście, odpowiadając na nadzieje jakie miał Wolfgang, iż wrota akademii nareszcie mu się otworzą, iż obok Glucka i Picciniego spodziewa się z operą wystąpić,

ojciec takie mu daje rady: „Zastanawiaj się i zgłębiaj muzykalne usposobienie narodu; przysłuchuj się miejscowym operom; znam cię dobrze: niema tego czegośbyś nie mógł naśladować. Pisząc, nie spiesz się wcale; rozmyślaj uważnie nad słowami; odczytuj je z Grimmem i Noverrem. Najprzód rób szkice i niech takowe sądzą. Wszyscy tak czynią. Wolter czyta swe dzieła przed przyjaciółmi, zanim je poda do druku. Co się tyczy śpiewu, potrzeba koniecznie umieć zastosować się do smaku narodowego. Tylko w modulacyach i instrumentowaniu, możesz pracę twą uczynić wyższą od wielu innych. Główna rzecz zyskać powodzenie a potem pieniądze: o resztę nie pytaj.”

Tym razem jednakże, rady ojca na nic się nie przydały; pomimo najszczerzych starań Grimma, Noverra i innych również życzliwych osób, do napisania opery nie przyszło wcale. Dlaczego? niewiadomo. W jednym tylko liście jest cokolwiek śladu w tym przedmiocie i to nie wystarcza na dokładne zrozumienie powodu: „Z trudnością można tu znaleźć poemat; stare zaś, które pod wielką względami są lepsze od nowych, nieodpowiednie są do terażniejszych wymagań stylu muzycznego.

„Poczyza, jedyna jeszcze rzecz, z której Francuzi mogą być dumnymi, staje się coraz gorszą, a ponieważ na muzyce się nie znają, więc głównie starać się potrzeba o dobre libretto. Dotychczas mam zaledwo dwa, które za mniej złe uważam; pierwsze w dwóch aktach pod tytułem *Alexander* i *Roksana* ale autor siedzi wciąż na wsi; drugie w trzech aktach *Demophon*, tłumaczone z Metastase'go z tańcami i chórami, lecz i to w wyjątkach tylko posiadam.” Zdaje się że téj ostatniej opery w całości nie dostał wcale, bo inaczej trudno byłoby pojąć dlaczego muzyki tak upragnionej, jak napisanie w Paryżu dramatu muzycznego, rzekł się później Mozart stanowczo.

Dziwna rzecz, jak to los i ludzie okazali się nieprzyjawnymi przez cały ten czas sześciomiesięcznego Mozarta w Paryżu pobytu. Przed laty piętnastu, malenki wirtuoz zdumiewał i zachwycał dowcipem, szczebiotliwością, wdzięczną twarzyczką, a do tego grą wyższą nad wiek swój, wszystkich którzy biegli go poznać i słuchać. Kiedy zaś dziecko dojrzało moralnie i fizycznie, gdy stało się człowiekiem o powierchowności niepoczesnej, bo małym, szczupłym, nieumie-

jącym się nisko kłaniać, niemówiącym nikomu nigdy komplementów, chociaż ten człowiek doszedł do niesłychanej doskonałości w sztuce; wówczas Paryżanie zobojętnieli dłań tak dalece, że nawet pamięć dawnych dziecka powodzeń zatarli w sobie. Mozart dziecko, lubiony i kochany od wszystkich; Mozart człowiek, artysta, mistrz już prawie, obojętnym stał się dla ogółu. Niema wątpliwości, że ówczesni ludzie stojący na czele ruchu muzycznego, pojąwszy jak niebezpiecznym dla nich współzawodnikiem może być Mozart, ucickali się do wszelkiego rodzaju podstępów, ażeby imię jego nie przedarło się z ukrycia na jakie radzi go byli skazali. To nam w części tłumaczy milczenie dzienników o drugim pobycie Mozarta w Paryżu. Nawet Le Gros tak mu zrazu przychylny, później stał się jego nieprzyjacielem. Czytelnicy przypomną sobie zapewne, iż ten dyrektor wielkich koncertów prosił Mozarta wkrótce po jego do stolicy Francji przyjeździe, ażeby raczył dopisać chóry do *Miserere* Holzbauera, a prócz tego zamówił dla swego towarzystwa koncertową symfonię. Otóż gdy przyszło do wykonania pierwszego z tych dzieł, najprzód imię Mozarta na żadnym afiszu się nie znajdowało, a do tego z czterech chorów które napisał, dwa najpiękniejsze, samowolnie wyrzucono. Z symfonią gorzej się jeszcze rzecz miała, bo jęj niewykonano wcale, pomimo szczerych i sprawiedliwych pochwał Gossec'a i innych znakomitych artystów.

Jak gdyby niedosyć było tych przykrości i zmartwień dla Mozarta, więc boleśniejszy jeszcze cios zakrwawił serce jego, bo stracił matkę którą tak kochał, która całe swe szczęście w najdroższym swym synu tylko widziała. Zaczna ta kobieta zmarła w miesiącu lipcu 1778 roku.

(Dokończenie nastąpi).



# PODANIA O PROMETEUSZU.

TRAGEDYA ESCHYLESA p. n. PROMETEUSZ W OKOWACH.

*Przekład jój dokonany przez Józefa Szujskiego.*

---

Józef Szujski obdarzył nas nowym przekładem tragedyi Eschyleasa; mówimy wyraźnic: *obdarzył*, boć praca taka to istny dar, bez wymiany żadnej ze strony obdarowanych. Dla kogóż rzeczywiście i g'woli czemu podejmują się takie mozolne prace, jak przekłady dramaturgów greckich? Kilkanaście lat, jak one rozwijać się zaczynają, dowiodły aż nadto, że żadna korzyść materyalna nie wchodzi tu w najdrobniejszą nawet rachubę, i że ladajakie ramoty felietonowe stokroć lepiej pod tym popłacają względem. Są to prace zgoła nie dla tłumu, którego pojętność i upodobania w najlepszym nawet razie dochodzą zaledwie do miary Wiktora Hugo lub Musseta, jeżeli nie poprzestają na Dumasię i Sandzie, i dużo jeszcze wody upłynie, nim ogół nasz zdolny będzie sam przez się, na prawdę, nie zaś na drodze koncessyi powagom wyższym, zasmakować w dziełach sztuki wznoszących się ponad poziom chwilowego społecznego gustu. Dzisiaj, z goryczą wyznać musimy, jakiś cieśla lub kupeczyk niemiecki bez porównania zdolniejszym jest ocenić i uznać wartość wyższych i prawdziwych utworów sztuki, niż warszawski dobrze wychowany młodzieniec z szykiem i gracyą zaciesujący czuprynę i wiodący rej na woskowanych posadzkach.

Ażeby śmiało spojrzeć w oczy słońcu, potrzeba być orłem; ażeby zrozumieć i upodobać sobie Eschyleasa, należa-

łoby umysł swój przeistoczyć, odczepić odeń wpływy szarlatanizmu literackiego, zgłuszyć potrzeby nerwowych wzruszeń, wykorzenić to, co zepsuło czytanie bezmyślnie lub umyślnie wybieranych i podsuwanych książek, a natomiast zaszczerpić prawowity smak estetyczny. Bez tego tragik grecki dla większości naszej, krecim zapatrującej się wzrokiem, będzie czémś mdłym, bladym i nudnym.

Inaczej o tém trzymają ludzie dystyngwowanej kultury; i dla takichto kilkunastu czy kilkudziesięciu ludzi w kraju, dla honoru wreszcie piśmiennictwa krajowego i dla jego udostojnienia, nie żal podejmować pracę odtwarzającą w obliczu społeczności dzisiejszej wielkie mistrzów greckich pomniki. Tym tylko sposobem, rzucając od czasu do czasu arcydzieła błyszczące wiekowem światłem w tłum kilkogodzinnnych świecideł, można nareszcie zrobić wyłom w tej obojętności ogółu na to, co prawdziwie wzniosłe i piękne, co ma w sobie elementa wiekuistej prawdy i wiekuistego życia. Ci którzy czują tego potrzebę, z wdzięcznością i rozrzewnieniem spojrzą na pracę p. Szujskiego, i serdecznie gotowi uścisnąć rękę, która pracę taką podejmuje. Wybornego bo też przewodnika znalazł Eschylos w naszym młodym poecie. Szerokie pojęcie rzeczy, trafne pochwycenie ducha całej kompozycji, to warunki niezbędne do osiągnięcia celu przekładu a warunki te p. Szujski w przekładzie *Prometeusza* Eschylowego (1) posunął do wysokiego stopnia. Łatwiej mu było, jako poecie, o warunki czysto artystyczne, to jest o dobór języka i nadobność formy. To też ten język tak wiernie, lubo niedosłownie, odwzorowujący text oryginału, gnę się jak wosk w rękach umiejętnego artysty, grzmi siłą tytanów i dyszy szmerem zefirów, w miarę obrazu, jaki mistrz chce wyryć w sercu swoich słuchaczy.

Mierzyć się z Eschylosem nie łatwe to zadanie. Jest to poeta obcujący tylko z bogami i z temi co się równają bogom: jego sztuka nogą tylko dotyka ziemi, ale pierś jej zawsze i na każdym miejscu oddycha powietrzem nieba. U niego nie napotkasz ludzi w zwyczajnym znaczeniu, u niego

(1) *Prometeusz w łańcuchach*, tragedia Ajschylosa, przekład Józefa Szujskiego. Lwów 1866 roku.

każda postać wymierzona jest na skalę boga, wielka i majestatyczna, a ukazuje się też nie tak wprost jak pierwszy lepszy śmiertelnik, którego od razu całego jasno można okiem zmierzyć; ale szukać jej musisz po za mgłami, w mistycznym półcieniu, i im więcej się w nią wpatrujesz, tym ci ona więcej olbrzymieje, zadziwia i przeraża. A nie tylko sam pomysł odznacza się tą idealną wielkością, odpowiada jej zarówno i sposób przedstawienia rzeczy. Wszystko tam odbywa się po królewsku: ton mowy królewski, namiętności królewskie, uczucia mężkie i gwałtowne, poszepty miłosne nie mają tam miejsca, historyczność go nie interesuje (jedni *Persowie* stanowią wyjątek), tylko wir wielkich interesów ducha i olbrzymich myśli wysień stanowi zadanie mrocznego a wyniosłego wieszczka. Język też jego rwie jak rozrukany potok, pędzi w raptownych przeskokach i śmiałych metaforach, i nie odznacza się bynajmniej tą homeryczną precyzyą, z jaką przemawiają bohaterowie Iliady, ale przyobleczony jest raczej mistyczną barwą starożytnego Wschodu.

Tragedya *Prometeusz* oparta jest na legendzie bogów. Gdybyśmy poprzestali na jej ostatniej wersyi, którą zamieszcza Pauzaniusz (X. 4), Prometeusz byłby uważany za stwórcę człowieka, i wersya ta była najpowszechniejszą. Jednakże z badaniami historycznemi rzecz się ma tak jak z robotą powroźniczą: im więcej idziesz wstecz, tym ci więcej robota postępuje naprzód. To też przy skrzętniejszém badaniu okazało się, że wersya ta nie była prawdziwą. Prometeusz według legendy pierwotnej czyli hezydycznej nie jest stwórcą człowieka, nie lepił go wcale, chociaż Pauzaniusz upewnia, iż mu pokazywano w Focydzie kawałki stwardziałej gliny, niby szczątki tej której Prometeusz używać miał do swojego dzieła. — Podanie przypuszcza, że plemie ludzkie już istnieje, a on występuje tylko jako przedstawiciel i obrońca interesów ludzkości. Ażeby odsłonić czytelnikowi całkowite znaczenie Prometeusza w świecie mytycznym greków, sięgnąć musimy aż do Teogonii Hezydoda, lecz darujemy mu te niezliczone kombinacye rodowodu bogów, w których trzeba się dobrze trzymać aby nie zgubić wątku, i poprzestaniemy jedynie na szczegółach bezpośrednio wiążących się z Prometeuszem. Przedstawienie to przekonać może, iż w podaniach całego świata, wyłączając religijne prawdy ju-

daizmu i chrześcijaństwa, trudno spotkać coś, coby z poetyczną pięknnością łączyło tak wspaniałą myśl i tak głęboko a rozrzewniająco przemawiało do duszy człowieka.

Jak daleko sięga legenda bogów, dynastye ich ciągłym ulegały zmianom. Grek starożytny ze swą ciekawą a ruchliwą imaginacją nie mógł się uspokoić, póki dla terażniejszości nie wynalazł podstawy w upłynionym czasie; to też jeżeli gotowej już i należycie opowiedzianej przeszłości nie miał pod ręką, więc ją sobie stworzył. Jakoż Hezyod powiada, że w porządku czasów władcą świata był najprzód Chaos, potem przyszła Gaja (ziemia), która wyszła za mąż za syna swego Uranosa, co zawładnął światem. Tego zwałik syn Kronos i rządził w przymierzu z bracią swemi Tytanami i Tytanidami, aż przeciw temu przymierzu wystąpił najmłodszy syn Krona, Zeus, i wtedyto rozpoczęła się straszna i długa walka, w której przyjęli udział wszyscy bogowie, i wszystkie boginie, i zakończyła się zwycięstwem Zeusa, który też Tytanów za karę skazał na rozmaite dręczące funkeye.

Jednym z Tytanów był Japet, który miał czterech synów, a w liczbie ich znajdowali się: Prometheus i Epimeteusz (ten który myśli wprzód i ten który myśli potem, niby *natchnienie* i *refleksya*). Jakkolwiek wszystko co dotyczy tej rodziny jest interesującym, jednakże ci dwaj bracia są najbardziej zajmującą kreacją legendy greckiej i pod wielką względami różnią się od innych a to z następujących przyczyn. Z innemi Tytanami Zeus rozprawiał się poprostu siłą, góry łamał im na głowy, rzucał piorunami; kto mocniejszy ten lepszy. Ale walka z Prometeuszem jest walką sił intelektualnych, dowcipu: zwycięstwo wprawdzie otrzymał Zeus, ale chwała walki została przy zwyciężonym. Powtóre, ci dwaj bracia są to już pewne charaktery, w stworzeniu których udział miała nietylko sama imaginacja poetyczna; mają oni na sobie pewne cechy filozoficzne i stanowią najharmornijniejszy kontrast duchowy. Potrzebie, pierwszy raz w całej legendzie bogów, i tu tylko jedynie, wyraźnie występują ludzie; wprawdzie nie biorą oni czynnego udziału w walce, ale o nich właśnie w niej chodzi: wypadek walki ma być dla nich pomyślnością lub niedolą. Prometheus to pierwsze zjawisko pośredniczące między niebem i ziemią, rzeczka i ry-



cerz ludzkości, sam jeden śmiecie za jęj sprawę występujący w obec groźnego a potężnego pana i całej koalicji bóstw, które tamten słałdować sobie umiał.

Wiemy o tém dobrze, iż było zwyczajem w Grecyi czynić bogom ofiary ze zwierząt, ale dań właściwą stanowiły tylko kości i tłuszcz. Zkądże takie ograniczenie? Teogonija Hezyoda (wiersz 550) na to nam odpowie. Kiedy po raz pierwszy wytoczyła się rzecz pomiędzy bogami i ludźmi pod względem urzędzenia praw i obowiązków wzajemnych, Prometeusz dowcipną sztuką zażył Zeusa i skłonił go do nieroztropnego i niekorzystnego wyboru. Rozdzielił on wielkiego tura na dwie połowy: z jednej strony położył mięso i wnętrzności, ścisnąwszy je i przykrywszy skórą; z drugiej położył kości owinięte tłuszczem. To uczyniwszy tajemnie, zawezwał Zeusa, aby oświadczył, którą on połowę przeznaczą na stałą ofiarę bogom od ludzi. Zeus wskazał na tłuszcz, spodziewając się przy nim mięsa, a zobaczywszy same kości wpadł w straszny gniew na Prometeusza. Pomimo to jednak, słowo królewskie się rzekło i wybór stał się nieodwołalnym: bogowie nie mieli prawa do żadnej części mięsnej, tylko do tłuszczu i kości.

Zeus nie puścił płazem takiej porażki. Srodze zawzięty przeciw Prometeuszowi, chciał go dotknąć w tém co mu było najdroższego, a więc zrobić coś na przekor ludziom. Jakoż odjął im dobrodziejstwo ognia i ród ludzki byłby zmarniał; ale Prometej na złość panu wykrał mu ten ogień i zniósł go napowrót ludziom we wnętrzu wydrażonej łodygi kwiatu.

Wtedy Zeus, nie posiadając się ze złości, umyślił cięższą jeszcze plagą dotknąć ludzkość. Z rozkazu jego Hefest utoczył formę kobiecą; Atene ją ubrała, Afrodyte i Charyty ustroiły ją pięknoscią i wdziękiem czarującym, a Hermes nadał jęj umysł psi, mowę przewrotną i narów zwodniczy. Posłaniec bogów, pod nieobecność Prometeusza sprowadził między ludzi tę „powabną plagę.” Wprawdzie Epimeteusz otrzymał polecenie od brata, aby żadnego co się zowie daru z rąk Zeusa nie przyjmował, ale *Pandora* (imię tęg pogańskiej Ewy) takie posiadała przynęty, że niepodobna było się jęj oprzeć. Przyjęli więc ją ludzie między siebie, i od tęg chwili pomyślność ich przepadła. Wszystkie klęski jakim ulegają ludzie były przedtęm zamknięte w beczce zostającj

pod ich własnym dozorem: Pandora w złościwości swojej zdieła z tój beczki wieko i w tój chwili wyskoczyły z niój te tysiączne utrapienia, które odtąd szerzą między ludźmi swoję moc destrukcyjną. Jedna tylko Nadzieja została na dnie i nie mogła się wydobyć, gdyż wieko zaciśnięto wprzód nim zdołała wyskoczyć; odcięta więc od klęsk straciła moc swęj na nie działalność, tak iż człowiek żyjący przedtęm w zupełnćm szczęściu i swobodzie pod panowaniem dawnych dynastyi bóstw, od tój chwili poddany smutnym wypadkom, chorobom, niedoli wszelakiój, pozostał bez żadnój nadziei uwolnienia się od nieszczęść w przyszłości. Zwycięztwo zatem Zeusa nad Prometeuszem, dzięki niezdarności Epimeteja, było na teraz zupełne.

Źródłem więc tego podania są dwa uczucia: jednćm jest stosunek bóstw do człowieka, drugićm stosunek jednćj płci do drugićj. Jakoż, bogowie spółcześni są źle względem ludzi usposobieni, gdy przeciwnie dawniejsi byli im przyjaźni, i oto najzdolniejszy z nich występuje jako najgorliwszy i niezmordowany bohater ludzkości. Niemniój jednak sam nadmiar zręczności jego dowodzi zupełnego upadku sprawy, którą on poślubił. Podstępem pozbawia on Zeusa najlepszej części ofiar a tym sposobem wywołuje i usprawiedliwia zarazem groźny odwet, którego stanowczo odwrócić nie może: odwet ten odbywa się w jego nieobecności, Epimeteusz w jego niejako imieniu dobrowolnie wpada w zasadzkę którą nań zastawiono. Tym sposobem chociaż Hezyod niewolę ludzkości przypisuje złemu usposobieniu Zeusa, jednakże pobożność jego nasuwa mu dwa powody usprawiedliwiające bóstwo: raz, że ludzkość sama pozbawiła Zeusa przynależnćj mu prawnie części ofiar; powtóre, że taż ludzkość była stroną przyzwalającą na własną zgubę. Te więc uczucia, pod względem stosunku człowieka do bóstwa były jednym z żywiołów, które dały początek temu podaniu. Drugim żywiołem jest przekonanie, iż przyczynę wielkich nieszczęść człowieka stanowią kobiety, bez których on jednak obejść się nie może, i myśl ta często i energicznie wypowiada się przez usta wielu poetów greckich.

Ale klęski zarządzane przez kobietę, jakkolwiek okropne, nie dosięgły jednak samego Prometeusza. Jemu, temu zuchwałemu rycerzowi, co z narażeniem się własnćm, przez mi-

łość dla ludzi, śmiał pod względem bystrości umysłu „walczyć o lepsze” z Zeusem, inną wyznaczono karę. On ciężkimi łańcuchami przykuty do skały, stał wystawiony na wszystkie żary słońca i wszystkie zawieruchy nieba przez ciąg kilku pokoleń, a codziennie przybywał doń w odwiedzi-ny orzeł Zeusowy, wpijał się krwawemi szpony w jego ciało, szarpał mu dziobem wątrobę i zjadał ją, i każdą noc wątroba odrastała na jutrzejszą pastwę. A Zeus z uśmiechem spoglądał na swoje dzieło, radując się boleściom nieprzyjaciela. Taki to los bohaterów ludzkości. Aż nareszcie Zeus, pragnąc rozszerzyć chwałę swojego syna Heraklesa, pozwolił mu zabić żarłocznego orła i wyswobodził z więzów wiekowego męczennika. Miłe to i niepospolitą wielkością tchnące musiało być to pierwsze spotkanie dwóch bohaterów.

Otóż i podanie o Prometeuszu, według poematów hezyodycznych, w formie swój najdawniejszej, o ile po śladach mogliśmy się do niej zbliżyć, i onoto posłużyło za podstawę szczytnej tragedyi Eschyleśa. Poeta ten zaprowadził znaczne zmiany w toku legendy a przede wszystkim przedstawia on ród ludzki nie tak jakoby on już niegdyś doświadczał stanu swobody i pomyślności, którą następnie utracił, ale jakoby odrazu był słabym i nędznym. Nie wspomina on ani o owęj sławnej sztuce Prometeusza przy podziale ofiar, ani o utworzeniu i zesłaniu Pandory, które to szczegóły są wydatnemi punktami opowiadania hezyodycznego: przeciwnie wykradzenie ognia z lekka zaledwie dotknięte w Hezyodzie, wydatnieje u Eschyleśa z pewnym nawet naciskiem. Jakoż na samym początku, kiedy *gwałt i przemoc*, figury uzmysłowione, przeprowadzają Prometeusza na Kaukaz aby go do skały przygwoździć, *przemoc* przemawia do stojącego Hefesta, który jako bóg ognia i mistrz kowalskiej sztuki ma się podjąć tej operacji:

Pokazuje się, że wykradzenie ognia, podług planu Eschyleśa, było głównym punktem oskarżenia przeciw wielkomyślnemu winowajcy. Ale pominąwszy to, zważajmy jaki cudowny język wybrał poeta dla przemocy. Niepodobna lepiej uwydatnić bezmyślniej powolności dla srogiego Zeusa. Żadna tam myśl uczciwa, żaden przymus ani cieniem się nie zdradza. A dobroduszny Hefest nie z wielką chęcią bierze się do dzieła, czuje że wypełnia wolę niesprawiedli-

wości, to też słowami współczucia i żalu rozwódzi się nad ofiarą.

Jeżeli Eschyl w planie swojej tragedyi odstąpił od sta-  
 różytnej prostoty historycznej, za to nagroził sownie to  
 odstąpienie, nadając przedmiotowi swemu wielkość *ideatu*,  
 wielkość w której pojęciu nie prześcignął go nawet ten entu-  
 zjastyczny nasz wiek XIX-ty. Natchnął on dzieło swo-  
 je wielką doniosłością, myśli skombinowanej z odwołaniem  
 się do sympatyj serc wszechludzkich, budzącej najpoważniej-  
 szy podziw; namaścił ten swój utwór taką obfitością natchnień  
 pod względem stosunków bóstwa do człowieka, górujących  
 niezmiernie ponad poziomem opowiadań hezyodycznych, że ta  
 jego tragedia stała się najtkliwszą wśród innych tragedyi gre-  
 ckich, chociaż inne dramatyczne produkuje tej epoki są pod  
 względem artystycznym nierównie lepiej opracowane. Pro-  
 meteusz występuje u niego nietylko jako rycerz broniący  
 spraw ludzkości, i padający ofiarą swoich poświęceń, ale za-  
 razem jako mistrz wielki, nauczający wszystkich sztuk, wszy-  
 stkich środków, wszystkich upiększeń życia, wszystkich do-  
 godności, których ogień cząstkę tylko stanowi.

Sam Prometeusz oburzając się na niesprawiedliwość  
 przed Okeanidami, co przybyły uzalić się nad nim, opowiada  
 co uczynił dla ludzi:

Był to ród ślepy, plemię niedołączone,  
 Jam im dał rozum i dał samowiedzę;  
 Nie mówię tego, abym ich obwinał,  
 Mówię by podnieść ważność moich darów.  
 Patrzyli oni, ale nie widzieli,  
 Słuchali uchem, ale nie słyszeli;  
 W snach żyli błędnych, w których im postacie  
 Nierozróżnione w chaos się męszały.  
 Nie zuali domów gościnnej opieki,  
 Cudownej sztuki ciesielskiej nie znali,  
 W podziemnych dolach, bez słońca promieni  
 Żyli, małych mrówek obyczajem.  
 Nie znali zimy zadatków lodowej,  
 Kwiecistej wiosny i płodnej jesieni,  
 Ale z dnia na dzień żyli nieopatrzenie.  
 Ażem ich wschodu i zachodu prawa  
 U gwiazd pouczył, liczenia nauczył,  
 Cudownej sztuki pismo wynalazłem  
 I uzbroiłem ich darem pamięci

Wszystkich dzieł muzy, wielkiej stwórcielki.  
 Jać to raz pierwszy pochwyciłem tura  
 I przymusiłem do jarzma niewoli,  
 Ja, chcąc śmiertelnym odjąć trud ciężaru,  
 Do wozu pysznych przyprzągłem rumaków,  
 Najwytworniejsze zbytku towarzysze.  
 Ja pierwszy morskie wynalazłem wozy,  
 Żaglem powietrze, fal bijące wiosłem...  
 Słowem, Prometej wszystkiego nauczył  
 Biednych śmiertelnych!

Wszystko to odbywa się wbrew woli i naprzekór zamiarom Zeusa, który doszedłszy do władzy, chciał wyniszczyć ludzkie plemię i na jego miejsce ród jakiś inny wytworzyć, jak to o nim z oburzeniem powiada Prometej:

Skoro rodzica święte posiadał berło,  
 Rozdzielił władzę nad tworami świata.  
 Jednych pomiął: ród śmiertelnych ludzi!  
 Zniszczyć go, inny wywołać z nicości  
 Myśl jego była. Nikt nie był tak śmiałym  
 Stawić mu opór, ja opór stawiłem,  
 Ja od Hadesu wyrwałem go cieni.  
 Za to mnie sroga spotkała męczarnia:  
 Litość mnie bóżej zbawiła litości,  
 Wiszę przykuty na hańbę Zeusowi.

W ten sposób Eschyles, obok zachowania istoty rzeczy, przerabiając szczegóły legendy, dodaje co większa nowy stosunek Prometeusza do Zeusa. Zaraz z samego początku walki pomiędzy nim i Tytanami, Prometeusz daremnie usiłował ich skłonić aby rzecz prowadzili roztropnie; a przekonawszy się że z nimi nie dobra rada nie wskóra, i że sami gotują sobie zgubę, odstąpił ich i przeszedł na stronę Zeusa.

Kiedy bogowie w srogi swar popadli,  
 Aby Zejs władał, drudzy Zejsa władzy  
 Srodze przeciwni, podałem ja wtenczas  
 Radę najlepszą dla skończenia swaru.  
 Pogardził radą dziki ród Tytanów,  
 Gotów gwałtowną isć na przebój dlonią.  
 Wielekroć wszakże mówiła mi macierz  
 Temis, wielokroć Gaja bujna płodem,  
 Że jeden podstęp władczy ród nas zbawi:  
 Wyrocznią taką wzgardzili Tytanie.  
 Wtedy najlepszą zdało mi się sprawą  
 Szukającemu podać dłoń Zeusowi.

Podalen. Moim stało się pomysłem,  
 Że noc Tartaru kryje dziś Kronosa  
 Sędlawe ciało, ze huliec Tytanów  
 Upadł z Kronosem w czarne Hadu głębie.  
 I oto tak mnie spłacił sprzymierzeniec!

Ta więc okoliczność najmocniej uwydatnia niesprawiedliwość nowego władcy, który ozuchwalony zwycięstwem nad dawnymi bogami, depeze wszelakie prawa, zapomina wszelkich względów, wszelkich obowiązków, tak względem bóstw jak i względem człowieka. Z tém wszystkiem Prometeusz wieszczym obdarzony duchem, pomimo cierpień, pociesza się wiedząc o tém że przyjdzie czas, gdy Zeus uda się do niego o pomoc, grozi mu bowiem niebezpieczeństwo, którego tajemnice posiada Prometeusz i od którego on tylko będzie go mógł wybawić. Bohatér nie tai tego przed czułemi istotami, które w nieszczęściu nawiedzić go i pocieszać przybyły, wspomina o tém nimfom Oceanu, a Zeus snadź posłyszawszy jego zwierzenia, zaniepokojony, czemprędzej wysyła doń Hermesa (Merkury), aby go skłonił do wydania tajemnicy. Scena to, może nie mająca równej sobie w podobnym rodzaju. Hermes słuźalec i frant spełnia zlecenie jak przystało bez żadnych względów na godność osoby, która jest w poniewierce.

Hermes nie wskórać nie mogąc naśmieszkami i perswazyą, a rad sprawić się według życzeń pana, wraca znowu do groźby i w strasznych kolorach maluje mu ogrom przyszłych męczarni, które nad nim wiszą i trwać mają wieki bez przerwy, bez wytchnienia.

Prometeusz odpowiada mu spokojnie:

Nie mi nowego twa mowa nie wieści:  
 Cierpieć od wroga nie ujmuje cześci.  
 Niechże więc we mnie piorun rozczochrany  
 Godzi, powietrze niechaj uragany  
 Szarpią, niech burza z posad ziemię ruszy,  
 Niech fal wyjąca drogi gwiazd opryska,  
 Ciało me biédne, które skała skruszy,  
 Niech w Tartarosa bezdenną głębinę  
 Rwiący przeznaczeń prąd ciska:  
 Ja nieśmiertelny! nie zgięć!

Taki jest tedy ów myt o Prometeuszu. Przytoczyliśmy wszystkie jego wersye i wskazaliśmy różnicę jaka zachodzi

między legendą najdawniejszą a treścią tragedyi Eschylesowej. Prometeusz Eschyla, jakkolwiek zachował rysy dawne, nabrał tu jednak nowęj barwy, nowego charakteru i szczegółów nowych. W Hezydzie nie jest nawet wskazane miejsce jego wygnania i więzienia; Eschyl umieszcza go w Scytyi, a ogólne mniemanie Greków wyraźnie nadto wskazuje Kaukaz. Mniemanie to trwało tak długo, że aż Pompejusz prowadząc wojnę w Kolchidzie wybrał się umyślnie z przybocznym swym uczonym greckim Teofanese, dla zwiedzenia skały kaukaskiej, do której miał być przybity Prometeusz (Appianus. Bel. Mithr. 103). P. Szujski w objaśnieniach tekstu przytacza ten mýt w ogólnych zarysach tylko według tego jak go pojął Eschyles, co jest niedostatecznym i mogłoby niedokładne dać czytelnikowi o autentyczności tego mytu wyobrażenie; uważaliśmy więc za obowiązek uzupełnić ten brak i udaliśmy się wszędzie gdzie były jakieś do wzięcia szczegóły wykazujące to co w kolei czasu mýt ten zmodyfikować mogło. P. Szujski snadź nie pogardził radami naszemi, jakie pozwoliliśmy sobie uczynić mu w *Kłosach* przy rozbiorze jego przekładu Agamemnona, bo gdy ten wydany był bez żadnych objaśnień, któreby mogły ułatwić czytelnikowi nicobeznanemu z przedmiotem, zrozumienie ciemniejszych szczegółów; tu już się pokazały pewne objaśnienia, które naturalnie dopomagając do lepszego wtajemniczenia się w text, podnoszą wartość pracy i czynią ją pożyteczniejszą. Radziłobyśmy jednak aby p. Szujski mniej jeszcze szczędził objaśnień i bardziej wyczerpująco kręślił ducha treści ogólnej, co niezależnie od części artystycznej czy poetycznej tego rodzaju prac, przyczynić się może do upowszechnienia znajomości tego świata, którego badanie tak płodnym jest w rezultaty kształcące umysł i budujące uczucia powszechności: prawdziwa to i istnie pożyteczna filologia. P. Szujski dał nam już dwa przekłady Eschyla; obecnie zapowiada trzeci (Persów); domyślać się więc można, iż ma na myśli dać całkowitego Eschyla. W lepsze ręce trudno powierzyć podobną pracę, same te wyjątki które tu mieliśmy sposobność przytoczyć, świadczą jak mistrzowsko i z jakim poszanowaniem p. Szujski poczyna sobie w tym przedmiocie; nie mamy tóż dość słów na zachęcenie go, aby wytrwał w zamiarze, i dla tego ośmielamy się czynić

mu uwagi dążące, zdaniem naszym, do jak największego upożytecznienia przedsięwziętej pracy. Z pociechą widzimy, że jakkolwiek poprzedni przekład Agamemnona był wyborym, obecny nierównie doskonalszym jest w formie, lubo i ten tu nie jest absolutnie wolnym od usterek a raczej zaniedbań językowych, których, przy tak wytwornej całości, nie chcąc wdawać się w drobnostki, nie dotykamy. Niechaj sam poeta przejrzy starannie swoje dzieło, niech powie, czy godzi się naprzykład używać wyrazu: *zbawić*, zamiast *pozbawić*, skoro to są wyrazy zupełnie odmiennego znaczenia; czy końcówki *om* i *q* mogą stanowić rym, i t. p. Ale drobiazgi to są i nie będziemy się nad niemi zastanawiać, pozostawiając je dobrej woli i uznaniu samego poety, który zapewne najbardziej dbałym być winien o całkowitą piękność swojego dzieła, pomnąc na to, że w poezyi, jako w sztuce, najmniejsza nawet strona nie może i nie powinna być zaniedbaną, a licencyi i arbitralności partacze tylko dopuszczać się mogą (1). Porzucając więc ten przedmiot wracamy jeszcze do tragedyi Prometeusza, aby wyczerpać wszystkie o niej szczegóły, z lekka tylko przez p. Szujskiego dotknięte.

Wątpliwości nie ulega, że tragedia ta stanowiła trylogię. Wynikało to już z zasad przedstawień teatralnych przyjętych za czasów Eschyleśa, który sam te zasady utworzył i przyjęcie ich upowszechnił w narodzie. Przedmiot wybrany do dramatycznego przedstawienia obmyślanym był więc tak, aby zawierał trzy części, z których każda stanowiła wprawdzie oddzielną całość, ale i wszystkie trzy były

(1) P. Szujski odpowiadając na uwagi nasze uczynione mu przy przekładzie Agamemnona, oświadcza że używając rymu do chórów lirycznych, pozostaje przy wierszu białym dla dialogu, a to z tej zasady, że wiersz taki odpowiedniejszem jest surowości dykcyi Eschyleśa. Ja wszelako byłbym za rymem, dowód że użycie rymu na końcu ostatniej stronicy przekładu p. Szujskiego bynajmniej dykcyi tej nie zepsuło, ale bardziej ją jeszcze ożywiło. Nie śmiem ja wszelako łamać przekonania pisarza, którego kompetencyę uznaję. To tylko miałbym do nadmienienia, że jeśli ten wiersz biały ma być *miarowym*, to niechże będzie w nim nie tylko jednostajna liczba zgłosek, ale i jednostajna *miara*; jamb albo trochej, a najwłaściwiej miara oryginału, czego przykład daje nam w przekładach swoich p. Ludwik Jenike, tego jednak w pracy p. Szujskiego dotąd nie widzimy, a pragnęlibyśmy jednakoż widzieć.



jedną całością większą. Trzy te części musiały z konieczności być poważnemi a często jeszcze do nich dodawano czwartą, która tenże sam przedmiot przedstawiała ze strony komicznej o ile się on do tego nadawał, i to był dopiero całkowity komplet teatralnego dzieła. Owóż, z ułamków kilkowierszowych i ze śladów pozostałych w pisarzach dowiadujemy się że częściami tej trylogii były: *Prometeusz ognionośca* (*Προμηθεύς πυροφορός*), *Prometeusz w okowach* (*Προμηθεύς δεσμοτοῦς*), i *Prometeusz uwolniony* (*Προμηθεύς Ἀνομιένος*). Z nich pozostała tylko druga część, której przekład właśnie mamy przed sobą; początek i koniec tego cyklu tragicznego zaginęły, razem z kilkudziesięciu innymi tragedjami tegoż poety. Jakże to musiały być tragedye, ta jedna już dostatecznie przekonać może, i jaka ztąd strata dla literatury i umysłu ludzkiego! Błogosławione ręce wandalizmu pozbawiły świat największej części arcydzieł ludzkiej myśli. Samych wyborowych tragedji w Atenach, to jest takich co otrzymały premia w wieku Peryklesa, według naszego obliczenia, którego zasady nie pora teraz wskazywać, ale któregośmy pewnie na wiatr nie czynili, było najmniej 900, a pozostało z nich kilkanaście. W zatracie tytułu arcydzieł trylogia Prometeusza jest jednym z najboleśniejszych ubytków.

W istocie, ten kto chociaż na ruinach, odetchnie twórczem powietrzem Grecyi, jakżeż głęboko przejętym być musi wspaniałością widoku, wielkością i następstwem tych trzech stanów życia ludzkiego uosobionych w tym nieśmiertelnym świadku, jakim jest tu Prometeusz! Wiodocznież w myśli poety fikcyja ta była obrazem bólów, jakie na tym padole płaczu prowadzić musi prawda z przemocą, a Prometeusz wyobrażał ducha wyższego poświęcającego się dla oświecenia ludzi, który z razu cierpi za swoją ideę w więzach i bezczynności, następnie wyswobodzony, wraca do swojego dzieła aby je uzupełnić. Jeżeli nauka moralna płynąca z tego tragicznego stopniowania wydawała się tak prawdopodobną, że niejeden z Ojców Kościoła sądził, iż może bez profanacyi w cierpieniach Prometeusza upatrywać jakiś typ nasuwający myśl o Chrystusie, jakżeż potężną musiała być illuzya poetyczna tych trzech dramatów ludzkich w ich całości zakończonej ostatnią perypetją.

Czemże to był ten Prometeusz ognionośca? Tożto zapewne jeden wielki hymn tryumfu i chwały, promień poezyi niosący szczęście duchowe na ubłogosławione podówczas niwy Hellady, jutrzeńka niebiańskiego dnia, co wzbijał się dla Grecyi europejskiej i azjatyckiej. Co do Prometeusza w okowach, nie potrzebujemy czynić wniosków: dzieło oryginalne mamy przed oczami, możemy uczuć w tém dziele nadzwyczajném tak dobrze cały zapał hierofanty jako i wzniosły umysł filozofa. Dzielność liry poetycznej nigdzie i nigdy wyżej się nie wzniosła. A chociaż kilka szczegółów tego poematu dało powód do oskarżeń przeciw autorowi o świętokradztwo, nigdy przecież instynkt sumienia przeciw czei fałszywej, nigdy głos ludzkości przeciwko przemocom nie przemówił donośniej i poetyczniej.

Wielkość Prometeusza w okowach jest wielkością bierną; ale wyobraźmy sobie jakimto entuzjazmem wstrząsac musiał ostatni akt tego obrazu życia symbolicznego, ów Prometeusz oswobodzony. Co mamy rozumieć pod tym tytułem? Byłażto apoteoza władzy rządzącej łagodnością, tryumf ducha nad siłą brutalną, inauguracya nowej epoki życia dla Grecyi uwolnionej od najazdu barbarzyńców i okrytej wieńcem pomników nieśmiertelnych? Trudno zdać sobie sprawę z kilku wierszy pozostałych po tém zatraceném dziele. Niewiele nas téż objaśnia krótka relacya Cycerona w Tuskułanach: „bóg-męczennik stoi przybity do szorstkich odłamów skały, jak okręt uplątany w raffy, wśród grozy nocnej, wśród przerażającego krzyku majtków i grzmiącej wrzawy fal. W tém legowisku Furyi, na tym szczycie gdzie go przygwożdżono, służy on za pastwę nieustającą dla Jowiszowego orła, a inni zwyciężeni, inni prześladowani przychodzą go nawiedzać; słyszy on od nich słowa pociechy i nadziei. Wdowiec po samym sobie (po swój idei), według słów poety, wyglądający końca swój katuszy, namiętnie wzywający śmierci, którą odeń odpycha nieubłagana potęga Jowisza, nagle zostaje wyswobodzonym i to przez syna tegoż samego boga. Mógł on wtedy zawołać: O ty najmilszy mi synu, najnienawistniejszego ojca!”

Tym zbawcą jest Herkules, mityczny symbol męztwa i geniuszu Greków, ich zwyciężkich wypraw, ich zdobyczy



i sztuk. Tu niema kresu dla imaginacyi aby wyobrazić sobie tryumfalne wzruszenia i entuzyazm liryczny w obec takiego rozwiązania, w chwili kiedy zbawca, rozkuwając z więzów Prometeusza składa wieniec zasługi na głowie tego *ogniodawcy* ludzkości. Po Platei, po Mykale i Salaminie, po usunięciu Pizystratydów i wypędzeniu Persów, może to był jakiś przedsmak nieśmiertelnj doby Peryklesa i jakoby wspaniały, wstępny pochód tych czasów pełnych chwały, w których Ateny ze swemi marynarzami, areopagiem i trybuną, wolne, uczone, dumne, patrzyły jak przez pół wieku do tego szczupłego zakątka ziemi cisnęły się wszystkie cuda świata, od Sofoklesa do Platona.

Gdybyśmy tak tę rzecz uważać mogli, toć wielce fałszywą zdać się nam musi restytucya tego poematu, którą podjął jeden niepospolity, ale też i niepospolicie dziwaczny poeta naszego wieku. Prometeusz oswobodzony angielskiego poety Szelleja (*Prometeus unbound*, a lyr. dr. by Shelley) jest to dziwna mieszanina symboliki i namiętności, mistycyzmu i materializmu, gniewu przeciw porządkowi ustanowionemu na świecie i ponurych wróżb jakiejś nieograniczonej i wyuzdanej wolności: przydałby się on do jednego garnituru z takimi filozofami jak Fourier, Feuerbach lub Ruge. Młody ten splennik zawzięty przeciw społeczności, w której urodził się możnym i szczęśliwym, w łonie której żył w zupełnej niezależności, poeta do szpiku kości przejęty sceptycyzmem, nie wahał się jako gość na liście cichych mnichów gościnnj góry ś. Bernarda zapisać imie swoje w sposób ironiczny z dodaniem epitetu: *ateos*. I onto, w marzeniach swoich o przeszłości i w zapamiętałem przewidywaniu przyszłości, pod tytułem: *Prometeusza oswobodzonego* pisał rodzaj dytyrambu na cześć jakiegoś przyszłego *wieku rozumu*, którego smutne próby przedstawił i zmaszał koniec XVIII-go wieku, i który daremnie podobno usiłują wskrzesić dzisiejsi hierofanci materializmu znoszący cegły do budowy jego świątyni nad Wezerą i Spreą. Nic w takim zupełnie duchu mogłaby nastąpić restytucya (gdyby jaka nastąpić mogła) idei Eschylesowj, i wieszcz grecki, o ileśmy go poznali wyparłby się od dna do dna wszelkiej wspólności z podobnym kierunkiem. Do takiej to szkoły należy Prometeusz Szelleja. Pośmiertne to dziecko

poety angielskiego można porównać do jego pogrzebu, do tego pogańskiego obrzędu jaki mu sprawili przyjaciele, którzy wydobywszy zwłoki jego po rozbiciu okrętu przez burzę na brzeg wyrzucone, spalili je wonnym płomieniem na pustej płaszczynie okrytej wrzosem i oddali mu ostatnie pożegnanie, w którym modlitwa i nadzieja najcichszym nawet nie odezwała się głosem.

Dnia 29 kwietnia 1867 r.

*Kazimierz Kaszewski.*



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Prawo Salickie, podług textu rękopisu Biblioteki Głównej Warszawskiej wydał Romuald Hube. Warszawa. W drukarni Gazety polskiej. 1867. LXXXIX i 47.*

W niniejszem wydaniu prawa Salickiego text poprzedzony jest wstępem od samego textu w dwójnasób niemal obszerniejszym. W oddzielnej edycyi wydawca równocześnie ogłosił w francuzkim języku, wstęp krótszy niż polski, bo tylko XXI stron obejmujący, tak jednak, iż niektóre przedmioty więcej obchodzić mogące świat uczony francuzki, obszerniej są rozwinięte we wstępie francuzkim, a w skróceniu tylko podane w polskim. Ztąd wynikło, że chcąc ocenić ogół prac wydawcy podjętych około prawa Salickiego, potrzeba mieć przed sobą tak polskie jak i francuzkie wydanie.

Prawo Salickie jest to prawo Franków Salickich najważniejszego z plemion germańskich, które osiadły w zdobytych przez siebie dziedzinach państwa rzymskiego. Obok tej nadającej mu szczególne znaczenie okoliczności, druga jeszcze stawia to prawo na czele praw podobnego pochodzenia. Prawo Salickie uprzedza dawnością swego powstania wszystkie inne pokrewne i w części za wzór im służyło; samo zaś zupełnie wolne jest od wpływów późniejszych.

Nie posiadamy pierwotnej redakcyi prawa Salickiego. Manuskrypta które do naszych czasów się dochowały, różnią się wielce między sobą układem i treścią. Niektóre z nich przecież więcej są do siebie zbliżone, stanowiąc oddzielne, że tak rzeczem, grupy.

Pardessus, najuczęszszy wydawca francuzki prawa Salickiego, podzielił istniejące rękopisy na pięć rzędów, przedstawiających tyleż odmiennych redakcyj.

Do pierwszego rzędu zaliczył Pardessus rękopisy zawierające redakcyę najdawniejszą z tych jakie nas doszły, która przecież nie jest pierwotną.

Rękopisy drugiego rzędu przedstawiają redakcyę mało odmienną od pierwszjej.

Rękopisy rzędu trzeciego zachowują tak jak dwa pierwsze, podział prawa na 65 tytułów, mieszcząc w sobie wiele przydatków.

Rękopisy rzędu czwartego zmieniają porządek i układ prawa zamieszczając je w 99 tytułach, a co do treści nie obejmują wszystkiego tego co jest w texcie trzecim, mieszcząc natomiast w sobie rozporządzenia temuż textowi obce.

Nakoniec pod Karolem Wielkim z jego rozkazu i za jego współdziałaniem powstała redakcyę piąta, tak zwana *lex emendata*, do której za podstawę był wzięty text trzeci a pomocniczo tylko korzystano z textu czwartego. Ma ona tytułów 70. Stosunek do siebie tych textów, ich znaczenie, czas ich powstania były przedmiotem rozbiornu znakomitych uczonych, pomiędzy którymi nasz wydawca nie poślednie zajmie miejsce.

Nicią przewodnią dla niego do wyjścia z labiryntu różnic rękopisowych, był wzgląd na miejscowość sporządzenia rękopisów.

Rękopisy obejmujące prawo Salickie mieszczą w sobie nie samo tylko to prawo, lecz obok niego i inne prawa i rozprządzenia panujących. Wydawca uwzględniając ogół praw w rękopismie zawartych, oznacza za przewodem dat historycznych, jako to: czasu i obszaru władania różnych panujących i t. p. miejscowość sporządzenia manuskryptu, wskazującą dla jakiej okolicy układany był zbiór praw w rękopismie zawartych.

W owych czasach kiedy różne plemiona nie zlały się w większe narodowości, każdy według swego pochodzenia rządził się swym prawem. Rzymianie podbici zachowali swoje prawa; Frankowie Salijscy rządzili się swoim, Rypuarsey swoim, Burgundczycy swoim i t. d. Ztąd prawo Salickie miało swoje zastosowanie i w takich okolicach, w których ludność Salijska podrzędną grała rolę. W zbiorach praw dla takich okolic ułożonych obok prawa Salickiego, znajdują się w przeważniejszej liczbie i objętości inne miejscowe.

Ponieważ samo prawo Salickie w głównej siedzibie Franków Salijskich uzupełniało się i kształciło z postępem czasu, zwłaszcza iż text jego pierwotny nie był zupełną kodyfikacyą praw zwyczajowych, ale tylko część zwyczajów ludowych obejmował; przeto w miarę różności epok przeniesienia tego prawa do sąsiednich

dzielnic, text jego na różnym stopniu rozwinięcia zostaje, a przytém na nowój dziedzinie odmiennie się ukształca. To nam tłumaczy różnicę textów w dochowanych rękopisach.

Nacechowawszy w ten sposób metodę wydawcy, wskażemy jako główne wyniki jego badań:

Odróżnienie w rękopismach pierwszej redakcyi rozporządzeń które przypisać można Chlodaveuszowi (tytuły 44 — 65) stanowiących pakt dodatkowy, uzupełniający pierwiastkowy pactus legis Salicae.

Wykazanie że rękopisy drugiego rzędu obejmują text prawa Salickiego przeniesiony do Burgundyi.

Manuskrypta trzeciego rzędu wydawca uważa za redakcyą utworzoną głównie pod wpływem prejudykatów, bądź sądu królewskiego wschodnio-północnej Neustryi, bądź wieca (mallum) paryzkiego.

Text czwarty rozgościł się w zachodnio-południowej Neustryi; nie zdaje się być dziełem urzędowém: przedstawia on dwie odmiany, jedną wcześniejszą obszerniejszą i glossowaną, drugą późniejszą, skróconą i bez glossy.

Tę ostatnią odmianę textu czwartego zawiera rękopism Warszawski, którego miejscem powstania według objętego w nim materiału jest Turonia (Tauraine).

Odmiana textu czwartego nie została dostatecznie w wydaniu Pardessus uwzględnioną, jakkolwiek w historyi utworzenia się textu prawa Salickiego i jego przemian, gra ona nieobojętą rolę. To właśnie stało się powodem naszemu wydawcy do ogłoszenia jej drukiem.

Prawo Salickie nie było dotąd u nas przedmiotem badań. Jeżeli pomimo to, w przedmiocie mi obcym, nie wacham się pośpieszyć z uznaniem pracy naszego wydawcy i twierdzić, że bliżej od swoich poprzedników stanął w celu rozjaśnienia wszelkich okoliczności z powstaniem prawa Salickiego i utworzeniem się różnych redakcyi textu tegoż prawa związek mających, to powoduje mną nie żadna stronność dla osoby, nie sam nawet wzgląd na ścisłą loiczność wykładu, lecz baczę głównie na to, że krytyka historyczna, tём większe prawdopodobieństwo wyprowadzonych przez siebie wyników osiąga, im mniej świadectw przez siebie rozbiernych odrzucać potrzebuje i każdemu z nich właściwe jest w stanie wyznaczyć stanowisko. Jeżeli z dwóch wydawców jakiego textu, jeden różność czytań na błędy przepisowacza zwała, drugi dla wyświecenia tej różności łajac dawno zmarłego i niemogącego już nie

na swoją obronę przytoczyć pisarza rękopismu nie potrzebuje, owszem dostateczną różności przyczynę w postronnych okolicznościach naznaczyć umie, nie wahamy się ostatniemu przyznać pierwszeństwa. To właśnie skłania nas na stronę dzisiejszego wydawcy.

Pardessus np. zbywa redakcyę czwartą prawa Salickiego tą uwagą (str. IV edycyi francuzkiej), „że redakcyja ta nie zdaje się być sporządzoną z dobrych materyałów.” P. Hube nie polemizuje ze swemi źródłami, wykazuje prawidłową genezis textu czwartego, według wzmiankowanej przez nas powyżej przewodniej myśli.

Trzeźwość krytyczna, nie pomiatanie żadnym szczegółem obok obszernej erudycyi stawiają wysoko w naszych oczach pracę p. Hubego. Jest ona drugą z kolei w przedmiocie tak zwanych *leges barbarorum*. W roku 1865 wydał p. Hube w Warszawie rozprawę p. t. *Prawo Burgundzkie*, historia jego powstania i ocenienie jego wydań. Mamy nadzieję, że uczony autor udzieli nam więcej tak cennych upominków ze skarbnicy swojej erudycyi. Gdyby w podobny sposób opracował wszystkie *leges barbarorum*, literatura nasza stanęłaby w tym przedmiocie na równi z innymi; pod niektórymi względami nawet wyprzedzilibyśmy obcych.

Podaliśmy w skróceniu treść badań p. Hubego odnoszących się do redakcyi prawa Salickiego. We wstępie polskim scharakteryzowaną jest nadto sama treść tego prawa; zwrócono uwagę na konstytucyę, dekreta i edykta królów *merasingskich*, na praktykę, formuły, akta i wyroki; na naukowe obrobienie prawa Salickiego; na dzieje jego pod następcami Karola Wielkiego; wliczono celniejsze wydania i rękopisy. Tak obfita treść z trudnością w skróceniu przedstawić się daje; ograniczymy się na dwóch szczegółach, w których nastroczają nam się paralelle z historyi naszego prawodawstwa.

Wiadomo iż we Francyi kobiety były wyłączone od dziedziczenia tronu. Wyłączenie to opierało się na znauym *textie* prawa Salickiego „*de terra vero salica nulla portio hereditatis mulieri veniat.*” To rozporządzenie uważane jako zasadnicze prawo monarchii obznajomiło z nazwą prawa Salickiego powszechność, do którejby, gdyby nie ta okoliczność, nie doszła wiadomość o istnieniu prawa Salickiego. Co właściwie znaczy, *terra Salica*, ziemia Salicka? jakie okoliczności nadawały ziemi przymiot salickiej? to było przedmiotem badań uczonych, których zdania bar-



dzo się między sobą rozchodzą. Pardessus np. uważa ziemię salicką za ziemię po przodkach odziedziconą. Laboulaye w swojej *Histoire du droit de propriété foncière en Occident*. (Paryż 1839) str. 417 i 418; (cytacya naszego wydawcy na str. XII wstępu francuzkiego nie zdaje się być dokładną), uważa słusznie, że wyłączenie kobiet od dziedziczenia ziemi na korzyść płci męskiej, było pod rządem prawa Salickiego bezwyjątkowe, lecz zdania tego nie uzasadnia.

Nasz wydawca stanowczo rozwiązuje kwestyę, zwracając uwagę na to, że dodatek *salica*, po wyrazie *terra*, znajduje się dopiero w trzeciej i późniejszych redakcyach prawa Salickiego. „W okolicach zamieszkałych przeważnie przez ludność gallo-rzymską,” mówi p. Hube (str. XI, XII wstępu francuzkiego), „w których tego rodzaju wyłączenie w spadkach nie miało miejsca, redaktor tekstu chciał przez dodatek przymiotnika *salica*, dać uczuć sędziom, że idzie tu wyłącznie o ziemię posiadane pod prawem Salickim, a nie o te, które według prawa miejscowego to jest rzymskiego były poddane pod inne prawidła.”

Podobne określenie nazwy ziemi przywieść można i z historii naszego prawodawstwa. Nie zna ono ziemi Lechickiej nad Wisłą; lecz gdy osadnicy z tych stron zaczęli zaludniać kraj nadbużański, zjawia się w tej okolicy nazwa ziemi Lechickiej (*ager Lechitarum*, porównaj Bibliotekę Warszawską, rok 1846, Tom II str. 378 i 379). Ogólnie nawet powiedzieć można, że prawo rządzące ziemią nadawało nazwę ziemi, w wiekach średnich. Wyrażenie tak powszechne u nas, choć dziś już zupełnie zatartego znaczenia „dobra ziemskie” oznaczało właściwie, dobra ulegające prawu ziemskiemu (*jus terrestre*), obok którego istniało prawo królewskie, a dobra temu ostatniemu ulegające zwane były „królewszczyzny.” Obok jedności prawa, wyrażenie *dobra ziemskie* straciło swoje właściwe znaczenie.

Drugą jeszcze paralellę przywieść możemy z historii naszego prawodawstwa do historii prawa Salickiego. Prawo to wychodząc z powszechnego użycia, zachowało się jeszcze w XI wieku w pojedynczych rodach. „Domniemywać się godzi,” mówi p. Hube, str. LXXX wstępu polskiego, „że zapewne całe onego użycie, ograniczało się do przepisów o sukcesyach.” Ostatnim rodem, który używał w kierunku oznaczonym prawa Salickiego, był aż do naszych czasów ród Burbonów, we Francyi panujący.

Podobne były u nas losy prawa Mazowieckiego wyłączającego niewiasty od dziedziczenia ziemi. Z początku wyłączano

się od niego za przywilejami; później w roku 1532 król Zygmunt uchylając toż prawo, przyrzekł jednak, że tym którzyby pragnęli usunąć kobiety od dziedziczenia dóbr swoich, wyda na to przywileje, jeżeli się z tēn żądaniem wciągu jednego roku zgłoszą (Bibl. Warsz. rok 1860, Tom II, str. 505). Jest to jeden więcej przykład prawa, które z krajowego stało się rodowēm. F. Z.

*Zbiór pieśni duchownych ewangelickich i modlitw. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffja, 1866 r., (w 8ce, str. 382, z nutami do śpiewu).*

Kollegium kościelne parafii warszawskiej, uznawszy naglącą potrzebę ułożenia kancyonału, któryby mógł zaspokoić wymagania zboru przy nabożeństwach w miejscowym kościele ewangelicko-augsburgskim odprawianych, powołało komitet uproszony do zajęcia się tą pracą. Stanął na czele ks. Ludwik Otto pastor, i jemu głównie jak współpracownikom należy zasługa za wydanie dzieła podręcznego do nabożeństwa, którego brak czuć się dawał, tym więcej gdy dotąd używana książeczka, złożona z XVIII tylko pieśni, zupełnie celowi swemu nieodpowiadała.

O ile kancyonały dawne, dały się zużytkować, zamieszczono pieśni niektóre, śpiewane w języku polskim od początku XVI wieku; najwięcej przecież znajdujemy tu nowych przekładów. P. Edward Glass oddał komitetowi do zużytkowania pieśni przetłumaczone przez jednego z miejscowych literatów: inne przekłady zostały dokonane przez L. Otto który kierował tēn wydawnictwem, i Ludwika Jenike redaktora Tygodnika Ilustrowanego.

Pod każdą pieśnią prawie zamieszczona jest wznianka o jej pochodzeniu; wszystkie podkładano pod muzykę wedle książki chóralnej organisty przy kościele warszawskim A. Freyera, jako używanej w kościele ewangelicko-augsburgskim Królestwa Polskiego. Część muzyczną obrabiał tenże Freyer, wraz z Oskarem Kolbergiem zasłużonym i znanym zbieraczem pieśni ludowych.

W drugiej części niniejszego dzieła są zamieszczone modlitwy; są one wzięte prawie wszystkie z dawnych kancyonałów, i odznaczają się zarówno prostotą jak głęboką wiarą.

Trzy wieki z górą upłynęły, bo lat 312, kiedy najpierwszy wyszedł z prassy kancyonał ewangelicki w roku 1554 w Królewcu,

z czeskiego języka na polski przełożony przez ks. Walentego z Brzozowa. Po nim, przy silném rozkrzewianiu reformacyi, i popieraniu jej przez możnowładzców Rzpltej jak zamożniejszą szlachtę, mnóstwo w różnych stronach Polski wychodziło kancyonałów w wielkiej ilości egzemplarzy; pomimo to z dawniejszych lat pochodzące, należą dziś do osobliwości bibliograficznych. Obszerną o kancyonałach rozprawę a zajmującą podał ks. L. Otto w Encyklopedyi Powszechniej (Tom XIII), nie mamy więc potrzeby rzeczy znane powtarzać. Zwrócić jednakże musimy uwagę, że gdy kościół reformowany używał i używa szczególnież we Francyi i Anglii jako kancyonału psalterza Dawidowego, i u nas w pierwszym wieku reformy ten psalterz przez ewangelików był w ogólnóm użyciu.

Kiedy Jan Kochanowski wydał przekład psalterza Dawidowego, po nim Maciej Rybiński senior kościół reformowany w Wielkopolsce swoje tłumaczenie ogłosił naprzód w Rakowie 1604 i 1605 a następnie w Toruniu 1617 r. Przekład ten, co do wartości swojej pierwsze bierze miejsce po Kochanowskiego pracy. Rybiński włączył muzykę do psalmów jaka była używana w owe czasy we Francyi. Następnie do pieśni nabożnych przyjęto stare melodye, które były już szczególnież do psalmów Dawida, pomiędzy ludem naszym upowszechnione.

W zbiorze o którym mówimy są pieśni z psalterza Dawidowego w tłumaczeniu Jana Kochanowskiego: pieśni Franciszka Karpińskiego i Aloizego Felińskiego. W liczbie 160 pieśni, jakie nowy ten kancyonał obejmuje, pastora Otto jest 10, a L. Jenikego 28.

Do najcelniejszych pieśni w śpiewniku ewangelickim policzoną jest pieśń samego Marcina Lutra zaczynająca się od słów: „*Ein' feste Burg ist unser Gott*” (Warownym grodem jest nasz Bóg). Pieśń tę mamy i w niniejszym kancyonale w przekładzie Ludwika Jenikego, ale odmienną od tej, jaką właśnie mamy przed oczyma tegoż tłumacza, dokonaną językiem Zygmuntofskim. Zmiany jakie wprowadzono, zupełnie w kilku ustępach zmieniają tekst oryginału pieśni Marcina Lutra.

Przywiedziemy tu najprzód podług autografu tłumacza przekład staropolskim językiem, a następnie wykażemy zmiany zrobione:

Warownym grodem jest nasz Bóg,  
 Broń nasza i pawężo;  
 On, pomoc niesie dla swych sług,  
 Gdy klęska nas dosięże,

Stary świata wróg,  
 Krętych szuka dróg,  
 Moc i złości rój,  
*To straszna jęgo zbroj,*  
 Na ziemi kto mu rówieć?

Choć czartów pełen będzie świat,  
*Choć nas pochłonąc radzi,*  
 My żadnych się nie boim strat,  
*Sto czartów nam nie wadzi.*

Książę ziemi tój,  
 W całej mocy swój  
 Nie poradzi nam,  
 Bo już skazany sam  
 I słowo go powali!

W drukowanym przekładzie znajdujemy zmiany niezgodne z oryginałem. Tak w drugiej strofie wiersz pierwszy:

„Choć czartów pełen będzie świat”

dosłownie jest tłumaczonóm:

„*Und wenn die Welt voll Teufel war*”

co w kancyonale o którym mówimy, brzmi ten wiersz:

„Choć złego pełen będzie świat.”

Przecież wiadomo, że znakomity reformator, w którego umyśle idea postępu łamały się z przesądami średniowiecznymi, z naiwną prostotą wierzył w diabła, i bez tej wiary wyobrazić go sobie nawet nie można. Cała ta zwrotka w czterech pierwszych wierszach przerobioną została, i tak wydana:

Choć złego pełen będzie świat,  
 Pokusa nas niezmóże,  
 My żadnych się nie boim strat,  
 Bo wiara nas wspomóże.

Oryginał przecież zupełnie brzmi inaczej, zachowując właściwy charakter wieku i autora tej pieśni.

Zresztą dobór pieśni, i całe wydanie odznacza się wielką starannością, język wszędzie czysty, pełen prostoty, a niebrak mu i siły, w miejscach wyższego nastroju ducha. Edycya pod względem typograficznym nie nie pozostawia do życzenia, a cena niesłychanie niska, bo egzemplarz o 382 stronnicach, ze 160 nutami do pieśni, kosztuje tylko 50 kopiejek (złp. 3 gr. 10). Jestto

zjawisko osobliwe u nas, wśród cen zwykle zbyt przesadzonych. Wydawcy mogli utrzymać tak niską cenę, jedynie przez to, że drukowali w Lipsku (czcionkami Breitkopf i Härtla) gdzie druk i papier tam znakomicie tańsze niż u nas w kraju. W.

### *Komentarze Juljuszowi Cezara.*

Podajemy wzmiankę o wielce rzadkim druku, bo przez bibliografów nie wspomnianym p. t. *Epitome Floreado de los comentarios de Cajo Julio Cesar por D. Carlos Bonyeres baron de Auchy del Consejo Supremo de Guerra de Su. Mag. Cat. etc. Varsaviae in officyna Petri Elert S. R. M. Typographi A. D. 1647 Cum Facultate Superiorum. w 4ce str. 194 i niezliczb kart 6.* Jestto streszczenie na język hiszpański komentarzy Jul. Cezara. Autor poświęcił dzieło Ferdynandowi IV. Królowi Czeskiemu, Arcyksięciu Austrii i t. d. W przedmowie do czytelnika, opowiada jak jeszcze w swój ojczyźnie zamysłał opracować te komentarze. Pracę przerwało powołanie go w kwietniu 1645 r. do Madrytu na przegląd wojsk króla Arragonii. Ztamtąd wysłano go w missyi na różne dwory europejskie. Wypłynął do Genui, Medyolanu a przez Waltelinę dostał się do Inspruku siedziby arcyksiążąt. Ztamtąd Dunajem puścił się do Linzu, gdzie napotkał, jak się wyraża majestat cesarski.

Dalej Dunajem dostał się do Węgier a ztąd na dwór królów polskich w Warszawie w marcu 1646 r. Natychmiast objawił królowi Władysławowi IV swe myśli wojownicze, iż skoro król urodził się dla tryumfów i chwały, potrzeba aby była wojna i to jak najzaszczytniejsza. Następnie udał się wkrótce do Krakowa na koronacyą królowej Maryi Gonzagi, której piękność i roztropność podziwiano we Francyi.

Ztąd Wisłą udał się do Gdańska, morzem Bałtyckiem popłynął do Kopenhagi na dwór króla duńskiego.

Następnie powrócił do Gdańska w październiku, a ztamtąd do Warszawy, gdzie był świadkiem świetnych uroczystości i otwarcia sejmu d. 25 t. m.; powaga stanu rycerskiego i senatu w zachwyty go wprawiały.

Podziwiał deliberacye i narady. Radzono w myśli królewskiej o wojnie przeciwko Turcyi. To zdaje się głównie go interesowało, bo musiało być zadaniem jego missyi. Opowiada iż dzieło swe pisał podczas swoich wędrówek; spostrzeżeń o kraju który zwiedzał nie podaje żadnych, przedmowę datuje 10 stycznia 1647 r. O autorze dzieła tego nie znajduję wzmianki w źródłach obcych historycznych i bibliograficznych. K. E.

## ROZMAIŒCI.

---

### *Kiedy pierwszy Szwarzenberg był w Polsce.*

W piśmie czasowem *Oesterreichische Revue* w zeszytcie na listopad 1866, zamieszczony jest artykuł p. t. *Dom Księżęcy Szwarzenbergów przez Adama Berger*.

Na str. 18 wyczytujemy następującą odnoszącą się do dziejów naszych wiadomość:

Według opartego po większej części na dokumentach kronikarskiego zaznaczenia, które mamy przed sobą, na krótki czas przed fundacyą z r. 1400 (w kaplicy rycerskiej w Würzburgu) Erkinger (1) powrócił z wyprawy wojennej do Polski, przedsięwziętej wspólnie z pewną liczbą rycerzy frankońskich, szlachejnych pachołat i jezdnych (edler Knechte und Reisigen) zrobiwszy wprzód, w piątek po S. Dyonizym, w opactwie Cystersów Bissonia w diecezyi Władysławskiej fundacyą uroczystą rocznego nabożeństwa za poległych swoich towarzyszy w walce króla polskiego Władysława z Prusakami czyli Krzyżakami (Deutsch. Ordensrittern) a mianowicie za Erkingera von Hessberg, Engelharta von Schernberg, Kaspara Fuchs, Apolloniusa von Lichtenstein i innych jako też za siebie i swoich potomków. „Aby nie dać mieczowi swemu rdzewieć w spokojnych Niemczech,” mówi Haimb „podjął był Erkinger tę wyprawę.”

W dacie wyprawy zaszła, zdaje się pomyłka. Z dziejów nie wiemy o wyprawie Krzyżaków do Polski na krótki czas przed 1400 r. Natomiast znamy bitwę pod Koronowem w której udział mieli i rycerze Frankońscy (Wapowski t. I. str. 278) w r. 1410 w d. 10 października. Dzień ten przypadał w owym roku właśnie w piątek po ś. Dyonizym, czyli był rocznicą którą nabożeństwem przez siebie ustanowionem Erkinger chciał mieć obchodzoną.

(1) Erkinger o którym tu mowa urodzony 1362, zmarły 1437; pochodził z rodziny von Scinsheim, od roku 1429 przyjął miano von Schwarzenberg i był założycielem tej sławnej linii domu Scinsheimów.

Nabożeństwo ustanowił w opactwie Cysterkiem Bissouia (nie Bissonia jak wydrukowano) t. j. w klasztorze Byszowskim w Bydgoskiem, założonym 1253 przez księcia Kazimierza.

Klasztor ten leżał pod Koronowem i w następstwie tamże przeniesiony został (1). Najwięcej więc nadawał się do ustanowienia w niem nabożeństwa za poległych w bitwie pod Koronowem, jako klasztor najbliższy pola walki i może miejsce ostatniego spoczynku poległych.

\* \* \*

W tymże artykule na str. 81 jest wzmianka o spowinowaconej ze Szwarcenbergami familii, Poland, którzy chlubili się pochodzeniem od królów polskich i już od Fryderyka Pięknego liczyli się do stanu baronów państwa. Z.

### *Książka pokupna.*

Mamy przed sobą książkę p. t. *Monita secreta Societatis Jesu*, wydanie piąte p. Charles Sauvestre w Paryżu 1865 u Dentu. Dwa pierwsze wydania tej książki rozeszły się jak wzmiankowano w przedmowie do wydania trzeciego, w liczbie 22,000 egzemplarzy. Przypuszczając że trzy następne w takiejże liczbie były odbite, będzie to w ciągu lat kilku 55,000 egzemplarzy. Nadto wydawca terazniejszy, przywodzi dawniejsze wydanie francuzkie z lat 1718, 1819, 1824, 1845 i wydanie w Paderborn z roku 1661.

Czytaliśmy także wzmiankę o trzecim współczesnym niemieckim wydaniu.

Wydawca francuzki p. Sauvestre uważa te sekretne instrukcje Jezuitów za autentyczne. Tymczasem jest to dziełko napisane przez Hieronima Zachorowskiego exjezuitę a następnie prałata, którego pierwsze wydanie wyszło u Luciusa w Bazylei 1614 r. a tłumaczenie polskie p. t. *Przewodnik czyli skryte rządy Ojców Jezuitów* w roku 1784. Piszą o niem Niesiecki i Jaroszewicz w *Obrazie Litwy*. Ostatni nazywa to dziełko prawdziwym *Machiawelem Jezuitów*.

Właściwy tytuł brzmi: *Monita privata*, a nie jak wydawca francuzki wydrukował, *monita secreta*. W tekście stoi wszędzie jak być powinno: *monita privata*. Z.

(1) por. *Codex Diplomaticus Rzyszczewskiego* T. I. str. 60, 67 i wiele dokumentów odnoszących się do klasztoru Byszowskiego w Tomie II.

*Jamaica and the Colonial office Vhocaured the Cricis?* by George Price, (London, Low and Co., Leipzig A. Dürr).  
*Jamajca i zarząd osady: co spowodowało przesilenie?* przez Jerzego Price.

Autor tego dzieła przebywając 20 lat na wyspie Jamajce, sprawował tam kilkakrotnie ważne urzędy; ztąd też miał sposobność poznać dokładnie tameczne stosunki. Mówi bardzo mało o swoim pobycie na miejscu i o okrucieństwach jakie popełniano podczas ostatniego rokoshu Murzynow. A. Price zajmuje się nadewszystko w swém dziele głównym sprawę całego na Jamajce nieszczęścia, za takiego nie uważa zabitego Gordona, ale gubernatora Eyre. O nim właśnie wyraża się w ten sposób: „Oddaję panu Eyre należną słuszność za wielką jego energię i działalność, jakiej dał niezaprzeczone dowody przy uśmierzeniu powstania Czarnych; atoli uznanie moje zasług pana Eyre jest takie, jakie należy człowiekowi, który napełniwszy prochem dom cudzy, zapala go, następnie takowy rozwała z gruntu, ażeby czasem nie wyleciał w powietrze.”

W miesiącu marcu roku 1862, p. Eyre objął zastępstwo zarządu wyspy podczas nieobecności p. Darling, który był namiestnikiem. Zarząd tego ostatniego zadawałniał poprzednio wszystkich i pożądana przez długi czas panowała spokojność. Tymczasem po objęciu władzy przez p. Eyre, nie upłynęło i pół roku, a już wszystkie warstwy społeczeństwa na wyspie szczerze znienawidziły nowego zarządcę. Pomimo to z zastępcy zamianowano go na rzeczywistego namiestnika. Odtąd datuje się szereg błędów jakie popełnił, i tym sposobem obruszył przeciwko sobie wszystkich białych mieszkańców Jamajki tak dalece, że ci zapomnieli chwilowo tylko o swój nienawiści jaką pałali do nowego namiestnika, wtedy dopiero, gdy Murzyni groźny rokosh podnieśli, zagrażając wytepieniem białych. Z ogółu mieszkańców zaledwie kilkanaście rodzin możniejszych stało z początku po stronie Eyre, a były to właśnie te rodziny, które używały jego wpływu i władzy dla dopięcia swych widoków i celów. P. Eyre mając w ręku władzę, wszelkie i potrzebne ku zachowaniu porządku środki, mógł był z łatwością utrzymać na wyspie pożądaną spokojność, mógł był i powinien zapobiedz tworzeniu się nieprzyjaznych sobie stronnictw i przeszkodzić wzajemnemu



ich ścieraniu się, a godząc liczne poważniejszych spory i różne miejscowe interesa, mógł być nareszcie zazęgnąć nieunikniony już potem wybuch otwartego rokoszu murzynów. Wszakże p. Eyre nie uczynił, ale raczej używał takich środków, które tylko zdolne były rozniecić pożar zamiast płomienie jego ugasić. Tak szkodliwego i zgubnego ogólnym interesom kraju postępowania, autor przypisuje nie tyle złym chęciom Eyre, ile nieudolności jego i brakowi obezuania się dokładnie z miejscowymi stosunkami. O Gordonie, ukaranym śmiercią na mocy wyroku sądowego, wyraża się Price z wielkiem pożanowaniem, chociaż dawniej stanowczym był jego przeciwnikiem, różniąc się z nim wielce pod względem wiary politycznej. Zadaniem tego autora ideje filantropijno-polityczne Gordona i jego stronników, zwanych Babtystami nie odpowiadały bynajmniej niskiemu stopniowi ukształcenia, na jakim jeszcze stali murzyni. Nakoniec p. Price stawając w obronie nieszczęśliwych czarnych mieszkańców wyspy, odpiera wymownie i gruntownie zarzuty, z jakimi przeciw nim zazwyczaj występują coraz rzadsi zwolennicy niewolnictwa.

---

*Calendar of State papers, domestic series, 1635—1636, edited by John Brace (Longman and Co).*

Świeżo wyszedł w Lipsku u A. Dürr zbiór ciekawych dokumentów, czerpanych w publicznych archiwach, a odnoszących się głównie do ważnej epoki dziejów angielskich, nadewszystko zaś do pamiętnych w historii rozruchów za Karola Igo. Dzieło to podaje wiele ważnych i zajmujących szczegółów do wielkiego obrazu, jaki znany nam jest z przewrotu politycznego, który wówczas nastąpił. Między innemi, dowiadujemy się o nadzwyczajnem w owe czasy przeciążeniu krajów Wielkiej Brytanii podatkami, co właśnie stało się nareszcie jedną z główniejszych przyczyn nieszczęścia, jakiemu uległ Karol I, który wicznie potrzebując pieniędzy nie cofał się przed żadnemi środkami gwałtownemi. Okrom innych faktów ciekawych, czytamy następujące autentyczne zdarzenie.

Wtrącono do więzienia biedną niewiastę Esterę Rogers za to, że nie była w stanie uiścić zaległego od niej podatku, w ilości trzech funtów szterlingów. Była to właśnie wdowa po nadwornym jubilerze, któremu od króla od dawna należało się 3,248 f. szt. za rozmaite klejnoty wzięte na kredyt. Dostawcy ryb, drobiu i t. p.,

a nawet lokaje i niańki nie odbierali od wielu lat pieniędzy, jakie im się u dworu należały. Ztąd też podówczas, było rzeczą nader zwyczajną, że wierzyciele dworu królewskiego, w zamian przypadającej im należności, mieli udzielane sobie przywileje czyli swobody na rozmaity monopol. I tak, mamka dworska, w miejsce zasług od dawna niezapłaconych, otrzymała przywilój na wyłączną sprzedaż pończoch jedwabnych. Na dworze panowało największe zepsucie i marnotrawstwo; myślano jedynie o zabawach i rozpuszcie. Nic też dziwnego, że przy takim usposobieniu dworu, o ważnych sprawach kraju zapomniano; aż wreszcie wielki społeczno-polityczny przewrót na inne tory Anglię nagle wprowadził.

---

*Józef Mery,*

Dnia 17 czerwca r. b. zakończył życie w Paryżu słynny pisarz francuzki. Józef Mery urodził się 21 stycznia 1796 roku w Marsylii i tam ukończył swoje nauki. Jako żarliwy bonapartysta, przybył w roku 1824 do Paryża, z silnym postanowieniem poświęcenia się wyłącznie literaturze pięknej, do której nieprzewyciężony czuł pociąg od pierwszej swojej młodości. Zaprzyjaźnił się wkrótce z Armandem Carrel'em, Wiktorem Hugo'nem, a nadewszystko też z Barthelemy'm. W roku 1826, obadwaj pocii tak pokrewni duchem, napisali razem i ogłosili drukiem dwie satyry pod tytułem: *les Sidiennes*, oraz *la Villéliade*, za które paryzki księgarz zapłacił im 25,000 franków. Pierwsze te literackie próby nie mały wkrótce zjednały rozgłos tym młodym pisarzom. Połączonemi siłami, w późniejszym nieco czasie, napisali oni *Napoléon en Egypte* i wiele innych tego rodzaju wykonali prac literacko-tendencyjnych, które częścią pośrednio, częścią bezpośrednio wymierzone były przeciw ówczasowemu rządowi we Francyi. Kiedy nastąpiła rewolucya lutowa, Mery pochwycił także za broń, a następnie otrzymane w stolicy Francyi zwycięstwo opiewał wierszem: *l'Insurrection* i hymnem *la Tricolore*, do których to utworów poetycznych sławny kompozytor Halevy piękną napisał muzykę. Następnego roku po ustaleniu się nowego rządu we Francyi, Mery wspólnie z przyjaciелеm swoim Barthelemy'm, zaczął wydawać nowy dziennik pod tytułem: *la Nemesis*, który atoli wkrótce przestał wychodzić, gdyż dwaj redaktorowie nie byli w stanie złożyć wymaganéj przez obowiązujące prawo kaucyi 100,000 franków. Po zwinięciu tego literacko-

politycznego dziennika, Mery przedsięwziął podróż do Włoch, gdzie właśnie podówczas bawiła królowa Hortensya wraz z swoją rodziną. Nasz poeta powieścią swoją pod tytułem: *le Bonnet vert* zaszczytne pozyskał imię jako prozaik. Z podróży swojej po Włoszech, Mery przywiózł do rodzinnego kraju mnóstwo ciekawych materyałów, których niebawem użył do napisania wielu zajmujących romansów i powieści, jak naprzykład: *Scènes de la vie italienne, Vandyk au palais Brignola, les Adeptes de l'immoralité, l'Âme transmise, la Comtesse Hortensia, Saint-Pierre de Rome, la Luive au Vatican.*

Jako owoc wycieczki do Anglii, Mery wydał swoje: *Nuits de Londres*. Prócz tego utalentowany ten i płodny pisarz, chociaż nigdy nie był w Indyach ani w Chinach, kraje te nader zajmująco opisywał w powieściach ogłoszonych drukiem p. n. *Héra la Guerre du Nizam, la Floride, oraz Anglais et Chinois* i t. d.

Życie towarzyskie Paryża z wybitnymi jego cechami zwyczajów i obyczajów miejscowych, Mery z niepospolitym darem spostrzegania i wytwornego stylu, skreślił w pismach jak: *la Circé de Paris, un Mariage de Paris, le Carnaval de Paris, Salons et Souterrains de Paris.*

Mery nie małe także dał dowody literackiej działalności w dziedzinie sztuki dramatycznej, napisał wierszem komedią p. t. *l'Univers et la maison*, wodewil: *le Mari eutuvé*, jak również następujące dramata: *le vrai Club des femmes, la Bataille de Toulouse, Guzman le brave, oraz Frère et Seur.*

W roku 1853 wydał na widok publiczny swoje *Mémoires politiques*, nawet przy schyłku życia występował jeszcze z rozmaitemi hymnami i kantatami na imieniny cesarza Napoleona i inno tego rodzaju dworskie uroczystości. W roku 1837 otrzymał Mery, którego słusznie po części uważano w Paryżu, za nadwornego poetę, krzyż Legii honorowej. Utalentowany ten pisarz, pomimo powodzenia swego literackiego i dobrego uważania na dworze cesarskim, umarł bardzo ubogim.

---

We wrześniu 1866 roku zakończyła życie z powszechnym żalem ziomek swoich utalentowana literatka Teressa z domu Walter *Pulszky*, zaślubiona w roku 1845 znanemu zaszczytnie z prac umysłowych wychodcy węgierskiemu Franciszkowi Aureliuszowi *Pulszky'emu*. Urodziła się w Wiedniu w roku 1815;

córka zamożnych rodziców, odebrała nader staranne wychowanie i wkrótce zwróciła powszechną na siebie uwagę wszechstronnem wykształceniem. Wcześniej się poznać dała z niepospolitych zdolności umysłowych a zarazem z pióra swojego, którym z wielkim talentem władała. Początkowo wspólnie z mężem swoim, pracowała nad obszernem dziełem wydanem w języku angielskim, pod tytułem: *Tales and Traditions of Hungary*, jak również nad ciekawym opisem podróży odbytej w Ameryce, p. n. *White, Red, Black*. Sama zaś napisała zajmujące pamiętniki p. t. *Memoirs of a Hungarian Lady*.

## KORRESPONDENCYA.

*Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

**W** poszycie majowym r. b Biblioteki Warszawskiej znajduję doniesienie o zawiązującym się we Lwowie Towarzystwie Sztuk Pięknych, przytóm wspomnienie, że już istnieje od lat wielu podobne Towarzystwo w Krakowie, „które z początku licząc 6000 członków.... obecnie w skutek rozmaitych okoliczności, liczba członków zmniejszyła się do 2600 i zaledwo utrzymać się może.”

Podanie to winienem sprostować w ten sposób, że nigdy Towarzystwo Krakowskie Sztuk Pięknych nie doszło do 6000 członków; najwięcej ich miało w r. 1863, bo 2800: odtąd się liczba ich zmniejszała w skutek różnych okoliczności, ale nie do tego stopnia, by ledwo utrzymać się mogło. Bezwątpienia założenie nowego Towarzystwa w kraju ubogim w zasoby materialne i artystyczne zaszkodziłoby sztuce rozdawającej środki, ale spodziewać się należy, że znajdzie się sposób połączenia obu, by sobie nawzajem nie szkodzić, a raczej wspierać się wzajemnie.

*J. Fr. Kolosowski.*

p. o. sekretarza Tow. Przyj. Szt. Piękn. Krakowskiego.

Kraków dnia 22 czerwca 1867 r.

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

—  
WARSZAWA.

*Lipiec. 1867 r.*— W dniu 12 lipca w auli Szkoły Głównej odbyła się obrona rozprawy p. *Karola Estrejcher* profesora-adjunkta Szkoły Głównej, napisanej przezeń celem otrzymania stopnia Dra filozofii. Tytuł rozprawy p. Estrejchera był: *Günter Zainer i Świętopelk Fiol* (nazwiska dwóch najdawniejszych drukarzy krakowskich). Oponentami wyznaczeni byli przez wydział filozoficzny profesorowie *Lewestam* i *Tyszyński*. Ponieważ dyskusya dotyczyła jednej z najeikawszych naszych kwestyi bibliograficznych, dotąd ostatecznie nierozjaśnionej, przeto przytaczamy tu pokrótce jój przebieg. Prof. Lewestam skreśliwszy w prologu charakter pracy autora, której zarzucił brak foremnego wykładu, lecz przyznał naukowe zalety, poszczególnił następnie: iż głównym celem jój było dowieść iż edycya sławnego dzieła *Turrekrematy* z wieku XV *Explanatio in psalterium* z napisem *Impressu Cracis* była drukowaną w Krakowie, iż drukowaną była nie, jak twierdził *Zapf* i nasi historycy literatury, w r. 1465, ale r. 1474, i wreszcie: że drukarzem jój nie był jak twierdzą ciż sami, *Günter Zajner*, sławny następnie drukarz augsburski.—Prof. Lewestam twierdził iż *Cracis* mylnie jest brana za *Kraków*, Kraków bowiem pisano zawsze *Cracovia*, i na poparcie zdania przytoczył oryginalne słowa *Zapfa*, (za którym głównie w tej rzeczy poszli nasi bibliografowie), któremi tenże wyzywał przeciwników aby udowodnili jakie inne miejsce mogło oznaczać *Cracis*? a słowa te przostają wskazówką iż sam w zupełności nie ufał swemu wykładowi. P. Estrejcher w odpowiedzi na ten zarzut wyraził iż Kraków w XV wieku pisano nie tylko *Cracovia*, ale *Croc Croca* i t. p. odczytał z abecadlowego spisu miast, w których były drukarnie wszystkie miejsca zaczynające się od *Cr* i *Gr*, z których żadne nie przypadało bliżej do *Cracis*; zwrócił uwagę iż pierwsi którzy czytali *Cracis* Kraków byli to nie nasi bibliografowie ale Niemieccy: *Denis*, *Zapf* i inni, i wreszcie na tę nader znaczącą okoliczność, iż kiedy dwa zaledwo znane są egzemplarze tej edycyi w innych krajach Europy, w Polsce jest ich dotąd więcej 20; opponent oświadczył iż zdania swego jednak nie zmienia a ztąd nieprzywiązuje wagi do następujących. Z kolei prof. Tyszyński wychodząc przeciwnie z przyznawania *Cracis* za *Kraków* znajdował, iż byłoby bezpotrzebną stratą dla sławy bibliografii krajowej ujmować dla zabytku jój pierwszych czasów drukarskich lat 10, i nazwisko tak głośnego

drukarza jak Zainer. Przytaczał więc po kolei wszystkie główne zarzuty autora w tej rzeczy i wykazywał że te nie są dostatecznie przekonujące. Tak, na zarzut autora iż *Torquemada* który miał w Rzymie własną drukarnię nie posyłałby rękopismu na daleką Północ, opponent zwrócił uwagę iż poczynając od naukowej korespondencji *Piusa II* (któremu dedykowaną jest *Explanatio*) ze Zbigniewem *Oleśnickim* nader liczne były w owych czasach stosunki naukowe Krakowa z Rzymem, iż Kraków w którym w XV wieku kwitła akademia był jednym z miast europejskich, w których najczęściej wtedy kwitła czynność naukowa, i że w r. 1465 *Torquemada* nie miał jeszcze drukarni. Na zarzut iż *Torquemada* ujrzawszy wydanie swjej pracy tak pełne błędów pośpieszyłby z uczynieniem nowego pod swoim okiem, opponent zwrócił uwagę iż sam autor w dalszym ciągu swjej pracy wzmiankuje że *Torquemada* w r. 1467 sprowadził do Rzymu drukarza *Hahna* i poruczył mu wydanie *Explanatii*, która wyszła tamże w r. 1470. Na zarzut: iż gdyby *Explanatio* było wydane w r. 1465, tedy dzieło takiej podówczas sławy miałoby i więcej wydań ówczesnych, kiedy tymczasem dopiero od r. 1470 okazuje się nieprzerwany szereg 30 jego wydań, które się ukazywały corok i 2 razy do roku. Opponent przytoczył przykłady: iż w dziełach naukowości nieraz dzieło przeznaczone do wielkiej następuie wziętości, spoczywało zrazu lat kilka bez wszelkiego rozgłosu, i zarazem zwrócił uwagę iż z liczby owych 30-tu wydań 7 jest bez daty, że więc mogły być z lat pomiędzy 1465 i 1470 rokiem, i wreszcie wnioskował iż to wydanie krakowskie tak pełne błędów, nie mające liczbowań kart, kustoszów i t. p. przez to samo ma cechy większej starożytności, gdy od lat 1470 i 1471 już się ukazali korektorowie przy drukarniach, liczbowania, reklamy i t. p. a nadto było bez daty, a autor nie udowodnił żadnym szczegółowym przekładem swego twierdzenia, iż niekiedy edycye bez daty były późniejsze niż edycye z datą. Co do drukarzy opponent wyraził iż bibliograf który najczęściej dał dowodów znajomości typów Zainera był właśnie *Zapf* i że tenże właśnie *Zapf* utrzymywał iż edycyę o której mowa drukował Zainer, przy czem zwrócił uwagę iż sam autor rozprawy dla udowodnienia świeższej daty edycyi krakowskiej *Turrekrematy* dowodził: iż typy jej więcej już były starte niż w wydaniu *Zainerowskiem* z r. 1472 *Tomasza a Kempisa* a tém samym wyznawał iż ma je za pochodzące z tejsze officyny, zatem Zainera. Co do druku *Fiola* który na wydrukowanej w r. 1491 pierwszej książce słowiańskiej: *Oktoich* położył podpis: iż księga ta drukowana w Krakowie krakowskim mieszczaninom, *Szwantopelkom Fiol iz Niemiec niemieckaho rodu Frank* i ztąd jednogłośnie przez wszystkich mianym był dotąd za Niemca pochodzącego z Frankonii, p. *Estreicher* rozwinął tezę, iż gdy podpis ten jest w narzeczu maoruskiem a narzecze to używa przyimek z za iz, a nawet na tejsze karcie u góry jest wyrażone S. V. (*Swejbold Viel*) z Krakowa nie zaś iz Kra-

*kowa*, przeto ów często przytaczany podpis czytać właściwie należy iż Oktoich drukował mieszczaniu krakowski Fiol i z Niemiec niemieckiego rodu Frank. Prof. Tyszyński po przytoczeniu tego twierdzenia wyraził: iż nie ma nic przeciw odczytywaniu w ten sposób podpisu, lecz gdyby Frank miał oznaczać drugiego drukarza albo wydawcę, tedy byłoby napisane *Frankom* jak jest *Szwantopelkom* Fiol. Doktorant zwrócił uwagę iż imiona rodowe snąc nie podlegały odmianom gdy i nazwisko Fiol jest bez zmiany. Prof. *Papłowski* (obecny tej dyskusji) zarzucił doktorantowi nie zupełnie wierne odbicie podobizny z Fiola i mieszanie w wykładach narzeczy ruskich, dodał jednak że co do odczytania głównego miejsca o które chodzi podzielał w zupełności zdanie autora i zwrócił uwagę na jego w tym względzie zasługę. Nadmienić w końcu wypada że z powodu zarzutu drugiego oponenta, doktorant bronił jeszcze twierdzenia: iż nie Niemcy ale Holendrzy byli pierwszymi wynalazcami ruchomych typów a zatem sztuki drukarskiej, powołując się na najstarsze druki *Donatów* i *Speculum* wykonane w Hollandyi. Po zamknięciu dyskusji wydział po krótkiej naradzie przyznał p. Karolowi *Bstrejcherowi* jednogłośnie stopień o który się ubiegał.

— Nazajutrz d. 13 t. m. w tejże auli po wręczeniu przez dostojnego Rektora Szkoły Głównej J. Mianowskiego świadectwa na otrzymany medal złoty p. Gosiewskiemu studentowi kursu IV przyznany mu przez fakultet matematyczno-fizyczny za napisaną rozprawę konkursową w przedmiocie czystej matematyki, odbyła się druga doktoryzacja p. Władysława Zajączkowskiego adjunkta wydziału matematyczno-fizycznego, który bronił rozprawy wydanej p. n. „*Teorya równań różniczkowych o cząstkowych pochodnych pierwszego rzędu.*” Oponentami zaproszonymi byli Dr. fil. Augustyn *Frączkiewicz*. Mag. fil. professor nadz. Tytus *Babeżyński*, i prof. *Kwietniewski*. Nadto, przyjął udział w dyskusji p. *Balukiewicz* b. student Szkoły Głównej Warszawskiej, na którego zarzuty odpowiedział zamiast doktoranta prof. *Frączkiewicz*: po czem wydział udzielił stopień doktora filozofii p. Władysławowi *Zajączkowskiemu*.

— Zapowiedziano przez nas w Zeszytcie Majowym r. b. ważne wydawnictwo: *Biblioteki Umiejętności Lekarskich* już się spełnia stosownie do ogłoszonego prospektu. Do N. 2 z d. 13 Lipca rb. dla prenumeratorów dołączyła Redakcyja Gazety Lekarskiej arkusz pierwszy: *Otiatryi i Psychiatryi*.

— *Encyklopedyi Powszechnej* rozpoczął się druk tomu XXVI od sylaby *Wie*. Do dokończenia całości pozostają tylko litery, oprócz *W*, *X* i *Y* w rozmiarach drobne i większa litera *Z*. W tym więc roku w ciągu niespełna kilku miesięcy ukończone zostanie ogromne to dzieło.

— W Poznaniu nakładem ks. *Barzyńskiego* wyszedł: „*Psalterz Dawidowy przekładu Jana Kochanowskiego,*” przedruk ten wysokiej wartości ściśle zastosowany został do najdawniejszej edy-

cyi drugiej wydanej około r. 1577, a zatem jeszcze za życia autora. Wydawnictwem zajmował się L. Rzepecki nauczyciel, i spełnił je z sumienną troskliwością.

— Karol Forster znany z wielu prac literackich, obecnie ogłosił prospekt na dzieło p. n. *Studia nad człowiekiem* R. V. de Latena które przełożył na język polski, z dodaniem własnej przedmowy.

— Zarządzający Szkołą weterynaryjną w Warszawie i professor weterynaryi w Szkole Głównej, Piotr Seifman, wydał rozprawę: „O wściekliwości psów.”

— Nakładem księgarza Józefa Kaufmana zaczęła wychodzić *Biblioteczka kieszonkowa*: pierwszą jej część stanowi wydana powiastka J. K. Turskiego p. n. *List zabójczy*.

— W Poznaniu nakładem L. Merzbacha wyszła J. I. Kraszewskiego: „Ciepła wdówka. Komedia kontuszowa w trzech aktach wierszem.”

— Józef Szujski napisał pięć aktowy dramat p. n. *Halska z Ostroga*, który przedstawiła truppa Krakowska w Poznaniu bawiąca.

— Professor Szkoły Głównej Warszawskiej Dr. fil. Zygmunt Węclewski, wydał własnym nakładem dzieło p. n. „Historia literatury Greckiej.” (Str. VIII, 289, w 12-cc).

— Alexander Przędziecki, obszerne dzieło swoje: *Historia Jagiellonek* w zupełności ukończył i przygotował do druku. Owoc to długich i mozolnych badań i poszukiwań, które autor uzupełniał, umyślnie przedsiębranemi wycieczkami naukowemi za granicę, w celu zebrania wszelkich zabytków, mogących przedmiot ten tyle zajmujący dzieje nasze dokładniej wyjaśnić. Zdobić to dzieło będzie jedenaście portretów Jagiellonek fotograficznych. Znakomite zbiory swoje uczony nasz badacz pomnożył pieczęcią Leszka Czarnego dobrze zachowaną, oraz wybornie zachowanym starożytnym hełmem, znalezionym w okolicach Kalisza.

— W N. 408 Tygodnika Ilustrowanego znajdujemy ciekawą wiadomość podaną przez Dra. filozofii Karola Estrejehera o dwóch powieściach Mickiewicza, nieznanych ogółowi i nieznajdujących się w żadnym zbiorze pism tego poety. „Kiedy Wiktor Baworowski tłumacz Bajroua (mówi p. Estrejcher) pytał Mickiewicza o Grażynę, otrzymał odpowiedź, iż powieść ta jest to studyum oparte na dawnych autorach, a które przedłożono professorowi z żartu jako rękopis starożytny nowo odkryty. Odpowiedź ta nasuwała domysł, iż Grażyna obmyślona była jeszcze w latach studiów uniwersyteckich, atoli napisaną zastała w Kownie w roku 1821. Poematu bohaterką w pierwotnym planie była *Karyna*, później przerobiona na Grażynę. Znany orientalista, Dziekan Wydziału filologicznego Szkoły Głównej Warszawskiej J. Kowalewski, przyjaciel z lat młodości poety, opowiadał mi, iż Mickiewicz napisał powieść, ale prozą. W niej naśladował styl pisarzy



szesnastego stulecia i tę pracę zakomunikowano profesorowi Leonowi Borowskiemu, który poznawszy się na wartości utworu, wziął go, poprawił wyrażenia starodawne, i umieścił pracę młodzieńca w jednym z pism Wileńskich." P. Estrejcher, dalej wskazuje dwie powieści Mickiewicza, gdzie były drukowane: pierwsza p. n. *Żywila z dziejów litewskich*, wyjątek ze starożytnych rękopisów polskich z podpisem S. F. Ż. w Tygodniku Wileńskim 1819 roku w N. 133; druga p. n. *Karylla* powieść Litewska w témże samém piśmie i tegoż roku w N. 139. Treść obu mamy podaną przez autora tego artykułu. Wspomnieć tu winniśmy że pierwotny autograf Mickiewicza Grażyny, posiada w swój założeń bibliotece Alexander Przedzdiecki.

— W roku 1816 wyszła broszura w Warszawie p. n. „List Barnaweta do Trumana swego przyjaciela pisany z więzienia. Oryginał angielski z francuzkiego przełożony przez ś. p. Jakóba Jasińskiego generała inżynierii w byłém wojsku litewskiem.” Broszura ta przez S. Jabłońskiego wydana przypisaną została ówczesnemu namiestnikowi królewskiemu generałowi J. Zajęczkowi, a współtowarzyszowi broni poległego autora. Mamy jej osobliwy przedruk przez zgasłego zawezesnie zasłużonego pracownika ś. p. księdza Gizewiusza, gotyckim drukiem, p. n. *Pokuta dwóch zabójców, to jest list Zbójnickiego przez Jakóba Jasińskiego i pieśń o Ewie Turkowej przez X. Aleksjusza, przejrzał i na nowo wydał X. G. Gizewiusz. W Holstynie i Holstynku wytłoczył i sprzedaje Harych*, (w 12-ce, str. 19 oprócz karty tytułowej). Wydanie to przeznaczone dla ludu polskiego w Starych Prusach, oprócz gotyckiego druku, jako używanego w tych stronach, opatrzone zostało przypisami, objaśniającemi niektóre wyrazy mniej dla tegoż ludu zrozumiałe. W tym przedruku Barnawet przezwany został *Zbójnickim*, a Truman, Gustawem. Zresztą przedruk wierny, wyjąwszy dwóch ostatnich wierszy. Jasiński tak kończy swój list:

„Mój przykład niech ci będzie w twém życiu modelem,  
Ja umrę dość szczęśliwy, bo twym przyjacielem.”

G. Gizewiusz przerobił w ten sposób:

„Mój przykład niech ci będzie nauką w żywocie,  
Jedynie ten szczęśliwy, kto tu wierny cnoćcie.”

Zamyka to wydanie pieśń p. n. „*Gorzkie żale ubogiej grzeszniczcy Ewy Turkowej rodzonej Cybulszczanki z Burdąga, w Jedwabieńskiej parafii, która z przyczyny otrucia własnego małżonka, mieczem stracona została na dniu 27 maja 1791 roku. Pieśń wydana przez wielbnego księdza Jana Wilhelma Alekcyusza w Niborku. Na nutę: „Boże mój racz się nademną zmiłować.”* Złożona z 27 strof czterowierszowych.

— W Lipsku w Gazecie Teatralnej i Muzycznej, p. Trocki ogłosił rozprawę o operze polskiej, która wyszła także po niemie-

cku w oddzielnej broszurze. Treść jej opiera na dziele Maurycego Karassowskiego i zapiskach L. A. Dmuszewskiego. Przechodzi od najdawniejszych czasów, to jest od pierwszej polskiej oryginalnej opery: *Nędza uszczęśliwiona* Macieja Kamińskiego aż do obecnej chwili. P. Trocki zarzuca kompozytorom i smakowi narodowemu, że muzykę chciałby mieć wyłącznie polską, kiedy powinny niemi powodować i kierować wyżej.

— *Gazeta Warszawska* pisze w Nr. 150 r. b., że najnowsza statystyka zakładów naukowych w monarchii pruskiej podaje, że W. X. Poznańskie liczy obecnie dziewięć gimnazyów i jedno progimnazjum w Pile. Z tych dwa są katolickie w Poznaniu i Ostrowie: trzy mieszane: w Inowrocławiu, Szremie i Gnieźnie: cztery ewangelickie: w Poznaniu, Bydgoszczy, Lesznie i Krotoszynie.

— *Przegląd Tygodniowy* Adama Wislickiego podaje wiadomości, że we Lwowie: *Przyjaciel Ludowy* w Nr. 10 z r. b., zamieścił pracę biskupa Załuskiego: „Ostatnie dni Jana III króla polskiego, z rękopisów biblioteki puławskiej; oraz iż w czasopiśmie Krocakiom poświęconem zabawie i nauce, wychodzącem w Zagrzebiu p. n. „Drogoljub, zabawian i pouczan list,” pod redakcją Giuro Dezelica w N. 6 z r. b. jest przekład gawędy K. Wł. Wojcickiego: „*Straszny Dwór.*”

— Towarzystwo Naukowe Krakowskie ogłosiło zawiadomienie o fundacyi naukowej ś. p. księcia Jerzego Romana Lubomirskiego, z której otrzymawszy już fundusze potrzebne, przeznacza w myśl testamentu wspaniałego dawcy trzy pierwsze nagrody, które przyznane zostaną za dzieła ogłoszone w ciągu bieżącego pięcioletcia, to jest poczynając od roku 1865 po rok 1869 włącznie. Z tych trzech nagród pierwsza wynosi 1,500 złotych reńskich, druga 1,000, a trzecia 500. Obdarowany nie zaciąga z tego tytułu żadnego obowiązku względem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, którego jedynie byłoby życzeniem, ażeby autorowie mogący mieć prawo do nagrody, dzieła swoje rychło po wydaniu nadsyłać mu raczyli. Autorowie, którzyby pragnęli dzieła swoje mieć wydane nakładem pomienionej fundacyi, przed nadesłaniem Towarzystwu Nauk. Krak. swoich rękopisów, zawiadomić je raczą o treści i obszerności zamierzonej pracy.

— *Poznań.* Teatr krakowski rozpoczął z d. 27 maja szereg przedstawień. Role główną w komedyi p. n. *Panie Kochanku* księcia Karola Radziwiłła, przedstawił artysta Rapaeki, którego wizerunek wraz z charakterystycznymi kilkoma rolami podały *Kłosa*, z życiorysem przez Józefa Szujskiego. Przyjęcia doznał bardzo pochlebnego, a gra jak charakteryzacya pokazały że jest to artysta studyujący swoje role naukowo, i wpatrujący się głębiej w trudne zadanie myślącego aktora. Przyszła tu wiadomość że Fredro oceniając znakomity talent pani Modrzejewskiej, która w trupie artystów krakowskich tak świetnie się odznacza, a byłaby chluba każdej sceny, napisał komedya, która ma być u nas najpierw grana, ale nie wiemy czy to dotyczy Alexandra Fredry (ojca) czy syna.

## Korrespondencya.

---

Artykuł pod napisem: *O Jednym rozdziale do przyszlęj księgi przysłów polskich, odezwa autora z godłem: Habent et sua fata libelli*, mający być odpowiedzią na artykuł p. A. Nowosielskiego umieszczony w Bibliotece Warszawskiej, nie może być drukowany z powodu nie dosyć przyzwoitego tonu. Autorowi pozostawia się wszelka wolność postąpienia z pomieionym artykułem według swego uznania.

— Artykuł p. n. *Próbka pierwotnego języka Indo-europejskiego*, dla niedostatecznego rozwinięcia przedmiotu, drukowanym nie będzie.

---

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

---

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wolno drukować. — Warszawa, dnia 17 (23) Lipca 1857 r.  
Cenzor, J. Błeszczyński.

**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**  
**w Obserwatoryum Astronomiczném**  
**WARSZAWSKIÉM.**

***Czerwiec, 1867.***

Czerwiec, 1867.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich  
długość w czasie 1<sup>h</sup>14<sup>m</sup>45<sup>s</sup>,7 czyli w łuku 18°41'25",5

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stusstopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		750.63	752.50	753.37	755.02	752.880	+16°.1	+19°.0	+21°.8	+15°.9	+18°.20
2	☉	754.77	754.24	752.10	750.65	752.940	15.4	20.6	25.8	19.8	20.40
3	Perig.	751.34	751.47	750.29	749.98	750.770	14.7	19.6	23.7	18.1	19.00
4		747.21	747.22	745.65	746.63	746.678	15.5	19.6	23.3	17.9	19.08
5		749.21	750.78	751.70	752.50	751.048	15.3	17.1	19.6	14.4	16.60
6		752.69	752.54	750.62	749.54	751.318	15.6	21.3	24.7	17.0	19.65
7		747.45	747.14	746.67	746.60	746.965	17.7	25.6	27.4	19.0	22.43
8		744.12	744.76	744.97	747.60	745.363	17.1	17.9	21.0	16.3	18.08
9	☾	751.95	752.81	752.19	752.68	752.408	10.9	13.1	16.1	12.1	13.05
10	Równ.	753.88	754.45	754.45	754.84	754.405	11.6	14.8	15.9	12.1	13.60
11		751.96	751.41	753.36	754.54	752.818	12.3	16.3	15.7	11.9	14.05
12		757.22	757.74	756.67	755.69	756.830	8.0	11.8	15.2	9.8	11.20
13		751.86	749.03	743.76	744.48	747.283	9.6	16.2	17.6	12.5	13.98
14		745.29	745.26	744.95	744.71	745.053	12.7	15.6	16.1	12.5	14.23
15		743.19	742.33	741.43	741.56	742.153	12.5	17.5	18.3	12.7	15.25
16		738.51	738.43	744.02	745.78	741.685	11.6	14.0	11.8	9.2	11.65
17	☉	747.88	748.71	748.75	749.27	748.653	11.2	14.9	16.9	13.0	14.00
18	Apog.	749.22	748.81	748.09	748.21	748.583	12.7	15.4	15.7	12.6	14.10
19		748.05	747.88	747.62	747.74	747.818	9.2	11.9	11.5	8.3	10.23
20		748.05	748.39	748.64	748.76	748.460	9.1	11.0	12.9	11.2	11.05
21		749.22	749.67	750.04	749.89	749.705	10.5	11.8	15.1	13.3	12.68
22		750.71	750.78	749.86	750.15	750.375	14.4	20.0	25.3	18.6	19.58
23		749.30	748.24	746.55	747.12	747.803	17.9	23.2	25.9	19.2	21.55
24		746.06	745.39	743.61	743.95	744.753	17.2	22.8	25.7	17.3	20.75
25	☾	742.90	743.48	743.90	746.04	744.080	16.1	18.4	22.4	17.3	18.55
26	Równ.	747.70	748.73	748.62	750.48	748.883	15.4	16.8	20.3	15.5	17.00
27		752.58	753.46	752.46	752.95	752.863	13.3	16.1	23.8	16.2	17.35
28		751.65	750.38	747.41	747.92	749.340	11.0	17.3	20.6	14.2	15.78
29		748.42	748.87	749.21	750.81	749.328	10.6	14.1	15.6	10.8	12.78
30		750.49	750.04	749.04	748.53	749.525	10.8	15.0	15.7	13.5	13.75
Śr.		749.117	749.165	748.667	749.157	749.026	+13°.20	+16°.96	+19°.38	+14°.41	+15.99

w Obserwatorium Astronomicznym Warszawskim.

Nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",  
na wschód względem południka paryzkiego.

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wo- dy co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiśle	
	6	10	4	10	6	10	4	10	dész.	śnie- gu	dot.	całk.
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.			na m.	p.
58.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn1.	PnZ1.	Pn1.	Pn1.			5	7
59.5	pog.z chm.	pogodny	napół pog.	pochm.	Pd1.	Z1.	PdZ1.	PdZ1.	0.1		5	2
55.9	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn1.	PnW1.	W1.	W1.			4	10
75.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW2.	PdW1.	PdW1.	PdZ1.	2.7		4	6
68.5	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PnZ1.	Z1.	Z1.	PdZ1.	1.7		4	4
62.1	pog.z chm.	pog.z chm.	pogodny	pogodny	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.			4	4
64.7	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pochm.	Pd1.	PdZ1.	Z1.	Z1.	0.1		4	3
86.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	Z1.	PdZ1.	Z1.	6.1		4	4
57.6	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	Z1.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ1.			4	5
69.9	poch.dész.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	PnZ1.	Pn1.	PnZ1.	0.4		5	2
69.5	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	PdZ1.	Z1.	PnZ1.	PnZ1.			5	
54.5	pogodny	napół pog.	pochm.	pogodny	Pn1.	Pn2.	Pn1.	Pn1.	0.8		4	9
69.6	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	PnZ1.	1.8		5	1
73.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	PdZ1.	0.5		5	6
73.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	PdW1.	PdW1.	W1.			5	
83.9	poch.dész.	poch.dész.	pochm.	pogodny	PnW1.	PnW1.	PnZ1.	PdZ1.	15.5		4	10
66.5	pogodny	napół pog.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	Pn1.	Pn1.			4	6
71.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	Pn1.	Pn1.	PnZ1.	0.4		4	5
85.2	pochm.	pochm.	pochm.	poch.dész.	PnZ2.	PnZ2.	PnZ1.	PnZ1.	3.6		4	7
90.1	pochm.	pochm.	poch.dész.	poch.dész.	PnZ2.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ2.	0.7		5	1
92.6	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	PnZ2.	PnZ1.	Pn2.	2.9		8	4
79.4	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	Pn1.	Pn1.	PnW1.	PnZ1.	0.3		9	
73.3	pogodny	pogodny	pochm.	pogodny	Pn1.	PnZ2.	PnW1.	PuW.			9	8
68.5	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	Pn1.	Pn1.	PnZ2.	PnZ2.	1.3		8	10
74.1	napół pog.	pochm.	napół pog.	pogodny	Z1.	PnZ1.	Pn1.	PnZ1.			7	10
79.2	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	PnZ2.	PnZ2.	Pn3.	1.7		7	2
80.9	poch.dész.	pochm.	pochm.	pogodny	Pn2.	PnZ1.	Pd2.	Pn2.	2.6		7	1
71.2	pogodny	pogodny	pochm.	pochm.	Pn1.	PnZ1.	Pn3.	PnZ1.			6	10
55.8	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PnZ1.	Pn2.	Pn3.	PnZ1.	1.7		6	8
67.4	pogodny	pochm.	poch.dész.	pogodny	Z1.	Z2.	Z1.	PdZ1.	0.7		6	3
71.2									45.1		5	9.3

	m.	e.	i
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.026	27	8.041
Najwyżej barometr dochodził d. 12 o g. 10 rano	757.74	27	11.903
Najniżej — — d. 16 o g. 10 rano.	738.43	27	3.342
Średnia dzienna zmiana barometru	3.134		1.389
Największa dzienna zmiana barometru d. 12—13 o godz. 4 po połud.	12.91		5.723
Średnia wysokość barometru jest większa o	0.219		0.098
od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	748.807	27	7.943
Średnia temperatura czerwca wynosi	+ 15° 99 C.	+	12° 79 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.29		1.83
Największa zmiana dzienna temperatury d. 21—22 o godz. 4 po poł.	10.2		8.2
Średnia temperatura maja jest mniejsza o	1.74		1.39
od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	+ 17.73	+	14.18
Termometrograf wskazał: Maximum: +28'8 C. = +23° 0 R. d. 7 po połud.			
Minimum: + 6.6 „ = + 5.3 „ d. 17 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 71.2 biorąc 100 za zupełne nasyce-  
nie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 9.97 gramów na jednym me-  
trze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest większa o 2.9 setnych od nor-  
malnej (68.3).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 45.1 mil. czyli 19.99 lin. par.;  
mniejsza o 19.5 mil. czyli 7.65 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas  
w czerwcu spada (64.4 mil. czyli 27.64 lin. par.).

Dni pogodnych było 3, napółpogodnych 6, pochmurnych 21.

— deszczu 20: (d. 2, 4, 5, 7, 8, 10, 12, 13, 14, 16, 18, 19, 20, 21, 22, 24, 26,  
27, 29 i 30).

— mgły 1: (d. 23).

— błyskawic i grzmotów 4: (d. 4, 24, 26, i 27).

— błyskawic bez grzmotów 4: (d. 7, 22, 24 i 26).

— wichrów 5: (d. 19, 24, 26, 27, 28).

Wiatr panujący północno-zachodni.

Czerwiec b. r. był niepogodny, wilgotny, dżdżysty i chłodny. Średnia jego tem-  
peratura 12.8 stop. R. jest o 1.4 stop. R. niższa od normalnej (14.2 stop. R.)  
a o 3.8 stop. R. jak w r. z. Do najcieplejszych należą pierwsze 7 dni miesiąca,  
jako też 4 dni od 13 do 25; pozostałe a szczególnieś środkowe dni miesiąca były  
niezwykle chłodne. Największe ciepło + 23 o stop. R. było d. 7 po południu;  
najmniejsze ciepło + 5.3 stop. R. d. 17 rano; największa zmiana dzienna tempe-  
ratury 8.2 stop. R. przypadła z d. 21 na 22. Barometr przez cały miesiąc utrzy-  
mywał się prawie tak wysoko jak w stanie normalnym i mało stan swój zmieniał;  
największa zmiana dzienna barometru 5.72 lin. par. przypadła z d. 12 na 13 o go-  
dzinie 4tej po południu. Deszcze padały często, lecz zwykle nieobficie z wyjąt-  
kiem d. 16, w którym spadło wody z deszczu co do wysokości 6.87 lin. par. czyli  
trzecia część ilości wody jaka spadła w ciągu całego miesiąca (19.99 lin. par.).  
Dni deszczu było 20 to jest o 7 więcej jak zwykle. Pod względem stanu nieba  
miesiąc ten był niepogodny, gdyż stosunek dni pogodnych, do napół pogodnych  
i pochmurnych w stanie normalnym jest jak 6.4:14.3:9.3, gdy tymczasem tenże  
stosunek w b. m. jest jak 3:6:21. Wiatr panujący północno-zachodni.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle,..... stop 5 cali 9.2 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 3..... stop 9 „ 8 „

„ „ najmniejsza „ d. 14 i 15..... stop 4 „ 3 „

## KSIĘGA SZKICÓW I FRAGMENTÓW.

# O ROZSĄDKU.

PRZEZ

*Edmunda Starwiskiego.*

---

Uwielbiany przez jednych, poniżany przez drugich, czém jest rzeczywiście rozsądek? Są tacy którzy go mają za coś rzadszego jak geniusz; inni nastają na niego gwałtownie dlatego, że go mieszają z wyiębieniem serca, z brakiem wyobraźni; dlatego że przewagę egoizmu i lenistwa kładą na jego rachunek. W takim przekształceniu rozsądek przestaje być sobą samym, a zarzut chybia celu.

Wszędzie i zawsze trzeba się strzedz pomieszania i zmącenia pojęć, bo to nieskończony szereg pomyłek za sobą prowadzi. Nie jestże główném zadaniem pracy myśli ich oczyszczenie i sprostowanie?

Nie chcemy stawać po stronie rozsądku przeciwko geniuszowi i powtarzać jakoby rodzaj pewnika, że pierwszy rzadszy jak ten ostatni. Geniusz ma swoje prawa, przywileje, urok, siłę, których mu wydrżać niepodobna i na które śmiesznie nawet byłoby się targać; w naturze jego leży nowość pojęć, potęga inicjatywy, dzielność środków. Pod tymi warunkami tylko jest czemś wyjątkowém, górującém, porywającém. Że geniusz dla wielu przedstawia się w pierwszém mianowicie zjawieniu się swoim jak coś groźnego, niebezpiecznego, burzącego, szalonego nawet — nie w tém dziwnego. Wszystko co nowe, co rusza z posad stary porządek rzeczy, co nowe widnokregi otwiera, musi razić i trwożyć ludzi zaspanych, leniwych, wygodnych, zasiedziałych. Sobkostwo czy literackie czy artystyczne,

czy społeczne, czy majątkowe, drży i chwieje się na myśl że może stracić zdobytą pozycją. Geniusz budując nowo, musi nie jedno burzyć. Gruzy są nieraz jego zaszczytem, tytułem do sławy i znaczenia. Ale kto chce poddać się bez walki? Kto chce odstąpić od swoich starych nawyknień, zwyczajów, tradycji? Kto chce opuścić swoje wygodne legowisko nie wystrzeliwszy ostatniego ładunku?

Aby przecież walczyć skutecznie na polu idei, potrzeba sztandaru. Kto odważy się wywiesić sztandar egoizmu lub lenistwa? Niepodobna. Trzeba więc skryć się za parawan zdrowego rozsądku, aby ztamtąd skutecznie się bronić, do czasu a czasem i z dobrym skutkiem, bo nie zawsze geniusz jest tém, czém się na pierwszy rzut oka zdaje; nie zawsze mieści w sobie te wszystkie warunki które mu stały tryumf zapewniają. I on ma swoje ułomności, błędy i zboczenia. Wieleżto zapędów nierozważnych, ciosów chybionych, szamotań bez skutku, nowych myśli i utworów sypiących się zaraz w gruzy! Geniusz otwiera nowe drogi i posuwa społeczność naprzód, ale nie wszystko z jego robót pozostaje, nie wszystko kiełkuje i przyjmuje się od razu. Dużo ginie jako ziarno puste lub jak siew przedczesny.

Kto przesiewa i odrzuca koniec końcem to, co nie przydatne dla wieku i społeczeństwa, a bierze to co istotnie je zbogaca? Wszyscy. Mniejsza o to na teraz, czy ten sąd zbiorowy tworzy mniejszość czy większość. Dostyc na tém że tak jest. Jeżeli jest postęp w sprawach tego świata, to ten nie może być, tylko loicznym posuwaniem się na zasadzie pewnych praw leżących w naturze rzeczy i w naturze umysłu ludzkiego. Ludziom pospolitym zdaje się że to co jest, jest ostatnim wyrazem doskonałości, bo nic po za tym lepszego dojrzec nie umieją. Geniusz odkrywa im nowe drogi, porywając za sobą wszystko czego nie uwięził nałóg, interes osobisty, lub zaślepienie. Ile więc jest prawdy w objawach geniuszu, tyle jój zostaje i tryumfuje. Przeciwno błędom i zboczeniom powstaje zdrowy rozsądek. Jest on tém w rzeczach społecznych, czém miara i waga w nauce przyrody. To co jest trwałe, gruntowne w utworach geniuszu, zgodzi się zawsze ze zdrowym rozsądkiem później lub wcześniej. Właściwie mówiąc geniusz jest tryumfem zdrowego rozsądku oświeconego i sprostowanego, bo jest tryum-



fem prawdy i postępu. Jeden i drugi w najwyższém swó-  
jém wyrażeniu mają za cechę, jasność i prostotę; jeden  
i drugi rozumiali są dla prostych i dla uczonych, dla ma-  
łych i dla wielkich. Geniusz karmi rozsądek; rozsądek przy-  
swaja pokarmy. Geniusz jest wyjątkiem i nadzwyczajnością,  
zjawia się w pewnych peryodach, a czasem w wielkich od-  
stępach; rozsądek opędzać musi codziennie potrzeby ludzi  
i społeczeństw. Sądzi on ostatecznie sprawy i dzieła geniu-  
szu. Czy dlatego jest wyższy od niego? Bynajmniej. Za-  
stąpić go nie jest w stanie: zaledwie grunt dla niego przy-  
gotowuje. Ostateczna przewaga jego w tém leży, że jest  
potęgą zbiorową, działanie jego nieustające. Postacie w któ-  
rych się zjawia geniusz są odmienne; formy i prawa rozsąd-  
ku też same.

Geniusz nie może być chyba chwilowo w sprzeczności  
ze zdrowym rozsądkiem, dopóki go nie przekona, nie pod-  
bije, na wyższe stanowisko nie wprowadzi. Może być tylko  
w walce z maską zdrowego rozsądku — hipokryzyą co jego  
pozory przybiera. Zdrowy rozsądek może tylko ze zbrocze-  
niami i błędami geniuszu walczyć. W prawdziwej czysto-  
ści swojej oba te pierwiastki ducha ludzkiego muszą być  
w zgodzie, jeżeli są rozumne i loiczne prawidła biegu rzeczy  
ludzkich, a że są, o tém już przestano wątpić.

Nie trzeba tylko powtarzamy, brać zawsze za geniusz  
zachcianek i pretensyi do genialności. Takie zachcianki  
i pretensye kompromitują sprawę geniuszu, jak demagogia  
sprawę wolności, i ciężkie zadanie przygotowują tak dla  
zdrowego rozsądku jak dla tych ludzi, którzy bystrzejszym  
wzrokiem obdarzeni, zdolni są otwierać nowe drogi, a bawić  
się muszą nie tylko nad uprzątnieniem błędów i pomyłek któ-  
re czasy poprzednie nagromadziły, ale jeszcze odpychać ze  
swój drogi ten tłum samozwańczy, co zamiast służyć praw-  
dzie i postępowi, szkodzi im i kompromituje je.

Jak sprawę geniuszu szarlatani, tak sprawę zdrowego  
rozsądku gubią egoiści. Wszystko nieomal co na naduży-  
cia i szkodę zdrowego rozsądku powiedziano, do nich wła-  
ściwie się odnosi. Oni stają w poprzek wszystkiemu co ich  
z miejsca porusza, choćby to poruszenie było nie tylko po-  
prawą rzeczy ogólnej, ale nawet warunkiem życia społeczeń-  
stwa. Jestto zastęp zacięty w oporze. Pada on i ginie pod

gruzami dawnych wyobrażeń i form, ale się nie zmienia i nie odnawia. Porusza go tylko miłość własna; rozsądkiem, tradycją, doświadczeniem posługuje się tylko jak bronią zaczepną i odporną.

Bojaźliwi i wahający kryją się pod ta samą zasłonę, ale oporu stawić nie umieją.

W czasach walk stronnictw, przeciwnych zdań, namiętności, prawda i fałsz takimi ubierają się pozorami, tak się kryje i maskować umieją, iż najbystrzejsze oko nie zawsze dostrzedz może prawdziwą istotę rzeczy na dnie utajoną. Nieraz po obu stronach prawda i fałsz mieszają się razem; namiętności rozognione wypędzają wszelką sprawiedliwość, krzyżują się obwinienia i zarzuty. Miłość i ludzkość gąśnie w sercach, prawa i tradycje są podeptane; siła fizyczna, zrećność, podstęp, pasują się ze sobą: jest to chwila zaćmienia zdrowego rozsądku. Kryje on wtenczas twarz zapłakaną i usuwa się na bok; nie masz dla niego miejsca wśród burzy namiętności; jego kolej przyjdzie później, naprawiać on musi to, co tamte zepsuły. Ale jeżeli odwraca się i ucieka od mass roznamiętnionych, biorą go na swoje usługi ci, którzy potrafili wzburzonymi żywiołami zawładnąć i pokierować. Im więcej użyją i włożą w dzieło naprawy i ulepszeń, tém dzieło to będzie trwalsze i lepsze: jeżeli wmieszają namiętność i niesprawiedliwość, dzieło nie będzie miało trwałości. Z wyżyn organizujących społeczeństw spływa każda kropla zdrowego rozsądku uspakajając wzburzone żywioły; ale jeżeli tam go nie ma, wyrabiać się musi w massie zastygającej, walczyć z niestosownymi prawami, i torować drogę dla ulepszeń organicznych: droga długa i pracowita i groźna wstrząśnieniami.

Życie społeczne nie ustaje, chociaż odmienne prądy i potęgi biorą w nim przewagę, bo życie społeczne jak życie natury i życie pojedynczego człowieka, lubo jest jednością, składa się z rozlicznych popędów, sił, układających się do równowagi lub łamiących też równowagę i tworzących pomiędzy sobą dziwne nieraz koalicje.

Wieleżto razy czujemy sami w sobie tę walkę sprzecznych, niezgodnych ze sobą elementów naszej duchowej istoty. Nie tylko złe i dobre popędy stają naprzeciw siebie: uczucie waży się z rozumem; rozum zaczyna wiarę i wcho-

dzi z nią w zatargi; poświęcenie i współczucie targają tamy które im stawia miłość własna, albo nawzajem; wyobraźnia rozpina żagle i wybiega daleko wyrывая się z pod kontroli doświadczenia i roztropności.

Nie jestże to widoczną skazówką, że w duszy naszej są niezależne od siebie potęgi, z których każda ma swój zakres działania, swoją samoistność, właściwe cele. Wszystkie zdają się odnosić do tych głównych pierwiastków; uczucia, wyobraźni, rozumu i woli. Każda działa przez siebie właściwą sobie istniejącą siłą, każda rozpromienia się na różne mniej więcej liczne rozgałęzienia, a wszystkie jednoczą się w świadomości siebie. Pierwiastki te w nierównych cyfrach wchodzą w skład jednostek. Wychowanie, przykłady, wpływy okolicznościowe, własna praca i usiłowanie, rozwija nieraz jedne więcej jak drugie, nieraz jedne ze szkodą drugich. Ztąd różnice charakterów—bo charakter jest summą tych pierwiastków. Niewątpliwie normalnym stanem człowieka jest równowaga ich. Gdzie jest równowaga tam pokój moralny, tak jak w naturze fizycznej, równowaga sił daje spoczynek: gdzie jest zgoda, tam jest siła.

Ale sama żywotność i samodzielność potęg składowych duszy, równowagę tę ustawicznie zamąca. Wypadki zewnętrzne, ludzie i rzeczy na nie oddziałują; wzbudzają lub poruszają to jedną to drugą. W tém poruszeniu wydatniejszym pojedynczych sił duszy, wychodzą na wierzch przymioty i grzechy każdéj z nich; bo niestety każda ma je swoje właściwe. Rozum, wyobraźnia, uczucie zarówno zbłąkać się mogą; wola może się stać ślepym uporem lub potężną dźwignią największych przedsięwzięć.

Natura która jest mistrzynią w wykończeniu i dokładności dzieł swoich, która cuda sztuki i rozumu rozsypuje na utwory, których oko nagie nieraz dopatrzeć nie może, miałaby rozgałęziony ustrój duszy ludzkiej porzucić rozprężeniu i anarchii? Skupić potężne pojedyncze siły, dać każdéj samodzielność, możność odbierania wrażeń na swój rachunek, kazać by żyły, działały, dopuścić aby w swobodzie swój używały i nadużywały, szły do celu i błądziły, a nie ustanowić władz oddzielnych, coby te ruchy kontrolowały, ład w nich wprowadzały i we właściwe granice je zwracały. Otóż potrzeba władzy kontrolującej, mówimy kon-

trolującej, bo każdy w tém łatwo dojrzy różnicę od władzy kierującej i rządzącej. Potrzeba jakoby sądu wewnętrznego, przed którymby każda z władz wytłumaczyć się, zdać sprawę musiała. Ten sąd jest, każdy go czuje w sobie. Stopniem tylko jego siły, trafności i ukształcenia różnymi się pomiędzy sobą.

Pochodzenie rozsądku od sądu jest widoczném. Jak um, rozdzielony na właściwe funkcyje staje się rozumem, uwaga, zastosowana do szczegółowych wypadków rozważa, liczba rozbita na części rozlicznością, tak sąd w wyrokach stosowanych do szczegółowych zadań, staje się rozsądkiem.

Nie jest więc przymiotem wyjątkowym pojedynczych ludzi jak zdaje się mniemać M. Wiszniewski, ale władzą wrodzoną każdemu jak to słusznie, uważają Jan Śniadecki i Gołuchowski. Jedni jak powiedzieliśmy posiadają go więcej, inni mniej; u jednych jest bystrzejszy i trafniejszy jak u drugich; u jednych więcej oświecony jak u drugich, a u niektórych dochodzi siłą rozmiarów nieomal geniuszu.

Każdy sądzić musi i sądzi nieustannie, w każdej chwili życia, chociaż z tego sobie sprawy nie zdaje. Każde postanowienie, każdy wybór, każdy objaw woli, jest aktem sądu czyli dziełem rozsądku. Ale jeden sądzi trafnie i zdrowo, drugi krzywo i błędnie. Sąd więc jest władzą umysłu, zdrowy rozsądek jest przymiotem osobistym.

Miałżeby rozsądek dlatego być panem samowładnym że jest sędzią? Bynajmniej. Z góry kładziemy to zastrzeżenie. Idzie nam bowiem o to, aby czytelnik ani na chwilę nie wszedł na mylne uprzedzenie iż spotkać się ma w tém piśmie z apologią rozsądku. Idzie nam tylko o to, aby przyczynić się do oczyszczenia pospolitej mowy z wyrażen mętnych i nieoznaczonych. Idzie nam tylko o to, aby usunąć niektóre ostateczności w pojęciach prowadzące do błędów i pomyłek w życiu codzienném. Chcielibyśmy tylko aby każdy z czytających nabył tego przekonania, że jeżeli czuje w sobie szlachetne i żywe uczucie miłości, poświęcenia, zapędu dla wszystkiego co piękne, dobre i prawdziwe; jeżeli gotów jest oddać życie i mienie za swoje przekonania, spotkać się z cierpieniem i ubóstwem, to zdrowy rozsądek wcale tych pięknych, podnoszących zacność natury ludzkiej

popędów, nie wyziębi i nie zabije. Z natury swojej i przeznaczenia, nie jest on wcale ich przeciwnikiem, jak to dalej zobaczymy. To co je wyziębia i niszczy, z innych powstaje pobudek; przeciwko tym ostatnim zdrowy rozsądek właściwie użyty, skuteczną może być bronią.

Chcielibyśmy nawzajem tych którzy pomiatają nauką, uczuciem, wiarą, a swoją miłość własną, prostactwo, zaspalność, obojętność lub cynizm, okrywają niewłaściwie opończą zdrowego rozsądku, rozebrać z ich fałszywego stroju i okazać we właściwej ich nagości.

Chcielibyśmy wreszcie zwrócić uwagę na to, że ani rozum sam z całą zdobytą przez niego wiedzą, ani zdrowy rozsądek sam nie zdołają zaspokoić wszystkich potrzeb, popędów i instynktów ludzi pojedynczych i społeczeństw. To przecież nie umniejsza ich wartości i zasługi, jak nie umniejsza wartości oką to, że nie widzi w ciemności, ani wartości rumaka dzielnego to, że nie ma skrzydeł.

M. Wiszniewski w charakterystyce rozsądku ma na oku typ taki, w którym rozsądek góruje i przewodniczy innym władzom: my tu przedewszystkiém mamy na uwadze równowagę władz. Nie powiemy więc z nim że rozsądek nie tak daleko sięga jak rozum, że rozsądni zaciekać się nie umieją. W zasadzie ogólnej, sąd w człowieku podnosi się lub obniża do poziomu twórczych potęg jego: rozumu, wyobraźni, uczucia, woli. Im więcej mu dostarczają materiału, tém więcej działalność jego pobudzają, korzysta ze światła rozumu, bogactwa wyobraźni, z gorąca uczucia i energii woli. Nietylko wszystkie zdobycze umiejętności idą na jego korzyść; dojrzewa i kształci się doświadczeniem i praktyką życia, a mianowicie zdobyczami cywilizacji wśród której dojrzewa.

Rozmaite są stopnie i charaktery rozsądków w jednostkach, w warstwach i kastach społecznych, w narodach nawet. Nie możemy się nad temi różnicami zatrzymywać, boby nas to za daleko zaprowadziło, dosyć że je wskazujemy.

Mówią u nas o żydach że mają dużo zdrowego rozsądku; wieśniaczy poszedł w przysłowie. Są to raczej zręczności praktyczne życia, każda z nich odmienna, każda z nich wydatna tylko w dosyć wązkiej sferze swojego zwykłego

działania. Nie podnoszą się one do pojęć ogólnych, zamykają się w celach kastowych.

W ogólności, wszystkich ludzi biegłych w życiu praktycznym przyzwyczajono się w mowie potocznej nazywać rozsądnymi, i przeciwstawiać ich ludziom wyobraźni, uczucia lub nauki. Zupełnie to niewłaściwie. Zręczność praktyki życia a rozsądek to nie zawsze to samo. Praktyka pospolita przyjmuje fakta spełnione; siłę gotowa uznać za prawo; schyla się zawsze przed nią ile razy jej to korzyść przynosi; uchyla się z pod niej jeśli może a pożytek w tém znajduje; jest giętka, śliska, chytra jak wąż; ucieka się do dyalektyki i sofizmatów; okrywa się pozorami i maskuje; wchodzi w układy ze wszystkimi złemi namiętnościami: własny interes ma wyłącznie na celu. Rozsądek szersze koło zakreśla, wszystkie władze człowieka obejmuje, wszystkie jego cele, prawa i obowiązki ma na oku, nie odłącza jednostki ani interesów kasty, od społeczeństwa i ludzkości.

Tamta ma tylko na celu tryumf widoków osobistych, ten zwycięstwo prawdy, piękna i pożytku.

Nie wchodzę w to jakim byli w życiu praktycznym: Ostroróg, Frycz, Modrzewski, Staszyc, ale to wiem że nie zwykłą dozę zdrowego rozsądku włożyli w ocenienie swoje, potrzeb naszego kraju. Spotykałem za to ludzi, którzy byli biegłymi w swoim zawodzie, nader zręcznymi w interesach i szczęśliwymi w kierowaniu lub wyzyskiwaniu ludzi, a których wyobrażenia i sądy o obowiązkach, społeczeństwie, państwie, religii, sztuce, były nacechowane taką niedojrzałością, tak mętne, że wszelki rozumowany rozbiór powyższych przedmiotów, stawał się niepodobieństwem. Życie ich domowe było nieraz splamione szkaradnemi przywarami, pozbawione nietylko podniosłości i wartości moralnej, ale jeszcze napiętnowane skazą wyłamania się od wszelkich publicznych powinności. Możnaż ten rodzaj rozumu mieszać ze zdrowiem, jasnością i prostotą sądu, które koniecznie do wszystkiego co człowiek robi, myśli, mówi, czuje, wierzy, rozciągać się muszą? Nietylko ludzie pojedynczy, nietylko kasty i warstwy społeczne, każdy stopień cywilizacji ma swój poziom właściwy, do którego sąd większości się układa. Odmienny jest przecięciowy stopień rozsądku Kafa, Hottentota, Eskimosa, średniowiecznych Ger-

manów i Normandów, od przecięciowego stopnia rozsądku Anglika, Francuza i Amerykanina.

W najczystszeń i najogólniejszeń znaczeniu stopień przecięciowy sądu, jest summą prawd i pojęć wziętych z życia, to jest doświadczenia i tradycyi a pomnożonych przez pojęcia wyrobione przez naukę, religią, obyczaje, prawa, instytucye, czyli przez ogół cywilizacyi. Im summa prawd i pojęć praktycznych większa i im mnożnik większy, tém wypadek ogólny jest lepszy. Zbiorowy rozsądek społeczeństwa jest więc rzeczą złożoną, wiele pierwiastków w niego wchodzi, wieki i pokolenia na niego pracują. Jest on ważnym kapitałem moralnym narodu. Bez téj miary i wagi, bez tego probierza w życiu społeczeństwie, wpada się z kataklizmu w kataklizm; z rąk niedojrzałych reformatorów przechodzi się w ręce zaślepionych reakcyonistów, ciągly i jednostajny rozwój stosunków w duchu cywilizacyjnym jest niepodobieństwem.

Zwróciliśmy uwagę na różnice i charaktery rozsądków, wracamy do oznaczenia głównych cech rozsądku w szczególności.

Jedną z głównych jest to, że wszystko ogarnia, nie nic wyłącza, nie jest ani jednostronnym ani stronniczym. Wszystkim twórczym władzom w człowieku nie przeszkadza w działaniu. Schodzi do zajęć codziennych i wznosi się do prac rozumu. Nic dla niego nie jest za małe i nic dla niego nie jest za wielkie. Pojmuje, czuje poezją, sztukę, miłość, poświęcenie zarówno jak naukę i prawdę, interes osobisty. Zostawia wolne miejsce dla wiary i dla badania; dla myśli i dla czynu; dla wolności i dla obowiązku; dla postępu i dla zachowawczości; dla równości i różnic społecznych. Nie dusi w pieluchach młodego geniuszu, nie obcina skrzydeł rojom młodych pojęć i myśli; nie sili się by podpierać zbutwiałe i walące się starzyzny. Rozróżnia złe i dobre namiętności, pobudki czynów, stopień ukształcenia i cywilizacyi, różnice instytucyi, różnice fizyczne i klimatyczne.

Ten pogląd szeroki, spokojny i bezstronny na ludzi, prace ich ducha, na ich pragnienia i nadzieje, na ich uczucia, na ich przekonania i na ich potknięcia, jest jeżeli nie wyłączną cechą, to główną zasługą rozsądku.

Drugą jego cechą jest, iż wszystko na właściwem stawia miejscu i oddziela od przymieszek bałamucących prawdę. Rozumu zadaniem jest odróżnić np. dobro osobiste od dobra rodziny, dobro rodziny od dobra kraju, dobro kraju od dobra ludzkości i według tego ustopniować obowiązki idąc w stosunku odwrotnym, tak, aby dobro osobiste, nie będąc wyłączone, stało jednakże na ostatniem miejscu. Tak wskazuje rozum choćby tylko wychodząc z punktu widzenia interesu własnego dobrze zrozumianego. Ale jednocześnie wchodzi w grę namiętność a przed innemi najzaślepiętsza i najjadowitsza ze wszystkich miłość własna. Wciąga ona do współnictwa rozum, który wykrzywia, przy jego pomocy tworzy fałszywe teorye; budzi ambicyę; porusza podstęp, kłamstwo; gwałtem popycha do czynów niecznych. Tu zaczyna się posłannictwo rozsądku. On namiętności ukróca, fałsz obnaża, wszystko na swoim miejscu stawia. Nie zawsze mu się to udaje. Nieraz prawo i siła muszą odegrać swą rolę. Ale w samém stosowaniu prawa i użyciu siły, szepcze on jeszcze wyrazy umiarkowania i sprawiedliwości, a zarazem wskazuje skutki i następstwa jeżeli te się pomija.

Ile tylko razy duch kasty i fanatyzm okryć się chcą interesem religii lub społeczeństwa; chciwość cudzego kunsztownemi sofizmatami i systematami społecznemi; zbrodnia polityczna pozorem konieczności i sprawiedliwości, zdrowy rozsądek obnaża wszystkie z nich z kolei: wymusza wyznanie prawdy i do milczenia przywodzi. On obdziera z przybranėj maski fałszywych proroków i liberałów; on w proch rozwiewa doktryny przewrotne; ostrzega jeżeli obyczajają przybierają niebezpieczny kierunek; ściga szumne wyrazy bez znaczenia, które zawracają głowy.

Jeszcze jedną cechą rozsądku jest to, iż zna swoje granice, wie co może, czego nie może; co powinien, czego nie powinien.

Są w człowieku potęgi twórcze jak wiara, uczucie, wyobraźnia, rozum, wola. Te żyją i działają każda na swém polu i we właściwym kierunku, modyfikując się nawzajem. Stanowią one jedność ducha, a w praktyce występują na zewnątrz w pojedynczym człowieku jako charakter. Sąd czyli rozsądek wchodzi do składu charakteru, nie jako siła twórcza, ale jako siła pojednawcza, krytyczna, rozstrzygają-



ca o kompetencji sił twórczych i właściwości ich kierunków. Nic nie dostarcza z siebie, nic nie ma w sobie, oprócz wrodzonej jasności, czystości i trafności. Gdzie mu rozum nie dostarcza gruntownej wiedzy i ścisłych naukowych obserwacyj, tam się w wyrokach swoich opierać musi na przypadkowym doświadczeniu i na tradycji jaką spotyka, oraz na tych błyskawicach intuicyjnych rozumu, które się pojawiają w niektórych głowach nawet prostaczków, i budzą podziwienie a nieraz zawstydzają mędrców. Gdzie nie spotyka wielkich wzorów i przykładów miejscowych lub obcych, musi się obywać małemi. Zniża się więc sąd w człowieku w miarę jak się zniża jego wiedza, uczucie i pojmowanie piękna, prawdy i pożytku. Zniża się w miarę jak się mącą i zacierają jego wyobrażenia o sprawiedliwości, prawie, moralności, obowiązku, jako wyroby uspołecznienia, rozumu i religii. Nawzajem podnosi się razem z tamtymi, podnosząc charakter pojedynczych ludzi i społeczeństw.

Wpływ jaki wywiera na charakter jest niewątpliwie najważniejszą jego stroną. Wielkie i silne rozumowe przekonania, głęboka wiara, gorejąca miłość, są rzeczywiście głównymi sprężynami działań ludzkich. Ale wszystkie koncentrują się w woli, a wola jest pod wpływem sądu wewnętrznego, który na chwilę działać nie przestaje w każdym człowieku.

Charakter jest niewątpliwie miarą wartości moralnej każdego. Na charakterach pojedynczych stoją losy społeczeństw i narodów. Onę nadają cechę pojedynczym okresom i każdej wielkiej przemianie społecznej naukowej lub politycznej. Wśród wielkich przewrotów i burz, charaktery tylko jeżeli są i dotrwają, ocalać mogą sprawę publiczną. Oneto stanowią tajemnice wpływu siły moralnej nad potęgami napływowemi i przypadkowemi; przez nie się objawia karząca Nemezis historyczna: przez nie Opatrzność zamienia złe w dobre a z dobrego wysnuwa lepsze, posuwając ludzkość na drodze powolnego i porywającego się, ale rzeczywistego postępu.

Bezmyślność, brak wiary i uczucia zarówno jak brak woli i sądu rujnują charakter; niedostateczność jasności i trafności tego ostatniego robi go nie jednostajnym, chwiejącym i niepewnym.

Gdy przypomnimy sobie pod jakimi wpływami poziom rozsądku podnosi się lub zniża, to nam się wykryje jak rodzimy, że tak powiemy, kopalny, w pierwotnej swój surowości zdrowy rozsądek, ma się do rozsądku ukształconego i ucywilizowanego człowieka. Widoczną jest rzeczą że ma się jak bryła kruszcu wydobyta z łona ziemi, do pięknego i celom swoim odpowiedniego narzędzia wyrobionego z tegoż metalu. Sikiérka kamienna dzikiego, postawiona obok narzędzia doskonałego poruszanego siłą pary, może być jeszcze miarą porównania dla jednego i drugiego.

Nie tylko więc rozsądek nie ma prawa wiedzą pomiatać i uważać się za coś od niej wyższego, ale bardzo skrzętnie w jej pomoc i światło zabiegać; tak też zwykle robi, jeżeli jest tém rzeczywiście za co chce uchodzić.

Nie można sądzić tylko o tém co się umie i wie grunto-wnie, dla tego człowiek z trafnyin rozsądkiem ogranicza swoje sądy; nie śpieszy się z niemi gdy dane do ich ferowania są niedostateczne; oświecać się, badać, porównywać nie przestaje; gdzie spotyka więcej niewiadomych lub wątpliwych, tam zdanie swoje zawiesza; umie z niém czekać; nie wstydzi się go cofnąć, jeżeli jest lepiej oświeconym. Nie wybiega w sfery dla siebie niedostępne. Usiłuje znać przeszłość, ale wie, że ani jej powrócić ani biegu czasów zatrzymać nie można. Zwraca się ku przyszłości, ale wie że jej przepowiedzieć niepodobna, bo ciągle w sprawach tego świata objawiają się kształty lub pojęcia odmienne i tworzą grupy i powinowactwa różniące się jeżeli nie pierwiastkami, to nowym układem swoim od dawnych. Wie tylko, że pracować trzeba dla przyszłości, bo nieomal wszystko co go otacza, jest owocem wieków poprzedzających i na téj podstawie tylko dalsza praca terażniejszości jest możebna; uznaje więc ten dług względem następców jaki sam zaciągnął od poprzedników.

Ale jeżeli sam nie może wybiegać w sfery dla siebie nieznane, wie że są narzędzia w człowieku na ten cel przeznaczone. Nie przeszkadza im i ich polotu swobodnego nie ogranicza. Wie, że wiara musi stawiać dogmata tam gdzie rozum stawiać może tylko domniemania, że to leży w jej naturze i powołaniu. Wie, że religia będąca jej objawem sformułowanym, jest potrzebą ogólną, wrodzoną; że jeżeli

jednostki wyjątkowe bez niej jako tako obywać się zdołają, jest przecież podstawą i warunkiem życia społeczeństw. Nie wzdryga się sądu i porównania rozlicznych wyznań starych i nowych, żywych i umarłych, byle je znał gruntownie; ale wie zarazem jakie trudności otaczają sąd i porównanie takie; jakiej doniosłości umysłu, wytrawności, bezstronności, nauki potrzeba, aby wyrzekać o tém co najwyższych sfer wiedzy i wszystkich stron życia dosięga; jak łatwo w tém pośliznąć się i omylić. Dla tego pilnując niezłomnie swoich przekonań, szanuje cudze. Zawsze staje po stronie wolności sumienia i tę wolność sumienia za święty i nietykalny skarb każdego człowieka uważa.

Rozsądek uznaje i wysoko ceni uczucie, ten promień żywy ciepła duchowego, który obok wymiany potrzeb i interesów łączy może silniej jeszcze rodzinę, społeczeństwo, naród, ludzkość; jest jedną z podstaw głównych moralności; przesiąka w sprawiedliwość; jest hamulcem dla siły, ogrzewa nowoczesne nauki społeczne; zaczyna mięszać się do praw międzynarodowych, a niewątpliwie zagrzewał walkę przeciw niewolnictwu.

Miłość Boga i miłość bliźniego ma źródło w uczuciu, choć rozum je uświęca i zatwierdza. Zapał dla wszystkiego co piękne, dobre i pożyteczne jest tylko rozżarzeniem i spotęgowaniem uczuciem. Czém są ludzie bez tego zapału? Czém są wieki i narody które tego zapału nie mają? Nie może on być stanem normalnym społeczeństwa; okoliczności ważne go wywołują, zaród tylko jego musi być uszanowany i pielęgnowany. Im większej wagi sprawa jest jego przedmiotem, tem więcej ma świętości w oczach rozsądku. Zapał dla małych rzeczy lub nie wartych jest cechą dusz małych i narodów ze skrzywionem wychowaniem. Spotyka się nieraz chwilowe takie porywy uniesienia dla fałszywych doktryn, dla uwodzicieli, szarlatanów i sofistów, dla uroku powodzenia, dla mody i t. d. Mimo tych skrzywień zapał jest potężną dźwignią w rzeczach wielkich i w chwilach stanowczych. Rzecz to rozsądku publicznego, jego wykształcenia, miary, jasności i siły, aby tego pożytecznego narzędzia nie nadużyto i nie zepsuto.

Zapał przemijający i gasnący prędko, albo porywający do czynów źle obliczonych, nierozważnych, wiele niewątpli-

wie złego narobił po świecie. Wada to jest idąca zarówno z temperamentu jak wychowania. Istotnym gruntem dla pracy i powodzenia tak pojedynczych ludzi jak społeczeństw jest wytrwałość i energia. Te dwa przymioty zaszczeniać i krzewić jest sprawą zdrowego rozsądku, a chociaż widocznym jest, że nie są one wpływem uczuciowości, to jednakże wątpliwości nie ulega, że tylko pewna doza owego ciepła duchowego, którego uczucie jest rozpromienieniem, rozprowadzona jednostajnie w całe życie, daje człowiekowi ten ustrój moralny, na którym spoczywa dzielność charakteru, źródło wytrwałości i energii.

Z uczucia idzie zdolność poświęcenia. Nie dosyć jest mieć głębokie przekonanie, trzeba mieć miłość tych przekonań, aby dla nich ponieść w ofierze zdrowie, mienie, szczęście i życie. Największy wzór poświęcenia jest w chrześcijaństwie, ale chrześcijaństwo znalazł dla niego grunt w naturze ludzkiej i dla tego zdołał je usadzić jako podstawę moralności. Dopóki chrześcijaństwo trwać będzie a mamy nadzieję, że pomimo zwróconych przeciw niemu usiłowań różnorodnych, nie upadnie, podstawa ta nie da się zastąpić interesem dobrze zrozumianym, bo jest nie równie więcej cywilizacyjną i humanitarną i nie zależy tak wyłącznie jak ta ostatnia od stopnia ukształcenia każdej jednostki (1). Być może, że teoria miłości i poświęcenia jest ideałem, że w całej czystości swój nigdy nie była i nie będzie w życie wprowadzona; że naginano i przycinano do niej rzeczy tego świata. Ale to dosyć, niech się tylko coraz więcej do niej przyginają i przycinają. Wysokich ideałów potrzebują ludzie i społec-

(1) Toqueville który jest gorącym obrońcą teorii interesu dobrze zrozumianego powiada jednakże: „Il faut donc s'attendre que l'intérêt individuel deviendra plus que jamais le principal sinon l'unique mobile des actions des hommes; mais il reste à savoir comment chaque homme entendra son intérêt individuel. Si les citoyens, en devenant égaux restaient ignorants et grossiers, il est difficile de prévoir jusqu'à quel stupide excès pourrait se porter leur égoïsme, et l'on ne saurait dire à l'avance dans quelles honteuses misères ils se plongeraient eux-mêmes, de peur de sacrifier quelque chose de leur bien-être à la prospérité de leurs semblables.... Éclairez les donc à tout prix; car le siècle des dévouements aveugles et des vertus instinctives fuit déjà loin de nous, et je vois s'approcher le temps où la liberté, la paix publique et l'ordre social lui-même ne pourront se passer de lumières!!” De la Démocratie en Amérique. T. IV. p. 197.

czeństwa. Czém jest np. polityka pozbawiona ich i oparta wyłącznie na interesach i sile, widzimy to wczytując się w Machiawela.

Skutkiem jeszcze współczucia dla bliźniego jest dobroczynność, a jedną z jej form jałmużna. Powstają na nią ekonomiści i słusznie. Upośledza ona i demoralizuje biorącego a uwalnia sumienie dającego od wyższego obowiązku skutecznego zapobiegania nędzy. Niewątpliwie lepiej jest pracować nad tem aby wykorzenieć biędę, aby zasłaniać wszystkie otwory któremi ona wchodzi w społeczeństwo, aby szczepić miłość pracy i oszczędności, zdrowe pojęcia ekonomiczne i moralne a mianowicie tak wysokie uczucie osobistej godności, aby nikt ręki do nikogo nie wyciągał po wsparcie. Nic piękniejszego, nic płodniejszego, nic bardziej pocieszającego dla serca i dla rozumu jak praca dzisiejszych nauk społecznych, około podniesienia klass pracujących, ustalenia ich niezależności, zaszczerpienia w nich ducha przezorności, uorganizowania ich kredytu. Trudno nie błogosławić téj pracy i tym usiłowaniom: są one prawdziwie chrześcijańskie.

Ale trzeba aby ekonomia zawarła sojusz z naturą i polityką, aby tamte nie rujnowały jój prac, nie tworzyły ubóstwa i nie odejmowały jój środków podniesienia i rozlania na wszystkich ogólnego dobrobytu. Dopóki człowiek potężniej nie zapanuje nad naturą, dopóki jój przewroty i kataklizmy, jój dziwne upośledzenie jednych a uposażanie drugich trwać będą; dopóki nie ustaną wojny, podboje, rewolucye; dopóki ustrój państwowy i społeczny nie zastosuje się do nowych potrzeb i wyobrażeń: dopóty ekonomiści muszą dozwolnić aby dobroczynność zapełniała szpary, któremi woda ciśnie się do skołatanéj nawy ludzkości.

Zresztą obejrzyjmy się nieco w naszój pysze i zarozumiałości demokratycznój, bo wstręt do wsparcia w ogólności, a u wielu robotników objawiający się wstręt do wynajmowania swój pracy, jest jednym z objawów idei równości; obejrzymy się mówię nieco, czy każdy z nas nie odbiera nie zwracając uwagi na to, i wreszcie pod innemi nieco formami, pewnego rodzaju wsparcia, pewnego rodzaju jałmużny od drugich. Czém są wielkie prace uczonych, wielkie utwory sztuki, jeżeli nie darem ludzi wielkiego ducha dla wszystkich? Czém są trudy i poświęcenia wszelkiego rodzaju bohaterów,

cierpienia wszelkiego rodzaju męczenników, jeżeli nie jałmużną dla społeczeństw, którym przez ofiarę z siebie zrobioną, zdobywają prawdę, wolność, sprawiedliwość, cywilizacyą. Każdy heroizm jest jałmużną dla ogółu. Ogół dar ten przyjmuje z wdzięcznością, uwielbia dawcę i słusznie robi. Czém są zakłady użyteczności publicznej prywatnych wznoszone? Czém jest praca ojców dla dobra następnych pokoleń? Czém są wreszcie na mniejszą skalę gościnność, uprzejmość towarzyska, usługi wzajemne, pobłażanie, wyrozumiałość, cierpliwość?

Ta ostatnia myśl dla tego tylko była rzucona, aby zwrócić uwagę, iż, nie w imię pychy, ale w imię miłości trzeba pracować nad zniesieniem ubóstwa i usunięciem potrzeby jałmużny.

Heroizm jest najwyższym szczytem poświęcenia i miłości. Jest on ofiarą wszystkiego co człowiekowi jest najdroższe dla przekonania lub zasady. Nie mierzy trudności, nie cofa się przed niepodobieństwem; niebezpieczeństwa nie zna, bo jest ofiarą i nie w dojściu do celu, ale w potędze ofiary wiarę swą pokłada. Heroizm jest tryumfem duchowej wielkości człowieka. Nieraz stawiają go naprzeciw zdrowego rozsądku jako dwa ostateczne bieguny; jak gdyby rozsądek zawsze musiał być po stronie miłości własnej interesu osobistego i wszystkich drobnych rachub, ostrożności i przewidywań za nimi idących. Dziwny zaprawdę pogląd i dziwne poniżenie rozsądku. Gdyby on do tego nawet nie posłużył żeby wskazać co mniejsze a co wyższe, co warte mniejszych a co większych ofiar, za co się oddaje wszystko, za co się nie daje, to nie byłby sądem ale służbą najniższych namiętności. Są ludzie którzy tylko tym ostatnim służą i są wykrzywiacze słów najświętszych, którzy ich nazywają rozsądnymi. Takie to skrzywienie mowy potocznej i wyobrażeń wytępieć potrzeba.

Przechodzimy do dalszych sił twórczych w człowieku. Wyobraźnia jest nią niewątpliwie, chociaż ściśle rzecz biorąc, nie można powiedzieć aby ona sama przez się coś stworzyć mogła. Wszystkie dzieła myśli są zarazem utworami myśli, uczucia i wyobraźni, tylko że ta ostatnia w nich przeważny ma udział. Mięsza się ona znowu do prac uczonych i mędrców, i dla tego jest zawsze iskra poezyi w wielkich myślicielach, tak jak zaród głębokiej myśli w wielkich poe-

tach i artystach. Ależ bo wszystko się wiąże i łączy w objawach ducha ludzkiego; rozum rozróżnia siły, które się raz pojedynczo, to znowu zbiorowo objawiają, aby tym rozkładem na pierwiastki dojść do rozjaśnienia swoich pojęć a potem znowu składać musi, bo części pojedyncze i odosobnione rozsypują mu się w dłoni i uciekają. Bądź co bądź wyobraźnia jest jedną z sił twórczych a stosunek do niej rozsądku nie różni się od tego jakiśmy mówiąc o uczuciu naznaczyli, to jest, że wyobraźnia ma swoje prawa i przywileje w które rozsądek wkraczać nie może. Może nadużycia i zboczenia sądzić, ale jakaż i w tém miara i trafność potrzebna! Jakiego ukształcenia i podniosłości umysłu, jakiej wszechstronności potrzeba aby się nie potknąć. Przykład znakomitego i zasłużonego męża Jana Sniadeckiego, który tak bardzo się pomylił w sądzie o świetnej epoce odrodzenia naszej poezyi w duchu narodowym, mógłby służyć nie jednemu krytykowi za przestrożę. Odwołuje on się w sądzie swoim o romantyczności do rozsądku i powiada: „w sztukach nadobnych nierozsądna piękność albo jest przemijającą i znikomą, albo żadną: jest to błyskotka, która nas swoją nowością albo pozornością, póty tylko uwodzi, póki jęj rozsądek nie rozproszy i nie zgasi.” A dalej mówi: „Może nie jeden romantyk albo się obruszy albo rozśmieję, żem w uwagach na ten rodzaj pisania przytoczył Horacego i sądziłem romantyczność z praw którym nie podlega. Jam atoli szedł tylko za prawidłami rozsądku, bo krytyka jest jego sprawą; bo nie znam inniej drogi w roztrząsaniu robót umysłowych i w dochodzeniu ich wad i zalet.”

Bezwątpienia krytyka jest rzeczą sądu, tylko że ten sąd rozszerza się i ścieśnia, zaostrza lub krzywi w miarę szerokości poglądu, podniosłości umysłu, polotu wyobraźni, głębokości uczucia samego krytyka. Jakże to łatwo nawyknięcia, skłonności umysłu, przykłady znane, tradycye z któremi się obyło od młodości, wziąć za jedyną i wyłączną skalę piękności! Jakże to łatwo rozmiłować się i sformułować swój smak osobisty w pewną odrębność nieprzystającą do rzeczy z innego pierwiastku płynących, na odmiennęj nici osnowanych!

Krytyka nowoczesna ma tę wyższość nad dawniejszą, że się téj jednostronności i wyłączności pozbyła. Wieki,

rasy, klimata, cywilizacye, ogarnia swoim rzutem oka; każdą z tych genetycznych różnic uwzględnia, w rzędzie właściwości i oryginalności wyobraźni i smaku uznaje. Wpłynęło to może na zatarcie oryginalności naszego wieku w sztuce i poezyi, ale niewątpliwie złe jest nagrodzone szerokością i wszechstronnością poglądu na świat i na ludzkość, uznaniem i poczuciem wyższem różnych form piękna. Sąd o dziełach sztuki stał się więcéj humanitarny.

Jeżeli sąd w umyśle człowieka wyrabia się z danych jakie ma na około siebie i takie koło zakreśla tylko, do jakiego miarę w sobie wyrobił; jeżeli z drugiej strony wyobraźnia innym prawom ulega u mieszkańca nad brzegami Gangezu, innym ulegała w starożytnéj Grecyi, innym u Skandynawa, innym uległa u nowożytnego Anglika lub Germana, to widoczną jest rzeczą, że utwory sztuki i sąd o nich nigdy do zrozumienia się wzajemnego nie przyjdą, jeżeli sąd nie zdoła się podnieść na wyższy stopień, nie poszuka klucza do różnic, nie obejmie ogólniejszym rzutem oka plemiennych i wiekowych charakterów, a posługując się analizą i syntezą nie zrozumie i szczegółów odmiennych i wspólnego wszystkim piękna i prawdy, pomimo nieskończonych różnic w ich obrazowaniu.

Idąc do głębi tych wszystkich różnic spotyka się rzeczywiście małe kółko prawd, pojęć i uczuć ogólnie ludzkich, wspólnych wszystkim miejscom i czasom, które myśl i wyobraźnia w rozliczny sposób poruszają i ubierają. Stopień prawdy, energii lub wdzięku i prostoty w wyszukaniu i oddaniu tego rodzimego skarbu ludzkości, będzie zawsze główną zaletą wielkich pisarzy. Szata jaką na to wkłada wyobraźnia, przybór pojęć, poglądów przechodnich, miejscowych, czasowych, są po większej części dziełem smaku zmiennego jak prawidła estetyczne, do których społeczeństwo lub wiek dojrzały. Można z niemi walczyć w imię swoich poglądów indywidualnych, obalać je dyalektyką, odwoływać się do sądu narodu, który taki lub inny ma obecnie pogląd na sztukę, na sąd wieku i obecnej cywilizacyi; można porównywać miejsca i czasy i z porównania tego wynosić to co wzbudza więcéj współczucia i więcéj przypada do smaku osobistego lub upodobań epoki; można grzebać w dziejach



własnej przeszłości i ztamtąd wydobywać wszystko co dla poezji i sztuki posłużyć może i temu dawać stanowcze pierwszeństwo. Rzecz to jest estetycznej krytyki.

Gdyby w tój robocie stracić się miało z oka to małe kółko prawd i uczuć ogólnie ludzkich, o których wyżej wspomnieliśmy, wtenczas tylko możnaby się odwoływać do wyroków zdrowego rozsądku: wtenczas tylko możnaby przyzywać jego powagi. Niema on miary do mierzenia smaku, uczucia i wyobraźni, albo ma tylko zmienną miarę miejsca, czasu: właściwie może mierzyć tylko takie zбочenia, które krzywią i gwałcą to, co wiekuiste i ludzkie.

Ale w dziełach sztuki jest i udział myśli i rozumu: tą częścią swoją dzieło sztuki, może odpowiadać potrzebom miejsca i czasu lub nie; może obrażać obyczaje, prawa, tradycje, zwyczaje; może cofać lub psuć; może podnosić, uszlachetniać, prowadzić do wyższych szczytów na drodze cywilizacji. Tą częścią swoją, dzieła sztuki odpowiadają przed trybunałem zdrowego rozsądku.

Przechodzimy do stosunku rozsądku do rozumu; ale jak rozdzielić i rozróżnić to, co ciągle idzie ze sobą w parze, nawzajem się wspiera i uzupełnia? Z trudnością tylko dochodzi się do tego aby odróżnić działanie twórcze w rozumie i działanie sądzące; bo i twórczość bez sądu i sąd bez wcielenia się niejako w tajemnice twórczości pojąć się nie dadzą. Są to wszystko promienie jednego ducha; dlatego tak trudno je rozdzielić, a rozdzieliwszy długo w tém rozdzieleniu utrzymać: zbiegają się same pomimo woli, lub rozpraszają. W całej tój pracy naszej jaką tutaj dajemy o rozsądku nie masz nic nowego, i co do tego punktu na którym obecnie stanęliśmy nie zdołamy nic nowego powiedzieć; chcielibyśmy mieć przynajmniej zasługę wyłuszczenia naszej myśli jak najkrócej i jak najjaśniej: wszystko to jest pisane *ad narrandum non ad probandum*.

Nie będziemy więc powtarzać tego co już wiele razy powiedziano lepiej o początku wrażeń, pojęć i myśli; ani poszukiwać co rozum bierze z po za siebie a co czerpie ze siebie; ani rozwodzić się o przyrządach i rusztowaniach, które sobie buduje aby prawdy dochodzić. Dosyć nam wspomnieć że wynalazł metody, a za ich pomocą przyszedł do zdobycia

rozlicznych wiadomości. W zebranych wiadomościach szuka on nici przewodniczej, grupuje je, wynajduje prawa ogólne i zasady, buduje nauki.

Piękny i okazały jest gmach naukowy postawiony przez obserwacyą i rozum; chyba tylko umysł ciemny lub uprzedzony, piękności i pożytku jego może zaprzeczyć. Bezstronny umysł porównywając człowieka nieukształconego, ukształconego do pewnego stopnia i wysoko ukształconego, różne stopnie cywilizacyi narodów i epok, przyjsć musi w sędzie swojego sumienia do głębokiego uznania i szacunku dla nauk i dla cywilizacyi będącej przeważnie lubo nie wyłącznie, ich wpływem. Niepodobna nie uznać nie tylko wyższego za ich pomocą zapanowania nad naturą, ale uszlachetnienia moralnego, podniesienia godności osobistej, uzacnienia smaku, oczyszczenia pojęć, a mianowicie większego uspołecznienia i większego uzdolnienia do życia państwowego, odpowiedniego celom rozumowym.

Im więcej człowiek pojedynczy podnosi się w naukowem i moralnem ukształceniu, tém więcej rozumiało mu się stają i konieczne warunki i cele naukowój i moralnej uprawy; tém więcej brak ich czuje u drugich; tém więcej czuje się odosobniony ze swojemi pojęciami i dążeniami; tém więcej różnica ta mu dolega; tem bardziej przez wylanie zasobów swoich na zewnątrz pragnie różnicę tę znieść, przepaść rozdzielającą go od drugich zapełnić: zbliżyć ich jednem słowem, nauczaniem i propagandą idei cywilizacyjnych.

Nie sama chęć sławy lub nadzieja korzyści wiedzie piszących do rozpowszechnienia nabytków swój wiedzy; warto aby to mieli na uwadze ci co nie pracują sami a lekceważą pracę drugich.

Ta potrzeba wylania się na zewnątrz i podniesienia drugich do wysokości swoich pojęć i wyobrażeń, jest może najwięcej cywilizacyjną stroną w człowieku naukowo i moralnie wykształconym.

Inny jest jeszcze przymiot w nauce i w ludziach co się nią zajmują, to jest ten: że im więcej się uczą, tém więcej czują to co im niedostaje; tém więcej wiedzieć i szukać pragną: tém więcej rozszerzają koło swój wiedzy.

Nietylko że nauki wiążą się z sobą i jedna drugą wspiera, ale jedna drugą wyradza. Raz wszedłszy w to koło zaczarowane, trzeba iść coraz wyżej, coraz szerszy widnokrąg zakreślać. Na polu myśli podział pracy te same usługi oddaje co w ekonomii społecznej. Im prace różnostronniejsze i wszechstronniejsze, tém plon większy, tém też pewniejszy punkt oparcia dla sądu zbiorowego i pojedynczego. Gdy nauki obejmą zarazem wszechświat, człowieka, naturę, społeczność, dzieje, prawa, sztuki, religią: wtenczas dopiero dla niego grunt pewny i bezpieczny jest wyrobiony.

Rozsądek zniewolony jest do oddania hołdu nauce, ponieważ przez nią kształci się, podnosi, rozszerza; mimowolnie idzie on w trop za każdą z nauk, śledzi jej drogi, metody, hipotezy któremi się posługuje, śledzi cele do których dąży, wypadki które osiągnęła. Nie jest on zdolny stworzyć żadnej, bo to nie jego rola, ale może wiele rzeczy wątpliwych zaznaczyć, wiele pomyłek sprostować, lepsze środki i pewne cele wskazać, a mianowicie wielokroć sąd swój zawiesić do lepszego zbadania rzeczy.

Mimo doskonałości metod, narzędzi, pilności obserwacji, wieleżto naukowych pomyłek, wieleżto faktów źle ujętych, wniosków mylnych, hipotez za śmiałych, analogii nie trafnych: wieleżto zmian w skutek odkryć i obserwacji nowych? Jedno na nowój zasadzie oparte prawo, obala nieraz budowę całego wieku. Cały postęp nauki jest usuwaniem pomyłek, prostowaniem, objaśnianiem, wywracaniem prawd starych, budowaniem nowych. To ciągle przebudowywanie gmachu naukowego, nie odejmuje naukom ani ich powagi, ani ich pożytku, bo gmach przez to ciągle się powiększa a nie upada, coraz pięknieje, i coraz więcej w sobie mieści. Duch sceptycyzmu źleby się wybrał, gdyby na tój ruchomości teorii i prawd naukowych chciał prawa swoje fundować. Niewątpliwie jednak ta zmienność i omylnność wyzywa sąd człowieka do czujności i jeżeli nie do zwątpienia, to do częstego zawieszania swoich ostatecznych wyroków i do wyczekiwania cierpliwego.

Wieleżto w obecnej chwili świetności i rozwoju nauk, chwije się zasad i teorii częściowo podkopywanych i nadwątlonych? Wieleżto zjawia się wpół świetle nie ugrunto-

wanych i nieuzasadnionych? Wieleżto takich, o które toczy się spór zacięty i o których nic jeszcze wyrzec nie można? Jedne z nich mniej może obchodzą ogół a tylko małe kółko uczonych, ale są takie które związane z najważniejszymi zagadnieniami obchodzącymi albo pomyślność społeczeństw, albo los pojedynczych ludzi.

Ograniczymy się na kilku przykładach.

Mniej może obchodzi ogół poszukiwanie, czy rozliczne siły i fenomena w naturze fizycznej są modyfikacjami jednego i tego samego pierwiastku, czy czémś oddzielném pod względem ich natury i własności; czy spójność, ciężenie, ciepło, światło, elektro-magnetyzm są odmiennemi upostaciowaniami, uwarunkowaniami téj saméj zasady; czy coraz innemi prądami i wibracyami atomów eteru; czy dadzą doprowadzić się do takiej wzajemnej ewaluacji, ujętej w formułę matematyczną, jakiej dokonano ustanawiając stosunek ciepła do pracy mechanicznej? Każdy wié, jakie ciepło, elektro-magnetyzm, światło oddają usługi; nikt nie potrafi przewidzieć do jakich są przeznaczone, i jaki nowy mogą dać pogląd na naturę gdyby się udało głębiej wejrzeć w ich pochodzenie i własności oraz zewaluować wszystkie siły przyrody.

Mniej może również obchodzi ogół czy są poczęcia samoistne, bezzarodkowe, czy wszystko co powstaje rozwija się z zarodka odpowiedniego. Uczeni badacze silą się na dowody za i przeciw. Ponieważ kwestya dotyczy tylko istot mikroskopowych, traci wiele na swéj ważności dla nie specjalistów; nie można przecież zaprzeczyć iżby się nie łączyła z ważnemi zagadnieniami w naturze. Przypomnijmy sobie tylko że naszą florę i faunę poprzedziły inna flora i fauna, których ślady i zabytki wygrzebujemy z łona ziemi w wykopaliskach, odciskach, resztkach, a nawet całych olbrzymich okazach stworzeń dziś nie istniejących. Zkąd wzięły się nowa fauna i flora po kataklizmie który stare zagrzebał?

Mniej może być jeszcze dla ogółu ważna wiadomość, co w przekształceniach powierzchni ziemi przypisać wodzie, a w świeżo wprowadzonej przez naukę peregrynacji łożysk lodowych, mających zalegać niegdyś kraje całe, dziś najświetniejszą uprawą i klimatem się cieszące? Do jakiej epoki geo-

logicznej odnieść zjawienie się człowieka na ziemi? Jak wytłumaczyć początek i rozgałęzienie w języku mowy? Choć i tych badań czczemi i oderwanemi poszukiwaniami nauki mienić się nie godzi, bo one są i same przez się i z wielu innymi zagadnieniami, bardzo z bliska nas obchodzącemi.

Niepodobna przecież przejść obojętnie nawet człowiekowi, który chętnie odwraca się tyłem do prac naukowych, obok teorii takiej np. jak Darwina. Nie tu miejsce rozpisywać się o niej; znana zresztą ze wzmianek po różnych piśmich. Ale niepodobna nie wspomnieć, jak sprzeczne myśli i uczucia ona obudza. W jakiżto drastyczny sposób zwraca nas do rozważania nad tém czém jesteśmy. Jeżeli z jednej strony, nie dogadza naszej miłości własnej nizki początek z jakiego ród ludzki jest wyprowadzony, to za to dogadza bardzo naszym pragnieniom nadzieja stania się czemś lepszym jak dziś jesteśmy. Szkoda tylko że według tej teorii początkowy postęp ludzkości więcej zdaje się leżeć w instyktach zwierzęcych, jak w myśli i rozumie. Jak przejść mimochodem, powtarzamy, obok takiej teorii, mającej wszystkie cechy poważnej naukowej pracy, a jak nie zawiesić zdania o niej dopóki czas badania: sąd ogółu myślącego nie wyrzeczy o niej ostatecznie?

Jak przejść mimochodem obok takiej np. teorii jak Buckla, która przypisuje *środkowi*, to jest *warunkom miejscowym i klimatycznym*, albo innymi słowy, *zjawiskom fizycznym* główny wpływ na cywilizacyą i rozwój społeczeństw. Ale jak nie zawiesić sądu o tej teorii pod ciężarem tej uwagi, że w tym samym *środku*, wśród tych samych *zjawisk fizycznych*, z kolei gnieździło się barbarzyństwo wiekowe, ze zmianą ras, praw, obyczajów, lub napływem prądów cywilizacyjnych, powstawały ogniska oświaty, i znów ze zmianą pojęć lub warunków politycznych i społecznych, następowało zdziczenie i upadek.

W zakresie nauk społecznych jak nie zastanowić się nad ważnością rezultatów statystyki tegoczesnej? Jak odmówić jej doniosłości i pożytku? Jak z drugiej strony przystać na to, aby w niej znaleźć się miał klucz wyłączny do zbudowania praw społecznych?

Wątpić dziś o nieomylności prawa, o rencie gruntowej Ricarda, o nieomylności prawa wzrostu ludności i stosunku

tego wzrostu do środków pożywienia, Malthusa, to już wolno; przestało to już być herezyą ekonomiczną. Właściwie są to kwestye otwarte. Tak samo należałoby uważać i traktować to wszystko co J. S. Mill w swojej Ekonomii politycznej powiedział o własności ziemskiej.

W ogólności w tej nauce niedosyć się nauczono rozróżniać mistrzów wedle ich narodowości; zapomniano o tém że to nauka indukcyjna oparta na obserwacyi faktów przedewszystkiem miejscowych, dochodzi więc do wniosków mających w niektórych kwestyach, przeważnie piętno tego pierwiastku z którego powstało. Inny smak ma wino burgundzkie, inny węgierskie, inny reńskie; każde z nich posila, każde rozgrzewa, każde w wielkiej ilości upaja: podobnie dzieła pisarzy obcych a mianowicie ekonomistów. Tęgo upojenia należałoby się strzedz, młodym mianowicie zwolennikom ekonomii. Głęboka i gruntowna znajomość własnej miejscowości i całego jej rozwoju historycznego, porównywanie i krytyka są silną bronią przeciwko napływowi tych teoryj, które będąc dedukcyą miejscowych faktów i nie mogąc mieć pretensyi do uniwersalności, zawsze tylko z dobrodziejstwem prawa i inwentarza przyjmowane być winny.

Jak względem pewnych teoryi naukowych, tak względem niektórych sławnych w piśmiennictwie imion, trzeba się mieć na baczności. Można śmiało odrzucić bez ubliżenia znakomitości głośnych pisarzy nie jedno z ich myśli i twierdzeń, tak jakto już rozsądek ogółu zrobił nieraz. Platon nie ocalił myśli wspólności kobiet; nie przekonał świata uczonego Bakon, chociaż system Kopernika za niedorzeczność poczytał; nie nakłonił ludzi Rousseau aby wyżej cenili pierwotną dzikość jak cywilizacyą; najslawniejsi materyaliści nie zdołali podkopać wiary w nieśmiertelność duszy. Można cenić dowcip pryskający Woltera, jego miłość ludzkości i tolerancyą a odepchnąć jego nizezemne pochlebstwo i nienawiść chrześcianizmu. Można mieć wstręt do rewolucyi francuzkiej z de Maistrem, lub ją uwielbiać, to jak się komu podoba; ale jak nie mieć wstrętu do apologii kata i jego rzemiosła, którą ten znakomity pisarz skreślił? Można podziwiać Kartezjusza, ale nie teoryą wirów Leibnitza bez jego optymizmu; Kanta, odrzucając jego czezą formułę moral-

ności; Goetego bez jego panteizmu. Można nie jedno przyjąć od Comta niepodzielając jego wstrętu do metafizyki i ekonomii politycznej, i przyjmując szersze granice dla ducha ludzkiego, jak granice nauk doświadczalnych. Można smakować w Toquevillu i nie być przekonanym tym jego wywodem w którym usiłuje dowieść, że dla demokracji pożyteczną jest doktryna interesu dobrze zrozumianego jako podstawa obowiązków.

Tak samo względem sławnych wyrazów wstrząsających umysłami, można i należy się nieraz zachować w taki sposób, aby wyrzeczenie o ich wartości uwarunkować albo do dalszego czasu odłożyć.

Takimi wyrazami teraz, na których mianowicie umysł powierzchowne lubią codziennie cwałować, są: postęp, równość, szczęście, pomijając inne.

Wierzmy w postęp, tylko nie wszędzie i nie zawsze. Nie uważamy go za coś fatalnego i koniecznego, ale za owoc pracy i myśli, wolnej woli i przyjaznych okoliczności. Niekoniecznie jest doskonalszym od swoich poprzedników, kto później na świat przychodzi. Pogląd w dzieje ludzkości wskazuje że postęp cywilizacji nie idzie stale stopniami generacji. Zwalnia on bieg lub go przyspiesza; niekiedy cofa się, niekiedy przenosi gdzieindziej, zostawiając za sobą pustkę i zniszczenie. Rozróżnić też należy postęp materialny i postęp moralny. Robią nam nadzieję że z pierwszym musi przyjść drugi: wierzymy i w tę nadzieję, ale wiemy że to dopiero nadzieja.

Cenimy równość ale rozróżniamy nierówności fizyczne, moralne, społeczne, prawne, historyczne, polityczne. W tém samym rozróżnieniu już leży uwarunkowanie. Jak znieść np. nierówności fizyczne, które natura sama potężną dłonią swoją osłania? Jak usunąć odrazu nierówności wpływające z długiego wyrobu dziejowego, z idei zasadniczych będących podstawą ustroju społecznego? Pomiedzy Arabem pustyni i Francuzem zrównanymi prawnie i politycznie, będzie przepaść pojęć, wyobrażeń społecznych, cywilizacyjnych, religijnych. Równość jest górującą namiętnością obecnie i to nietylko u nas. Cele jej są godziwe o ile opierają się na naturze rzeczy i téj granicy nie przekraczają. Środki

tylko nieraz są gwałtowne i niesprawiedliwe. Są rzeczy które tylko czas i długa praca zrównać może, są rzeczy jak zdolność człowieka pojedynczego, jego energia, które się zrównać nie dadzą. Jeżeli mu się owoc jego zdolności i energii zabiera, to się podstawę społeczną rujnuje, to jest pracę.

Równość jest częścią składową demokracji w pojęciu nowoczesnym, bo w starożytnych demokracjach byli niewolnicy; ale nie jest jeszcze demokracją, to jest rządem ludu. Jako szmat oderwany od całości stosunków demokratycznych niema politycznego znaczenia. Może być tylko bodźcem dla pracy i talentu w pozyskaniu bez przeszkody stanowiska społecznego; podnosi także uczucie godności osobistej. Napróżnoby walczyć z ideą równości, ale należy ją oświecać i poskramiać w zapędach takich, które z granic rozumu i sprawiedliwości wychodzą.

Pragniemy jak najmocniej aby jak największa ilość ludzi znaleźć mogła to wszystko co w ich pojęciach uchodzi za szczęście; życzymy im tylko aby ile możliwości ograniczali swoje życzenia i swoje marzenia o szczęściu, bo pomimo wszystkich zdobyczy pracy i nauki, pomimo postępu i równości, dola człowieka nie przestanie być niepewną i wątpliwą. Mamy to przekonanie że nie spychając się nawzajem, ale owszem łącząc się, zbliżać się ludzie mogą do upragnionego celu. Pod tym względem zwolennicy kredytu szeroko pojmowanego, stowarzyszenia na najrozleglejsze rozmiary, wolnej wymiany uwarunkowanej stopniem przemysłu krajowego są na dobrej drodze w zakresie stosunków ekonomicznych.

Takie motywowanie, zawieszanie sądu, wyrozumowanie zwątpienie a nawet zaprzeczenie pewnych twierdzeń i zdań, pewnych teorii, pewnych hipotez podkopanych postępem badań i obserwacji, nie ujmuje nauce ani jej wpływu ani jej znaczenia nie osłabia; owszem dowodzi szczerego zajęcia się nią i chęci stosowania jej w życiu.

W témto właśnie stosowaniu jej do życia zdrowy rozsądek ważne oddaje usługi. Wprowadzić teorię praktyki, praktykę oprzeć na zdobyczach nauki, rozlać skarby wiedzy po wszystkich czynnościach życia bez zniżania ich i zamieszania, odnieść wszystkie korzyści z tego co odkryto,



doświadczenie spożytkować; teorią jej zastosowaniem wypróbować i zatwierdzić, było i będzie zawsze rzeczą nader trudną i wymagającą niepospolitą jasności i trafności sądu. Wielużto ludzi zdarza się spotkać, których teorye źle zrozumiane lub stosowane zbiły z właściwej drogi; innych których nierozważne naśladownictwo źle zastosowane do miejsca i czasu zrujnowało; innych, których zawiodła niedokończona nauka; innych wreszcie, u których zmysł praktyczny nie dorównał umiejętności teoretycznej przy jej zastosowaniu.

Nie pożyteczniejszego np. jak łączenie pewnych gałęzi przemysłu z wielką uprawą. Dają one możność zwrotu koniecznego pożywienia ziemi, oszczędzając koszta przewozu, ułatwiają produkcją mięsa, zbogacając rolnictwo i klasę zarobkującą, pomnażając pomysłność i bogactwo kraju. Ale potrzeba do tego tych warunków: wysokiego stanu rolnictwa, technicznych znajomości u przedsiębiorcy, kapitału odpowiedniego przedsięwzięciu, stosownej ilości materiałów surowych i rąk, dobrego poznania warunków miejscowych i handlowych. Niech jeden z tych warunków będzie chybiony, przedsięwzięcie źle iść lub upaść musi. Objęcie całości tych warunków i ustosunkowanie ich wzajemne, jest rzeczą rozsądku i nic go tutaj nie zastąpi.

Sąd jest narzędzie jak każde inne umysłowe, jak uwaga, jak pamięć, jak rozum; kształci się, doskonali, podnosi wyrobieniem, ćwiczeniem, rozszerzaniem sfery wiadomości, uprawą, doświadczeniem. Stosować go można i ćwiczyć tak dobrze na rzeczach wchodzących w zakres nauk, jak na rzeczach będących do pewnego stopnia po za ich obrębem jak życie codzienne, nawyki, nałogi, tradycje, obyczaje społeczne. Porównanie tak tutaj jak i na polu naukowym jest dla niego najlepszą podporą i przewodnikiem. Im więcej ma znanych danych, które obok siebie kłaść może, tém pogląd jego staje się szerszy, tém ćwiczenie większe, tém wyroki gruntowniejsze. Dlatego oprócz książek, podróże i obcowanie z ludźmi ukształconymi różnych powołań, sfer i narodowości, tak przeważnie wpływają na rozszerzenie sfery pojęć, sprostowanie, uzasadnienie zdań i wyobrażeń.

Ciasność widoków i pojęć, jednostronność sądów i idący za nimi ślepy upór na swoim, przywiązanie do niedorzecz-

nych nałogów i szkodliwych przywar, są właściwe ludziom którzy przez brak oświecenia i możności rozszerzenia zakresu swoich porównań, utknęli i zardzewieli umysłem w wązkim kółku, z którego już wydobyć się nie są w stanie. Typy takie zacofane, zapleśniałe, rodzaj mumii moralnych, spotykać się nieraz zdarza u nas po wsiach i po miastach. Lubo przyznać należy że nie jest to już typ właściwy dzisiejszej epoce telegrafów, wystaw i kolei żelaznych; coraz tóż pomiędzy klassami ukształceńszemi staje się rzadszy. Dzisiejszy typ, najczęstszy i najwięcej znamionujący obecne wady i skrzywienia jest inny. Jest to człowiek który głośno przyznaje się do tego i dumny jest prawie z tego, że interes osobisty, w pojęciu jego najmateryalniejszym i najbezwzględniejszym, jest jedyną sprężyną i pobudką jego wszystkich czynów. Celem jego życia jest użycie. Żadnej nadziei i pragnienia swego po za życie nie przenosi. Wszystkiego tylko od życia się spodziewa, na nie tylko liczy. Sztuka jego życia jest bardzo prosta: nie przebierać w środkach, byle dojść do celu. Wędrowka przez świat dla niego jestto przebijanie się przez ciżbę. Trzeba nie żałować łokci i pięści aby wyjść na wierzch: deptać co upadnie. Wszystko co górujące talentem, mieniem, imieniem, poniżać i znieważać, inaczej sam nie wyszedłby na wierzch. To jest typ charakteryzujący strony ujemne naszych czasów.

Wracamy do przedmiotu. Wspomnieliśmy że są rzeczy stojące do pewnego stopnia po za obrębem naukowym, a nie małej przecież wagi w oczach myślącego człowieka, bo stanowią niejako treść życia społecznego, są jego codzienną zwyczajną osnową a od siły, czystości i dobroci tego przedziwa zależy trwałość tkaniny społecznej. Powtarzamy, że mamy tu na myśli nawyki, tradycje, zwyczaje, jednem słowem obyczaje społeczeństwa. Ściśle rzecz biorąc nie jest i to już przedmiot po za obrębem naukowym stojący, bo moralisci, ekonomiści i na tém polu pracują. Dwa się tóż tu schodzą obozy, literatury i nauki właściwej. Powieścio-pisarze i dramaturgowie chociaż ze stanowiska poetycznego i obrazowego głównie wychodzą, niemniej jednak do tegoż samego celu zmierzają. Literaturny wpływ i znaczenie moralne jest tóż równie wielkie jak nauk. Punktów wyjść

i zapatrywań jest tam bez liku, biorąc na oko ogół literatur różnych narodów. Ideały coraz odmienne, typy niepodobne do siebie; ale dla badawczego rozumu ta różnorodność, obfitość, bogactwo szczegółów daje właśnie bogaty materiał do porównania z tém, co go otacza i najbliżej obchodzi.

Stary to axiomat że obyczaje silniejsze są jak prawa; ale aby tę siłę niespożytą rzeczywiście miały, muszą być na bardzo gruntownych oparte podstawach, głęboko korzeniami sięgając i być starannie wplecione w prawa odwieczne rozumu i natury. Takich obyczajów nie tworzy przypadek, ale rozważna praca wielu generacji, okrzesywanie, czyszczenie, ciągłe odrzucanie wszystkiego co złe, wcielanie wszystkiego co lepsze.

Tradycja społeczna jest niewątpliwie ważną rzeczą w obyczajach, ale wieleżto razy za tradycją bierze się stary nałóg, choćby z biegiem czasu stał się niestosowny, nawet śmieszny. I tradycją trzeba oczyszczać na rzeszocie sądu aby była tém, czém być rzeczywiście powinna, to jest: kwintessencją tego wszystkiego co w daném społeczeństwie zjawilo się najlepszego, najpiękniejszego, najpożyteczniejszego, najodpowiedniejszego jego warunkom i celom; czego zachowanie, przechowanie i podanie następnym pokoleniom stanowi kardynalny warunek nietylko ich właściwości, ale ich pożytku i sławy. Ma więc przeprowadzać w paśmie obyczajów społecznych nie czerwona prawdę, piękna i pożytku, bez którychto warunków, odrębna właściwość jest tylko czezą oryginalnością form.

Chwała Boża, praca około chleba powszedniego, miłość i ożenienie, wychowanie dzieci, rozrywka towarzyska, stanowią ciągłe i codzienne pasmo zajęć i trosk każdego człowieka. Zwyczajne to na pozór rzeczy; i rzeczywiście zwyczajne, bo codzienne. Jednakże w tych rzeczach zwyczajnych i codziennych odzwierciadla się cała wiara, uczucie, rozum, wszystkie przesady, nałogi, zboczenia, wady jakie tkwią w daném społeczeństwie. Jak stopień umysłowego i obyczajowego ukształcenia maluje się i cechuje w powierzchowności, ruchach, kilku wypowiedzianych frazesach człowieka; jak: barbarzyństwo, prostactwo, nieokrzesanie wycho-

dzi na wierzch przy pierwszém zetknięciu; tak również w życiu codzienném społeczeństw odbija się stopień dojrzałości lub niedojrzałości jego pojęć, wyobrażeń, mniemań, przekonań. Stanowisko kobiety, czystość życia domowego, sposób wychowania dzieci, nawet ulubione zabawy, stały się już dziś niejako próbierzami i miarą stopnia cywilizacyi. Są to gałęzie i liście krzewu na którym kwiat sztuki, owoc nauki, owoc kunsztu i przemysłu, owoc cnót publicznych i prywatnych dopiero dojrzewa. Jak się ten krzew wypiełguje, takie będą kwiaty i owoce. Na tém téż polu rozsądek ma najszersze i najpraktyczniejsze pole działania. Ze sposobu w jaki się z tych zadań wywiązuje, daje miarę swojej czystości i trafności; pokazuje czy zdolny jest prób i zadań wyższych.

# BARTOSZ PAPROCKI,

studjum literackie Józefa Iireczka.

PRZEKŁAD

Wł. Miłkowskiego.

Pan Iireczek, obecnie jeden z najznakomitszych wyobraźnieli literatury czeskiej napisał obszerną rozprawę o Paprockim pod tytułem: „Bartoloměj Paprocky z Hlohola a z Paprocke Vüle a spisovatelska czynnosť jeho.” (B. Paprocki z Głogola i z Paprockiej Woli, oraz jego działalność literacka) i tę pomieścił w pierwszym zeszycie czasopisma wychodzącego w Pradze p. t. „Časopis Musea Kralewstoa Českého” za rok zeszyły. Pierwsza część tego artykułu traktująca życiorys Paprockiego, jako opierająca się głównie na pracach naszych pisarzy, (co zresztą sam autor wyznaje na str. 4 w przypisku), nie przynosi nam nic nowego; druga atoli część pracy p. Iireczka, zawierająca oryginalny i bardzo trafny pogląd na charakter pism naszego heraldyka, zasługuje na przekład polski. Tento przekład ośmielamy się czytelnikom teraz przedstawić.

Przebiegając w myśli literacką działalność Paprockiego, spostrzegamy, że ta na wiele się rozstrzeliwała kierunków; lecz zarazem widzimy, że dążność dziejopisarska w nim przeważa, tak, że stanowi główne piętno pism jego.

Czysto genealogicznymi i heraldycznymi są dzieła Paprockiego: *Gniazdo cnoty* (1) i *Herby* (2). Takim też jest

(1) Całkowity tytuł tego dzieła jest następujący: „Gniazdo cnoty, zkąd herby rycerstwa Królestwa Polskiego, Wielkiego Księztwa litewskiego, ruskiego, pruskiego, mazowieckiego, żmudzkiego i inszych państw, do tego Królestwa należących książąt i panów początek swój mają.” Kraków. 1578 (w arkuszu). (Przyp. tłum.)

(2) „Herby rycerstwa polskiego na pięciore książ rozdzielone.” Kraków. 1584 (w arkuszu). (Przyp. tłum.)

oprócz swój części religijnej i *Sztambuch* (3). Szerszego już daleko zakroju są: *Zrcadlo* (4) i *Diadoch* (5). Dzieło to traktuje przedmiot, który później mianowicie od czasu Achenwalla przybrał nazwę teorii i statystyki: jest to spis znakomitości morawskich i czeskich. Podobną treść acz w formie bardziej skróconej znajdujemy w pracy Pawła Strańskiego, znanej pod nazwą: *Respublica Bohemiae*. *Zrcadlo* i *Diadoch* w jednym są napisane kształcie. W obu na wstępie znajduje się przegląd politycznych i kościelnych dziejów, dalej wyliczenie urzędów ziemskich, rodowód szlachty, w końcu spis miast.

W dziełach tych przedstawiono Moravianom i Czechom obraz władzy, jaką się pod te czasy mało który z krajów zachodnich mógł pochłubić. Co do genealogii i heraldyki, to słusznie Paprockiemu należy się nazwa ojca tych nauk we 4-ch sąsiednich państwach: w Polsce, na Morawach, w Czechach i na Szlązku.

Nie ulega wątpliwości, że dzieła Paprockiego mają te wszystkie wady i niedostatki, jakie nieodłącznemi były znamionami wszystkich utworów XVI wieku, opowiadających odleglejsze dzieje domowe. Niebardzo wtedy umiano właściwe dzieje odróżnić od powieści, w usciech ludu żyjących. Obu zaiste równą ważność przyznać trzeba. I podania mają swój związek i początek w wydarzeniach prawdziwych, ale ponieważ krążyły w formie zawsze nietrwałych tradycji ustnych, zatarła się przeto dziejowa ich treść po za mgłą zmyślonych szczegółów, tak, że się czasem prawdziwy stosunek na wprost przeciwny zamieniał, to znaczy: bajka stała się główną, fakt zaś historyczny podrzędną rzeczą. W Polsce niestety, najstarsi dziejopisarze krajowi szli w tym kierunku, ba, nawet bardziej jeszcze zeszcpecili swywołnie

(3) „Štambuch slezský.” Berno. 1609 (w arkuszu). (P. T.).

(4) „Zrcadlo slavného markrabství moravského, v kterémž každý stav vzácnost’ a povinnost’ svou uhlédá.” Olomuniec. 1793 (w arkuszu). (Przyp. tłum.).

(5) „Diadochus, id est successio jinak postenpnost’ knížat a králův českých, biskupův a arcibiskupův pražských i všech třech stavův slavného království českého.” Praga. 1602 (w arkuszu). (Przyp. tłum.).

swe opowiadania przez to, że osoby i rzeczy swojskie pomieszali z rzymskimi.

Nas, Czechów, dzielny Kosmas, wnuk polskiego Gieczuina, przez Brzetysława w niewoli do Czech przyprowadzonego uchronił od tego zepsucia. Dalimil i Pulkava w dziełach swoich dali miejsce baśniom, wszelako opowieści ich pozostały zawsze w kolejach wytkniętych przez Kosmasa. Cokolwiek w nich jest powieścią, łatwo odróżnić i oddzielić. Dopiero Wacław Hájek będąc uwiedziony przykładem Liwiusza, baśniom w świątyni dziejów czeskich dał przewagę nad historyczną prawdą. Gdyby dzieła swe z samych tylko skleił był baśni, nie moglibyśmy jego sposobu pisania potępiać; lecz Hájek z podziwienia godną lekkomyślnością z baśniami razem splótł niezrozumiałe wiadomości o pokoleniach i dlatego napisał dzieło, które dla dziejopisarstwa naszego tém było zgubniejszém, że nie znalazł się w stosowną porę krytyczny i dokładny jego przeciwnik.

Kuthen więcęj umocnił niż obalił to, co zrobił Hájek. Kiedy Paprocki do Moraw i Czech przybył, kronika Hájki była powszechnie czytowaną, a przedewszystkiem, w kółkach katolickich, w których nasz emigrant wyłącznie przebywał, używała niezaprzeczonej powagi: była wyżej cenioną niż historyczne dzieło biskupa Jana Donbravy. Wszakże ani Lupacz, ani Veleslavin opowieściom Hájki niedowierzali: cóż dopiero Polak, który nauczył się w ojczyźnie mniej zważać na krytykę dawniejszych dziejów? Ale bezwzględny naśladowcą Hájki przecież Paprocki nie był. Zaiste, sam przeglądając źródła dziejowe, nie raz dowiódł, że opowiadanie Hájki jest z prawdą niezgodne, a wtedy zawsze rezultatom badań własnych dawał pierwszeństwo przed wywodami czeskiego kronikarza. Mimo to jednak, sam Paprocki nie zdołał się ustrzedz bajek i powiastek, które mu za prawdę doniesiono, owszem do tego się przyczynił, że osnowa przez Hájka rozpoczęta, jeszcze obszerniejsze przybrała rozmiary. Przy rodowodach trudniej nierownie uchronić się mu było tego, ponieważ pojedyncze rody słusznie szczyliły się sławnymi podaniami, i upatrywałyby w tém dla siebie urazę, gdyby szacowne podania rodowe musiały być pominięte. Z tém wszystkiém, są dzieła Pa-

prockiego tak jak są, ważnym materiałem historycznym. Gdyby Paprocki pogardził był zupełnie podaniami, to nie tylko podania, lecz i fakta prawdziwe w nich ukryte, zniknęłyby. Słusznem jest zapewne potępić fałsz ostrą krytyką, lecz równie słusznem jest nie odrzucać tego, co prawdziwą krytykę czyni możliwą.

W *Diadochu* i *Ogrodzie* (6) zostawił nam Paprocki rozprawkę z dziejów swego czasu, napisaną potoczystym i obrazowym językiem. Tu jako świadek współczesny zasługuje na uwagę każdego, kto studjuje tę epokę.

Gniazdo, Herby i Zrcadlo zawierają bardzo wiele biografii osób, Paprockiemu współczesnych, lub tych, których żywa pamięć wówczas jeszcze nie wygasła.

Własną historyczną pracą Paprockiego jest: *Ogród królewski*, w którym w wyżej już wyrażonym pomyśle, najbardziej stanowczo występuje myśl spowinowacenia słowiańskiego. Nikt jej przed nim z taką znajomością rzeczy i tak jasno nie wygłosił. Zapewne, że słowianizm Paprockiego jest niedoskonały; jądrem jego są narodowości polska i czeska, które razem w chrześcijaństwie zachodniem najwięcej znaczyły, a w epoce Paprockiego o mało że pod berłem habsburskiem w jedną się nie zlały całość. Rusinom pan Bartosz tylko poboczne miejsce naznacza; południowych Słowian nie zna prawie.

Drzeworyty szczególnego dodają zajęcia historycznym dziełom Paprockiego. Od *Panoszy* (7) aż do *Sztambucha*, wszystkie jego dzieła są mniej więcej napełnione to wyobrażeniami cesarzów, królów, książąt, wojewodów, bohaterów i innych zasłużonych osób, to herbami miast i miejsc, które same przez się np. z powodu strojów, broni i t. d. w dziejopisarstwie nie są bez wartości. Z drzeworytów tych można sądzić ówczesny postęp drzeworytnictwa w Polsce i u nas.

(6) „Ogród królewski.” Praga. 1599 (w arkuszu, z licznymi drzeworytami).  
(Przyp. tłum.).

(7) „Panosza, to jest wysławianie panów i pamiąt ziem ruskich i podolskich. Masz też króle polskie, wojewody wołoskie sąsiedy przyległe, insze króle rzymskie i inszych narodów hetmany, krótkce opisane.” Kraków. 1575, w ćwiartce.  
(Przyp. tłum.).



Drugim głównym polem literackiej działalności Paprockiego, jest kierunek poetyczny. Bujnej imaginacji, wzniosłych uczuć naprózno byś u niego szukał: Paprocki jest, ni mniej ni więcej, tylko śpiewakiem od codziennej potrzeby. Pospolicie przy kieliszkach przyjacielskiej biesiady, słuchano jego wierszy. Polityczne stronnictwa nie gardziły pomocą, którą im Paprocki jako wierszopis udzielał. Wiersze jego płyną lekko i swobodnie; myśl główna dobrze i łatwo jest w nich wyłożoną: próżnych słów tu nie ma. Cokolwiek napisał wierszem, to napisał nie poetycznie, ale w sposób przystojny i nie bez zdolności poetyckiej: wiersze polskie są przeplatane częstemi przytoczeniami z autorów łacińskich.

Nie dziwuj się mój bracie, że lud nieubrany  
 Idzie sobie o swój los prosić między pany.  
 Mówiłem z nimi o tém, zaraz mię zfukali,  
 „Vestes nostrae virtutes” tę odpowiedź dali.  
 Potém gdym im przymawiał około wymowy,  
 I tam mię odprawili króciuchnemi słowy:  
 „Non in lingua, sed in corde sapientia est.”  
 A kiedym się naśmiewał z wiersza niekształtnego,  
 O tam mi przymówili zaraz do żywego:  
 „Nisi stupidus esses et expertus affectuum,  
 Haud quanquam visisses non carentes gladiatoria.”

(z *Triumphu Satyrów*) (8).

Forma podobna powtarza się i w niektórych artykułach czeskich, nawet prozą pisanych, jak np. w *Pannie*. Przeciwnie i *Nová kratochvíle* (9), i *Obora* (10) mniej mają téj okraszy łacińskiej. Z tego się okazuje, że u czytelników czeskich łacina nie była tak w używaniu jak u polskich.

Mniejsze swe prace Paprocki z małym wyjątkiem, pisał wierszem, chyba gdyby przedmiot mniej do tego się na-

(8) „Triumph satyrów leśnych, syren wodnych, planet niebieskich z szczęśliwego wroczenia króla polskiego Stephana do państwa jego z wojny moskiewskiej.” Kraków. 1582. (*Przyp. tłum.*).

(9) „Nová krotechvíle s kterou tři bohyň, Juno, Minerva, a Venuše na svět přišly, jedna každá z nich pět set žertův, tak také utěsedných příkladův v rozličných případnostech a příbězích k potěšeiu lidskému ukazujíc.” W trzech częściach: I wyszła w 1597, II w 1598 a III w 1600 r. (*Przyp. tłum.*).

(10) „Obora neb zahrada, ve které rozlična stvoření rozmnožám sve mají.” 1602. (*Przyp. tłum.*).

dawał. Mianowicie wierszem napisał: *Historiją żalosną* (11), *Dziesięcioro* (12), *Panoszę*, *Koło rycerskie* (13), *Testament* (14), *Krótki opis wjechania* (15), *Tryumf satyrów*. *Pamięć nierządu* (16), *Naukę rozm. filozofów* (17), *Próbie cnot* (18), *Gwałt* (19), *Katalog arcybiskupów* (20), *Naukę i przestrogi* (21). Wiersze i proza naprzemian po sobie następują w Gnieździe cnoty.

(11) „Historija żalosa o prędkości i okrutności tatarskiej i o srogiem mordowaniu i t. d. które się stało kseżaca pyzdziernika 1575.” Kraków. 1575. (Przyp. tłum.).

(12) „Dziesięcioro przykazanie mężowo, które każda poczciwa i cnotliwa małżonka ma umieć i t. d. Masz też dziesięcioro przykazanie żony, od niej zmyślone, które każdy małżonek ma przeczytać.” Kraków. 1575. (Przyp. tłum.).

(13) „Koło rycerskie, w którym rozmaite stworzenia rozmowy swe mają, z kąd człowiek może przykład wziąć, jako sam ma żyć, insze uczyć, a czego się wystrzegać.” Kraków. 1576 in 4to. (Przyp. tłum.).

(14) „Testament starca jednego, który miał trzech synów, z których jeden pijaństwem, drugi nierządną miłością, trzeci się kosterstwem (grą w kości) bawił.” Według Filipa Benralda. Kraków. 1578. (Przyp. tłum.).

(15) „Krótki i prawdziwy opis wjechania do Wołoch Iwana wojewody, którego Podkową zowią.” Kraków. 1578. (P. T.).

(16) „Pamięć nierządu w Polsce przez dwie fakeye uczynionego w roku 1587.” Pierwszy raz drukowana w roku 1588 w Pradze, in 4to. Jestto jak wiadomo, obok „Upominku,” innego dzieła Paprockiego, najjadliwsza satyra na rządy Zamojskiego. (Przyp. tłum.).

(17) „Nauka rozmaitych filozofów obierania żony, jako młodzieńcom jedni radzą, drudzy odradzają żenić się dla przyczyn rozmaitych.” Kraków. 1590. (Przyp. tłum.).

(18) „Próba cnot dobrych. k' temu nauka do obyczajów poczciwych i przestroga na rozmaite przypadki rycerzowi, oraczowi rzemieślnikowi.” Kraków. 1595. (Przyp. tłum.).

(19) „Gwałt na pogany. Ku wszem chrześciańskim panom, królom i księżętom, a osobliwie obojga stanom: duchownemu i świeckiemu uczyniony.” 1595. (Przyp. tłum.).

(20) „Katalog, albo porządne opisanie arcybiskupów gnieźnińskich od zaccęcia wiary w Polsce.” (Bez miejsca wydania, ale bezwątpienia wyszło w Bernie w roku 1608). (P. T.).

(21) „Nauka i przestrogi na różne przypadki luźkie z pisma doktorów św. i inszych mężów uczonych krótko polskim wierszem

Z dzieł czeskich wierszowane są tylko: *Potěšitedlné napomenutí*, (Przyjemne napomnienie) (22), *Kvalt* (Gwałt) (23), i *Nowá kratochwilé*. Oprócz tego i przekłady polskie wierszowanych dzieł prozą zebrano. Tylko w „Oborze“ znajduje się kilka krótkich wierszy. Że poetyczne próby Paprockiego w literaturze czeskiej zostały prawie bez żadnego skutku, o tém już wyżej nadmieniliśmy.

Najlepszym poetycznym dziełem Paprockiego jest „Koło rycerskie“ i czeskie jego obrobienie: „Obora“ Tu jedynie za przykładem Reja, jak w „Nowej krotchwili“, idąc w ślady Jana Kochanowskiego, puścił się na pole oryginalnego tworzenia.

Mniej dla nas zajęcia przedstawiają dzieła treści etycznej i religijnej; atoli cenić je należy jako autentyczne świadectwo prawdziwie pobożnego sposobu myślenia, a także pragnień i tendencji współczesnych Paprockiego: mimo to, chłoszczą ówczesne zwyczaje i obyczaje, a ztąd nie są bez wartości dla dziejów kultury.

Pisma Paprockiego w swoim czasie bardzo były popularne. Liczne wydania, jakich się pojedyncze z nich doczekały, tego dowodem. Paprocki ma, jak Wójcicki słusznie mówi, tę niepoślednią zasługę, że rozrzucił pomiędzy lud mnóstwo pisemek, w których obok satyry umieszczał bardzo wiele wiadomości historycznych, i takim sposobem rozpowszechniał je w narodzie, razem chęć i zamiłowanie do czytania budził, a z obudzonej ciekawości korzystał.

Przechodząc do szczególnych zasług Paprockiego, przede wszystkim musimy chwalić niezwykłą wytrwałość i nie-

napisane i sentencyami ich ozdobione.” W dwóch częściach. Pierwsza z nich dedykowana Giebułtowskiemu, wyszła w roku 1613 w Krakowie; druga zdaje się, że nie była drukowaną. (P. T.).

(22) „Potěšitedlné napomenutí proti poháním všechněch křesťanských potentátův s přidáním praktiky Ant. Torkvata Ferrarského, kterouž... Mathiášovi uher. králi l. P. 1480 sepsal.” Lito-myśl. 1549. Dzieło to jest przypisane cesarzowi Rudolfowi II.

(Przyp. tłum.).

(23) „Kvalt na pohany. Ke všem křesťanským pánům, králům, knížatům, a zvláště nepřemožitedlného Království Polského stavům.” 1595. Jestto dosłowne tłumaczenie polskiego dzieła Paprockiego p. t.: „Gwałt na pogany” etc., wyszłego w jednym roku z przekładem.

(Przyp. tłum.).

spracowaną w trudnych okolicznościach pilność. Żyjąc na cudzym chlebie, dokonał dzieła niezmiernie mozolnego, a z powodu porozprasanych materyałów bardzo znużonego, które należy do najrozleglejszych przedsięwzięć literackich w literaturze polskiej i czeskiej. Od 30-go prawie roku życia widzimy go ciągle czynnym. Działalność ta najwyższego punktu dosięgła między 50-ym a 60-ym rokiem jego życia, a zatém w wieku, w którym siły naturalnym biegiem omdlewają już i słabną. Herby wydał mając 41, Zrcadlo — 53, Ogród—59, Diadoch—62, Sztambuch—69 lat.

Zarzucano Paprockiemu, że pisał dla pieniędzy. Zarzut to w wieku, w którym wzrost literatury nie bez słuszności według honoraryów się mierzy, sam przez się poniekąd dziwny. Prawda, że chudy Bartosz zmuszonym był pisać dla chleba, lecz cóż robić, miałże biedę klepać i z głodu umierać? Gdyby był pisał rzeczy błache, rzeczy, na *awam i popularem* obrachowane, imię jego byłoby wyszło z pamięci i znikło, lecz bez wątpienia byłby bogatszym. Ale w tém zaprawdę, leży jego wielka zasługa, że w zapasach z potrzebami powszedniego życia, zdala od ojczyzny po cudzym, chociaż pokrewnym kraju, włócząc się, napisał dzieła, które rozmiarem i wewnętrzną swą wartością trwały mu zapewniały pomnik. Że wolał przedmioty które bogaczom i arystokracji schlebiały, to mniejszej jest wagi, niż że czynił to w taki sposób, iż mu nie tylko przyjaciół zjednały, lecz także po wygaśnięciu ich potomstwa, zostały szacownemi zbiorami ważnych wiadomości, które w innym razie, zupełnie byłyby poginęły.

Paprocki był i został zawsze wiernym synem swego kraju. Miłość ku Polsce przewodniczyła mu wszędzie, u swoich i na wygnaniu. Mimo że w obczyźnie znakomitych doszedł rezultatów, jednakże nie przestał tęsknić za ojczyzną, chociaż go w niej czekała gościnność mniejsza pono niż ta, którą się cieszył za swego pobytu w obczyźnie. We wszystkich dziełach nie wyłączając nawet jego politycznej satyry widać tę serdeczną przychylność do „najmilszej ojczyzny.“

Nieszczęściem jego było, że stronnictwą zawziętością wiedziony, nie umiał poskramiać swego pióra: pogadanki, które krążyły w kółkach szlacheckich na pośmiewisko i urą-

ganie politycznych przeciwników, bez namysłu publiczności wygłaszał. Rzeczy podobne, wypowiedziane w kółku jednakowo myślących przyjaciół, w celu rozjątrzenia umysłów uleczą, śladu po sobie nie zostawiając; ale te same rzeczy wierszem i czarno na białém między lud dane, roznoszą obrazę po dalekich krajach, dotykając tego, ku komu się zwracają, bez porównania dotkliwiej, niż najzjadlejsze ustne plotki.

Nierozważna prawdomówność, w ogóle niepoślednią była wadą p. Bartosza, zwłaszcza za młodu. W Panoszy np. gdy wynosi dowcip, odwagę, poświęcenie się i patriotyzm swych bohaterów, nie wstydzi się jednak przypomnieć sobie, czyli ten lub ów jest lubownikiem pucharu, przyjacielem zwady, albo pantoflem swój żony. Za co ci, którzy takimi epitetami byli dotknięci, mścili się, przynajmniej na książce, niszcząc egzemplarze, gdzie tylko je dopadli. Tak i później w „Herbach“ nie mógł się powstrzymać od satyrycznych napaści na niektóre osoby i rody, jak na Rozrązewskich i Lubrańskich; innych znowu tém obraził, iż je milczeniem pominął. Nie inaczej postąpił sobie w „Kole rycerskiem.“ Szczytu atoli jego uszczypliwość i szyderstwo dosięgło w sporze o tron roku 1587, gdy w „Upominku“ (24) pokusił się o zaczepkę potężnego naczelnika przeciwniej partyi. Zamojski odpowiedział mu wtedy w kilku łacińskich wierszach, lecz cięższą była jego ręka, gdy dzierząc władzę w Polsce, zaczął prześladować Paprockiego.

„Choć z niemi roście, jeleń rogi roni.... I jam nieborak nie mało uronił, gdyś mię tyranie nieprzystojnie gonił, dlatego wiersze którem ci gotował;” mówi sam nasz Bartosz o swoim stosunku do kanclerza koronnego. Mścił się i on także; lecz cóż pomoże największe uwłaczanie osobie potężnej, która na to nie zważa, albo jeżeli zwróci uwagę, to nie myśli mścić się za swe urazy. Zamojski czego chciał, dokonał: „elekcik“ jego 45 lat utrzymywał się na tronie polskim, a Paprockiemu wstęp był do Polski zamkniętym, dopóki „Szaruszek“ (nazwa pogardliwa, którą Paprocki dawał Zamojskiemu P. T.) oczu nie zamknął. Dopiero pod

(24) „Upominek albo przestroga zacnemu narodowi polskiemu.” (Drukowany w 1587 roku, bez miejsca, w ćwiartce). (P. T.).

starość wyleczył się p. Bartosz z téj wady. Cierpka szkoła życia nauczyła go ostrożności.

Ku płci pięknej, ku „białogłowom“ widoczna przebija zwłaszcza w polskich Paprockiego pismach niechęć, przekraczająca granice najprostszéj grzeczności, owszem więcej powiem, niezgadająca się wcale z dworskością, którą się chlubi szlachta polska. W Dziesięciorgu, które dedykował Andrzejowi Tarnowskiemu, kiedy ten właśnie chciał się żenić, wychwala rozum tego pana i wyraża nadzieję, że jako mówią: „zwierzę, które weźmie za żonę, potrafi ukrócić, a woli swojej nauczyć!“ Przeciwno temu już zapewne wyrażeniem gdziekolwiek w Piśmie Św. użytém, usprawiedliwia się ze wszystkiego, co tylko napisał z nienawiści do pani Jadwigi (żony swéj, z domu Kosobudzkiej, córki kasztelana sierpskiego prz. tł.), wyklada jakim sposobem zwykły żony mężów swych za nos wodzić, jak zwykły im swą wolę narzucać, do biblii, sądu i prawodawstwa się odwołują a „prawych ludzi wolnych same jak chcą, rządzą.“ Równie uszczypliwie wyśmiewa żony w „Nauce rozmaitych filozofów.“ Z początku na wygnaniu nawrócił się „cokolwiek. Zdaje się że panie czeskie, mianowicie pani Lukrecya i Poliksena dobrodziejstwem swém ukoili nienawiść, którą nasz Bartosz ze smutnego doświadczenia ku całej płci żeńskiej był powziął. Czeskie obrobienie „Nauki“ już znacznie jest umiarkowańsze i wstrzemięźliwsze niż polski oryginał. Atoli i w czeskich dziełach dawny pogląd, acz już bardziej żartobliwy niż cierpki tu i owdzie razi. „O święty kiju przyjdź nam na pomoc, a nie daj żonom przewodzić nad nami!“ woła stary zuchwalec, jeszcze w „Oborze.“

Szlachecciem był Paprocki ciałem i duszą. Uwielbiał szlachty, czy to polskiej, czy ruskiej, czy litewskiej, lub czeskiej było mu zadaniem, dla którego całe swoje życie, wszystką pracę i pilność poświęcił. Mimo to jednak nie spotykamy u niego wcale jednostronnego widzenia rzeczy w tym względzie. Zasługę gotów był zawsze uszanować, chociażby nie pochodziła od czystej krwi szlachty, od synów z „narodu szlacheckiego.“ Sam mówi że: „Nobilis est, quasi prae aliis virtute notabilis.“ Tę właśnie obojętność na szlachectwo, jak to już przy „Herbach“ zauważyliśmy

arystokracja polska z niewielką przychylnością mu wytykała.

Za młodych lat miotała nim żądza sławy. Dobrze zawsze pomniał na tę maksymę obywatela polskiego, że: „szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie,“ ale dobrze czuł, że bez bogactw celu nie dopnie: do nich téż serce go ciągnęło. Gorzko narzekał na „worek pusty,“ który mu w bystrym polocie przeszkadzał. Jak rozpaczliwego środka się uchwycił, by z nędzy wybrnąć i jak z pod deszczu dostał się pod rynnę, widzieliśmy dobrze. Nieszczęście to, z młodzieńczej nierozwagi wynikłe, przeciągnęło się i na resztę życia jego. Chcąc zostać w społeczności, z którą czuł się w pokrewieństwie, musiał służyć arystokracji, i starać się o jej względy, że nie powiem przez pochlebstwo, to wszakże z pewnością przez przymilanie się nie zawsze pełne godności. Ale niestety, czasem mu i panegiryk nie pomógł do tego, o co się usilnie starał. Stefana Batorego wyżej stawiał niż Hektora i Achillesa, którzy obaj, według niego nikną przed sławą tamtego, gdyż jak mówił, nań „oko swe obrócił sam Jowisz łaskawy.“ Cesarza Rudolfa II również pod niebiosą wynosił jako obrońcę swobód ziemskich, jako bohatera i szczęśliwego władcę; ale i tu i tam silnej protekcyi przyjaciół tylko zawdzięcza że się doczekał dość skromnej zapomogi z funduszków skarbu. Nie lepiej wiodło mu się u arystokracji, pod której opiekę się uciekał. Tylko kilku zaledwie panów pozostało na zawsze dlań przychylnemi, jak biskup Pawłowski i pan Jan Zbysiek z Hazmburka. Na wygnaniu wyrzekł się Paprocki myśli o urzeczywistnieniu wysokich zamiarów. „W pamięci nierządu“ jeszcze to pragnienie odzywa się w całej sile, lecz potém, wyrzekłszy się go zupełnie, całą duszą oddał się poszukiwaniom i badaniom historycznym. Sam nie mogąc sławnych czynów dokonywać, a kochając się w panowaniu i władzy, tém się zadowalał, że sławę innych głosił i świetne ich czyny opisywał. W inny sposób szczerze pogodził się z losem.

W czeskich dziełach Paprockiego spotykamy się z tém jego usposobieniem, że „przy chlebie i soli z dobrą wolą“ zachowuje wesołość umysłu i dobry humor. Teraz, gdy cierpienia, nieodłączne od późnego wieku dolegały go potro-

szę, życie mu się przykrzyć zaczęło. „Biedna starości, wszyscy cię pragniemy, a gdy już przyjdiesz, to na cię narzekamy,” mówi sam na jednem miejscu.

W towarzystwie zawsze był pożądanym i lubianym. Cały kierunek literacki świadczy zawsze o lekkości, z jaką o rozlicznych przedmiotach umiał rozmawiać. Szczególniej na pochwałę w nim zasługuje owa łatwość wierszowania, która sprawiała, że byle jaką myśl w poetyczne formy oblekał. Sposób ten polski wypowiedania wszystkiego tym tonem swobodnym, nieraz nawet i hałaśliwym, a obok tego zawsze „grzecznym,” w którym błyszczy owo przeświadczenie i ów zapał opowiadającego, nie pozwalający nigdy słuchaczowi być obojętnym; tonem, który płynął ze sprężystego charakteru Polaków w ich szlacheckim społeczeństwie a podziś dzień jednym z niepoślednich powabów pędzi polskiej być nie pozostał, właśnie wtedy zaczynał się podobać szlachcie czeskiej. I u nas było różne życie szlacheckie: były uczyty i biesiady, ale częścią że narodowy nasz charakter w ogóle mniej jest elastyczny, raczniej poważny i że tak powiem towarzyski, częścią znowu że za czasów Paprockiego spory religijne cały byt społeczeństwa czeskiego przenikały, wszystkim rozmowom dodając więcej lub mniej sekciarskiego ascetyzmu, a ten, chociaż po większej części był tylko powierzchownym, ba, nawet często i udanym, a przecież w samym zawiązku niszczył wszelką lekką zabawę i serdeczną wesołość. Przy takiej posusze, ukształcony i dowcipny szlachcic polski bywał zawsze zjawiskiem, który umysłowi czeskiemu sprawiał przyjemność i pokrzepienie. Gdyby przez wybór jakiego arcy-księcia polityczne węzły między Czechami i Polską wzmocniły się, nie ulega kwestyi, że częstsze i serdeczniejsze obu narodów stosunki sprawiłyby i w Czechach przewrót, że polskie bohaterstwo przemogłoby czeski purytanizm.

Godnym jest uwagi, że Paprocki i w ogóle szlachta polska, która wtedy do nas przybywała, najwięcej przyjaźniła się ze szlachtą czeską katoliczką, która pomimo wszystkich sporów o artykuły wiary, świeżość myśli lepiej zachowała, niż to upatrujemy w arystokracji utrakwistów, a szczególnie u arystokracji braci czeskich.



Dla poznania ówczesnego charakteru czeskiego i polskiego niema stosowniejszego porównania jak postawienie Paprockiego obok Lomnickiego. Obaj wzrosli między szlachtą, starając się o uprzyjemnienie im uczt; obaj w tym celu używali wierszów, długą wprawą nabytych, a przecież, jakże wielce różni się jeden od drugiego!

Paprocki umie rzeczy najprostsze oddać w interesujących zwrotach mowy, które czytelnik z przyjemnością przebiega; przynajmniej w formie znajdując zabawę i przyjemność, gdy Lomnickiego poetyczne twory nie są czém inném, jak ino wierszowaną prozą, rymem rozdzieloną.

Czasem trafi mu się jakby z dopuszczenia bożego oblec myśl swą w jakąś poetyczną szatę, to w całości rozwlekłość i płochość i jałowość dydaktycznych wierszy jego, tylko nudzi i nuży.

Toż samo należy powiedzieć i o prozaicznych utworach tych dwóch pod wielu względami równych, sobie współczesnych mężów.

Jednak, nawet żywość charakteru polskiego nie uchroniła naszego Bartosza od religijnego szperania, podówczas w Czechach powszechnego. I on mu podległ, jako nieuchronnej zarazie wieku, aczkolwiek nigdy się do szczytu przed niém nie ugiął. Oprócz dzieł religijnych, zawsze pilnował nauki rycerskiej, zawsze się zwracał do dziejów, ulubionego swego zajęcia, które mu na zawsze wdzięczną u potomności pamięć przechowa.



## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

S. p. Ponsard i jego dzieła. — Fotografia i galwano-plastyka na wystawie powszechnej. — „Wiek reformacyi” Karton Kaulbacha nagrodzony wielką nagrodą honorową na wystawie powszechnej. — Dwa ostatnie utwory Clésingera. — Wiadomości literackie.

Śmierć Ponsarda, budującego dramaturga i prawego człowieka, jest wielką stratą nie tylko dla piszącej, ale i dla żyjącej Francyi. Nie należał on do owych drogoskaszów, co to pokazują drogę a sami nigdy nią nie chodzą; przeciwnie, co polecał drugim, to sam pełnił. Dlatego słowo Ponsarda miało znaczenie. Duch słuchacza zawsze odgaduje ducha mówcy, i nie pójdzie za kaznodzieją co jemu wpaja przez siebie niepraktykowane teorie. To poczucie ludziom wrodzone, jest kamieniem probierczym apostołów, sprawiedliwością Bożą, niedozwalającą niezasłużonym długo stroić się w szatę świętości.

Ponsard, że nie z doktryny ale z serca czerpał, miał posłuch, nawet we Francyi gdzie już słowo nic nie znaczy; moralizował ziomek; a sam, praktykując dobre, doskonalił się ciągle na podstawie cnoty ewangelicznój. Ostatnie jego dzieło: *Galileusz*; jest dalszym ciągiem, rozwinięciem pierwszego: *Lukrecyi*, gdzie zasady prawości postawił.

Nauczający jest, choć nie jaskrawy, przebieg zawodu dramatycznego Ponsarda.

Ponsard zmarł w Passy 9 lipca 1867 roku, urodził się we francuzkiem mieście Vienne (dep. Isère). W Lyonie ukończywszy szkoły, przybył do Paryża uczyć się prawa.

Zawód literacki rozpoczął rymowanym przekładem *Manfreda*, który wydał swoim kosztem (1837). Skończywszy naukę prawa, wrócił do rodzinnego miasta, gdzie jednocześnie bronił spraw w trybunale jako adwokat, i pisał artykuły do miejscowego przeglądu.

Talent panny Rachel podał Ponsardowi myśl pisania tragedyi. Ukończywszy klassyczną tragedya wierszem: „*Lukrecya*,” posłał ją do Paryża. Rachel nie zwróciła na ten utwór uwagi: dyrektor Odeonu odmówił przedstawienia. Sztuka, czytana w kole literackim u hrabiny d'Agout, w obec Lamartina, pp. Sainte-Beuve i Mignet, została narzeczcie oceniona sprawiedliwie. Tam najpierw zabrzmiało imię Ponsarda. Nieznani, a możni przyjaciele, zajęli się młodym autorem. Pierwszą sztukę jego przedstawiono w kwietniu 1843 roku, w Odeonie. Znacomity ten utwór, znawcy kładą najwyżej ze znanych dzieł Ponsarda. Okrzyknięto go od razu odrodzicielem sztuki klassycznej, współzawodnikiem Wiktora Hugo. Akademia francuzka tragiczną nagrodę przyznała *Lukrecyi*.

Pomiędzy czytaniem *Lukrecyi* i *Galileusza*, pierwszego a ostatniego dzieła Ponsarda, które odbyło się w tymże samym salonie w obec tych samych sędziów, upłynęło lat dwadzieścia trzy. Przez tę ćwierć wieku, poeta, rzecz rzadka, pozostał wierny szlachetnej muzie która podyktowała mu jego pierwszą sztukę: człowiek, rzecz jeszcze radsza, zachował w sercu pamięć i cześć pierwszych przyjaźni.

Z tych dwóch faktów wypływa całość istoty Ponsarda, cała osobistość moralna i literacka, bardzo wyraźna, bardzo zacna, mianowicie uderzająca w czasie kiedy kontrast tworzy ze wszystkiem co ją otacza. Ludzie którzy orzekli sąd swój o Ponsardzie, owego wieczora kiedy im się duch jego objawił, swój wyrok powtarzają dziś na jego grobie.

W chwili kiedy *Lukrecya* zyskała świetne a niespodziewane powodzenie w Odeonie, romantyzm panował jeszcze panowaniem starém, które się przeciągało, jako bywa, skutkiem lenistwa lub tchórzostwa poddanych. Wiktor Hugo tronował w akademii; Alfred de Vigny miał do niej wejść niebawem; Lamartine milczał; a Chateaubriand z głębi nudów w Abbaye-aux-Bois, słuchał wierszy Racina i przyklaskiwał niezrównanej sztuce z jaką je wypowiadała już sławna Rachel.

Romantyzm, powiedzmy otwarcie, już się był sprzykrzył. Przesadny, zapalczywy, namiętny, zbyt wiele zburzył a zbyt mało postawił: najszczerzy stronnicy mieli doń tajemną urażę za niedotrzymanie obietnicy. Umysły były zmęczone teatralnymi gwałtami: pożądaną sztuki spokojnej: *Lukrecya* napoiła spragnionych.

Spokój i prostota téj pięknej postaci starożytniej, nadzwyczajne sprawiła wrażenie: powodzenie było ogromne! Krytycy zostali zachwyceni; kobiety życzyły poznać autora, salony otworzyły się przed nim na rozcięż; fetowano go, otaczano, chwalono: nigdy gorętsze przyjęcie, więcej nie zadziwiło najnieśmielszego ze zwycięzców.

Ponsard miał wtedy lat dwadzieścia dziewięć. Przybywał z prowincyi, pełen ognia, uczciwości, zakłopotania... był nadzwyczaj niezgrabny, bardzo dumny i bardzo nieśmiały.

Zacny dom rodzicielski i uczciwe okolenie znać było w nim wyraźnie. W Daufinane wszystko sprzyjało rozwojowi jego szlachetnego talentu. Z natury do rozmyślań skłonny, z nieomylném poczuciem piękna i prawdy, Ponsard ze wzgórze na którym stał dom ojca, szerokie obejmował widnokęgi. U nóg jego płynęła modra rzeka podobna do niebieskiej wstęgi; pasma gór dalekich rymieniał blask wschodzącego i zachodzącego słońca; na szerokiej równinie sterczały jako widma wielkiej przeszłości, gęsto rozsiane szczątki rzymskiej potęgi. W mieście, kiedy doń schodził, Ponsard znajdował bogatą bibliotekę i bogate muzeum, wielu uczonych profesorów, wszędzie obyczaj uczciwy i łagodny, przedstawiający duszy skupienie, a umysłowi dzielność. Zabawy wiejskie, polowanie, rybołówstwo, żniwa, winobranie dodawały czerstwości ciału, krzepiły organizacją, utrzymywały zdrowe mieszkanie wyobraźni utworzonej z rozsądku i poczci.

W takiej ramie prostej i wielkiej, w ciągu czteroletniego istnienia nie mniej prostego, ale nie powszedniego; przesiąknięta czarem natury, miłością rodziny i powagą historycznych wspomnień, przyszła na świat *Lukrecya*, bez gorączki ani popiechu.

Wychowany z miłością, podsycany bujnym życiem, ogrzany podwójnym promieniem Wirgiliusza i Corneilla, piękny ten owoc poetyczny sam odczepił się od drzewa w danéj

godzinie i zupełnej dojrzałości. Przyjacielska ręka go wzięła wtedy i podała Paryżowi. Tu czekały go burze.

Powodzenie *Lukrecyi* spotkało się w stolicy z niepowodzeniem *Burgrawów* Wiktora Hugo. Stała się więc mimo woli przyczyną rozjątrzenia. „Il faut nous venger de cet affront” rzekł Alfred de Musset wychodząc z pierwszej reprezentancyi. Słowo nierozważne padło w tłum i stało się hasłem głośnych niechęci. Systematycznie napadano Ponsarda. Fanatycy szkoły, a byli jeszcze tacy, w powodzeniu *Lukrecyi* widzieli tylko impertynentką odpowiedź na *przedmowę do Cromwella*. Wyobrażano sobie, że Ponsard pisząc tragedję, miał jedynie na myśli zelżenie Hugona, ogłoszenie siebie obok niego naczelnikiem szkoły, restauracyą zrzuceną z tronu tragedyi.

Romantycy bezinteresowni szczerze klaskali nie widząc bynajmniej w tej sztuce *afrontu* dla Szekspira i ducha nowoczesnego; Dorval i Bocage, para najpotężniejszych wyrazieli dramy romantycznej, przyciągali co wieczór tłum do Odeonu i roznamietali go dla *Lukrecyi*.

Powiedzmy kilka słów o tej tragedyi.

Sam obiór takiego przedmiotu dowodzi w autorze poczucia wielkiej sztuki. Katastrofa domowa, mogąca dosięgnąć każdego: shańbienie kobiety pociągające za sobą upadek państwa, to jeden z owych fatalizmów pierwotnych, powszechnych, wiecznych, jeden z owych węzłów tragicznych, których docisk straszliwy ludzie czuć będą po wszystkie czasy. Nic poważniejszego, nic większego, nic dalszego od anegdotycznych przygód powszedniego życia, od ciasnych nieszczęść prywatnych, z których teatr tegoczesny czerpie łyż swoje i wyroki.

Jeżeli honor Kollatyna nas obchodzi i zapala, to dla tego że jest także honorem Romy; jeżeli obłąkanie Brutusa nas przeraża, to dla tego że w nim czujemy nieprawość Tarkwiniuszów i blizką zemstę bogów: jeżeli żelazo które przecina pasmo dni *Lukrecyi* przejmuje nas tragicznym dreszczem, to dla tego że jednocześnie przecięło przeznaczenie narodu.

To pomieszanie dwóch akcyi różnych a nie rozłączonych w surowej karze, bezwiednie wywiera na duszy widza potężne wrażenie.

Może także nie zdając sobie sprawy, ale idąc za popędem geniusza, Ponsard mieszał zawsze w swych sztukach interes ogólny z interesem rodzinnym: należy uważać na ten rys charakterystyczny, który mianowicie w *Charlotte Corday* silnie jest nakreślony.

W trzech tragediach Ponsarda: *Lukrecyi*, *Agnieszce de Meranie* i *Charlotte Corday*, to co historyk społeczny Buckle, zowie *lois majeures* to jest *prawa starsze*, rządzące szczepy i państwa, staczają bój z prawami *młodsze* (*les lois mineures*) którym człowiek w swoim życiu własnym jest poddany. Życie Lukrecyi, życie Agnieszki, życie Charlotty, złożone są w ofierze tajemniczemu bóstwu chciwemu krwi ludzkiej, przewodniczącemu przeznaczeniu naródów. Ludzie żałują i płaczą poświęconych bohaterów, ale czują w nich ofiarę poświęconą dla zbawienia wszystkich, i to poczucie podnosi duszę do wysokości sztuki *wiecznej*, która umie, jak natura, znaleźć życie w śmierci.

W tych trzech tragediach (i to także rys wybitny), główną figurą kobieta. Fatalność historyczna jest złagodzona przez słodycz bohaterstwa niewieściego, które na ciemny wątek dramy leje jakiś czar miękki, jakiego męskie bohaterstwo nie posiada.

Od pierwszej sceny *Lukrecyi* ten czar ogarnia. Ideał niewieści starożytnego życia: małżonka przy ognisku, wśród niewiast, rozdająca robotę i oczekująca męża—przedstawia się oczom w obrazie pełnym gracyi.

Obraz podobny, poufne czytanie romansu Lancelot'a, rozpoczyna *Agnieszkę de Meranie*, podobnie jak wrzecziono Lukrecyi, daje widzenie życia niewieściego później, w wiekach średnich.

Salon pani Breteville gdzie Charlotta Corday wchodzi pokornie „opancerzona w swoją dobrą sławę”—to jeszcze rozrzewniający zakątek serca kobiecego, przejmująca poezye dwóch różnych, a zestawionych widnokręgów.

Niedość pono zważano na tę górującą nutę w teatrze Ponsarda. Uchwycenie jęj lepiej niż wszystko inne dopomaga do oznaczenia współudziału romantyzmu w jego klasycznych tragediach. Skoro tylko kobieta, obywatelka czy królowa—ale żona, córka, kochanka, matka, zajmuje w nich pierwsze miejsce—ząd wynika dla artysty takiego jak Pon-

sard u którego styl jest zawsze draperyą myśli, ważność scen rodzinnych, ognisko domowe, cały świat określony, obcy abstrakcyi, nieprzystępny retoryce, pełen szczegółów malowniczych, żywych i nadobnych, po za którym kobieta nawet bohatérska, nigdy nie mogła być pojętą przez prawdziwego poetę.

Męzka wymowa napół polityczna, pokrewni Ponsarda z Corneillem; liryczne, sielankowe poczucie życia niewieścigo czyni go powinowatym Andrzeja Chenier; czyni go spadkobiercą najczystszych bogactw sztuki nowoczesnej.

*Lukrecya*, którą my za najwyższe dzieło Ponsarda uważamy, jest płodem tego podwójnego natchnienia.

Ponsard pojmował teatr tak jak go pojmovali starożytni. Pragnął żeby był we Francyi jak w Grecyi, narodowy i popularny. Mawiał, iż trzeba weń włożyć w całej prawdzie narodową historią, jej walki cywilne i religijne. W *Agnieszce Meranie* pokazał zapasy francuzkiej pychy monarszej, z pychą włoskiego papieżstwa. Później pokazał na scenie figury epiczne wielkiej rewolucyi.

Trzy lata upłynęło od powodzenia *Lukrecyi* i nic się w życiu poety nie zmieniło: płynęło jak przedtém, ciche, pracowite i ukryte.

W 1846 roku przybył do Paryża z nową tragedią równie obcą jak poprzednia chciwości, szarlatanizmowi, zawiściom i wszystkim złym namiętnościom współzawodnictwa literackiego. Z przyjęcia wnet poznał że te wszystkie namiętności na jego zgubę się sprzysięgły: sieczono go szyderstwem, ziębiono niechęcią... Dlaczego? Przez ubiegłe trzy lata, mimo jego woli, zaciągnięto Ponsarda urzędowo w szeregi reakcyi klassycznej. W r. 1845 akademia dała mu nagrodę tragedyi ufundowaną w 1830 roku, jako tamę przeciwko zalewom romantyzmu. Zjawili się téż w Paryżu nie-szczęśliwi naśladowcy Ponsarda: mimowolnie ujrzał się głową szkoły.

Ztąd więcéj niż zimne przyjęcie *Agnieszki*. Krytyka uznała ją bladą kopia pisarzy XVII wieku. O pierworzędnym zaletach poetyckich które słabość intrygi sownie na gradzają w *Agnieszce*, przemilczano.

Tak wielka surowość i niechęć widoczna, zasmuciła i zaniepokoiła Ponsarda. Szczerą i czystą duszę nieraz

śmiertelnie rani zła wiara i zła wola ludzi niby wyższych. Skłonny do smutku nie wysoko o sobie trzymający, Ponsard zwątpił o własnych siłach: zdawało mu się iż przyjaźń powszechności utracił. Krytyka zbiła go z toru: przeląkł się Szekspira do którego dążył, zbliżył się do Racina — i nigdy już, nawet po odzyskaniu względów opinii, nie odzyskał wolnego lotu i oryginalności pierwotnej.

Ruch 1847 i 1848 roku, w którym Ponsard jako demokrat ucześnie występował, wydobyl go z literackiej niepewności. W umyśle jego zjawila się republikancka postać Charlotty-Corday i z zapalem napisal pierwsze akty tej pieknej tragedyi, ktora nie pozostala w repertoarze teatralnym, ale ktora pozostaje w pamieci kazdej prawej duszy, wlasnie z powodu tej porywajacej potegi co ja ze sceny wygnala.

Podczas kiedy Ponsard pisal *Charlotte*, jego przyjaciele oglosili rzeczpospolita. Przyszla mu ochota do zycia publicznego i zaladal od wspolobywateli zeby mu dali miejsce w *Assemblée Constituante*: brakiem dwuch glosow nie zostal wybrany.

Wsród zawodow powszechnych, pod koniec rzeczpospolitej, Ponsard dokonczyl *Charlotte*. Od najzywszych zludzen Francya byla przeszla do zniechecenia. Skoro przedstawiono *Charlotte* w Theatre Francais 23 maja 1850 roku, niezgoda byla zupelna pomiedzy republikańską wymowa bohaterki a usposobieniem sluchaczy. Sztuki sluchano w oziębłym milczeniu.

Co poczac wtedy? Przekonania artystyczne Ponsarda nie spotykaly sie juz z panujacym smakiem. Nie chcąc być tragikiem okolicznościowym, wyrzekł się pisania dla sceny na której już nie mogły wystąpić bohaterki takie jak *Lukrecya* i *Charlotta*. Wyrzeczenie się to nie przyszło łatwo. Ponsard najpierw probowal sil w przedmiocie starozytnym, rodzaju mieszanego: napisal *Ulisses*. Ale mimo powabu muzyki wezwanej na pomoc poezyi celem zwyciezzenia obojętności publicznej, *Ulisses* nie mial powodzenia.

Ponieważ był materyalny Ponsarda zostal zachwiany przez zakazanie jego tragedyi, poeta musial uledz konieczności. Bral więc przedmioty nie zupelnie ze swym talentem zgodac, ale zgodniejsze z pojeciami i obyczajami czasu bie-



żącego. Obyczaje jego Ponsard przeniósł na scenę w komedyach, gdzie się znajdują mniej wysokie, ale jeszcze wysokie zalety jego tragedyi.

Ogromne powodzenie *Honoru i pieniędzy* nie pogodziło autora ani z gustem mieszczańskim ani z przedmiotem społecznym który mu ten gust narzucał.

Wśród wrzawy tryumfu, wśród brzęku sypiącego się złota i powinszowań przyjaciół zachęcających do iścia po tój środkowej drodze, Ponsard na swoje wyżyny uciekł, powrócił do swojej muzy surowej, do figur historycznych i filozoficznych, które objawiły mu się u kolebki. „Galileusz mnie oczarował, pisze w roku 1854; muszę go pokazać na teatrze.“

Ów Galileusz który go oczarował w 1854 roku, ukazał się na scenie w 1867 r. z wielkiem, niezaprzeczonem powodzeniem któreśmy na tém miejscu stwierdzili.

Sztuki tój Ponsard już nie widział w teatrze. Szarpawy straszną chorobą która go zabiła, ledwie mógł ją wykończyć w Passy, w domu pana Jules-Janin. Sławny krytyk kochający szczerze Ponsarda, zaprosił go do siebie przed półrokiem, mniemając że świeże powietrze, piękność i spokój uroczego wiejskiego zacisza przyczynią się do polepszenia jego zdrowia. Podczas kiedy Janin pielęgnował Ponsarda, Emil Augier doglądał prób *Galileusza* w teatrze francuzkim. W czasie pierwszego przedstawienia przysłał kilka telegramów Ponsardowi, ale nazajutrz znaleziono je nierozpieczętowane na łożu chorego.... nie mógł ich czytać, chociaż Galileusz był jego ulubionem dziełem.

Okropne konanie przeciągnęło się kilka miesięcy wśród strasznych męczarni.. Umarł na skira — to dość powiedzieć.

Z Passy powieziono ciało Ponsarda do Vienne, jego rodzinnego miasta: gdzie przeżył młodość szczęśliwą, tam znajduje wieczny odpoczynek. Zasłużył nań ten człowiek i pisarz sprawiedliwy, którego dusza mniej była spokojna, niż muza. Ów *chłodny* neo-klassyk doznał wzruszeń *niesztucznych* które byłyby zabiły nie jednego romantyka. Ile było czułości, dobroci, poświęcenia, prostoty i zapału w tój duszy, wiedzą wszyscy świadkowie życia Ponsarda, wszyscy niepośczeni, odkąd druzynę wylanych przyjaciół porzucił.

Czyniąc pobieżny przegląd nowości naukowych znajdujących się na wystawie powszechnej, pominiemy wynalazki podrzędne, a zastanowimy się nad tém jedynie co przedstawia postęp rzeczywisty. Mówiąc o fotografii, zamilczymy o jej tworcach zwyczajnych, portretach, krajobrazach i pomnikach: fotografia doszła do takiej doskonałości, że opisując jej odbicia, można tylko tę doskonałość dzisiaj powszechną, stwierdzać. Odkładamy więc na bok zwykłe odbicia fotograficzne żeby pomówić w sposób o ile można zrozumiały niespecyjalistom, o tém co w tej sztuce stanowi postęp, udoskonalenie i przyszłość.

Postęp ten, to udoskonalenie, ta przyszłość leży niezaprzeczenie w przemianie odbić fotograficznych na sztychy. Niezadługo rzeczywiste odbicia fotograficzne istnieć przestaną. Zamiast kartek wykonywanych pojedynczo, robić będą wedle fotograficznego cienia, sztychy odbijane na setki jak staloryty. Wówczas cena fotografii znacznie się zniży z powodu łatwej i taniej pracy. Jednocześnie osiągniętą zostanie ta główna korzyść, że wyobrażenie wykonane farbą drukarską, jak sztych zwyczajny, będzie miało trwałość nieograniczoną.

Sędziowie przysięgli wystawy powszechnej doskonale zrozumieli gdzie szczyt sztuki fotograficznej, przyznając wielką nagrodę nie jej najlepszym okazom, ale wynalazcy najlepszemu sposobu przeobrażania *cieni* fotograficznych w *plansze* sztychowe, uwieczniając nikłą robotę słońca.

Wynalazcą najwyżej nagrodzonym jest Francuz, pan Garnier. Drugi fotograf pan Tessié du Motay, za podobny proceder otrzymał jeden z dwóch złotych medali przeznaczonych fotografom.

Sztychowanie odbić fotograficznych, zadanie fundamentalne fotografii, wedle wyroku przysięgłych, stanowczo rozwiązane zostało; co jest rzeczą nie małą dla tej nowej sztuki, gdyż dokonane odkrycie było jej najwyższém dążeniem.

W galeryach ekspozycji powszechnej wystawiono liczne okazy *sztychów heliograficznych*. Sztychy takie wystawione przez pana Garnier, zawierają jedno arcydzieło: widok pałacu Chenonceaux. Widzimy najprzód fotografią tego gmachu zdjętą z natury; obok takież widok na miedzi ryty wedle

tęj fotografii: nakoniec odbicie na papierze tej *planszy*. Jest to prawdziwy sztych niezem nie różniący się od sztychu *à l'aquatinta* ogromny rezultat długich poszukiwań.

Ten tylko zarzut można uczynić wystawie pana Garnier, że nie jest dość rozmaita: sama architektura. Któż zaręczy że sposób z pomocą którego otrzymał te piękne pomniki i drzewa, równie doskonale odda twarz człowieka, będącą probierczym kamieniem sztychowanej fotografii. Nieobecność portretu każe się obawiać, że system pana Garnier nie jest równie doskonały w portretowaniu jak w architekturze i krajobrazach.

Współzawodnicy pana Garnier wystawili sztychowane wedle fotografii wizerunki. Pan Pacet wystawił portret kobiety, który nam się wydał pierworzédnym dziełem w tym rodzaju; pan Tessié kilka portretów męzkich będących ostatniem słowem foto-sztychu.

Sposobu swojego p. Garnier jeszcze nie ogłosił: może go znają sędziowie przysięgli, ale powszechności dotąd niewiadomy. Sposób pana Tessié możemy tu opowiedzieć w krótkości.

Pan Tessié de Motay jest oddawna znanym czynnym i wytrwałym wynalazcą, któremu nietylko fotografia, ale wiele innych gałęzi nauki i sztuki zawdzięczają wynalazki całkiem oryginalne. Jego wystawa fotograficzna składa się z rozmaitych zastosowań *camery obscury*: portrety, pomniki, krajobrazy, wnętrza, wszystko to Tessié reprodukuje sztychem heliograficznym z równą dokładnością.

Pan Tessié nie przenosi fotografii wprost na kamień lub blachę. Zdaniem jego, o tę trudność rozbili się wszyscy jego poprzednicy. Kamień lub kruszec, mówi Tessié, muszą być przed rozpoczęciem operacyi pokryte masą czułą lub wraźbną. Owóż, ten pokład, chociażby był najcieńszy, powoduje zboczenie promieni światła i deformacją postaci, którą się przekaże papierowi za pośrednictwem farby tłustej. Nadto, kruszce i kamienie nie mogą uchwycić tłustej farby, tylko będąc uziarnkowane chemicznie lub mechanicznie. Ziarnkowanie, chociażby najdelikatniejsze, obnaża części wystające metalu czy kamienia, które daleko są większe od punkcików z których utworzone fotografie z soli srebra,

a t $\acute{e}$ m sam $\acute{e}$ m, zmieniaj $\acute{a}$  w odbicia nier $\acute{o}$ wne, niezdarne, przedmiot doskonale przez  $\acute{s}$ wiat $\acute{l}$ o narysowany.

Trzeba wi $\acute{e}$ c by $\acute{l}$ o szuka $\acute{c}$  podstawy inn $\acute{e}$ j jak kamie $\acute{n}$  lub kruszec, podstawy, kt $\acute{o}$ ryby z powodu  $\acute{s}$ cisko $\acute{s}$ ci i ci $\acute{a}$ g $\acute{l}$ o $\acute{s}$ ci swych p $\acute{o}$ r, przyje $\acute{l}$ a odbicie t $\acute{l}$ ust $\acute{a}$  farb $\acute{a}$ , bez ziarenek naturalnych lub sztucznych.

Mieszanina rybiego kleju i gummy, rozci $\acute{a}$ gni $\acute{e}$ ta r $\acute{o$ wno na blasze pierw chemicznie przyprawion $\acute{e}$ j, sta $\acute{l}$ a si $\acute{e}$  gruntem na kt $\acute{o}$ ry pan Tessi $\acute{e}$  przenosi fotografie. A $\acute{z}$ eby odbicie  $\acute{s}$ wiat $\acute{l}$ a przenie $\acute{s}$  doskonale, potrzeba najprz $\acute{o}$ d rozgrza $\acute{c}$  pok $\acute{l}$ ad wr $\acute{a}$ zebny. Tessi $\acute{e}$  przez kilka godzin rozgrzewa przy $\acute{s}$ posobione do przyje $\acute{c}$ ia reprodukcji blachy w piecu, gdzie temperatura r $\acute{o$ wna pi $\acute{e}$ cdziesi $\acute{a}$ t stopniom. Bez t $\acute{e}$ j poprzedni $\acute{e}$ j operacji, pok $\acute{l}$ ad rybiego kleju i gummy, nie wspiera dzia $\acute{l}$ ania drukarskiego ci $\acute{a}$ ł t $\acute{l}$ ustych.

Skoro blachy pokryte, rozgrzane dostatecznie, wystawia si $\acute{e}$  je na dzia $\acute{l$ anie  $\acute{s}$ wiat $\acute{l}$ a. Czas ich wystawienia zale $\acute{z}$ y od stanu dnia i pory roku. P $\acute{l}$ yty uwra $\acute{z}$ ebnione, odbywaj $\acute{a}$  d $\acute{l}$ ugie k $\acute{a}$ piele, a pot $\acute{e}$ m s $\acute{a}$  suszone. Przeszed $\acute{l}$ szy przez ca $\acute{l}$  $\acute{a}$  powyzsz $\acute{a}$  manipulacj $\acute{a}$  s $\acute{a}$  dopiero zdolne przyj $\acute{a}$ ć farby t $\acute{l}$ ust $\acute{e}$ j wycisk dokonany zwyk $\acute{l}$ ym sposobem.

P $\acute{l}$ yty posiadaj $\acute{a}$ ce w $\acute{l}$ asno $\acute{s}$ ci sztychu i litografii, tworz $\acute{a}$  si $\acute{e}$  z syntezy dw $\acute{o$ ch fenomen $\acute{o}$ w, fizycznego i chemicznego, kt $\acute{o$ rych odkrycie pan Tessi $\acute{e}$  przypisuje dwom swoim poprzednikom, pp. Senefelder i Poitevin.

Powyzszym sposobem przygotowana p $\acute{l}$ yta, mo $\acute{z}$ e w przeci $\acute{e}$ ciu odbi $\acute{c}$  75 egzemplarzy. Po odbiciu t $\acute{e}$ j ilo $\acute{s}$ ci, wypuk $\acute{l}$ o $\acute{s}$ ć si $\acute{e}$   $\acute{s}$ ciera, a odbicie na papierze nie jest ju $\acute{z}$  wyra $\acute{z}$ ne. Ograniczenie odbi $\acute{c}$  do tak ma $\acute{l}$ ej ilo $\acute{s}$ ci, jest s $\acute{l}$ ab $\acute{a}$  stron $\acute{a}$  nowego sposobu odt $\acute{l}$ aczania; ale pok $\acute{l}$ ad blachy niekosztowny, doz $\acute{w}$ ala cz $\acute{e}$ sto zmienia $\acute{c}$  p $\acute{l}$ yty.

Pana Tessi $\acute{e}$  wynalazek sztychowania fotografii, ju $\acute{z}$  jest wypr $\acute{o}$ bowany. Od roku praktykuj $\acute{a}$  go w Metz, w pracowniach pana Marechal, s $\acute{l}$ awnego szk $\acute{l}$ o-malarza, kt $\acute{o$ rego pan Tessi $\acute{e}$  jest wsp $\acute{o}$ lnikiem. W chwili obecnej, pan Lemercier kt $\acute{o$ rego nazw $\acute{e}$  i dzie $\acute{l}$ a zna  $\acute{s}$ wiat ca $\acute{l}$ y, zaprowadza w swoich pracowniach praktycznie, Tessiego proceder sztychowania fotografii: jestto podobno najlepszy dow $\acute{o}$ d rozwi $\acute{a}$ zania zadania.

Obok wystaw pp. Garnier i Tessié, figurują okazy rozmaitych sposobów ich poprzedników dążących do obecnie osiągniętego celu. W pierwszym rzędzie odbicia Poitevin'a, autora wynalazku podstawniczego sztychów heliograficznych; odbicia pp. Nègre, Placet i Baldus oddawna postępują na tój drodze. Reprodukcyje tój grupy *szukaczy*, są bardzo ciekawe, nie tyle dla obojętnego wzroku ile dla ludzi zajętych postępowaniem fotografii. Francuzi są niewątpliwie przodownikami tego postępu: oni doprowadzają fotografią do nieśmiertelności, a przynajmniej do trwałości, na której jój dotąd zbywało. Odbicia słoneczne pozostawione w stanie w jakim się teraz znajdują, za kilkadziesiąt lat nie pozostawiłyby śladu po sobie, to rzecz dowiedziona.

Kilku wynalazców angielskich i holenderskich, przyczyniło się, ale słabo, do rozwiązania problemu o którym mowa. Pan Pretsch z Londynu, Asser z Amsterdamu i Woodbury z Londynu, wystawili swoje sztychy heliograficzne.

W początkach, to jest w 1855 roku, Pretsch zaprzeczał panu Poitevin wynalazku lito-fotografii. Rzecz nierozstrzygnięta: Anglicy jemu, Francuzi swojemu przypisują starszeństwo pomysłu. Faktem jest, że dzieła obu zarówno dobre.

Asser z Amsterdamu wystawił sztychy heliograficzne dokonane innym sposobem, swojego wynalazku. Odbicia jego są daleko gorsze niż francuzkie, dlatego sposób holendra późniejsze dający rezultaty, a niemający za sobą ani większych ułatwień, ani taniości, bo francuzki nie jest kosztowny, nie wejdzie w użycie.

Pan Woodburg przynosi znaczne ulepszenie w sposobie odbijania fotografii. Odbija on fotograficzne sztychy na ołowianej blaszce. Reprodukcyje jego robione węglem i żelatyną są bardzo miękkie i zupełnie do zwykłych fotografii podobne. Właściwie, nie jest to ani sztych ani fotografia, rzecz odrębna, ale bardzo ładna. Sądzimy tylko, że ponieważ wynalazca nie używa farby drukarskiej ale tylko żelatyny pomieszanój z węglem, trwałość jego odbić nie jest pewna.

Z wymienionych sposobów świadczących o dziesięcio-letnich usiłowaniach przemienienia fotografii w sztych, najwyż-

szym zdaje się sposób przez pana Garnier, który otrzymał wielką nagrodę. Ale mniejsza o porównawczą wartość metody. Wynalazek istnieje: fotografia stała się sztychem. Ztąd wynika zupełne przeobrażenie nie w zasadzie fotografii dzisiejszej, do której zawsze uciekać się będzie trzeba dla otrzymania oryginalnego odbicia z natury, ale w sposobie odbijania. Na przyszłość, dzięki *sztychowi heliograficznemu*, będzie można odbić tyle fotografii ile kto zechce i będą one równie trwałe jak sztych na stali, kiedy jednakim sposobem otrzymane. Jednocześnie, cena rycin bardzo się zniży.

Oto szczęśliwy wynik długich poszukiwań, który na tém miejscu stwierdzamy opierając się na wyroku sędziów przysięgłych wystawy powszechnej 1867 roku.

Do najciekawszych zastosowań elektryczności na wystawie powszechnej, należy *galwanoplastyka*, sztuka nowa, wysnuta z nauki, zasadzająca się na wierném reprodukowaniu z miedzi wszelakich przedmiotów, z pomocą stosu Wolty i roztworu siarczanu miedzi.

Wyroby z miedzi galwanoplastycznej obszerne zajmują miejsca na wystawie. Pawilon pana Oudry w parku francuzkim, pełen jest wspaniałych okazów dających wysokie pojęcie obecnego stanu środków galwanoplastyki. Obok tego pawilonu, drugi, braci Lionnet zawiera same artystyczne wyroby. Nakoniec, Christolfa bardzo bogata expozycja przedmiotów tegoż rodzaju, uderza. Srebrzenie i złocenie z pomocą stosu Wolty bardzo licznie przedstawione w witrynach Elkingtona z Birmighanu i Christolfa paryzkiego.

Galwanoplastyka pozwala mnożyć i uprzystępnia wszystkim wyroby rzeźbiarskie, które dawniej otrzymywano z wielkim kosztem, lejąc lub żłobiąc kruszec. Galwanoplastyka ma się więc tak do rzeźby jak fotografia do malarstwa i rysunku. Podobnie jak fotografia uprzystępnia wszystkie piękne ryciny i arcydzieła rysowników, tak galwanoplastyka może rozpowszechnić dzieła rzeźbiarzy. Jestto rzecz ważna. Dla tego warto poznać sposoby pozwalające produkować z wyłączną pomocą stosu Wolty, wielkie posągi, które dotąd tylko z roztopionego otrzymywano metalu.

Wiadomo, iż ażeby otrzymać posąg brązowy czy cynkowy, trzeba zdjąć ze statui glinianej dostarczonej przez rzeźbiarza, odcisk gipsowy. Ten odcisk służy następnie do zrobienia formy z piasku, gdzie się metal leje. Te rozmaite operacye wymagają wielkiej pracy, a kopia z kruszcu nieraz mało do oryginału podobna, wymaga wielu poprawek i nowój, zmudnój pracy. Dodajmy, że posągi brązowe otrzymane za pomocą lania, bardzo są drogie. Galwanoplastyka zaradza wszystkim tym niedogodnościom.

Chcąc otrzymać popiersie lub posąg sposobem galwanoplastycznym, dość mieć model gipsowy wyszły z rąk artysty. Z gipsowego wzoru zdejmuje się odcisk gutaperkowy. Ten odcisk zrobiony przewodnikiem przez ołownicę, kładzie się w kąpiel siarczanu miedzi, przez który przechodzi prąd elektryczny: operacya podobna téj która się odbywa sposobem naturalnym w Karlzbadzkim Szprudlu zanurzonemi w nim przedmiotami. Skoro ustały osad miedzi jest dostatecznój grubości, wyjmują odcisk, który odsłania doskonałą reprodukcją przedmiotu.

Jeżeli chodzi o małą statuetkę, wklęsłość każdój połowy powleczone ołownicą, moczy się i elektryzuje, a potém, brązownik spaja obie połowy lutowaniem. Takim sposobem reprodukują się tylko małe posążki; skoro przedmiot ma znaczne wklęsłości i wypukłości, użyć go nie można: osad nie ustały się w jamach głębokich.

Pan Lenoir wynalazca *motora-gazowego*, oddał galwanoplastyce znaczne usługi wynalezieniem sposobu pozwalającego reprodukować galwanoplastycznie statui wielkich rozmiarów: kieruje on prąd elektryczny tak, iż może dojść wszędzie. Lenoir zastąpił drut prądu stosu, konduktorem *chemicznie nienaruszalnym*; ten, dzieli się na liczne gałęzie. W zagłębieniu formy wkłada się snopek platynowych nici służących za przewodnika; nici te idą wewnątrznie za formą nie dotykając jój nigdzie i powodują pęd jednostajny miedzi.

Powyższym sposobem w kuźniach pana Christoffe wykonano posągi i popiersia stojące przy główném wejściu do wystawy. Tym także sposobem zrobione statuetki posrebrzane stosem, z których złożony ów przepyszny serwis

wykonany przez Christofla dla ratuszowych biesiad, utwór który w swoim rodzaju pierwsze zajmuje miejsce na wystawie.

W pawilonie pana Oudry można mianowicie zapoznać się z obecnym stanem galwanoplastyki: tam wystawiony zbiór popiersi, posągów i płaskorzeźb wszelkiego rozmiaru, otrzymanych wyż-opisanym sposobem. W téj expozycji dzieł rzeźbiarskich z miedzi galwanoplastycznej, uderza najwięcej wielką płaskorzeźba łuku zwyciężkiego *Konstantyna*, drogocennego pomnika *Forum* starożytnéj Romy, który cesarz Napoleon kazał odcisnąć z gipsu w Rzymie, a którego reprodukcją galwanoplastyczną wykonał pan Oudry. Płaskorzeźba ta, wysoka półczwarta metra, a dwa i pół szeroka, wyobraża ośm osób większych niż natura i bardzo wypukłych.

Oudry użył przeszło sześć tysięcy funtów gutaperki do zdjęcia odcisku z łuku tryumfalnego *Konstantyna*. Operacya stosu Wolty dokonana w jednéj kąpieli, trwała dwa miesiące. Średnia grubość osadu miedzi jest przeszło trzy millimetry.

Zważywszy rozmiary sztuk otrzymanych z pomocą metody galwanoplastycznej, trzeba przyznać, że całkiem nowe pole otwiera się francuzkim artystom. Taka płaskorzeźba jak tryumfalnego łuku *Konstantyna*, byłaby kosztowała znaczne summy, gdyby reprodukcją robiono z lanego żelaza: wykonane z pomocą galwanoplastyki, to dzieło sztuki bardzo mało kosztuje. Ztąd nadzieja pomnożenia obstalunków rzeźbiarskich: ci co je mieć pragną, nie będą wstrzymywani drożyzną roboty. Uważać należy, iż miedź otrzymana przez galwanoplastykę, posiada wszystkie zalety najczystszej miedzi: obawy jakie w tym przedmiocie wyrażono są bezzasadne.

Podczas doswiadczeń czynionych w 1866 roku na konferencyi w sali *Towarzystwa Zachęty*, pan Bouilhet poddał ciśnieniu prasy hydraulicznój sztaby jednakiéj rozmiarów miedzi galwanoplastycznej i miedzi topionéj. Miedź topiona złamała się pod ciśnieniem dwunastu atmosfer; miedź galwanoplastyczna wytrzymała cało, ciśnienie dwudziestu atmosfer.

Jeszcze jedna korzyść jaką galwanoplastyka daje rzeźbiarzom.

Odciski gipsowe dzieł wielkich mistrzów są kruche i niedostateczne do nauki; galwanoplastyka dostarcza tanio, nie



naśladownictwa, ale zupełnie jednakięj reprodukcji tychże modeli, w których żyje geniusz sztukmistrzów.

Najpiękniejszym okazem jaki dać można pod tym względem, jest reprodukcja płaskorzeźb rzymskiej kolumny Trajana, z rozkazu Cesarza wykonana przez pana Oudry, a wystawiona w Luwrze. Tu artyści badają lub kopiują rysunek dokładny, który z trudnością dojrzeliby w Rzymie na oryginalnie. Kolumna Trajana, jeden z najpiękniejszych utworów artystycznych, najdroższy dla historii sztuki wojennej, jest z białego marmuru. Wysokość jęj dochodzi pięćdziesięciu metrów, kilka metrów wyższa od brązowej kolumny paryzkiego placu Vendôme: średnica jęj cztery metry.

Przed laty, rząd francuzki kazał zdjąć gipsowy odcisk wszystkich płaskorzeźb kolumny Trajana. Złożono je w Szkole Sztuk Pięknyc; ale gips nie trwał, wnet się zbrukał i pokruszył tak, że uczniowie szkoły nie mogli studyować tych wzorów.

W roku 1861 cesarz Napoleon, który jak wiadomo, szczególniej zajmuje się epokę Gallo-Rzymską, kazał na nowo kopiować tę piękną kartę historii starożytnej, z zamiarem dania jęj do Muzeum Gallo-Rzymskiego, które postanowił założyć w pałacu Henryka IV w Saint-Germain. Minister sztuk Pięknyc otrzymał od rządu Papieżkiego potrzebne upoważnienie, i wzięto się do roboty. W jesieni 1862, kopije płaskorzeźb przybyły do Paryża. Ważne zadanie reprodukcji galwanoplastycznej sławnego pomnika, poruczono panu Oudry. Od pierwszego lipca 1864 roku, wszystkie płaskorzeźby kolumny Trajana utworzone z miedzi sposobem galwanoplastycznym, znajdują się w Luwrze. Podstawa zajmuje cztery wielkie płyty, stanowiące każda jedną stronę piedestału. Kolumna rzeczywista dzieli się na sześć części równej wysokości; płaskorzeźba każdęj części oparta na rusztowaniu okrągłém i przystosowana starannie; całość przedstawia widok wspaniały, studjum najgodniejsze zajęcia: grubość miedzi osiadłęj na sześciuset płaskorzeźbach, z których kolumna złożona, ma trzy millimetry.

Dotąd bronzownicy paryzcy lejący posągi, okazują wielką niechęć przeciwko galwanoplastyce artystycznej; gdyby jednak chcieli głębiej się zastanowić, przyznaliby pewnie że galwanoplastyka nie tylko im nie szkodzi, ale im

pomaga: każdy z nich wiele zyska jeżeli zamiast przedsiębrać pracę trudną, często zawodną, odda się galwanoplastyce. Jest ona własnością każdego: nie obciążona żadnym monopolem, a do wykonania łatwa. Każdy bronzownik może około pracowni założyć laboratorium galwanoplastyczne i produkować wyrób dwojaki. Dziś reprodukcya najważniejszych rzeźb dopełnia się z zupełną pewnością, nie potrzebując ani talentu ani nawet uzdolnienia. Posągi, zwierzęta, ogromne płaskorzeźby bardzo wypukłe, reprodukują doskonale robotnicy zwyczajni... Toż dowody mogące zniszczyć uprzedzenia bronzowników-artystów, ku galwanoplastyce. Jakoż, niektórzy snycerze już każą wykonywać swoje twory galwanoplastycznie. Wszystkie statui mające zdobić gmach nowej opery obecnie mokną w pracowniach pana Oudry i Christoffa. Statui te są ogromne: niektóre mają do sześciu metrów wysokości.

W złoceniu i srebrzeniu z pomocą stosu Volty, mistrzami są pp. Elkington z Birminghamu i Christoffe z Paryża.

Po wszystkie czasy złoto i srebro zwano kruszczem *drogin*. Nazwę tę nadała im nietylko piękność i blask, gdyż stal od srebra jest połyskliwsza, a kolor nowój miedzi równy złotu. Drogość tych metali przez starożytnych *szlachetnymu* zwanych, stanowi ich *nieskazitelność*.

Wilgoć która tak szybko niszczy kruszcze podłe jak ołów, żelazo i miedź, nie działa na srebro i złoto: złoto opiera się nawet wyziewom siarczanym, temu wrogowi wszystkich kruszców. W muzeach, tylko medale, monety i klejnoty złote pozostały nienaruszone zębem czasu; monety miedziane w pył się rozsypały; narzędzia żelazne stały się masą rdzy, a medale ołowiane szarą rudą. Wśród téj ruiny metali podrzędnych, naszyjniki, bransolety, guzy i spinki złote, błyszczą w muzeach jak wówczas kiedy zdobiły rzymskie patrycyanki. Mianowicie w muzeum Neapolitańskiem gdzie zgromadzono kosztowne przedmioty wykopane w gruzach Pompei, można stwierdzić słuszność powyższej uwagi: ozdoby złote tam najliczniejsze, gdyż same jedne oparły się działaniu czasu czyli atmosfery: złoto w Pompei przetrwało granit.

Jest jeszcze druga zaleta fizyczna, która podwaja wartość złota jako kruszcu: giętkość, własność jaką ma, rozciągania się pod młotem w blachę ciekłą jak najcieńszy papier. Unicyą złota można rozwałkować na blachę mogącą pokryć pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Ta nadzwyczajna ciągliwość sprawia że złoto staje się metalem ekonomicznym. W Paryżu, gdzie spojrzysz, w mieszkaniu czy na ulicy, wszędzie widzisz złoto; złoto rozrzucono chojnie na pomniki i stroje. Ale ta chojność jest tylko powierzchowną: kryje ona prawdziwą, niezaprzeczoną oszczędność. Dwoista własność tego kruszcu: opieranie się czynnikom atmosferycznym i możność rozciągania się na najcieńsze blaszki, tłumaczy rozpowszechniony użytek złota. W stanie blachy nie grubszej od welinu złoto zachowuje swoją nieskazitelność, tak, że można uchronić od zepsucia wszelki materiał pokrywając go złotem. Dodajmy nadto, że świetny i czysty kolor tego kruszcu zawsze śliczny efekt czyni, a zrozumiemy że jak dawniej tak teraz, złoto jest używane jako przedmiot ozdoby i środek zachowawczy.

Długo bardzo złocono za pomocą merkuryusza: był to sposób zgubny dla zdrowia wyrobników. Wynalazek złączenia z pomocą stosu Volty, spowodował nader ważne udoskonalenie: złączenie przestało zabijać ludzi a przedmioty pozłacane staniały.

Ale w handlu i w domowym użyciu, złoto jest mniej wzięte i mniej potrzebne niż srebro; to też plody Voltaicznego srebrzenia daleko ważniejszą rolę grają w handlu niż pozłacane. Handel galwanizowaniem srebrem jest najznaczniejszą gałęzią przemysłu paryżkiego. Na polu Marsowem reprezentuje go mnóstwo jubilerów francuzkich i zagranicznych.

Srebro Voltaiczne rozpowszechnione dziś po całym świecie, przeobraziło zwyczaj: uprzyścipleniło wszystkim wyroby uważane dawniej za wyłączną własność bogaczy. Na Zachodzie srebrzone sztuce są na każdym stole. Różnica ceny cynowych tak mała a różnica trwałości tak wielka, że taniiej wypadnie kupować posrebrzane. Takie nakrycia rozpowszechniają w ludzkie zamknięcie piękna i porządku wytwornością kształtu i czystością. Łyżki które dawniej robiono ze srebra *massif*, teraz robią z mieszaniny kruszców tanich

i powlekają grubą warstwą srebra. Zużyte, tanio się odnowią. Dawniej kupienie sreber pochłaniało znaczną część majątku młodego małżeństwa; dziś to wydatek mało znaczący, a pozór i użytek zupełnie takiż sam.

Rozpowszechnienie sreber Voltaicznych ma pomiędzy innemi i tę wielką korzyść, iż zostawia w obiegu na użytek monetarny, ogromną ilość drogich kruszców, które dawniej pochłaniały roboty jubilerskie, co się przyczynia do utrzymania wysoko ceny handlowej pieniędzy. Kilka cyfer ustali pojęcia w tym względzie.

Paryzka kuźnia Christolfa, która nie sama jedna zajmuje się tym wyrobem, posrebrzyła od 1842 do 1860 roku *pięć milionów sześćkroć sto tysięcy* nakryć stołowych, które wycofały z obiegu trzydzieści trzy tysiące sześćset kilogramów (kilogram dwa funty) srebra, wartującego sześć milionów siedemset tysięcy franków. Taka ilość nakryć wykonana ze srebra *massif*, wyjęłaby z obiegu dwa miliony funtów srebra i o tyle powiększyła wartość handlową srebra.

Uważane ze stanowiska artystycznego, srebrzenie daje rysownikom i snycerzom przyszłość, na którą nie liczyli w początkach wynalazku upatrując w nim swoją ruinę. Widoznem jest że nie wstrzymywani drogością materiału surowego, fabrykanci i amatorowie będą mogli obstalowywać u artystów wyroby, o którychby nie pomyśleli bez tej szczęśliwej okoliczności.

Jeszcze jedna uwaga w oczach naszych najpożyteczniejsza i przeważająca na korzyść Voltaicznych sreber: użycie ich nie może szkodzić zdrowiu. Przykro widzieć życie ludzkie pozostające na lasce naczyń gospodarskiego; strach bierze patrząc jak po kuchniach prywatnych i w zakładach publicznych, hotelach, szpitalach, koszarach, przyrządzają jadło w naczyniach miedzianych pobielanych, *mniej więcej*. Pokrywy nie bywają nigdy pobielane i zatruwają *mniej więcej* strawę. Zważywszy skutki czasami straszne, użycia w gospodarstwie miedzianych naczyń, każdy pewno zapragnie żeby nie było kuchni nie mającej posrebrzanych łądli.

Ten postęp na Zachodzie, w niedługiej urzeczywistni się przyszłości, dzięki prostocie i oszczędności sposobu, z pomocą którego dziś otrzymuje się srebro Voltaiczne.

Z dzieł sztuki które otrzymały cztery *wielkie nagrody honorowe* na tegorocznej wystawie powszechnej, nie wątpliwie pierwsze zajmuje miejsce wielki karton Kaulbacha przedstawiający „*Wiek reformacyi.*” Jestto utwór mistrzowski, nie mający sobie równych w rządzie utworów tegoczesnych sztukmistrzów, kompozycya mogąca śmiało stanąć obok Rafaelowskich fresków, do których ma pewne podobieństwo.

Pomnik ten wzniesiony pędzlem na cześć protestanckich Niemiec, Kaulbach rozpostarł na tle architektury gotyckiej; ujmując ją w swe ramy. Kompozycya, jak świat szeroka, dzieli się na trzy kondygnacje. W najwyższej, jakby na chórze, malarz przedstawił *Kanę* wedle Leonarda da Vinci; poniżej, pomiędzy kolumnami, ustawieni w półkole, stoją poprzednicy reformy: Wiclef, Jan Huss, Arnold z Breścii, Abeillard i Savonarola. Przed nimi, w długiej doktorskiej sukni, stoi Luter. Postać jego dominuje zgromadzeniu: wysunięty na przód, trzyma oburącz po nad głową rozłożoną bibliję oddając ją, tym gestem, pod śledztwo wolnego badania.

Naczelnicy protestantyzmu otaczają wielkiego reformatora. Po prawej stronie Zwingle, Justyn Jonas, Wojciech z Brandeburga i Gustaw Adolf; po lewej, Kalwin i reformatorowie francuzcy; obok angielscy: Craumer, Thomas Morus, królowa Elżbieta, Essex, Raleigh i admirał Drake. Na prawo i lewo tych grup, w dwóch bocznych nawach, Kaulbach pomieścił: po jednej stronie wielkich astronomów, Kopernika, Galileusza, Tycho-Brahe; po drugiej, wielkich artystów, a Dürera najwyżej. Pod wyniesieniem, którego szczytem Dürer a na stopniach którego Kaulbach przedstawił siebie usiłującego dosięgnąć najwyższego z malarzy niemieckich, stoi Michał Anioł, Rafael, Leonard da Vinci, architekt i snycerz Piotr Vischer i Gutemberg z drukiem w ręku.

Cztery stopnie dzielą tę środkową część dzieła od drugiej, podzielonej na trzy grupy niższe: po jednej stronie uczeni, po drugiej pisarze: Szekspir, Cerwantes na pierwszym planie; Petrarka pokazuje im dzieła Homera; u nóg jego leżą potrzebne posągi, grecka lira; we środku doktorowie którzy podpisali *zgodę religii* w 1555 roku. U dołu kompozycyi siedzi zadumany Hans Sachs, wieszcz stary,

po którym poczyna niemiecka stała się sztuką naśladowczą, jak malarstwo w tym kraju po Albercie Dürer.

Ugrupowanie i oddanie powyższych figur, zachwycające! Nie można oczu oderwać od tego obrazu. Wyrazistość typów, szlachetność postaci, wytworność draperyi, podobieństwo zupełne tych wszystkich wielkich mężów, których malarz wyprowadził na scenę; nakoniec cudowne powiązanie i harmonia przedziwna grup, porywa duszę i wiedzę na dziejowe szczyty ludzkości, gdzie ci dostojni zmarli żyją w nieśmiertelnej chwale.

Artysta może się tylko zachwycać, bo plastyka myśli dalej nie idzie; myśliciel znajdzie atoli fałsz ukryty w tej przedziwnej harmonii obrysów.

Jakaż była myśl ogólna Kaulbacba? Chciał on przedstawić *reformacyą* jako fakt *główny* wielkiego ruchu umysłowego, który znaczy koniec XV i początek XVI wieku; Germania tu przedstawiona nauczycielką narodów nowoczesnych, a biblia w ręku Lutra objaśniona przez rozsądek, jako punkt wyjścia wszystkich odkryć i wszystkich postępów urzeczywistnionych za dni naszych.

Takiemu pojęciu rzeczy historia fałsz zadaje.

Oświata dzisiejsza nie jest córą protestantyzmu; przeskakuje ona całe wieki średnie ażeby się powiązać z doktrynami wolności, tolerancyi i wiedzy uczonej starożytności. *Odrodzenie* nie było ani protestanckie ani katolickie: stało po za wszelkim dogmatem, po za wszelką sektą. Chciało ono wskrzesić filozofią, literaturę i sztuki Grecyi; prawo cywilne które zostało pochłonięte przez prawo kanoniczne, chciało podjąć tradycyą nauk ścisłych tam, gdzie je zostawiła szkoła alexandryjska.

Że wśród ocknienia intelligencyi utworzyła się szkoła żądająca dla jednostek prawa wykładania Pisma Św., to rzecz naturalna. Reforma w dziedzinie religii była faktem ważnym, ale nie miała nigdy cechy wypadku naukowego, gdyż zostawiła ludzkiego ducha w podległości rewelacyi i symbolów, a nauka ani jednych ani drugich nie przypuszcza, gdyż jój racjonalizm pozostał zamknięty w ciasnych formułach niezmiennych, narzucanych przez jój doktorów i bronionych przez nich z nietolerancyą, przynajmniej równą nietolerancyi katolickiej.

*Odrodzenie* nie *reforma* było jutrzenką oświaty tego-czesnej—ale było tylko jój jutrzenką.

Dzień w nauce, w ustawach świeckich i politycznych narodów zrobiła filozofia XVIII wieku i jój ojcowie, zrobili go Montaigne, Rabelais, Voltaire, Rousseau, Diderot, d'Alembert i Encyklopedyści którzy zuchwale rozciągając do wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej zasady wolnego badania, nieśmiało niegdyś żądanego przez Roger'a Bacon'a i Deskartesa, ostatecznie wyswobodzili umysł ludzki, i otworzyli drogę wszelakiemu postępowi.

Rewolucyi francuzkiej dostało się w udziale ustalenie ich doktryn prawem i zwyczajem. Pod tym względem, Niemcy muszą ustąpić Francuzom pierwszeństwa.

Sam Kaulbach fałsz sobie zadaje stawiając siebie obok Dürera, jako jego naśladowcę. Czyż jego dziełami się przejął? Bynajmniej. Rafaelowska *dysputa świętego Sakramentu* była wzorem jego kompozycyi, natchnieniem tych grup przepysznych, przedstawiających walczący i zwycięzki protestantyzm. Niższa część obrazu jest wolnym i szerokim naśladowaniem *szkoły ateńskiej*. Podobieństwo bije w oczy w układzie figur, pomiędzy którymi Hans Sachs zajmuje miejsce cynika Diogenesa.

Powtarzamy: forma przedziwna, doskonała, uwiedzie każdego artystę w obec tego obrazu; ale chłodny myśliciel upatrzy w fundamentach tój mistrzowskiej budowy fałsz, który wskazuje, a który czytelnicy łatwo z historią w rękę stwierdzą.

Wśród licznych teraz wystaw w Paryżu jest jedna, która nie przestaje ściągac prawdziwych znawców i miłośników sztuki: chcę mówić o wystawie rzeźby i obrazów Clésingera, zięcia pani George Sand. Snycerz ten stoi w rzędzie pierwszych społecznych rzeźbiarzy; we Francyi idzie w parze z Preaultem.

Na wstępie do sali zapełnionej dziełami Clésingera stworzonymi w ciągu ostatnich lat dziesięciu, uderza pyszna grupa z białego marmuru: kobieta siedząca na tygrysie. Jestto Ariana, nie Ariana Danecker'a którą oglądać można

we Frankfurcie, zniewieściła, miękko rozłożona na lwie swojskim, ale Aryana dumna i wspaniała, żona Bachusa, przebiegająca zienię siejąc zboże i sadząc winnice. Nie jestto już młoda Atenka zakochana w Tezeuszu i ucickająca ze swym zdobywcą: to królowa jadąca w tryumfie pośród dzikiej jeszcze ludzkości. Poza jej głowy, majestatyczna! Cała grupa wykonana w najwyższym stylu.

Obok Aryany stoi naturalnej wielkości, biały marmurowy posąg pani Georga Sand. Arcydzieło! Zięć przedstawił świekrę w postaci Rzymianki ze świetnych czasów rzeczypospolitej. George Sand siedzi na kurulnym krześle. Czystość jej rysów, godność postawy, bogactwo draperyi spadających na bosą nogę, najwybredniejszemu estetykowi nic do życzenia nie pozostawia. Nie znamy spóczesnego marmuru któryby mógł współzawodniczyć z tym posągiem pełnym życia, siły i dostojeństwa.

Dalej, widzimy popiersie ś. p. pani Girardin, owęj pięknej i utalentowanej damy, którą w Paryżu *Dziesiątą muzę* nazywano. Jestto wdzięk wcielony. Clésinger marmur fałduje jak zręczna szwaczka sajetę. Śliczna ta głowa w puklach, wysmukła ręka igrająca z perłowym naszyjnikiem, ta draperya tak lekka że zaledwie kibić ocienia, wszystkie szczegóły widne oku artysty, wskazują dłuto, dla którego trudność zabawką. Popiersie pani Girardin jest przedziwnym wytworem paryzkiej salonowej elegancyi.

Do rzeźb znakomitych należy tu jeszcze zaliczyć, pełną wyrazu bronzową *głowę Chrystusa* i wzór pomnika *Pokoju*, który wykonany na wielkie rozmiary ma ozdobić szczyty Trocadero, górujące nad wystawą powszechną.

Clésinger jest artystą bardzo oryginalnym, pełnym ognia i poezyi. Wszystko co z pod jego dłuta wychodzi, nosi cechę niepospolitą. Rzecz dziwna i smutna zarazem: wszystkie prawie utwory tego znakomitego rzeźbiarza są w ręku cudzoziemców. *Bachantka* jest we florenckim pałacu San-Donato; *Melancholia* w Petersburgu; *Safo* w Moskwie; *Walka Byków* w Londynie. Prócz *Rzymskiego Byku* i kilku popiersi kupionych przez Napoleona IIIgo, żadne jego dzieło nie zostało we Francyi. Wystawę swoją Clésinger urządził celem pokrycia nakładu zrobionego na posąg Aryany i pani Sand, których za granice wypuścić nie chce. Paryż pomaga



mu jak może do zachowania tych dwóch posągów, których właściwe miejsce w Luwrze. Stałyby już tam pewno od dawna, gdyby dyrektor muzeów Nicuwerkerke był przychylniejszy Clésingerowi; ale na nieszczęście, czuje ku niemu antypatyę. Tym co go chwala, hrabia odpowiada: „*Un Artiste de Grand talent, mais un mauvais coucheur!*” Cóż to dowodzi? Niesformość człowieka niema nic wspólnego z jego talentem. Michał Anioł nie był téż pono usposobienia przyjemnego, Benvenuto Cellini nie był najmiłszym z ludzi, co nie przeszkadzało protektorom sztuki w epoce odrodzenia, użytkować geniusz tych dwóch sztukmistrzów. *Perseusza* Celliniego nie schowano jednak do lamusa jak *Franciszka Igo* Clésingera, dlatego że jego twórca *nie dość grzeczny*. Osobliwszy punkt zapatrywania się na snycerza.

Karol Blanck dyrektor sztuk pięknych, wydał owoc dwudziestoletniej pracy swojej, dzieło pod tytułem: „*Grammaire des Arts du Dessin*.” Na wstępie, autor mówi: „Książkę tę napisałem dla młodzieży, która na progu życia pragnie poznać jego stronę spokojną i poetyczną. Młodzież ta, którą języka starożytnego nauczono w szkołach, która zna myśli i czyny bohaterów starożytności, nie zna jęj sztuk. A jednak w tworze artysty złożona treść najczystsza filozofii starożytniej. Tam to, myśl oblokła się w ciało najwyraźniej; tam oddychają bogowie Wirgiliusza i Homera, uwidomieni w przemianach godniejszych podziwu niż przemiany Owidyusza.”

*Grammatyka sztuk rysunku* przyda się każdemu kto zechce wykształcenie swoje umysłowe uzupełnić, kto zapraśnie na licznych wystawach obrazów i rzeźby, coś zrozumieć. Czytanie estetycznej rozprawy nie tworzy zapewne artystów, ale tłumacząc tajemnice sztuki, może utworzyć znawców.

— Wyszedł drugi tom *Przewodnika* (Paris-Guide), do którego Wiktor Hugo był napisał przedmowę. Tom pierwszy poświęcony nauce i sztuce. Drugi ma tytuł *Życie*: życie materialne, umysłowe, moralne. Typy miejscowe, uciechy, mody, przemysł i handel, dzienniki, polityka, spacer, pożywienie, telegrafy, drogi żelazne, powozy, Paryż administracyjny, wojskowy i sądowy: oto główne działy,

w których ugrupowano ośmdziesiąt rozdziałów. Tom pierwszy pisali sami autorowie pierwszego rzędu. W drugim przeważają mniej sławne imiona, ale są jeszcze dość głośne żeby zwabić czytelników i nabywców tej drogiej książki. Tom sprzedaje się po 15 franków. Ale któż nie kupi ujrzawszy nazwiska pp. About, Feval, Janin, Legouvé, Karr, Stern, Simon, Barryer, Jules Favre i t. p. Całość tej publikacyi stanowi expozycyą talentów artystycznych i literackich Francyi spółczesnej.

— Wyszedł XVIII i ostatni tom *Przekładu dzieł Szekspira*, dokonanego przez Franciszka Hugo. Teraz Francya ma co przeciwstawić tłumaczeniu Schlegel'a i Tieck'a. Francuzki przekład Hugona jest świetny i wierny, opatrzone ciekawemi komentarzami i pasmem cierpliwych poszukiwań dotyczących dzieł i osoby Szekspira.

— Emil Bosquet wydał zajmujący romans pod tytułem: „*Une Femme bien élevée*.” Autor opisał codzienną wojnę domową wynikającą z różnicy pojęć pomiędzy mężem filozofem a żoną dewotką: jestto studyum psychologiczne wcale nie pospolite.



## LITERATURA ZAGRANICZNA.

---

### Historya podbicia Peru przez W. H. Prescott'a.

Znakomite dzieło amerykańskie, winno zwrócić uwagę Europy i wywołać w niej głębokie wrażenie; znajdujemy w niém albowiem dowody historyczne, że wiele pojęć i zasad uważanych dzisiaj jako nowe, i przedstawiane przez kilku marzycieli, jako świeży i znakomity błysk postępu, miały zastosowanie w społeczności starożytnej Peru. *Historya podbicia Peru* jest trzecim utworem historycznym jednego z pierwszych dzieł pisarzy amerykańskich.

Dwa wielkie dzieła: *Historya podbicia Meksyku* i *Historya panowania Ferdynanda i Izabelli* postawiły Williama H. Prescott amerykańszczyka na czele literatury amerykańskiej, a w Anglii zamieściły imię jego obok Hume'go i Roberstona.

Prescott, którego kilku krytyków przedstawia nam jako zupełnie niewidomego, zdaje się że pragnie sprostować błąd ten w swój przedmowie *Historyi podbicia Peru*.

„Byłem, mówi on, w uniwersytecie, kiedy skutkiem wypadku pozbawiony zostałem jednego oka. Wkrótce potem, drugie oko zostało dotknięte zapaleniem tak silném, że sądziłem iż utracę wzrok zupełnie. Wyleczono je, ale zachowało ono taką bezsilność, że przez długie lata byłem zmuszony zaniechać wszelkiej pracy literackiej.“

W czasie tych cierpień moralnych i fizycznych, Prescott otrzymał z Madrytu materyały do *Historyi Ferdynanda i Izabelli*. „W położeniu w jakim się znajdowałem, mówi autor, otoczony memi zaatlantyckimi skarbami, podobny byłem

do tych nieszczęśliwych, którzy wśród dostatków umierają z głodu.“

Ale czego nie dokaże miłość sztuki połączona z żądzą pracy! Zmuszony wyrzec się chwilowo posługi swego wzroku, Prescott postanowił użyć słuchu i pamięci w sposób taki, ażeby zastąpiły mu bolesną niemoc wzroku. Potrzebował mieć przy sobie sekretarza, któryby zarazem pisał i czytał i był tyle szczęśliwym, że w jednej osobie znalazł wszystko czego pragnął. W krótkim czasie tak się obznajomił z dźwiękami rozmaitych obcych języków, że bez trudności rozumiał je, jedynie za pomocą słuchu.

„W miarę jak lektor posuwał się, dodaje Prescott, ja dyktowałem; a kiedy moje uwagi zostały w dostatecznej ilości zebrane, były mi czytane i odczytywane po kilka razy aż do chwili kiedy zachowując je również jak i osnowę dzieła w mej pamięci, mogłem oddać się pracy twórczej. Uwagi te były mi pomocne do utrzymania textu.“ Ale porzestał autor na tém zajęciu. Dyktowanie nie mogło mu być dostatecznym. Doznawał on nieprzewycięzonej potrzeby kreślenia własną ręką myśli swoich. Ponieważ zaś wprawa pisma wymagała ciężkiej próby dla jego oka osłabionego jeszcze, użył pewnego mechanizmu na kształt tego, jakiego używają niewidomi, a który dozwalał mu nadawać kształt literom tak dobrze w cieniu, jak przy świetle. Tak już sam przygotowywał prace swe do druku.

„Zadowolony, mówi Prescott, z wyniesienia siebie tym sposobem na równią z innymi, mało zazdrościłem szczęściu tych, którym natura pozwala przedłużać prace przy dobrym wzroku, aż do głuchych godzin nocy“

*Historya podbicia Meksyku*, wydana w wytworném tłumaczeniu francuzkiém przez pana Pichot, rozpowszechniła to pierwsze dzieło historyczne Prescottta; *Historya Ferdynanda i Izabelli* miała być również wydana staraniem tego znakomitego tłumacza.

*Historyę podbicia Peru* wydaną w Bostonie i Londynie, skreślamy w krótkim zarysie dla wiadomości tych, którzy ję w oryginale czytać nie mogą. Jako dzieło historyczne, nie podlega ono rozbiorowi szczegółowemu; fakta oparte na prawdzie, nie poddają się krytyce, ale i ten krótki wyjątek

dzieła, obznajmi czytelników z piórem wsławionego historyka amerykańskiego.

Społeczność peruwiańską, przed przybyciem Hiszpanów składali: 1) Panujący „syn słońca.” 2) Szlachta podzielona na dwa stopnie: *Inkasów* i *Kurakasów*:

*Inkasów*, gdzie cała wysoka szlachta należała do rodziny cesarskiej, a której ród znacznie pomnożył się przez wielożeństwo;

*Kurakasów*, którzy byli naczelnikami pokoleń przyłączonych jedno po drugim do cesarstwa, a którym polityka Inkasów dozwoliła zachować część ich władzy.

### I. Wychowanie Inkasa.

Od pierwszych lat swych, potomek królewski oddany bywał staraniom *amantasów*, czyli „ludzi mądrych” jak nazywano nauczycieli umiejętności peruwiańskiej; ci zaznajomili go z potrzebnymi wiadomościami, a mianowicie z obrzędami religijnymi, w których wysoką miał spełniać rolę. Zwracano także wielką uwagę na wykształcenie wojskowe, przedmiot najwyższego znaczenia w państwie, które pomimo głośnych oświadczeń o zachowanie pokoju i łaskawości, brało ciągłe czynny udział w wojnach zaborczych.

W tej szkole wojskowej, Inkas miał za współuczniów młodą szlachtę Inkasów, ale tylko tych, którzy zbliżeni byli doń wiekiem, bo poświęcane imię *Inka*, było udzielane bez różnicy wszystkim, którzy pochodzili z męskiej linii, od założyciela monarchii. Doszedłszy do lat szesnastu, uczniowie podlegali publicznemu egzaminowi, zanim zostali przypuszczeni do tak zwanego zakonu rycerskiego. Egzamin ten był powierzany kilku najstarszym Inkasom.

Kandydaci musieli dawać dowody męstwa swego w ćwiczeniach wojennych, w dalekich wycieczkach potrzebnych do rozwinięcia sił i zwinności; w szermierce, w ścisłych postach które trwały dni kilka i w udawanych potyczkach, wprawdzie stępionym orężem, ale którym zawsze towarzyszyły rany, po których czasem śmierć następowała.

Przez czas prób tych i doświadczeń, które trwały dni trzydzieści, neofita królewski nie używał lepszych pokarmów

jak jego towarzysze; spoczywał na twardem posłaniu, chodził bez obuwia, a ubranie miał najskromniejsze: ten bowiem rodzaj życia osądzono właściwym aby wzbudzić w przyszłym panującym więcej współczucia dla nieszczęśliwych.

Kiedy egzamina były ukończone, kandydaci wybrani jako godni honorów rycerstwa, byli przedstawiani panującemu, który przyjmował główną rolę w obrzędzie poświęcenia. Rozpoczął go krótką przemową, składając powinszowania młodzieńcom za ich zdolności do ćwiczeń wojennych; przypominał im odpowiedzialność przywiązaną do ich rodu i stopnia, a potem mówiąc do nich serdecznie jak do *dzieci słońca* upominał o naśladowanie znakomitego naddziada w dobrodziejstwach, jakie tenże rozlewa na ród ludzki. Natenczas nowicyusze zbliżając się przyklękali przed Iukasem, a on im przekłuwał uszy złotą igłą, która zostawała do czasu kiedy otwór był o tyle szerokim, aby można było założyć ogromne zausznice, które oznaczały stan i stopnie na jakie młoda szlachta podzieloną była. Ozdoba ta którą zakładano w uszy panującego, była tak ciężką, że wyciągała ciężarem chrząstkę aż do ramion; niekształtność ta potworna w oczach europejczyków, przez krajowców pod czarodziejским wpływem mody, była uważaną jako piękność! Po czém jeden z najczcigodniejszych przedstawicieli szlachty, przywiązywał do nóg kandydatów sandały, co przypomina ceremonią zakładania ostróg rycerzom chrześcijaństwa.

Natenczas pozwalano im opasywać się szarfą, co miało oznaczać jak toga u Rzymian, dojście do wieku mężczyźni. Na głowach ich mieszczono wieńce z kwiatów, których kolory przedstawiały godła łaskawości i dobroci, cnót potrzebnych prawdziwemu wojownikowi; dołączano do nich liście z drzewa zielonego, dla wskazania, że cnoty te winny być wiecznymi. Następnie czoło młodego księcia było przybierane w siatkę lub frenzle koloru żółtego, z najcieńszej wełny z wigoni: była to oznaka wyłącznie właściwa domniemanego następcy tronu. Po czém szlachta Inka zaczynając od najbliższych z rodziny księcia, przyklękiwała przed nim i składała hołd jako następcy monarszemu, a w końcu całe zgromadzenie przybywało na wielki plac stolicy, gdzie śpiewy, tańce i inne zabawy zakończyły wspniany obchód.

## II. Stolice królewskie.— Skarby.— Obrzędy pogrzebowe.

Ulubioną siedzibą Inkasów była *Yukay*, 4 mile odległa od stolicy. W tej rozkosznej siedzibie, ścieśnionej dwiema odnogami *Siery*, zabezpieczonej od przykrych wiatrów wschodnich, w dolinie poprzerynanej źródłami i strumieniami, których kryształowe wody rozlewały wszędzie chłód miły, zbudowali najpiękniejszy z swych pałaców. Strudzeni pracą i znudzeni gwarem miasta, usuwali się do tak uroczego miejsca, ażeby wśród rodzimego kółka kosztować rozkoszy odpoczynku, pod cieniem altan, których kwiaty napełniały powietrze i zmysły upajające wonią. Tu używali kąpeli ożywczych kryształem wód, które wprowadzone w kanały podziemne przez rury srebrne, wytryskiwały z nich w miednice z szczerego złota. Obszerne ogrody, przystrojone licznymi rodzajami kwiatów i krzewów rosnącymi bez starań w tej krainie łagodnej zwrotnikowej, przechowywały *kwatery* rzadkich i nadzwyczajnych kwiatów, bo jaśniały na nich najrozmaitsze kształty roślin, cudnie naśladowanych w złocie i srebrze! Pomiędzy temi bogactwami szczególniej zachowano wspomnienie zboża indyjskiego, najpiękniejszej amerykańskiej rośliny z kłosami, i jeszcze dotąd opowiadają z jaką sztuką kłos złota ukryty był w szerokich liściach srebra, i o lekkim wyrobie z tego metalu żołdzi która wdzięcznie bujała na wierzchołku kłosa.

Przypomnijmy sobie że góry w Peru przechowywały złoto obficie w swém łonie; że ówczesni mieszkańcy posiadali sztukę wydobywania go, i wykonywali to na wielką skalę; że ruda kruszczu nigdy nie była przekształconą na monetę, i że całkowicie przechodziła w ręce panującego, na jego wyłączny użytek, czy to na przedmioty użyteczne, czy też dla ozdoby.

Te bogactwa książąt peruwiańskich, każdy zbierał pojedynczo; żaden nie zawdzięczał tych skarbów spadkowi swych poprzedników. Po śmierci bowiem Ynka, pałace jego były opuszczone, wszystkie kosztowności i skarby pieniężne będące jego własnością z wyjątkiem tych które użyte były na jego obrzędy pogrzebowe, szaty, pozostawały nietknięte w stanie w jakim je panujący zostawił, a liczne zamki i po-

siadłości na zawsze były zamykane. Nowy panujący wienien był sam zaradzić potrzebom właściwym jego dostojeństwu.

Ten zwyczaj miał swoje źródło w wierze ludowej, że dusza zmarłego wraca w niedługim czasie ażeby wskrzesić swoje ciało na ziemi; żądano więc ażeby znalazł wszystko to co było użyte na jego potrzeby za pierwszego życia.

Kiedy Ynka umierał czyli używając jego własnego wyrażenia „*był wezwany do mieszkania swego ojca*“ pogrzeb był przedmiotem wspaniałej wystawności. Wnętrznosci wydobyte składano w świątyni Tempu, o pięć mil odległej od stolicy. Część jego naczyń stołowych i kosztowności była pochowaną wraz z ciałem, a na grobie poświęcano na ofiarę oznaczoną liczbę (czasem posuniętą aż do tysiąca), jego dworzan i kobiet.

Po tak strasznym obrzędzie całe państwo przybierało ogólną żałobę, która trwała przez rok cały, a lud w dniach oznaczonych zbierał się ażeby odnawiać oznakę swjej boleści; odbywano processye z chorągwiami i sztandarami zmarłego monarchy; bardowie i minstrele mieli obowiązek opiewać jego czyny, a śpiewy ich powtarzały się przy wielkich uroczystościach w obec panującego księcia, ażeby wzbudzić w nim chęć naśladowania cnót poprzednika.

Ciało Inka po umiejętném zabalsamowaniu przenoszono do wielkiej świątyni słońca zwanj *Kuzko*. Wchodząc do tego wspaniałego przybytku, panujący znajdował się wśród swych królewskich przodków siedzących po dwóch stronach;— monarchowie po prawej, królowe po lewej, wszyscy oświeceni wielkim światłem, którego złote promienie błyszczały na murach świątyni. Ciała ich przybrane w szaty książęce, były umieszczone w złotych krzesłach, z głową schyloną ku ziemi, rękami złożonemi na piersiach, zachowując w rysach oblicza właściwą ciemną barwę, włosy czarne lub przez wiek posrebrzone.

Postać ich i rysy twarzy tak starannie zachowane były, że wydawali się raczj zgromadzeniem pobożnych czciocieli, pogrążonych w głębokiej modlitwie.

Peruwianie nie stali niżej od Egipcyan w tajemnicy balsamowania i zachowania przez tysiące lat ciała zmarłego w mumii.



W oznakach poszanowania, oddawanych tym szczątkom zmarłym, które uważali jakby były pełne życia, Peruwianie poszli za złudzeniem jeszcze dziwniejszém. Jedno z mieszkań zmarłego Inka zostawało otwarte, i zajmowane przez straż i orszak jego, z tą samą wystawnością jakiej używała władza królewska. W niektóre święta przynoszono na plac publiczny ciała panujących. Dowódcy tej szczególnej straży zapraszali szlachtę, czyli członków ciała politycznego, i oficerów wyższego stopnia na uczyty dawane w imieniu ich władców, i rozwijali całą okazałość ich bogactw. „Żadne inne miasto, mówi jeden z dawnych kronikarzy, nie widziało takiej obfitości złota, naczyń z jednej sztuki srebra lanych, i klejnotów, jakie rozwijał na tę uroczystość, wielki plac świątyni słońca.”

Usługę przy tej uczcie spełniała straż tego domu, a zaproszeni brali w nią udział zachowując przepisy etykiety z tą samą starannością, jak żeby sam monarcha którego uczcić chcieli przewodniczył tej uroczystości.

### III. Własność. — Rolnictwo i rękodzielnictwo. — Byt narodu.

Urządzenia finansowe Inkasów i prawo własności tworzą stronę najgodniejszą uwagi w ustroju społeczności peruwiańskiej. Cały obszar ziemi był podzielony na trzy części: jedna dla słońca, druga dla Inka, a ostatnia dla narodu. Nie można wiedzieć która część była najbogatszą. Rozmiary o wiele różniły się w rozmaitych prowincjach. Przysnać należy że rozdział czyniony na podstawie zasad ogólnych, odbywał się z łatwością nawet w czasie nowych zdobyczy i podbojów, kiedy zwykle ziemia dodawaną była dla monarchii; ale rozkład gruntu zależał od ogółu ludności, i mniej więcej od obszaru ziemi potrzebnej na użytek mieszkańców.

Przychód z ziemi przeznaczonej „dla słońca” był użyty na utrzymanie świątyni i liczego duchowieństwa, również na wydatki kosztownych obrzędów i obchodów świątecznych. Ziemia pozostawiona dla Inka winna była wystarczyć potrzebom korony, domu i rodziny królewskiej oraz potrzebom rządu. Przewyżka była rozdzielaną na równe części między ludem. Każdy Peruwiańczyk był zmuszony żenić się w ozna-

czonym wieku. Natenczas, zgromadzenie lub okręg, dostarczał mu mieszkanie zbudowane z materyałów bardzo skromnych, a tém samém mało kosztownych. Przeznaczano mu część ziemi wystarczającą na utrzymanie jego żony. Część dodatkowa była udzielaną przy urodzeniu każdego dziecka; dla synów była podwójną. Dział gruntu odnawiał się corocznie, i powiększano lub zmniejszano posiadłość dzierżawcy w stosunku do liczby jego rodziny. To samo urządzenie miało miejsce u Kurakasów, z tą różnicą że posiadłość która im była udzieloną, odpowiadała wysokości ich stanowiska w tej klasie.

Trudno jest wyobrazić sobie zupełniejsze i rzeczywistsze prawo mające na celu równy podział gruntów. Przypominają te ustawy dawnych Hebrajczyków z tą tylko między nimi różnicą, że u Hebrajczyków w końcu każdego wieku, kiedy nadchodził czas wielkiego jubileuszu, ziemia wracała do jej pierwszych posiadaczy; wtenczas kiedy w Peru, nie tylko dzierżawa, (jeżeli możemy dać jej tę nazwę), kończyła się z upływem roku, ale dzierżawca przez czas jej trwania nie miał prawa ani odstępować części swój ziemi, ani dobierać do niej gruntu. Kres jego krótkiej dzierżawy pozostawiał go zupełnie w tém samym położeniu, w jakim znajdował się przy jej obejmowaniu. Ten stan rzeczy szkodliwie wpływał na uczucie przywiązania do ziemi, i potrzebę ulepszenia jej, która jest spojona z stałym prawem własności, i którą prawie wszędzie znajdujemy w równym stopniu u tych dzierżawców, co przez dłuższe lata pracują na jednym gruncie. Ale zdaje się że z zamięłowaniem porządku i wstrętem do wszelkich zmian, który odznaczał ustanowienia peruwiańskie, każdy nowy rozkład ziemi utwierdzał zwykle dzierżawcę w jego posiadłościach tak dalece, że z właściciela rocznego zostawał on prawie zawsze dziedzicem dożywotnim.

Cały obszar rolnej ziemi był uprawiany taką koleją.

Najpierw zajmowano się częścią należącą do słońca. Następnie uprawiano niwy starców, chorych, wdowy i sieroty, również jak i żołnierzy będących w czynnej służbie: jednem słowem, wszystkich tych, którzy przez niedołęztwo cielesne lub inną jaką przyczynę, byli w niemożności zajęcia się tą pracą. Po spełnieniu tych powinności (tak silnie przekonywających, że wrodzone pojęcie człowieczeństwa

błogie uczucie braterstwa, nie potrzebuje cywilizacyi, nie czeka na jej ustawy i objawy postępu, który poprzedzony został na tyle wieków światłem ducha, jasnym promieniem jaki oświeca drogę życia tak ludów jak i pojedynczego człowieka), każdy mógł uprawiać własne pole, ale pod warunkiem, bez żadnego wyjątku, udzielania pomocy sąsiadowi, jeżeli jaka okoliczność, jak na przykład choroba lub obciążenie liczną i młodą rodziną, wymagało poświęcenia dłuższego czasu i mozolniejszej pracy.

Nakoniec przystępowano do uprawy ziemi Inka. Wielka to była uroczystość, w której cała ludność brała udział. Rodzaj wezwania do tego zajęcia był przesyłany do ludu, od każdego okręgu lub od wyższego kapłana. Wszyscy mieszkańcy, mężczyźni, kobiety i dzieci, przybrani w świąteczne suknie i rozmaite ozdoby jak w dzień wielkiego jubileuszu, śpieszyli na miejsce oznaczone; poczem oddawali się pracy z całą swobodą, śpiewając ludowe pieśni poświęcone bohaterskim czynom Inkasów, stosując ruchy swój pracy do taktu muzycznego, i powtarzając całym chórem słowa *halle*, co oznacza zwycięstwo. Ich narodowe pieśni odznaczały się szczególnym wdziękiem, który zachwycał Hiszpanów; wiele też śpiewów peruwiańskich podłożonych było pod muzykę przez zdobywców; nieszczęśliwi krajowcy słuchali z tęsknym zadowoleniem tych pieśni, które im przypominały błogą przeszłość, kiedy dni ich upływały spokojnie pod berłem Inkasów. Rozkład uprawy ziemi był zastosowany do rozmaitych produktów naturalnych krajowych. Trzody lemasów (peruwiańskich owiec), były wyłącznie zostawione dla słońca i Inka; liczba ich była niezmierna. Rozsypane w różnych prowincjach, mianowicie w okolicach najzimniejszych, były powierzane pasterzom doświadczonym, którzy im zmieniali pastwiska stosownie do pory roku. Wielką ich liczbę wysyłało do stolicy, na stoły dla dworu, i na święta i uroczystości religijne. Hodowanie ich było przedmiotem drobiazgowych rozporządzeń, nacechowanych doświadczeniem i taką rozważką, że te wzbudzały uwielbienie w Hiszpanach przyzwyczajonych w ich własnym kraju do umiejętnego obchodzenia się z wielkimi trzodami słynnych merynosów.

Po ukończeniu strzyży, wełna była składana do publicznych magazynów. Natenczas każdej rodzinie udzielano jej

stosownie do koniecznych potrzeb. Oddawano ją kobietom, które zawsze były zręczne w sztuce przędzenia i tkania. Kiedy każda rodzina została zaopatrzoną w odzienie grube ale ciepłe, zgodne z stanem powietrza w górach, (bo w dolinach, bawełna tym samym sposobem dostarczana przez koronę, zastępowała w części wełnę), lud pracować musiał dla Inka. W Peru, nie było wolno nikomu, z wyjątkiem chorych i starców, jeść chleb próżniaczy. Lenistwo było występkiem w obec prawa, które je surowo karało, wtenczas kiedy rękodzielnictwo było publicznie czczone i nagradzane. To samo prawidło stosowano do prac wszelkiego rodzaju, i do wykonywania ich takie same wezwania rozsyłane były ze strony rządu.

Wszystkie kopalnie państwa należały do Inka: były użytkowane wyłącznie na jego korzyść, przez umiejętnych górników.

Każdy Peruwiańczyk drugiej klasy był rolnikiem, i musiał (z zastrzeżeniem wyjątków wyżej wzmiankowanych), zaradzać dostatniemu utrzymaniu rodziny przez uprawę swego pola; pewna jednak część z téj ludności kształciła się w sztukach mechanicznych nawet w rodzaju wykwintnym, bo wyroby ich służyły do zbytku i ozdób. Praca ta ograniczająca się jedynie na potrzebach panującego i jego dworu, wymagała małej liczby robotników; więcej rąk używano do budowy wielkich gmachów publicznych, w które kraj ten obfitował.

Wybór tego rodzaju zajęcia i obszerność pracy, zwykle naznaczane były w stolicy przez urzędników dobrze świadomych o środkach rozmaitych prowincyi, i zdolności ich mieszkańców.

Te objaśnienia były otrzymywane za pomocą szczególnej instytucyi. W całym kraju utrzymywano starannie listę nowonarodzonych i zmarłych, i corocznie czyniono dla rządu wyciągi ludności, za pomocą *quippos* (1). W pewnych także okresach, układano rodzaje listy ogólnej, które dawały dokładne wyobrażenie o własności ziemi, płodności, naturze

(1). *Quippos* był to rodzaj rzemienia złączonego z włóknem *magney*, i od którego rozchodziło się wiele sznurów. Węzłami tych sznurów Peruwianie wyrażali swe myśli, podobnie jak na Wschodzie wyrażają je przez kwiaty.

produktów roślinnych i mineralnych; jedném słowem o wszystkim co stanowiło bogactwo przyrody.

Za pomocą tych statystycznych szczegółów, rząd mógł łatwo rozdzielać pracę z zastosowaniem jęj do zdolności mieszkańców każdęj prowincyi. Tym sposobem jeden okręg przedstawił najzdolniejszych górników, drugi najlepszych robotników do wyrobów ze złota i drzewa i t. p. Rząd dostarczał potrzebnych narzędzi.

Nikt nie był zmuszony poświęcać usłudze publicznej więcj czasu nad uczynione zobowiązanie. Ten któremu zakreślony czas przeszedł, zastępywany był przez drugiego. Wszystkie osoby należące do służby rządowej, jak również zajmujące się rolnictwem, przez ciąg ich zajęcia były utrzymywane kosztem Państwa. Nikt nie był pracą przeciążony, i każdy miał dosyć czasu na zaradzenie potrzebom swęj własnej rodziny. Część artykułów rolniczych i wyrobów rękodzielniczych była odsyłaną do stolicy na niezbędne potrzeby Inka i jego dworu! Resztę zaś, której część była o wiele wyższą, składano do magazynów publicznych założonych w rozmaitych okolicach. Corocznie, inwentarz produktów z wymieniem okręgu z jakiego przychodziły, był spisany przez oficerów królewskich i zamieszczany w rejestra z zadziwiającą dokładnością. Te rejestra przedstawiane były panującemu, który jednym niemal rzutem oka mógł objąć, wszystkie rezultata przemysłu narodowego. Takie są głównejsze rysy zakładów peruwiańskich odnoszących się względnie do własności. Wszyscy pisarze, lubo różnią się w szczegółach, zgadzają się co do ogółu.

Należy nam jednak skreślić i ciemną stronę obrazu. Podatki wymagane od narodu musiały być zbyt uciążliwemi, na nim bowiem spoczywał cały ciężar nie tylko ich własnego bytu, ale i bytu całego Państwa. Członkowie rodziny królewskiej, szlachta wyższa, urzędnicy publiczni i liczne grono kapłanów, wszyscy byli wolni od podatków; lud więc tylko łożył kosztą na wszystkie wydatki i potrzeby rządu.

Pracował dla drugich pierwęj jak dla siebie. Lubo okazał się tak zręcznym i sposobnym, nie mógł dodać ani jednęj włóki do swych posiadłości, ani wznieść się o jednę linję na szczeble wyższych stanów społeczeństwa. Wielka i ogólna siła poruszająca wszelki uczciwy przemysł, to jest

zamożność osobista, dla tego narodu było stracone. Wielkie prawo postępu ludzkości nie było mu znane. Jakim urodził się, takim winien był umierać. Nawet czas nie był jego własnością: opłacał podatki ciężką pracą. Nie dziwujmy się więc że rząd uważał lenistwo za występki. Był to rzeczywisty występki przeciwko Państwu, bo tracić czas, było to w części okradać skarb publiczny. Peruwianczyk, pracując całe swe życie dla drugich, był nieomal jak winowajca skazany na obracanie kamienia młyńskiego, z przekonaniem, że jakiegokolwiek ztąd wynikną korzyści, on sam nie może z nich zyskać. Lukasowie ustalili w swych poddanych duch ślepego posłuszeństwa i spokojności, obumarłość na dobro własne, i postępek ludzkości.

Powiodło się to im najzupełniej. Pierwsi Hiszpanie którzy ten kraj zwiedzali, nie przedstawiali utrzymywać że żaden rząd nie mógł być lepiej zastosowanym do ducha narodu, i żaden naród nie okazywał więcej zadowolenia z swego losu i przychylności do swego rządu. Autor historii podbicia Peru skreślając w swém dziele rys historyczny tego kraju, przechodzi dzieje Peruwianczyków od pierwiastkowego ich stanu, mianowicie przed 1524, (rok podbicia ich przez Hiszpanów pod wodzą Pizarra), aż do 1821, epoki ich powstania przeciw pierwiastkowej ich ojczyźnie, i chwili utworzenia rzeczypospolitej. Główną treścią dzieła jest porównanie pierwiastkowego stanu Peru z późniejszym. Mieszkańcy kraju tego pomimo niepojmowania postępu i dziwnej obojętności na ulepszenie własnego bytu, i zyskania wyższego stanowiska w społeczeństwie pod dobroczynnym wpływem zasad jakie wyrobiła tak w rządzie jak i w całym Państwie miłość ludzkości, wydają się nierównie wyższymi pod względem pojęć, jak w chwili, kiedy ludzie wyższej oświaty rząd nad niemi objęli. Cierpienia narodu, walka czystych i prawych uczuć ludu barbarzyńskiego z ludem ucylizowanym, a spełniającym czyny okrucieństwa, mistrzowskiem skreślone jest piórem.

Fakta historyczne i badania naukowe zamieszczone w tém dziele głębokiej dowodzą erudycyi; całość więc dzieła słusznie zyskała Wiliamowi H. Prescott miano znakomitego pisarza.

P. F.



# ŻYCIE MOZARTA,

PODŁUG NAJLEPSZYCH ŹRÓDEŁ.

SKRĘŚLIE.

*Maurycy Karasowski.*

---

(Do kończenia).

## XVII.

Odtąd pobyt w Paryżu stał mu się nieznośnym; ojciec nieśmiało już więcej zmuszać go do pozostania w mieście tak widoczny wstręt w nim obudzającego, a tymczasem począł się starać około polepszenia losu syna w Salzburgu. Właśnie w nadworniej orkiestrze arcybiskupa Colloredo, zawakowały dwie ważniejsze posady, to jest kompozytora i organisty. Ludzi zdolnych do ich pełnienia oprócz Mozartów, nie było wcale, a zatem prątał ów pomimo niechęci jaką miał dla młodszego z powodu, iż śmiało porzucił samowolnie miejsce przynoszące mu rocznie 12 florenów i 30 kreitzarów, musiał jednakże za pośrednictwem swego intendenta zawiązać z nimi ostrożne dyplomatyczne układy, a zręczny i doświadczony w obejściu się z ludźmi ojciec, tak całą tę sprawę poprowadził, że dla siebie wyrobił posadę kompozytora z pensją 500 złr. rocznie a dla syna organisty, z taką samą płacą. W kontrakcie tym jeszcze położono warunek, iż Wolfgang co dwa lata będzie miał prawo udać się na jakiś czas do Włoch, ku czemu arcybiskup obowiązuje się dać mu jeszcze list polecający własną swą ręką pisany. Było to w istocie wielkiem dla

nich szczęściem: o większém marzyć nie śmieli. W saméj rzeczy mając tysiąc złr. stałej rocznej pensyi, dla skromnych mieszkańców Salzburga było aż nadto wystarczajacém na codzienne życia potrzeby; policzywszy do tego dochody szczupłe wprawdzie z lekcyi prywatnych jakie mieć mogli, dawało dostateczną rękojmnię swobody i niezależności od materyalnych trosk życia. „Kiedy się nie jest zmuszonym gonić grosz za groszem, można sobie pozwolić czasami jakiej przyjemności”—pisał ojciec do syna nagląc go, ażeby pośpieszał z przyjazdem. Ale biędny Wolfgang, po sześciomiesięcznym pełnym zawodów pobycie wyjechawszy z Paryża, więc uszczupliwszy znacznie swój zapas gotówki, nie mógł podróży tak wówczas kosztownej szybko odbywać. Całym jego dochodem za kompozycyę w tém ostatniém mieście, było piętnaście luidorów które otrzymał od jakiegoś księgarza za napisanie sześciu sonat na fortepian, wszystkie zaś inne jakoto: dwa koncerty na fletowers, koncertino na harfę, symfonia *solowa* o której już wspominaliśmy i druga z tonu *D*, czyli symfonia tak nazwana paryzka, z powodu że wykonaną była na koncertach towarzystwa, tudzież kilka innych kawałków mniejszej wartości i chóry dopisane do Miserere Holzbauera, ani grosza mu nie przyniosły.

W przejeździe przez Strazburg, zmuszonym był dać dwa koncerty. za które dostał wszystkiego sześć luidorów. „Gdybym mógł wiedzieć naprzód że tak mało zejdzie się publiczności, byłbym dał koncert *gratis*; niechajby przynajmniej w sali było dosyć osób. Ale dla pokazania Strasburgczykom że nie miałem do nich żalu, grałem wiele dla swojej przyjemności, nawet więcej aniżeli im afisz obiecywałem; na końcu zaś koncertu długo improwizowałem.” Zresztą Mozart dnia tego był w najlepszym humorze, bo w tych nielicznych słuchaczach znalazł prawdziwych amatorów dobrej muzyki, umiejących się na nim poznać i ocenić należycie. To téż brawa sypały się bez końca, a taka publiczność wy nadgradzała go zawsze za szczupłość dochodów.

Przybywszy do Manheimu, Mozart odebrał wezwanie napisania muzyki do duodramy pod tytułem: *Semiramis*, w sposobie melodramatycznym. Rodzaj ten miał natenczas wiele dla niego powabu; widział on dwie tego rodzaju sztuki *Medeę* i *Ariadnę* Bendy, i te mu się niezmiernie podobały:



„Wiesz, mój ojciec”—pisał z tego powodu—że z liczby kompozytorów lateryańskich, Benda jest mi najulubieńszym. Szczególniej te dwie jego sztuki, są zawsze przy mnie, nie porzucam ich nigdy. Jeżeli mam szczerze wyznać przekonanie moje, to chciałbym ażeby większą część recitatiwów w operach, można było w ten sposób prowadzić a śpiewać tylko te, które z natury swój słów i rzeczy, mogą się jedynie przydać pod muzykę. Prawda iż potrzeba ażeby aktorowie byli dobrzy.” Zmienił widać później opinię swoją w tym względzie, bo na tyle dzieł scenicznych jakie po sobie zostawił, nigdzie z tego rodzaju pracą jego się nie spotykamy.

Jednakże niewiedziéć dla jakich powodów, dyrektor teatru manheńskiego nie dotrzymał umowy, zrzekłszy się z Mozartem zobowiązania. Tym więc sposobem dzieło to nieprzyszło do skutku. Znałony nareszcie surowém napomnieniem ojca, po trzech-miesięcznej z Paryża do Salzburga podróży, w połowie stycznia 1779 r. wrócił Mozart do domu.

## XVIII.

Przez dwa lata prawie, Mozart pełniąc obowiązek nadwornego i katedralnego organisty, nie ruszał się krokiem z Salzburga, pracując wciąż i zastanawiając się nad sztuką, która przed nim jak przed najdroższym ulubieńcem, wszystkie swe tajniki otwierała. Ten czas długiéj i samotnéj rozwagi, stanowczo w talencie Mozarta uczynił przemiany, przemiany rdzenne, mające odtąd wpłynąć nie tylko na twory ducha jego, ale nawet muzykę samą wzruszyć w najsilniejszych jej podstawach i popchnąć ją na szeroki gościniec olbrzymiego postępu. Potrzeba było okazji, ażeby błysnąć przed zdumionym światem promieniem geniuszu; jakoż nadarzyła się wkrótce, jak to zaraz obaczymy.

Znany nam już z Manheimu Palatyn, którego dzieciom Mozart w przejeździe do Paryża dawał gratis lekye muzyki, zostawszy teraz mianowany Elektorem Bawarskim, skłonnościom wrodzonym do téj sztuki, mógł obecnie zadosyć uczynić. Więc téż Monachium stało się ogniskiem dobrej muzyki; postawiwszy na takiéj stopie orkiestrę, że nigdzie prawie w Europie lepszej nie było, dobrawszy towarzystwo złożone

z wyborowych włoskich śpiewaków, Elektor zapragnął dać im stosowne zajęcie. Jego Książęca Mość dla Mozarta miał zawsze wiele pamięci i współczucia, pomimo że nieprzyjazni temu młodemu kompozytorowi, podczas ostatniego w Mannheimie pobytu, siła nieprzychylnych rzeczy w uszy Elektorowi nakładli. Pragnąc atoli dać mu dowód swego uznania, zapytał go urzędownie, czy chce podjąć się napisania opery *serio*, którąby w takim razie można było wykonać podczas karnawału 1781 roku? Mozart bez żadnego wachania zgodził się na tak pochlebną propozycją, a otrzymawszy z wielką prawdą trudnością sześciomiesięczny urlop od arcybiskupa, w miesiącu listopadzie udał się do Monachium. Przybywszy na miejsce, zastał już poemat, czyli osnowę opery gotową; tytuł jej był: *Idomeneo Rè di Creta osia Ilia e Idamante*. Lecz twórca słów, niejaki ksiądz Varesco, mieszkał w Salzburgu, a ponieważ nie mógł się z tego miasta oddalić, więc Mozart musiał porozumiewać się z nim piśmiennie, za pośrednictwem ojca swego. Wiadomo jak w takim razie, autorowie dzieła liryczno-dramatycznego, zmuszeni są na każdym kroku porozumiewać się z sobą, jeden drugiemu ustępować, jedno i to samo kilka nawet razy przerabiać, już to dla wymagań sceniczności, dramatycznego efektu, albo wreszcie dla dobra samej muzyki. Z listów Mozarta w tym celu pisywanych do ojca, widzimy szczególny dar pojmwania warunków sceniczności, które stanowią jedną z ważniejszych zalet jego prac teatrowi poświęconych. Można powiedzieć, iż w samym zaraz początku swego dramatycznego zawodu, szedł w ślady Glucka, jako myślący i głęboki kompozytor, gdyż sztukę łączenia muzyki z efektami teatralnymi, posiadał Mozart w wysokim stopniu. Oto niektóre wyjątki z tych ciekawych i nauczających listów:

„Mam znowu prośbę do szanownego księdza Varesco; chciałbym ażeby cokolwiek przerobił arję Ilij w drugim akcie. Pierwszy wiersz: *Se il padre perdei, in te lo ritrovo*, jest wybornym; ale później następuje *aparté* czyli słowa mające się mówić *na stronie*, rzecz która mię zawsze mocno razi. Rozumiem iż w dyalogach to bardzo naturalne, bo słowa tego rodzaju mówią się prędko, niby do siebie; lecz w aryi, gdzie wyrazy muszą się powtarzać, sprawia to najgorszy efekt. Drugi duet wyrzucam zupełnie, co niezawodnie ko-

rzystném będzie dla opery. Czytając tę scenę, przekonasz się mój ojczu, że duet ten czyni ją bezwładną i chłodną. Dla tych co muszą stać na scenie z założonemi rękami i czekać aż się skończy, jest niesłychanie ambarasowny, bo niewiedzieć co mają z sobą robić. A potem, ta walka wspaniałomyślności pomiędzy Ilią i Idamante, zbyt znacznie się przedłuża, więc oczywiście szkodzi tylko efektowi dramatycznemu." Książdz Varesco chciał dać królowi Krety kawatynę z którąby się łączyły chóry w końcu drugiego aktu: „Otóż tutaj” powiada Mozart „właściwiej będzie napisać recitativo na tle opracowaném z samych instrumentów. Kawatina bowiem mizernie musi wyglądać, w pośród sceny ogromnego zamieszania i trwogi. Jest to epizod najpiękniejszy z całej opery; a potem cóż zrobić z piorunem, czyż on ma czekać aż Raff (śpiewak przedstawiający rolę Idomenea), skończy swą aryę? Doprawdy, że recitativo najwłaściwszém tu będzie” i t. p. Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia jednej jeszcze Mozarta uwagi:

„Czy nie znajdujesz mój ojczu, że podziemny głos Neptuna, za długo się ciągnie? Wyobraź sobie teatr; głos ten powinien być straszliwy, potężnie słuchaczy przenikający; lecz jakże tego dopiąć gdy trwa tak długo; rozciągłością swoją musi koniecznie zniweczyć cały efekt. Gdyby naprzykład głos Szekspirowskiego widziadła w *Hamlecie* był nieco krótszy, bezwątpienia większe czyniłby wrażenie. „Rzecz dziwna, powiada jeden z pisarzy (1), ten co powyższe słowa kreślił, miał później wprowadzić na scenę widziadło nierównie dłużej od szekspirowskiego przemawiające (w *don Juanie*), a przecież nietylko że w niczém dziełu nie zaszkodziło, lecz owszem, wrażenie przestachu śmiertelnego do tak potężnych rozmiarów doprowadził, do jakich nikt dotąd z poetów ani z kompozytorów doprowadzić nie był w stanie, i prawdopodobnie nie doprowadzi nigdy. Cóż z tego wnosić? Oto że w rzeczach sztuki, muzycznej przynajmniej, nie ma tak absolutnej prawdy, którejby istotny geniusz fałszu czasami nie zadał.”

Na próbach, dwa pierwsze akty *Idomenes*, pomiędzy artystami i amatorami, wzbudziły zapal nadzwyczajny; przyjaciele Mozarta obawiali się nawet o los trzeciego, który nie-

(1) Oulibischef.

był jeszcze skończony, bo nie przypuszczano aby mógł im w piękności wyrównać. On jeden tylko nie wątpił: „Tak jestem cały przejęty trzecim aktem, że obawiam się ażebym się w niego nie przemienił. Więcej mu pracy poświęcam niż dwóm pierwszym, bo każda scena jest ogromnej wagi.” W inném znów miejscu powiada: „Radbym ażeby powiedziano: *finis coronat opus.*” Mozart miał słuszość, gdyż istotnie akt trzeci téj opery, pod względem wzniosłości muzycznych pomysłów, bez porównania wyższym jest od swych poprzedników.

W ogólności, próby szły wybornie; artyści orkiestry i śpiewacy uderzeni pięknnością muzyki, jakiej jeszcze nie zdarzyło im się słyszeć, powzięli dla jój twórcy szczerą i głęboką szacunek. Sam Elektor bywał na nich często i jawnie cieszył się z dzieła Mozarta powtarzając nieraz te słowa: „Ktoby mógł przypuszczać, że tyle wzniosłych i wielkich myśli, może się mieścić w tak małej głowie.” Nawet kompozytor zadowolony wewnątrznie z swój pracy i ze sposobu w jaki się wzięto do jój wykonania, z pochwał oddawanych mu przez osoby wysoko na dworze Elektora położone, zaufał zupełnie swój gwiazdzie, która odtąd obiecywała mu drogę życia jego, jasnym blaskiem pomyślności przyświecać. Jeden tylko ojciec, znający gruntowniej i lepiej niestałość rzeczy ludzkich na świecie, niepokoił się o los syna, ciesząc zarazem z pomyślnych wieści gęsto do Salzburga z Monachium dolatujących: „Ty wiesz moje kochane dziecię, iż wszystkich ludzi posiadać za przyjaciół niepodobna. Owe *ale* i *gdyby*, wcisną się wszędzie. Wątpiono ażeby drugi akt mógł być również piękny i nowy w pomysłach jak pierwszy; wątpliwość ta znikła; tak samo wątpię będą i o trzecim, lecz głowę dam w zastaw, że znajdą się tacy co powiedzą, iż twoja muzyka nie robi takiego wrażenia na scenie jakie czyni w salonie. Ażeby ich wywieść z błędu, potrzeba dobrych chęci i jak największej gorliwości ze strony artystów orkiestrowych. Staraj się więc tych panów utrzymywać w jak najlepszym humorze, miej dla każdego z nich w pogotowiu jakieś pochlebne słówko i pochwałę. Znam twój styl; wymaga on ze strony grających niezmierniej i drobiazgowiej uwagi, a nie jest to małą rzeczą żądać od nich przez trzy prawie godziny takowego natężenia umysłu. Każdy z nich,

aż do najmizerniejszego *alto-wiolisty*, czułym jest na pochwały; pochwały czynią go staranniejszym i uważniejszym w wykonaniu." W inném miejscu powiada: „Wiesz dobrze iż na stu słuchających, jest zaledwie dziesięciu znawców; nie zapominaj więc o tém co nazywają popularném, a to w celu pogłaskania nieco ludzi, którym natura długie uszy udzieliła." Na co syn odpowiedział: „Nie troszcz się moj ojcze o to co nazywasz popularném; w mojej operze jest muzyka dla wszystkich, z wyjątkiem dla kłapouchów."

Ojciec Mozarta nieczekając na sprawozdanie z pierwszego przedstawienia *Idomenea*, udał się z córką do Monachium, gdzie przybył dnia 26 stycznia, w wigilią właśnie rocznicy urodzin Wolfganga, a w sam dzień pierwszej reprezentacyi. Wielu innych mieszkańców Salzburga udało się tam również w tym celu. Opera przyjętą została z nadzwyczajnym zapalem; powodzenie jęj było ogromne: publiczność krzyczała i trzęsła się z zadowolenia.

Geniusz Mozarta nietylko w muzyce liryczno-dramatycznej, ale zarazem i w kościelnej zajaśniał w tęg epoce utworem również wzniosłęg i okazałęg wartości. Dla nadwornęj orkiestry Elektora skomponował on owe sławne offertorium pod tytułem: *Misericordias Domini*. Mozart przywiązywał do niego wiele wartości i uważał go za najlepsze dzieło jakie w tym rodzaju zostawił.

W pośród powodzeń wszelkiego rodzaju, czas Mozartowi w Monachium wesoło i szybko upływał, i ani się spostrzegł, że już od trzech miesięcy urlop jego się skończył. Więc tęg wyraźny rozkaz arcybiskupa wzywał go do Wiednia, gdzie książę ten już się znajdował, ażeby swobodne i przyjemne życie prowadzone w stolicy Elektora Bawarskiego, zamienić raptem na niewolnicze i pełne osobistego upokorzenia.

## XIX.

Przybywszy o dziewiętęg godzinie z rana do pałacu zajmowanego w Wiedniu przez arcybiskupa, Mozart uwiadomionym został, iż o wpół do dwunastej winien się stawić na obiad. Towarzyszami stołu byli: dwóch kamerdynerów

prałata, ci zwykle zajmowali pierwsze miejsca; dwóch kucharzy, cukiernik i nareszcie Cekarrelli i Brunetti, artyści należący do nadwornej Salzburskiej kapeli. Towarzystwo takie w którym kamerdynerzy i kucharze rej wodzili, oczywiście nie mogło przypaść do smaku Mozartowi obywatelowi z światem wyższym, z ludźmi dobrze wychowanymi albo zajmującymi w społecznych hierarchiach niepoślednie stanowiska. To też skoro obiad się skończył, Mozart nic prawie przez czas jego trwania nie mówiąc, wstawał natychmiast i wychodził do swego mieszkania lub czynności. Względem artystów należących do nadwornej orkiestry arcybiskupa, przestrzegano z najściślejszą etykietą zwyczaju następującego: Kiedy miał się odbyć wieczór muzyczny u samego ich pana, albo jeżeli tenże orkiestrę swoją pożyczał któremuś z dygnitarzy proszących go o to, wówczas jeden z kamerdynerów arcybiskupa pilnujący drzwi w wielkim salonie, spostrzegłszy wchodzącego któregoś z artystów, natychmiast wołał lokaja, ażeby go przeprowadziwszy, pokazał gdzie w końcu salonu ma stać nieporuszony, aż chwila rozpoczęcia koncertu nadejdzie. Taki sposób postępowania oburzał twórcę *Idomenea*, więc też wyłamać się z niego przy zdarzonej sposobności postanowił. Jakoż książę Galicyn, wielki miłośnik muzyki, mieszkając natenczas w Wiedniu, dawał u siebie pewnego razu koncert, a do współudziału którego zaprosił orkiestrę arcybiskupa. Mozart przybywa na wieczór nie z kolegami ale sam; wchodzi śmiało do salonu nieważając na przedstawienia kamerdynera, ani na chcącego mu przewodniczyć lokaja; idzie wprost do samego gospodarza domu, wita się z nim jako z człowiekiem znajomym już sobie i staje wpośród towarzystwa zebranego, niemyśląc się wcale ruszać ani ustępować z tego honorowego stanowiska. Rozmawiając z gospodarzem z całą swobodą salonowca, widzi jak inni jego koledzy a mianowicie Brunetti i Cekarrolli, stoją w kącie orkiestry nieśmiejąc krokiem ruszyć. Lecz arcybiskup dowiedziawszy się o tém i spostrzegłszy Mozarta w tłumie najznacześniejszych osób, na tak zuchwałe i bezprzykładne pogwałcenie obowiązków jakimi obarczał ludzi w jego zależności będących, wpadł w gniew niepochołowany, a nieważając na miejsce ani na obecnych, zwymyślał Mozarta słowami nieprzyzwoitemi i co większa, codziennie za to

później dokuczając, nietylko zabronił mu wystąpić publicznie z koncertem na własny dochód, ale nawet nie pozwolił ażeby Mozart grał w mającym się urządzać na korzyść biednych wdów po zmarłych artystach muzycznych pozostałych. W tym razie jednakże całe wyższe towarzystwo miasta, poczęło się wstawiać za Mozartem do arcybiskupa przekładając mu że to jest cel dobroczynny, że stanowisko jego jako księcia kościoła nie zgadza się z surowością postępowania, gdy idzie o okazanie miłosierdzia publicznego, że pozbawie koncert ów współudziału tak znakomitego talentu, jest to odjąć mu cały prawie dochód i t. p. W końcu Mozart otrzymał pozwolenie wystąpienia, a jako fortepianista nie mający wówczas równego sobie na świecie, z niesłychanym zapalem był przyjmowany. Przyjaciele i wielbiciele jego talentu, wbrew postanowieniu arcybiskupa, urządzili naszemu wirtuozowi koncert; damy podjęły się rozprzedaży biletów, tak więc despotyczna wola monsigniora Colloredo, na nic się w tym względzie nie przydała. W skutek takowego z sobą obchodzenia, Mozart zniecierpliwiony szorstkością obejścia, skąpstwem i niewyrozumiałością arcybiskupa, postanowił służbę tę porzucić, tém więcej, że nędzną płacę jaką pobierał rocznie, daniem jednego koncertu w dwójnasób z łatwością mógł zebrać; jedynie tylko względy na ojca utrzymywały go od zupełnego zerwania z dworem nieznośnego prałata; lecz i te w końcu usunął, a rozchorowawszy się na prawdę czy może pozornie, zażądał stanowczo uwolnienia ze służby.

Odtąd, obrawszy sobie życie swobody i niezależności, osiadł stale w Wiedniu. Pobyt w tém mieście z wielu powodów był mu pożądanym. Mozart lubił wesołość, ucztę, hulanki nawet; w żadném inném mieście nie nastęczało się tyle do tego rodzaju życia sposobności, bo Wiedeńczycy od najdawniejszych czasów, umiłowali je sobie szczerze. Przyjemności materialnego życia, dla nich przedewszystkiem były najpożądane. Więc też na Praterze, na balach maskowych przebrany za pierrota lub arlekina, w towarzystwie kobiet młodych i wesołych, jak motyl z kwiatka na kwiatek, tak on w atmosferze jarzących świec i kinkietów, w ścisłku sal bilardowych, bujał szukając zabawy i uciechy zmysłowej.

Ale oprócz tego, inny jeszcze powód zniewalał Mozarta do osiedlenia się raczej w Wiedniu, jak inném mieście. Wiedeń naówczas był zbiorowiskiem artystów i wirtuozów całego świata. W nimto Gluck, Hayden, dwóch mistrzów których Mozart najwyżej cenił, stale mniej więcej zamieszkiwali. Nakoniec wyborna opera włoska, dla której najsławniejsi kompozytorowie pracowali zwykle do słów Metastasia tego księcia librecistów; wszystko to budziło w jego artystycznej duszy pragnienie czynu, odpowiedniego wewnętrznemu powołaniu. Wyczekując na sposobność odznaczenia się czemś niezwyčajném, tymczasem urządził się jak mógł, i tak: dawał koncerty, lekcy muzyki na fortepianie, komponował sonaty i za liche pieniądze odstępował takowe nakładcom; podejmował się zresztą wszelkich obśtalunków, pisania symfonji, kontradansów, mszy, requiem, menuetów; jedném słowem czego kto sobie życzył: nakoniec zapraszany na wieczory muzykalne, za które licznemi podarunkami go obsypywano. Ale cóż, kiedy wszystkie te dochody nie wystarczały mu na utrzymanie życia.

## XX.

Józef Hgi zamiłowany w sztukach pięknych a szczególniej w muzyce, powziął myśl, dziwną naówczas, obok opery włoskiej stale w Wiedniu przebywającej, utworzyć operę narodową niemiecką. Mając pod ręką Mozarta, na tego rodzaju przedsięwzięcie można się było odważyć, wezwawszy do pomocy najlepszych, jakich tylko udało się zebrać artystów krajowych.

Działo się to w roku 1781.

Z ładnej komedyo-operetki Bretznera, ułożono libretto pod tytułem: *Porwanie z Seraju* (*Die Entführung aus dem Serail*), a Mozart napisał doń muzykę. Życzenia cesarza Józefa najpomyślniejszym skutkiem uwieńczone zostały. Pierwsza opera narodowa niemiecka godna tego nazwania, przyjętą została w Wiedniu z niezmiernym zapalem i następnie wystawiana w Pradze, Lipsku, Berlinie i wszystkich innych większych miastach niemieckich, jak z jednej strony dla jęj twórcy była źródłem sławy i wziętości, tak z drugiej,



zaszczepiła w narodzie tym przekonanie o którym dotychczas nikt prawie nieśmiało pomyśleć, to jest, przekonanie o samodzielności jego ducha na niwie sztuki muzycznej. W liście pisanym do ojca pod datą 21 września 1781 roku, a więc na dziesięć miesięcy przed wystawieniem téj opery, (dla wielu bowiem przeszkód dopiero 12 lipca 1782 r. wystawioną być mogła), znajduje się mnóstwo szczegółów dotyczących się planu i pracy jaką w tym celu Mozart wraz z Stephanim autorem tekstu wspólnie dokonywał. Pomijam analizę opery mogącą mieć nie mało zajęcia dla osób lepiej z tą operą obznajomionych, a przytoczę tylko zdanie Mozarta o wartości i znaczeniu słów, do których kompozytor ma muzykę układać, a i dziś nawet mogące być użytecznymi dla wielu kroczących po téj drodze: „W operze, poezya czyli słowa, powinny być uległe muzyce jak córka matce. Dla czego opery włoskie tak powszechnie się podobają, pomimo nędznej niekiedy wartości ich osnowy? Bo w nich muzyka panuje wszechwładnie i że dla niej samej wszystko się przebacza, o wszystkim zapomina. Tém więcéj opera musi się podobać, jeżeli treść jest dobrą, kiedy słowa dla muzyki umyślnie są dorabiane, a nie dla czczych rymów które Bóg widzi, nietylko utworowi dramatycznemu istotnej wartości nie dodają, ale owszem szkodzą mu nawet czasami. Wieleż to słów a niekiedy i strof całych, psuje i niweczy pomysły kompozytora! Całe szczęście, jeżeli kompozytor rozumiejący się na sztuce teatralnej, może udzielać dobrych rad poecie. Lecz właśnie natrafić na rozsądnego poetę któryby się zastosował chętnie do rad sobie udzielanych, trudność nie mała, rzecz można iż byłby to feniks w swoim rodzaju. Wtedy dopiero można liczyć na przychylné zdanie ogółu, nawet nieznającego się wcale na sztuce.” i t. d.

Podczas pierwszego przedstawienia *Porwania z Seraju*, wszystkie ustępy na powszechne żądanie zachwyconej pięknością muzyki publiczności, powtarzanemi były. Pomimo intryg które jak dawniej tak i teraz przeciwko Mozartowi knowano, tryumf jego stał się świetnym i stanowczym a zdrowy rozsądek ogółu, nie dał się wcale obalamucić temi nikczemnymi pokątnemi zamachami. Jednakże Józef Ilgi dał widać intrydze ucha, skoro wychodząc z widowiska a udając zawsze głębokiego w rzeczach muzyki znawcę, rzekł te słowa:

„Za wiele nut, mój kochany Mozarcie.” Na co mu tenże natychmiast odpowiedział: „Ani jednej więcej nad to co potrzeba, Najjaśniejszy Panie.”

Jedynem miastem na świecie które dzieła Mozarta umiało istotnie cenić tak, jak je później w kilkadziesiąt lat po jego śmierci ceniono, była Praga, dawna stolica dzielnego niegdyś narodu czeskiego. Professor Niemetscheck, autor anegdotycznej biografii twórcy *Porwanie z Seraju*, tak o przedstawieniu tej opery powiada: „Każdy był w uniesieniu, w zachwyceciu trudnym do opisanego, słuchając tej nowej harmonii, tych kombinacji tak oryginalnych a niesłychanych dotąd w użyciu dętych instrumentów. Doprawdy, zdawało się, że to wszystko co dotychczas na scenie słyszano, nie powinno i nie mogło być za muzykę uważane.”

Nieszczęściem, jak każdy wyższego umysłu i talentu człowiek, miał mnóstwo nieprzyjaciół, którzy nie mogli mu darować tryumfu jaki odniósł tak świetnie na polu sztuki narodowej. Szczególniej jeden z pomiędzy nich, nienawidził go śmiertelnie, a był nim znakomity, uczony i szanowany w Wiedniu kompozytor, twórca *Axura*, uczeń Glucka, jednem słowem Salieri. Nie mógł on znieść tej myśli, iż jakiś młody człowiek, nieposiadający ani tytułu, ani stanowiska, biedny muzykant utrzymujący się z dziennego zarobku, od razu siłą swego talentu wznosi się na wyżyny przez niego wielkimi i dawnymi zasługami zdobyte, a na których rad był samowładnie panować, niedopuszczając nikogo z śmiertelników do siebie. To też Salieri używał wszelkich sprężyn do szkodenia Mozartowi; obmowy, buntowania śpiewaków i tym podobnie; lecz co większa, ta nienawiść tak zwykle publicznie się objawiała, że zawczesna śmierć Mozarta przypisywaną była Salieremu. Utrzymywano, (błędnie jak dziś o tém wiemy z pewnością), iż on otrął młodego swego współzawodnika.

Józef Ilgi lubił osobiście Mozarta, a jednak nigdy mu w niczem stanowczo nie dopomógł; tak samo w Manhejmie, w Monachium, wszędzie gdzie tylko pragnął dla siebie jakiegokolwiek utrzymania, gdzie myślał o poprawieniu losu, natychmiast niewidzialne ręce niszczyły jego zamiary, bolesnym w końcu rozczarowaniem duszę tego człowieka napawając. W chwili właśnie kiedy pierwsze przedstawienie

*Porwania z Seraju*, stawiały go na czele nowej dla dziejów muzyki dramatycznej w Niemczech epoki, Mozart postanowił się ożenić z panną Konstancją Weber siostrą sławnej śpiewaczki a córką ubogiego urzędnika z Manhejmu. Ojciec jego długo się temu związkowi opierał: zwalczony w końcu silnym postanowieniem syna uległ i dał swoje zezwolenie. Ale matka panny, nie życząc sobie także tego małżeństwa, pozostała niewzruszoną. Potrzeba się było tedy uciec do środków nadzwyczajnych; twórca *Porwania z Seraju* wykradł narzeczoną, zawiózł ją do baronowej Waldstetten i tam dopiero połączył się z nią ślubnymi węzły. Na drugi dzień, Gluck wyprawił dla państwa młodych obiad, w dowód czci i uznania jakim ten nestor kompozytorów przejętym był dla młodego swego współkolegi.

## XXI.

Ożeniwszy się, Mozart zmuszonym został podwoić starania okóło zaopatrzenia domu w konieczne potrzeby codziennego życia. W listach jego z téj epoki, znajdujemy w tym względzie szczegóły mogące czytelników zainteresować, i tak: od godziny ósmej z rana aż do drugiej z południa, zajmował się dawaniem lekcyi muzyki; po obiedzie, godzinę wypoczywał; wieczorem zaś każdego prawie dnia, zapraszano go na rozmaite zebrania muzykalne. Mnóstwo znajomości jakie sobie porobił pomiędzy licznymi w Wiedniu zwolennikami sztuki, dozwalały mu niekiedy urządzać sobie abonowane koncerty w sali teatralnej. Kiedy żona jego zaszła w ciąży i była bliską porodu, Mozart na chwilę jej nie odstępował; a ponieważ zajęty był wówczas kończeniem kwartetu *B twardo*, jednego z liczby sześciu ofiarowanych Haydenowi, więc pomimo cierpień ukochanej żony, pomimo ciągłego odrywania się od biurka, pracować nad kwartetem nie przestawał. Dziwnem się to może wyda nie jednemu; ale Mozart mógł zaiste w takowej chwili tym dwom zadaniom artysty i człowieka podołać; bo wszystko co pisał, wprzód należycie w umyśle jego dojrzałem było. Nie potrzebował on się nigdy uciekać do pomocy instrumentu w przeprowadzaniu i rozwijaniu swych myśli muzycznych; owszem, wtedy dopie-

ro brał się do ich spisywania, kiedy stwardniały i skrzepły pracą imaginacyi w jego głowie. Więc téż wszystkie rękopisma jakie po nim zostały, są kreślone niby na czysto, bez żadnych przekreślań ani poprawek.

Prześliczna msza, *D miękkie*, którą zaczął w téj epoce w Wiedniu jako *votum* za szczęśliwe rozwiązanie żony, niby dziękczynna modlitwa Bogu że mu dozwolił zostać ojcem, skończoną dopiero była w Salzburgu, gdzie wkrótce udał się wraz z żoną na trzy miesiące, dla odwiedzenia starego ojca, którego już od lat dwóch nie widział wcale.

W roku 1784 przybyła do Wiednia znakomita w owe czasy artystka panna Strinassachi, grająca na skrzypcach w sposób zdumiewający. Chcąc tedy wystąpić publicznie z koncertem, zapragnęła współdziału Mozarta. Jakoż nie wahał on się stanąć obok niéj na estradzie, lecz ponieważ nic takiego w pogotowiu do wspólnego popisania się nie mieli, a zatem nasz hohatér miał w tym celu skomponować wielki duet na skrzypce i fortepian. Jednakże, czy z powodu braku czasu, czyli z innych przyczyn, Mozart zaledwie mógł dla panny Strinassachi skrzypcowy głos wypisać, a sam musiał zaufać tylko pamięci swojej. Publiczność przysłuchując się wybornemu i pełnemu ognia i precyzyi wykonaniu, ani się mogła domyślać jak rzeczy stoją; ale cesarz siedząc w swéj loży i śledząc uważnie grę wirtuozów, zauważał iż Mozart ani razu karty nie przerzucił, chociaż udawał że gra niby z nut. Józef IIgi zapragnął widziéć ów duet; podają mu papier leżący na pulpicie fortepianowym, a na tym papierze żadnej nuty nie ma, tylko puste rygi poprzekreślane liniami, jakich na odznaczenie taktów używają „Jakoś śmiałaś więc grać z czystego papieru?” zapyta Monarcha. „Tak jest, Najjaśniejszy Panie, i ani jednéj nuty nie brakło.”

## XXII.

W początku 1785 roku, stary Mozart postanowił odwiedzić syna w Wiedniu; przybył on właśnie w chwili, gdy syn jego kończył pracę najcięższą jaką w życiu przedsięwziął, to jest: trzy ostatnie kwartety na dwoje skrzypców, altówkę i wiolonczellę, z liczby sześciu które jakieśmy już

wyżej mówili, ofiarował Józefowi Haydenowi. Dziwném się może nie jednemu wyda, iż kompozytor co z taką niesłychaną łatwością układał msze, symfonie, opery, że pomimo wiele mniejszego rozmiaru utworów, potrzebował tyle czasu dla napisania sześciu kwartetów smyczkowych. Sam Mozart w dedykacji powiedział: „iż są one owocem długiej i mozolnej pracy” składając je zaś w ofierze największemu mistrzowi w tego rodzaju muzyce, chciał by były godnemi człowieka, którego czczył bez granic. Więc w tak szczupłych na pozór ramach, zawarł mnóstwo pięknych i wzniosłych myśli, ujawszy je w formę uczoną a wdzięczną zarazem. Kiedy Hajden wysłuchał tych kwartetów granych umyślnie przed sobą, zbliżył się wzruszony do ojca Mózarta i rzekł uroczyście te słowa: „Jak Bóg w niebie, jak jestem uczciwym człowiekiem, tak utrzymuję, że syn twój jest największym kompozytorem jaki był kiedykolwiek na świecie.”

Los tych kwartetów podobnym był do wszystkich tego rodzaju prac, wyprzedzających nowością pomysłów i obrobienia wzory, które aż do czasu ich pojawienia się, zawaładnęły smakiem i wyobraźnią ogółu. Gdzie tylko je wykonywano, tam zaraz mnóstwo nieprzyjaznych głosów przeciwko nim powstawało; nazywano je płodem poronionym, przesadzonym, niepojętym, niezrozumiałym! A przecież te same kwartety dzisiaj nam się zupełnie inaczej wydają. Muzyka od tego czasu, tak dalece naprzód poszła, tak wielkie zmiany w pojmowaniu jej nastąpiły, tyle technika jej wzbogacaną i upowszechnioną została, iż kwartety Mozarta należą już do rzędu utworów nadzwyczaj jasnych, przystępnych i zrozumiałych. Tak samo rzecz się miała z pracami szczególniej późniejszemi Beethowena; jego kwartety przed laty trzydziestu kilku, pomiędzy wirtuozami rozpacz wzbudzały; dzieła Roberta Schumanna i Ryszarda Wagnera dzisiaj po części mają ten sam przywilej, ztąd to owa napół prawdziwa, napół szydercza nazwa *muzyki przyszłości*, którą zwolennicy konserwatyzmu w sztuce (bo gdzie go nie ma), tak chętnie, chociaż nie zawsze słusznie rozrzucają.

W roku 1785 na żądanie towarzystwa koncertowego w Wiedniu, Mozart podjął się napisać oratorium pod tytułem *David pokutujący*; ponieważ wyznaczono termin bar-

dzo krótki, więc kompozytor nasz wzięwszy *Kirye* i *Gloria* ze mszy którą jako wotum w Salzburgu wykończył, dodał dwie arye na sopran i tenor, do tego trio jeszcze, i tym sposobem utworzył oratorium, zajmujące dziś wysokie stanowisko w rzędzie dramatyczno-kościelnej muzyki. Na żądanie zaś cesarza, w roku następnym dla jakiegoś uroczystości w Schönbrunn, skomponował *Der Schauspiel-Director* operetkę w 1 akcie, złożoną z 4ch tylko numerów, dzieło nieprzynoszące ani ujmy, ani chluby temu artyście. W tym także roku z powodu potężnej kabały nieprzyjaciół swoich Mozart doznał klęski, którą atoli przyszłość pomściła. Józef II polecił mu także napisać muzykę do komedyi Beaumarchacigo *Wesele Figara*, mającej natenczas nadzwyczajne w Wiedniu powodzenie. Książę Da Ponte ten sam co później ułożył osnowę *Don Juana* dopomógł Mozartowi szczerze do przyprowadzenia tego dzieła do skutku. Lecz kiedy przyszło do wykonania, śpiewacy jakby namówieni, dwa pierwsze akty mordowali bez litości. Mozart w rozpacz niewiedząc co czynić, pobiegł ze skargą do cesarza przytomnego przedstawieniu. Józef II ostrymi słowy zgromił śpiewaków; skutkiem tak potężnej interwencji, akt 3ci poszedł cokolwiek lepiej. Publiczność jednakże pozostała chłodną i milezącą aż do końca sztuki. Opera upadła z kretesem i wiele czasu upłynęło nim się w Wiedniu na nowo podnieść mogła.

Wkrótce atoli Praga Czeska pomściła niesprawiedliwość w stolicy anstryackiego państwa wyrządzoną Mozartowi; posłuchajmy co w tym względzie naoczny świadek, prof Niemetscheck powiada:

„Bendini przedsiębiorca truppy śpiewaków włoskich, który z niemałym powodzeniem odwiedzał teatru w Lipsku, Warszawie i innych znakomitych miastach, postanowił tutaj (w Pradze) w ciągu bieżącego roku (1786) wystawić *Wesele Figara*. Od pierwszego razu dzieło to doznało nadzwyczaj świetnego przyjęcia, a nie rozminę się z prawdą, gdy powiem, że przez całą zimę ono jedno tylko dawane było bez przerwy. Bondini który przedtem w krytycznym znajdował się położeniu, stanął na nogi i w zupełności poprawił swoje finansowe interesa. Zapal publiczności nie

miął granit, zdawało się że *Weselem Figara* nie nasyci się nigdy. Opera ta ułożona na fortepian, aranżowana na kwintet smyczkowy albo na dęte tylko instrumenta, przerabiana na kontradanse, jedném słowem, pod rozmaitemi postaciami popularyzowała się pomiędzy tutejszymi amatorami muzyki. Melodye *Figara* brzmiały po wszystkich ulicach, kawiarniach, nawet ślepi uliczni wirtuozi, jeżeli chcieli zatrzymać około siebie słuchaczy, musieli się uciekać do pośrednictwa wyjątków z tej opery.

„Przyczyna takowego niesłychanego powodzenia, zapewne leży najgłówniej w wysokiej wartości dzieła; lecz ażeby się na niem zaraz poznać, ażeby należycie ocenić siłę charakterystyki i nowość melodyjnych kombinacji, na to potrzeba publiczności obdarzonej niepospolitým poczuciem piękna, a do tego niezwykłą znajomością muzyki, w czém się właśnie mieszkańcy Pragi bardzo odznaczają. Nareszcie, dodać tu jeszcze należy wyborną orkiestrę, jaką nasz teatr posiada, ażeby można było oddać pomysły Mozarta z całą dokładnością i intelligencją na jaką zasługują. Artysci ją składający, są prawie wszyscy ludźmi wysoko w swoim zawodzie ukształconymi; mało pomiędzy nimi wirtuozów, ale każdy tak w teoryi jako i praktyce, niezwykłą znajomością sztuki się odznacza. Piękna i nowa tej opery harmonia, tudzież pełne życia i wdzięku śpiewy, wywarły na nich wrażenie głębokie, które umieli przelać na wszystkich w ogólności słuchaczy. Nieboszczyk Strohbach ich dyrektor, mawiał często iż on i jego podwładni przy każdym widowisku do takiego stopnia się zapalali, iż pomimo znacznej fatygi z odegrania takowego dzieła, najchętniej drugi raz na nowo byliby gotowi operę wykonać.

„Uwielbienie dla twórcy *Figara* doszło do nadzwyczajnego stopnia. Jeden z pierwszych tutejszych magnatów i głęboki znawca muzyki hr. Józef Thun, posiadający swój własny teatr i orkiestrę, zaprosił Mozarta do Pragi, ofiarowawszy mu mieszkanie i życie w swoim domu. Mozart wdzięczny Czechom za te dowody czci i uznania, ciekawy zarazem poznać bliżej naród tak muzykalny, przybył do Pragi w miesiącu lutym 1787 roku, właśnie w dzień przedstawienia *Wesela Figara*.“

## XXIII.

Skoro wiadomość o jego przyjeździe rozeszła się po mieście i kiedy go ujrzano wieczorem w łoży, publiczność powitała Mozarta pełnemi zapału okrzykami. W kilka dni później, dał on koncert w teatrze. Stiepanek, inny znów naoczny świadek, ten sam który tłumaczył *Don Juana* na język czeski, powiada: że Mozart łącząc w tak wysokim stopniu talent wirtuoza z kompozytorskim, szczególnież improwizacyami swemi, wprowadził słuchaczy w pewien rodzaj rozkosznego zachwycenia, że okrzyki radości końca i miary nie miały. To prawda, że w dniu tym, Mozart tak cudownie improwizował, jak już mu się może nigdy nie zdarzyło. Czesi, fanatyczni zwolennicy muzyki, nie podobnego jeszcze nie słyszeli, ale i Mozart także, nigdy jeszcze przed publicznością tyle godną siebie nie występował. Fetowano więc wielkiego artystę na wszystkie strony, wrywano go sobie; każdy pragnął go poznać z bliska, każdy pragnął nim się nacieszyć. Otoczony tedy przyjaciółmi, nieodbierając jak tylko najprzyjemniejsze wrażenia zewnątrz, Mozart z całej duszy odpłacał się wzajemnością. W Wiedniu, znaczna liczba współzawodników, zazdrosnych i zawistnych sławie Mozarta, zmuszała go często do użycia sarkazmu, albo ostrój względem nich krytyki, co tylko jątrzyło jeszcze więcej drażliwe i tak z nimi stosunki. Ztąd to wbrew swojej naturze, bywał często ostrym, cierpkim w pożyciu. W Pradze przeciwnie, nie mając powodu odpierania ani czynienia złośliwych ataków, dobrocią serca, uprzejmém i łatwém obejściem zniewalał wszystkich ku sobie. Szczególniej artyści orkiestry byli mu oddani duszą i ciałem; nigdzie jeszcze opery jego nie szły tak dobrze jak tutaj, bo nigdzie z takim zamiłowaniem ich nie wykonywano: nawet śpiewacy włoscy, przez samą dla Mozarta wdzięczność, iż *Weselem Figara* wybawił ich z kłopotów niedostatku, dobry byt na jakiś czas im zapewniając, robili z siebie co mogli, ażeby zyskać jego pochwałę i zadowolenie. Więc też Mozart przejęty do głębi duszy tylu dowodami współczucia, zrozumiawszy teraz ową wysoką inteligencyę muzykalną narodu, postanowił po swojemu się wywdzięczyć: „Ponieważ prężanie mię tak dobrze pojmują, napiszę dla nich umyślnie operę”;



powiedział razu jednego. Bondini chwytając go za słowo, zawarł z nim natychmiast układ, skutkiem którego Mozart zobowiązał się skomponować operę, mającą się przedstawić w pierwszych dniach 1787 roku.

Mając sobie zostawiony dowolny wybór libretta, kompozytor nasz wróciwszy do Wiednia, wezwał księdza Da Ponte i zwierzył mu się z zamiaru. Właśnie Da Ponte tylko co naszkicował sobie osnowę liryczną ze starego hiszpańskiego dramatu Tirso de Molina, dawszy jój tytuł: *Dissoluto punito ossia il Don Giovanni*. Kiedy Mozart przyjrzał się temu bliżej i poznał dobrze ogólny plan dzieła, pochwalił go najzupełniej prosząc o jak najprędsze go wykończenie. Wkrótce Da Ponte uczynił zadosyć zobowiązaniu swemu, a kompozytor z zapalem wziął się do dzieła. Skoro już znacznie posunięte było, Mozart w miesiącu wrześniu t. r. przybył do Pragi i stanął u swego przyjaciela Dussek'a w domu położonym na końcu miasta, pośród ogrodów i winnic okalających go zewsząd. Tamto dokończył on opery, którą świat uznał za najznakomitsze arcydzieło sztuki muzyczno-dramatycznej. Każdego dnia Mozart przychodził do miasta i odbywał ze śpiewakami próby przy fortepianie. Po pierwszój ogólnój do którój już i orkiestra należała, Mozart z dyrektorem tejże, nazwiskiem Kucharz, udał się na przechadzkę; rozmowa oczywiście rozpoczęła się od tego co ich najmocniej zajmowało:

— „Cóż myślisz o muzyce *don Juana*? czy podoba się ona tak jak Figara? rodzaj jój bowiem jest zupełnie inny.”

— „Jak możesz o tém wątpić nawet; odrzeknie Kucharz, muzyka jest prześliczna, oryginalna, głęboko poczuła. Wszystko co pochodzi od Mozarta, musi się Czechom podobać.”

— Twoje zapewnienie uspakaja mię, bo znasz się na tém dobrze. Lecz ja również nie szczędziłem mozołu i pracy, ażeby czémś godném i niezwykłym przysłużyć się twoim rodakom. Myli się wielu w ogólności sądząc, że to co umiem, lekko i bez pracy mi przyszło zdobyć. Wierzaj mi, że nikt może więcej nademnie nie poświęcał się studjom nad kompozycją. Niema takiego mistrza cokolwiek więcej znanego, ażebym prac jego wielokrotnie nieraz nie przeglądał i nie zbadał ich dokładnie.” Jakaż to nauka i przestroga dla

wszystkich młodych kompozytorów, którym się zdaje iż bez pracy, mogą się stać mistrzami w swym zawodzie!

Podczas tój pierwszej próby, zdarzył się wypadek dosyć śmieszny. Signiora Bondini, mająca przedstawiać rolę Zerliny, w finale pierwszego aktu, w miejscu gdzie wydaje krzyk i o pomoc wzywa, w żaden sposób jak należy, uczynić tego nie mogła; albo za późno, albo za wcześnie, albo nareszcie tak się odzywała, że jój prawie nie było słychać. Mozart niepokojąc się ażeby cały ten ustęp podczas przedstawienia nie stracił na sile i wrażeniu, postanowił użyć fortelu następującego: kiedy nadchodziło już owe fatalne miejsce, biegnie na scenę i w chwili gdy głos Zerliny powinien się dać słyszeć za kulisami, porwał w pół śpiewaczkę i z taką siłą ją ścisnął, że mimowolnie wydała krzyk naturalny. „Brawo Donella! otóżto tak krzyknąć potrzeba,” zawołał Mozart.

W przeddzień pierwszego przedstawienia, wieczorem, Mozart w najlepsze bawił się ze swemi przyjaciółmi, pijącemi za jutrzejszą pomyślność *don Juana*; gdy tymczasem jeden z nich przypomina kompozytorowi że zapomniał o uwerturze, bez której przecie opera nie może być daną. Słuszna ta uwaga wywołała pewny niepokój pomiędzy zgromadzeniem; sam Mozart zdawał się być zmieszany. Patrzy na zegarek, północ: nie ma czasu do stracenia. Oddała się do bocznego pokoju; nad ranem zwołuje kopistów; pióra skrzypią, papieru coraz więcej zapisanego przybywa; godzina widowiska się zbliża: orkiestra z niejaką obawą oczekuje. Nareszcie Mozart wpada, za nim niosą głosy mokre jeszcze; dają znak do rozpoczęcia uwertury: wszystko gotowe. Grają z całą uwagą i sumiennością; a jak później Mozart sam opowiadał: „upadło wprawdzie wiele nut pod pulpity, jednakże uwertura bardzo dobrze została wykonaną.” Publiczność przyjęła ją pełnemi zapału okrzykami.

Fakt ten jedyny w dziejach sztuki muzycznej zaszczyt przynosi kompozytorowi, orkiestrze i publiczności. Cała zresztą opera doskonale pojęta i zrozumiana przez Prażan, poszła wybornie, a dzień jój przedstawienia 4 listopada 1787 roku, bogacąc sztukę muzyczną arcydziełem dotąd nieporównaném, ogromne dla jój postępu przyniósł korzyści.

W Wiedniu jednakże *don Juan* nie znalazł powodzenia; niedbale i przez niechętnych śpiewaków wystawiony, upadł i przywalony został *Axurem* Salieriego. Dzisiaj, *Axur* należy do zabytków przeszłości, do rzędu archeologicznej dla znawców ciekawości, gdy *don Juan* żyje i żyć będzie, dopóki prawda i piękno posunięte do ideału, nie utracą w pojęciach ogółu całej ludzkości, swego istotnego znaczenia.

Niepowodzenie téj opery w Wiedniu, nie dziwiło wcale Mozarta, owszem, naprzód on to przewidywał. Muzyka tak poważna, tak głębokiego dramatycznego nastroju, nie mogła być na ten czas przystępną jeszcze płochym mieszkańcom tego grodu. Mozart jako wielki artysta w całym znaczeniu tego słowa, komponował muzykę tak jak ją czuł; pisał ją dla siebie, nie myśląc wcale o tém, czy ona się podoba ogółowi lub nie. Jeżeli widział, że które z jego dzieł nie ma powodzenia jakiego się spodziewał, zamykał się z kilku przyjaciółmi, dawał im słyszeć utwór przez publiczność potępioną; a gdy pochwałę ich uzyskał, nie myślał już wcale o swém nieszczęściu. Był to człowiek najmniej zdolny do światowych powodzeń, bo nie umiał schlebiać; dla tego téż za życia nie doznawał ich wiele. Zresztą, Mozart pomimo współczucia znacznej części publiczności wiedeńskiej, pomimo częstéj łaskawości dla swéj osoby monarchy niby melomana, nie uniejąc czy niechęcąc stawić czoła zawiści, znajdował się ciągle w niedostatku materyalnym, chociaż jak widzimy, ciężko i wiele pracował. Przecie w tym samym roku, został on mianowanym kompozytorem pokojowym Jego Cesarzkiej Mości, z pensją 800 złr. Zaszczyt ten nie miał żadnych następstw, gdyż dwór nie dał mu nigdy polecenia dotyczącego owéj posady. Dla tego téż zwykle mawiał: „Za wiele biorę za to co robię, za mało za to co bym mógł zrobić.”

W roku 1788, pomiędzy innemi kompozytami, napisał Mozart dwie najpiękniejsze swoje symfonie jako to: *G miękkie* i *C twarde* z fugą.

W następnym roku pragnął Mozart dla poprawienia swoich finansowych interesów, udać się w podróż artystyczną; właśnie jeden z jego uczniów, książę Lichnowski ofiarował mu miejsce w powozie aż do samego Berlina; korzystając z tak przyjemnej okoliczności, z wiosną zaraz wyruszył w drogę.

## XXIV.

Przybywszy do Lipska, Mozart na wstępie powitany został przez muzykalne znakomitości miasta, pragnące go słyszeć w koncercie. Na parę dni przed daniem takowego, Mozart żalił się przed Rochlitzem późniejszym redaktorem muzykalnej gazety lipskiej, że charakteru dzieł jego po większej części grający nie rozumieją i zwykle w prędkim tempie je wykonywają. „Zdaje im się że tym sposobem nadają kompozycjom moim więcej ognia. Oh! jeżeli ogień nie znajduje się w naturze samego utworu, pośpiech na nic się nie przyda. Szczególniej śpiewacy lecą jak szaleni, tryllują albo trzszą głosem, bo nie umieją nuty wytrzymać.”

Raz atoli Mozart użył sam pośpiechu w celu zmuszenia orkiestry lipskiej do grania z większym życiem i ogniem pierwszego *allegro* swojej symfonii. Oto jak się rzecz miała. Nim przegrano na pierwszej próbie dwadzieścia taktów, orkiestra staje; zaczynają na nowo, znów to samo. Mozart bierze żywe tempo, ażeby popchnąć grających, uderza takt nogą z taką siłą, że sprzączka od trzewika oderwana, rozprysła się w drobne kawałki, ale to nic nie pomaga. Artyści dotknięci, że ów szczupły i blady człowieczek tak ich niemiłosiernie popędza, oburzają się i zapaleni gniewem, zaczynają raz jeszcze: tym razem szczęśliwie przecie do końca wytrwali. Reszta kompozycji poszła w zwykłym ruchu. Chcąc ich atoli Mozart udobruchać, po skończonej symfonii rzekł: „ponieważ ci panowie są tak mocni w czytaniu nut, nie widzę potrzeby próbowania moich koncertów; głosy są poprawne, panowie gracie bez błędów; ja także, czegoż więcej potrzeba?” Po skończonej próbie, Mozart rzeknie do kilku amatorów muzyki przytomnych téj scenie: „Niech panów nie dziwi takowe z mojej strony postępowanie. Nie był to kaprys; lecz widząc że wielu z artystów orkiestry jest ludzi w podeszłym wieku, byliby dzieło moje ciągnęli bez końca, gdybym im krwi nie wysmagał szybkością ruchu. Przyprowadziwszy ich do wściekłości, *allegro* poszło żywiój.”

Pokazuje się, że Mozart był również niepospolitym obserwatorem natury ludzkiej, biegłym psychologiem, jak genialnym artystą.

Dzieła które wykonywał w koncercie przed publicznością lipską, były wszystkie jego własnej kompozycji i niewydane jeszcze wcale. Ażeby zapobiedz nadużyciom jakich się nieraz wydawcy dopuszczali, ogłaszając bez jego wiedzy i pozwolenia a często do niepoznania pozmieniane i przerabiane jego utwory, Mozart użył wybiegu, to jest: w kompozycjach fortepianowych, pisał tylko bas cyfrowany z małemi gdzieniegdzie oznaczeniami na drugiej linii główniejszego motywu albo passażów, tak wiele zawsze liczył na swoją pamięć, która go nigdy nie zawodziła. Lecz jeżeli oklasków mu niebrakowało na koncercie o jakim powyżej była mowa, za to w kassie tak niezmiernie szczupły dochód się okazał, że nawet na opędzenie przygotowanych do niego kosztów, nie był wystarczającym. Jednakże szczupła liczba słuchaczy, składająca się głównie z samych prawie artystów za bezpłatnemi biletami wpuszczona, oceniła go i zrozumiała, jak należało, a to wystarczało na podniesienie i zadowolenie artystycznej duszy Mozarta.

Dziwnych niekiedy sprzeczności i zmian humoru w jednej chwili Mozart dawał dowody. Z nadzwyczajnej wesołości, widziano go raptem wpadającego w zamyślenie, niby smutku, niby kontemplacyi. Baczny obserwator, na twarzy jego jak w zwierciadle mógł z łatwością dostrzedz co się na dnie téj duszy dzieje, a żywość z jaką co chwila się zmieniała, podobną była do ognistej błyskawicy. Razu jednego w gronie najznakomitszych lipskich muzyków, Mozart pragnąc wysmiać jednego z wziętych naówczas kompozytorów (1), rozłożył na pulpicie jakąś mszę jego kompozycji; nuż ją parodjować ale to z takim talentem, że wszyscy obecni pokładali się ze śmiechu serdecznego. Co uczyniwszy, Mozart wstał raptem od fortepianu, zbliżył się do okna, stanął zamyślony niebiorąc już żadnego udziału w rozmowie, tylko podług zwyczaj, palcami na desce od okna, niby na fortepianie bębnił. Tymczasem obecni dalej toczyli rozprawę o muzyce kościelnej. „Co za szkoda, rzeknie jeden z pomiędzy nich, że wielu najślawniejszych kompozytorów, mianowicie dawniejszej epoki, uległo temu samemu losowi co dawniejsi malarze, poświęcający geniusz swój na uplastycznienie przedmiotu tak zabój-

(1) Zdaje się Neumannn.

czego dla imaginacyi, jakim jest w ogólności przedmiot kościelny.“ Na te słowa Mozart się odwrócił; oblicze jego było zmienione, głos drżącym od wzruszenia. „Otóż to jest artystyczna paplanina, którą mi się niestety często słyszeć zdarza! Dla was protestantów, co się zawsze nazywacie *oświeconymi*, co całą religię nosicie w głowie a nie w sercu, dla was powtarzam może jest w tém cokolwiek słuszności, u nas zaś rzecz się ma inaczej. Wy nie czujecie wcale co znaczy *Agnus Dei qui tollis peccata mundi, dona nobis pacem*. Lecz kiedy kto tak jak ja, od najmłodszych swoich lat przypuszczonym został do mistycznego przybytku naszej religii, gdzie dusza rozpyływa się w tęsknocie za nieskończonością; kto tak jak ja przysłuchiwał się gorąco nabożeństwu, chociaż się jeszcze nie rozumiało istotne jego znaczenie; kiedy się wychodzi z świątyni pocieszonym, wzmocnionym do życia; kto doznał choć raz szczęścia jakie się osiąga słysząc poważne i przejmujące pienia *Agnus Dei*, albo podczas kommunii świętej rozpromieniony niewysłowioną radością z dokonanego oczyszczenia duszy i gdy muzyka zabrzmi: *Benedictus qui venit in nomine Domini!* O! natenczas to zupełnie co innego. Wszystko to wprawdzie ulotni się i zapomni częściami pod wpływem życia doczesnego; lecz co do mnie, wyznaję, iż jeżeli mi przyjdzie te słowa po tysiąc razy słyszane podkładać pod muzykę, umysł silnego doznaje wzruszenia, a dusza potężnie wydziera się do modlitwy.“

Następnie Mozart począł opowiadać wypadki ze swego dzieciennego wieku, w którym doznane wrażenia religijne łączą się taką czystą harmonią z niewinném sercem, napełniając je rozkoszą niewytłumaczonego zachwycenia. Szczególniej miłą mu była pamięć owego dnia, kiedy z rozkazu Maryi Teresy skomponowawszy *Te Deum*, przewodniczył w kościele całej orkiestrze dworu cesarskiego. On, chłopczyk czternastoletni! „Ach! czegom wtenczas nie doświadczył, czegom nie doznał mój Boże! zawołał po kilka razy. Nie, takie chwile nigdy się nie powtarzają. Człowiek się tylko szamoce z życiem swoim wśród próżni tego świata; a potem... „Te ostatnie słowa których nie dokończył, powiedziane były z pewnym smutkiem i goryczą. Potem porwał szklanekę z winem stojącą na stole, wypróżnił jednym tchem i ani jednego słowa przez resztę wieczoru nie można było z niego wyciągnąć.

## XXV.

Przybywszy do Berlina dowiedział się zaraz, że właśnie mają wykonać w teatrze jedną z jego oper pod tytułem *Porwanie z Seraju*. Nie przebrawszy się nawet z podróznego odzienia, pobiegł na widowisko i z głębi parteru przysłuchiwał się uważnie swemu dziełu. Po niejakić chwili, zapomina gdzie jest i że tyle osób go otacza, a niemogąc znieść jak śpiewacy psują text, zmieniają frazesa muzyczne, własne ozdoby niemające żadnego sensu dodają; zrazu ruchami twarzy i cichém mruzeniem dawał oznaki niezadowolenia, lecz stopniowo gorączka autorsko muzyczna opanowała całego, więc poczyną rozpychać sąsiadów nie przepraszając ich wcale, machać rękami, jak gdyby chciał orkiestrą dyrygować. Oczy wszystkich zwracają się na człowieka w wytarty surdut odzianego, mizernój powierzchowności, tak nieprzyzwoicie postępującego w teatrze. Jedni się śmieją, drudzy gniewają. Nareszcie postanowiono już wypchnąć za drzwi tego, co ośmiela się przeszkadzać reprezentacyi opery Mozarta. On jeden tylko zatopiony cały w słuchaniu śpiewaków i orkiestry, nie domyśla się niczego; lecz czy to że nuty źle były przepisane, czy zakradł się błąd pomiędzy głosy orkiestrowe, sekund skrzypce w jedném miejscu zamiast wziąć *C* naturalne, biorą *Cis*, a to tak rozdarło uszy kompozytora, iż nie mogąc się wstrzymać, krzyknął na całe gardło. „*A do krocset! czemu nie bierzecie C!*“ Cała orkiestra odwróciła się natychmiast, poznaje Mozarta i w téj chwili publiczność jest uwiadomioną, że tym niespokojnym i w niepokaźném odzieniu człowiekiem, jest właśnie twórca przedstawianej opery. Prima-donna przestraszona, nie chce dalej śpiewać; dyrektor w obawie ażeby widowisko przerwaniem nie zostało, udaje się w strapieniu do tego co stał się powodem katastrofy. Mozart jednym susem wpada na scenę i mówi do załężnionój śpiewaczki: „co pani chcesz czynić! rolę swoją dobrze, nawet bardzo dobrze śpiewasz, i ażebyś ją drugi raz jeszcze lepiej śpiewać mogła, sam cię jęj wyuczę.“ Na drugi dzień rozpowiadano w Berlinie o najdrobniejszych szczegółach wypadku, przygotowując się do jak naprzychylniejszego przyjęcia w tém mieście wielkiego kompozytora.

Fryderyk Wilhelm przyjął go na swym dworze z niezmierną uprzejmością; zapraszał go codziennie prawie do siebie na kwartety wykonywane przez najpierwszych nadwornych artystów. Mozart biorąc w nich udział, tak umiał podobać się temu królowi filozofowi i artyście, że ofiarował mu miejsce na swoim dworze, którego jednak Mozart nie przyjął. Miał on do cesarza Józefa z powodu często okazywanej względem siebie przychylności, wiele przywiązania; kochał go jak przyjaciela. Wprawdzie przychylność ta była czysto osobista i na życzliwych tylko słowach ugruntowana, bo ten monarcha tak potężny, oprócz tytułu pokojowego kompozytora, jakim ozdobił Mozarta wraz z pensją 800 złr. nigdy innych materyalnych dobrodziejstw mu nie okazał. Nam się zdaje, że nietyle przywiązanie do Józefa II, którym się Mozart przed królem pruskim zastawiał, jak raczej nawyknienie do wesołego i uśmiechającego się życia w Wiedniu, było największym temu powodem. Berlin, miasto nudne, zimne, luterzańskie, ze swemi pretensjami do uczoności i wojskowemi paradami, nieprzyjemne na Mozarcie sprawiało wrażenie. Wołał on swobodę życia, chociaż często w niedostatku jaką dotychczas prowadził, ale z Praterem i kawiarniami wiedeńskimi, nad pyszny i surowy dwór i stolicę monarchy filozofa.

Powróciwszy z wycieczki swojej do domu w miesiącu czerwcu 1789 roku, Mozart chcąc wywdzięczyć się królowi pruskiemu za przyjęcie jakiego doznał w Berlinie, napisał trzy kwartety, w których wiolonczella solowo często występuje i ofiarował je temu monarsze. Fryderyk Wilhelm do podziękowania piśmiennego, załączył tabakierę napełnioną stu frydryksdorami.

## XXVI.

W początkach roku następnego, skomponował Mozart piąte swoje dramatyczne arcydzieło pod tytułem: *Così fan tutte ossia la scuola degli amanti*, operę buffo w dwóch aktach, dla włoskich śpiewaków wiedeńskiego teatru. Pomimo słabości tekstu, kompozytor w téj nowój pracy rozwinął najszczęśliwiej cały zapas melodyjnych piękności, jakimi tego rodzaju dzieło zalecać się powinno. Pomimo jednakże coraz



powszechniej wzrastającego uznania, pomimo różnostronnej pracy odrywającej Mozarta od poważniejszych i głębszych zajęć, finansowe jego interesa coraz w gorszym były stanie. Józef IIgi na którego pomoc w ostatnim razie mógł jeszcze liczyć, w roku 1790 zmarł; tłumy wierzycieli z każdym dniem wzrastając, spokojność mu zatruwały, dom jego w obłęzeniu trzymały. Nie widząc na miejscu środka zaradzenia temu, udał się do Frankfurtu, gdzie właśnie elektorowie się zebrali dla wybrania cesarza niemieckiego; ale jeżeli tak w tém mieście jako i innych gdzie po drodze wstępował, fetowano go, przyjmowano z uwielbieniem, na rękach prawie noszono, jednakże niemieckim obyczajem, pieniędzmi bardzo oględnie szafowano tak, że biędny Mozart po trzech miesięcznej podróży, uboższym jeszcze wrócił do domu. Sztuka atoli muzyczna wzbogaconą została prześlicznym kwitentem na smyczkowe instrumenta (*D twarde*), który Mozart zdaje się w drodze skomponował. Jest on trzeci z rzędu, dwa pierwsze *C twarde* i *G miękkie*, napisane były na kilka miesięcy przed wystawieniem w Pradze *Don Juana*.

## XXVII.

Nareszcie doszliśmy do roku 1791, roku fatalnego w życiu Mozarta, w którym geniusz jego wzniołszy się do najwyższego szczytu natchnienia, do jakiego on jeden wznieść się tylko zdołał, zapłonął jasnym nieśmiertelności płomieniem, spalił się w nim, zniszczył materialny ślad swego na ziemi istnienia, by duchem żyć w idealnych sferach sztuki na wieki.

Był natenczas w Wiedniu niejaki Schikander, aktor, śpiewak entrepreneur, poeta, literat, choreograf a w dodatku kompozytor nawet dramatyczny: jednym słowem, człowiek niezmiernie przedsiębiorczy, zręczny i na wszystko się wazący. Ale pomimo całych zasobów niewyczerpanej ruchliwości, a może właśnie dlatego, przysłała chwila groźnego dlań upadku; truppa aktorów którą rządził, której przewodniczył, z powodu ciągłego niedostatku funduszków, bliską była rozbicia, a on sam na wielkie narażonym straty. Chcąc się tedy ratować, nie widział już innego środka, jak w wystawieniu dzieła, coby nowością pomysłu, oryginalnością formy,

zająć i w wysokim stopniu zainteresować mogło publiczność wiedeńską. Schikander czuł aż nadto dobrze, iż sam zadaniu takowemu nie podolał; przyszedł mu na myśl Mozart, jemu więc zwierzył się z kłopotów błagając ratunku.

— „Jakże panu dopomódz mogę,“ rzeknie Mozart.

— „Napisz dla mego teatru operę, ale któraby przypadła do smaku tutejszej publiczności. Nie idzie zatem ażebyś tam coś i dla znawców nie umieścił, ale przede wszystkim potrzeba umieć podobać się ogółowi najniższej nawet warstwy społeczeństwa. Osnowy ci sam dostarczę; dekoracje, maszyneryą również biorę na siebie, a wiem czego dzisiaj na scenie potrzeba.“

— „Zgoda, przystaję. Tytuł opery?“

— „*Fletowers zaczarowany*... a teraz proszę mi powiedzieć, jakiego pan żądasz wynagrodzenia?“

— „Ależ kiedy podobno nie masz pan teraz ani grosza.“

— „To nic nieznaczy; chciałbym jednakże wiedzieć...“

— „Słuchaj pan; ponieważ radbym bardzo wybawić go z ciężkiego położenia a sam także nie stracić owoców mojej ciężkiej pracy, więc oddam panu partyturę, za którą dasz mi co zechcesz, tylko nie będzie panu wolno jej kopiować. Jeżeli opera się podoba, wynagrodzę to sobie, sprzedając partyturę innym teatrom.“

Oczywiście, na tak nadzwyczaj korzystne warunki, Schikander z wielką ochotą się zgodził. Mozart natychmiast wziął się do pracy. Kiedy w najlepsze był nią zajęty, pewnego dnia odbiera list, w którym wzywa go ktoś o napisanie mszy żałobnej, upraszając zarazem o naznaczenie ceny i terminu w jakim może być skończoną. List ten był bez podpisu. Ponieważ Mozart nie nigdy nie przedsiębrał bez naradzenia się wprzód z żoną, więc przyzywa ją i opowiada o tém szczególném zleceniu dodając, że oddawna pragnął on już poprobować sił swoich w tego rodzaju wysoko-poetycznym stylu kościelnym, że muzyka religijna najmiłszą mu zawsze była do pracy. Kiedy żona zachęciła go do przyjęcia propozycji, Mozart dał piśmienną odpowiedź w której wyraził, że za taką a taką cenę, podejmuje się *Requiem* skomponować; tylko nie może z pewnością oznaczyć terminu kiedy będzie skończone, lecz pragnie wiedzieć gdzie w razie ukończenia, dzieło ma posłać. Wkrótce potem, tenże sam posłaniec

przybywa, niosąc nietylko summe żadaną, ale nawet obietnicę znacznego jeszcze wynagrodzenia w dniu, kiedy partycyta zostanie mu wręczoną a to z tego mianowicie powodu, iż kompozytor tak skromnym w żądaniu swoim się okazał. W końcu dodał, że zostawia Mozartowi zupełną swobodę czasu do pracy, ale niech się niestara dowiadywać o nazwisku osoby pragnącej ją posiadać, gdyż wszelkie w tym względzie usiłowania pozostaną bez skutku.

Kiedy się to dzieje, Mozart odebrał z Pragi zaproszenie również zaszczytne jako i korzystne, napisania opery pod tytułem: *La Clemensa di Titto*, mającej się wystawić w dniu koronacyi Cesarza Leopolda na króla czeskiego.

W chwili gdy miał z żoną wsiadać do powozu dla udania się do Pragi, zjawia się posłaniec niby duch tajemniczy, a targnąwszy kompozytora za suknię pyta, co się dzieje z *Requiem*? Mozart tłumacząc się nagłą koniecznością wyjazdu, dodał, iż nie mógł go o tém uwiadomić; lecz jeżeli pan jego zechce być cierpliwym, to jak tylko wróci z podróży, natychmiast weźmie się do dzieła. Posłaniec zdawał się być zupełnie z takowego zapewnienia zadowolonym.

Tymczasem, zdrowie Mozarta od chwili jak się zabrał do napisania opery dla Schikandera, znacznie już było nadwężone; pogorszyło się jeszcze niewygodą, na jaką w drodze do stolicy Czechów był narażonym. Pomimo atoli znacznego wycieńczenia sił fizycznych, umysł jego w podróży nawet pracował nad operą; to też w ośmnaście dni niespełna, ukończył ją prawie zupełnie.

Przyjaciele Mozarta, przerażeni zostali widokiem bladej i cierpien rozlanych na jego obliczu; nikt jednakże nie przypuszczał, iżby w tém miało być coś niebezpiecznego. W mieszkaniu nie mógł usiedzieć; pracował on biegając z miejsca na miejsce; przewodził osobiście próbom, bawił się jak gdyby był najzdrowszym. Kiedy go kto zapytał czy doktor go odwiedza, zbywał nieznaczającemi słowy. Wieczory zaś zwykle przepędzał na grze billardowej w pobliskiej mieszkaniu kawiarni. Gra w billard była jego najmilszą rozrywką. Razu pewnego w czasie gry, zaczął nucić *hum, hum, hum*, powtarzając ciągle to samo. Gdy przyszła kolej grania na towarzysza, Mozart wydobył z kieszeni kawałek papieru, zanotował coś; następnie kończąc partyę billardową

znowuż nuci *hum, hum*. Po dwóch dniach w ten sposób przepędzonych, rzeknie do swoich przyjaciół: „Chodźcie teraz do mnie, usłyszycie coś nowego.“ Był to właśnie cudowny kwintet z pierwszego aktu *Fletowersu zaczarowanego* poczynający się od słów *hum, hum, hum*, z powodu wypadkowego mutyzmu Popagena. Tak więc niepojęty ten człowiek, bawiąc się w kawiarni z przyjaciółmi, układał w swój głowie plany do dwóch naraz oper, wykończył je w szczegółach, a umysł jego nieuginając się wcale pod takowym naciskiem, pracował jeszcze w dodatku, nad potężnymi zarysami nieśmiertelnej mszy żałobnej. Zdaje się że duch Mozarta, przeczuwając zbliżającą się fatalną chwilę, co go z więzów doczesnego życia wyzwolić miała, dwoił swą czynność, jak gdyby pragnął jak najprędzej wydobyć z siebie całą twórczości potęgę, wprzód nim źródło jej wyschnie na wieki.

Po wystawieniu opery *La Clemenza di Tito* dnia 6 września, wśród trwających jeszcze uroczystości koronacyjnych, Mozart pożegnał swych przyjaciół i pierwszy raz dopiero widziano go w podobnym zdarzeniu płaczącego. On tak zawsze obojętny w tym względzie, tym razem mocno był wzruszony: przeczucie bliskiej śmierci, widocznie nim oładnęło.

## XXVIII.

Za przybyciem do Wiednia, czekały Mozarta liczne tryumfy, liczne powodzenia. Los aż dotąd z taką zawziętością go prześladowający, zmienił się raptem; jak gdyby pieczętotami swemi porachowane już dni życia jego, chciał mu umilić, jak gdyby chciał w nim wzbudzić tém większe życia pragnienie!

Na dwa dni przed wystawieniem *Fletu czarnoksiężkiego* które przypadło 30 września 1791 roku, Mozart ukończył uwerturę i marsza rozpoczynającego akt drugi téj opery. Odtąd wolny od teatralnych zobowiązań, z całą żarliwością człowieka „co pragnął od dawna utworzyć coś w tym rodzaju“ poświęcił się pisaniu mszy żałobnej. Pracował nad nią dzień i noc z tak nadzwyczajnym zajeciem, że nawet choroba wrastająca co chwila, téj gorączkowej chęci komponowania oziębic, ani przerwać nie mogła. Żona jego przestraszona wido-

kiem boleści i melancholii na twarzy męża się rozlewającej, namawiała go ażeby przestał pisać, ażeby wypoczął, ażeby się rozerwał. W tym celu najawszy powóz, wozila go po Praterze gdy pogoda była potemu. Dnia jednego, Mozart zajęty wciąż owém *Requiem*: „Piszę go dla siebie“ rzekł płacząc; „mało mi już pozostaje godzin do życia; czuję to aż nadto dobrze... Otruto mię, niema najnniejszej wątpliwości.“ Biedna kobieta słuchała tych słów z wielkim bolem serca. Napróżno starała się mu dowieść o ile te jego przypuszczenia są błędne. Lekarz którego się następnie radzono, kazał mu odebrać partyturę fatalnego *Requiem*. Mozart z żalem usłuchał lecz odtąd wpadł jeszcze w większy smutek; przeczuwał on, że i ta ofiara ocalić go nie potrafi.

Podczas kiedy Mozart skazanym został na bezczynność i kiedy grobowe już prawie milczenie na około niego rozpościerać się zdawało, tymczasem *Flet czarnoksiężki* czarował, zapalał i zachwycał coraz więcej publiczność. Każde widowisko przepelnione było słuchaczami; całe miasto o niczym tylko o tej operze mówiło; grad pieniędzy sypał się co wieczór do kassy szczęśliwego przedsiębiorcy, w sali zaś, co chwila rozlegały się okrzyki zadowolenia, dla twórcy tego rozkosznego dzieła. Lecz gdzie jest Mozart! wołano; „czemu nie widać go w orkiestrze z pałeczką dyrektorską!“ On tymczasem samotny, z wzrokiem utkwionym w zegarek, myślącigał przedstawienie. „Teraz“ mówił do siebie „pierwszy akt się kończy... W tej chwili śpiewają przysięgę... potem wszystkim będzie koniec“... i od nieubłaganej skazówki z goryczą oczy odwracał.

Kilkodniowy spoczynek wzmocnił cokolwiek siły chorego tak dalece, iż na żądanie towarzystwa frankmassonów, którego Mozart był także członkiem, podjął się napisać kantatę pod tytułem: *Pochwała przyjaźni*. Dzieło to wykonane wybornie i od publiczności dobrze przyjęte, wywarło na nim wpływ zbawienny. Zażądał aby mu oddano partyturę *Requiem*: lecz skoro do tego utworu śmierci rękę przyłożył, wszystkie naraz moralne i fizyczne cierpienia z większą jeszcze niż przedtém gwałtownością wystąpiły, że nawet wszelką ocalenia go nadzieję stracono. W pięć dni po uroczystości frankmassońskiej, złożono Mozarta na łożu, z którego już nie miał nigdy powstać. Pomimo znacznego opuchnięcia rąk i nóg,

pomimo najzupełniejszej bezwładności sparaliżowanego ciała, umysł jego nie znał spoczynku, myślą wciąż nad żalobną mszą pracował. W takiéjto właśnie chwili, przyniesiono mu nominacyą na kapelmistrza katedry ęgo Stefana. Magistrat wiedeński chcąc nagrodzić talent i zasługi genialnego kompozytora, jednomyślnie ofiarował mu to miejsce, do którego znaczna pensya oprócz innych dogodności z dawna przywiązaną była; lecz niestety, zapóźno: Mozart nie miał już z dobrodziejstwa tego korzystać. Jednocześnie, wszystkie prawie dyrekeye większych niemieckich teatrów, przekonane nareszcie o nadzwyczajnej artystycznej wyższości tego człowieka, zdumione niestychaném powodzeniem ostatniej jego opery, ubiegały się w zawody o przyciągnięcie do swoich teatrów Mozarta pod jak najkorzystniejszymi dla niego warunkami. Nie koniec na tém, nakładcy z rozmaitych stron Europy, poczęli go wzywać o nadsyłanie im nowych swych muzycznych utworów, za które bajeczne summy teraz płacić zobowiązali się

Mozart odbierając na raz jeden wszystkie te niespodziewane wezwania, zawołał: „Jakto? mamże teraz umierać! Umierać w chwili gdy mógłbym nareszcie żyć spokojnie! Mamże rozstać się ze sztuką, kiedy wyzoliwszy się z niecnym i oburzającym więzów jakie na mnie spekulanci narzucali, mógłbym iść za popędem natchnienia jakie Bóg wlał w piersi moje! Mamże rozstać się na wieki z rodziną moją, z żoną, z memi biędnymi dziećmi w chwili gdy byłbym w możności byt ich polepszyć! Ach to okropnie!... Czyż nie miałem słuszności utrzymywać, że to *Requiem* piszę dla siebie samego!“

Przez piętnaście dni śmiertelnej choroby, przezwanéj przez lekarzy zapaleniem mózgu, słodycz charakteru na chwilę nie opuszczała Mozarta. Chociaż dusza jego przepelniona była boleścią, na śmierć zdawał się być zupełnie zrezygnowanym. W dzień skonu, Zofia Weberówna siostra jego żony, przybyła mu oddać ostatnią posługę i osłodzić resztki dogorywającego życia:

„Cieszę się że cię widzę,“ rzekł do niéj, „zostań téj nocy przy mnie; pragnę ażebyś widziała jak umierać będę.“ Kiedy zapłakana wyrzekła kilka słów pociechy i nadziei: „Nie, nie, to niepotrzebne,“ odpowiedział, „czuję już na języ-

ku przedsmak śmierci... Ach! gdyby ciebie nie było, któżby pocieszał moją biedną Konstancję.”

Zofia pobiegła uwiadomić swą matkę; skoro wróciła, zastała już Süßmeyera (1) stojącego przy łożu gasnącego. Partytura *Requiem* leżała rozwartą. Przerzuciwszy kilka stronnic, Mozart z oczyma łzami zalanemi, dawał swemu uczniowi i przyjacielowi rady, jak ma to dzieło skończyć. Odwróciwszy się następnie do żony, prosił ją ażeby śmierć jego dopóty utrzymała w tajemnicy, aż Albrechtsberger o niej w pierw uwiadomionym zostanie; „Bo jemu to, rzekł, przed Bogiem i ludźmi moje miejsce się należy (2).“ Wszedł na te słowa doktor i kazał natychmiast przyłożyć kompresy z zimnej wody na rozpaloną głowę chorego, lecz skutek ich był najgorszy, gdyż w tej chwili Mozart utracił władzę mówienia. Myśl jego atoli jeszcze nie spoczęła, i widziano jak śmiertelnej bladeści policzki zaczerwieniły się chwilowo a wzrok utkwivszy na Süßmeyera, martwemi usty dawał mu jeszcze znak odnoszący się zapewne do jakiegoś ustępu niedokończonego *Requiem*.

Północ wybiła...

Szczytna dusza Mozarta uleciała w krainę nieskończoności...

Stało się to dnia 5 grudnia 1791 roku.

## XXIX.

Na drugi dzień, skoro wiadomość o śmierci Mozarta rozbiegła się po mieście, tłum wszelkiego stanu ludzi otoczył dom jego, żal swój głośnie mi oznakami współczucia objawiając. W Pradze, smutek po stracie genialnego artysty był jeszcze powszechniejszym. Wszyscy artyści i amatorowie, dali sobie słowo uczcić solennie stratę tak dla nich wielką. Wybrano w tym celu *Requiem* Röslera mające się wykonać podczas uroczystego nabożeństwa w kościele Śgo Mikołaja. Przez publiczne doniesienia wezwano na to mieszkańców Pragi.

(1) Süßmeyer kontynuator *Requiem* Mozarta.

(2) Albrechtsberger był najuczestszym w swoim czasie z teoretyków i profesorów: jakoż istotnie nauczyciel Bethowena otrzymał w roku następnym posadę mistrza kapeli św. Stefana, przed zgonem ofiarowaną Mozartowi.

Dnia 14 grudnia, dzwony świątyni od samego już rana wzywały wiernych do tego smutnego obchodu. Wkrótce przyległe place wypełniły się powozami wiozącymi wszystkie władze rządowe i zaakomitości miejskie odziane w grubą żałobie. Ścisk był tak wielki, że pomimo obszerności kościoła w którego wnętrzu cztery tysiące ludzi pomieścić się mogło, znaczna liczba musiała pozostać na placu go otaczającym. W pośrodku świątyni wznosił się wspaniale oświetlony katafalk; dwunastu młodych uczniów z gimnazjum odzianych krepą, otoczyło trumnę trzymając w rękach zapalone pochodnie. Orkiestra złożona ze stu dwudziestu członków, pod przewodnictwem Strohbacha, wykonała wspomniane *Requiem*.

Lecz kiedy zacna stolica dzielnego niegdyś narodu czeskiego, oddawała tak wspaniale cześć zgasłemu duchowi Mozarta, w Wiedniu rzeczy zupełnie inaczej się miały.

Rodzina zmarłego w ubogim będąc stanie, nie miała go za co pochować. Cena jakiej żądano na cmentarzu za pogrzebanie zwłok wielkiego kompozytora była tak wysoką, iż cała po nim spuścizna nie mogła jej opłacić; więc ciało jego wrzucono do rowu, w którym najuboższych tylko nędzarzy wspólnie grzebano!

Dzisiaj, nikt nie wie gdzie szukać śladów szczytnego śpiewaka boskiej na ziemi melodyi; tylko dusza jego zostawwszy w rozlicznych arcydziełach majestatyczne ślady swiej ziemskiej wędrówki, wznosi się okazale na piedestale sztuki, najtrwalszym ze wszystkich jakie pracą rąk ludzkich na świecie zbudować sobie można.

Mozart umierając w trzydziestym piątym roku życia, zostawił wdowę która w lat kilka wyszła za mąż za pana Nissen, i dwóch synów, z których starszy oddał się zawodowi muzycznemu; atoli ani grą na fortepianie, ani kompozycjami, wyżej nad mierność wybić się nie zdołał.

### XXX.

Przejeżdżając w roku 1860 przez Salzburg, postanowiłem zwiedzić miejsce urodzenia Mozarta. Pokazano mi tedy dom trzy piętrowy o pięciu oknach wszere, i mieszkanie w którym się wielki ten artysta urodził. Wszystkie pamiątki odnoszące się do dzieciennego jego wieku i późniejszych lat



życia, zebrane są przez żyjącą jeszcze dotąd rodzinę ze czcią religijną. Pod oknami drugiego piętra, zewnątrz domu, znajduje się w murze umieszczona złota latunia, ze stosownym takimież literami napisem; na placu zaś dotykającym katedry, wznosi się pomnik spiżowy przedstawiający Mozarta, odlany podług wzoru znakomitego monachskiego rzeźbiarza Swenthalera.

---

Posłuszny obowiązkom historyka, winienem tu jeszcze dodać słów kilka w celu wyjaśnienia przyczyn powstania nieśmiertelnego utworu Mozarta, w ostatnich chwilach jego życia tak mocno go zajmującego.

Hrabia Wallsegg, zamieszkały w okolicach Wiednia, chcąc uczcić pamięć zmarłej w początku 1791 roku żony, dał zlecenie intendentowi swemu, ażeby udał się do Mozarta i zamówił u niego *Requiem*, mające się wykonać podczas żałobnego za spokój jej duszy nabożeństwa. Niewiedziąc z jakiego powodu, w jak największej tajemnicy kazał hrabia tego dopełnić, że nawet sam Mozart do śmierci nie wiedział, dla kogo istotnie dzieło to pisał. Hrabia Wallsegg pragnąc jak najprędzej posiadać partyturę, upominał się o nią w chwili gdy Mozart słaby już na ciele i umyśle do Pragi się wybierał. Wypadek ten otoczony pewną tajemniczością cechą, silnie na nim zrobił wrażenie; odtąd zdawało mu się, że to fatalne *Requiem* dla siebie samego pisać mu nakazano.

Śmierć jak wiadomo, nie dozwoliła mu dokonać całego dzieła, więc *Sanctus*, *Benedictus*, *Agnus Dei*, również jako i większa połowa ustępu pod nazwą *Lacrymosa*, są własnością Süßmeyera, który podług planu wskazanego przez Mozarta skomponowawszy, tym sposobem owo *Requiem* dokończył.

Warszawa,  
dnia 16 Maja 1861.

—•••••—

## KRONIKA LITERACKA.

---

*Monografia Opactwa Cystersów we wsi Mogile, opracowana i pamięci ubiegłych w r. 1864 pięćuset lat istnienia akademii Krakowskiej poświęcona przez Towarzystwo Naukowe Krakowskie. Dzieło w dwóch częściach z 8 drzeworytami i tablicą autografowaną. W Krakowie. 1867 r.*

Różne są usposobienia wieków i pokoleń: jedne są zadowolone życiem potocznym, drugie dążą do zdobycia prawd najszczytniejszych. Tamte ubiegają się o pozyskanie mienia, te z pobożną wzdrganą do wszystkiego co trąci światem i ziemią, łakną tylko uciech nadziemskich i niebiańskich. Zwroty są uderzającymi i jaskrawymi na wielkiej widowni świata. We Francyi na schyłku wieku XIII poświęcano wszystko dla monarchii: na początku następnego dla zbytku; dwadzieścia lat potem rzucono się do szerzenia oświaty na tle rozumu. W końcu wieku podniesiono sprawę zasad najwznioślejszych, a tuż potem sponiewierano one przez przesadę w zastosowaniu. Dzieje więc są nauką żyjącą, że niewyłączność kierunków, lecz równowaga pomiędzy nimi, stwarza dobro i szczęście społeczeństwa. Za wyłącznością bowiem idzie krótkowidzenie, a potem ciemnota; ciemnota zaś poha w przepaść bezdenną.

Człowiek nie mija starych murów klasztornych, bez silnego wrażenia, bez czci i uszanowania. Urok tajemniczości mają ściany, dawniej ludne i gwarne, teraz opustoszałe, pępne i milczące. Nie oglądaliśmy wiele zwalisk opactw starych, ale wszystkie pozostały w sercu pamięć głęboką i pobożną. Zwiedzaliśmy Sulejowski klasztor, z jego basztami i murami olbrzymimi wśród smutnych pustyń Rawskich, i zachowane tam lwy drewniane sty-

lem romańskim, zdradzają pochodzenie swoje z wieku XIII. W Tyńcu nad Wisłą, na półwyspie wysokim i kamienistym, czas, ogień, zaniedbanie, ludzie, nie starli piętna dawnej zamożności opata stu wsi. Staniątki, posiadają skromny kościół Duninowski; i tylko z badań profesora Łuszczkiewicza poznać można ogrom i rozkład samego klasztoru. Tam odwiedziliśmy świętobliwą księżnę Opatyszę: zdobyła jej głowę mitra książęca, pamiątka po księżnie Adelajdzie.

Zakonnice przyniosły szafę, pod szkłem, w której, na szpilkach porozpinane były przywileje Bolesławów i Kazimierzów. Od roku 1846 księżni Opatissa jest kaleką w skutek przerażenia na widok oficjalisty zamordowanego w jej oczach. Któż, miłujący przeszłość ojczystą, raz go ujrzawszy, zapomni leżący nad Dunajcem w Sączu klasztor Klaryssek z dachem miedzią pokrytym, przez czas zazieleniałym, z chórem cisowym i celami przepędnionymi pamięcią ś. Kunegundy.

Oceniając znaczenie dla historii, pomników źródłowych, uczeni na Zachodzie mnożą monografię opactw, klasztorów, eremów, równie jak zamków, pałaców, wałów, obozów. Zdrowa i pobożna jest to namiętność! Dla uczonego praca zacna, dla społecznych nauka, dla narodu ozdoba i sława. Niezbywało i u nas na zbiorach podobnych: rzadko który klasztor nie posiadał w rękopiśmie dziejów swoich. Dwa z takich zbiorów *Tinacia* i *Miechovia* już za Władysława IV i Jana Kazimierza ogłoszone drukiem zostały.

W gronie Towarzystwa Naukowego Krakowskiego podniesiono sprawę postępowania dalej po tej drodze. Czyż było można właściwiej rozpocząć jak z Monografią klasztoru Mogińskiego, położonego obok Krakowa i w bliskości mogiły Wandy, słynnej w dziejach podaniowych narodu?

Już lat kilkanaście temu, oglądając opactwo, byłem zdumiony iż położone w sąsiedztwie Wszechnicy Jagiellońskiej, seminarjum, grona doborowego obywateli, duchowieństwa, uczonych, nikt się nie znalazł któryby opowiedział jego kilkowiekową przeszłość.

Monografia obecna zawiera części dwie. Pierwszą składają *Pogląd na położenie Mogiły* przez Adama Gorczyńskiego, i o *Mogile Wandy* przez p. Łepkowskiego: są to opracowania pobieżne. W *Wiadomości historycznej o Mogile* przez p. Szujskiego, przebija się połysk talentu młodego dziejopisarza, lecz był on widocznie skrępowany obawą nie wkraczania w zadanie współpracownika p.

Konstantego Koszowskiego, który skreślił „*Poczet Opatów Mogilskich.*”

Godne pożałowania, iż autor trwa w dawniej metodzie swojej historycznej a tymczasem dla nauki jest koniecznem coś większego od suchego zestawienia faktów, dat, nazwisk, wypadków. Zarzut inny uczynimy autorowi rozprawy pod tytułem: „*Uposażenie klasztoru.*” W księdze pomnikowej, wydanej pod powagą Towarzystwa Naukowego, czystość języka stoi na pierwszym planie; razi więc nas używanie wyrazów parafialnych, dzielniczych, nie przysposobionych, niewyrobionych, nieprzemyślanych owych płodów potwornych biurokraeyi austryackiej. Któż posługuje się słowami: *realność, cedowanie, ratyfikować, komplancya*, kiedy język nasz nastęrcza wyrazy: nieruchomości, przekaz, zatwierdzenie, zgoda. To czego by ledwie można pozwolić było skrybie przy kościele ś. Piotra, czyż jest dopuszczalnem w wydaniu poważnem? Trzeba namyślić się dobrze, przetłumaczyć na język niemiecki a dopiero na nasz, żeby zrozumieć zagłówek jednego z rozdziałów: „*Dochody co do liczebnej wartości niestale, stale atoli co do prawa pobierania.*”

Mowa potoczna, sądownictwo na linii obronnej, oraz sądownictwo dobrowolne, pisma ulotne, dziennikarstwo powinny się tam otrząsać z tych nasiękłości, oo jak rdza lub mech toczą, każą i podkopują pokryjomu przyszłość naszego języka. W Krakowie i Lwowie daje się czytać w drukach: *refakcya, systować, skonstatować*, zamiast zwrot, zawieszać, ustanowić. Mówią tam, zuszlag, serwituta, rustykalne, aerarialne, kameralne, gespan, szkoła trywialna. Czyż niema polskich wyrazów: urząd, dodatek, służebnictwo, wiejskie, skarbowe, rządowe, zaprząg, szkoła początkowa. Naszemu językowi powinny być wzorem, takie jego pomniki jak: *Psalterz Kochanowskiego, Żywot poczciwego człowieka, Reja z Nagłowic, Tłomaczenia biblii Wujka* lub *Radziwiłłowski, Kazania Skargi*, a w nowszych czasach twory *Naruszewicza, Niemcewicza, Mickiewicza*. Zachowanie językowych tradycyi, bez przesady, jest pisarza obowiązkiem.

Perłami Monografii są prace p. Łuszczkiewicza: „*Część artystyczna*” i „*Napisy,*” zajmujące i sumienne, jak wszystko co wychodzi z pod pióra świątłego profesora, znanego z kąd inąd w zawodzie archeologicznym. Jego to praca i nauka odtworzyła zamki w Niepołomicach, Rożnowie, Wiśniczu, Dębnie, a szczególnie w Tęczynie.

Druga część Monografii, złożona z samych przywilejów od r. 1220 do 1732, 294, z których 138 są z XIII i XIV wieków. Dodane są spisy osób, abecadłowe i według godności oraz wykaz miejsc i wyrażen ważniejszych. Powiemy śmiało, że nie posiadaliśmy dotąd dokładniejszego zbioru przywilejów. Za to należy się uznanie zasługi ks. Janocie.

Dla tych którzyby pragnęli obeznać się bliżej z dziejami zakonu XX. Cystersów, wskażemy na rękopis klasztoru Szczyrzeckiego znajdujący się w bibliotece Cesarskiej w Petersburgu. Jest to książka formatu arkuszewego zawierająca poczet opatów od r. 1382 (brakuje bowiem kart pierwszych 64), poczynając od opata z porządku 13go, Jakóba. Są tu przywileje najdawniejsze: pierwszy z r. 1233 *Act in Schede*; Henryk X. Ślązki i Polski zatwierdza sprzedaż wsi Rogoznika. Drugi z r. 1252, *in Uruth*, trzeci z r. 1254, *menso Majo dat. Cracov.* obydwu Bolesława Wstydliwego. Czwarty z r. 1255 *act in Cracov.* tegoż księcia, wspomina o księciu Henryku jako o fundatorze. Kronika zaznacza że opat dwudziesty szósty Stanisław w r. 1509 utonął w rzeczce Stradomce powracając z Krakowa. W r. 1623, *post dominic. Jubilate fer 4.* za opactwa Stanisława Drohojowskiego na klasztor napadli zbójcy szukając pieniędzy, które opat z sprzedaży zboża w tym roku głodnym miał uzbierać. Drohojowski przez dormitarz i kościół uszedł na wieś, cele zrabowano, pieniądze znalezione, piwnicę opróżniono. Napastnicy zachęcając zakonników do picia mówili: *Quia vobis vester abbas parce dat aut raro, bibite nunc largissime.* Najezdniccy podzielili się zdobyczą na górze Łopiennik, a karę ponieśli na innej zwanej Ciciech. Zapisujemy wypadek ten jako należący do szeregu skazówek zapowiadających powstanie wielkiej ludności rolniczej w r. 1648. W r. 1656 chłopci górale i służebni nazywani *Rusnacy* na czele mając Wąsowicza, fortem zdobyli Sącz. Forgiel, dowódzca szwedzki, zawiadomiony podstępnie że nibyto Polacy są w małej kupie we wsi Szlichtynk, wyruszył na ich rozproszenie: tymczasem 400 chłopów zaczajonych w tyle w Dębinie, wdarli się do miasta przez mury i bramy. Sześciu braci Wiłkoszewskich z Skrzedlna podjazdami dręczyli Szwedów nieustannie, nareszcie zaskoczeni d. 25 września we dworze Krzczów pod Bohnią, mężnie broniąc się w płomieniach zginęli. Kiedy Jerzy Lubomirski przyszedł oblegać Szwedów w Krakowie, wojsko rozbięrało wioski sąsiedzkie gotując sobie leże zimowe w obozie; żadna jednak tyle nie ucierpiała ile Krzyszkowice, dzierżawca bowiem nazywał się Mikołaj Lutecki a żołnierze zrozumieli *Luterski*.

Dla wiadomości przytaczamy poczet opatów Szczyrzeckich od r. 1382 do r. 1658.

- |                           |                              |
|---------------------------|------------------------------|
| 13. Jakób r. 1382         | 27. Jan III, 1509.           |
| 14. Mikołaj II, r. 1403.  | 28. Grzegorz IV, 1525.       |
| 15. Piotr Borko, r. 1413. | 29. Jan IV, 1525.            |
| 16. Grzegorz II, 1438.    | 30. Stanisław IV, 1530.      |
| 17. Mikołaj III, 1443.    | 31. Jan Janowski 1549.       |
| 18. Grzegorz III, 1448.   | 32. Stan. Bukowicki 1561.    |
| 19. Mikołaj IV.           | 33. Piotr Borowski 1565.     |
| 20. Stanisław I, 1469.    | 34. Joachim Cieniawski 1597. |
| 21. Jan I, 1481.          | 35. Stau. Drohojowski 1607.  |
| 22. Stanisław II, 1489.   | 36. Remigi Łukowski 1633.    |
| 23. Maciej 1493.          | 37. Joachim Mstowski 1642.   |
| 24. Wawrzyniec 1493.      | 38. Marcin Pawlikowski 1655. |
| 25. Jan II, 1500.         | 39. Krzysztof Lipnicki 1651. |
| 26. Stanisław III, 1508.  | 40. Prze. Domiechowski 1668. |

I. T. I.

---

*Angelo. Dramat Wiktora Hugo. Tłumaczył Władysław Dobkiwicz. Warszawa, 1867 roku.*

Książeczka ta interesuje nas więcej sposobem wydania, stroną zewnętrzną niż treścią; przez co nie chcemy bynajmniej powiedzieć, aby treść była ładną. Zawsze to dzieło Wiktora Hugo, a bądź co bądź krytyka mówi o nim, Hugo znakomity wpływ swojego czasu wywarł na literaturę francuską, a pośrednio i na gust powszechny. *Angelo* nie będąc arcydziełem dramatycznym, nie zawierając żadnej myśli głębszej, tak jak większa część dramatów Hugona, odznacza się jednak prawdziwą werwą języka, gorącym obrazowaniem namiętności, stylem przeslicznym i żywością akcji scenicznej nieporównaną. Na imaginacją młodzieńczą zwłaszcza działa on upajająco jak narkotyk, i te to przymioty zastępują dlań warunki wyższego artyzmu, kompozycyi, oryginalności i szczegółowego rozwinięcia charakterów. Jak o *Angelu*, tak w ogólności o dramacie Wiktora Hugo moglibyśmy powiedzieć, że w miejsce naturalnego kolorytu i zdrowej harmonii barw, panuje tam złudna dekoracyjność, ośniewająca przy świetle sztucznym, tak jak teatralne malowidła, pełna uroku; ale odjąć mu

to oświetlenie, spojrzeć okiem trzeźwem i rozebrać go do gruntu, illuzya ginie i zimne tylko pozostają smugi. Dramat Wiktora Hugo ma niezwykle zalety dla widzów teatralnych, których elektryzuje przez trzy godziny nerwowemi wzruszeniami, wyprężoną ciekawością, wrzawą namiętności, dowcipnemi kombinacyami, łechcze ich ucho doborem pięknych słów, wykwintną swadą, niespodzianym frazesem; ale dla badacza, szczyły on przedstawia materiał, wzoru twórczości on w nim nie dostrzeże i tylko za wzór życia scenicznego, architektoniki, wdzięku zewnętrznego, będzie go mógł postawić. Aktor w dramacie takim ma wdzięczne pole popisu, to też przy ściślejszém badaniu tego dramatu okazuje się, że wyjąwszy *Kromwella*, autor głównie w swych utworach miał na celu teatr i od niego żądał powodzenia: ideałem jego żądań zdaje się być intryga, nie zaś warunki ściśle estetyczne, bo cała waga jego usiłowań, jeśli nie kierunek natchnienia, obliczoną jest na efekta teatralne. Pod tym względem Wiktor Hugo doprowadził swe dzieło w obecnej dramaturgii do ostatnich granic; nikt nadeń efektowniejszego nigdy nie napisał dramatu. W tój liczbie jest i *Angelo*, którego treść przeniesioną została do opery Mercadante-go: *Przysięga*; bo tóż tego rodzaju kompozycye przedziwnie się nadają do muzycznych czarodziejstw, gdzie myśli poświęcone są uczuciom i wrzawom namiętności, a to stanowi górującą stronę dramatu Hugona.

Jakkolwiekbydz, nie idzie zatem abyśmy lekceważyli dramat Wiktora Hugo, nie wysokiego polotu, ale szlachetny, i nie mieli posiadać w literaturze naszej. Mamy już kilka jego części: *Hernaniego*, niezapreczenie najlepszego utworu w repertuarze Hugona, są u nas aż dwa przekłady: *Burgrafowie*, *Marya Delorme*, *Marya Tudor* również są nam znane, obecnie przychodzi *Angelo*. Edycya tego przekładu o ile widzimy z powierzchowności, należy do tak zwanych wydawnictw taniach, kosztuje nie całe dwa złote i jest istotnie *kieszonkową*, bo cała książka może się literalnie zmieścić w kieszeń od kamizelki. Mimo to papier dobry, druk wyraźny, a co większa i dziwniejsza, korekta nawet dosyć poprawna: wydawca zatem spełnił leżące na jego przedsięwzięciu materialne warunki. Ale chodzi o to, czyto tego rodzaju dzieła należałoby uprzyściplniać i upowszechniać za pośrednictwem taniości. Rozumiemy że edycye tanie przeznaczone są dla większej masy, a zatem dla ludzi, którym ofiarą jest każdy grosz; wypada więc, aby oni jak najwięcej z ofiary tój korzystali, a tём samém aby im dawać co

dla ich umysłu jest najpożyteczniejszego. Czemużby tym czynnikiem nie miał być i dramat? Aui słowa, tylko że w tym razie nie Wiktora Hugo, i w ogólności nie obce, ale swojskie przede-wszystkiem rzeczy trzeba mieć na widoku. Przekład oznaczony jest numerem 5 szeregu wydawnictwa, którego pierwszy numer zawiera bajki Krasickiego; dalej idzie nauka moralności, satyry Krasickiego i t. p. Jakoś to więc spazmatyczny dramat francuzki nie bardzo rymuje z tą metodą, jeżeli wydawnictwo to ma jaką metodę. Aktorka, która wycierając kąty przez dziesięć lat i sprzedając kawalkami uczciwość, rozplonęła nareszcie świętym miłości ogniem i wykonywa sztuki łamane poświęcenia w imię miłości macierzyńskiej, żona która niekochając męża, zachowuje w swém sereu muzeum wszelkich cnót nadprzyrodzonych i jak najniewinniej przyjmuje w swój sypialni dawnego kochanka; są to rzeczy które niezbyt dobroczynnie działają na imaginacyę ludzi, dla których wydawnictwa tanie są przeznaczone, i w żaden żywy sposób nie kwalifikują się do jednego rejestru bibliotecznego z Nauką Moralności ks. Szpaderskiego. Oto uwaga która nam się głównie przy tej książce nastreczyła, bo co do samego przekładu mało mamy do powiedzenia. Przekład dzieła belletrystycznego prozą, jakkolwiek ma swoje trudności i zasługę, nie jest wszelako żadną szczególną sztuką. Człowiek władający dobrze językiem, wykonywa to jako przyjemną rozrywkę, nie mając co lepszego do roboty. Przekład tu jest dosyć staranny; język grammatycznie poprawny, ale nienależy jednak doskonały aby zatarł wszystkie cechy i wyrażenia francuzczyzny i w ogóle mało samodzielności stylu piszącego przedstawiający.

K. Kaszewski.

*Ciepła wdówka. Komedia w trzech aktach wierszem przez J. I. Kraszewskiego. Poznań nakładem i czcionkami Ludwika Merzbacha. 1866 r. (w 12ce str. 116).*

Od pół wieku z górą, w każdej niemal gałęzi literatury spotykamy imię tego autora. Jeżeli jako powieściopisarz zjednał sobie najszerzy odgłos, nie małe obok tego zasługi położył na polu dziejowych badań, archeologii i poważnych studyów literackich. Od lat kilku oprócz powieści których liczny szereg spotykamy, tak w pismach peryodycznych jak w osobnych wydaniach, widzimy zwrot silniejszy ku utworom dramatycznym, z których kilka już mamy z lat dawniejszych. Teraz od *Miodu*



*kasztelanskiego* wprowadza J. I. Kraszewski postacie dawno zgasłej przeszłości i kilka komedyi dla odcechowania ich, nazwał *koutuszowemi*.

Treścią *Cieplej wdówki* są zaloty *Żegoty* rotmistrza, *Bodzanty* myśliwca, i strukczaszego *Mężyka* o rękę młodej, pięknej i posażnej wdówki.

Starościna Marya Montrymowa wdowa, główna postać komedyi, liczy rok 24 życia, i jest w całej krasie i powabie wieku. W pierwszych latach dziewiczych pokochała Gabryela Hołuba, teraz walecznego chorążego, i dała mu słowo, ale przez matkę zmuszona, zaślubiła starego i niedołężnego starostę Montryma. Hołuba, posądzając ją o złamanie wiary, z rozdartém sercem poświęca się jedynie walce z wrogami kraju. Piękna to i najwydatniejsza postać w całej komedyi!

Talwosz cześnik, krewny i opiekun starościny, a krewny także i Hołuba, patrząc na niezdarnych zalotników, świadomy miłości wzajemnej ich obojga, sprowadza pod błahym pozorem ukochanego Hołubę do dworu dawnej kochanki. Przybyłego wita serdecznie, a widząc wielką w nim zmianę mówi:

Zmizerniałeś nieco...

Oczy ci trochę wpadły, ale życiem świecą.  
Twarz trochę zaszępiła, tęskna i ponura,  
A nad czołem ci smutku wisi jakaś chmura.  
Jak nieboszczyk Radziwiłł, co wielkie podróże  
Odbywał, mówił niegdyś o tój Włochów górze  
Którą nazwał *Vesuvium*. Wieczny ogień w lonie  
A nad nią wieczna chmura. .. Cóż tam w waści płonie,  
Czy też ogień?

HOLUBA.

Był niegdyś: wygasa powoli....  
Kłamałbym, mówiąc, że już nic wewnątrz nie boli,  
Ze popioły z pożaru zimne pozostały....  
Jest popiół, lecz są jeszcze i węgla kawały  
I zużle niedogaste: twe serce odgadnie  
Ze przybycie w to miejsce, ogień, co tli na dnie  
Rozpłomieni nie zgasi!

Zarazem uspakaja swego sędziwego przyjaciela, że starościna już dlań jest obojętną, że ich dawne stosunki wrócić nie mogą. A gdy Cześnik uradowany tą rezygnacją młodego chorążego, radzi mu znaleźć: „dziewkę poczciwą gdzie w szlacheckim dworze, zaswatać się i żenić,” Hołub mu smutnie ale stanowczo odpowiada, że żadnej już niewiasty nie poślubi.

.. .., Umrę trzymając na strzemienu nogę,  
 A zbroicę na piersi—to kochanka moja...  
 Ta żelazna, pogięta i wytarta zbroja.  
 Narzeczona, ta szabla krwią Turków obmyta,  
 A gospodarstwem mojem obóz: aż zaświta  
 Ów ranek pożądany, gdy kurhan gdzieś w stepie  
 Razem z braćmi przysypie: i spoczna te ślepie,  
 Co dosyć w świat patrzyły, a kości przeleczą  
 Aż sądny dzień je nową okryje odzieczą...

W akcie drugim spotyka się z ubóstwioną dawną swoją bogdanką, ale chłodem słowa i obejścia odpycha serce kochające go stale. W trzecim akcie jednak powtarza się taż scena: Hołub który nie mógł tak łatwo dworu starościny opuścić, pomimo pozornej obojętności, czuje, że jak kwiat zwiędły pod ożywną bujną rosą i promieniem słońca, odżywia się i jego dawna miłość, gdy popatrzył na ukochaną postać i spotkał jej wejrzenie.

Dzisiaj dopiero w splakane patrząc twoje oczy,  
 Świat boleści ujrzałem co i mą pierś tłoczy.

Następuje porozumienie i zgoda: Żegota rotmistrz co sądził się najbliższym ręki *Cieplój wdówki*, dostaje *grochowy wieniec*, wraz z zapalonym myśliwcem *Bodzantą*, trzeci zaś *Strukeczaszy* dawny palestrant, poślubia starą czterdziestoletnią pannę *Marcybellę Downar* krewniaczkę i rezydentkę starościny, a pełną zalotności przesadzonej. Jak na to połączenie, tak i zgodę starościny z Hołubem, przeważnie wpływa zacny cześnik *Talwosz*.

Autor na dwie główne postacie Maryi starościny i Gabryela Hołuba, zwrócił całą swoją uwagę i uwydatnił je silnie. Jeżeli w chorążym widzimy prawdziwie mężki wojaka charakter, w Maryi wybija typ kochającej stale a skromnej zawsze niewiasty polskiej. W pierwszej scenie aktu III w jej monologu najlepiej to autor nam maluje:

Tak więc skończone wszystko!—przyszło mi z kolei  
 Dotknąć ostatniej, by się rozpadła nadziei.  
 Człek żelazny, żelazem rozdarł serce moje,  
 Jakże ja cios ten przetrwam!

(Wskazując na drzwi bawialne).

Jak wnijsć w te podwoje

Między wesołych ludzi, co wesoło gwarzą,  
 Z tą duszą skaleczoną, z tą upiora twarzą;  
 Wszak z oczów rozpoznają, co mi duszę nęka:  
 Ja umieram, ja konam!

(Rzuca się na kanapę).

Wyda się ta męka,  
 Piersi łzami wezbrały... O! mężstwa kobięto!  
 Żyj! chociażś umarła, śmieję się choć zabito...  
 Ostygnij, zdrętwiej, zanulez, bądź jemu podobną  
 I szyderstwem przykrywaj swoją myśl żalobną.  
 A wina moja... moja! nadto byłam dumną...  
 Chciałam udawać chłodną, wyziębłą, rozumną.  
 Czemuż na pierś ze łkaniem nie rzucić się było?  
 A nużby mnie odepchnął? A! toby dobiło...  
 Nidosyć byłam czułą... jakiś strach uoisnął  
 Słowa w ustach konały, ten wyraz zawisnął  
 Który rzecz trzeba było: „ja cię Kocham stale...  
 Jam twoją!“ Próżne teraz rozmysły i żale!

(Po chwili).

Jak na nim widać boleść, poorane czoło.  
 Jakie oczy miał łzawe choć mowę wesołą,  
 Rwały się z niego jakby męczeńskie wykrzyki..  
 I wzrok chwilą był słodki, chociaż głos miał dziki.

Zrozumiwały się w końcu te dwa serca połączone wzajemną od lat dzieciunych miłością.

Cały układ komedyi *Ciepła wdówka* przypomina żywo znaną komedię Fredry *Przyjaciele*. I tu i tam młoda wdowa kocha się w walecznym wojaku, i obiedwie ukrywają swoje gorące przywiązanie. *Baron* i *Wtorkiewicz* są zalotnikami z czasów księstwa Warszawskiego lub pierwszych lat Królestwa, co się ubiegają o rękę pięknej *Zofii*: tu rotmistrz, myśliwiec i stary palestrant są konkurentami do ręki młodej starościny. Charaktery ich mniej wydatne, mniej wykończone, jakkolwiek w głównych zarysach mają wiele prawdy; *J. I. Kraszewski* w latach swych młodych miał sposobność nie raz spotykać tego rodzaju postacie i mógłby je wybornie z szczegółami oddać, ale cały swój artystyczny pędził zwrócić na malowidło dwojga kochanków i zacnego cześnika. Nie mało zajmuje miejsca w tej komedyi i panna *Marcybella Downar*, stara pauna, przypominająca wiele pannę *Bobinę* także z *Przyjaciół* Fredry, z tą różnicą, że szczęśliwsza od niej, potrafiła schwytać w swe sidła *Strukczaszego Mężyka*.

Wiersz w całym tym utworze gładki i potoczysty—wiele scen żywo prowadzonych, zapewni może komedyi *Ciepła wdówka* stałe powodzenie przy starannej grze artystów.

K. Wł. W.

## ROZMAITOŚCI.

---

### *Lady Grisell Jerwiswood.*

**K**obieta która pojmie, uczuje i pokocha słodkie obowiązki jakie są jej udziałem i sławą, śmiało może nazwać się bohaterką domowego ogniska.

Taką była Miss Grisell Hume.

Urodziła się w zamku Redbraes w Szkocyi, w roku 1665, w epoce niezgód domowych i religijnych, gdzie dwa stronnictwa z szaloną występowały przeciw sobie nienawiścią.

Lady Hume z Polwarth miała szesnaścioro dzieci; dwoje pierwszych umarło w niemowlęctwie; Grisell trzecia z rzędu była najstarszą w tak licznej rodzinie, i stała się towarzyszką swęj matki, dzieląc z nią trudy i starania, jakich wymagało jej młodsze rodzeństwo. Okazywała się ona tyle roztropną, i tak gotową na wszelkie poświęcenie, przytem tak przezorną i ostrożną w zachowaniu tajemnicy, oraz uzbrojoną w nadzwyczajną odwagę, że ojciec jej Sir Patrick Hume, nie obawiał się w dwunastym roku jej życia, powierzyć tajemne posłannictwo, pełne niebezpieczeństw, a od którego spełnienia, zależało życie wielu osób.

Jerwiswood serdeczny przyjaciel Patricka, i należący do jednego stronnictwa, został aresztowany w Edyburgu, i osadzony w straszнім więzieniu Tolbroth.

Sir Patrick osądził, że jego córka, to z ręczne i malutkie stworzenie, nie wzbudzi żadnego podejrzenia, przejdzie niepostrzeżone, i będzie mogło wręczyć Jerwiswoodowi ważną i tajemną wiadomość, udzielić mu jakąś pociechę, i przynieść jego odpowiedź.

Podróż była długa. Grisell jednak nie zatrzymała się aż w Edyburgu, pod sklepieniem ponuręj bramy zaopatrzonej w ogromne zasuwę żelazne. Nikt nie umiałby powiedzieć jak ona doszła do celi więzienia; ale kiedy Jerwiswood zdziwiony lekkim szmerem, podniósł oczy, zadrzał na widok téj postaci delikatnej i wątłej, z wzrokiem wymownym i tkliwym, cerą naprze-

mian czerwieniejącą się i bladą, zgola wszystkiem co okazywało więcej myśli, i znajomości cierpień zycia, anizeli pozwalal jej na to wiek dziecinny.

— Czy mnie wzrok myli?—zapytał biedny więzień: czy też w istocie stoi przedemną dziecko? tutaj, w tym lochu?

Kto mi je przysyła? zkąd ono przybywa?

— Przychodzę z zamku Redbraes, odpowiedziała spokojnie Grisell. Jestem córką Sir Patricka Hume, on to przysyła mnie do swego ukochanego przyjaciela Jerwiswooda. Długo przechadzałam się wzdłuż tych murów, udając że przyszłam bawić się z biegającymi tu dziećmi; pilnie jednak upatrując chwilę kiedy zmieniają wartość. Natenczas wsunęłam się w cieniu, idąc za starym stróżem bramy, który wszedł nie zwracając na mnie uwagi. O jak mi mocno serce biło!

Następnie wyjęła z za rękawa list, którego pismo było tak drogiem dla więźnia, i podczas gdy on je czytał z przejmującym i głębokiem zajęciem, wzrok dziecka czysty, niewinny i wesoły, sledził jego rozjaśniające się oblicze.

Widziała Grisell, jak zmarszczki sprowadzone troskami, pomału znikaly, policzki więźnia zapadłe i blade lekki powlekał rumieniec; widziała jak załzawione jego oczy wznosiły się ku niebu; i radość malowała się na jej młodziutkiem obliczu, upiększając je tysiactem wdzięków. Natenczasto, jeden z synów więźnia, któremu dozwolono dzielić ojca niewolę, imieniem Jerzy, tego niemal co nasza bohaterka wieku, ujrzał ją po raz pierwszy, aby jej już nigdy niezapomnieć.

W chwili kiedy się w nią wpatrywał, ojciec jego sohyłony ku małej Grisell, powierzał temu heroicznemu dziecku odpowiedź, po którą przysłano ją z tak daleka, narazając na tyle przeszkód i niebezpieczeństw. Później, z serdeczną tkliwością, znajdując przyjemność w opowiadaniach Grisell, pełnych prostoty i wdzięku, Jerwiswood zapytywał ją o wszystkich których zostawiła w Redbraes:

— „Jakie jest najmłodsze z twego rodzeństwa?

— Malutka siostrzyczka. Taka to jeszcze wątła i delikatna dziecina, że ani na chwilę nie można odstąpić od jej kolebki.

— A najstarszy? czy obiecuje utrzymać godnie imię swego ojca? czy dobrze uczy się? a ten drugi, co nigdy nie mógł dosięść na miejsce?

— Andrzej? On teraz jeszcze swawolniejszy, zawsze znika nam z oczu, i gubi wszystkie swoje książki. Ale Patrick, to doskonały chłopczyk, ma teraz lat jedenaście, uczy się gorliwie, i ojciec bardzo z niego zadowolony.”

Następnie nadeszły pochwały młodziej siostry; mianowicie jej ładnego głosu, którym rozwesela cały dom. „Lubo, rzekła Grisell, tam gdzie kółko rodzinne tworzą swobodne twarze dzieci, wszyscy zwykle wesołego są humoru, a uśmiech ły sciera.”

Za powrotem z swego posłannictwa tak dobrze spełnionego, Grisell wróciła do swych różnorodnych zajęć, kiedy nagle spokój domowy został zakłócony.

Sir Patrick ojciec rodziny, wyrwany z jej łona, został aresztowany, i osadzony na piętnaście miesięcy w zamku Dumbarton.

Staranie w utrzymaniu i pocieszaniu matki, podczas tej ciężkiej próby, spoczywało na najstarszej córce; tak jak wszystko co miało być dowodem tkiwości, i większych wymagało trudów.

Wielu z przyjaciół i krewnych Sir Patricka schroniło się do Hollandyi; inni ukrywali się, albo byli uwięzieni.

Trzeba było podać rękę pomocną niektórym potrzebniejszym, osłonić siebie od kar pieniężnych i rozmaitych w tym rodzaju kłopotów. Dzierżawcy mało płacili, a utrzymanie licznej rodziny wymagało wiele wydatków, którym pomimo najściślejszej oszczędności, trudno było wystarczyć.

Podczas uwięzienia Sir Patricka, załatwienie wszelkich interesów polegało na biednej żonie jego, wycieńczonej cierpieniami, i Lady Hume byłaby uległa pod ich ciężarem, gdyby nie miała obok siebie małej Grisell, która smutek jej podzielała i tak tklawie osładzała.

Ona zajmowała się domem i sprawami, nadto, starała się utrzymać w rodzinie dobry humor, a nawet wesołość.

Miara surowości będąc zmniejszoną, Jerwiswood wyszedł z więzienia, Sir Patrick Hume z Polwarthu wrócił do swjej siedziby. Ale ten ich wypoczynek nie trwał długo. Jerwiswood wkrótce aresztowany w Londynie, gdzie majątek swój zabezpieczył, ażeby wyjść z kraju z swymi przyjaciółmi i krewnymi dla osiedlenia się w Ameryce, odprowadzony został do swego dawnego więzienia, i spokój mieszkańców Redbraes był na nowo zakłóconym. Wśród najżywszej ich obawy, jednego dnia przybył niespodzianie posłaniec. Mały chłopak przez ścieżki wijące się między górami biegł tak szybko, że mu aż tchu brakło, i przyniósł papier biały starannie złożony; ani słowa nie było na nim skreślonego, tylko kiedy go otworzyli, pióro gołębie wypadło, uniesione powiewem wiatru.

Ostrzeżenie było zrozumianóm: należało uciekać, i Sir Patrick schronił się do lochu, gdzie był grób familijny, pod sklepieniem kościoła w Polwarth, o ćwierć mili od domu Patricka. James Winter cieśla, oddany od lat dawnych usługom rodziny Hume, przeniósł w nocy do tego schronienia łóżko i pościel.

Zaledwie Patrick zdążył umieścić się w tém grobowém schronieniu, kiedy wysłani zbrojni na ujęcie jego, przerzucali wszystko w mieszkaniu jakoby opuścił; roztropna i troskliwa sąsiadka, która odgadła polecenie dane żołnierzom, i wysłała symboliczne ostrzeżenie, niemogła dłużej zatrzymywać ich w swoim zamku, gdzie rozmyślnie dla uzyskania na czasie kazała udzielić im pożywienie.

Wszyscy domownicy w Redbraes byli badani pod przysięgą, obiecywano im nagrodę lub karę, ale ani obietnice, ani groźby nie wyzyskały. Patrick był bezpieczny, tylko Grisell i jej matka znalazły miejsce jego schronienia. Ukrywał on się tam cały miesiąc, mając w tym strasznym lochu tyle tylko światła, ile dochodziło przez szpary kamieni grobowych. Ale każdego dnia o północy, światło, wesołość i życie wchodziło do tego podziemia. Grisell ukazywała się przynosząc ojcu pożywienie, a nawet zawsze wynalazła przedmiot do rozmowy i żartów. Wyśmiewała się z własnej obawy i trwogi, która omijała ją skoro tylko na miejsce przybyła, ale doznawała jej ośmnastoletnia dziewczica, przechodząc w głębokiej ciemności wieś opustoszałą i ponury cmentarz. Nie skreślała ona ojcu bojaźni, która w tych czasach przesądu podnosiła jeszcze jej imaginacyę: cienie jakie drzewa rzucały w dali na łąkę, a wiatr poruszał, przypominały jej kolo czarownic, o którym słyszała opowiadającą swą piastunkę; posąg wznoszący się na grobie, przedstawiał się jej jak widmo okryte całunem, które oczekiwało ją na przejściu, aby wciągnąć z sobą w głąb ziemi; małe zamurowane boczne drzwi kościoła, zasłonięte ostem, pokrzywą i różnemi puąciami roślinami, zdawały się otwierać i ukazywać straszną postać.

Ta nieokreślona trwoga wyobrazui, ustępowała innym rzeczywistym obawom, o których zwykle Grisell z uśmiechem ojcu opowiadała.

Dąb karłowaty, stojący w rogu ścieżki, zdawał się jej być żołnierzem na warcie; szmer strumyka szelestem kroków śledzących ją; z jakimże wtenczas drzeniem obracała się! Ale kiedy jej zziębnięte palce uchwyciły drzwi skryte, i w głębi lochu usłyszała odsunięcie zasuw, już nie czuła niepokoju i ze łzami najtkliwszej radości rzucała się w objęcia ukochanego ojca. Zapalić świecę i żywność wyjąć z koszyka, było dziełem jednej chwili; zręczna gosposia uprzętała w około, i okropne podziemie przybierało mniej straszną postać. Kiedy ucztą była już gotową, ojciec i córka, oboje pełni odwagi chrześcijańskiej, przyjmując radość i cierpienia, tak jak one nam przychodzą z ręki Boga, to jest: doznając z rozkoszą pierwszej, i znojąc z pokorą drugie; rozmawiali swobodnie i wesoło. Grisell rozповідаła o wszystkim co się działo w domu, i o tysiącznych przygodach życia dziecinnego całego rodzeństwa; określała tkliwość matki, jej polecenia, jej nieskończoną przezorność, później żartowała i śmiała się z niezliczonych przebiegów jakich używała dla zaparzenia się w żywność którą nosła ojcu, bo nikt ze służby, ani żadne z dzieci nie domyślało się gdzie się znajduje Sir Patrick, i wszyscy sądzili że schronił się zagranicę.

Jednakże Patrick mimo całej swój energii, nie mógł znieść dłużej tego zamieszkania wilgotnego, i obawiał się, że lubo Grisell wracała zawsze przed wschodem słońca, wycieczki jej mogły być

wysłedzone. Przygotowano więc inne schronienie, w jednym z dolnych pokojów, od którego klucz, Lady Hume zawsze przy sobie nosiła; Grisell jednej nocy, potajemnie dopomogła Wintrowi, temu wiernemu rzemieślnikowi, wykopać pod podłogą obszernie wydrążenie. Ziemia którą wrywali oboje swemi rękoma ażeby nie robić żadnego szmeru, była zawijaną w prześcieradło, i Wintor wynosił ją przez okno wychodzące na ogród. Kiedy to wydrążenie było dosyć głębokie, rzemieślnik zrobił skrzynię z wiekiem, gdzie przeswidrowane były szpary dla wpuszczania powietrza; materace i kołdry ułożone w niej, dozwalały Patrickowi w razie potrzeby dosyć wygodnie leżeć, a wielkie wystawne łóżko, które można było bez szelestu i utrudzenia posuwać zasłaniało tę kryjówkę. Kiedy już wszystko było gotowem, Grisell zaledwo mogła ukryć swą radość, a gdy po miesiącu próby przekonali się, że nie było obawy o przesiąkanie wodą miejsca obranego, pomimo że było dosyć głębokie, Patrick odważył się wejść nocą do tego pokoju, gdzie sposób ucieczki podczas domowych rewizyi, był tak zřęcznie obmyślony. Piętnaście dni przeszło spokojnie, skrzynia była codziennie rozpatrywaną, kiedy jednego dnia wieko skrzyni odskoczyło. Woda której już się nie obawiano nagle przyplęnęła, i wydrążenie napełnione nią zostało.

„— Nigdy, mówiła Grisell, nie miałam serca tak ściśniętego; doznałam natenczas uczucia zbliżonego do rozpaczey.” Ale ojciec z wielkim spokojem pocieszał swą żonę i córkę, i oświadczył im że uważał tę okoliczność jako przestrożę Opatrzności, jako znak koniecznej ucieczki, i że postanowił opuścić ich i przejść bez zwłoki w kraj obcy.

Przerazające wiadomości przyspieszyły ten wyjazd tak niezbędny a zarazem tak niebezpieczny, i taką obawą przejmujący. Przyjaciel Patricka, ten którego Grisell dzieckiem jeszcze będąc pocieszyła w jego więzieniu, ten którego tkliwe pytania, spojrzenia przyjazne, z wzruszeniem przypominało sobie czułe serce Griselli, został ścięty pod Edyburgiem. Długi czas przebyty w więzieniu, niepokój i choroba, zaledwie resztkę mu pozostawił życia; trzeba było przyspieszyć o dwa dni wykonanie wyroku, z obawy ażeby śmierć naturalna nie wyprzedziła chwili zaprowadzenia więźnia na rusztowanie. Dusza Jerwiswooda zachowywała całą swą stałość niezłomną, i mężką odwagę, ale jego ciało słabło i omdlewało. W ostatniem i strasznem przejściu był on podtrzymywany, niemal niesiony, opierając się na ramionach tyle mu drogiej żony i siostry. Jakiegoż śmiertelnego niepokoju doznawała Grisell, kiedy dniem i nocą, czynne jej dłonie zajmowały się przygotowaniem do wyjazdu Sir Patricka!

Wyobraznia jęj napełnioną była okropną i grobową sceną Edyburga, i podczas gdy przyspieszała prace swe zdawało się jęj widziéć pień skrwawiony—straszny dramat—a drzące na myśl



niebezpieczeństwa które groziło jej ojcu, zapytywała siebie, czy w ostatniej godzinie znajdzie on w swęj córce ten zapal poświęcenia, tę bohaterską stałość jaką Jerwiswood znalazł w swęj żonie i Lady Garden? Takiemi myślami przejęta, umiała jednak oprzeć się najokrutniejszym obawom, połykając łzy które zasłaniały wzrok jej, zwalczyć trwogę jaka ziębiła jej serce i czerpała rezygnacyę i odwagę z jej boskiego źródła, z modlitwy, a zwracając się całemi siłami do czynu, zajęła się łożeniem, przygotowaniem wszystkiego, i obracała swą działalność na zapobieżenie nieszczęściu, nie zaś na zużywanie swęj odwagi w przewidywaniu przygód i rozpaczaniu nad niemi.

Zbliżała się chwila wtajemniczenia trzeciej osoby do wypełnienia dzieła tego; Lady Hume zwierzyła się wiernemu kamerdynerowi Sir Patricka, i John na wiadomość że jego pan którego sądził być za granicą, znajdował się w mieszkaniu, upadł bez przytomności. Do niego jednak należało przygotować konie i usunąć podejrzenia całej służby. Powiedział domownikom, że pani jego poleciła mu sprzedać na jarmarku w Maspeth (małem miasteczku w bliskości leżącym) kilka sztuk inwentarza, i tej samej nocy biedny tułacz, wychodząc z domu przez jedno z okien, złączył się z wiernym Johnem. Przed jutrzeńką obydwa byli już daleko. Bolesć rozłączenia nikła przed ulgą, jaką sprawiało przekonanie, że już minęły te długie i straszne chwile niepokoju. Matka z córką przytulone do siebie pocieszały się myślą że nie potrzebują się obawiać o przedmiot najdroższy ich sercu. Wszystko przeszło w największem milczeniu, i wśród tyłu dzieci i domowników żadne podejrzenie nie powstało. Sir Hume pod inieniem Piotra Wallasa, miał uchodzić za cyrulika jeżdżącego po kraju: umiał on krew puszczać, zaopatrzył się więc w futerał z narzędziami i przez drogi mało uczęszczane i ścieżki boczne, zmierzał do Londynu, aby tam wsiąść na okręt, przybieć do Francyi, i dostać się następnie do Hollandyi, gdzie Szkoci byli tak dobrze przyjmowani. „Niechaj błogosławione będzie niebo, mówiły do siebie Grisell z matką, przechodząc razem myślą wszystkie te okoliczności, już teraz niebezpieczeństwo minęło!”

Kiedy tak się pocieszały, gwałtowne uderzenia wtrząsnęły nagle drzwiami, ze wszech stron słychać było szcęk broni, dom został otoczony, strzeżony, stajnie przeglądane, podejrzewali bowiem, że Sir Patrick ukrywa się w swoim domu, a nawet na pewno wiedzieli o tém; byli więc przekonani, że więzień nie mógł ocalić przed tak starannemi poszukiwaniami: kiedy jednak po długim przeglądaniu domu, żołnierze i ich dowódca zwątpili już o skutku swych zabiegów, dostrzegli nieporządek jakoś w stajniach. Widzieli brak koni, jednego z służących nie znaleźli, cała więc oddział puścił się w pogoń za zbiegłymi. Czy Sir Patrick daleko wyprzedził tych co go gonią? Żona jego i córka nie śmiały oddawać się tej nadziei, a jednak lubo z sercem pełnem obawy umiały okazywać twarz obojętną. Dopiero po upływie

dwóch dni za powrotem Johna zostały zaspokojone o los Patricka. Żołnierze podeszli Johna w chwili, kiedy tenże w bród przepływał rzekę Tweed, niepokojony myślą co się stało z panem, którego sądził być w pobliżu za sobą.

Jego prostota i przybrany wyraz spokoju, pomieszał szyki goniących, gościniec bowiem wskazywał ślady jednego tylko konia. Żołnierze sądzili się być na fałszywej drodze i zawrócili.

Sir Patrick zatopiwszy się w myślach, opuścił cugle, i nie patrząc przed siebie, w ciemności zabląkał się, to szczególne zdarzenie ocaliło go: było ono dziełem Opatrzności. Kiedy dzień zaczęło i Patrick obejrzał się wkoło, widział się sam jeden w lesie, oddalonym od drogi; zastanowił się, objął okiem okolice, i dostał się do miejsca, gdzie niebezpiecznym było przebycie rzeki, z wielkim więc trudem przepłynął ją.

Kiedy wreszcie złączył się z swym służącym, dowiedział się od niego jakiego uniknął niebezpieczeństwa, i obydwaj dziękując Niebu, śpieszyli opuścić wielki gościniec. Na ten raz Patrick był już rzeczywiście bezpiecznym. Ale jego majątek całkowicie został przez rząd zabrany. Lady Hume znalazła się więc w potrzebie szukania w Londynie środków utrzymania dla rodziny złożonej z dziesięciorga dzieci i udała się tam wraz z Grisell. Wszystko co mogły otrzymać ich starania i wpływ rodziny i przyjaciół, wynosiło około trzech tysięcy pięćset franków dochodu rocznego i to dosyć wątpliwego. Myśląc że ta pomoc wystarczy na życie skromne i oszczędne w miejscu gdzie spodziewały się złączyć z ojcem rodziny wróciły do Szkocji, ażeby zabrać dzieci i zawieść je do Holandyi. Listy sir Patricka bardzo rzadko dochodziły, a te które otrzymywała Lady Hume były pisane pod obcym nazwiskiem i rozmaitemi drogami, zawsze jednak poznać w nich można było ojca odważnej Griselli, posiadał on wszystkie przymioty tej natury, jaką córka jego była obdarzoną. Dotknięty wygnaniem, nędzą, złała od swoich, otrzymując tylko smutne wiadomości o zniszczeniu majątku, chorobach i śmierci, nigdy nie czuł się pogwałconym ani upokorzonym. „Mam silne ramiona, pisał on, mogę nosić ciężary wszelkiego rodzaju.” Polecenia jego aby utrzymać w swobodzie i w wesołości ukochane kółko rodzinne, były bezustanne. Obawiając się że może jego listy są otwierane, podpisywał się imieniem Piotra Wallasa cyrulika, i rady żonie i dzieciom udzielane były w rodzaju uwag czynionych pacjentom, których leczeniem zajmował się nawet w oddaleniu.

„Znam ich usposobienie, pisał on, humor tych dzieci powinien być utrzymywany w ciągłej wesołości, bo są skłonne do melancholii która jest bardzo szkodliwą, mianowicie starszy chłopiec i najstarsza córka. Co do młodszych dzieci, te powinny śmiać się, tańczyć i śpiewać. O! gdybym był blisko nich, dopomagałbym im muzyką mojego fletu, na którym często sobie przygrywam. Czemuż nie mogę podzielić się śmiechem moim między dziećmi i ich matką; bo miłe Bóg udziela chwile wesołe!

I cóż znaczy utrata majątku, można go przecież odzyskać, albo obejść się bez niego, ale zdrowie zniszczone nawyknięciem do smutku, nie wróci się nigdy."

Teraz gdy już szło o złączenie się z tym ojcem, tak dobrym, tyle kochanym, można sobie wyobrazić jakiego użyto pośpiechu w przygotowaniach do wyjazdu; gdy nagle mała Julia zachorowała na gorączkę i niepołobnym było narażać ją na powietrze. A więc postanowili pojechać bez niej, z myślą że skoro tylko Grisell ustali tam swą rodzinę, wróci sama morzem, aby zabrać małą siostrę, i urządzić zaległe domowe interesa. Miała ona natenzas lat 18.

Rzeczywiście wszystko tak się stało. Grisell wróciła i przywiozła z sobą siostrę jeszcze słabą. Julia była doglądana przez swą troskliwą i czułą opiekunkę. Przeworna Grisell zaopatrzyła się w żywność, zamówiła zawczasu pokoik z łóżkiem na okręcie, który ich miał przewieźć i sądziła się być zabezpieczoną od wszelkich wypadków. Próżne jednak były te usiłowania i bezskuteczna przeczność, łóżka i pokoik zostały zajęte przez kapitana dla szczęściu rozmaitych osób, a przed przemocą, biedne dzieci ustąpić musiały. Bolesnym jednak było dla Grisell widzieć biedną chorą spoczywającą na podłodze, owinęła więc ją w kołdrę, poduszkę utworzyła z grubego pakunku książek, które wiozła ojcu, i położyła się na ziemi obok swjej małej wychowawicy, aby ją lepiej osłonić. Silna powstała burza, kapitan okrętu udał się na pokład, aby kierować żaglem i wszyscy zabrali się do dzieła, służba okrętowa i passażerowie, szło bowiem o ocalenie okrętu, który dosyć szczęśliwie wreszcie wylądował w Brill. Noc zapadła i zimno wskrós przejmowało, deszcz ulewny padał, droga była błotnista, a trzeba było iść pieszo do Rotterdamu. Grisell udała się w pochód, ciągnąc za sobą małą siostrę i mając za przewodnika jednego poczciwego podróżnego, który podjął się nieść szczupłe ich tłumoczeki. Ale zaledwie zrobili kilka kroków, kiedy mała Julia zaczęła serdecznie płakać, zgubiła trzewik swój w błocie i nie mogła iść dalej. Grisell schylając się do strapionej siostrzyczki, poleciła jej wdrapać się na jej plecy, przypominając z wesołym uśmiechem przyjemne wieczory przy rodzinném ognisku spędzone, kiedy tak samo nosiła ją podczas jej dziecinnnych zabaw. Odważna młoda dziewczica szła tak aż do Rotterdamu, gdzie czekał na nią ojciec z starszym synem. Łatwo sobie wyobrazić jaka była radość, jakie przyjęcie! jakie pieszczoty udzielane na przemian młodemu mentorowi i ukochanej jego wychowawcy; później bez zwłoki udano się w dalszą podróż; sir Patrick i syn jego prowadzili podróżnych do Utrecht, gdzie już była osiedloną cała ich rodzina.

Jedynym ich zbytkiem było obszerne i wygodne mieszkanie. Czyliż bowiem nie należało udzielać w niem miejsca dla nieszczęśliwych i równie jak oni wygnanych ziomek? Mieszkanie to pochłaniało prawie czwartą część ich szczupłego dochodu. Niepodobna im było trzymać służącego, mała tylko dziewczynka przychodziła codziennie za szczupłym wynagrodzeniem zmywać ich

stołowe naczynia, a resztę zajęcia domowego rozdzielono między sobą i podług zwyczaju Grisell brała uajczynniejszy udział. Ona to skupywała na targu potrzebne artykuły żywności, chodziła do młyna kazać mleć żyto na chleb, wypiekany zwykle w domu. Zajmowała się praniem, przygotowywała do obiadu, naprawiała bieliznę i suknię całego rodzeństwa, jednem słowem zajmowała się wszystkiem. Nie potępiajmy tej miłości własnej, która jej nakazywała poświęcić czasem kilka godzin snu i wypoczynku, dla zachowania w około siebie jakiegoś wspomnienia świetności dawnych czasów. Brat jej który służył jako prosty żołnierz w gwardyi księcia, również jak Jerzy Jerwiswood, który również schronił się do Hollandyi i Patrick, dzięki pracy Griselli nosili mankiety haftowane i kołnierzyki olśniewającej białości.

Zwykle przed szóstą zrana, Grisell zapalała ogień w gabinecie swego ojca. poczem budziła go. Lubił on sypiać długo i starsza córka miała to samo upodobanie, lubo to jej nie przeszkadzało spędzać jedną noc w tygodniu zupełnie bezsenną, przy pracy ręcznej. Skoro tylko Sir Patrick wstawał podawała mu polewkę z piwa, którą zwykł był pijać, następnie budziła dzieci, ubierała je, rozdzielała im śniadanie i prowadziła do pokoju ojca, gdzie rozpoczynały się nauki.

Sir Patrick udzielał stosownie do wieku: jednym łaćnę, drugim języków: francuzkiego, niemieckiego, geografii, a młodszych uczył angielskiego, oraz pisać, czytać etc. Lady Hume dopomagała mu w tém zajęciu; Grisell w chwilach wolnych korzystała z rad ojca, aby się kształcić w francuzkim i niemieckim, a resztę czasu poświęcała muzyce.

Długo bardzo pokazywano jak relikwie, może i teraz znajduje się jeszcze w jej rodzinie książka nie małej objętości z śpiewkami, przepisane ni jej ręką, tak muzyka, jak słowa.

W samej istocie, wszystko spoczywało na dobrej i młodej głowie Griselli, a dzięki jej staraniom rodzina ta bardzo mało posiadając, wystarczała wszystkiemu.

Młodsza siostra jej, mniej od niej była biegła w staraniach około domu, mało oddawała się tym szczególnym zajęciom, i obrała sobie wydział sztuk pięknych. Posiadała czarujący głos, była bardzo muzykalną, i obiedwie siostry naprzemiann żartowały z swego tak różniącego się powołania. Sir Patrick zachował imię doktora Wallas: co nie przeszkadzało wszystkim jego ziomkom przybywać do jego gościnnych podwoi. Rzadki był dzień, aby przy jego skromnym stole nie znalazło się trzech, lub czterech braci niedoli.

Później w dniach lepszych, w dniach dostatków, przypominając sobie szczupłe i małe fundusze, a wielką obok tego wesołość, Lady Grisell pytała siebie, jak tak skromnemi dochodami mogli stawić czoło, tak znacznym wydatkom?

Nieraz opóźnienie okrętu szkockiego, wiozącego szczupłych procent, spowodowało ich niedostatek; natenczas kilka sztuk

jakie im pozostało srebra, wysyłane było na górę Miłosierdzia. Wiatr zmieniał kierunek, okręt przybił do lądu i srebro wracało do domu.

Sprzedaż kilku kosztowności szczytków przeszłych bogactw dozwoliła korzystać z dobrej sposobności nabycia klawikortu (był to tak zwany Bukar, o którego lubownicy starożytności dobijałyby się dzisiaj), który wielką grał rolę w rozrywkach wieczornych. Koncertów, tańców, nie odmawiano sobie. Patrick zwykle przyprowadzał z sobą kilku młodych swych kolegów; najmilej z nich przyjmowany był Jerzy tak gorliwie chwytający każdą sposobność zbliżenia się do anioła pocieszyciela, którego widział po raz pierwszy w więzieniu ojca swego. Jeżeli towarzyszył wszędzie Patrickowi, to było poczęści w nadziei spotkania wzroku Griselli. Dżentelmanowie szkoccy przychodzili zwykle w wytartych ubraniach, ale z swobodnym umysłem, a ich żony wolne od wszelkich trosk i kłopotów o swe ubranie zastępowały brak kosztownego odzienia, wdziękiem i ujmującą postacią. Oswobodzeni od uczucia próżności i zazdrości używali w całej obszerności rozrywek i przyjemności wspólnych, oddawano się rozmowie ożywionej, po której następowała muzyka i słodkie dźwięki Krystyny, połączone niekiedy ze śpiewem Griselli, czasem też klawikort pod biegłymi palcami którego z gości odezwał się muzyką weselącą, do której przyłączone towarzyszenie skrzypków, lub fletu, wzywało do tańca.

„O! wesole umysły i tkiwe serca! wyrzekł poeta, który z życia Griselli utworzył przedmiot swęj najpiękniejszej legendy,” jak są drogocenne błogosławieństwa które z was spływają! Wy sprowadzacie uśmiech na usta wygnańca, zlewacie promień słońca na nieszczęśliwego, którego przeznaczeniem nie ujrzeć więcej domowej strzechy; rozniecacie sympatyczny błysk w zgasłym oku mizantropa i starość zelektryzowana waszą wesołością opuszcza swoje łóże, aby brać współdziałal w zabawie! „Tak to młody umysł Griselli rzucał promienie na niedoleżtwa i boleść, pod jej wpływem ubodzy a dumni, których odzież zdradzała stan chudoby, czuli się ośmieleni, zachęceni i wesoło oddawali się zabawom. Swoboda myśli, szlachetność uczuć wymazały z ich czarodziejskiego koła nienawiść, zemstę, nieprzeblagane urazy; ten obrzydły orszak ducha stronnicstwa! Doznawali oni nie raz przykrości i niedostatku, ale to nie sprowadzało im smutku. I tak jednego dnia przybyło kilku professorów i uczonych, którzy czasem odwiedzali Dra Wallasa, nie mógł on ich niczem innym podejmować, jak tylko szklanką zwyczajnego piwa, co jako nie zwykły sposób przyjęcia obudziło śmiech ogólny, ale nie zachmurzyło czoła. W kraju tym w owęj epoce zwyczaj był zachowywany, że chodzono od domu do domu wzywać o złożenie kwesty dla biednych, oznajmiając to poruszeniem dzwonka. Jednego wieczoru, kiedy cała rodzina była zgromadzoną, dzwonek ostrzegający dał się słyszeć, każdy przetrząsał koło siebie

i nie nie znalazł. Grisell przewrocila swe kieszenie wyjmując tylko z niej jedną sztukę drobną monety; więcej nie było w całym domu, bo okręta spóźniły się: nikt nie śmiał nieść tak małego datku. Wtenczas ojciec wzięwszy ten grosz wdowi, rzekł do domowych: „Sam go poniosę, większej ofiary nie możemy uczynić, jak oddając wszystko, co posiadamy;” i nikt już z rodziny nie smucił się niedostatkiem.

Takiom życiem żyła od lat trzech w Utrecht rodzina Hume; kiedy książę Oranii popłynął do Anglii, wraz z innemi znakomitemi Szkotami, zabrał on z sobą Sir Patricka, jego starszego syna i Jerzego Jerwiewooda. Eskadra dopiero od dni kilku znajdowała się na morzu, kiedy dowiedziano się, że straszna burza rozbiła ją. Mówiono o okrętach zatopionych i postrach był okropny. Lady Hume, Grisell i Kristyna, dręczone straszny niepokojem, udały się natychmiast do portu Heloostskiego. Miasto było napełnione tymi których uczucia, lub interesa łączne były z losem floty, niepodobnym było znaleźć miejsca do wypoczynku prócz łodzi na jakiej przybyli. Trzeba było nocować wśród największej wilgoci, i tam z sercem bolejącem, widziały około siebie pływające rzeczy wyrzucone ze statku, zerwane maszty, łomoki, pościel, konie zabite, a nawet ludzi nieżywych. Po upływie 2-eh dni kilka okrętów ukazało się przywoząc księcia, ale żadnej wiadomości o Patricku i dwóch młodych ludziach, nakoniec i oni przybyli zupełnie zdrowi, stracili tylko wszystkie swe rzeczy. Bez zwłoki wsiedli na inny okręt i popłynęli z flotą, która się była rozproszyła, a wkrótce świetna wiadomość o wylądowaniu i przyjęciu z zapalem nowego monarchy, napełniła radością wygnane rodziny, które tym sposobem miały odzyskać, jedne majątek, drugie znaczenie, stanowisko, honory, a wszyscy drogą oczyszcznę!

Ale kiedy odgłos dzwonów, okrzyki i wystrzały armatnie, głuszyły miasto swemi oznakami radości, Grisell i jej matka pogrążone były w najgłębszej boleści. Togo samego dnia Kristyna dogorywała skutkiem zapalenia gardła spowodowanego niezdrowem powietrzem i wilgocią, jaką przesiąkła łódź która im służyła za mieszkanie. Odtąd dla Griselli nie było już chwili radości. Tak odważna w obec trudów, niewygód, niedostatku, śmierć blizkich jej sercu znajdowała ją bezsilną. Takie cierpienie łamało jej serce, ta żywość wyobraźni, która ją podtrzymywała dopóki można było działać, nieść pomoc, zwalczać przeszkody przed nieodwołalną i niezmienną boleścią zamieniało się w niemoc i rozpacz. Trzeba było zostawić na obcej ziemi zwłoki siostry, tej towarzyszkii jej życia, obok której znośnym jej było wygnanie i niedostatek.

Lady Hume i jej starsza córka miały jechać wraz z świetnym orszakiem jaki księżna Marya prowadziła do Anglii, gdzie panować miała. Grisell mając wówczas lat dwadzieścia dwa, była w całym blasku młodości i piękności i zdawała się być stworzoną na ozdoba

dworu, nowa też panująca pragnęła ją mieć za swą damę honorową. Rzeczywiście powierzchowność Griselli była zajmującą. Średniego wzrostu, składnej postaci, fizyognonii odznaczającej się wdziękiem i rozumem, wzroku łagodnego, a razem pełnego ognia, rysów wytwornej doskonałości, włosów ciemnych bardzo długich, posiadała płeć rzadkiej piękności, ale dziewczę to nie ubiegało się ani za blaskiem, ani za wielkością. Tylko wśród domowego ogniska była szczęśliwą, tam widziała właściwe sobie miejsce, tam też pragnęła powrócić. Z wdzięcznością pełną uszanowania uchyliła się od świetnych ofiar, o które tyle innych dobijało się i opuszczając Londyn i jego okazałości udała się do Redbraes, dokąd rodzice jej odesłali pierwój całe rodzeństwo. Tam, mówiła Grisell, będę może żałować dni wygnania, ale nie przyjeźności dworskich. Sprawy polityczne zajmowały jej ojca, matka miała do spełnienia formy etykiety wyższego tonu. Krystyny już nie było i nie obecność jeszcze jednej osoby była jej równie dotkliwą. Jerzy nie śmiał prosić o rękę tej, którą od tak dawna kochał. Sir Hume zostawszy Lordem Marchmont i kanclerzem Szkocyi, widział jak o rękę jego córki ubiegało się wielu znakomitych ludzi; dwaj młodzieney, których ród, majątek i opinia ogółu na równi stawiała, oświadczyli się o rękę Griselli: ale Ojciec pozostawiając wybór jej samej, żądał aby go bezzwłocznie uczyniła. Cierpiała ona w milczeniu, bo po raz pierwszy opierała się zdaniom, naleganiom osób tak przez nią ukochanych: po raz pierwszy sprowadziła lekką chmurkę na ich czoło. Na końcu postanowiła odkryć powody, jak również swój wyrok nieodwołalny. Wyznała że jej nadzieje i uczucia gdzie indziej były skierowane: „Jerwiswood jest ubogim, rzekła i nie chciałabym sprawić wam boleści smutném méj położeniem. Nie chcę abyście cierpieli widząc mnie pozbawioną potrzeb życia, których brak, moja dla Jerzego miłość nie dałaby mi uczuć. Nie mogę zostać jego żoną, a więc będę mu siostrą. Nie żądajcie aby zmienił się stan mojej duszy, zostawcie przy was waszą biedną córkę, pozwólcie jej zestarzeć się w waszym domu, pielęgnować was i wasze dzieci, ona będzie tak szczęśliwą żyjąc zawsze z wami. A co do Jerzego, jeżeli nie w tém, to jestem pewną że połączę się z nim w drugim życiu.”

Przeznaczenie Griselli miało być zupełnem. Opatrzność przygotowywała dla tej która tak dobrze miała wypełniać obowiązki córki i siostry, zadanie najwspanialsze, spełnianie powinności żony i matki. W dwa lata po rewolucyi 1688 r., jedyna przeszkoda jaką mógł znaleźć Lord Marchmont w związku córki swej, z synem najlepszego swego przyjaciela została usunięta; Jerzy wrócił w posiadanie majątku skonfiskowanego w dniu śmierci jego ojca i Grisell mająco na ten czas przeszło lat dwadzieścia pięć, połączyła się węzłem małżeńskim z Jerzym Jerwiswood.

Tych dwoje ludzi tak podobnych sobie w uczuciach i wyobrażeniach, niebo błogosławiło i zachowało w sercach ich przez dłu-

gie lata, jednakowo gorącą miłość, i wspólne zaufanie. Grisell zwykła była odgadywać myśl Jerzego, zanim on znalazł czas do objawienia jej. Nikt jeszcze nie słyszał najmniejszego szelestu, kiedy Grisell odróżniała już kroki Jerzego; tak daleko jak zaden wzrok dosięgnąć nie mógł, oko Griselli poznawało męża swego. Śmierć matki Lady Jerwiswood, była najpierwszym zakłóceniem tego ich szczęścia, tak czystego i zupełnego. Lady Marchmont otoczona w swęj ostatniej godzinie, liczną rodziną, przyzywała swą starszą córkę, którą jej przyrzymiony wzrok na próżno szukał, a kiedy Grisell wysunęła się z po za firanek pod któremi usiłowała przytknąć łkania jakich nie mogła powściągnąć: „Bądź błogosławioną” rzekła do niej umierająca, ściskając rękę swęj córki w swych bezsilnych palcach: „Bądź błogosławioną nad wszystkich moje ukochane dziecię, za pomoc i szczęście jakie zawsze przynosiłaś twęj biednej matce.”

Związek Szkocyci z Anglią obudził w 1707 r. zawiś między wielu stronnictwami, które zwalczone zostały w 1715 r. Ci którzy wynosili się i pysznili w epoce kiedy rodzina Sir Patricia była zmuszoną schronić się do Hollandyi, byli teraz zwycięzonymi. Nie był to duch zemsty, ale łaskawości i głębokiego politowania, który pobudzał czynami Jerwiswooda, nateczas członka parlamentu; bronił on z religijnym zapałem dawniejszych przeciwników w których widział tylko nieszczęśliwych, jakim należała się pomoc. Dom jego otwarty był dla matek, żon i dzieci obwinionych.

Grisell również udzielała wszystkim cierpiącym pomoc, niósła pociechę z głębi serca, którego dobroć niewyczerpane miała źródło.

Dzień w którym hrabia Derwentwater i vice-hrabia Kemmre przyplacili swą głowę swe przekbnania, był dniem żaloby i boleści dla całej rodziny Jerwiswooda. Jerzy zamknął się u siebie, wtedy kiedy żona jego łączyła lzy swoje z łzami strapionych rodzin. Bunt jeszcze zatrwajający więcej i straszniejszemi jeszcze środkami zatamowany w 1745 i 1746 r. zastał Lady Grisell w Londynie, gdzie zatrzymywała ją edukacya i sprawy jej wnuków. Już wtenczas brakło jej przykładu i opieki Jerzego, który umarł w jej objęciach w 1738 r. Ale zdaje się, że przeżyła go o lat kilka jedynie dlatego ażeby iść jego śladem, a wierna jego pamięci, okazała się w starości tak pomocną uciśnionym, jak była nią w chwili swego szczęścia i dniach młodości.

Pomimo niedołęztwa późnego wieku, nie znała ani zmęczenia, ani przeszkód, jak tylko szło o niesienie pomocy, lub oddanie posługi. Wśród nieładu i niepokojów wojny domowej, kiedy liczne zastępy powstańców zbliżyły się prawie do bram Londynu, komunikacye zostały przerwane, i dzierzawcy przestali płacić. Lady Jerwiswood znalazła się nateczas zupełnie ogołoconą z pieniędzy. Dom jej obszerny składał się z znacznej liczby dzieci, wnuków i służących, a dla zaspokojenia tak wielkich



wydatków nie miała żadnego funduszu. W prawości swego charakteru nie zawahała się, kazała zwołać wszystkich swych liwerantów, którym zwykle za dostarczane produkty, co miesiąc płaćcia, aby im oznajmić niemożność w jakiej się znajdowała utrzymania nadal podobnych rachunków. Oni jednak wdzięczni za przeszłość, okazali jeszcze więcej chęci służenia jej nadal, a im mocniej ona odrzucała ich żądania, tém gorliwiej upominali się o przyjęcie ich. Zapłaćceni pierwszym funduszem otrzymanym przez nią, z boleścią przyjęli to co im się należało.

Szóstego grudnia 1746 r., na dni kilka przed ośmdziesiątą pierwszą rocznicą swych urodzin, Lady Jerwiswood umarła otoczona dziećmi i wnukami. W długim życiu przeplataném uśmiechem i łzami, ale otoczona błogostawieństwem, żadnego nie zaniedbała obowiązku: była to prawdziwa bohaterka domowego ogniska.

*Paweł z Czerniatyna.*

## KORRESPONDENCYA.

### *Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

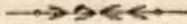
W zeszycie sierpniowym z r. b. znajduję dwukrotną wzmiankę o udziale jaki przyjąłem w dyskusyi, której przedmiotem była uczona rozprawa prof. Karola Estreichera. Pierwszą zamieścił sam autor rozprawy w dopisku, drugą Redakcyja w Wiadomościach literackich. Znajdując niedokładności tak w jednej jak i w drugiej, upraszam o wydrukowanie w następnym zeszycie następującego sprostowania.

*Co do pierwszej wzmianki w dopisku:* Nie powiedziałem wcale że wyraz *iskonczasza* stanowczo rozstrzyga sposób rozumienia podpisu S. Fiola, to jest uznawanie dwóch osób Fiola i Franka zamiast jednej Fiola; mówiłem tylko, że wyraz ten gdyby można było polegać na wierném odbiciu, jako położony w liczbie mnogiej, rozstrzygnąłby kwestyę. Dr. Estreicher wszakże natychmiast po wypowiedzeniu tego zdania, sam przeciw sobie zaświadczył, okazał bowiem inną podobiznę, gdzie wyraźnie stało *skonczasasia* a zatem skoro już stoi nie słowo czynne lecz bierne, rzeczywiście przeto nie może odnosić się do drukarzy, lecz do ksiąg. Że na kalce nie można było polegać, brałem dowód z innych błędów, a mianowicie z napisania w dacie l (co znaczy 30) zamiast jak być powinno a (to jest 1), oraz z *Kazmira* zamiast Kazimira i z *koziem* zamiast boziem, i na tój zasadzie oparłem swe zdanie, że dopóki nie mamy wierniej podobizny, rzecz musimy uznawać za będącą w zawieszeniu, obecnie przypatrzysz się dobrze i tój jakkolwiek niedokładnej podobiznie, uznajemy że punkcik pod łukiem nad *sz* jest tylko niewyraźnym odbiciem litery *s* (sław. *e*), używanój zwykle jako skrócenie zamiast *sia* (się) i że zatem czytać należy *skonczasasia*, co odnosi się nie do drukarzy lecz do ksiąg pisma. Użycie liczby mnogiej *skonczasasia* zamiast pojedynczej *skonczasia* jak być powinno, skoro wyżej dwa razy użyto liczby pojedynczej: *dokonzana byst'* (nie *bysty* jak czyta p. Estreicher) *sija kniga* powtórnie *dokonzana byst'*, kładziemy na karb nieświadomości Fiola w gramatyce słowiań-

skiej, jeżeli tylko ten co kalkował—wiernie dopisek przerysował. Nakoniec, nie mogliśmy powiedzieć że *skoncza* jest w liczbie podwójnej, bo zarazby który ze studentów wystąpił z zarzutem że w podwójnej byłoby *skoncza*; myśmy tylko mówili, że gdyby o dwóch drukarzach była mowa, użyłoby liczby podwójnej jakkolwiek w podobnych drukach z czasów późniejszych i moga zamiast podwójnej się używa, czemu nikt nie zaprzeczy.

*Co do drugiej wzmianki.* Redakcyja w Wiadomościach literackich (str. 302) zdając sprawę z dyskusyi, powiada: prof. Papłoński zarzucił... lecz dodał, że co do odczytania głównego miejsca, o które chodzi podzielał w zupełności zdanie autora i zwrócił uwagę na jego w tym względzie zasługę." Tak bezwątpienia przyznawałem i przyznaję, że myśl p. Estreichera co do przyznawania dwóch osób zamiast jednej, jest zupełnie nową, mającą wiele dowodów, które na jej korzyść przemawiają; lecz powtarzam, że ostatniem słowem mojem było, iż rzecz musimy trzymać w zawieszeniu, dopóki nie będziemy mieli dokładniejszej podobizny; na tej bowiem, jaka jest dodaną do pracy Dra Estreichera, mimo gwarancyą takiego nazwiska jak Purcynie polegać nie możemy.

Prof. J. Papłoński.



## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

*Sierpień 1867 r.*—Stagnacya w handlu księgarskim jeżeli u nas trwa bez przerwy, i nadziei prędkiego polepszenia spodziewać się niemożna, za to w Poznaniu i Krakowie ruch wydawnictwa coraz się żywszy obudza.

J. I. Kraszewskiego wyszła powieść: *Pół-djabł weneckie powieść od Adryatyku* (Kraków, druk W. Kirchmayera). A. Ładnowski artysta i pisarz dramatyczny wydał w Krakowie: *Zosia druchna* monodram w jednym akcie, i *Recepta na trychiny* krotchwila ze śpiewkami w jednym akcie. Wyszedł tu także przekład komedyi Ponsarda w pięciu aktach *Lew zakochany* i *Listy pani de Sevigné*. Książd Pękalski Dr. Ś. T. i kanonik zakonu Stróżów Grobu Jerozolimskiego wydał w drukarni uniwersytetu jagiellońskiego dzieło p. n. „*O początku, rozkrzewianiu i upadku zakonu XX. Kanoników Stróżów Śgo Grobu Jerozolimskiego.*” Jestto niezmiernie zajmująca monografia, łącząca się z ogólnemi dziejami kościoła i przyczyniająca się do wyświecenia jego początków i rozwoju u nas. Pełna zajęcia jest historia tego zakonu od czasu osiedlenia się w Polsce, a przytém dzieje kościoła i klasztoru w Miechowie, oraz życiorysy generałów zakonu, i Miechowitów co się odznaczyli nauką.

— Z dniem 1 października r. b. pod redakcyą Alexandry z Chomętowskich Borkowskiej, zacznie wychodzić pismo dwutygodniowe *Kronika rodzinna*, którego treść obejmuje następuny projekt:

„Zadaniem niniejszego pisma jest służyć ku pożytkowi rodzin; pożytek łączyć z umysłową rozrywką, będzie przedmiotem pracy i starań Redakeyi. A jako grono rodziny składa się z osób różnej płci i wieku, tak wzgląd na wymagania i potrzeby każdej. kierować będzie wyborem i układem treści, aby w niej młodzi skazówkę dróg życia i pracy, starsi zaś znaleźć mogli ułatwienie w obowiązkach opieki lub przewodnictwa rodzin. Skazówką i przewodniczmem światłem dla nas samych, w dążeniu ku założonemu celowi, będzie zacność i świętość uczuć, stosunków i obowiązków rodzinnych. Zapewnione nam łaskawie współpracownictwo znanych zarówno z talentu jak z moralnej dążności pisarzy, budzi w nas otuchę, iż nie szczędząc gorliwości i pracy, aby uczynić zadość naszemu założeniu i słusznym wymaganiom czytelników, potrafimy zasłużyć na ich uznanie i poparcie, będące jedyną rękojmią przyszłego powodzenia i trwałości pisma. Podajemy tu wedle porządku alfabetycznego imiona osób, które nas przyrzekły

wspierać piórem swoim: *Cieszkowski Henryk, Chomentowski Wł., Deotyma, Dmóchowski Fr. S., Grzegorzewska Sabina, Goltz Adam, Ilnicka Marya, Koronowicz (W. Wróblewski), prof. Kowalewski Józef, Korytyński Wincenty, Kraków Paulina, Lewocka Katarzyna, Maciejowski Wacław Alexander, prof. Malcecki Ant., prof. Mierzyński Antoni, Odyniec Antoni Edward, Pol Wincenty, Puzynina Gabryela, Siemieński Lucyan, Stawiski Edmund, prof. Struve Henryk, Szymanowski Wacław, prof. Tyszyński Alexander, prof. Wislocki Teofil, Wojcicki K. Wł., Zacharyasiewicz Jan, Ziemięcka Eleonora.* — Kronika Rodzinna zawierać będzie:

Poglądy obyczajowe, artykuły o wychowaniu domowem, wykłady popularne nauk przyrodzonych, wiadomości o nowych odkryciach, wynalazkach, i w ogólności o postępie i rozwijaniu się przemysłu, w zastosowaniu zwłaszcza do potrzeb domowych; studia literackie, pamiętniki, podróże, powieści, poezye, korespondencye, i nakoniec doniesienia o nowych dziełach godnych uwagi, tak literackich jak i artystycznych, wydanych w kraju i za granicą, których nabycie i przesłanie dla prenumeratorów, Redakcyja ułatwiać się obowiązuje, równie jak i innych przedmiotów, z wychowaniem domowem w związku będących." Prenumerata roczna wynosi rsr. cztery.

— W Poznaniu przygotowują kompletne wydanie wszystkich pism Władysława Syrokomli (Ludwika Kondratowicza).

— Floryan Czerwiński, który wydał wysokiej wartości dzieło: „O Towarzystwie Kredytowem w Królestwie Polskiem,” tom pierwszy: już ukończył w rękopiśmie tom drugi.

— Obszernych rozmiarów dzieło Leona Rogalskiego *Historya literatury Polskiej* nakładem Michała Glücksberga wydawcy *Bluszczu*, w r. b. wcześniej przed Nowym Rokiem ma wyjść z pol prassy. Będzie ta praca ważną pomocą dla badaczy dziejów literatury naszej od najdawniejszych do obecnych czasów.

— Pozostałe rękopisma śp. Fryderyka Hr. Skarbka, a głównie drugie wydanie pomnożone *Dziejów Księstwa Warszawskiego* i inne prace historyczne, któremi się zajmował w ostatnich latach swego życia, mają być wkrótce ogłoszone drukiem. Ostatnia jego powiastka p. n. *Cztery pierścionki*, w r. b. drukowaną będzie w czasopiśmie *Kłosy*, dla których ją napisał.

— Henryk Cieszkowski, znany z udatnych poezyi i powieści, przełożył komedye Ponsarda *Gielda*. Tłumaczenie zalecające się pięknym językiem i potoczystym wierszem, z którego parę małych ustępów podaliśmy w Bibliotece Warszawskiej, ma być w całości drukowane w jednem z pism naszych Tygodniowych.

— Adam Pług (Antoni Pietkiewicz) przełożył tragedye Szekspira *Hamlet* i przygotował do druku.

— P. Romuald Hube przygotował opis rękopismu z XV wieku: „O postępowaniu sądowem w Czechach” który znalazł w Bibliotece Cesarskiej w Petersburgu. Opis ten przesłał Dr. Hermenegildowi Iliczkowi znanemu autorowi „Historyi prawo-

dawstwa czeskiego," urzędnikowi ministryum oświecenia w Wiedniu, i zarazem takowy udzielił naszej redakcyi. W następnym zeszycie podamy go w całości.

— Towarzystwo historyczne księcia Jabłonowskiego w Lipsku, ogłasza zadanie konkursowe, na które odpowiedzieć można w języku francuzkim, niemieckim lub łacińskim, w treści: napisanie historyi handlu zbożowego Polski z krajami zagranicznymi. Termin ostateczny do złożenia rozprawy naznaczonym został do listopada 1869 r. Nagroda wynosi 60 dukatów w złocie. Sędzią konkursowych rozpraw towarzystwa, w przedmiotach ekonomicznych jest prof. Dr. Roscher w Lipsku.

— W piśmie: *Mitteilungen des K. K. Geographischen Gesellschaft* (VIII, 2) jest zajmujący artykuł o topografii księstw Zatorskiego i Oświęcimskiego.

— Od lat kilku uczeni wszystkich niemal krajów w Europie, żywo się zajmują badaniem podań ludowych. W Gdańsku uczony Dr. Manchard, przygotowuje dzieło o obrzędach rolniczych ludowych, i w tym celu robił i robi poszukiwania w naszym Królestwie, zbierając troskliwie wszelkie w tym przedmiocie szczegóły. Prof. Szkoły Głównej Mierzyński, próby swych badań naukowych w tym przedmiocie drukował w naszym piśmie. Teraz otrzymujemy wiadomość, że równocześnie gdy we Francji wychodzą nowe zbiory ludowych pieśni: Dr. Pabst professor wyższej szkoły w Bernie w Szwajcaryi, wydał studyum o duchach i upierach w legendach i poezjach. Te podania szwajcarskie, lubo w odmiennój formie zbliżone wiele do polskich. P. Horn rozpoczął także wydawnictwo podań i powieści nadreńskich w przepysznej edycyi p. n. „Ren, dzieje i podania jego zamczysk, opactw, klasztorów i miast.” W broszurze o dzisiejszym stanie Bośni, czytamy że dawne przesady utrzymały się w całej sile, nie tylko po wsiach ale i po miastach. Dla mieszkańców tamtejszych żyją jeszcze *wille*, owe istoty nadprzyrodzone, uwiecznione pieśniami ludu serbskiego: w samem Serajewie pokazują odmęt wodny, gdzie się często pojawiają *wille*. Wierzą w *mory* nasze zmory, czarownice zwane *wieszczycami*, oraz duchów które rozkazują wiatrom, i albo je uciszają lub pobudzają do wzniecania burzy.

— W Wrocławiu ks. Wincenty Krainiski lektor wymowy i literatury polskiej, w tamecznym uniwersytecie, wydał dzieło p. n. „Wymowa porównywana z kościelną, parlamentarną, sądową, pochwalną i akademicką.” Składa się z pięciu ksiąg poprzedzonych wstępem.

— Pisma p. n. *Ekonomista*, redakcyi Antoniego Nagórniego wyszły dwa zeszyty razem IV i V, za miesiąc kwiecień i maj r. b. i obejmują: 1) O znaczeniu miast i instytucyi miejskich. Rzecz wyłożona w dwóch odczytach publicznych w auli Szkoły Głównej w dniu 12 i 19 kwietnia 1867 r. przez prof. tejże szkoły A. Okólskiego; 2) Materiały do historyi Towarzystwa Kredytowe-

go, przez Felixa Zielińskiego. 3) Budżet Państwa Ruskiego na r. 1867. 4) Statystyka Królestwa Polskiego. Rozległość, ludność i podział administracyjny.

— Jakob Waga b. prof. a dziś emeryt znany zaszczytnie w literaturze naszej, autor *Flory polskiej* przygotował do druku dwie ważne prace. Pierwsza p. n. *Wielość światów zamieszkiwanych. Studium w którym wykładają się warunki zamieszkalności ziem niebieskich, roztrząsane ze stanowiska astronomów, fizjologii i filozofii naturalnej* przez Kamilla Flammariona: w tym roku idzie pod prasę. Drzeworyty objaśniające już są wycięte przez J. Styfięgo. Dla poznania treści tego zajmującego dzieła przytaczamy wstęp prof. Wagi do czytelnika.

„Winniśmy przedewszystkiem uprzedzić czytelnika, że książka ta nie jest żadną powieścią, ani opowiadaniem zdarzeń wylęglých jedynie w wyobraźni piszącego. Jest ona dziełem czysto naukowym. P. Flammarion, słynny dzisiejszy astronom paryzki, redaktor pisma naukowego *Cosmos*, Członek wielu Towarzystw uczonych, roztrząsa w niem, sposobem popularnym, warunki zamieszkalności ciał krążących w przestrzeni niebios, mianowicie planet, porównywa je z warunkami w jakich nasza ziemia zostaje, i wyprowadza ztąd wnioski ze stanowiska astronomii, fizyki, fizjologii i filozofii naturalnej, a które prowadzą go do opinii, że jeśli nie wszystkie ciała niebieskie, to przynajmniej planety, krążące tak jak ziemia nasza około słońca, koniecznie zamieszkałymi być muszą. I w samęj rzeczy, zważywszy że globy te mają zupełną analogią z naszą kulą ziemską, że są tegoż kształtu co i ona, chociaż niektóre daleko znacznie większych wymiarów, że mają jednakie z nią ruchy, już około swęj osi, już około słońca, co je ogrzewa i oświeca dobroczynnymi promieniami; że skutkiem tych prawidłowych obrotów odbywa się na nich, podobnie jak tu na ziemi, kolejne następstwo dni i nocy, tudzież pór roku; zważywszy nadto, że nowsza astronomia, wsparta silną pomocą optyki, wykryła przynajmniej na niektórych, obecność atmosfery, śniegi przybiegunowe, pasma gór wyniosłych, i t. p.; zważywszy nakoniec i tę okoliczność, że niektóre z tych planet umieszczone są w warunkach astronomicznych bardziej sprzyjających jak ziemia nasza, rozwojowi i zamieszkalności istot organicznych; zważywszy powiadamy to wszystko, musimy koniecznie przyznać; że te ogromne bryły, nie na to jedynie stworzono, aby wiekuiście około słońca krążyły, bez celu, bez przeznaczenia, i użytku, i aby tylko jedna z ich szeregu, to jest nasza ziemia, nie mająca żadnej nad niemi wyższości, była siedliskiem życia i pobytem tworów organicznych. Zresztą, idea wielości zamieszkiwanych światów, nie jest wcale nową ideą. Najznakomitsi mędracy starożytności, owszem ludy całe, gdy astronomia jeszcze w kolébee zostawała, instynktowo w nią wierzyli, a w następnych wiekach, wielcy filozofowie i głębocy myśliciele, w ubiegłym zaś i terażniejszym

stuleciu, pierwszorzędni astronomowie, przypuszczali zamieszkalność planet, i mniemania swoje w tej mierze w licznych pismach potomności zostawili.

Lecz pomijając nawet tę wiarę powszechną i wywody naukowe wsparte na postrzeżeniach astronomicznych, sam zdrowy rozum i głębszy nieco pogląd na kulę naszą ziemską, koniecznie nas prowadzi do uznania, że te sfery niebieskie są to światy naszemu podobne, gdzie życie rozwija się i kwitnie, gdzie krzewią się w tysiącznych kształtach twory ożywione, gdzie zamieszkują istoty intelektualne, może pod względem władz umysłowych nieporównanie od nas doskonalsze. Widziiny tu na ziemi że płodność natury jest nie wyczerpana. Gdzie tylko zapuścił się człowiek, wszędzie znalazł życie organiczne; ujrzał je równie na wyniosłych szczytach gór niebotycznych, jak w bezdennych przepaściach oceanu; równie na spiekłych i jałowych piaskach Afryki, jak na lodowatych krańcach strefy biegunowej; rozwija się ona w niepojęty sposób tak na obszarach mętnych bagien i błot cuchnących, jak w drobiutkiach kropelkach płynów przezroczystych; równie w miejscach odświeżanych i otwartych, jak w jaskiniach ciemnych i pełnych wyziewów niezdrowych; co więcej, na jednym krzewi się drugie życie, i nie ma zwierza, nie ma rośliny, coby nie żywiła na sobie tworów pasożytnych. Kto potrafi wysledzić, poznać i opisać wszystkie te kształty dziwnej struktury, jakich najbujniejsza nawet wyobraźnia utworzyłaby sobie nie mogła, te organizacje zawikłane, te wymiary nieokreślone, pod jakimi życie objawia się na naszym globie ziemskim? Badacze przyrody oddający się od lat tyłu z całym zapalem i poświęceniem śledzeniu i poszukiwaniu tych istot ożywionych, zaledwie część ich wysledzić, poznać, i opisać zdołali; zawsze się coś nowego znajdzie, zawsze nieznaną gatunek przybędzie, nowa forma życia ukaze; a jeśli po długich usiłowaniach przyjdzie kiedyś człowiek do tego, że już wszystko co dla zwyczajnego wzroku jest dostępnem, odkryje i pozna, to przecież mamy jeszcze inny świat ożywiony, świat żyjątek mikroskopnych, co w kropelce płynu tysiącami się roją, a których dotąd zaledwie małą cząstkę, i to powierzchownie zbadano. Jeśli więc ta płodna i niewyczerpana w swych kształtach natura, z taką szczodrocią rozpostarła życie na globie naszym, to dlaczegożby stać się miała skąpą i nieużyta na tych światach odległych, równie zdolnych jak ziemia do przyjęcia i krzewienia życia? dlaczegożby miała być dla nich inną naturą i przeznaczyć te sfery, wspaniałe na siedlisko wiekuistego młodości i śmierci.

Myliłby się jednak czytelnik, gdyby sądził że książka ta da mu poznać bliżej te istoty nie ziemskiego pochodzenia, że mu opiszę ludzi planetarnych, ich kształty określi, organizację wyświeci, zmysły wyliczy, że go zapozna z ich sposobem życia, zatrudnieniem, rodzajem pożywienia i t. p. Nasz autor jako człowiek naukowy, wszelkich tego rodzaju przypuszczeń starannie unika, i chociaż przytacza rozmaite mniemania o przyrodzie ludzi plane-



tarnych w różnych czasach wygłoszone, to jednak zaraz ostrzeża, że wszystkie te opinie, jako nie mające żadnej naukowej podstawy, do rzędu czystych urojeń policzyć należy. Kwestya ta, że stanowiska nauki roztrząsać się nie da. Aby coś uzasadnionego wyrzec w tej mierze, potrzebaby mieć dane naukowe (których podobno nigdy mieć nie będziemy), należałoby poznać np. przyrodę żywiołów i środków, wśród których ludzkość pędzi żywot na tych globach odległych, zbadać skład i własności fizyczne atmosfery, poznać stopień ciepła, obfitość i naturę płynów, jak również normalny stan wilgoci i suszy, działanie światła i elektryczności, skład chemiczny gruntu i inne warunki bijologiczne; gdyż natura zawsze ukształca i organizuje swoje twory odpowiednio do miejsca i środków w których one żyć i rozkrzewiać się mają. Jestto prawda niezaprzeczona, prawo powszechne, które tu na globie ziemskim wszędzie widzimy. Dosyć więc nam wiedzieć, że to wirujące sfery, są to ziemie naszej podobne, na których przebywa ludzkość nam podobna, lub całkiem odmiennie od nas uorganizowana.

Astronomia gwiazdowa naucza nas, że te punkta świetne, które każdej pogodnej nocy na sklepieniu niebios widzimy z taką hojnością rozsiane, te gwiazdy promieniejące, są to słońca naszemu podobne, są to środki tyłuż systematów wspaniałych. Musimy więc przyznać, że około tych ognisk życiodawczych toczą się również bryły ciemne czyli planety różnej wielkości i liczby. I dla czegożby tak być nie mogło? Taż sama ręka wszechmocna, która potrafiła z łona nicstwa wyprowadzić nasz system słoneczny, mogła z równą łatwością tysiące ich stworzyć w nieograniczonej niebios przestrzeni. Ktoby temu zaprzeczał, musiałby oraz zaprzeczyć wszechmocy Boskiej, której przecież dowody nieodparte tu na ziemi i tam w górze jawnie widzimy. Miryady światów w przestrzeni bez granic!... a na każdym krzewi się życie i ludzkość przebywał! Myśl nie pojęta dla nas, na wspomnienie której drobny nasz rozum korzy się i milknie! Budowla nieogarniona, godna prawdziwie potężnej ręki Przedwiecznego architekta!

P. Flammarion, w części filozoficznej swego dzieła, to jest w ks. V, te ludzkości pojedyncze uważa jako będące w różnym stopniu udoskonalenia intelektualnego i duchowego, stosownie do światów jakie zamieszkują. Składają one razem *ludzkość zbiorową* całego wszechświata, której wszystkie dusze łączą się w jeden harmonijny ogół z Istotą Najwyższą, zasadami bezwzględnej sprawiedliwości i prawdy! a chociaż rozumowania autora nie są pozbawione loiki i mogą mieć nawet pewną zasadę; gdy jednak doktryna jego jest czysto filozoficzna i religijna, a zatem żadną obserwacją naukową nie dająca się wesprzeć, przeto tu o niej nie powiemy, zostawiając ją w zupełności sądowi i uznaniu czytelnika.

Dzieło niniejsze jest pełne ciekawych szczegółów zdolnych zająć umysł myślącego człowieka; to też zjednało sobie rozgłos i niezwykłe powodzenie we Francyi, gdzie w samym Paryżu kilka

tysięcy egzemplarzy dwóch pierwszych wydań, szybko się rozeszło a następne ośm odbić z równą skwapliwością wyczerpano. W przekonaniu że zainteresuje ono podobnie naszych czytelników, przełożyliśmy je, jeszcze przed dwoma laty na język ojczysty; lecz okoliczności owczesne nie dozwoliły nam przekładu tego wydać na widok publiczny: dzisiaj więc, gdy okoliczności te ustały, zamiar nasz do skutku przywodziśmy. Książkę tę każdy może czytać i łatwo zrozumieć; nie tylko utwierdza ona wiarę w Istotę Najwyższą, ale nawet większym, jeśli być może blaskiem, i majestatem wspanialszym Ją otacza. Nie jest także przeciwną dogmatom Śtey naszej wiary, ani podaniem biblijnym; a jeśliby ktoś pozorne jako sprzecznności w niej znalazł, to krytyka rozsądna usunie je z łatwością, z dogmatami pogodzi, jak pogodziła niegdyś system wielkiego Kopernika.

Nasze tłumaczenie skuteczniliśmy z drugiego wydania francuzkiego, które autor rozszerzył i ciekawym dodatkiem wzbogacił. W końcu zrobimy uwagę, że ten przekład polski powiększyliśmy wielu przypisami i dodaniem abecadłowego wykazu autorów, tudzież mędrców, filozofów i myślicieli, słowem wszystkich osób o których w tém dziele jakakolwiek jest wzmianka, dołączając krótką wiadomość o ich życiu, mniemaniach i dziełach, aby czytelnik, zwłaszcza na prowincyi, w braku właściwych źródeł, mógł z tego wykazu potrzebnych objaśnień zaczerpnąć!

Druga ukończona całkowiec w rękopiśmie i przygotowana do druku nosi napis, „*Historya roślin przez Ludwika Figuię.* Dzieło ozdobione kilkuset figurami z natury wykonanemi. Wstęp tłumacza, który w całości podajemy, objaśni tę szacowną pracę.

„P. Figuię, niestrudzony dzisiejszy autor francuzki, wydał w upłynionym roku dzieło botaniczne pod tyt. „*Historya Roślin.*” Znalazszy tę książkę odpowiednią dla osób oddających się u nas botanice, przełożyliśmy ją na język ojczysty, i dziś wydajemy ten przekład na widok publiczny, w przekonaniu że zamiarowi swojemu należycie odpowie. Nie mamy tu potrzeby rozwodzić się nad celem jaki sobie autor głównie założył pisząc tę historję roślin, ani wyliczać części z jakich się składa i jakie szczegóły każda w sobie zawiera, bo to wszystko sam w przedmowie swojej doskonale wyłożył; ogólnie więc tylko powiemy, że dzieło p. Figuię nie jest bynajmniej suchym i znużającym wykładem botaniki, jaki zwykle w książkach tego rodzaju dla szkół przeznaczonych znajdujemy. Umie on ożywić swój przedmiot, już przytaczając interesujące wyjątki czerpane z dzieł słynnych botaników i znakomitych podróżników, już zwracając uwagę czytelnika na ciekawsze szczegóły i godną podziwienia różnorodność w strukturze i funkcjach żywotnych roślin, aby tym sposobem silniej uderzyć umysł młodzieży i wybitniej wykazać mądrość i potęgę Boga-Stworzyciela. Tę więc książkę, nie tylko oddający się wyłącznie poznawaniu roślin, ale każdy może z przyjemnością czytać w zaciszu domowym, a jeśli nie nauczy się z niej botaniki,

to przynajmniej dobre poweźmie wyobrażenie o jej ogóle, dowiesię przytem na jakim stopniu ta umiejętność dzisiaj zostaje, i pozna cuda świata roślinnego. Dzieło p. Figuiera odznacza się jeszcze interesującą historią roślin skrytopłciowych, pomijaną zwykle w dotychczasowych kursach botaniki. Wyłożył on wymownie najnowsze postrzeżenia znakomitych dzisiejszych badaczy, dotyczące się płci i reprodukcji tych roślin, mianowicie wodorostów, mchów, paproci, grzybów i t. p. Tamto dopiero pozna czytelnik owe tajemnicze i godne podziwienia drogi, jakich przezorna natura używa aby zachować i uwiecznić swe dzieła; tam znajdzie dowód niezbity, że właśnie w strukturze i funkcjach żywotnych tych gatunków zaniedbywanych, tych utworów najniższego pokolenia, w całym blasku jaśnieje niezbadana mądrość i niepojęta wszechmocność Boga.

Dołożyliśmy starania aby nasz przekład był dokładny, dla wszystkich przystępny i sumiennie wykonany, stosując go wszędzie gdzie się to dało do flory krajowej, co nawet nie było trudnem, gdyż rośliny tak hodowane, jak i dziko we Francji rosnące, które autor za przykład przytacza, lub które szczegółowo, jako typy naturalnych familii opisuje, prawie wszystkie u nas znaleźć można. W miejscach niektórych dodaliśmy nasze postrzeżenia i uwagi, mające na celu dopełnienie szczegółów, które autor albo zbyt krótko wyłożył, albo całkiem pominął. Dla wiadomości botaników przydano na końcu książki wykaz wyrazów naukowych, tudzież alfabetyczny spis roślin, o jakich w ciągu dzieła jest wzmianka, jak również skrupulatnie sporządzony rejestr przedmiotów, aby czytelnik mógł, jednym że się tak wyrazim, rzutem oka, ogarnąć szczegóły jakie każda część w sobie zawiera, i aby tych szczegółów mógł w samem dziele bez trudności wyszukać.

Tobie przedewszystkiem, młodzieży krajowa poświęcamy ten przekład, pragnąc z całej duszy aby cię zainteresować potrafił, i do zgłębiania ulubionej nauki zachęcił.<sup>4</sup>

— Ostatni zeszyt *Historji Literatury Powszechnej* profesora szkoły głównej F. H. Lewestama, nakładem księgarza Lewińskiego, wyszedł z druku i zamyka całość która stanowi cztery wielkie tomy. Tęgoż profesora: „Kurs publiczny literatury polskiej w XIX wieku” nakładem księgarni braci Szeifstein, wychodzi zeszytami. Wydanie to obejmie nietylko prelekcye jakie odczytywał autor w auli szkoły głównej dla zebranej publiczności, ale dopełnionem zostanie krytycznym poglądem na tych pisarzy i te gałęzie literatury naszej, o których nie miał sposobności mówić. Nakładem tejże księgarni zaczęła wychodzić zeszytami książka p. n. *1560 ważnych wiadomości i przepisów z techniki, przemysłu, rzemiosł, rolnictwa i gospodarstwa domowego*. Poradnik praktyczny wydany staraniem p. W. Stejnerta prezesa berlińskiego stowarzyszenia rzemieślników, oraz innych opracowany przez K. Halbauera technika.

— Czytamy w *Zwiastunie Ewangelicznym*, piśmie wychodzącym w Cieszynie w ostatnim numerze tegoż, iż dnia 6 marca r. b. odbyła się w Cieszynie druga tegoroczna konferencya ewangelickich nauczycieli szkół ludowych okręgu cieszyńskiego. Po żywych rozprawach nad planem nauk, zabrali głos: o nauce języka niemieckiego nauczyciel Kolarczyk z Górnego Żukowa, i o nauce języka polskiego J. Śliwka nauczyciel w Cieszynie. Na konferencyę tę zebrał się licznie nauczyciele a zajęcie z jakimś słuchano odczytów, dwóch wzmiankowanych nauczycieli, zdrowe uwagi, które się dawały słyszeć podczas rozprawy nad planem nauk, przekonały nas znów dowodnie, że konferencye nauczycielskie są potężną dźwignią w rozwoju szkół ludowych.

— Księgarz Karol Wild stanął na czele wydawnictwa książek szkolnych. Jego nakładem są już pod pressą następujące dzieła: *Grammatyka łacińska* Mejranga, dla wyższego gimnazyum opracowana przez profesora Znamirowskiego; *Grammatyka grecka* Kureyusza, część pierwsza, tłumaczona przez Sternala, część druga zawierająca składnię i przykłady opracowana przez Samulewicza; *Chrestomatia* Szenkla z komentarzem Borzemskiego; *Słownik łacińsko-polski* według Mühlmana, opracowany przez prof.: Jabkowskiego, Kossowicza i Sternala; *Geometria* dla niższego gimnazyum przekładu Sternala, dla wyższego prof. Staneckiego; *Historja powszechna* według Pütza, opracowana przez profesora Niedzielskiego.

— W Pradze Czeskiej, już drugie wydanie wyszło dzieła pierwotnie pisanego po łacinie przez Jędrzeja z Habersfeld: *Bellum Bohemicum*, w przekładzie czeskim E. Tonuera p. n. „Opowiadanie o wojnie czeskiej od r. 1617.” W niejto nasi Lisowczycy czynny i przeważny wzięli udział, wysłani w pomoc przeciw Czechom przez króla Zygmunta IIIgo.

— Na uniwersytecie wiedeńskim w zimowym półroczu r. b. na wydziale filologicznym ma być wykład znanego u nas we wzorowym tłumaczeniu Lucjana Siemieńskiego: *Rękopismu królowodzorskiego*. Widzimy że wiarogodność tego szacownego zabytku już się ustaliła, przeciwko czemu tak zżarcie występowali Niemcy jeszcze przed kilką laty.

— W Budyszynie wyszedł nakładem *Macicy Serbskiej* wielki słownik łużycko-wendyjskiego języka napisany przez Dra *Pfuhla*, plebana *Scilera* i wikarego katedralnego *Horniga*. Dzieło to jedyne w swoim rodzaju, podaje z zadziwiającą dokładnością cały bogaty skarb téj tak mało znanéj odnogi słowiańskiego szczeplu, która widocznie stanowi przejście z czesko-słowiańskiej do polskiej mowy. Wszyscy współpracownicy tego dzieła zrzekli się wszelkiego honorarium na rzecz narodowego instytutu *Macicy Serbskiej*.

— W Nrze 186 *Gazety Warszawskiej*, czytamy następujący artykuł:

„Nieprawne wydawnictwo.” Z cyrkularza niemieckiego, świeżo rozesłanego do księgarzy z datą mies. lipca r. b. widzimy,

że firma M. Jagielskiego w Poznaniu przedsięwzięła wydawnictwo dzieł ś. p. Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli). Zkądinąd wiemy, że to przedsięwzięcie nie mogło wypłynąć na jaw inaczej jak mimo woli, a nawet wbrew woli spadkobierców i opiekunów tej jedynej pod względem materialnym puściźnie zmarłego. Zyski z dzieł Kondratowicza należą przede wszystkim do zostawionych w ubóstwie dwojga jego sierot i wdowy, w części zaś do niektórych wydawców z mocy zawartych poprzednio umów. Gdy po zgonie Kondratowicza opieka zapowiedziała zbiór zupełny pism zmarłego, wydawcy mający nabyte prawo drukowania jeszcze pewnej liczby utworów z przykłądną bezinteresownością zrzekli się swego przywileju na korzyść sierot poety; lecz rozumie się ani myśleli o zrzekaniu się tego prawa na pożytek jakiegobądź nie przebiegającej w środkach firmy księgarskiej. Nastąpiła w tém przedsięwzięciu czasowa przerwa, która zresztą jak to firmie Jagielskiego z pewnością wiadomo, nigdy nie graniczyła z poniechaniem zamiaru. Czekano tylko większego ożywienia w handlu księgarskim i czytelnictwie, aby znaczny kapitał, szlachetnie ofiarowany przez ceniących zasługi zmarłego nie leżał bezkorzystnie uwięziony w nakładzie. Poznańska firma zamierzała już przed parą laty ową przerwę na swoją korzyść obrócić. Widzimy dzisiaj ze wspomnianego cyrkularza księgarskiego, że ten zamach na własność spadkobierców poety i jego prawnych wydawców, musiał już dojrzeć i stał się wyrokiem. Co to będzie za robota i jak dalece odpowie godności imienia autora, zawczasu godzi się sądzić już z tego, że wspomniona firma przedsięwzięła wydanie „dzieł poetycznych i dramatycznych” Kondratowicza, i że zamknąć je postanowiła w 6-ciu 7-in lub 8-iu tomach. Wydawca nie czuje różnicy między przymiotnikiem: poetyczny a poetycki: nie wie, że dzieła dramatyczne Kondratowicza wszystkie są zarazem utworami poetyckimi; nie wie nawet, ile tego do kupy się sklei, bo snadź wszystkich pojedynczych nakładów jeszcze nie skompletował w swej wydawniczej tece. Strony moralnej tego przedsięwzięcia nie potrzebujemy właściwem nazywać imieniem; każdy czytelnik znajdzie na to stosowną nazwę we własnym sumieniu. Powtarzamy tylko, że firma poznańska dokładnie musi wiedzieć co czyni, i wie jak dalece dotkliwą szkodę wyrządza sierotom Kondratowicza.”

*Lwów.* Powoli ożywia się u nas ruch w handlu księgarskim. Antykwaryusz *Zelman Igiel*, który ma księgarnię, zamierzył wydawać *Bibliotekę teatralną lwowską* na wzór warszawskiej, drukując tak nowe utwory oryginalne naszych pisarzy, jak cenne tłumaczenia z obcych. Nakładem tegoż księgarza wyszły: „*Listy Władysława IV do Krzysztofa Radziwiłła hetmana polnego W. K. L.*” pisane w latach 1612—1632; z autografów biblioteki cesarskiej w Petersburgu ogłosił Antoni Muchliński. Do listów tych J. I. Kraszewski dodał przedmowę. Są one bardzo cennym materiałem historycznym i tworzą jedną całość. Dodane są jeszcze dwa listy do prymasa i Ossolińskiego.

— W Lipsku wyszła u Veita „Rugsko-pomorska historia siedmiowiekowa (Rügensch-pommersche Geschichten aus sieben Jahrhunderten)” opracowana ze źródeł i zawierająca muóstwo nieznanych faktów. Pierwsze dwa tomy tego dzieła dawniej wydane, zawierają upadek bałwochwalstwa wendyjskiego na Rugii w XII wieku, założenie Stralsundu i Greisswaldu w XIII stuleciu. Trzecia część teraz wydana, przedstawia obraz walk niemiecko-duńskich w XIV wieku aż do pokoju Stralsundzkiego w r. 1370. Czwarta naostatek obejmuje wewnętrzne walki Pomorskie, i zajmujące ma podać szczegóły o Szczecinie. Wstęp do wydanego tomu mieści piękny pogląd na związek Hanzy. Autorem tego dzieła, które dla nas obojętnem być nie może jest Otto Fock.

† Dnia 27 lipca r. b. zakończył życie Dr. Adolf Mułkowski, dawniej professor języków starożytnych przy liceum św. Anny, później zastępczo wykładający filologią w uniwersytecie jagiellońskim, wreszcie dyrektor biblioteki uniwersyteckiej, przeżywszy lat 55. Wydał on w tekście łacińskim podług starożytnego rękopismu, kronikę Kadfubka. Wydanie to cechuje sumienna praca i krytyka.

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**  
**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIEM.**

***Lipiec, 1867.***

Lipiec, 1867.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich  
długość w czasie 1<sup>h</sup>14<sup>m</sup>45<sup>s</sup>,7 czyli w łuku 18°41'25",5

w Obserwatorium Astronomicznem Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",  
na wschód względem południka paryzkiego.

Dzień	Zmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy					Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim. dész. - śniegu	Wysok. wody na Wiśle dop. - na m.p.						
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni		6	10	4	10	6	10	4	10								
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny		godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.								
1	☉	748.16	748.57	748.42	749.49	748.660	+15°.6	+19°.4	+24°.6	+19°.4	+19°.75	62.8	pochm.	napół pog.	napół pog.	napół pog.	Z1.	Z2.	Z1.	Z1.							6	5
2	☉	751.44	752.13	750.70	750.24	751.128	12.8	18.4	25.2	19.9	19.08	67.9	poch. desz.	napół pog.	pog. z chm.	pochm.	PnW1.	PdW1.	PnW1.	PdW1.	0.4						9	3
3	☉	748.92	748.43	746.50	749.02	748.218	18.8	25.0	28.0	18.5	22.55	64.7	pogodny	pogodny	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Z1.	0.3						10	9
4	☉	750.06	750.77	751.48	752.61	751.230	17.6	20.8	20.6	16.9	18.98	75.1	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ1.							9	3
5	☉	752.66	752.47	750.57	749.64	751.335	14.0	18.8	23.0	16.3	18.03	70.3	napół pog.	pochm.	pochm.	napół pog.	PuW1.	PnW1.	PdW1.	W1.							7	8
6	☉	747.93	748.39	749.87	750.79	749.245	17.0	19.6	16.7	12.9	16.55	72.9	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	Z1.	Z2.	Z2.	PdZ1.							6	6
7	☉	751.13	750.96	750.69	750.73	750.878	12.7	17.7	17.5	11.1	14.75	68.7	pogodny	pochm.	pochm.	napół pog.	Z1.	Z1.	Z1.	PdZ1.							5	11
8	☉	750.91	751.29	751.54	752.29	751.508	12.5	14.8	17.9	12.3	14.33	62.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z2.	PnZ1.							5	6
9	☉	752.17	752.10	750.00	747.80	750.518	10.7	13.1	16.9	14.2	13.73	70.5	pochm.	poch. desz.	pochm.	pochm.	Pn1.	Pn2.	Pn1.	Pn2.	0.2						5	8
10	☉	743.32	742.29	742.34	740.70	742.163	9.6	9.9	9.7	9.1	9.58	98.8	poch. desz.	poch. desz.	poch. desz.	pochm.	PnZ3.	PnZ2.	PnZ1.	PdZ3.	31.5						6	1
11	☉	738.07	739.22	740.58	742.88	740.188	10.6	13.5	15.1	12.3	12.88	79.1	pochm.	pogodny	pochm.	napół pog.	W1.	Pn1.	Pn1.	Pn1.	0.1						6	0
12	☉	744.83	745.97	746.03	745.73	745.640	12.6	16.5	15.5	13.7	14.58	83.4	pochm.	pochm.	pochm.	poch. desz.	Pn1.	PnZ1.	PdZ1.	Pd1.	0.5						8	2
13	☉	746.81	747.54	747.44	748.12	747.478	12.9	17.4	21.8	15.4	16.88	78.2	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	W1.	W1.	Z1.	Z1.							16	9
14	☉	749.07	749.29	748.52	748.48	748.840	15.6	20.4	24.1	16.9	19.25	77.9	napół pog.	napół pog.	pochm.	napół pog.	Z1.	PdZ1.	Z1.	Z1.	0.2						20	5
15	☉	748.80	749.21	748.58	749.10	748.923	15.4	19.4	21.2	13.5	17.38	78.5	napół pog.	pochm.	napół pog.	pogodny	Z1.	Z2.	PnZ2.	Z1.	2.9						19	11
16	☉	747.75	747.07	746.27	746.53	746.905	15.9	19.7	24.4	15.4	18.88	76.7	pogodny	pogodny	pochm.	pochm.	Z1.	PdW1.	Pd1.	Z2.	0.5						17	10
17	☉	747.45	747.30	746.25	745.67	745.668	13.7	19.4	19.2	15.2	16.88	78.9	napół pog.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	PdZ1.	Pd1.	Z1.	0.6						16	10
18	☉	745.93	746.71	746.11	745.83	746.144	14.0	14.0	17.9	13.5	14.35	79.9	napół pog.	poch. desz.	pogodny	pogodny	Z1.	PnZ2.	Z1.	Pd1.	1.9						14	9
19	☉	742.39	740.30	740.46	741.39	741.135	14.0	21.5	15.4	14.4	16.33	84.6	poch. desz.	pochm.	poch. desz.	pochm.	Pd2.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ2.	1.5						12	1
20	☉	741.53	742.10	742.67	745.09	742.848	14.8	17.1	19.8	13.3	16.25	72.1	pogodny	pochm.	napół pog.	pochm.	Z1.	Z1.	Z2.	Z1.	0.3						10	8
21	☉	747.73	748.78	749.30	749.59	748.850	13.8	14.8	18.6	15.1	15.58	70.2	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	PdZ1.	Z1.	Z1.	Pd1.	0.1						9	7
22	☉	749.67	750.28	748.85	748.91	749.428	18.0	22.6	27.6	19.8	22.00	67.1	napół pog.	pog. z chm.	pogodny	napół pog.	PdZ1.	PdZ1.	Z1.	PdZ1.	0.3						8	8
23	☉	749.93	749.86	748.03	747.30	748.780	17.9	25.6	30.4	23.2	24.28	70.5	napół pog.	pogodny	pogodny	pogodny	Pd1.	Pd1.	Pd2.	Pd1.							8	1
24	☉	747.03	746.83	745.69	745.60	746.288	20.0	26.8	30.7	22.3	24.95	64.4	napół pog.	pogodny	pogodny	napół pog.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd2.							7	3
25	☉	740.06	749.90	750.30	750.16	749.855	18.4	22.3	27.2	21.4	22.38	73.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	PnW1.	1.3						6	10
26	☉	749.43	748.46	747.09	746.41	747.848	17.5	20.6	27.9	22.6	22.15	80.3	poch. desz.	pochm.	pogodny	pochm.	W1.	PnW1.	PdW1.	Pd1.	3.6						6	3
27	☉	748.69	748.94	750.62	751.25	749.875	19.8	20.2	18.8	17.5	19.08	84.5	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Z1.	PnZ1.	Z1.	Z1.	3.8						6	1
28	☉	752.12	751.98	749.62	746.71	750.083	15.7	20.2	20.3	13.5	17.48	78.1	napół pog.	pochm.	pochm.	poch. desz.	Z1.	Z1.	Pn1.	Pn2.	7.8						5	8
29	☉	744.68	745.90	746.56	745.80	745.735	11.1	12.9	16.4	12.3	13.16	81.4	poch. desz.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	PnZ3.	Z2.	PdZ1.	16.3						5	6
30	☉	745.18	744.93	744.36	744.62	744.773	11.9	16.1	16.7	13.1	14.45	81.3	pogodny	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Z2.	PdZ2.	PdZ3.	0.3						5	6
31	☉	743.88	743.86	743.28	744.38	743.850	12.1	12.5	15.2	12.0	12.95	89.3	pochm.	poc. d. mg.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	Z2.	PnZ1.	3.3						5	10
Śr.		747.636	747.801	747.375	747.512	747.581	+14° 74	+18° 42	+20° 78	+15° 72	+17 42	75.8									77.7						9	4.9



	m	c.	
Srednia wysokość barometru miesięczna	747.581	27	7.399
Najwyżej barometr dochodził d. 5 o g. 6 rano	752.06	27	9.652
Najniżej — — d. 11 o g. 6 rano	738.07	27	3.183
Srednia dzienna zmiana barometru	2.527		1.120
Największa dzienna zmiana barometru d. 9—10 o godz. 10 rano	9.81		4.349
Srednia wysokość barometru jest mniejsza o	1.040		0.461
od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	748.621	27	7.860
Srednia temperatura lipca wynosi	+ 17°42 C.		+ 13°94 R.
Srednia zmiana dzienna temperatury	2.51	"	2.01 "
Największa zmiłna dzienna temperatury d. 26—27 o godz. 4 po poł.	9.1	"	7.3 "
Srednia temperatura lipca jest mniejsza o	1.33	"	1.06 "
od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	+ 18.75	"	+ 15.00 "

Termometrograf wskazał: Maximum: +31°2 C. = +25°0 R. d. 24 po poł.  
Minimum: + 8.7 " = + 7.0 " d. 10 rano.

Srednia wilgotność powietrza miesięczna jest: 75.6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 11.2 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest większa o 5.5 setnych od normalnej (70.1).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 77.7 mil. czyli 34.44 lin. par.; mniejsza o 9.2 mil. czyli 4.08 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w lipcu spada (86.9 mil. czyli 38.52 lin. par.).

Dni pogodnych było 1, napółpogodnych 9, pochmurnych 21.

— deszczu 22: (d. 2, 3, 9, 10, 11, 13 od 14 do 22, od 25 do 31).

— mgły 1: (d. 31).

— gradu 1: (d. 15).

— błyskawic i grzmotów 4: (d. 15, 18, 25, i 26).

— błyskawic bez grzmotów 4: (d. 14, 22, 26 i 27).

— wichrów 3: (d. 9, 10, 15).

Wiatr panujący zachodni.

Lipiec b. r. był niepogodny, wilgotny, dżdżysty i chłodny. Srednia jego temperatura + 13.9 stop. R. jest o 1.1 stop. R. niższa od normalnej (+ 15.0 stop. R.) a 0.2 stop. R. wyższa jak w r. z. W miesiącu tym w ogóle chłodnym było jednak kilka dni bardzo gorących i do takich należą pierwsze trzy dni miesiąca jako też 5 dni od 22 do 26 wlicznie; niezwykłe znowu chłodny a zarazem dżdżysty i wilgotny był d. 10, srednia temperatura tego dnia 7.7 stop. R. o 7.3 stop. R. niższa od normalnej. Największe ciepło + 25.0 stop. R. było d. 24 po południu; najmniejsze + 7.0 stop. R. d. 10 rano. Największa zmiana dzienna temperatury 7.3 stop. R. przypadła z d. 26 na 27. Barometr przez cały miesiąc utrzymywał się nizko i bardzo mało stan swój zmieniał; największa jego zmiana dzienna 4.35 lin. par. przypadła z d. 9 na 10. Deszcze padały bardzo często choć nie zawsze obficie. Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości 34.44 lin. par. to jest o 4.08 lin. par. mniej jak w stanie normalnym (38.52 lin. par.); największej stosunkowo spadło deszczu w d. 10 i 29. Dni deszczu było 22 o 7 więcej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był niepogodny, gdyż stosunek dni pogodnych, do napół pogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak 5.9:12.9:12.2, gdy tenże stosunek w b. m. je. jak 1:9:21. Wiatr panujący zachodni i ten był przyczyną częstych deszczów i niepogodnego stanu nieba.

Srednia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 9 cali 4.9 n.-m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 3..... stóp 20 " 5 " "

" " najmniejsza " d. 14 i 15..... stóp 5 " 6 " "

Wylów Wisły jaki w b. m. miał miejsce, który niezmierne zrządził szkody w całym Królestwie jako też w Galicyi, w porównaniu z innymi wylewaniami jakie były w tym wieku, tak się przedstawia:

od wylowu z r. 1813 (d. 29 sierpnia) mniejszy jest o 1 stopę 7 cali.

" " z r. 1844 (d. 26 lipca) " " o 2 " 4 "

## SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z r. 1867.

### Filozofia.

	Stron.
Księga szkiców i fragmentów. O rozsądku, przez <i>Edmunda Stawiskiego</i> ...	313

### Literatura.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Zjazd cudzoziemców: Paryż. — Domy wyrobników na wystawie. — Biesiada X-tój grupy. — Książki na wystawie powszechnój. — Wydawnictwo Alfreda Mame: Album fotografowanych medali Dawida d'Angers; illustrowany życiorys Goya. — Henryka Delaborde „ <i>Studia sztuk pięknych</i> .” — Historia pracy na wystawie powszechnój. — Wystawa sztuk pięknych na Polach Elizejskich. W <i>Wiadomości literackiej</i> . . . . .	55
Podania o Prometeuszu. <i>Tragedya</i> Eschylosa p. n. Prometeusz w Oko- wloch, przekład jój dokonany przez <i>Józefa Szajskiego</i> . Przez <i>Kazi- mierza Kaszewskiego</i> . . . . .	270
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. „ <i>Romeo i Julietta</i> ” opera pana Gounod w pięciu aktach. — „ <i>Testamet Elżbiety</i> ” dramat w pięciu aktach pana Nus. — Z powodu wystawy, pogadanka o sta- nie obecnym sztuki pięknej we Francyi. — <i>Francuzka flota pancern- na</i> na wystawie powszechnój. — <i>Wiadomości literackie</i> . . . . .	221

Bartosz Paprocki, studjum literackie Józefa Iireczka, przekład <i>Wł. Miłkowskiego</i> .....	343
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. <i>Ś. p. Ponsard</i> i jego dzieła. — „Fotografia i galvano-plastyka na wystawie powszechnej. — „Wiek reformacyi” Karton Kaulbacha nagrodzony wielką nagrodą honorową na wystawie powszechnej. — Dwa ostatnie ntworky Clesingera. — Wiadomości literackie .....	356
Literatura zagraniczna. Historia podbicia Peru przez <i>W. H. Prescott'a</i> Przez <i>P. F.</i> .....	381

### *Nauki ścisłe.*

O istocie i zadaniu nauk przyrodzonych, przez <i>Dra fil. Edwarda Strasburgera</i> .....	1
--	---

### *Biografia.*

Günter Zainer i Świętopęk Fiol, przez <i>E. K.</i> (Z 5-ma tablicami podobizn).	161
Komentarze Juliusza Cezara. Przez <i>K. E.</i> .....	294

### *Powieść.*

Laraici, przez <i>Józefa Korczaka</i> . ( <i>Wacława Łuszczewskiego</i> ) .....	25
Lady Grisel Jerwiswood. Przez <i>Pawła z Czerniatyna</i> .....	438

### *Życiorysy.*

Wiktor Cousin, przez <i>Stefana Pawlickiego</i> .....	82
Życie Mozarta podług najlepszych źródeł skreślił <i>Maurycy Karasowski</i> . 101, 247, 393	

### *Lud, jego zwyczaje i podania.*

Kilka słów o podaniach z okolic Tykocina. Przez <i>Z. Glogera</i> .....	141
---	-----

### *Rozmaitości.*

Kiedy pierwszy Szwarzenberg był w Polsce. Przez <i>Z.</i> .....	295
Książka pokupna. Przez <i>Z.</i> .....	296
Jamaica and the Colonial office Vhocaured the Cricis? by <i>George Price</i> , (London, Low and Co., Leipzig A. Dür). Jamajca i zarząd osady: co spowodowało przesilenie? przez <i>Jerzego Price</i> .....	297

	Stron,
Calendar of State papers, domestic series, 1635 — 1636, edited by John Brace (Longman and Co.).....	298
Józef Mery.....	299
Teressa Pulszky .....	300

### Rozbiory.

O estetycznym wychowaniu kobiety, przez prof. Dra Henryka Struve. War- szawa. 1867. — O istnieniu duszy i jój udziale w chorobach umy- słowych; dwie rozprawki czytane na posiedzeniach Towarzystwa Le- karskiego Warszawskiego, p. Henryka Dra Struve, prof. nadzw. w Szkole Głównej Warszawskiej. Warszawa. 1867. Przez W.....	124
Księgarnia M. Leitzgebra, Poznań Hôtel du Nord. Przegląd bibliograficzny piśmiennictwa polskiego. Miesiąc styczeń. 1867. Przez K. E.....	135
Wydanie zbiorowe wszystkich pism Leopolda Ranke'go. Historia niemiec- cka w epoce reformacyi przez Leopolda Ranke'go. Lipsk. 1867. Przez Plebańskiego.....	136
Prawo Salickie, podług textu rękopismu Biblioteki Głównej Warszaw- skiej wydał Romuald Hube. Warszawa. 1867. Przez F. Z.....	286
Zbiór pieśni duchownych ewangelickich i modlitw. Warszawa. 1866. Przez W.....	291
Monografia Opactwa Cystersów we wsi Mogile, opracowana i pamięci ubie- głych w r. 1864 pięciuset lat istnienia akademii krakowskiej poświę- cona przez Towarzystwo Naukowe Krakowskie. Dzieło w dwóch częściach z 8 drzeworytami i tablicą autografowaną. Kraków. 1867. Przez I. T. L .....	428
Angelo. Dramat Wiktora Hugo. Tłumaczył Władysław Dobkiewicz. War- szawa. 1867. Przez K. Kaszewskiego.....	432
Ciepła wdówka. Komedia w trzech aktach wierszem przez J. I. Kraszew- skiego. Poznań. 1866. Przez K. Wł. W.....	434

### Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, od J. Fr. Kołosowskiego, p. o sekreta- rza Tow. Przyj. Szt. Pięku. Krakowskiego.....	301
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od prof. J. Papłowski.....	452
Wiadomości literackie.....	150, 302, 454
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc maj r. b.....	157
— — czerwiec r. b.....	309
— — lipiec r. b.....	465

